

Gayle Lynds

Spirala

The Coil

Przekład
Wojciech Szypuła



Mojej pasierbicy
Deirdre Lynds, która z radością i wdziękiem surfuje po falach oceanu i muzyki...
wskazując drogę nam wszystkim

Prolog

Luty 1998

Fredericksburg, Wirginia

Limuzyna Departamentu Stanu pędziła przez zimowy las. Sekretarz stanu Grey Mellencamp nacisnął guzik i szklana dźwiękoszczelna przegroda oddzieliła go od kierowcy. Zapatrzył się na bezlistne drzewa i krzewy, zimne i czarne w zapadającym zmierzchu. Ciemny gąszcz na poboczach wyglądał jak tunel wyłożony hałdami brudnego śniegu. Nic się nie poruszało w mrocznym lesie, żadnego znaku życia.

Mellencamp usiadł wygodniej. Miał złe przeczucia. Wracał ze spotkania z Liz Sansborough; nie udało mu się zdobyć informacji, których potrzebował. Był zawiedziony i zły, choć po namyśle musiał przyznać, że trochę mu ulżyło: przed spotkaniem spisywał Liz na straty. Teraz ktoś inny zostanie spisany na straty. A właściwie wielu innych. Miał nadzieję, że są winni, więc ich egzekucje będą usprawiedliwione. Ale wcale mu się to nie podobało, zwłaszcza odkąd doszedł do wniosku, że Liz jest niewinna.

Gapił się przez okno i wdychał zapach drogich, skórzanych obić, usiłując się odprężyć. Tysiące razy zawierał udane transakcje, i to w przeróżnych zakątkach świata - najpierw jako przedstawiciel kancelarii prawniczej, teraz jako sekretarz stanu - i umiał sobie radzić w rozmaitych sytuacjach.

Wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do Brukseli.

I natychmiast głos z brytyjskim akcentem odpowiedział:

- Kronos, słucham.

- Wracam ze spotkania z Sansborough w punkcie kontaktowym - poinformował bez wstępu Mellencamp. - Na oczy nie widziała żadnej kartoteki. Mówi, że ojciec na pewno nie prowadził zapisków. To nie w jego stylu. Upiera się przy tym.

- Jasna cholera! Przecież musiał mieć jakieś dokumenty! - Kronos podniósł głos, a jego angielski akcent stał się jeszcze wyraźniejszy. - Na pewno notował namiary na pracodawców, zlecenia, kontakty... Na miłość boską, musiał przecież zapisywać, komu może ufać, a komu nie, co się udało, a co zawalił; adresy, telefony, pseudonimy... Bez kartoteki nie da się w takim fachu długo utrzymać. Ona kłamie!

Sekretarz stanu zdusił ciętą ripostę.

- Sansborough twierdzi, że Drapieznik miał fotograficzną pamięć i nie musiał robić notatek. Po robocie niszczył wszelkie papierowe ślady: plany, mapy, rozkłady jazdy i tak dalej. Matka Sansborough na przesłuchaniu powiedziała nam to samo. Zresztą wszyscy wiedzą, że tylko dlatego tak długo utrzymał się w branży. Był ostrożny jak nikt.

- Sądząc po tym, co się wydarzyło, musiał zostawić jakieś zapiski - odparł lekceważąco Anglik. - I Sansborough wie, gdzie ich szukać. Teraz już tylko ona, po śmierci matki.

- Zgoda, takie zapiski istnieją. Ale rodzice słowem jej o nich nie wspomnieli. Gdyby nie wpadła na ojca, kiedy wykonywał zadanie w Lizbonie, nigdy by się nie domyśliła, że prowadzi podwójne życie. My też nie mielibyśmy o tym pojęcia. Dopóki nic nie wiedziała, była bezpieczna. Po co ktoś miałby jej mówić o kartotece? Poza tym kiedy zaczęła się interesować pracą rodziców, oni już się wycofali. Nie planowali przy niej ani jednej akcji. To naprawdę bez sensu powiedzieć jej o notatkach. - Mellencamp przerwał i wyprostował ramiona. - Znajdziemy je - dodał po chwili - ale to nie ona nas do nich zaprowadzi.

- Sansborough kpi sobie z ciebie, Temido. Z pewnością to potrafi. W Langley była jedną z najlepszych.

Mellencamp poczuł wzbierający na nowo gniew.

- Sugerujesz, że coś zataiła, a ja zawałem sprawę? To ja ryzykuję. Ta sprawa jest dla mnie o wiele ważniejsza niż dla ciebie. Ciebie nikt nie szantażuje z powodu tej cholernej kartoteki!

Serce waliło mu jak młotem. Miał nadwagę i początki choroby wieńcowej. Ilekroć sobie o tym przypominał, ogarniał go strach.

Zamknął oczy i próbował się uspokoić. Liz Sansborough była jedynym dzieckiem Hala Sansborough - Drapieznika, jednego z najgroźniejszych i najbardziej nieuchwytnych zawodowych zabójców w czasach zimnej wojny. Owszem, miał konkurentów - Carlosa Szakala, Imada Fajeza Mugnijeha czy Opata - ale dla tych, którzy naprawdę znali się na rzeczy, to właśnie on był żywą legendą. Wszyscy go nienawidzili - i wszyscy wynajmowali. Nigdy nie popełnił błędu, który zdradziłby jego tożsamość; nikt nie widział jego zdjęć, a dopiero na krótko przed samobójczą śmiercią udało się odkryć jego prawdziwe nazwisko. Był kameleonem w półświatku szpiegów i międzynarodowych przestępców. Niezniszczalnym człowiekiem bez twarzy.

Kiedy Kronos znowu się odezwał, oskarżycielska nuta zniknęła z jego głosu:

- Masz zamiar spełnić żądania szantażysty, Temido?

- Nigdy. - Ton sekretarza stanu nie pozostawiał wątpliwości. - Musimy sami znaleźć kartotekę. Cały czas myślę o tych trzech notkach, które ci przefaksowałem. Wskazówka może być w jednej z nich. - Wyjął z teczki trzy wycięte z gazet artykuły.

- Jeśli nawet, to ja jej nie widzę.

Mellencamp nie odpowiedział. Skupił się na wycinkach.

„The Times”, Wielka Brytania

Dziś rano znaleziono zwłoki sir Roberta Childsa, popularnego parlamentarzysty, który popełnił samobójstwo, podcinając sobie żyły w wannie. Jego gospodyni, która odkryła ciało, znalazła również list pożegnalny, w którym sir Robert prosi rodzinę o wybaczenie i tłumaczy się ze swojego podwójnego życia i bliskich znajomości z paniami z agencji towarzyskich...

„Bild”, Niemcy (tłumaczenie)

Cały kraj jest w szoku po niespodziewanej rezygnacji kanclerza Hansa Raaba, który wczoraj o północy podał się do dymisji. Zarzuca mu się, że przez szesnaście lat kariery na szczytach władzy przyjmował nielegalne korzyści majątkowe w zamian za poparcie polityczne...

„The Washington Post”, USA

W kolejnym tygodniu kampanii wyborczej znów niespodzianka: szósty z kolei kandydat na kongresmana wycofał się z wyborczego wyścigu. Jay White z Partii Demokratycznej jako powód rezygnacji podał narodziny trzeciego dziecka. Wyjaśnił, że powrót do pracy w sektorze prywatnym ułatwi mu utrzymanie rodziny.

Łącznie z powtórnego ubiegania się o fotel w Kongresie zrezygnowało już trzech kandydatów Partii Republikańskiej i tyluż demokratów. Wszyscy reprezentowali radykalne - prawicowe lub lewicowe - nurty w swoich partiach i żaden nie miał poważnego konkurenta...

- Na przykład sir Robert - odezwał się Mellencamp. - Wykrwawił się w wannie jak jakiś szurnięty rzymski senator, rzekomo dlatego że przyłapano go w łóżku z kurewką. Przecież to śmieszne zabijać się z takiego powodu.

- Tym bardziej że w pewnych londyńskich kręgach nie było tajemnicą, iż używał życia z panienkami.

- No właśnie. Musiał się bać, że coś innego wyjdzie na jaw. I to jakaś większa afera, skoro wybrał samobójstwo - westchnął Mellencamp. - A teraz proszę, Raab odchodzi z powodu machlojek finansowych. Przecież to się w głowie nie mieści, żeby składać dymisję w

środku nocy i uciekać jak pospolity złodziejasek z powodu takiego drobiazgu jak nierozliczone dotacje.

- Przynajmniej nie może teraz przeforsować swojego kandydata na stanowisko dyrektora generalnego do spraw handlu. Ograniczenia ekologiczne, jakie proponuje, cofnęłyby międzynarodowy rynek o dziesięć lat... Ale może masz rację. Może ktoś szantażem zmusił Raaba do rezygnacji, zanim ten zdążył wręczyć nominację nowemu dyrektorowi. A nieprawidłowości finansowe to wersja oficjalna.

Sekretarz stanu pokiwał głową.

- Ale co to ma wspólnego z kongresmanami, którzy wykruszyli się z kampanii? Trzech ze skrajnej prawicy i trzech z lewicy. Jeżeli mamy rację i szantażysta posługuje się kartoteką Drapieżnika...

- To znaczy, że coś łączy tych kongresmanów, Roberta Childsa, kanclerza Raaba i ciebie. Może powinieneś posłuchać szantażysty, Temido. Jakkolwiek by było, grozi ci śmiercią, a nie żąda zbyt wiele. To tylko drobna zmiana w nowej umowie z Unią Europejską...

- Powiedziałem: nie! - wybuchnął Mellencamp i umilkł. Powiedział Kronosowi o szantażu tylko tyle, ile musiał i ani słowa więcej. I nie zamierzał dłużej o tym dyskutować.

Ale Kronos mówił dalej:

- Co was łączy? - spytał z naciskiem. - Pochodzicie z różnych krajów, pracujecie w różnych zawodach, chociaż związanych z polityką. Sami mężczyźni, biali, na świeczniku. Wiemy też, że kiedyś wynająłeś Drapieżnika. A właściwie nie ty, tylko twoja żona.

- Nie mieszaj jej do tego - warknął Mellencamp.

Ruth nie żyła od pięciu lat, a on wciąż ją oplakiwał. Kiedy była młoda, popełniła błąd: za radą swojego chłopaka zleciły Drapieżnikowi zabójstwo senatora, który zgwałcił jej młodszą siostrę. Senator i jego wpływowy ojciec, który zawsze go chronił, zginęli w katastrofie jachtu na Morzu Śródziemnym.

- Nasi detektywi odkryli, że Drapieżnik był powiązany z Raabem i dwoma z sześciu kongresmanów. Wygląda na to, że szantażyście nie chodzi o pieniądze. Myślisz, że ma jakiś plan, czy jest zwykłym świrem i nie wiadomo, co mu strzeli do głowy?

- Bóg jeden wie - odparł znużony Mellencamp.

- Ślady prowadzą donikąd; nasi ludzie tropią ducha we mgle. Ktokolwiek ma te dokumenty, z łatwością się nam wymyka. Dlatego pytam jeszcze raz: czy jesteś pewien, że córka zabójcy nic nie wie?

Zaniepokojony Mellencamp usiadł sztywno na kanapie.

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

- Jest ostatnim żywym łącznikiem z Drapieźnikiem. - Głos Kronosa był zimny, pozbawiony emocji. - Należy ją wyeliminować, zanim nam zaszkodzi.

Tego właśnie Mellencamp się obawiał.

- Każda śmierć zwraca uwagę. Im więcej trupów, tym większe ryzyko. Jeżeli ją zabijemy, ktoś może nas zdemaskować. Lepiej i bezpieczniej dla nas byłoby ją kontrolować.

Zapadła cisza. Anglik był zaskoczony.

Mellencamp mówił dalej obojętnym tonem, żeby nie wyszło na to, że prosi o przysługę. Kronos próbowałby negocjować, a ta sprawa nie podlegała negocjacjom.

- Jeżeli rozegramy tę partię jak należy, Sansborough może być dla nas użyteczna. I to bardzo, jeśli dowiemy się, kto ma kartotekę. Może sobie przypomnieć jakiś szczegół, z którego wagi nie zdaje sobie sprawy. Sam powiedziałeś, że jest naszym ostatnim łącznikiem.

- Być może... - przyznał głos w słuchawce. - Masz jakiś plan?

- Jasne. - Mellencamp uśmiechnął się z ulgą. - Pomyśl tylko. W tej chwili Sansborough jest zdezorientowana i prawdopodobnie przygnębiona. Rodzice nie żyją, mąż zginął dawno temu, nie ma rodzeństwa, a ze względu na tryb życia nie ma też przyjaciół. Poza kuzynką z Kalifornii.

- Sarah Walker... Tak, pamiętam ją. Ale co z tego?

- Najchętniej znów wróciłaby do Langley. Zna się na tej robocie, rozumie ją, dobrze się w niej czuje.

- Twoja zastępczyni uważa ją za zagrożenie.

- I słusznie. Arlene będzie ją ludzić propozycją etatu u nas, żeby trzymać ją w ryzach. Sansborough nie ma jak dogadać się z Langley. Na razie jest zajęta: studiuje psychologię w Georgetown, sam ją zachęcałem, żeby nie rezygnowała. Musimy dać jej szansę, złożyć kuszącą propozycję. Tylko trzeba się pospieszyć, żeby nie zmieniła zainteresowań albo nie zaczęła nam bruździć. Jeśli nie spieszymy sprawy, praca naukowa pochłonie ją bez reszty. Sansborough stanie się jedną z tysięcy kobiet, które chciałyby zapomnieć o przeszłości, trybikiem w maszynie jakiegoś college'u czy niedużego uniwersytetu. My będziemy ją spokojnie obserwować, a ona nie będzie groźna. Ani dla nas, ani dla siebie.

*

Grey Mellencamp mieszkał przy stadninie koni pełnej krwi angielskiej, sześćdziesiąt kilometrów od punktu kontaktowego. Limuzyna wjechała z wiejskiej drogi na obwodnicę, na której panował normalny o tej porze, spory ruch. Księżyc właśnie wschodził, zalewając

srebrzystą poświatą pędzące samochody, domy i biurowce, które zlewały się w ocean mrugających świateł, ciągnący się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach.

Schował wycinki do teczki. Ulżyło mu, kiedy Kronos przystał na jego propozycję. Błądził myślami gdzieś daleko, unikając bolesnych wspomnień, do chwili gdy limuzyna zatrzymała się przed bramą i strażnik gestem dał znak kierowcy, że może wjechać na teren posiadłości. Teraz już mógł się odprężyć. Nie znalazł wprawdzie kartoteki Drapieznika, ale przynajmniej ocalił niewinną kobietę od śmierci.

Samochód zajechał przed dom. Żółte plamy światła z latarń padały na wyłożony cegłą podjazd. Chet wyskoczył zza kierownicy i otworzył drzwi.

Wieczór był chłodny. Mellencamp wysiadł, ściskając pod pachą teczkę, skinął Chetowi głową i znużonym krokiem wszedł po schodkach.

- Jutro o szóstej, proszę pana? - zapytał Chet.

- Oczywiście - odparł Mellencamp. - Do zobaczenia. - Ni stąd, ni zowąd odwrócił się i dodał: - Dobranoc, Chet.

- Dobranoc, proszę pana.

Wszedł do domu. Powietrze pachniało płonącymi sosnowymi polanami. Przeszedł korytarzem do gabinetu, po drodze zdejmując płaszcz. Pokój był wyłożony boazerią z wiśniowego drewna, grube kotary przy drzwiach balkonowych zabezpieczały wnętrze przed chłodem. Rzucił płaszcz na sofę i opadł ciężko na fotel przy kominku.

Płomienie strzelały w górę błękitnymi i pomarańczowymi językami - to były prawdziwe polana i najprawdziwszy ogień, niejedna z tych idiotycznych namiastek, modnych ostatnio wśród młodych, którym nie chce się wynosić popiołu. Nachylił się i potarł ręce, żeby je rozgrzać. Znów zaczynał się martwić, kto ma kartotekę i jaki wpływ może ona mieć na jego przyszłość i dobre imię jego zmarłej żony.

- Słyszałam, jak pan wchodził - zawołała z kuchni gospoia. - Napije się pan czegoś?

- Nie rób sobie kłopotu, Gretchen - odparł głośno. - Sam sobie naleję.

Rozluźnił krawat i wstał. Sto trzydzieści kilogramów i sześćdziesiąt sześć lat ciążyły mu jak nigdy. Z wysiłkiem podszedł do barku i właśnie nalewał sobie whisky, kiedy zza kotar powiało zimnem. Podniósł wzrok - i zmartwiało.

Spomiędzy zasłon wyłoniła się postać w czarnym ubraniu. Zanim Mellencamp zdążył zareagować, zaszła go od tyłu, chwyciła za włosy i szarpnęła.

- Nie!

Wypuścił szklanekę i złapał napastnika za ręce. Za późno.

- Trzeba było nas posłuchać, Temido.

Krótką igłą strzykawki wbiła się w mięsisty policzek; jej ślad zginął w gęstym wieczornym zaroście. Kiedy napastnik go puścił, Mellencampowi zakręciło się w głowie. Odwrócił się przerażony i bezskutecznie próbował skupić wzrok, gdy morderca zniknął za kotarą. Serce pękało mu z bólu. Zszokowany zdał sobie sprawę, że jednak ktoś zginie tej nocy. Nogi się pod nim ugięły i upadł na wznak - nie żył.

Część I

Wnyki istnieją tylko po to, żeby złapać w nie królika.

Kiedy go złowisz, przestają być potrzebne.

Czuang Cy

1.

Maj 2003

Bruksela

Gino Malko, ubrany jak zawsze w klasyczny garnitur, szedł powoli rue Sainte-Catherine w centrum miasta. Bawił się ozdobną hebanową laską ze srebrną główką i rozkoszował chłodną, pogodną wiosną. Chwilami zamykał oczy i odchyłał głowę, żeby poczuć na twarzy ciepło słońca - ale nawet wtedy bez trudu omijał innych spacerowiczów, jakby miał w sobie radar.

Skreślił w końcu do kawiarni Le Cerf Agile i usiadł w ogródku przy stoliku nakrytym białą koronką.

Natychmiast pojawił się usłużny kelner.

- Witam, monsieur. Znowu mamy piękny dzień, prawda? - zapytał po angielsku. - To co zwykle?

- Tak, dziękuję, Ruud. - Malko uśmiechnął się i gładko wszedł w swoją rolę.

Słynął z dużych napiwków, więc kelner wrócił błyskawicznie z café au lait i kawałkiem ciasta. Malko skinął z uznaniem głową, nalał kawy i mleka ze srebrnych dzbanków, zamieszał i spróbował ciasta. Wygodnie rozparty obserwował tłum przechodniów: mieszkańców miasta, pracowników NATO i UE, biznesmenów i turystów. Wczesna pora dla turystów, ale skuszeni piękną pogodą wylegli na ulice.

Jadł właśnie drugi kawałek ciasta, kiedy zobaczył swój obiekt. Niedbałym gestem sięgnął po laskę i płynnie wtopił się w tłum. W tłoku musiał trzymać laskę pionowo.

To zrozumiałe, że w tłoku zderzył się z dwoma, trzema ludźmi - w tym z obiektem. Za każdym razem szczerze przeproszał, aż w końcu, jakby zniechęcony ścisaniem, odwrócił się i poszedł znów do kawiarenki.

Jakaś kobieta krzyknęła. Wszyscy spojrzeli w jej stronę: obok niej na chodnik osunął się wysoki, szczupły mężczyzna o urodzie południowca. Trzymał się za pierś.

Tłum wokół leżącego zgęstniał, ludzie krzyczeli po francusku, flamandzku i angielsku.

- Odsunąć się! On się dusi!

- Lekarza! Wezwać lekarza!
- Ktoś ma pojęcie o reanimacji?
- Jestem lekarzem! Proszę się odsunąć!

Malko, który zdążył już wrócić do swojego stolika, sączył kawę, jadł ciasto i patrzył, jak lekarz tonie w ludzkim gąszczu. Gapie szeptali między sobą i patrzyli na chodnik. Malko skończył jeść i otrzepał palce. Przez tłum przebiegł szmer przerażenia.

W tej samej chwili do leżącego przepchnął się mężczyzna w koszuli, bez marynarki, z telefonem komórkowym przy uchu. Był cały czerwony z emocji.

- Tragedia na ulicy Sainte-Catherine! - krzyczał po francusku. - Zawał, tak mówi lekarz. Co? Tak, nie żyje. Czy to ważne?! Nie padnij z wrażenia: to unijny komisarz do spraw konkurencji, Franco Peri! Natychmiast to wyemitujcie... Tak, z ostatniej chwili... Wszystko inne ściągnijcie z anteny, i to już!

Gino Malko uśmiechnął się, zostawił na koronkowym obrusie garść euro i kręcąc kółka laską, wyszedł z kawiarenki. Za pięć minut dotrze do hotelu, za dziesięć się wymelduje, za piętnaście będzie już jechał na lotnisko.

Lipiec 2003

Uniwersytet Kalifornijski, Santa Barbara

Było po dziewiątej. W audytorium Campbell Hall studenci zajęli wszystkie wolne miejsca, wznoszące się rzędami ku tylnej ścianie sali. Prowadząca ostami wykład w letnim semestrze Liz Sansborough wodziła wzrokiem po ich twarzach - obojętnych i skupionych, czystych i niedomytych, zaspanych i czujnych. Wszystkie promieniały nadzieją.

Przypominali ją samą z czasów, kiedy studiowała w Cambridge. Była w ich wieku i tak jak oni szukała oświecenia - i pewnie będzie tak szukać do dnia, aż umrze z nadmiaru pracy i rzadko popijanego, ale czasami niezbędnego martini. A skoro przychodzili na każdy jej wykład, wierzyła, że i oni będą szukać do upadłego.

- Marks twierdził, że przemoc jest akuszerką historii - mówiła. - Ale powiedzieć, że to arystokracja stworzyła faszyzm, to jak zwalić całą winę za komunizm na biedotę. Oba te systemy były tworam i ideologów politycznych: Trockiego, Lenina, Hitlera, Mussoliniego, i oba zrodziły się z przemocy. Ich zwolennicy byli zatruci ideologią lub, jeśli wolicie, zastępczą religią, która nakazywała im stworzyć nowy świat i nowego człowieka. Stalin i Hitler stosowali gwałt i terror nie tylko wobec wojsk przeciwnika, ale także wobec ludności cywilnej, również własnej, tak jak to robią dzisiejsi dyktatorzy. Saddam Husajn, Osama bin

Laden, talibowie i cała siatka al-Kaidy to współczesne przykłady. - Liz przerwała, żeby jej słowa dotarły do studentów. Uśmiechnęła się. - A teraz wasza kolej. Jak wam się wydaje, co to wszystko ma wspólnego z psychologią przemocy, o której tyle mówiliśmy?

Patrzyła, jak spuszczaają wzrok i niepewnie szurają nogami. Ci sami co zwykle podnieśli ręce, ale chciała, żeby tym razem wykazał się ktoś inny.

- Śmiało. Próbujcie. - Pokazało się kilka nowych rąk. - No dobrze, ty chyba będziesz miała coś ciekawego do powiedzenia. - Wskazała palcem. Przy tak dużej liczbie słuchaczy nie było mowy o przypisaniu ich na stałe do miejsc, więc chociaż rozpoznała dwudziestoparoletnią studentkę, nie była pewna, jak ma na imię.

Długa blond grzywka przesłaniała dziewczynie pół twarzy. Musiała potrząsnąć głową, żeby odsłonić przynajmniej oczy i usta i swobodnie odetchnąć.

- Agresja i przemoc u dorosłych może wynikać z doświadczeń wieku dziecięcego - zaczęła z pasją. - Ale czasem takie wyjaśnienie bywa niewystarczające.

- Mów dalej.

- Można by wręcz powiedzieć, że to uproszczenie - ciągnęła dziewczyna z coraz większym przekonaniem. - Banał. Czasem okoliczności sprawiają, że nawet tak zwani dobrzy ludzie uciekają się do przemocy. Po prostu... dają się porwać emocjom i zapominają o swoim prawdziwym „ja”... - Zawiesiła niepewnie głos.

- Inaczej mówiąc, ich tożsamość ulega chwilowemu zawieszeniu. - Liz skinęła głową. - Odcinają się od moralnych implikacji swojego zachowania, interpretują wydarzenia w taki sposób, żeby znaleźć dla siebie usprawiedliwienie. Stąd biorą się instynkt stadny i siła tłumu. Właśnie dlatego zdarza się, że przeciętny człowiek robi coś złego, ohydneho, czego nigdy nie zapomni i nigdy sobie nie wybaczy...

Reszta wykładu upłynęła błyskawicznie, a po jego zakończeniu Liz nadal chodziła jak nakręcona. Zgarnęła swoje notatki i wepchnęła je do teczki. Nie powinna była prowadzić tych zajęć. Prawdę mówiąc, miała być teraz w Paryżu, na urlopie, z Sarah i Asherem, ale nie potrafiła odpuścić sobie ostatniego wykładu w semestrze i zostawić go asystentowi. Był zbyt ważny. Podsumowała w nim całą wiedzę, jaką studenci powinni wynieść z rocznego kursu. Jeżeli jej uważnie słuchali, to przejrzawszy notatki, mieli szansę nie tylko zdać egzamin, ale naprawdę czegoś się nauczyć.

Światła przygasły - Kalifornia balansowała ostatnio na skraju kryzysu energetycznego - i audytorium szybko opustoszało. Kilko studentów jak zwykle zostało, żeby przejść się z Liz po kampusie i odprowadzić ją do jej gabinetu.

- Czy taki „dobry” człowiek nie powinien umieć się oprzeć presji tłumu? - zapytał ktoś.

Wysokie eukaliptusy kołysały się, poruszane wiatrem znad oceanu. Powietrze pachniało świeżością, solą i słońcem. Liz z rozkoszą je wciągnęła. To był piękny poranek. I piękne życie.

- Owszem, powinien - odparła. - Ale tu już zapuszczamy się na grunt etyki.

- To trudne - odezwał się półgłosem ktoś inny. - To znaczy, trudno jest się tak przeciwstawić.

- Właśnie - przytaknął trzeci student. - Czasem jak człowiek surfuje i przyjdzie fala, nie pozostaje nic innego, jak dać w nią nura.

- Czasem tak, a czasem nie - zauważyła Liz. Podobały jej się ich pytania. Zostali zmuszeni do myślenia, a przecież taki był właśnie cel edukacji. - Pomyślcie, jakie to trudne powiedzieć „nie”, kiedy wszyscy dookoła mówią „tak”. Jeśli się zastanowicie, jak chcielibyście się zachować w takiej sytuacji, będziecie lepiej przygotowani do podejmowania trudnych decyzji. Bo takie chwile z pewnością nadejdą.

- Ja to się naprawdę cieszę, że nie dała się pani tak całkiem wciągnąć do telewizji - odezwał się wielbiciel surfingu. - To znaczy... Dobrze, że pani dalej prowadzi zajęcia.

- Nie wyobrażam sobie, że mogłabym przestać - zapewniła. - Jest już profesjonalny producent i stała obsada serialu, więc mam więcej czasu dla was.

Uśmiechnęli się i zasypali ją pytaniami o nowe odcinki *Zimnej wojny*.

- Cierpliwości. Na razie to ściśle tajne.

Ta odpowiedź im się spodobała, bo zgodnie wybuchnęli śmiechem. Kiedy stanęli przed gmachem Wydziału Psychologii, Liz kazała im się rozejść do swoich zajęć. Jeden chłopak był szczególnie uroczy: podkochiwał się w niej i często zostawał w grupce, która ją odprowadzała.

- To był... świetny wykład, proszę pani - bąknął i odszedł, szurając nogami.

Liz pchnęła drzwi i weszła na drugie piętro. Betonowy budynek w kolorze spłowiałego rózu był bezpretensjonalny i czysto użytkowy. Podobał się jej. Na korytarzach spotykała studentów i wykładowców. W gabinecie czekał już Kirk Tedesco: siedział rozparty w jej fotelu, opierając na blacie biurka stopy w ogromnych rocksportach. Przeglądał program telewizyjny, ale na jej widok odłożył go i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cześć, mała. Jak tam twoje studenciaki?

Wszędzie wałały się książki i papiery - Kirk wyglądał wśród nich jak oaza spokoju w oku naukowego cyklonu. Liz też się uśmiechnęła.

- Bystre i dociekliwe.

Zamknęła drzwi i rzuciła teczkę na podłogę, obok sportowej torby.

- Akurat. Chciałabyś.

Kirk też był psychologiem. Specjalizował się w zaburzeniach osobowości. Beztroska natura sprawiła, że nie miał wybitnych osiągnięć naukowych, ale był przyjacielski i zabawny. Liz lubiła jego towarzystwo.

- Nie, serio. Studenci są świetni, interesują się tematem i cieszę się, że zostałam ze względu na nich. Paryż nie ucieknie. Polecę jutro.

Kirk wziął do ręki program telewizyjny i pokazał palcem.

- Fajna jest ta zapowiedź twojej nowej serii.

Zrobiło się jej miło. Wzięła od niego gazetę. Cztery odcinki były już gotowe, trzy właśnie kręcili, a ona prowadziła badania do następnych. Zerknęła na artykuł:

ZIMNA WOJNA LIZ SANBOROUGH WRACA NA EKRANY!

Dwa słowa i prosty obraz mówią wszystko. W ubiegłym miesiącu na nowojorskich przystankach pojawiły się plakaty z wydrukowaną na czerwono datą „29 lipca” i czarnym stemplem „Ścisłe tajne”. Bez zdjęć. Bez tytułu.

Ale wtajemniczonym ciarki przeszły po plecach: oczekiwanie na dalszy ciąg doskonałego serialu *Sekrety zimnej wojny*, prowadzonego przez doktor Liz Sansborough, ma się ku końcowi.

Członek kierownictwa sieci Compass zdradził nam, że wśród dramatycznych epizodów z czasów zimnej wojny znajdzie się między innymi historia wysokiego urzędnika CIA, który próbował manipulować prezydentem USA. Poznamy też kulisy zatuszowanego skandalu w FBI, w którym główną rolę odegrał podwójny agent, zbieg z KGB, mistrz kamuflażu.

W ciągu zaledwie trzech lat program z niepozornej atrakcji lokalnej kablówki stał się wydarzeniem na skalę krajową. Doktor Sansborough, wykładowca psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim, kusi widzów obietnicą ujawnienia sekretów legendarnych postaci okresu zimnej wojny, słynnych na cały świat zawodowych zabójców, takich jak Abu Nidal czy mniej znani i - jak wielu twierdzi - na wpół mityczni Drapieżnik i Opat...

- Mamy dobrą prasę - przyznała Liz i oddała gazetę Kirkowi.

- Mało powiedziane. Przyjdzie taki dzień, że będziesz równie sławna jak Julia Roberts. Już jesteś o niebo od niej ładniejsza.

- A ty jesteś niepoprawnym marzycielem - uśmiechnęła się z wdzięcznością. Kirk nie przyznawał się do tego otwarcie, ale wiernie kibicował serialowi.

Okno pokoju wychodziło na kampus. Dalej na północy niczym piła wyrastały szczyty gór Santa Ynez. Wiedząc, że z dołu nikt jej nie zobaczy, Liz ściągnęła bluzkę i zdjęła spodnie.

- Ładny stanik - zauważył Kirk. - Sportowy. Stringi też niczego sobie.

Udała, że go nie słyszy, i włożyła szorty do biegania.

- Nie nudzi ci się czasem? Wpadasz do mnie trzy, cztery razy w tygodniu, zawsze pod jakimś kiepskim pretekstem. Chyba masz za dużo wolnego czasu... A dziś nawet nie postarałeś się o pretekst.

Zgarnęła włosy do tyłu i związała je w koński ogon.

- O nudzie nie może być mowy. A pretekst mam doskonały.

Kirk spuścił nogi z biurka i podszedł do niej. Był krępy, miał czterdzieści parę lat i przyjemnie szerokie bary. Zaczynał mu się rysować brzuszek, co zawsze rozczulało Liz.

- Idź sobie. - Pokręciła z rozbawieniem głową i przykucnęła, wiążąc buty. - O tej porze biegam.

- Zauważyłem. W szortach prezentujesz się znacznie atrakcyjniej niż w tym kombinezonie więziennym, w którym chodzisz na karate.

Z pogodną twarzą, rudymi włosami i mnóstwem piegów wyglądał sympatycznie. Pojawili się na uniwersytecie w tym samym roku, 1998, i zajęli nowo utworzone stanowiska sponsorowane przez prestiżową Fundację Ayleswortha. Trafili na ten sam wydział, a ponieważ oboje byli wolni, często się spotykali i zostali przyjaciółmi. Znajomość rozwinęła się powoli i całkiem naturalnie.

- No to słucham: co to za pretekst? - Liz podskoczyła i zaczęła się rozgrzewać.

- Letnie garden party u dziekana. To dziś po południu, pamiętasz? O trzeciej. Spotkamy się na miejscu czy mam po ciebie przyjechać?

- Spotkamy się na miejscu.

Poklepała go po piersi i pocałowała w usta. Próbował ją złapać wpół, ale mu się wymknęła.

- Spocisz się - ostrzegł z wesołym błyskiem w oku.

- Nie mogę się doczekać imprezki.

Sięgnęła po okulary przeciwsłoneczne i daszek. Kiedy zamknęła drzwi i schowała klucz do torebki na pasku, Kirk powłókł się do swojego gabinetu, a ona z animuszem zbiegła po schodach - w promienie kalifornijskiego słońca.

W Kalifornii była dziesiąta rano, w Paryżu siódma wieczorem. Kiedy Liz Sansborough wybierała się na przebieżkę, dziesięć tysięcy kilometrów od Santa Barbara Sarah Walker i Asher Flores, trzymając się za ręce, szli przez hol hotelu w Dzielnicy Łacińskiej.

Byli ładną parą, oboje przed czterdziestką. On miał wyraziste rysy, kręcone czarne włosy i przenikliwe, niespokojne oczy. Ona była wysoka, szczupła, a kasztanowe włosy nosiła krótko przycięte. Czarny pieprzyk nad prawym kącikiem ust tylko podkreślał jej urodę, a skrzywiony mały palec lewej ręki był świadectwem jakiegoś nieudanego wyczynu sportowego.

Przylecieli do Paryża poprzedniego wieczoru i zameldowali się w ulubionym hotelu kuzynki Sarah, która miała dołączyć do nich na trzy dni, ale przełożyła przylot na następny dzień. Sarah i Asher nie zamierzali na nią beczynn timer czekać. Poszli obejrzeć miasto, zwiedzili Luwr i zaliczyli inne atrakcje turystyczne, na co nigdy wcześniej nie mieli czasu, a potem wrócili i przebrali się przed kolacją.

Nocny portier wypatrzył ich w holu, otworzył przeszklone drzwi i zgiął się w ukłonie.

- Mademoiselle Sansborough - przywitał Sarah. - Co za miła niespodzianka. Nie wiedziałem, że znów się pani u nas zatrzymała.

Sarah uśmiechnęła się do niego, wyszła i stanęła pod markizą.

- Nie jestem Liz Sansborough. Ona jeszcze nie przyjechała.

Portier nie bardzo wiedział, jak się zachować, jakby oczekiwał, że Sarah lada chwila roześmieje się z własnego żartu. Musnął palcami daszek czapki.

- Bardzo przepraszam, madame. - Zauważył obrączkę na jej palcu. - Proszę mi wybaczyć.

- Nic się nie stało - uspokoił go idący za Sarah Asher. - Liz i Sarah są kuzynkami i są tak do siebie podobne, że wszyscy je mylą.

- A niech to! - Sarah nagle pokręciła głową. - Zostawiłam torebkę w pokoju. Masz karty kredytowe?

- Całe mnóstwo - uspokoił ją Asher i znów zwrócił się do portiera: - Myśli pan, że będzie padać? Od południa zanoszą się na deszcz. - Wszedł spod markizy i spojrzał w niebo, po którym przetaczały się ciężkie, szarobure chmury. Krople deszczu spadły na chodnik, powietrze zapachniało ozonem. Uskoczył pod daszek. - No i sprawa jasna.

- Pan pozwoli.

Portier sięgnął po stojący za drzwiami duży parasol, rozłożył go i podał Asherowi. Chroniąc się pod nim, Sarah wzięła męża pod rękę i ruszyli przed siebie. Niebo tymczasem

pękło i na ziemię runęły strugi lodowatej wody. Kierowcy włączali wycieraczki i reflektory, piesi chowali się przed deszczem.

Sarah parsknęła śmiechem.

- Toby było tyle, jeśli chodzi o relaks w promieniach galijskiego słońca.
- Myślisz, że to kara za to, że dopiero teraz wróciliśmy razem do Paryża?
- Nie żartuj. Nie jesteśmy aż tak ważni dla bogów.
- A dla mnie tak.

Nie zwracając uwagi na mijające ich samochody i deszcz bębniący o parasol, Asher przyciągnął żonę i pocałował. Sarah zarzuciła mu ręce na szyję. Roztrąbiły się klaksony.

Sarah nie miała ochoty wracać do miasta, w którym spotkało ich tyle złego, ale kiedy Langley udzieliło Asherowi miesięcznego urlopu, nadarzyła się okazja, żeby przegnać demony przeszłości. Musieli wyjechać gdzieś razem, odnowić swój związek, a żadne miejsce nie nadawało się do tego lepiej niż romantyczne, liczące dwa tysiące lat Miasto Światła. I miłości.

Odpowiedziała pocałunkiem na jego pocałunek, zatraciła się w jego ciepłe. Czuli się szczęśliwi i beztroski pod parasolem, który był jak przytulny kokon. Kiedy Asher wypuścił ją wreszcie z objęć, spojrzała mu figlarnie w oczy i zaproponowała:

- Znajdźmy wreszcie to bistro. Jestem głodna.

Przechodnie pochowali się przed burzą w sklepach i sklepikach, Sarah i Asher szli więc pustym chodnikiem. Zagrzmiało, aż ziemia zadrżała. Kierowcy pędzili na złamanie karku, fontanny brudnej wody tryskały spod kół samochodów.

- To przy następnym skrzyżowaniu - oświadczył Asher, kiedy przeszli przez ulicę. Byli przemoczeni.

- Damy radę. Jeszcze się nie rozpląwam.

Przeskoczyli strumień wody przy krawężniku, wylądowali na następnym opustoszałym chodniku i przyspieszyli. Niebo poczerniało. Krople deszczu biły o ziemię z takim impetem, że prawie się od niej odbijały. Pędzili, omijając kałuże, coraz bardziej mokrzy i przemarznięci, aż w końcu Asher dostrzegł mającący przy następnej przecznicy szyld: ROUGET DF. LISLE. Wyciągnął rękę, chcąc pokazać go Sarah, gdy nagle czarna furgonetka przyhamowała obok nich z piskiem opon i zasłoniła widok.

Zanim jeszcze się zatrzymała, w głowie Ashera rozdzwonił się dzwonek alarmowy. Odwrócił się i spojrzał w głąb mrocznego zaułka dochodzącego w tym miejscu do ulicy: wyskoczyło z niego dwóch przyczajonych mężczyzn w kominiarkach i z bronią w rękach. Asher rzucił w nich otwartym parasolem, a kiedy się uchylił, pchnął Sarah, żeby usunąć ją z

ich drogi. Wyszarpnął pistolet z kabury na kostce i wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi furgonetki.

Kiedy podnosił broń do strzału, Sarah odwróciła się w jego kierunku. Ze zmartwiałą z przerażenia twarzą śledziła perfekcyjnie skoordynowany napad.

Chciał krzyknąć, żeby uciekała, już nawet otworzył usta, gdy rozległo się stłumione paf-paf. Ktoś strzelił z pistoletu z tłumikiem. Kula trafiła Ashera w pierś. Miał wrażenie, jakby niewidzialny olbrzym z całej siły pchnął go na chodnik. Runął na beton z rozrzuconymi rękami i nogami, uderzył głową o ziemię, pistolet wypadł mu z ręki. Oczy same mu się zamknęły.

- Zostawcie mnie! - wrzasnęła Sarah.

Jej głos ledwie przebił się przez zalewającą Ashera falę bólu.

- Asher! - krzyczała. - Nic ci nie jest?! Asher! Puśćcie mnie!

Rozległy się odgłosy szamotaniny.

- *Merde!* - zaklął jeden z napastników.

- Tygrysica - zawtórował mu drugi po francusku.

Asher chciał otworzyć oczy, przeturlać się na brzuch, wstać. Walczyć. Ratować Sarah. W piersi bulgotał mu rozpalony kocioł. Ogarnęła go bezsilna złość.

- Pakujcie Walker do wozu! - krzyknął jeden z mężczyzn. - Szybko!

- Asher!

Jej krzyk był jak sztylet wbity prosto w serce. Oszalały Asher zdobył się na jeszcze jeden wysiłek. Poczł, że się porusza. Zaparł się rękoma o mokry chodnik, ale zanim zdążył się dźwignąć, czyjeś dłonie wyrznęły go w plecy i przygniotły do ziemi. Ktoś krzyknął z bólu. On?

Tuż przy uchu usłyszał chrapliwy głos:

- Posłuchaj, Flores. Jeżeli chcesz jeszcze zobaczyć żonę żywą, przynieś nam kartotekę Drapieźnika. Ty i Langley macie cztery dni. Nie więcej. Kartoteka Drapieźnika. Powtórz.

Mężczyzna mówił po angielsku z amerykańskim akcentem.

Asher próbował poruszyć wargami. Stęknął.

- Drapieźnik... - wybełkotał. - Cztery dni. - Kartoteka Drapieźnika? Jaka kartoteka? -

To niemożliwe!

Ale napastnik już go puścił. Trzasnęły drzwi, zapiszczały opony. Oszalały ze strachu Asher krzyknął jeszcze:

- Sarah!

Nikt mu nie odpowiedział. Deszcz bezlitośnie siekł go po twarzy i ściekał do uszu. Asher próbował wstać, ale upadł. Zakrztusił się i rozkaszał. Nagle zrobiło mu się przeraźliwie zimno. Przed oczami stanęła mu Sarah: widział jej twarz, słyszał melodyjny głos, wydawało mu się, że czuje muśnięcie jej ust na policzku. Przeraziła go myśl, że mogliby ją skrzywdzić. Zrobiło mu się słabo i ogarnęła go ciemność.

2.

Santa Barbara, Kalifornia

Liz wybiegła na trawnik przed gmachem Wydziału Psychologii i zaczęła się rozgrzewać. Złapała się za kostkę, zgięła nogę w kolanie, dociągnęła stopę do pośladków i, balansując na jednej nodze, zapatrzyła się w niebo. Wiatr znad oceanu muskał jej skórę. Temperatura była idealna, niecałe dwadzieścia pięć stopni, podczas gdy serwisy pogodowe podawały, że Nowy Jork i Waszyngton nawiedziła fala upałów. Przeprowadzka na Zachodnie Wybrzeże była strzałem w dziesiątkę.

Jej życie bardzo się zmieniło, od kiedy odkryła, że jej rodzice są zabójcami. Pewnie nigdy nie będzie szczęśliwsza niż w tej chwili i była za to wdzięczna Greyowi Mellencampowi. Miał rację, wtedy, przed laty. Szkoda tylko, że umarł tak szybko po udzieleniu jej ojcowskiej rady. Chciałaby móc mu powiedzieć, jak bardzo jej pomógł.

Po rozgrzewce ruszyła w stronę Instytutu Oceanograficznego. Rozpierała ją energia, jakby szykowała się do pojedynku - drugim sportem, jaki uprawiała poza bieganiem, było karate, jedna z niewielu pozostałości dawnego życia i związków z wywiadem. Rozglądając się wokół, mijała sportowe kabriolety, kosze na śmieci przepelnione styropianowymi kubkami z Mesa Coffee i studentki w kostiumach kąpielowych, uszytych z materiału, którego ledwie wystarczyłoby na przepaskę na oko. Siedziały przed akademikami, nic sobie nie robiąc z zagrożenia rakiem skóry. W kampusie było niewiele palm, rosło za to trochę platanów, magnolii i egzotycznych eukaliptusów, jak w eleganckim klubie golfowym.

Na widok przysadzistego budynku oceanografii ruszyła truchtem. Minęła go i zbiegła na wąską piaszczystą plażę na brzegu zatoki leżącej na terenie uczelni. Dalej, tam gdzie ścieżka wznosiła się po skalnym urwisku, nie było widać żywej duszy, co bardzo jej odpowiadało. Zaczynała się pocić, kiedy wspiąwszy się na wydnię, skręciła na wydeptaną

dróżkę biegnącą wzdłuż krawędzi klifu. Morska bryza cicho szeptała jej we włosach. Mięśnie ud pracowały miarowo.

Wciągnęła głęboko czyste, słonawe powietrze i spojrzała w prawo, gdzie dzikie trawy, krzewy i drzewa zespoliły powierzchnię stoku opadającego do błękitnej laguny. Zatoka była niemal całkowicie osłonięta od oceanu i nawet najmniejsza fala nie marszczyła powierzchni wody. Po przeciwnej stronie znajdował się kampus, Liz dostrzegła kilkoro studentów - spóźnialskich, którzy biegli na zajęcia. Potem teren uniwersytetu opustoszał, zmienił się w doskonałą martwą naturę złożoną z nowoczesnych budynków i wypielęgowanych drzew, nadającą się świetnie do albumu mistrza fotografii.

Ruszyła dalej swoim stałym, spokojnym tempem, odwrócona w przeciwnym kierunku, ku oceanowi, którego oślepiająco turkusowa tafla ciągnęła się aż do leżących trzydzieści kilometrów od lądu Channel Islands. Od strony oceanu roślinność wyglądała zupełnie inaczej: nie rosły tu już grube, harde drzewka jak te na zboczu powyżej laguny, ale kiełkujące w skalnych szczelinach karłowate i powykrzywiane od wiatru drzewa i krzewy. Z dołu, z odległości piętnastu metrów dobiegał łoskot przyboju, ale ze ścieżki nie było widać łamiących się fal.

Urwisko ciągnęło się kilometrami. Co roku zabijało się tam kilka osób, które spadły do oceanu podczas pijackiej imprezy, jazdy na rowerze, spaceru lub przebieżki. Kiedy media doniosły o tragedii, ludzie przez jakiś czas byli ostrożniejsi, potem jednak poczucie zagrożenia słabło i wracali do dawnych nawyków - do czasu, aż klif zagarnął następną ofiarę.

Otrząsnęła się z tych niepokojących myśli. Wciąż bywały takie chwile, kiedy miała wrażenie, że przeszłość ją prześladowa, ogarniała ją wtedy rozpacz, ale rzadko zdarzało się jej to tutaj, na skałach między spokojną laguną z jednej i oceanem z drugiej strony, w miejscu, gdzie pogodne niebo, ciepło słońca i wesoło rozkrzyczane mewy przypominały jej, że życie jest piękne. Zwykle, biegnąc szlakiem między wodami, czuła się niezwykczona.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj była podenerwowana i rozdrażniona. I to bez powodu. Z przodu ścieżka była pusta, ale za plecami słyszała głosy innych ludzi. Obejrzała się przez ramię, starając się nie stracić równowagi na nierównej ścieżce, i dostrzegła drugiego biegacza. Był wysoki, muskularny, miał na sobie strój do joggingu, baseballówkę i okulary przeciwsłoneczne. Nic niezwykłego. Za nim jechał rowerzysta: skulony nad kierownicą, zmieniał przerzutki i zbliżał się do biegaczy.

Wsluchiwała się w rytm, jaki jej stopy wybijały o ziemię; czuła miarowe bicie serca. Wszystkie zmysły miała wyczulone, chociaż siłą woli narzuciła sobie spokój.

Rowerzysta szybko ją wyprzedził: śmignął z prawej strony, na przelaj, przez trawy nad laguną. Zwolniła, żeby nie wdychać tumanów kurzu, które wzbily się spod kół roweru, gdy wrócił na ścieżkę i pomknął przed siebie. Poczula ruch powietrza, który zapowiadał, że biegacz też zaraz ją wyprzedzi. Usunęła się w lewo, ustępując mu miejsca.

On jednak nie pobiegł prawą stroną. Pędził za nią, coraz szybciej, i zbliżał się nieubłaganie. Liz przeszył zimny dreszcz. Poczula złość. Co ten facet sobie wyobraża, do jasnej cholery?!

I nagle wszystko stało się jasne. Dotarło do niej, że cały czas instynktownie śledzi jego ruchy; część jej umysłu wciąż tkwiła w przeszłości, o której tak usilnie starała się zapomnieć, i obserwowała intruza. Biegł w tym samym rytmie co ona. Nie wyprzedził jej, bo nie o to mu chodziło.

Zaczęła uciekać. Przyspieszyła gwałtownie; nogi niosły ją lekko, pędziła jak wiatr. Rośliny po bokach ścieżki rozmazywały się jej w oczach, ale tupot za plecami nie cichł ani na chwilę. Facet też był szybki. Liz bała się odwrócić - mogłaby się wtedy potknąć i spaść z urwiska.

Skręciła z wydeptanej ścieżki i po gęstej trawie i kamieniach pobiegła ku łagodnemu zboczku nad laguną, gdy nagle z przerażeniem poczula gorący oddech na karku. Próbowwała jeszcze przyspieszyć, ale już nie była w stanie. Musiała stanąć do walki.

Odwracała się, gdy mężczyzna chwycił ją w pól, uniósł w powietrze i odwrócił w stronę oceanu. Horyzont w oczach zdyszanej Liz nagle się przekrzywił. Uderzyła łokciem w tył i napastnik stęknął z bólu. Trafiła go w muskularną pierś, nie dość mocno jednak, żeby zrobić mu krzywdę; był od niej wyższy i znacznie silniejszy. Szarpiąc się, zdołała kątem oka dostrzec jego twarz: masywna szczęka, zapadnięte policzki, krótki, zadarty nos, okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban, usta zaciśnięte w wąską, obojętną linię.

Rozpaczliwie wyrznęła go drugim łokciem w bark i pięścią - na oślep, przez ramię - w szyję. Za późno. Niczym silne, znudzone zabawą dziecko odepchnął ją mocno i cofnął się na bezpieczną odległość.

Straciła równowagę i pofrunęła w powietrzu, bezradnie młócąc rękami. Z jej otwartych ust dobył się zwierzęcy, pierwotny krzyk przerażenia. Zanim zdążyła się zorientować, że krzyczy, łoskot fal zagłuszył wszystkie dźwięki.

Spadła na krawędź urwiska. Nogi zsunęły się jej w przerażającą, bezdenną przepaść. Miotając się rozpaczliwie, chwytala się kęp trawy, które przez chwilę utrzymywały jej ciężar, zanim wyrwała je z korzeniami. Ale spowolniła upadek i zatrzymała się na ścianie klifu. Przestała spadać. Na razie.

Kręciło się jej w głowie, paraliżował ją strach, gdy desperacko chwyciła się najdrobniejszych krzewinek i skalnych występów, jednocześnie szukając oparcia dla nóg. Nie znalazła go jednak i nieuchronnie zsuwała się coraz niżej. Ostre kamienie darły jej koszulkę i szorty, haratały ręce, piersi, brzuch i nogi. Bolesne zadrapania piekły od potu i nie pozwalały się skupić.

Mało brakowało, żeby zsunęła się obok cherlawego drzewka, które wyrosło w skalnej szczelinie. W ostatniej chwili chwyciła się go oburącz - a ono jakimś cudem utrzymało jej ciężar. Zawisała, usiłując przycisnąć się do skały, bez oparcia pod stopami. Zimne podmuchy wiatru siekły mokrą od potu skórę.

Czas się zatrzymał. Była poobijana, wyczerpana, zniechęcona i boleśnie świadoma faktu, że jeden fałszywy ruch może doprowadzić do upadku; sekunda nieuwagi mogła ją kosztować życie.

Próbowała zdławić narastającą panikę, sięgnąć do rezerw energii, gdy usłyszała w głowie głos: Dasz radę. Powtórzyła te słowa - i nagle zrozumiała, że faktycznie da radę. Musi się tylko skoncentrować.

Opanowała nerwy, skupiła się, zapomniała o bólu i siniakach. Wykręcając szyję, zerknęła do góry, ale nie widziała krawędzi klifu. Wiedziała zresztą, że nie byłaby w stanie się na nią wspiąć.

Drzewko zatrzeszczało i wygięło się złowrogo.

Spojrzała w dół: urwisko opadało pionowo przez dobrych dziesięć metrów, a na plaży nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Fale biły wściekle o ląd, ale przynajmniej w tym miejscu brzeg był piaszczysty, nie skalisty.

Wypatrzyła wąziutki występ, od którego dzieliły ją jakieś trzy metry. Przekładając dłonie, zaczęła zsuwać się po pniu wygiętego drzewka. W końcu czubkami palców namacała mikroskopijny stopień. W tej samej chwili korzenie puściły i z góry posypała się struga piasku oraz drobnych kamyków. Liz puściła wąty pień, zachwiała się, złapała równowagę i przyłgnęła na płask do ściany urwiska. Ból stał się nagle nie do zniesienia. Odetchnęła głęboko i wypchnęła go poza granice świadomości.

Trochę niżej znajdowała się następna wąska półeczka. Ostrożnie, czepiając się wszystkich nierówności, wątych krzaczków i kęp trawy, zaczęła posuwać się w dół. Centymetr po centymetrze. Czując oparcie, odważyła się znów spojrzeć pod nogi: dostrzegła trzecią półkę, na której mogłaby oprzeć obie stopy. Posuwając się powoli, ale uparcie do przodu, można osiągnąć każdy cel.

Następny postój. Stała wygodniej i zerknęła w dół: zostały jej jeszcze cztery, może pięć metrów. Wysoka fala zalała piasek i rozbiła się o skałę. Bryzgi piany prawie dosięgły Liz, a ona uznała, że w takim razie znalazła się już dość nisko: oceniła dystans, ugięła kolana, rozluźniła mięśnie i skoczyła.

Z bijącym sercem wylądowała na piasku, płosząc morskie ptaki. Ich płaczliwy krzyk szybko ucichł w oddali. Liz tkwiła nieruchomo, z dłońmi w piasku, dysząc ciężko.

Kiedy wreszcie piana niemal liznęła jej stopy, otarła pot z twarzy i zaczęła analizować sytuację. Nie wierzyła, że padła ofiarą przypadkowego ataku szaleńca. To by nie miało sensu. Tym bardziej że drań ją przecież śledził. Chciał ją zabić - i prawie mu się udało. Ale dlaczego próbował to zrobić właśnie tutaj? Dlaczego akurat teraz?

Wzdrygnęła się na wspomnienie dobrze zaplanowanego ataku, żelaznego uścisku rąk napastnika i własnej bezradności. Wstała, otrzepała się z piasku i ruszyła z powrotem do kampusu. Ogarnęło ją najpierw rozdrażnienie, potem złość. Zaczęła biec. Czyżby w końcu dopadły ją upiory przeszłości?

3.

Szybkim krokiem weszła do gmachu Wydziału Psychologii i skręciła w korytarz. Naprzeciwko niej szła zamyślona studentka. W rękach trzymała książki, wzrokiem błędziła gdzieś daleko - dopóki nie zauważyła Liz, bo wtedy oczy zrobiły się jej okrągłe jak spodki.

- Pani profesor... Co się pani stało?

- Nic takiego - odparła beztrąsko Liz. - Przewróciłam się przy joggingu.

Studenci, książki, wykładowcy... To było jej życie, cudowny, inspirujący świat nauki, który szczerze pokochała. Uczyła się i wykladała o przemocy, ale sama się od niej odcięła. Przeszłość została zamknięta. Liz była teraz zupełnie innym człowiekiem.

Otwierając drzwi do gabinetu, zastanawiała się już, co powie, kiedy zadzwoni na policję. Gdy jednak podeszła do telefonu, zorientowała się, że coś jest nie tak. Przystanęła za biurkiem. Pokój przypominał wiecznie zmieniający się kalejdoskop książek, artykułów, gazet, taśm i zdjęć, korespondencji i materiałów naukowych wszelkiego rodzaju. Poza nią nikt - włącznie z Kirkiem - nie był w stanie ogarnąć tego chaosu. Powiodła dookoła badawczym spojrzeniem i ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że wciąż ma doskonałą pamięć wzrokową.

Wszystko było na swoim miejscu, więc najwyraźniej wyobraźnia płatała jej figle. Zaklęła głośno, sięgnęła po słuchawkę - i zamarła. Na automatycznej sekretarce migła lampka.

Włączyła odtwarzanie.

- **Wiadomość z godziny dziesiątej trzydzieści** - poinformował ją automat.

Dzwonił Shay Babcock, producent jej serialu. Ten głos - hollywoodzką mieszanekę konspiracyjnego szeptu i gadki pierwszorzędneho oszusta - wszędzie by rozpoznała.

- **Siemanko, Liz. Co u ciebie? Bo ja mam złe wieści. Wygląda na to, że chwilowo wypadliśmy z obiegu. Compass Broadcasting przekłada emisje *Sekretów zimnej wojny* na nowy sezon. Może nawet na później. Przykro mi, mała.**

- No nie! - Liz opadła na fotel.

Shay mówił dalej, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia:

- **Wydzwaniałem do nich przez pół dnia, niestety od tych na samym dole niczego nie można się dowiedzieć. Sam tego nie rozumiem. Ale daję słowo, nie odpuszczę. Robię różne programy, ale ten lubię najbardziej. I mocno się w niego zaangażowałem. Bo zimna wojna to nie przelewki. Te tłumoki przed telewizorami muszą się dowiedzieć, że trwa do dziś. Jak będziesz miała wolną chwilę, przedzwoń, pogadamy. Na razie.** - Automat się wyłączył.

Długą chwilę siedziała nieruchomo. Gdyby nie fakt, że dopiero co próbowano ją zamordować, z pewnością trzęsłaby się ze złości.

Odsłuchiwała wiadomość jeszcze raz. Co to za bzdura, żeby w ostatniej chwili odwoływać emisję! Najpierw Compass zainwestował w zakup praw autorskich do wszystkich materiałów, w tym także do jej starych programów w sieciach kablowych, a potem przeznaczył fortunę na promocję. Wszystko szło jak po maśle, podniósł się szmerek w mediach. Udzieliła wywiadu nie tylko „TV Guide”, ale także „People”, „Entertainment Weekly”, a nawet - o dziwo - „GQ”. W dodatku serial miał być nadawany w niedzielę wieczorem, zaraz po popularnym *60 minutes*; tamten show szedł wprawdzie na innym kanale, ale czas emisji był dobrany idealnie. Zapowiadał się wielki sukces i wszystko wskazywało na to, że stanie się dla Compassa żyłą złota. Liz była zachwycona perspektywą dotarcia do milionów widzów.

- Na Boga, Liz! - Kirk stanął w drzwiach i zbladł jak ściana. Wszedł, jak zwykle, bez pukania. - Co ci się stało?! Jesteś ranna? Pewnie, że jesteś, a ja plotę bez sensu...

Podszedł bliżej.

Liz spojrzała na siebie: koszulkę miała w strzępach, zadrapania i brud pokrywały odsłonięte ręce i nogi, na brzuchu dojrzał fioletowy siniak. Nie wiedziała, jak wygląda jej twarz, ale domyślała się, że niezbyt pięknie.

- Nic mi nie jest - stwierdziła. - Zaraz doprowadzę się do porządku, ale najpierw zadzwonię na policję. Jakiś pieprzony biegacz zepchnął mnie z urwiska.

- Jak to: zepchnął cię? Jaki biegacz?!

- Nie mam pojęcia.

Podniosła słuchawkę telefonu; Kirk zmarszczył brwi.

- Policja może poczekać. Najpierw pójdziesz do lekarza.

- Nie, serio, nic mi nie jest. - Zaczęła wybierać numer. - Nic nie zламаłam.

Kirk błyskawicznie wyrwał jej słuchawkę z ręki. Poczzerwieniał, nawet piegi na jego twarzy zniknęły pod rumieńcem gniewu - albo strachu.

- Powiedziałem: do lekarza. Możesz być poharatana znacznie poważniej, niż ci się wydaje. Rany, jaka ty jesteś uparta. Chodź, zawiozę cię i sam zadzwonię na policję.

*

Kiedy lekarz w Montecito zbadał ją, opatrzył i poinformował, że poza drobnymi skaleczeniami nic jej nie dolega, Liz wyszła z zastępcą szeryfa Harrym Craine'em do parku koło lecznicy. Usiedli na ławce. Kirk poszedł do księgami Tecolote odebrać zamówiony wcześniej najnowszy thriller z serii Covert-One.

Liz opisała przebieg napadu.

- Ile miał lat? - zapytał Craine. - Jak wyglądał?

Był krępy męczyzną o chrypliwym głosie i zmęczonych oczach. Liz domyślała się, że ma najwyżej czterdzieści kilka lat, ale sprawiał wrażenie człowieka, który napatrzył się już w życiu na złych ludzi i ich jeszcze gorsze sprawy.

- Był biały, miał zadarty nos, masywną szczękę i wydatne kości policzkowe. Ani śladu obwisłej skóry, muskularny, tak na oko ze trzydzieści, trzydzieści parę lat. Szatyn, włosy z popielatym odcieniem, krótko ostrzyżone... Ze cztery centymetry. Wyglądał na kogoś, kto dużo biega: umięśnione nogi, szczupła klatka piersiowa. Wyższy ode mnie, miał z metr osiemdziesiąt pięć. Nosił ray-bany, baseballówkę, niebieskie szorty i koszulkę. I buty do biegania, białe z granatowymi paskami. Nike. Na ubraniu żadnych napisów ani znaków firmowych. Specjalnie tak się ubrał, żeby nie dało się go rozpoznać.

Szeryf podniósł wzrok znad notatek i spojrzał na nią badawczo.

- Ma pani bystre oko.

- Dziękuję. Staralam się jak najwięcej zapamiętać, żeby móc go opisać.

- Większość ludzi nie zapamiętałaby dziesięciu procent tego, co pani. A i za te dziesięć procent bym nie ręczył. Przeciętny człowiek jest marnym obserwatorem.

Liz wzruszyła ramionami.

- Chciałabym powiedzieć panu coś więcej, ale to się stało tak szybko...

- Wyobrażam sobie. - Ton głosu szeryfa nie zmienił się, ale spojrzenie było podejrzliwe. - Zaciekawilo mnie pani ostatnie stwierdzenie: ubrany w taki sposób, żeby nie dało się go rozpoznać.

Odsłoniła się bardziej, niż by sobie tego życzyła.

- Tak sobie wykombinowałam. Dedukowanie to mój zawód. Jestem wykładowcą uniwersyteckim.

- Tak, mówiła pani. - Pokiwał głową. - No i stworzyła pani serial telewizyjny. Nie widziałem ani jednego odcinka, ale chyba coś o nim słyszałem. Czym się pani poza tym zajmowała? Przecież nie zawsze tu pani wykladała. Musiała się pani gdzieś urodzić, dorosnąć... Czy jakieś wydarzenia z przeszłości mogłyby tłumaczyć tę napaść?

- Nie, szeryfie. Jedyni groźni ludzie, którym poświęcam swój czas, to studenci walczący o lepszą ocenę i szefostwo stacji telewizyjnej, które próbuje ingerować w mój program.

Craine pokiwał głową i zamknął notes.

- Cieszę się, że nic się pani nie stało. Bo tak twierdzi lekarz. Właściwie to jestem pod wrażeniem, że wyszła pani z tego upadku bez szwanku.

Liz wzruszyła ramionami.

- Przytrzymałam się drzewka i jakoś mi się udało. Po prostu miałam szczęście - dodała bez przekonania.

- Mhm. - Spojrzał na zegarek. - Gdzie panią dziś znajdę?

- U mnie w gabinecie. Na wizytówce ma pan numer. A wieczorem idę na przyjęcie do dziekana Quentina. Jego dom stoi nad Mission Canyon. Ma pan już numer mojej komórki. Byłabym wdzięczna, gdyby dał mi pan znać, kiedy się czegoś dowie. Czegokolwiek.

Craine skinął głową, wstał i podszedł do samochodu.

- Odezwę się.

*

O pierwszej była już z powrotem w swoim pokoju na uniwersytecie. Stała przy oknie ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Słońce padało na niskie zabudowania, migotało w liściach palm i innych drzew, gęsto porastających żyzną dolinę Goleta. Dalej ciągnęły się liliowe podnóża potężnych gór Santa Ynez, których szczyty ginęły w chmurach. Podziwiając

tę rozległą panoramę, Liz nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Zwykle ten widok napawał ją spokojem, przypominał, że czas działa na jej korzyść. Teraz jednak, czekając, aż producent do niej oddzwoni, widziała za oknem tylko niepewność i niepokój.

Cofnęła się i już miała odwrócić się do biurka, gdy zobaczyła swoje odbicie w szklanej tafli. Miała dziwne wrażenie déjà vu, widząc własną twarz nałożoną na ukochany krajobraz. Znowu poczuła się jak intruz, ktoś z zewnątrz, na zawsze skazany na podglądanie innych zza okna. Po napadzie była jednocześnie roztrzęsiona i wściekła, że nie potrafi się uspokoić. Kiedyś miała więcej zimnej krwi.

W dodatku napad podważył sens jej nowego stosunku do przemocy, który wykształciła w sobie podczas długoletniej pracy naukowej. Zatraskany wyraz twarzy doskonale wyrażał jej wątpliwości. Przyjrzała się sobie: mocno zarysowane kości policzkowe, wydatny nos, pieprzyk nad prawym kącikiem ust - i czujne, pałające gniewem, piwne oczy.

Ale tym razem to włosy przyciągnęły jej uwagę. Zawsze lubiła ich kolor - kasztanowy, ciemnobrązowy z rudawym odcieniem. Rano, po wyszczotkowaniu, spływały jej falą na ramiona, swobodne jak jej dusza. Teraz zaś były w wielkim nieładzie. Przebrała się wprawdzie w bluzkę i spodnie, które włożyła rano na wykład, ale zapomniała się uczesać. Dobrze, że przynajmniej twarz miała czystą - umyła się jeszcze u lekarza. Mimo że odbicie było blade, wyraźnie widziała swoją opaloną cerę, ciemne oczy, lekko zadarty nos, który ktoś kiedyś niefortunnie porównał do skoczni narciarskiej, szerokie usta. Uśmiechnęła się z przymusem. Wcale nie było jej do śmiechu.

Zadzwonił telefon. Chwyciła słuchawkę i usiadła w fotelu.

Shay Babcock nie dał jej dojść do słowa. Powtórzył nagrany na sekretarce wiadomość i dodał:

- Od tamtej pory cały czas wiszę na telefonie i boksuję się z tymi prymitywami. Wiem, że to dla ciebie straszny cios, mała. Cholera, sam miałem nadzieję wypłynąć na tym serialu.

- Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Shay nie odpowiedział od razu i Liz wyczuła, że jest na nią zły. Ich stosunki nigdy nie układały się najlepiej: on nie znosił, kiedy go o coś wypytywano, a ona zawsze chciała wiedzieć jak, kiedy i dlaczego. Tak bardzo zależało mu na serialu o zimnej wojnie, że był gotów ścierpieć jej obecność, ona zaś chciała dotrzeć do masowej publiczności, do czego potrzebowała takiego jak on telewizyjnego wyjadacza. Współpraca przynosiła pożądane efekty, ale do tej pory ich układ nie został poddany żadnej poważnej próbie.

- To co zwykle - odparł w końcu. - Szefowie telewizji nie słyną z odwagi. I trochę trudno im się dziwić, bo robotę mają równie pewną jak prognoza pogody. Bruce Fontana, szef rozrywki w *Compassie*, poinformował mnie, że wczoraj wieczorem klamka zapadła. Naturalnie nie przekazał mi tego osobiście, tylko przez sekretarkę, i to dopiero dziś rano. Od razu do niego poszedłem. Musiałem czekać dwie godziny, ale kiedy zrozumiał, że nie dam się spławić, zgodził się mnie wreszcie przyjąć. Jadł lunch i cały czas gadał przez telefon. Pokazowo mnie upokorzył. Kiedy nie chce im się nawet oderwać od telefonu, żeby ci powiedzieć „spadaj”, to już wiesz, że trumnę spuścili do grobu, a ty jesteś trupem, który w niej leży. Wróciłem do siebie i zadzwoniłem w parę miejsc, próbując obejść Bruce’a, ale nic z tego. Normalka.

- Pójdziemy z serialem gdzie indziej. Do innej sieci.

- Nic z tego. Jesteśmy związani z *Compassem*. To znaczy, moglibyśmy złamać umowę, ale trzeba by zapłacić odszkodowanie. A ja nie mam takiej kasy. I jeszcze wydatki na prawników... Na samą myśl o tym ciśnienie mi skacze.

- Ale czegoś udało ci się dowiedzieć, prawda?

Shay wyrecytował listę nazwisk, którą Liz zapisała na kartce.

- Do diabła, Liz... - Miała wrażenie, że jest wykończony. - Dalej nie ma już do kogo uderzyć.

- Zawsze się ktoś znajdzie. Na przykład prezes firmy.

- Próbowałem. - Powtórzył jedno z nazwisk. - Ja nie żartuję, mała. Opuść sobie.

- Nie mogę.

- Jak chcesz. Jeśli uda ci się coś odkręcić, daj znać. A na razie muszę zająć się innymi sprawami. Nie chciałbym, żeby to niepowodzenie źle się na nich odbiło. Rozumiesz, prawda?

Liz się skrzywiła. Wcale nie chciała go rozumieć, ale słyszała lęk w jego głosie. Naprawdę się bał, że jeśli będzie naciskać w kwestii *Zimnej wojny*, inne jego projekty mogą uciec. W brutalnym świecie telewizji nie ma miejsca dla wichrzycieli.

- Tylko się nie przepracuj, Shay - odparła, próbując dodać mu pewności siebie. - Załatwię tę sprawę, a wtedy będziesz mi znowu potrzebny.

- Jasne. Niepoprawna z ciebie optymistka. Powodzenia, mała. Ciao.

W słuchawce zapadła cisza.

*

Liz usiadła do telefonu, szukając osoby, która mogłaby cofnąć tę idiotyczną decyzję. W notatniku miała mnóstwo nazwisk z czasów, gdy serial zapowiadał się na bombę w programie. Obdzwoiła wszystkich.

- Liz! Fajnie, że dzwonisz - przywitał ją szef działu produkcji. - Nie, nie słyszałem... Naprawdę go zdjęli? Ale dlaczego?

Dyrektor działu reklamy jęknął z rozpaczą.

- Zawsze dowiaduję się ostatni.

Nikt jej nie pomógł. Nikt nic nie wiedział. Spodziewała się, że trafi na ścianę, ale liczyła na to, że uda się ją jakoś obejść. Zdegustowana weszła na stronę internetową Compass Broadcasting i dowiedziała się, że właścicielem firmy jest InterDirections, koncern medialny, którym zarządza słynny Nicholas Inglethorpe.

A to już było interesujące. Ciekawe, czy medialny magnat wie o tym, że zatrudnia kretynów. Najwyraźniej nie. Należy go więc w tej kwestii oświecić.

Znalazła numer telefonu światowej centrali InterDirections w Los Angeles i zadzwoniła. Po drodze wkurzyła wielu ludzi, żeby w końcu połączyć się z sekretarką Inglethorpe'a. I znów trafiła na tę samą nieprzeniknioną ścianę, chociaż tym razem uzyskała uprzejme wytłumaczenie:

- Przykro mi, pani Sansborough, ale pan Inglethorpe jest teraz w Europie. Wróci w przyszłym tygodniu. Mam mu coś przekazać?

Liz zostawiła wiadomość i usiadła wygodnie w fotelu. Przeciągnęła się i pokręciła głową na wszystkie strony, żeby się rozluźnić i zapomnieć o narastającej złości, która nie pozwalała jej się skupić. Musiała być w szczytowej formie, planując kampanię uświadamiającą dla Inglethorpe'a. Jej wzrok padł na szafkę z dokumentami. Na zamkach dwóch wbudowanych w nią szuflad dostrzegła wyraźne rysy, których wcześniej na pewno tam nie było.

Zerwała się na równe nogi i dwoma szybkimi krokami pokonała odległość dzielącą ją od szafki. Obejrzała zamki z bliska: ktoś włamał się do szuflad. Pociągnęła dolną - i wysunęła ją, chociaż powinna być zamknięta na klucz. W środku leżała jej aktówka. Wyjęła ją i przejrzała zawartość. Nic nie zginęło. Wysunęła drugą szufladę, również otwartą, i przebiegła wzrokiem po fiskach akt. Z sercem w gardle przeczytała je po raz drugi: zniknęły teczki z pomysłami na nowe odcinki *Zimnej wojny*.

Pamiętała, że włożyła je do szuflady tuż przed tym, jak wyszła pobiegać. I że zamknęła szufladę na klucz. Otworzyła drzwi wejściowe: na ich zamku również widniały rysy. Rozumiała już dlaczego, kiedy wróciła, od razu coś ją zaniepokoiło: jej podświadomość zarejestrowała ślady włamania.

Wszystko stało się jasne. Nie dość, że próbowano ją zamordować, to jeszcze w tym samym czasie ktoś włamał się do jej pokoju i ukraść dokumenty.

Zamknęła drzwi i wróciła do telefonu. Przy odrobinie szczęścia mogłaby złapać Harry'ego Craine'a. Przypomniała sobie spojrzenie starego wygi i chrapliwy, znużony głos. Może szeryf się czegoś dowiedział. Zadzwoiła i z ulgą przyjęła informację, że może z nim rozmawiać.

- Czym mogę służyć, pani... Sansborough, tak?

To był inny głos. Nie ochrypli głos starego wygi. Ten Craine był młody, energiczny i pełen entuzjazmu.

- Czy rozmawiam z panem Harrym Craine'em, zastępcą szeryfa? - zapytała Liz, a kiedy uzyskała odpowiedź twierdzącą, mówiła dalej: - Zostałam dziś napadnięta i zgłosiłam ten fakt zastępcy szeryfa. Myślałam, że to był pan. W każdym razie ten człowiek przyjechał do gabinetu lekarskiego w Montecito, gdzie byłam opatrywana.

- Od tygodnia nie byłem w Montecito. Musiała pani pomylić nazwisko. To się zdarza. Nie ma pani pewnie jego wizytówki?

- Nie. - Szlag by to trafił! Zapomniała poprosić. Kolejny błąd.

Zrelacjonowała Craine'owi przebieg napaści.

- Były w nią zamieszane co najmniej dwie osoby - dodała na zakończenie. - Mężczyzna, który zepchnął mnie z urwiska, i jego współnik, który w tym samym czasie włamał się do mojego gabinetu na uniwersytecie i ukradł część moich dokumentów do pracy naukowej.

- Sprawdzę w bazie danych - zaproponował natychmiast Craine. - Wprowadzamy do niej wszystkie meldunki o próbie zabójstwa. Proszę się nie martwić, zaraz wszystko wyjaśnimy.

- Czy dowie się pan z bazy, kto spisał moje zeznania w Montecito?

- Oczywiście. Poznam też nazwisko oficera prowadzącego sprawę, jeśli nie jest to jedna i ta sama osoba.

Liz czekała, nie odkładając słuchawki. Myślała o napadzie i włamaniu. Coś musiało łączyć te wydarzenia, inaczej zbieg okoliczności byłby niewiarygodny. Tylko co?

- Pani Sansborough?

- Tak?

Głos Harry'ego Craine'a wyraźnie się zmienił, dały się w nim słyszeć napięcie i nieufność.

- Dzwoniłem na uniwersytet. Potwierdzili, że faktycznie pani u nich pracuje. Sprawdziłem też, z jakiego numeru pani dzwoni, i dowiedziałem się, że od siebie z pokoju.

Dlatego jestem skłonny uwierzyć, że jest pani osobą, za którą się podaje. Ale wracając do porannego napadu... O której zepchnięto panią z urwiska?

- Około wpół do jedenastej. Ta godzina powinna być podana w zgłoszeniu.

Co się dzieje, do cholery?

- Powinna. Kiedy pani do nas dzwoniła?

- Nie ja. Dzwonił mój kolega, profesor Kirk Tedesco, kiedy byłam u lekarza. Musiało być wtedy wpół do dwunastej, może za piętnaście. Po jego telefonie przyjechał ten człowiek od was.

- To ciekawe... Zwłaszcza że w bazie nie ma śladu po takim zgłoszeniu. Więc tak się zastanawiam... Czy pani przypadkiem nie przeprowadza na nas jakiegoś eksperymentu w związku z tym programem w telewizji? O to chodzi?

Liz osłupiała.

- Nie macie nagrania telefonu Kirka? Profesora Kirka Tedesco?

- Nie. Nie ma śladu po tym, że ktoś panią napadł, ani dziś, ani w przeszłości. Chyba powinna pani być ze mną szczerą. O co chodzi?

Zupełnie ją zatkało.

- To jakiś obłąd. Ktoś u was najwyraźniej albo zapodział, albo zignorował zgłoszenie profesora Tedesco. Postawmy sprawę jasno: ja naprawdę zostałam napadnięta. Gdyby pogrzebał pan w mojej przeszłości, wiedziałby pan, że potrafię odróżnić napaść od wypadku i że nie jestem jakąś jajogłową histeryczką z uniwersytetu! Proszę porozmawiać z profesorem Tedesco. I z moim lekarzem. Nazywa się Wendell D. Klossner.

- Widzieli, jak pani spadła z klifu?

- Nikt tego nie widział, poza mną i człowiekiem, który mnie zepchnął.

- Czyli mogą tylko potwierdzić, że była pani poobijana?

- Owszem - odparła podniesionym głosem. - Dlaczego miałabym kłamać?!

- Nie wiem, pani Sansborough. A dlaczego ludzie kłamią? - zapytał Craine z ledwie ukrywanym rozdrażnieniem w głosie. - Codziennie odbieramy fałszywe zgłoszenia, i to nie tylko od czubków i ćpunów. Dzwonią zwykli ludzie. Może chcą sobie zapewnić alibi, bo mają podejrzanego małżonka. Może zamierzają wyłudzić odszkodowanie. Nie twierdzę, że tak jest w pani przypadku, ale nawet jeśli profesor Tedesco i doktor Klossner potwierdzą, że widzieli panią poranioną, to jeszcze nie znaczy, że ktoś próbował panią zabić. - Westchnął ciężko. - Sprawdzę, jak to było. Nic więcej nie mogę zrobić.

- Sądząc po pańskim głosie, przy takim zaangażowaniu niewiele pan wskóra - odparła kąśliwie Liz.

- Powiedzmy, że faktycznie dostaliśmy zgłoszenie - odezwał się Craine po chwili milczenia. - Powiedzmy, że ktoś go nie zanotował albo je zlekceważył. Ale skąd się wziął fałszywy Harry Craine? Skąd wiedział o telefonie profesora Tedesco albo o samej napaści? I gdzie panią znajdzie?

Liz kurczowo zacisnęła palce na słuchawce. Skąd wiedział? Zmartwiała, kiedy w głowie zaczęła się jej klarować odpowiedź na to pytanie. Starając się zachować spokój, podziękowała zastępcy szeryfa i odłożyła słuchawkę.

Roztrzęsiona podparła głowę dłońmi. Poczula falę strachu. Może w sprawę był zamieszany ktoś z policji. A może zabójca jechał za nią do gabinetu Klossnera, a potem przechwyił i przełączył telefon Kirka. Każda z tych odpowiedzi oznaczała, że ma do czynienia z organizacją - zręczną, wprawną, doświadczoną i skuteczną. Organizacją, która chce ją zabić.

4.

Bratysława

Było po dziewiątej wieczorem. Powietrze przesycił mulisty zapach wód Dunaju. Gdzieś z daleka dobiegł ryk syreny rzecznej barki, snop światła szperacza umieszczonego na motorówce przeciął czarne niebo. Ubrany w smoking Blase Kusterle stał pod drzewem na placu Hviezdoslava, gdzie przed amerykańską ambasadą w świetle latarni gromadzili się demonstranci. W palcach obracał cygaro. Strasznie chciało mu się palić, ale chwilowo nie miał na to czasu.

W ambasadzie paliły się wszystkie światła: odbywało się przyjęcie powitalne na cześć Stanforda Weavera, nowego prezesa Banku Światowego. Blase bez trudu mógł sobie wyobrazić, że słyszy dyskretną muzykę, brzęk kieliszków z szampanem i pozbawioną sensu gadkę szmatkę, z rzadka przerywaną wybrykiem podpitego gościa, który powie komuś prawdę w oczy - albo kogoś obrazi. A czasem jedno i drugie jednocześnie.

Na zewnątrz wyglądało to zupełnie inaczej. Demonstrantów zjawilo się znacznie więcej, niż można się było spodziewać. Stłoczyli się na granicy zajmowanego przez ambasadę terenu, unikając kontaktu ze stojącymi na warcie amerykańskimi marines. Z

niepokojem patrzył, jak od strony ambasady nadbiegają kolejni żołnierze z karabinami gotowymi do strzału.

Tłum jednak po prostu się cofnął i przyglądał, jak nowe siły zajmują pozycje. Na plac dotarła kolejna fala uczestników protestu - mężczyzn, kobiet i młodzieży; podążali pieszo, jechali na rowerach, wysypywali się z małych škod, zardzewiałych fordów i nielicznych żółtych taksówek, które, gdy tylko pasażerowie wysiedli, uciekały z placu jak spłoszone króliki.

Nowo przybyli witali się ze znajomymi po słowacku i czesku - *Ahoj, Čao* - niektórzy bardziej oficjalnie, po niemiecku: *Guten Abend*. Słyszało się nawet staromodne amerykańskie: „Stary, co tu się dzieje?” W plecakach nieśli podręczne apteczki i plastikowe butelki z octem. Te butelki to był zły znak. Demonstranci spodziewali się kłopotów. Nasączona octem chustka na twarzy osłabia działanie gazu łzawiącego.

Wrzawa narastała, połączone głosy dudniły i niosły się daleko w wilgotnym powietrzu. Demonstranci zacisnęli pierścień wokół ambasady. Wymachiwali plakatami i transparentami w najróżniejszych językach; najwięcej było słowackich, niemieckich i angielskich:

GLOBALIZACJA = GŁÓD

RATUJECIE NASZE LASY I RZEKI

WSPOMAGAJCIE NARODY, ZAMIAST JE NISZCZYĆ

Byli wśród nich socjaliści, anarchoiści i zwyczajni, odwieczni nacjonaliści. Wszyscy protestowali przeciw skutkom globalizacji, chociaż z różnych powodów. Socjalistom zależało na tym, żeby państwo sprawowało wszechkontrolę. Anarchoiści nie chcieli słyszeć o żadnej kontroli. A nacjonalistom chodziło o umocnienie granic. Tylko takie zjawisko jak globalizacja, którą zgodnie postrzegali jako zamach na swoją wolność, mogło ich zjednoczyć. Naturalnie nie brakło też obrońców środowiska i związkowców, ale dla nich jak zwykle idea liczyła się bardziej niż przynależność partyjna.

Blase dostrzegł Tomasza, który przybył na wiec z żoną Marią. Oboje byli po pięćdziesiątce i mieli za złe nowym władzom, że zniosły rozbudowane przez komunistów przywileje socjalne. Tomasz wymachiwał tablicą z napisem LUDZIE ZAMIAST ZYSKÓW. Obok stał Lukas; był po trzydziestce i stracił pracę, kiedy pod wpływem tendencji globalizacyjnych sprywatyzowano młyn, w którym pracował jako mechanik. Po roku młyn zbankrutował. Od tamtej pory Lukas nie mógł znaleźć stałej pracy.

Gdziekolwiek Blase spojrzał, widział gospodynie domowe, artystów, pisarzy, nauczycieli, rolników - tych samych ludzi, których spotykał na wiecach i demonstracjach

antyglobalistów. Wielu z nich kierowało się niezłomną etyką demokracji i wiarą w lepszy, doskonalszy świat. Z zapałem walczyli o sprawiedliwość społeczną i ochronę środowiska.

Oni nie byli niczym niezwykłym. Blase'a niepokoił przyjazdni. Zebrało się ich co najmniej pięć tysięcy, a z każdą chwilą przybywali nowi. Jak na Bratysławę, była to liczba wręcz astronomiczna. Przeciętny cudzoziemiec nie interesował się stolicą Słowacji, która nie była ani europejskim centrum rozrywki, ani miejscem regularnych konfrontacji z policją.

Sądząc po twarzach, które rozpoznawał, i strzępkach rozmów, które do niego docierały, obcy pochodzili głównie ze złotego trójkąta Europy Środkowej - z Wiednia, Budapesztu i Pragi - i przyjechali zorganizowani, jak zwykle, w „grupy celowe” liczące od pięciu do piętnastu osób. Niektórzy z nich udzielali się jeszcze przed manifestacją - musieli na przykład wybadać, do których więzień trafią ewentualni aresztowani. Inni rozdawali wodę uczestnikom protestu i dokumentowali na zdjęciach przebieg demonstracji. A jeszcze inni mieli przejąć obowiązki później: opiekę nad dziećmi, psami, kotami i kwiatkami tych, którzy zostali ranni lub trafili do więzienia.

Blase przekrzywił głowę i nadstawił ucha. Czworo młodych ludzi omawiało zaplanowaną na wieczór „akcję”. Ten, który właśnie mówił, zaliczył szkolenie z praw obywatelskich na Słowacji i zasad biernego oporu. Ta wiedza mogła się przydać, gdyby demonstracja przybrała zły obrót.

Zaniepokojony Blase przetrwał tę informację, gdy nagle wypatrzył w tłumie Vierę Jozef. Jedwabiste, czarne, gęste włosy opadały jej na ramiona. W jednej ręce niosła wiadro z przykrywką, w drugiej sportową torbę. Szła ze wzrokiem utkwionym w surowy gmach ambasady. W jasnej letniej sukience nad kolana przyciągała liczne spojrzenia, kiedy ze stanowczym wyrazem twarzy przeciskała się przez zalany księżycową poświatą tłum. Była zdeklarowaną przeciwniczką globalizacji. Blase już wcześniej z nią sypiał i miał nadzieję na dalszy ciąg romantycznej znajomości.

Za Vierą przepychał się jej brat Johann - ten barczysty górnik spoglądał spode łba na każdego mężczyznę, który choćby musnął Vierę spojrzeniem. Oboje należeli do głównych animatorów ruchu antyglobalizacyjnego w Bratysławie. Johann rozmawiał właśnie z mężczyzną niosącym transparent z napisem Energia atomowa zabija. Blase go nie znał. Szli blisko siebie, zagadani, pogrążeni w rozmowie.

Powiódł wzrokiem po tłumie, próbując wysondować nastroje. Napięcie narastało. Spojrzał na podwójne przeszklone drzwi ambasady, szczelnie zamknięte. Kiedy się odwrócił, pod budynek zajechała furgonetka telewizji Markiza. W biegu wyskoczyło z niej dwóch kamerzystów, już z pracującymi kamerami. Za nimi pognało dwóch reporterów z otwartymi

notesami i długopisami w rękach, a trzech techników zaczęło pospiesznie rozwijać przewody, podłączać mikrofony i resztę sprzętu. Skoro prywatna telewizja przysłała tak dużą ekipę, musi się spodziewać dobrego materiału. A ten przyciągnie następnych dziennikarzy.

Chwilę później na plac z piskiem opon wjechały samochody policji. Funkcjonariusze, którzy się z nich wysypali, poruszali się powoli, spokojnie, jak pewni siebie mordercy. Komunizm upadł prawie piętnaście lat wcześniej, ale gliniarze w całym bloku wschodnim - także w Bratysławie - nadal mieli w sobie coś z pospolitych bandziorów. Szli z pałkami w dłoniach i ponurymi minami, jakby chcieli powiedzieć: Jak mnie ktoś wkurzy, to mu łeb rozwalę.

Oddział szturmowy zajmował powoli pozycje, starając się otoczyć tłum. Pozostali policjanci wyjmowali sznury, pachołki, węże do armatek wodnych i tarcze. Umundurowany kordon odepchnął demonstrantów od ambasady w głąb parku.

Blase Kusterle nie był zachwycony. Viera nie mówiła mu, żeby na ten dzień planowali coś szczególnego: ot, zwykła demonstracja przeciwników Banku Światowego i jego nowego, zamożnego prezesa. Johann również twierdził, że pod ambasadą należy się spodziewać tej samej co zwykle garstki najbardziej zaangażowanych. Zapewnił Blase'a, że nie będzie tam potrzebny.

Ale teraz Blase widział, że albo oboje się mylili, albo celowo go okłamali. Gdyby nie ten przeklęty smoking, który wyróżniał go jako wroga, byłby wśród nich, w tej wzburzonej masie ludzi, tam, gdzie jego miejsce.

W podekscytowanym tłumie podniosła się wrzawa. Nie było słyhać żadnych rozkazów, Blase nie widział też, co sprowokowało demonstrantów, ale masa ludzi skłoniła się jak żywa burzowa chmura. Opływając drzewa i samochody, ludzka fala runęła ku ambasadzie. Przerażający zgiełk narastał. Powietrze zdawało się iskrzyć.

To chyba była ta „akcja”, o której mówili. Wieść o niej rozeszła się z ust do ust.

Odrzucił cygaro i zaczął biec. Ktoś przy ambasadzie włączył megafon i kazał demonstrantom się cofnąć. Aktywiści odpowiedzieli okrzykami. Roztrąbiły się zablokowane na jezdni samochody - i w tej samej chwili pierwszy szereg, najbliższy ambasady, gwałtownie stanął. Przez tłum przebiegła fala jak przez ciało zatrzymanej w biegu stonogi i wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

Blase przepychał się do przodu, zdyszany roztrącał grupki ludzi, aż w końcu dostrzegł Vierę. Kiedy biegła przez otwartą przestrzeń między czołem demonstracji i ambasadą, sukienka kleiła się do jej kształtnych ud. Wszyscy byli zaskoczeni: policjanci faktem, że udało im się powstrzymać napierający tłum, demonstranci widokiem odważnej dziewczyny.

Kiedy zrobił niepewny krok w przód, jeden z marines wrzasnął po angielsku:

- Stój! Nie zbliżaj się!

Blase odwrócił się do niego. Już miał mu powiedzieć, żeby się odpieprzył, kiedy zobaczył, że twarz żołnierza bieleje jak płótno.

Okręcił się na pięcie. Viera zrzuciła pokrywkę wiadra, podniosła je nad głowę i oblała się bursztynowym płynem.

- Nie! - krzyknął ktoś po słowacku. - To benzyna!

- Viera! - ryknął Blase i rzucił się biegiem w jej kierunku. - Co ty wyrabiasz?

Przestań!

- Benzyna! - To słowo poniosło się przez tłum w najróżniejszych językach, powtarzane z coraz większym niedowierzaniem.

- Benzyna! Powstrzymajcie ją!

Blase biegł. Serce waliło mu jak młotem. Nie wierzył własnym oczom. Viera wydawała się taka malutka i bezbronna w otoczeniu demonstrantów, policji i marines, przed górującą nad placem ambasadą. Ale wyraz jej anielskiej twarzy nie pozostawiał wątpliwości: Mam rację. To, co robię, jest słuszne.

- Powstrzymajcie ją! - krzyknął rozpaczliwie po słowacku i zaraz potem po angielsku:

- Niech ją ktoś powstrzyma!

Daremnie. Viera poruszała się błyskawicznie, jakby od dawna ćwiczyła te ruchy. Wyjęła z torby małą lampę lutowniczą, wcisnęła guzik - buchnęły płomienie. Odwróciła lampę dyszą do siebie.

- Viera!

- Powstrzymajcie ją! - krzyknął Johann, przepychając się do przodu. - Nie pozwólcie jej! Pomocy!

Viera stanęła w płomieniach. Przez ułamek sekundy wyglądała jak postać z bajki, jak piękna księżniczka na wieki zatopiona w ognistym kokonie. Ale już spaliła się na niej sukienka, cieniutki materiał wyparował w mgnieniu oka. Półnaga dziewczyna wyciągnęła ręce w stronę protestujących i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Przekrzywiła głowę, jej twarz wyrażała zdumienie.

A potem kłęb szarego dymu buchnął jej z ust. Martwe ciało runęło bokiem na ziemię.

Blase stał jak sparaliżowany. Był tak wstrząśnięty tym, co się stało, że nie zdawał sobie sprawy z narastającego gniewu otaczających go ludzi.

Ciało Viery płonęło. Wiatr pchnął falę ohydnygo odoru w stronę demonstrantów i poniósł ją w noc.

Natychmiast wybuchły zamieszki. Demonstranci runęli na policjantów i marines. Wystrzały z karabinów zabrzmiały jak salwa z dział. Armatki trysnęły wodą, ludzie zaczęli krzyczeć ze strachu. Tłum przewrócił zaparkowany w pobliżu samochód, po nim następny.auta stanęły w ogniu; żółtoczerwone płomienie strzeliły wysoko pod czarne niebo.

Blase'owi przypominała się regularna wojna z przeciwnikami Banku Światowego w Pradze, ale tu było znacznie gorzej. Znalazłszy się w samym środku ludzkiego wiru, próbował przebić się w stronę ciała Viery. Pchał się i roztrącał demonstrantów, gdy nagle poczuł, jak czyjaś ręka wprawnie wsuwa się do tylnej kieszeni jego spodni - i zaraz się z niej wyslizguje. Złapał się za kieszeń i odwrócił, ale nikt w tłumie się nie wyróżniał. Zanim zdążył się zastanowić, czyjaś pięść świsnęła mu koło ucha, a noga nastąpiła na obutą w cienki półbut prawą stopę. Ból przeszył go aż po czubek głowy.

Uchylił się, oddał cios i zaczął przeciskać się dalej. Przed oczami cały czas miał makabryczną scenę samospalenia Viery. Nie widział nic poza tym. Musiał się do niej dostać. Może się pomylił. Może to wszystko mu się przyśniło.

Coś zakłuło go w piersi. Wiedział, że się okłamuje. Pojawiło się więcej policji i dziennikarzy. Blase znów dał się wciągnąć w bezsensowną bójkę, a potem - podobnie jak dziesiątki innych - został aresztowany i wepchnięty do policyjnej furgonetki. Smutny i dręczony wyrzutami sumienia milczał, gdy samochód ruszył w noc.

5.

W głównym komisariacie w Bratysławie królowały stare meble i duch komunistycznej przeszłości. O jedenastej wieczorem szare, ostro oświetlone wnętrza śmierdziały potem i gniewem. Tłumy aresztowanych demonstrantów ledwie się w nich mieściły. Wreszcie przyszła kolej na Blase'a: został spisany i wepchnięty do zbiorowej celi pełnej wściekłych ludzi. Wielu z nich miało otarcia i powierzchowne rany głowy, rąk i nóg, których nikt nie opatrzył. Wezwani przez policję lekarze musieli najpierw zająć się poważniejszymi przypadkami.

W celi panował straszny upał. Nie było klimatyzacji, która schłodziłaby powietrze i rozpalone głowy. Ludzie siedzieli na drewnianych ławkach lub stali stłoczeni na niewielkiej przestrzeni. Adrenalina buzowała im w żyłach, gdy rozmawiali o śmierci Viery Jozef. Jednych złościła jej głupota, innym imponował honorowy akt poświęcenia, wszyscy jednak

zgadzali się, że jej ofiara podkreśla znaczenie ich działań, wynosi je ponad poziom przedstawianych w mediach neandertalskich rozrób na ulicach. Ruch antyglobalistyczny został nobilitowany - przynajmniej na jakiś czas.

Dreńczony żalem i wyrzutami sumienia Blase rozpychał się w ścisku, ignorując podejrzliwe spojrzenia, jakie ściągał jego wymięty smoking, aż znalazł Johanna Jozefa. Brat Viery siedział zgarbiony na ławce, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Na ławce nie było miejsca, ale wściekły wyraz twarzy Blase'a sprawił, że siedzący obok Johanna starszy mężczyzna zerwał się i umknął przed jego spojrzeniem. Blase usiadł.

- Jak mogłeś do tego dopuścić?! - zapytał wzburzony po słowacku. - Niech cię diabli, Johann!

Johann podniósł wzrok. Był krępej postury, miał prawie trzydzieści lat i niespełna metr osiemdziesiąt wzrostu. Ból i smutek były z jego brudnej twarzy i całej sylwetki.

- Cholera jasna, przecież nie wiedziałem, co chce zrobić! - jęknął i skrzywił się. - Rozdzieliliśmy się. Krzyknąłem, żeby na mnie zaczekała, ale była już za daleko. Mój Boże...

- Jako jej brat - nie ustępował Blase - powinieneś być wiedzieć! Razem planowaliście tę demonstrację. Na pewno coś powiedziała. Przecież było widać, że ćwiczyła ten manewr!

- A dlaczego ty o niczym nie wiedziałeś, co? - odparował Johann. - Wczoraj uprzedziła mnie, że dzisiejszą noc spędzicie razem. Zjecie kolację w Korzo i pójdziecie do ciebie. Żeby uczcić ten dzień, jak mówiła. To tobie powinna coś powiedzieć!

Blase przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Vierą. Była taka ożywiona, taka podekscytowana. Pamiętał dotyk jej szczupłych rąk, kiedy objęła go za szyję, naturalny zapach jej skóry; usłyszał w myślach jej głos, kiedy z zapalem tłumaczyła mu, ile zła niesie z sobą globalizacja: większe bezrobocie, więcej głodujących dzieci, surowce naturalne wyprzedawane za bezcen przez skorumpowane rządy i skupowane przez żądne zysku korporacje. Podobała mu się, on też się jej podobał, a seks był wprost niewiarygodny. Ale prawdę mówiąc, niewiele więcej ich łączyło: przypadkowa znajomość, wzajemne zauroczenie, rozkosz w łóżku. Trywialność ich związku odbierała wagę tym jego elementom, które były naprawdę głębokie.

- Odwołała randkę - odparł głucho. - Nie widzieliśmy się ani wczoraj, ani dzisiaj.

Znów ogarnęło go poczucie winy. Odwrócił się od Johanna, nie miał już ochoty się z nim kłócić. Nagle zdał sobie sprawę, że Viera unikała go przez cały ubiegły tydzień - prawdopodobnie dlatego że chciała ukryć swoje plany. A on, zajęty własnymi sprawami, niczego nie zauważył. Popęłił tragiczny w skutkach błąd.

Johann spojrzął z wyrzutem na jego strój.

- Włożyłeś smoking! Tak jak tamci! Ty zasrany szpiegu! To dlatego tak się zbliżyłeś do Viery, co? - Wyciągnął ręce, próbując złapać Blase'a za szyję.

To był dla Blase'a zimny prysznic. Otrząsnął się z zamyślenia. Wszyscy w celi słyszeli oskarżycielskie słowa i przyglądali mu się podejrzliwie. Chwycił Johanna za nadgarstki i odepchnął jego dłonie.

- Mylisz się - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Miałem plan. Musiałem włożyć smoking, bo chciałem dostać się do ambasady i dopaść tego drania Weavera. I udałoby mi się, gdyby demonstracja przebiegała spokojnie. Gdyby Viera nie... - Przymknął oczy, zebrał myśli i mówił dalej, trochę szybciej: - Chciałem odczekać, aż Weaver znajdzie się w towarzystwie innych łobuzów-globalizatorów. Wtedy poprosiłbym go o podpisanie naszej petycji. Spławiłby mnie, naturalnie, ale ja bym się od niego nie odczepił, dopóki ktoś nie wezwałby na pomoc marines. Wywiązałyby się brzydka awantura i wyleciałbym na zbity pysk. Dziennikarze byliby zachwyceni, rzuciliby się na taką historię jak psy na gnat. Już widzę te nagłówki: „Prezes najbogatszego banku na świecie odmówił pomocy biednym”.

Johann się uśmiechnął.

- Mielibyśmy doskonałą reklamę.

Blase puścił jego ręce.

- Warto było spróbować. - Skrzywił się z bólu. - Jak udało się jej ukryć taki plan przed nami oboma, Johann?

Brat Viery wzruszył ramionami.

- Umiała dochować tajemnicy - przyznał ponuro i oparł się o ścianę.

Napięcie w celi opadło. Aresztowani ze współczuciem spojrzeli na Johanna i Blase'a - brata i kochanka.

- I była uparta - dodał Blase.

Johann pokiwał smutno głową. Spuścił wzrok, rozprostował palce, a potem spojrzął pytająco na współwięźniów, jakby oczekiwał wyjaśnienia tego, czego wyjaśnić się nie da.

Blase westchnął ciężko. Kiedy Johann odwrócił się i zaczął rozmawiać z mężczyzną siedzącym po drugiej stronie, Blase zrozumiał, że demonstranci wczuwają się w rolę więźniów: już zaczynali się umawiać, w jakiej kolejności będą na zmianę stać i siedzieć. Złość i żal w nim przygasły - i nagle przypomniał sobie złodzieja, który grzebał mu w kieszeni.

Rozejrzał się, sięgnął do kieszeni i wyjął zmięty zwitek papieru.

„Sir Robert został zamordowany. Jeśli chcesz wiedzieć, kto za tym stoi, spotkaj się ze mną”.

Zaparło mu dech w piersi. Notka była niepodpisana, ale uzupełniono ją opisem drogi do katedry Świętego Marcina. O piątej rano autor karteczki miał czekać we wskazanej kaplicy w określonej ławce. Tekst napisano ołówkiem, po angielsku, równymi, drukowanymi literami.

Drzwi celi otworzyły się z łoskotem. Blase podniósł wzrok, chowając karteluszek do kieszeni. Wszyscy odwrócili się do wyjścia i w celi zapadła złowróżbna cisza. Czterech umundurowanych policjantów weszło do środka. Trzech z nich wyprowadziło dwóch mężczyzn mówiących po niemiecku, czwarty wyłowił z tłumu Blase'a.

- Hej, ty! Do ciebie mówię! - powiedział po słowacku. - Pójdiesz z nami.

Blase najwidoczniej zbyt wolno wstawał z ławki, bo policjant złapał go za klapy smokingu i pchnął w kierunku wyjścia. Współwięźniowie podtrzymali go, żeby nie upadł, dopóki nie oprze się o kraty. Strażnik uderzył go z całej siły w plecy i przez otwarte już drzwi wypchnął na korytarz. Blase z łomotem odbił się od przeciwległej ściany. Przeszył go ból. Zakręciło mu się w głowie.

- *Zatočte vl'avo* - zakomenderował inny strażnik.

Blase i dwaj pozostali aresztanci posłusznie skręcili w lewo i cała grupa ruszyła korytarzem.

- Tutaj - strażnik otworzył drzwi i pchnął Blase'a, który zdążył jeszcze usłyszeć, jak wyjaśnia jednemu z Niemców: - Was przesłuchamy w innym pokoju.

Drzwi się zamknęły. Szczęknął zamek.

Przy podniszczonym stole siedziała Ada Jackson, attache prawny brytyjskiej ambasady. Zabębniła palcami w blat i spojrzała na Blase'a.

- Chryste Panie...

Była niską, drobną brunetką o perfekcyjnie ułożonych włosach. Nosila okulary w drucianej oprawce i szyty na miarę kostium, dlatego mimo barbarzyńsko wczesnej pory wyglądała bardzo profesjonalnie. W pokoju stały jeszcze dwa krzesła, a w kącie klatka, w której zapewne trzymano więźniów zbyt niebezpiecznych - lub zbyt krnąbrnych - by umieścić ich we wspólnej celi.

Uwagę Blase'a przyciągnęły jednak drugie drzwi, które - sądząc po tym, gdzie się znajdowały - musiały prowadzić na dwór. Odetchnął z ulgą. Wyprowadzając go z celi, strażnicy użyli podstępów. Dzięki temu nie został zdemaskowany.

Chociaż sam dał się nabrać.

- Nie spieszyliście się - stwierdził i skierował się do drzwi.

Ada Jackson ruszyła za nim.

- Masz poważne kłopoty.

- Z wami? Czy z Whitehallem?

Ada była również rezydentem MI-6 w Bratysławie. Otworzyła drzwi. Powiało nocnym powietrzem. Wyszli z więzienia.

- Z nami wszystkimi, Simon. A teraz wsiadaj do samochodu.

*

Ada prowadziła. Nierzucający się w oczy sedan z ambasady jechał wąskimi uliczkami, mijał średniowieczne domy i barokowe kościoły, kierując się mniej więcej w stronę Dunaju. W świetle księżycy strome dachy i strzelające w niebo iglice starej Bratysławy mieniły się kolorami. Dawna faworyta węgierskich królów i habsburskich cesarzy spała spokojnie, niewinna i nietknięta. Simon Childs mógł jej tylko zazdrościć.

Zdał sobie sprawę, że znów przekroczył jakąś niewidzialną granicę w stosunkach z przełożonymi. Spięty usiadł w fotelu pasażera i odetchnął zimnym powietrzem z klimatyzacji. Spokojnie, bez emocji opisał przebieg demonstracji i śmierć Viery. Podał nazwiska tych spośród protestujących, których rozpoznał, powtórzył zasłyszane strzępki rozmów, zanalizował przebieg zdarzenia - i przemilczał swoją winę.

Ada wypytała go o wszystkie szczegóły. Obserwował jej profil, okulary oparte na zgrabnym nosie, niewzruszony wyraz twarzy. Cały jej wygląd, od czarnej grzywki po wygodne czółenka, zdradzał precyzję, która kierowała jej zachowaniem i sposobem rozumowania. A czasem nadmiar precyzji oznacza brak elastyczności.

Przeniósł wzrok na jej ręce. Nie nosiła pierścionków. Nigdy nie słyszał, żeby była zaangażowana w jakiś związek; nie chadzała również na randki. Dobiała czterdziestki, była bardzo atrakcyjna, ale otaczała ją charakterystyczna aura kobiety zajętej - tyle że w jej przypadku nie chodziło o mężczyznę, a raczej o karierę.

- Nie powinieneś być tak wybiegać z ambasady - stwierdziła stanowczo. - I to w samym środku bankietu, na litość boską! Psiakrew, Simon! Nie wykonałeś zadania! Co cię opętało?

Dobrze wiedział, że balansuje na cienkiej linii. Był ekspertem MI-6 od ugrupowań antyglobalizacyjnych w Europie Środkowej; odnosił większe sukcesy niż Amerykanie, Niemcy i Francuzi. Mimo powszechnego lęku przed terrorystami nikt nawet nie mrugnął okiem, kiedy świeżo namaszczony szef Banku Światowego zażyczył sobie osobistego spotkania z tajnym informatorem Whitehallem. Czyli z nim.

Faktem było, że bank pożyczał miliardy środkowoeuropejskim rządowi, tymczasem antyglobaliści twierdzili, że te pieniądze nie idą na rozwój krajów, lecz przyczyniają się do

ich wyniszczenia. Dlatego przebrany w smoking Simon miał się wśliznąć do amerykańskiej ambasady, gdzie w zacisznym gabinecie czekałby, aż Stanford Weaver znajdzie dla niego pięć minut.

- Wyszedłem tylko na chwilę - odparł z udawanym oburzeniem. - Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem. Zresztą chyba nie ja jeden. Takie bankiety są, oględnie mówiąc, śmiertelnie nudne. Ja też byłem znudzony i straciłem czujność.

- Wyszedłeś tylko na chwilę i od razu wpakowałeś się w kłopoty - przypomniała mu Ada. - Nikt z nas nie przepada za takimi imprezami, ale musimy się z tym pogodzić. Ile ty masz lat, trzydzieści? - Simon spojrzał na nią zdumiony. - Właśnie, masz trzydziestkę na karku, więc przestań się wreszcie zachowywać jak chłopczyk. Jesteś zbyt przystojny i uroczy, i to ci szkodzi. Tak samo jak przesadna pewność siebie. - Ada skrzywiła się z niesmakiem. - Aż się człowiek zastanawia, czy można ci przydzielić inne zadanie niż rolę tajniaka wśród ulicznych chuliganów.

Simon ugryzł się w język i powstrzymał od złośliwej riposty.

- Chyba ci za to nie podziękuję - odparł tylko.

- A powinienes. Bo wątpię, żeby ktoś inny powiedział ci prawdę o tobie. A może po prostu nie słuchałeś?

Ada zaparkowała nad Dunajem, przodem do rzeki, wyłączyła silnik i zgasiła światła. Siedzieli w milczeniu na ciemnym parkingu; nikt nie mógł ich podsłuchać ani podejrzeć przez przyciemnione szyby. Przed nimi toczył swe wody Dunaj: wspaniałe, mroczny, połyskujący metalicznymi zmarszczkami w świetle księżyca. Po lewej mieli futurystyczny most SNP, który biegł z północy na południe i łączył Stare Miasto z przynębiającym blokowiskiem Petrzałki, które wyróżniało się najwyższą liczbą samobójstw w całej Bratysławie. Zarówno te bloki, jak i inne pudełkowate potworki na obrzeżach Starego Miasta były dziełem komunistów, ponurą, betonową spuścizną dawnego Związku Radzieckiego.

- Bez urazy, Ado, ale to chyba jeszcze nie koniec świata - odparł. - Porozmawiam ze Stanfordem Weaverem. Wystarczy, że nas umówisz, a przyjdę. Dobrze o tym wiesz.

- Za późno. - Ada spiorunowała go wzrokiem. - Wyjechał.

- Tak szybko?

- Amerykanie ściągnęli go błyskawicznie. A wstyd był dla niego dodatkową motywacją. Dramatyczny gest Viery Jozef będzie o świcie na ustach wszystkich. Zarówno Jankesi, jak i Bank Światowy muszą się przycząić. Posłuchaj mnie, Simon, i to bardzo uważnie. Postąpiłeś niezgodnie z planem. Miałeś się spotkać w bardzo ważnej sprawie z potężnym sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii. Nie dość że, prawdę mówiąc, go olałeś, to

jeszcze narobiłeś kłopotów jemu i Amerykanom. W tym smokingu wyróżniałeś się z tłumu jak ksiądz w sutannie podczas orgii.

Niby racja, ale kiedy gra się o wysokie stawki - na przykład w MI-6, i to zarówno w biurze, jak i w terenie - okazywanie słabości grozi śmiercią. Nie tylko zawodową.

- Poznałem ważne fakty, na które musimy natychmiast zareagować - stwierdził Simon.
- Policja, dziennikarze i zwykli ludzie wiedzą wcześniej, że szykuje się demonstracja, bo jej organizatorzy zgodnie z prawem zgłaszają ją z wyprzedzeniem. No i są tak podekscytowani, że nie mogą utrzymać języka za zębami. Ale dziś było inaczej.

- Mów dalej.

- Ponad pięć tysięcy demonstrantów przyjechało z zagranicy, a ja o niczym nie wiedziałem. Tak jak nie wiedziały o tym władze Słowacji. I do tego samospalenie: pierwsze, na szczęście, ale na pewno nie ostatnie. Viera nie była fanatyczką religijną ani dobrze zapowiadającym się zamachowcem al-Kaidy. Była młodą nauczycielką, która wolny czas poświęcała na wolontariaty w szpitalach i garkuchniach. Miała twarz anioła i całe życie przed sobą - to idealna kandydatka na pierwsze strony gazet. Męczennica z plakatu.

- Do czego zmierzasz? - spytała oschle Ada.

- Do tego, że wprawdzie nie uścisnąłem ręki jakiegoś bezczelnego bankiera, ale wykonywałem swoją pracę. Miałem spenetrować ruch antyglobalizacyjny, ponieważ baliśmy się, że mogą się z niego wywodzić przyszli terroryści, prawda?

Ada wzruszyła ramionami.

- Między innymi.

- Nie żadne „między innymi”. To był główny powód! Zapał, który widziałem dziś u demonstrantów, to dla mnie dzwonek alarmowy. Swoim postępkami Viera zwróciła uwagę całego świata na żądania protestujących; rano, kiedy przeczytają gazety, przekonają się, że jej ofiara nie poszła na marne. Jądra mi się kurczą ze strachu na myśl o tym, co się stanie, jeśli inni antyglobaliści pójdą w jej ślady. Tym bardziej że wkrótce zamiast kierować przemoc przeciwko sobie, obrócą ją przeciw ludziom, których obarczają odpowiedzialnością za swoje problemy. Co będzie, jeśli zdołają się porozumieć, stworzyć jakiś plan i działać wspólnie? Jeżeli się zjednoczą, zapanuje większy chaos niż w latach sześćdziesiątych, a wtedy Europa i Stany ledwie wyszły z tego cało.

Ada pokręciła ze złością głową.

- Przesadzasz. Są za słabi, zbyt chętnie widzą się w roli ofiar. Poza tym takie instytucje jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy mają o niebo lepsze środki do walki z biedą i innymi problemami dręczącymi świat niż banda skamlących

dorośli i niedouczonych dzieciaków, którą widzieliśmy dziś pod ambasadą. Twoi agitatorzy jakoś mnie nie przekonali i nie sądzę, żeby udało im się przeciągnąć na swoją stronę wielu ludzi. Dobrze, gazety parę razy o nich napiszą. Co z tego? I tak nikt ich nie słucha. Towarzystwo wzajemnej adoracji.

- To, jak je nazywasz, towarzystwo wzajemnej adoracji może w każdej chwili eksplodować. Nie wolno lekceważyć przegranych, zwłaszcza zapędzonych w kozi róg.

Ada odwróciła się do Simona. Nie podobało mu się jej spojrzenie.

- Próbujesz się usprawiedliwić, przekazując mi informacje - stwierdziła lodowatym tonem. - To zwykła zasłona dymna, by ukryć fakt, że spieprzyłeś sprawę. Kazałam już naszym ludziom sprawdzić nagrania telewizji. Na pewno wpadłeś w obiektyw kamerzystom i fotoreporterom. Będę musiała wykorzystać swoje kontakty, czego nie lubię robić, i prosić o przysługę w sprawie, która nie powinna była się zdarzyć. Nawet jeśli uda mi się wyretuszować cię ze wszystkich filmów i zdjęć, nie zapominaj, że kamuflaż działał, tylko dopóki chciałeś się dostać do ambasady. Ktoś mógł widzieć, jak się z niej wymykasz i odgrywasz jeszcze jedną gwiazdę wieczoru. To będzie głośna sprawa. Świadkowie zaczną się zastanawiać, kogo właściwie widzieli. Jesteś nieostrożny, Simon.

- Robię to, co do mnie należy.

- I w tym problem. Dla ciebie to jest po prostu praca. Lubisz udawać, że jest dla ciebie ważna, ale w gruncie rzeczy traktujesz ją jak zwykle szachrajstwo. Nie masz wyrobionej opinii na temat ludzi, których od trzech lat inwigilujesz. Nie zastanawiasz się, czy mają rację, czy nie. W nosie też masz słuszność lub niesłuszność decyzji naszego rządu. Gdzie się podział prawdziwy Simon Childs? Gdzie się ukrył?

Rany boskie, ależ ta baba potrafi być irytująca!

- Dbam o interes Wielkiej Brytanii i to chyba powinno ci wystarczyć. Chcesz jeszcze o czymś porozmawiać?

Na myśl o lojalności wobec ojczyzny poczuł tępy ból w piersi. Tak samo czuł się po śmierci ojca. Sir Robert Childs był w kraju niemalże instytucją: poseł do parlamentu, uwielbiany przez lewicowców i szanowany przez drugą stronę. Podobnie jak Viera zginął z własnej ręki. Simon przeprowadził wnikliwe prywatne śledztwo, ale nie znalazł nic, co sugerowałoby, że nie było to samobójstwo.

Chciał spojrzeć na zegarek, ale tego nie zrobił. Wolałby nie spóźnić się na spotkanie z tajemniczym autorem liściku.

Ada uruchomiła silnik.

- Chcę dostać pełny raport, z kompletem faktów i twoimi wnioskami. O ósmej rano ma być w skrzynce kontaktowej przy moście. Dziennikarze będą węszyć w sprawie Viery, wyciągać szczegóły z jej życia prywatnego, im bardziej intymne i pikantne, tym lepiej. Powiedz swojemu kumplowi Johannowi, że nie możesz się pozbierać i bierzesz urlop. On o tym rozpowie, wieść dotrze do prasy. A zanim złożysz raport, ja przygotuję dla ciebie kryjówkę. Poczekamy, aż sprawa przyschnie. Blase Kusterle musi zniknąć.

6.

Santa Barbara, Kalifornia

Na drodze numer 101 panował spory ruch. Liz pędziła sportową toyotą na północ, na przyjęcie u dziekana. Była podenerwowana i spięta. Miała typowe objawy syndromu walki i ucieczki, pierwotnego mechanizmu obronnego, który ludzie mają zaprogramowany w podkorowych warstwach mózgu. Czuła się jak kierowca samochodu, który jedną nogą wdusił gaz do dechy, a drugą rozpaczliwie wciskał hamulec. Spokojny, uporządkowany świat, który zbudowała sobie przez ostatnich pięć lat, nagle legł w gruzach. Nie mogła się pozbierać.

Zostawiła Kirkowi wiadomość: wyjaśniła mu, jak się sprawy mają, i poprosiła, żeby przypomnieli sobie, jak dokładnie przebiegała jego rozmowa z policją. Popytała na wydziale, czy ktoś nie widział intruza włamującego się do jej gabinetu, biegacza, który zepchnął ją z urwiska, albo fałszywego zastępcy szeryfa. Nie dowiedziała się jednak niczego ciekawego. Odwołała urlop w Paryżu, zadzwoniła do Sarah z przeprosinami i nagrała jej wiadomość na komórce. Musiała zostać w Santa Barbara, dopóki nie pozna prawdy.

Wróciła do domu, żeby przebrać się na przyjęcie - na które i tak już się spóźniła - i doznała jednego z tych swoich olśnień, które przeciętnemu człowiekowi zmroziłyby krew w żyłach. Zaatakowano ją. Jakimś wpływowym ludziom zależało na jej śmierci. A zatem potrzebowała broni, żeby ich zabić, zanim oni ją zabiją. Podeszła do wbudowanego w ścianę sejfów, skąd wyjęła swojego starego walthera kaliber 9 mm. Pistolet był czysty i naoliwiony, musiała go tylko naładować.

Zrobiła to automatycznie, bez wysiłku, nauczona tego przez lata żmudnego treningu. Wróciły wspomnienia: trzy lata pracy w terenie na zlecenie Langley, czyli długie okresy nudy przerywane jeżącymi włos na głowie momentami śmiertelnego zagrożenia; bezradność po

tym, jak jej mąż został schwytany i stracony przez Islamski Dżihad; wstrząs, jakiego doznała w Lizbonie na widok Drapieznika wykonującego swoją ostatnią robotę; a potem trzy niebezpieczne lata życia poza nawiasem, kiedy musiała się z rodzicami ukrywać, choć próbowała umożliwić im powrót do normalnego życia.

Spojrzała na pistolet w swojej dłoni. Musiała przyznać, że cieszy ją poczucie bezpieczeństwa - choćby i złudne - jakie dawała jej broń. Przemoc może być takim łatwym i kuszącym wyjściem... Ale koniec końców zaczyna się karmić sama sobą i człowiek wpada w błędne koło, które znacznie więcej problemów stwarza, niż rozwiązuje. Przemoc deprawuje ludzi i społeczeństwa.

Potrząsnęła głową. Nie. Nie pozwoli się znowu uwieść. Musi istnieć inne wyjście. Rozładowała pistolet, schowała go do sejfu i wróciła do samochodu. Była bardzo spóźniona, ale się tym nie przejmowała. Powinna się otrząsnąć, zapomnieć o napadzie, spojrzeć na świat z nowej perspektywy. I porozmawiać z Kirkiem o człowieku, który podawał się za Harry'ego Craine'a.

*

W dogasającym świetle dnia czerwone jak krew kwiaty bugenwilli odcinały się jaskrawą plamą od białych ścian domu Derricka Quentina. Liz z przewieszoną przez ramię torebką obeszła rosnące przed gankiem krzewy i zagłębiła się w tłum gości. Przywitała się ze znajomymi, zamówiła wytęsknione martini i, sącząc je powoli, zaczęła kręcić się po domu. Prawie wszyscy już słyszeli o tym, że została napadnięta, więc co chwila musiała powtarzać swoją opowieść, rozglądając się przy tym za Kirkiem. Część gości twierdziła, że i on jej szuka.

Dopiła martini, zostawiła kieliszek w kuchni i przez odsuwane drzwi wyszła na podwórko za domem. Kilkunastu pracowników wydziału dyskutowało o Freudzie, Jungu i Ranku, ale Kirka wśród nich nie było.

Obeszła dom i znalazła się przy ganku. Drink przyjemnie ją odprężył. Musnęła palcami liście bugenwilli, która z tropikalnym zapałem pięła się po murze aż na poddasze dwupiętrowej rezydencji.

Słyszając swoje nazwisko, z zaciekawieniem rozgarnęła gałęzie.

W zacisznym kącie ogródka Kirk i dziekan rozmawiali przyciszonymi głosami. Za ich plecami mignęła oddalająca się taksówka. Liz nadstawiła uszu.

- Musiałem jak najszybciej poinformować Temidę o Liz - tłumaczył Kirk. - Nie miałem wyboru. Dobrze wiesz, że domaga się natychmiastowych raportów, kiedy tylko wydarzy się coś niezwykłego.

Zdziwiona zmarszczyła brwi. Kto to jest Temida? I dlaczego Kirk składał raporty na jej temat?

- Ale niepotrzebnie ryzykowałeś, kłamiąc, że dzwoniłeś na policję. Liz nie jest głupia, może się wszystkiego domyślić. A to by była tragedia.

Coś ścisnęło ją w żołądku. Okłamał ją?!

Kirk parsknął śmiechem.

- Niczego się nie domyśli. Jest we mnie zakochana i ufa mi bezgranicznie. Do głowy jej nie przyjdzie, jak było naprawdę...

Zalała ją fala wściekłości. Jakim prawem ten niby cwany skur... Co? Co on powiedział?!

Kirk mówił dalej:

- Poza tym sam widziałeś, jak szybko Temida przysłał tego fałszywego zastępcę szeryfa. Najwyraźniej fundacji zależy na tym, żeby nie mieszać glin do sprawy. A chyba nie chcemy narazić na szwank naszej umowy z fundacją, co?

Liz zacisnęła kurczowo pięści. Niewiele brakowało, żeby rzuciła się na nich z krzykiem. Dlaczego Kirk i dziekan na nią donoszą? Co tu się dzieje, do jasnej cholery?! Kirk ją zdradził, skończony drań! Dziekan też był nie lepszy, ale najbardziej złowrogo rysowała się postać ich szefa, Temidy, który najwyraźniej był bardzo majątny, wpływowy i, tak jak się obawiała, stał na czele potężnej organizacji, którą nazywali fundacją.

Przez rzadsze listowie bugenwilli spojrziała na mężczyzn: stali pod pieprzowcem peruwiańskim, blisko siebie. Kirk trzymał się nadszpiewanie prosto, choć zwykle na zakrapianych imprezach szybko osiągał stan lekkiego podchmienienia, a wtedy garbił się i powłóczył nogami. W porównaniu z nim dziekan wydawał się niski i drobny, a wzrok miał czujny jak grzechotnik. I też był trzeźwiuteńki.

- Cholera wie, jak zareagowałyby ludzie od Ayleswortha, gdybym nie złożył meldunku, a policja jednak została do sprawy wciągnięta.

- Mimo wszystko nie podoba mi się to. Martwię się. Do tej pory układ funkcjonował bez zarzutu i wszyscy na nim korzystali. Zwłaszcza Liz. Pięć lat temu nie miała dostatecznych referencji, żeby zająć takie prestiżowe stanowisko.

A to dranie! Wszyscy, co do jednego! I Fundacja Ayleswortha, która za tym stała (czymkolwiek „to” było), też nie lepsza. Rzeczywiście, referencje miała niewystarczające, ale propozycja...

Przestała się usprawiedliwiać w myślach. W tej chwili miała ważniejsze sprawy na głowie. Wściekła - ale i zaniepokojona - jeszcze bardziej nadstawiła uszu. Nie chciała uронić ani słowa.

- My na pewno korzystaliśmy - prychnął z satysfakcją Kirk. - Nie oszukujmy się, w życiu nie dostałbym ciepłej posadki na uczelni, gdyby Temida nie kazał mi mieć Liz na oku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To prawda... - przyznał zamyślony dziekan. - A dwa fundowane przez Ayleswortha stanowiska pomogły mi w kontaktach z senatem bez uszczuplenia wydziałowego budżetu. Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego przysłali właśnie ją. Mam wrażenie, że ten napad i kradzież dokumentów jakoś łączą się z naszym układem z fundacją. - Wydał wargi i zmarszczył brwi. - Podejrzewam, że ktoś nas wykorzystuje w niebezpiecznej grze, o której nie mamy zielonego pojęcia. Boję się, że jeszcze nam się to czkawką odbije.

Liz zakłęła w duchu. Jej stanowisko, wyjątkowa pozycja na uczelni, dorobek naukowy... Wszystko zawdzięczała tajemniczemu Temidzie i Fundacji Ayleswortha. Nie liczyła się jej praca i badania na temat przemocy, tylko fakt, że jakiś ukrywający się pod pseudonimem palant chciał ją mieć cały czas na oku.

Zawróciła i znalazła się na schodach do ogrodu. Była zniesmaczona: najpierw powie im prosto w oczy, jak bardzo nimi gardzi, a potem dowie się wszystkiego, co oni już wiedzą. Wszystkiego, co im powiedziano. Wszystkiego. Jak naprawdę nazywa się Temida? Czy poznali go kiedyś osobiście? Musieli przynajmniej znać numer telefonu, pod którym przyjmował ich meldunki.

Nagle stanęła jak wryta. Wstrzymała oddech i spojrzała ponad krzewami bugenwilli. Na chodniku coś się poruszyło: cień drgnął. Bez widocznego powodu. Za drzewem, przy pomalowanym na biało płocie, przykucnął jakiś mężczyzna. Zerknęła na Kirka i dziekana, ale byli odwróceny w stronę domu i nie widzieli, co się dzieje za ich plecami.

Cień przesunął się po chodniku, kryjąc się za ogrodzeniem. Ktoś obserwował rezydencję. Szerokie sztachety zasłaniały intruza, ale mimo to jego twarz wydała się Liz znajoma... Kiedy go rozpoznała, zatkało ją: to był „zastępca szeryfa”, który po południu spisał jej zeznania.

Szybko podjęła decyzję, te dwa żaloszne palanty w ogrodzie mogą poczekać, ale mężczyzna kryjący się na ulicy przybył bezpośrednio od Temidy. Może ją do niego zaprowadzić i prawdopodobnie wyjaśnić, dlaczego została napadnięta.

Zawróciła tą samą drogą, którą przyszła, i okrążyła dom od tyłu, gdzie nikt nie zwrócił na nią uwagi. Przewiesiła torebkę na skos przez plecy, żeby nie przeszkadzała jej w biegu, i podkraśla się do rogu budynku.

Wyrzała przed front domu. Był wczesny wieczór i długie, fioletowe cienie spływały na wysadzaną palisandrami ulicę. W zasięgu wzroku stało kilkanaście zaparkowanych samochodów, ale nigdzie nie było widać rzekomego zastępcy szeryfa.

Zbiegła po schodach do furtki w ogrodzeniu, przykucnęła i wyrzała na chodnik. Pusto. Wyteżyła słuch. Z tyłu dobiegał śmiech gości i stłumiony gwar rozmów, gdzieś z lewej strony doleciał ją szczepek otwieranych i zamykanych drzwi samochodu. I jeszcze jeden dźwięk: elektrycznie podnoszonej lub opuszczanej szyby.

Wyszła przez furtkę i ruszyła w tamtym kierunku. Minęła palisander i dwa samochody, wpatrując się w cienie pod latarniami. Zerwał się lekki wiatr, który zaszeleścił liśćmi, choć nie poruszył gałęziami. W powietrzu rozeszła się intensywna woń świeżo ściętej trawy.

Obejrzała się przez ramię: dom dziekana prawie zniknął jej z oczu, chodnik świecił pustkami, ulica wybiegała spomiędzy domów i, wijąc się, zniknęła wśród wzgórz. A tam przenikliwie szczekał kojot.

Gdzie się ten facet podział? Szła powoli pod górę, rozglądając się na boki, nasłuchując, wyczulona nawet na drgania powietrza... Nagle chodnik zawibrował pod stopami intruza, cichy tupot przeniknął wprost do jej świadomości. Odwróciła się błyskawicznie - w samą porę, żeby dostrzec błysk noża. Napastnik był ubrany na czarno, na głowie miał kominiarkę.

Chciał zaatakować niepostrzeżenie, od tyłu.

Adrenalina zawrzała jej w żyłach. Zrobiła unik i próbowała zeskoczyć na ulicę, gdzie było więcej światła, ale zahaczyła o korzeń drzewa. Potknęła się, torebka uderzyła ją w plecy.

Napastnik dopadł jej w ułamku sekundy: przydusił ją od tyłu prawą ręką i wciągnął w cień palisandru. Był podobnej postury jak człowiek, który zepchnął ją z urwiska. Z trudem łapiąc oddech, zareagowała stereotypowo, dokładnie tak, jak mógł tego oczekiwać dobrze wyszkolony napastnik: obiema rękami złapała za dławiące ją przedramię i zaczęła się szarpać, próbując rozluźnić uścisk. Miała tylko jedną przewagę nad przeciętną ofiarą: była silna i wysportowana. Intruz musiał się trochę wysilić, żeby nie stracić równowagi.

Ale muskularna ręka nadal miażdżyła jej krtań. Liz oddychała z coraz większym trudem. Przestała się szamotać i obydwooma łokciami uderzyła w tył, w klasycznym *ushiro empi-uchi*. Jeden z ciosów dosięgnął celu. Napastnik stęknął z bólu.

Uścisk na szyi osłabł na ułamek sekundy. Liz próbowała krzyknąć, ale mężczyzna natychmiast znów ją przydusił. Szarpnęła się rozpaczliwie, walcząc o kolejny haust powietrza. Przed oczami zaczęły jej migać ciemne plamy.

Kiedy dostrzegła błysk światła na ostrzu noża, na moment wpadła w panikę: on pewnie pchnie ją lewą ręką prosto w serce, od przodu. Gdyby zabrakło mu precyzji, umierałaby długo i w bólach, powoli się wykrwawiając. Jeśli zaś trafi, śmierć przyjdzie natychmiast.

Zakłęła w duchu - i zdała sobie sprawę, że wciąż jest dla niej nadzieja. Napastnik skupił się na nożu, a przecież ona także ma broń: przerzuconą przez plecy torebkę.

Kątem oka obserwowała, jak mężczyzna podnosi rękę. Musiała wyczuć idealny moment i wykorzystać fakt, że jest całkowicie skoncentrowany na nożu...

Kiedy nastąpiło gwałtowne pchnięcie, Liz szarpnęła się z impetem w prawo i wykorzystując bezwład ciała, prawie wyrwała się z uścisku. Torebka zatoczyła szeroki łuk. Nóż uderzył w nią z siłą dobrze wymierzonej pięści i przebił na wylot. Liz skrzywiła się odruchowo, ale ostrze ledwie ją drasnęło. Mężczyzna rozluźnił uchwyt na jej szyi, zaklął i wyszarpnął nóż.

Znowu złapała go oburącz za rękę, ale zamiast próbować ją odgiąć, popchnęła do góry i wgryzła się w nią z całej siły. Krew pociekła jej do ust.

Napastnik stęknął i szarpnął zranioną ręką, lecz Liz trzymała go jak bulterier wgryziony w gardło przeciwnika. Płuca paliły ją żywym ogniem, ale puściła go dopiero wtedy, gdy poczuła, że jego ramię drży, a uścisk wyraźnie słabnie. Oswobodziła się. Nóż rozpruł torebkę, intruz zatoczył się i stracił równowagę.

To była jej wielka szansa. Być może jedyna.

Odchyliła się i wymierzyła mu kopniaka w podbródek. Widziała, jak wytrzeszczył oczy; zdawała sobie sprawę, że wybrała idealny moment, bo napastnik był chwilowo oszołomiony. W jego oczach błysnął gniew, a potem głowa odskoczyła mu do tyłu po celnym ciosie. Zatoczył się bezwładnie, obrócił na pięcie, runął na brzuch na trawnik obok chodnika - i znieruchomiał.

Liz stanęła nad nim zdyszana, masując obolałą szyję. Nie widziała noża. Co się z nim stało?

Spojrzała uważnie na leżącego. Jedno biodro miał uniesione wyżej niż drugie, stopę wciśniętą pod udo drugiej nogi, rękę pod brzuchem.

Zakłęła i roztarta zmarznięte ramiona.

W tej samej chwili usłyszała kroki. Już miała rzucić się do ucieczki, gdy zorientowała się, kto nadchodzi: spomiędzy samochodów, trzy metry od niej, wynurzył się fałszywy zastępca szeryfa z sig sauerem w ręce. Skinął jej głową, schował pistolet do kabury i bez słowa obrócił leżącego na plecy. Napastnik zaciskał zakrwawioną dłoń na sterczącej mu z piersi rękojeści noża.

Liz odwróciła wzrok. Przypomniały się jej inne zgony, których była świadkiem w przeszłości. Ten mężczyzna, zupełnie obcy człowiek, zginął z jej powodu. Chciał ją zabić, ale to chyba nie miało większego znaczenia. W ostatecznym rozrachunku jego śmierć była równie niepotrzebna jak jej.

- No to pięknie. - Zastępca szeryfa spojrzał na nią z ukosa. - Zanieśmy go do twojego samochodu.

- Kim pan jest? - zapytała. - Kto pana przysłał?

7.

Spojrzała mu w oczy. Wcześniej, w południe, wydały się jej stare i znużone; teraz, w półmroku, płonęły jak żarzące się węgle. Górował nad nią swoją potężną sylwetką. Był ubrany w sportową marynarkę, szarą koszulę rozpiętą pod szyją i brązowe bawełniane spodnie. Miał pociągłą twarz, wystające kości policzkowe i gęste, proste włosy. W wąskim podbródku rysował się uwodzicielski dołeczek; można było sobie wyobrazić, że kiedy młodszy o dwadzieścia lat „Craine” miał mniej cyniczne podejście do życia, wszystkie dziewczyny się za nim oglądały.

- Przecież wiesz, kim jestem i dla kogo pracuję - odparł.

- No tak - przyznała Liz. Nagle poczuła się strasznie zmęczona. - Wiem.

Jej podświadomość wiedziała, co się dzieje, od samego początku, od napadu na nadmorskiej ścieżce. Langley znów wyciągało po nią rękę. Nie wiedziała tylko, czy ich człowiekiem był napastnik, czy też ten, z którym właśnie rozmawiała. Czy może obaj.

- Mamy problem - stwierdził. - Poważny problem. Złap za nogi. Musimy go zabrać, zanim nas ktoś zobaczy.

Przypomniała sobie, jak kierowana przez Hughesa Bremnera ekipa renegatów z CIA sfingowała zamach na jej życie. Sarah była święcie przekonana, że Drapieźnik nasłał na Liz zabójców, którzy „zabili” jej ochroniarzy. Prosta, ale przekonująca szopka.

- Zaraz.

- Nie mamy czasu...

- Zamknij się. Nie przyszedłbyś tu, gdybym nie była ci do czegoś potrzebna. Więc teraz gęba na kłódkę, bo muszę coś sprawdzić.

Uklęknęła i namacała u leżącego tętnicę szyjną. Nie wyczuła pulsu. Przytknęła policzek do zakrwawionej piersi, ale nie usłyszała bicia serca.

- Mówiłem ci przecież, że nie żyje.

Liz podniosła wzrok.

- Kto cię szkolił, koleś? - Zaczęła przeszukiwać kieszenie trupa.

- Chciałem go obszukać w samochodzie. No dobra, pomogę ci, bo się zmęczysz.

Przykucnął obok Liz, która zbyła go milczeniem. Pod pachą napastnik miał kaburę z pistoletem; najwyraźniej wybrał nóż jako cichszą broń. Nie miał żadnych dokumentów, Liz znalazła przy nim tylko papierosy.

Podniosła głowę, nasłuchując. Od strony domu dziekana dobiegały wybuchy śmiechu. Goście wylegli na ganek i zaczęli się zęgnąć.

- No to chodźmy - powiedziała i złapała trupa za nogi.

Człowiek z Langley chwycił ciało pod pachy i ruszył pierwszy. Zabity ważył najwyżej siedemdziesiąt kilogramów.

- Wiesz, gdzie zostawiłam wóz - stwierdziła zaskoczona.

- Przyjechałem taksówką, ale kiedy nie wypatrzyłem cię na imprezie, poszedłem do twojego samochodu, żeby tam na ciebie zaczekać. Obserwowałem cię w lusterku.

- Więc musiałeś widzieć, jak mnie zaatakował.

Pokiwał głową.

- Żałuję tylko, że nie zdążyłem ci pomóc.

- Nie chrzań. Miałeś mnóstwo czasu. Chciałeś sprawdzić, czy sama dam sobie radę.

Nie zaprzeczył. Liz oparła stopy trupa na ziemi i otworzyła bagażnik. Rozłożyła na dnie plastikowe reklamówki. Kiedy wrzucili zwłoki do środka, ściągnęła maskę z pończochy, którą napastnik miał na twarzy. Nie zdziwiła się, widząc znajomy zadarty nos, krótkie ciemne włosy i masywną szczękę.

- To on mnie zrzucił z urwiska - stwierdziła. - Znasz go?

- Nie, i wcale się nie dziwię. Nie wysłaliby człowieka, którego dałoby się łatwo zidentyfikować.

- Kto by nie wysłał?

- Myśleliśmy, że wiesz - rozejrzał się, przymknął klapę bagażnika i przycisnął ją nasadą dłoni, aż zamek zaskoczył ze szczękiem.

Liz nie była w nastroju do rozmowy półsłówkami.

- Jak się naprawdę nazywasz? I czego Langley ode mnie chce?

- Wsiądźmy do wozu. Tam porozmawiamy. - Mężczyzna spojrzął w głąb ulicy, gdzie goście dziekana rozchodzili się do samochodów. - Za długo już tu stoimy.

- Mnie to nie przeszkadza. Byłeś u mnie w domu.

Zaskoczyła go. Zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

- Wsiadłeś do mojego auta, słyszałam, jak otwierałeś okno. A ponieważ zapasowe kluczyki trzymam w kuchni, logiczne, że je ukradłeś. Cholera wie, co jeszcze mi zwinąłeś. Masz jakieś dokumenty?

- Uprzedzali mnie, że jesteś niezła - mruknął. Wyjął z kieszeni dokumenty i odznakę agenta CIA. Nazywał się Angus MacIntosh.

- Dzięki. - Liz wrzuciła papiery do torebki.

- Tak nie wolno - oniemiał.

Ignorując go, obejrzała ślad po nożu na torebce. Ostrze było obosieczne, wąskie i ostre. Jak ostrze sztyletu. Opuściła torebkę i jej wzrok padł na leżący na chodniku zwitek papieru. Podniosła go.

- Co to jest? - zapytał agent CIA.

Liz wygładziła kartkę.

- Adres dziekana Quentina.

Wypisany był drukowanymi literami, a w rogu widniał dziwny znaczek:



MacIntosh zerknął jej przez ramię.

- Czyli nawet nie zadał sobie dość trudu, żeby go zapamiętać. Kartka pewnie wypadła mu z kieszeni. Aż dziw, że ją przeoczyłaś. Chyba jednak brakuje ci wprawy... Chodź, jedziemy.

- Langley nie należy do moich ulubionych byłych pracodawców. Nie podoba mi się, że się przy mnie kręcisz, i nie ma mowy, żebym znów zgodziła się dla nich pracować. Przyjmij to do wiadomości i spieprzaj z mojego życia.

Wepchnęła zwitek do torebki.

- Mów mi Mac - westchnął. - Kręciłem się, bo chciałem być delikatny, ale widzę, że nie tędy droga. Mówiłem ci już, że mamy problem. Otóż ten problem dotyczy również ciebie. Kilka godzin temu w Paryżu porwano twoją kuzynkę Sarah Walker. Asher Flores został ranny.

Zamurowało ją.

- Nie! Asher żyje? Znaleźliście Sarah?

- Flores przeżył, a jej ciągle szukamy. Do porwania doszło mniej więcej o tej samej porze, kiedy zostałaś zaatakowana nad oceanem.

Liz z trudem nad sobą panowała.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć?

Przez otwarte okno MacIntosh wyjął leżący na siedzeniu odtwarzacz CD.

- Dostaliśmy to nagranie z Paryża, w formie elektronicznej - wyjaśnił i uruchomił odtwarzanie.

Liz, tu Asher. - To był chyba Asher, ale w Langley umieli naśladować każdy głos. - **Jakieś gnojomózgi porwały Sarah. Nie żartuję, Liz. Chcą dostać kartotekę Drapieznika. Dali nam cztery dni.** - Odkaslnęła. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie było słyhać strach. - **o co im chodzi, do cholery? Jaka kartoteka? Chcą zabić Sarah, a ja nie jestem w stanie dźwignąć tyłka z łóżka. Leżę w szpitalu jak kukła! Więc jeśli masz te papiery albo w ogóle coś o nich wiesz...**

MacIntosh wyłączył odtwarzacz.

- Wystarczy?

Kartoteka Drapieznika. Znowu. Ścisnęło ją w piersi.

- Wsiadaj. Ja prowadzę.

Asher Flores był postacią barwną i nietuzinkową. Nikt poza nim nie używał określenia „gnojomózgi”; to była jego autorska konstrukcja słowotwórcza. Poza tym to cierpienie i frustracja, że nie może pomóc Sarah, która znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie... Owszem, jak wszyscy tajni agenci CIA Asher był dobrym aktorem - ale nie aż tak dobrym. Jego prośba brzmiała szczerze; prawdziwy Asher właśnie tak by się zachował i dokładnie takich słów użył.

Liz otworzyła drzwi samochodu. Ze strachu ścisnęło ją w żołądku. Były z Sarah jak siostry. Na zlecenie CIA Sarah przeszła operację plastyczną, po której stały się prawie nie do odróżnienia, a ich znajomość bynajmniej się na tym nie skończyła. Wkrótce odkryły, że naprawdę mają wiele ze sobą wspólnego, nawet podobne gusty i zainteresowania. Liz podziwiała Sarah za inteligencję, zdolność współczucia i zapał do pracy: swoje dziennikarskie

śledztwa potrafiła ciągnąć całymi miesiącami. Za cykl wnikliwych artykułów na temat kalifornijskich elektrowni atomowych dostała Pulitzera.

Liz była gotowa na wszystko, żeby jej pomóc, ale też dobrze wiedziała, do czego są zdolni ludzie z Langley. Nie mogła im ufać, nawet w takiej chwili. Zwłaszcza w takiej chwili.

MacIntosh wcisnął się na fotel pasażera, Liz usiadła za kierownicą i włączyła silnik. Po cichu zamknęli drzwi.

- Rozumiem, że mam lecieć do Paryża.

- Samolot z Langley już czeka.

Liz zawróciła i ruszyli w dół zbocza.

- Skoro włamałeś się do mojego domu, to może przy okazji mnie spakowałeś?

- Prawdę mówiąc... tak. Mam też twój paszport. Możemy jechać prosto na lotnisko.

Moi ludzie zajmą się trupem.

- Opowiedz mi, jak to się stało.

MacIntosh zrelacjonował przebieg napadu w Paryżu.

- Asher mówi, że wszystko rozegrało się błyskawicznie. Goście mieli to przećwiczone. Asher i Sarah zarezerwowali sobie stolik w bistro, ale nie osobiście, tylko zlecili to obsłudze hotelowej. Ktoś mógł przechwycić informację, co wyjaśniałoby, skąd te bandziory wiedziały, gdzie się przyczaić. A furgonetka pewnie ich śledziła. - Zaniepokojony pokręcił głową. - Ale pytanie, które nas wszystkich dręczy, brzmi: gdzie jest kartoteka Drapieznika?

- Wątpię, żeby w ogóle istniała - odparła ponuro Liz.

- Widzę, że nie zmieniłaś zdania od rozmowy z Greyem Mellencampem?

- Nie. Często wracałam do niej pamięcią, ale nie znalazłam w niej nawet cienia sugestii, że mój ojciec taką dokumentacją prowadził. - Skręcili w Mission Canyon Street. Liz ugryzła się w język. Zanim zabrną za daleko, musi się przekonać, czy z MacIntosha da się wycisnąć całą prawdę. - Czy to Langley stoi za tą szopką, tutaj, w Santa Barbara? Czy to oni sfinansowali dwa stanowiska, rzekomo sponsorowane przez Ayleswortha, na które przyjęto mnie i Kirka, mojego anioła stróża? Czy któryś z waszych ludzi ma pseudonim Temida?

MacIntosh zerknął na nią z ukosa. W jego oczach błysnął cień zaskoczenia, w głosie dał się słyszeć szacunek:

- Wiesz o Temidzie?

- To ktoś od was?

MacIntosh pokiwał głową.

- Jak się dowiedziałas?

- To nieistotne. Po co ta szopka?

- Skoro my słyszeliśmy plotki o kartotece, inni też musieli. Wcześniej czy później stałabyś się naturalnym celem ataku. Biorąc pod uwagę, że dziś już dwa razy próbowano cię sprzątnąć, ludzie z Langley chyba mieli rację. Może nawet powinnaś im być wdzięczna.

Liz prychnęła pogardliwie.

- Langley było i jest zainteresowane wyłącznie kartoteką. Ja się nie liczę.

- Nie możemy dopuścić do tego, żeby takie dokumenty wpadły w niepowołane ręce - odparł przeproszającym tonem MacIntosh. - Chyba rozumiesz, Liz...

- Skąd mam wiedzieć, że to nie Langley nasłało na mnie tego zbira?

- To by nie miało sensu. Jeżeli zależy nam na tej kartotece, jesteś naszą jedyną szansą. To się nie zmieniło.

Pokiwała głową. Gdyby to CIA nasłała mordercę, staranniej zatuszowaliby poranną wpadkę.

- Musiałeś już wcześniej do mnie jechać, skoro tak szybko zjawiłeś się u lekarza. Chyba że masz biuro gdzieś w pobliżu.

MacIntosh odchylił się w fotelu i skrzyżował ramiona na piersi. Górna część jego twarzy była skryta w cieniu, przez co dołek w brodzie wydawał się głębszy i bardziej wyrazisty.

- Mam przydział do biura w Los Angeles. Jechałem na północ, do Thousand Oaks, gdzie miałem prowadzić śledztwo, kiedy dowiedzieliśmy się o Floresie i Walker, a potem o tobie. Langley kazało mi podszyć się pod Harry'ego Craine'a, żeby nie mieszać do sprawy miejscowej policji. Dostałem odpowiednie dokumenty.

- Załatwiliście to już oficjalnie z szeryfem?

- Oczywiście. Jeżeli ktoś zadzwoni, dowie się, że raport Kirka się znalazł i policja prowadzi dochodzenie.

Ale Liz była już myślami gdzie indziej. Czuła się chora, fizycznie chora, jakby dostała wysokiej gorączki ze strachu o Ashera i Sarah.

- W głowie mi się nie mieści, że Sarah i Asher zostali w to wciągnięci.

Wcisnęła mocniej pedał gazu. Musiała jak najszybciej dotrzeć do Paryża. Tam była teraz potrzebna.

- A czego się spodziewałaś? Odkąd ujawniłaś, że przygotowujesz serial telewizyjny o zimnowojennych zabójcach, między innymi o Drapieźniku, stałaś się oczywistym celem. Wszyscy, dla których kartoteka jest zagrożeniem, w przeszłości przynajmniej raz korzystali z usług płatnego zabójcy: wynajęli twojego ojca. Gdyby przyszło im do głowy, że masz

kompromitujące ich dokumenty, twoje życie byłoby warte mniej niż niezapłacony mandat. W dodatku ścigaliby cię ludzie, którzy chcą dostać kartotekę w swoje ręce, a tacy nie przebierają w środkach. Stąd porwanie twojej kuzynki.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym przy pierwszym spotkaniu? Po co mnie oszukiwałeś?

- Asher długo nie mógł odzyskać przytomności, potem majaczył, a my musieliśmy ustalić fakty. To trochę trwało. Ale ponieważ w Langley uznano, że porwanie Sarah i próba zabicia ciebie mogą się łączyć, kazano mi cię obserwować.

Liz wzięła głęboki wdech.

- Czy to Langley kazało zdjąć mój serial z anteny?

- Owszem, użyliśmy swoich wpływów - przyznał MacIntosh. - Teraz, kiedy emisja została przełożona, ryzyko ataku na ciebie powinno być mniejsze. Nie chcemy, żeby coś nam przeszkodziło w poszukiwaniach Sarah.

- I kartoteki.

Wzruszył ramionami.

- Jasne.

Skręcili z Mission Street na drogę numer 101 i skierowali się na zachód, w stronę lotniska.

- No dobrze, czyli mamy dwie grupy. Z jednej strony są porywacze Sarah, którzy żądają okupu w postaci kartoteki. Z drugiej mamy mocodawców faceta, który próbował mnie zabić. Albo boją się kompromitacji, gdyby doszło do ujawnienia tych dokumentów, albo mają kartotekę i obawiają się, że ich rozgryzę.

- Zgadza się. Też tak uważamy.

- Jak wygląda sytuacja w Paryżu?

- Wszystko zatuszowaliśmy. Nie chcemy, żeby gazety zaczęły się rozpisywać o płatnym zabójcy, który prowadził tajną kartotekę, i o uprowadzeniu żony agenta CIA. Współpracujemy ściśle z Surete, żeby zminimalizować ryzyko przecieku, ale tylko z Surete: z żadnymi innymi agencjami, francuskimi czy zagranicznymi. W hotelu powiedzieliśmy, że Asher został ranny podczas napadu rabunkowego i jest w szpitalu, a Sarah się nim opiekuje. W szpitalu z kolei myślą, że Sarah doznała szoku, nie wychodzi z hotelu i jest pod stałą opieką lekarza.

- Kto załatwił im rezerwację w bistro?

- Recepcjonista. Już z nim rozmawialiśmy, ale nic z tego nie wynikło. Mamy go na oku.

- Do czego jestem wam potrzebna?

- Dzięki tobie zyskamy na czasie. Skoro napastnicy byli dostatecznie skuteczni, żeby unieszkodliwić Ashera i porwać Sarah, są chyba na tyle rozgarnięci, żeby dyskretnie trzymać rękę na pulsie. Kiedy cię zobaczą, pomyślą, że przyjechałaś zorganizować przekazanie kartoteki. Dojdą do wniosku, że chcemy spełnić ich żądania. Powinni się trochę uspokoić. Często się zdarza, że pod presją porywacze zabijają zakładników na długo przed terminem odbioru okupu. Zaczynają się denerwować, bać i wyobrażają sobie najgorsze.

Niestety MacIntosh miał całkowitą rację. Jeszcze jedno ją niepokoiło.

- Co dokładnie mam robić?

- Podszyciesz się pod Sarah i odwiedzisz Ashera. W ten sposób bajeczka, którą karmimy szpital, stanie się bardziej wiarygodna. Gdyby ktoś pytał, właśnie wychodzisz z szoku i chcesz się spotkać z mężem. Mamy nadzieję, że na twój widok Asher coś więcej sobie przypomni. A potem pojedziesz do hotelu. Może wpadnie ci w oko coś, co my przeoczyliśmy. Masz się zachowywać naturalnie, jakbyś tam mieszkała.

- Jak Sarah?

- Jak Sarah. Dzięki temu nie będziemy musieli nic nikomu wyjaśniać. Oczywiście porywacze będą wiedzieli, że to ty.

- Jak jej szukacie?

- Posłaliśmy ludzi na ulice, poza tym dyskretnie wykorzystujemy kontakty, swoje i Surete, które wyrobiliśmy sobie w przeszłości. Sama wiesz, że na to trzeba czasu, ale też niczego nie zaniebujemy. Chociaż, prawdę mówiąc, przydałby się jakiś konkretny trop, na przykład cynk od człowieka, który poszedłby z nami na jakiś układ. Albo plotka, której źródło dałoby się wytropić.

Czyli normalna procedura.

- Co z kartoteką?

- Będziemy cię wspierać w poszukiwaniach.

- Już próbowałam, do cholery! I nic. Nie ma żadnej kartoteki!

- Może musisz się bardziej postarać. Od waszej rozmowy z Mellencampem Langley również rozgląda się za tymi dokumentami, ale na razie bez powodzenia. Mimo to ktoś uważa, że kartoteka istnieje. Inaczej nie doszłoby do dzisiejszych ataków. - MacIntosh zawahał się po chwili dodał ciszej: - Co oczywiście nie znaczy, że ten ktoś ma rację.

Liz zmarszczyła niespokojnie brwi i omiotła spojrzeniem ulicę.

- To byłby wyrok śmierci dla Sarah.

8.

Bratysława

Powietrze było ciepłe, lepkie i wilgotne, noc miała się ku końcowi. Simon zaczynał się bać, że nie zdąży. Znad rzeki pobiegł prosto do mieszkania na Starym Mieście, zrzucił smoking i przebrał się w dżinsy i luźną koszulę. Z sejfku za łóżkiem wyjął berettę kaliber 9 mm i sprawdził ją dokładnie. Nie mógł się doczekać spotkania z człowiekiem, który miał coś wiedzieć o śmierci jego ojca, ale nie zapominał o ostrożności. Wsunął pistolet z tyłu za pasek, a do kieszeni schował miniaturową, mocną latarkę.

Już miał wyjść, kiedy jego wzrok padł na lustro nad biurkiem. Przez chwilę sam siebie nie poznawał. Blase Kusterle? Simon Childs? Kim właściwie był? Zwykle wczuwał się całkowicie w rolę i unikał bezpośrednich kontaktów z MI-6. Łatwiej było trzymać się jednej tożsamości, ale tej nocy jego świat wywrócił się do góry nogami. I nagle, bez uprzedzenia, znów stał się Simonem.

Zawrócił i gapił się w lustro. Ada nazwała go pewnym siebie przystojniakiem, ale on wcale tak o sobie nie myślał. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, niedogolone policzki, lekko pofalowane włosy, kasztanowe i dość długie - w sam raz w stylu Blase'a Kusterle'a, agitatora i buntownika - nos wydatny i guzowaty... z powodów, o których wolałby zapomnieć. Bładoniebieskie oczy sprawiały wrażenie zmęczonych, było też w ich wyrazie coś, co wcale mu się nie podobało. I nie wiedział, kogo powinien za to winić - Blase'a czy Simona.

Pokręcił głową, zde gustowany tą chwilą samokrytyki. Wybiegając z domu, przypomniał sobie o raporcie dla Ady. Trudno, będzie musiała poczekać.

Do świtu została najwyżej godzina, kiedy truchtał Kapitulską do katedry Świętego Marcina. Olbrzymi gotycki kościół, strzelisty i trochę niesamowity, stał tuż obok zbudowanej przez komunistów Staromestkiej - paskudnej estakady, która nawet o tak wczesnej porze tętniła ruchem i cuchnęła spalinami. Okolice katedry były jednak jak wymarłe.

Wyciągnął latarkę i ostrożnie obszedł kościół. Wszystkie zmysły miał maksymalnie wyczulone. Zaglądał na dziedzińce, obserwował mury, przyległe budynki i sąsiedni plac. Katedra Świętego Marcina była narodowym skarbem Słowaków: przed pięciuset laty odbywały się w niej koronacje węgierskich monarchów i aż do czasów współczesnych pełniła

czynnie swoją funkcję. W nocy zamykano ją na klucz. Simon nikogo nie znalazł, nie zauważył też niczego podejrzanego.

Odetchnął z ulgą. Wyjął berettę i podszedł do drzwi w północnej ścianie budowli, przez które - zgodnie z zaleceniem w liście - zamierzał dostać się do środka. Były uchylone, więc je pchnął. Poczul zapach wilgotnego kamienia. Wzdłuż jednej ze ścian biegła półeczka, na której stały pozapalane świece wotywny, chociaż korytarz miał instalację elektryczną i można było włączyć normalne światło. Wyteżył słuch i z bijącym sercem przekroczył próg. W środku było o dobre dziesięć stopni chłodniej. Zostawił drzwi uchylone.

Świece stały w sporych odstępach, ledwie oświetlając drogę. Szedł powoli, z bronią gotową do strzału. Ktoś, kto nie znał ogromnej katedry, mógł się w niej łatwo zgubić: miała jedną główną nawę, dwie boczne, prezbiterium - tylko dla księży - trzy gotyckie kaplice, dużą gotycką kruchtę i barokową kaplicę Świętego Jana Jałmużnika. Cisza kamiennych ścian dzwoniła w uszach.

Zgodnie z instrukcją wszedł do pierwszej kaplicy. Stanął z tyłu, usiłując oddychać spokojnie. Kiedy się zatrzymał, powietrze wokół niego znieruchomiało. Nie poruszały się ani płomyki świec, ani ich cienie. Kaplica wydawała się pusta. Simon błędził wzrokiem po ławkach, wiekowych gobelinach, rozproszonych światłach i atramentowych cieniach. Zastanawiał się, czy autor (albo autorka) notki już jest w kaplicy, a jeśli nie, to czy w ogóle się zjawi. Zdał sobie sprawę, że rozpaczliwie chce tego spotkania - a zarazem bardzo się go boi.

Spojrzał na zegarek: nadeszła umówiona pora. Usiadł w trzeciej ławce od końca, blisko wnęki w ścianie. Wsunął berettę pod prawe udo, żeby mieć do niej łatwy dostęp, latarkę odłożył na ławkę z drugiej strony i czekał.

Odwrócił się w stronę wnęki, w której biały, marmurowy posąg Matki Boskiej zdawał się lśnić niezwykłym blaskiem. Wpatrywał się w niego jak urzeczony. Przypomniało mu się dzieciństwo w Londynie, kiedy regularnie chodził do kościoła z matką, ojczymem i przyrodnim starszym bratem Mickiem, rodzonym synem jego matki i sir Roberta Childsa. Bardzo kochał przybranego ojca.

Zatopiony we wspomnieniach odwrócił się w stronę ołtarza, kiedy usłyszał dźwięk tak cichy, że z początku wziął go za wytwór własnej wyobraźni.

- Nie ruszaj się. I patrz do przodu. - Słowa wypowiedziano po angielsku, ale z włoskim akcentem. Męski głos był niski i stanowczy. - Cierpliwości. Przy odrobinie szczęścia załatwimy tę sprawę szybko i rozejdziemy się każdy w swoją stronę.

Simon widział sylwetkę mężczyzny, ale nie jego twarz.

- Kim jesteś? - zapytał i powoli się odwrócił.

- Pamiętasz mordercę z Miller Street w Londynie? Byłeś wtedy dzieckiem. - Tamten udał, że nie słyszał pytania.

Siedział jakieś trzy metry za nim - poza zasięgiem rąk, ale dostatecznie blisko, żeby w ciszy kaplicy jego szept był wyraźnie słyszalny. Simon miał ochotę złapać go za gardło i wycisnąć z niego wszystkie informacje. Odparł jednak twardo:

- Napisałeś, że mój ojciec został zamordowany. Kto go zabił?

- O tym później. *Piu tardi*. Najpierw musisz zrozumieć, od czego się zaczęło. - Ton głosu zdradzał, że mężczyzna nawykł do wydawania rozkazów i nie lubił, kiedy mu przerywano. - Znasz historię mordercy z Miller Street czy nie?

Simon sięgnął pamięcią wstecz.

- Wszyscy podejrzewali, że jest londyńczykiem, bo porzucał zwłoki ofiar w najciemniejszych zakamarkach miasta. Zasłynął jako jeden z najokrutniejszych morderców w historii Londynu. Pierwsze ciało znaleziono chyba w zaułku odchodzącym od Miller Street. Pamiętam, że zakazano mi wychodzić na dwór. Mama się o mnie bała.

- *Buono*. To był prawdziwy potwór. Utrzymywał chłopców przy życiu, żeby służyli mu do *disgustoso* zabaw, a potem pozwalał się im wykrwawić. Po znalezieniu jedenastych okaleczonych zwłok inspektor policji był święcie przekonany, że zidentyfikował sprawcę: to arystokrata z dziada pradziada, z okazałym rodowym majątkiem. Ale nagle wszystkie dowody zniknęły. Wyparowały. Zrobiono kozła ofiarnego z szeregowego urzędnika, który został zwolniony z pracy. Ciekawe, że w tym samym czasie asystent inspektora przeszedł na emeryturę: dostał niespodziewany spadek i osiadł na południu Francji. A samemu inspektorowi, który odważył się oskarżyć arystokratę, zarzucono skłonności do hazardu. Kiedy śledztwo zostało umorzone, wycofano także oskarżenia o hazard. - Mężczyzna wyrecytował to wszystko jak dobrze wyuczoną lekcję. - Ale kiedy zginął dwunasty chłopiec, w sprawę wtrącił się twój ojciec.

- Pamiętam, że był wściekły. Podważył wiarygodność metod stosowanych przez policję i zażądał wszczęcia specjalnego śledztwa. Ale nie przypominam sobie, żeby ktoś trafił za kratki. Właściwie w ogóle nic więcej nie pamiętam. Morderca chyba przestał zabijać.

- Poniekąd. Prawda jest taka, że twój ojciec wziął się na serio do rzeczy. Sir Robert spotykał się już z takimi praktykami: naciski, wycofywanie zarzutów, umarzanie śledztw, ale nigdy przedtem sprawa nie była tak poważna. Uznał, że trzeba za wszelką cenę ratować następne dzieci, więc dyskretnie, korzystając ze swoich rozległych kontaktów, wynajął zawodowego zabójcę. Ten zlikwidował arystokratę, pozorując wypadek samochodowy.

Scotland Yard przyjął wiadomość o wypadku z ulgą, rodzina zabitego również, tak że nikt w sprawę nie wnikał.

Simon, zaskoczony, nie wiedział, co powiedzieć. Jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy zrozumiał, że nie pochwała postępku ojca. Sir Robert zawsze występował w obronie praw człowieka i myśl, że mógłby wynająć zabójcę, nie mieściła się Simonowi w głowie. Ale co do jednego tajemniczy informator miał rację: morderca z Miller Street był prawdziwym potworem i jego apetyt na młodych chłopców wydawał się nienasycony. A sir Robert miał w tym okresie dwóch małych synków i przerażoną żonę.

- Pięć lat temu ktoś się o tym dowiedział i próbował szantażować sir Roberta. - Mężczyzna przerwał, po czym ciągnął niewzruszonym głosem: - To wtedy sir Robert podciął sobie żyły. Popułnił samobójstwo, żeby uniknąć aresztowania i zachować dobrą opinię. Byłby skończony jako polityk, a skandal zaszkodziłby jego rodzinie.

Simon zeszywniał. Gdyby ojciec się nie zabił, matka też by żyła. Pozwoliłaby sobie wszcześcić rozrusznik, a tak zmarła pół roku po mężu. Splótł kurczowo palce, czując znajomy przypływ żalu i złości. Tak bardzo próbował jej pokazać, że ma po co żyć, ale smutek był silniejszy. Nie chciała żyć bez swojego ukochanego. Chudła w oczach, cera jej żółkła, sił ubywało z każdym dniem, aż upodobniła się do zjawy. Tego widoku nigdy nie zapomniał, bez względu na to, jakiego nazwiska używał.

Postanowił zmienić temat.

- Czego chciał szantażysta?

- Poparcia dla ustawy o wolnym handlu, na co sir Robert oczywiście nie mógł się zgodzić.

- Nie handlował głosami - Simon pokiwał głową. - Czy wygrywał, czy przegrywał, zawsze kierował się honorem - zawahał się, bo nie była to całkiem prawda. Ojciec miał jednak swoje wady: wynajął przecież zabójcę. A popełniając samobójstwo, uśmiercił żonę. - Polityka była dla niego wszystkim - powiedział szorstko. - Żyłby w wiecznym stresie, czekając, kiedy szantażysta odezwie się i znów zażąda jego głosu. Ale skąd szantażysta dowiedział się o wynajęciu zabójcy? Powiedziałaś, że ojciec załatwił to dyskretnie. Czy sam zabójca mógł go szantażować?

- Nie. Wtedy już nie żył.

- No to kto?

- Nie słuchałeś, co mówiłem? - Pierwszy raz głos informatora zdradził z trudem skrywaną złość, chociaż to nie Simon był jej powodem. - Nie wiadomo. Dlatego tu jestem. Musisz się dowiedzieć, kto to był. Zidentyfikuj szantażystę i powstrzymaj go.

Simon przesunął prawą dłoń w stronę wciśniętej pod udo beretty.

- Dlaczego mam ci wierzyć? Może kłamiesz? Czego właściwie chcesz?

- Już powiedziałem: chcę, żebyś powstrzymał tego barbarzyńcę. Ni mniej, ni więcej.

Nigdy nie byłeś przesadnie ufny w stosunku do obcych, co, Simmy?

Simon zmartwił.

- Tak cię nazywał ojciec, prawda? Musisz odszukać tego *bastardo*, który doprowadził do śmierci twoich rodziców. Nie wiem, czy to był mężczyzna, czy kobieta. W ogóle za mało wiem. - Tym razem głos zdradzał zniechęcenie. - Pamiętasz Terrilla Leaminga, bankiera z Zurychu? Przyjaźnił się z twoim ojcem. Może coś więcej ci powie. Ale dam ci dobrą radę: buzia na kłódkę. Nikt z nas nie wie, jakie siły możesz sprowokować do działania.

- Coś więcej mi powie? O czym? I skąd w ogóle masz te wszystkie informacje?

Odpowiedziała mu cisza. Odwrócił się błyskawicznie, ale nikogo już nie zobaczył. Zerwał się z ławki i wybiegł do głównej nawy, świecąc latarką po wszystkich kątach i zakamarkach. Kościół był pusty i martwy.

Chwilę stał nieruchomo, pogrążony w myślach, a potem szybko wszedł w korytarz prowadzący do drzwi w północnej ścianie. Zastanawiał się: sądząc po głosie, jego informator mógł mieć jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Mówił z włoskim akcentem, ale posługiwał się przy tym dość wyrafinowaną angielszczyzną. Simon próbował przypomnieć sobie wszystkich włoskich znajomych ojca, ale żaden nie pasował mu na anonimowego posłańca.

Fakt, że znał zdrobnienie, którego ojciec używał w rozmowach z Simonem, nie był niczym niezwykłym - mógł się o nim dowiedzieć od służących albo przyjaciela rodziny. Ale w twierdzeniu, że sir Robert ukrócił karierę mordercy z Miller Street, pobrzmiwała nuta prawdy. Jeśli więc nawet zmyślił całą historię o mordercy, wynajętym zabójcy i szantażu, przynajmniej postarał się, aby wydawała się wiarygodna.

Drzwi na końcu korytarza nadal były lekko uchylone. Zapach wilgoci i starego kamienia w ich pobliżu stał się bardziej intensywny. Simon zgasił latarkę, zdmuchnął świecę i brnął dalej w ciemnościach. Co za zabieg okoliczności: Ada chciała, żeby wyjechał z Europy Środkowej. Nie miała pewnie na myśli wycieczki do Zurychu, ale właśnie tam zamierzał się wybrać.

Przyłgnął do ściany i wyjrzał na dwór. Słońce już weszło, blade złote promienie oświetlały plac wokół katedry. Bezskutecznie wypatrywał anonimowego informatora; facet musiał być świetny w swoim fachu, jeśli potrafił wsunąć mu karteczkę do kieszeni i nie dać się złapać. A poza tym Simon od trzech lat pracował pod fałszywym nazwiskiem. Bojąc się o

bliskich, powiedział im, że zatrudnił się na platformie wiertniczej w Ameryce Południowej, i rodzina nie miała z nim kontaktu. Skąd informator wiedział, że jest w Bratysławie? I że wieczorem przyjdzie na plac Hviezdoslava?

Bardzo mu się to wszystko nie podobało. Ostrożnie wymknął się z kościoła. Napisze raport dla Ady, a potem poleci do Zurychu. I weźmie sobie do serca radę, której udzielił mu informator: buzia na kłódkę.

9.

Telekonferencja, Bruksela

- Tu Hyperion. Co nowego, Kronos?

- Tu Atlas.

- Prometeusz się zgłasza.

- Temida, jestem. Boże, co za barbarzyńska pora.

- Tu Okeanos. Zaczynajmy.

- Dobrze. To już wszyscy. Mówi Kronos. Atlas prosił mnie o najświeższe informacje i to chyba jemu zawdzięczacie tak niezwykłą godzinę konferencji. Pierwszy, bardzo ważny etap operacji zakończył się sukcesem. Sansborough została napadnięta po raz drugi. Mac ją obserwował. Dobrze się spisała, jest w formie. Nadaje się do naszych celów. Po napadzie Mac nawiązał kontakt i Sansborough zgodziła się na współpracę...

W samolocie, w drodze do Paryża

Z Langley przysłano ulubiony odrzutowiec wszystkich VIP-ów świata - gulfstreama V, z pełnym bakiem i bez podsłuchu. Miał osiem foteli pasażerskich, wyposażonych w wielokanałowe telefony i satelitarne łącza internetowe. Każdy fotel można było dowolnie obrócić i pochylić. W umieszczonym blisko ogona centrum komunikacyjnym znajdował się mocny stacjonarny komputer z bezprzewodowym łączem do Internetu. Dwaj piloci zajęli miejsca w kokpicie i Liz z Makiem mieli całe wnętrze smukłej maszyny dla siebie.

Mac stanął przy minibarku, zmieszał martini w kieliszku na wysokiej nóżce, a sobie nalał piwa Red Tail.

- Wódka Belvedere, tak jak chciałaś - oznajmił zadowolony. Podał jej drinka i usiadł obok w fotelu. Odetchnął z ulgą.

Liz pociągnęła łyk. Dobry alkohol i łatwy do przyrządzenia drink sprawiły jej przyjemność. Zapowiadała się długa podróż - od startu do lądowania jedenaście godzin, chociaż lecieli najkrótszą trasą, nad biegunem północnym. Według szacunków pilota mieli wylądować w Paryżu najpóźniej za pięć trzecia po południu czasu miejscowego. Przy sprzyjających warunkach może trochę wcześniej.

- Bardzo się nam przydasz - zapewnił Mac. - Dzięki tobie zyskamy na czasie.

Jego szczery zapał trochę ją zaskoczył. Mac dał się lubić, może dzięki temu doświadczeniu, które jemu chyba przeszkadzało, ale w jej oczach czyniło go kumplem. Musiała się jednak mieć na baczności: pracował dla Langley i był starym wygą. Pijąc drinka, zdała sobie nagle sprawę, że coś w jego słowach zgrzytało... Powiedział coś, co nie pasowało do wizerunku, jaki sobie stworzyła. Wytężyła pamięć, ale nie mogła sobie przypomnieć ani co to było, ani momentu, w którym o tym powiedział.

Zaraz jednak inna niepokojąca myśl ją przytłoczyła.

- Skąd pewność, że Sarah jeszcze żyje?

- Wiedzielibyśmy, gdyby ją zabili. Ciało zawsze się znajdzie, w takim czy innym miejscu... - Mac spojrzał na Liz i szybko spuścił wzrok. - Masz rację: nie mamy pewności. Ale będziemy się zachowywać tak, jakby żyła, dopóki nie zdobędziemy dowodu, że jest inaczej. Spójrz na to z innej strony: w półświatku nikt nic nie wie. To znaczy, że Sarah żyje, a porywaczom nadal zależy na dyskrecji.

- Nawet jeśli dostarczycie im kartotekę, i tak mogą ją zabić.

Wzruszył ramionami i zajrzał do szklanki z piwem.

- Na razie musimy przyjąć, że żyje, tak samo jak zakładamy, że Drapieznik prowadził kartotekę.

- W porządku.

Liz usiłowała się odprężyć, ale natrętne myśli nie dawały jej spokoju: najpierw rozmyślała o Sarah i Asherze, a potem o swojej odpowiedzialności za kłopoty, w jakich się znaleźli. Bez namysłu skorzystała z oferty Fundacji Ayleswortha, która zgłosiła się niespełna tydzień po śmierci Mellencampa. W ten sposób rozpoczęła się jej kariera naukowa. Nigdy nie zastanawiała się nad tym zdumiewającym zbiegiem okoliczności. W tym właśnie była jej słabość, jej wina: rozpaczliwie chciała uwolnić się od przeszłości i zacząć nowe życie w nowym świecie. Zamarzyło się jej szczęście. A teraz Sarah i Asher za to płacili.

Mac odsunął swój stolik, wstał i sięgnął do schowka nad głową.

- Mam coś dla ciebie.

Zdjął z półki metalową walizeczkę, otworzył zamek szyfrowy i wyjął małego, zgrabnego sig sauera kaliber 9 mm, takiego, jakiego sam nosił, ulubiony pistolet agentów amerykańskiego wywiadu. To była piękna broń - przynajmniej tak by o niej pomyślała Liz za dawnych czasów. Mac podał jej pistolet.

- Jest nie do wytropienia. Miałem wziąć twojego walthera...

Liz, marszcząc brwi, spojrzała na sig sauera, ale nie wzięła go do ręki.

- Czy to znaczy, że do sejfu też mi się włamałeś?

- Nigdzie indziej nie znalazłem pistoletu, a wiedziałem, że broń może ci się przydać. Skoro już byłem u ciebie w domu, chciałem wziąć twoją, ale pomyślałem, że mogliby cię po niej zidentyfikować, gdyby w Paryżu, uchowaj Boże, coś poszło nie po naszej myśli. Sarah też mogłabyś zaszkodzić. Dlatego poprosiłem Langley, żeby jakaś dyskretna spluwa znalazła się w samolocie. Oto ona.

- Gdzie mój walther?

- Zostawiłem go w samochodzie, w schowku.

- Nie chcę broni - westchnęła.

- Nie wygłupiaj się. Dziś dwa razy omal nie zginęłaś.

- Wygłupiają się ci, którzy myślą, że bronią można rozwiązywać problemy.

- Pistolet we właściwych rękach może uratować życie.

- Kusząca perspektywa - trzeźwo oceniła Liz. - Jeżeli uciekamy się do przemocy w imię dobrej sprawy, przemoc też staje się dobra. Tak właśnie rozumował Mussolini: „Jest gwałt moralny i jest gwałt niemoralny”. Oboje wiemy, jak opierając się na tej filozofii, został dyktatorem i związał się z Hitlerem. Kłopot w tym, że przemoc nie jest jakimś obojętnym surowcem jak masło czy żelazo; nie jest neutralna pod względem etycznym i politycznym. To, że ktoś uważa jakąś sprawę za szlachetną, nie nobilituje przemocy, której się dla dobra tej sprawy dopuszcza.

- Zaraz, po kolei. - Mac zmarszczył brwi. - Każda przemoc jest zła. Koniec, kropka.

- Widzę, że zaczynasz rozumieć.

- Nawet jeśli użyje się jej do zapobieżenia gorszym aktom przemocy? Jeżeli dzięki niej uniknie się ludobójstwa, pogromu, tyranii?

- Przemoc jest dla świata problemem, tylko dlatego że sami na to pozwalamy. Tworzymy romantyczne mity o mordercach, takich jak Bonnie i Clyde. Sankcjonujemy przemoc, powołując armie, policje i agencje wywiadowcze. Mitologizujemy ją na dziesiątki sposobów. Jednym z najsmutniejszych przykładów są umierający żołnierze w Wietnamie -

prosili lekarzy o ostatniego papierosa, chociaż nigdy wcześniej nie palili. Odgrywali heroiczne scenki z II wojny światowej, o których słyszeli albo które widzieli na filmach. Co za romantyczna śmierć. Aż się serce kraje.

- Dziękuję za wykład, pani profesor.

- Nie obchodzi mnie, czy uważasz mnie za nieprzystosowaną do życia w naszym świecie. Nie wezmę broni do ręki. Dobrze wiem, co to przemoc. Mam doświadczenie, a od niedawna badam ją od strony naukowej. I wolę, żeby mnie szlag trafił, niż żebym miała ją promować.

- Jak chcesz. - Mac wzruszył ramionami. - To twój pogrzeb.

Spojrzał na nią badawczo, ale widząc, że nie ustąpi, schował pistolet do pudełka. Samolotem lekko szarpnęło. Mac wyjął z kieszeni telefon komórkowy.

- Nokia nikogo nie zabije. - Podał komórkę Liz.

Wzięła aparat do ręki.

- Co ty powiesz...

- Ma wbudowany szyfrator. Nie zapisuje w pamięci żadnych numerów. Sam też taką mam. W Paryżu będę twoim opiekunem. Gdzie tylko się da, będę cię obserwował, żeby w razie potrzeby być pod ręką. Nie nosząc broni, uprzykrzysz mi życie, ale dam sobie radę. Głupotą byłoby pokazywać się gdzieś razem, więc będziemy się kontaktować przez komórki.

- Nie sądzę, żebyś musiał mnie ratować z opresji. W swoim czasie całkiem nieźle radziłam sobie sama. Ale masz rację: może będziemy musieli czasem porozmawiać. Jaki masz numer?

Zapamiętała ten numer. Wolą nie wprowadzać go do pamięci aparatu, który mógł wpaść w niepowołane ręce.

- I jeszcze jedno - dodał Mac. - Asher mówił, że nie widziałyście się z Sarah od kilku miesięcy. Wiesz, że obcięła włosy?

- Nie.

Pokazał jej kolorowe fotografie, a właściwie wydruki z komputera. Pierwszy przedstawiał Sarah i Ashera - objęci i radośni stali na złocistej plaży po kostki w morskiej pianie. Na drugim biegli po piasku, a na trzecim Asher wrzucał Sarah do oceanu. Było widać, że kochają się do szaleństwa. Coś ścisnęło Liz za gardło.

- Możesz obejrzeć jej nową fryzurę ze wszystkich stron - ciągnął Mac. - Dasz radę się tak ostrzyć? - Wyjął nożyczki.

Wzięła je od niego.

- Skąd masz te zdjęcia? Od nich z domu?

Sarah i Asher mieszkali w Malibu, sto kilometrów na południe od Santa Barbara - niby blisko, ale zarazem wystarczająco daleko, żeby nie widywali się z Liz tak często, jak by chcieli.

Mac skinął głową.

- Jeden z moich ludzi się do nich włamał. Przesyłka w formie elektronicznej.

- Wyobrażam sobie.

Dla Firmy nie było świętości. Nawet konstytucja się nie liczyła. Jeden z dyrektorów CIA tłumaczył kiedyś w Kongresie, że Agencja czasem nie może przestrzegać konstytucji. Na tym właśnie polegał kolejny problem: instytucje i ludzie skłonni do stosowania przemocy niszczyli to, co mieli chronić. Forma stawała się ważniejsza od treści.

Liz poszła do łazienki, gdzie było lustro i lepsze światło.

Santa Barbara, Kalifornia

Dochodziła dziesiąta wieczór. Kirk Tedesco jechał do domu swoim mustangiem kabrioletem - wstawiony, zaniepokojony i zły. Gdzie się podziała Liz? Byli umówieni na randkę, a ona zniknęła bez słowa.

Po naradzie z dziekanem wszędzie jej szukał. Zawsze była kapryśna. Nie powiedział dziekanowi, że jej zdaniem w ich znajomości liczy się przede wszystkim przyjaźń, a nie seks, którego, nawiasem mówiąc, było stanowczo za mało. Kiedy nie znalazł jej samochodu, zadzwonił do niej do domu, ale usłyszał tylko sygnał automatycznej sekretarki. Po cichu liczył na to, że czeka u niego w domu.

Zdegustowany wypił trzy szklanki czystego burbona (o niebo lepsze od tych rozwodnionych drinków, które serwowano na przyjęciu; jak można w ten sposób traktować jacka danielsa?). Wściekły wytoczył się z rezydencji dziekana, wszedł do mustanga, opuścił dach i z rykiem ośmiocylindrowego silnika pomknął przed siebie.

Teraz jechał drogą numer 101 na południe, do swojego domu na plaży w okolicy Summerland. Ruch był niewielki. Większość samochodów jechała w tę samą stronę, jak zwykle o tej porze. Mieszkańcy Los Angeles wracali do domów; ci, którzy chcieli zatrzymać się w L. A. w hotelach, jechali złapać kilka godzin snu przed poranną rundą oficjalnych spotkań.

Zamyślił się i dopiero po chwili zauważył, że ma wiernego towarzysza. Spodobało mu się to: oto jeszcze jeden kierowca, który chce sobie szybciej pojeździć. Obaj mieli włączone tempomaty - i obaj wypatrywali patroli policji. Tamten musiał jechać terenówką, sądząc po

wysokości, na jakiej miał reflektory. Kirk spojrzął na prędkościomierz: sto dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, w sam raz. Z taką samą szybkością pędziła terenówka.

Ciepły wiatr, przesycony zapachem oceanu, świszczął mu w uszach. Księżyc świecił jasno nad Pacyfikiem, kładąc się na falach srebrnoszarym stożkiem. Ta poświata też się Kirkowi podobała. Nic w życiu nie powinno być czarno-białe, bo to załatuje nudą. Włączył radio i nastawił je na KCLU, swoją ulubioną rozgłośnię jazzową. Tam jednak zamiast muzyki usłyszał komunikat radia publicznego, więc przełączył się na KLTE, stację rockową. No tak, to jest to...

Bębniąc palcami o kierownicę w rytm muzyki, zerknął w lusterko - raz, potem drugi. Reflektory terenówki wyraźnie się zbliżyły; wewnątrz mustanga zalała powódź światła. Kirk się zaniepokoił - nie tylko dlatego że tamten wóz nagle przyspieszył, ale i dlatego że bliskie reflektory z tej odległości do złudzenia przypominały ślepią drapieżnego zwierza.

Wcisnął pedał gazu, przyspieszył do stu trzydziestu pięciu i znów spojrzął w lusterko. Terenówka była jeszcze bliżej niż poprzednio. Nie do wiary. Czego ten facet się najarał?

Otrząsnął się, próbując błyskawicznie wytrzeźwieć. Na długim podjeździe, z którego zjeżdżało się prosto do Summerland, nie było innych samochodów. Po prawej stronie lśnił milczący ocean. Kirk nie włączył kierunkowskazu i, nie zwalniając, zjechał na prawy pas. Niech łobuz wyprzedza, jak ma taki naddźwiękowy wózek.

Ale samochód terenowy go nie wyprzedził: zjechał na ten sam pas. Kirkowi zaschło w gardle, serce zaczęło mu bić szybciej. Niemal sparaliżowany patrzył, jak widoczne w lusterku reflektory zbliżają się do jego odkrytego wozu. W pewnym momencie terenówka stuknęła go w tylny zderzak.

Krzyknął, dodał gazu i chciał skręcić w lewo - za późno: terenówka już zjechała na lewo, przyspieszyła i zrównała się z nim. Nadal próbował otrząsnąć się z oparów alkoholu, kiedy uderzyła bokiem w drzwi mustanga. Zawył ze złości i próbował zacisnąć ręce na kierownicy, ale wyrwała mu się z dłoni.

Kiedy mustang przełamał barierkę, przerażony Kirk zdał sobie sprawę, że zginie. Krzyczał, ile sił w płucach, chwycił wreszcie kurczowo kierownicę, ale kabriolet wystrzelił już jak z katapulty, przeleciał nad torami kolejowymi i spadł na stromy stok między krzewy, głązy i drzewa. Każde kolejne uderzenie szarpało zapiętym w pasach kierowcą. W końcu mustang runął w przepaść i zaczął pikować w stronę plaży. Kirk jeszcze raz krzyknął przeraźliwie, poczuł ostatnie uderzenie - a potem nie było już nic.

10.

W samolocie, nad biegunem północnym

Liz spojrzała na kupkę kasztanowych włosów w umywalce. Jak po ogoleniu owcy, pomyślała i uśmiechnęła się krzywo: co za niefortunne porównanie. Uczesała się w taki sposób, żeby maksymalnie upodobnić się do Sarah, która na zdjęciach miała włosy w bardzo modnym nieładzie.

Popatrzyła w lustro. Musnęła charakterystyczny pieprzyk nad górną wargą. Ona miała go od urodzenia - Sarah taki sam, ale w wyniku operacji plastycznej. Liz miała krzywo zrosnięty mały palec u lewej ręki - złamała go w dzieciństwie na wrotkach; biednej Sarah złamano palec celowo, żeby wyglądał tak samo. Rodzina Liz zaciągnęła wielki dług wdzięczności u Sarah, która przeżyła piekło, tylko dlatego że Liz próbowała pomóc rodzicom wrócić do normalnego życia. A przynajmniej tak się jej wydawało. Koniec końców tylko matka dotrzymała umowy. Te wspomnienia zawsze sprawiały Liz przykrość.

Dość tego marnowania czasu. Westchnęła ciężko i wyszła z łazienki. Mac siedział w fotelu; głowę oparł na zagłówku, oczy miał zamknięte, na kolanach rozłożył sobie wygrzebany skądś pled. Myślała, że śpi, kiedy niespodziewanie się odezwał:

- Musimy porozmawiać o twoich rodzicach. Mogłaś o czymś zapomnieć, przeoczyć fakt, który dałby nam wskazówkę, gdzie szukać kartoteki.

- Powiedziałam ludziom z Langley wszystko, co wiem. Nie zapominaj, że dwa razy przesłuchiowano mnie w tej sprawie. W kółko zadawali mi te same pytania, do znudzenia.

Mac skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechnął się lekko, ale nie otworzył oczu.

- Zrób to dla mnie. Wyobraź sobie, że w ten sposób spłacisz dług za przelot prywatnym odrzutowcem do Paryża.

Liz usiadła.

- Nie ma więcej koców?

Mac sięgnął po pled, leżący na podłodze za jego fotelem.

- Dam ci go, jeśli oddasz mi odznakę.

- W porządku.

Wygrzebała z torebki dokumenty Maca, który schował je w kieszeni marynarki, i przykryła nogi kocem. Był ciepły i miękki. Kojąco miękki.

- Zaczniemy od początku. - Mac spojrział na nią. - Od twojego ojca. Jak byś go nazwała? Był socjopatą? A może psychopatą?

Liz zeszywniała. Nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa, ale Mac miał rację: jeżeli da się naciągnąć na zwierzenia, może przypomni sobie coś użytecznego.

- Ani jednym, ani drugim. Miał wyrzuty sumienia, chociaż niechętnie o tym mówił. - Spojrzała Macowi w oczy. - Brak poczucia winy jest cechą definicyjną zarówno socjopatów, jak i psychopatów. Wszelkie przestępstwa, od kradzieży przez pobicie aż po morderstwo, traktują obojętnie albo przynajmniej wprawnie je racjonalizują. Obie te patologie charakteryzują się kompletnym brakiem empatii, który najczęściej obserwuje się u nałogowych kłamców, a także u ludzi, którzy lekceważą prawa i uczucia innych.

- Dobrze cię rozumiem? - Mac zmarszczył brwi. - Nie ma różnicy między psychopatą a socjopatą?

- Nie dałeś mi skończyć. U psychopaty obserwuje się również objawy psychotyczne, najczęściej paranoję albo dziwne, pokrętne wzorce rozumowania. Psychopata może na przykład wierzyć, że zadając ból, sprawia swoim ofiarom przyjemność albo że ofiary na ten ból zasługują.

- Czyli zawodowy morderca, który zabija z zimną krwią, jest socjopatą - powiedział z namysłem Mac. - A gość, który zabija, bo myśli, że ktoś na niego poluje, to psychopata.

- Mniej więcej. Hitler najprawdopodobniej był psychopatą. Biznesmen, który dla zysku jest gotów doprowadzić drugiego człowieka do ruiny, ma zadatki na socjopatę.

- To oskarżenie kapitalizmu.

- Tak? Widzę, że cię to śmieszy. Jeden z moich profesorów powiedział kiedyś, że gdybyśmy wszyscy mieli dobrze poukładane w głowach, nie byłoby wojen, nie brakowałoby nam jedzenia, ubrań, domów i wolnego czasu. Bylibyśmy twórczy i produktywni. To miłe wyobrazić sobie taki świat.

- Kiedyś mówiło się, że tak wyglądałby świat pod rządami kobiet.

- Być może. Na razie nie obchodzi mnie, kto rządzi; interesują mnie skutki. Ale wróćmy do tematu. Spróbuję ci wytłumaczyć, dlaczego tata był inny. Psycho- i socjopaci dzielą swoje życie na przegródki. Świetnie to widać w *Depresji gangstera*. Pamiętasz? Robert De Niro gra tam szefa mafii.

Mac skinął głową.

- Jest tam taka scena, kiedy De Niro tłumaczy prostytutce, że kocha żonę, ale nie może pozwolić, żeby obciążała mu łaskę, bo tymi samymi ustami całuje potem ich dzieci. Jest w tej

scenie kapitalny, można pęknać ze śmiechu, ale to bardzo znacząca kwestia. Zdradza, że bohater nie ma pojęcia, co żona myśli o jego spotkaniach z prostytutkami albo o miłości francuskiej. Jest socjopata. Nie obchodzi go, kim jest kobieta, z którą się ożenił - poza faktem, że jest jego żoną. Jej rola ma się ograniczać do odgrywania scenariusza, który on dla niej napisze.

- Klasyczny mafioso. Oni wszyscy chcą mieć żony, bo to daje im wyższy status w rodzinie. A w mafii pozycja jest wszystkim.

- Właśnie. Chodzi o odgrywanie ról, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. To dlatego filmowy mafioso może się zachowywać jak kochający mąż, chociaż nie tylko nie kocha żony, ale właściwie nawet jej nie zna. Jeżeli okazuje w małżeństwie czułość, to raczej z pobudek egoistycznych, niż kierując się empatią. Socjopaci udają kochających mężów i ojców, lecz co naprawdę czują?... Tego nikt nie wie.

- Ale twój ojciec był inny, tak?

- Nie jestem pewna... - przerwała z wahaniem. - Wydawało mi się, że nas kocha, mimo że był zabójcą. Kiedy postanowiliśmy z mamą zwinąć interes, powiedział, że on też z tym kończy. Że tak trzeba. Wtedy myślałam, że może próbuje się nam przypodobać. - Pokręciła głową. - Pierwszego człowieka zabił pod wpływem impulsu. Pracował w Las Vegas, miał niecałe dwadzieścia lat i uszło mu to na sucho, ale wpadł w oko mafii. Uznali, że ma talent. Kiedy mafia szkolił cię na zabójcę, zaczynasz od wykonywania wyroków na mętach, które dla niej pracują. Tata wierzył, że zabija złych ludzi.

- Był mścicielem?

- I tak, i nie. Widzę, że lubisz etykiety. Zabijał dla pieniędzy, ale tylko tych, którzy na to zasługiwali. I sam decydował, czy potencjalna ofiara jest wystarczająco wredna. Kiedy wypłatał się z mafii i zaczął działać na własną rękę, nikt nie zaglądał mu przez ramię. Był sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Lubił to.

- A jak to było z twoją matką? Sama odkryła prawdę, czy ojciec w końcu przyznał się, co robi?

- Rozpracowała go. Myślała, że ma kochankę, i zaczęła go śledzić.

Wróciło bolesne wspomnienie: Melanie, jej matka, gorączkowo przeszukuje szafę ojca. Ma łzy w oczach. Liz podbiega do niej. Matka klęka i poprawia jej sukienkę. „Nic się nie martw, skarbie - mówi. - To nic takiego. Tatusz zostawił list, a ja nie mogę go znaleźć. Naprawdę, nic się nie stało. Idź po rowerek. Pojedziemy do parku. Chcesz? Będzie fajnie”.

Otrząsnęła się i wróciła do rzeczywistości.

- Oczywiście nawet wtedy nie powiedział jej prawdy. Wyjaśnił, że pracuje dla MI-6, bo wiedział, że to się jej spodoba. Od tej pory pomagała mu planować akcje, a niedługo potem sama zaczęła zabijać.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - Mac spojrzał na nią podejrzliwie.

- Kiedy po latach znów zamieszkaliśmy razem, matka o wszystkim mi opowiedziała.

- No tak. - Mac pokiwał głową. - Pochodziła z rodziny o wojskowych tradycjach. To na pewno pomaga.

Liz zerknęła na niego z ukosa, ale nic nie wyczytała z jego twarzy. To naturalne, że Langley przesłało mu jej akta, a w nich pełną - i wreszcie autentyczną historię rodziny. Ojciec Melanie robił karierę w wojsku, matka wypełniała towarzyskie i charytatywne obowiązki żony oficera, a Melanie w tym czasie sama wychowywała trójkę młodszych braci. Kiedy zmarł jej dziadek, ojciec odszedł z wojska i jako sir John Childs wrócił z rodziną do Childs Hall w Londynie. Po jego śmierci tytuł szlachecki przeszedł na Roberta, brata Melanie, a kiedy sir Robert popełnił samobójstwo, tytuł i majątek odziedziczył jego najstarszy syn Michael, kuzyn Liz.

- To prawda - przytaknęła. - Umiała obchodzić się z bronią. No i dorastała w domu, w którym na co dzień mówiło się o śmierci i przemocy. Później, kiedy odkryła, że tata jest wolnym strzelcem i przyjmuje zlecenia z różnych źródeł, zabrnęła za daleko, żeby się wycofać, ale nigdy nie działała wbrew interesom ojczyzny. Tata też nie. A kiedy ja odkryłam ich sekret, z dnia na dzień się wycofała. Tata też.

Zamknęła oczy i wyciągnęła się w fotelu. Przypomniało jej się ciemne i biedne mieszkanie w Madrycie, kryjówka, w której schronili się po tym, jak ojciec w Lizbonie wykonał ostatnie zlecenie. Matka aż pobladła ze wstydu i złości. „Nienawidzę cię, Hal. Patrz, co z nami zrobiłeś. Liz już wie. Jej też zniszczysz życie!”

Wzięła głęboki wdech i odepchnęła te obrazy od siebie.

- Tata miał miękkie serce. Poświęcał mi mnóstwo uwagi, kiedy dorastałam.

- Sugerowałaś przedtem, że miał skazę psychiczną, ślad po jakimś urazie. Jak do niego doszło?

- To skomplikowana sprawa. Ojciec taty był prawnikiem, jednym z najlepiej opłacanych radców prawnych na całym Zachodnim Wybrzeżu, a przy tym takim skurczybykiem, że nawet współpracownicy z kancelarii go nie lubili. Sarah go знаła. Od jej matki wiem, że dziadek był oschły, chłodny w obejściu i w ogóle okropny dla syna, który mając kilkanaście lat, mieszkał głównie na ulicy i co chwila pakował się w kłopoty. Dziadek wysłał go do Las Vegas do wuja, który miał szerokie koneksje. Straszna... i znacząca decyzja, nie

uważasz? Uznał, że mafioso będzie dla jego syna doskonałym nauczycielem i wzorem do naśladowania.

- Rozumiem, do czego zmierzasz.

- Dalej było jeszcze ciekawiej. Tata zadomowił się w Vegas: dostał pracę w kasynie, zakochał się, ożenił. Tylko że potem zamordowano mu żonę. Wpadł w szal. A że chętnie brał sprawy w swoje ręce, dowiedział się, kto to zrobił, i zabił gościa.

- Pierwszy wyrok. - Mac spochmurniał. - Mafia musiała się o wszystkim dowiedzieć, to zrozumiałe; mieli go pod bokiem. Zaczął dla nich pracować i skończył jak jego ojciec: został płatnym mordercą.

- Widzę, że rozumiesz. A co było dalej, już wiesz.

- Wiem.

Jeszcze przez dwie godziny Mac wypytywał Liz o szczegóły z życia jej rodziców. Odpowiadała cierpliwie. Kochała Hala Sansborough, który był jej ojcem, chociaż nienawidziła Drapieznika, zawodowego zabójcy. Była rozdarta między gniewem a miłością, między poczuciem obowiązku wobec kraju a pretensjami do samej siebie, że zapoczątkowała ciąg wydarzeń, który doprowadził do samobójstwa ojca.

Od lat prowadziła tę wojnę w swoim sumieniu. Wykształcenie i doświadczenie naukowe w niczym jej nie pomogły, chociaż właśnie dzięki wspomnieniom z domu zajęła się psychologią przemocy. Udzieliła Macowi wszelkich wyjaśnień, ze wszystkiego się wytłumaczyła, ale nie zbliżyli się ani na krok do odkrycia tajemnicy kartoteki Drapieznika.

Santa Barbara, Kalifornia

Niedługo po północy czarny terenowy dodge zajechał na podjazd wiktoriańskiego domu Derricka i Dolores Quentinow w willowej dzielnicy wśród wzgórz. Kierowca nie obawiał się ewentualnych świadków - tak jak nie martwił się nimi, kiedy mordował Kirka Tedesco - ale łatwiej mu się pracowało bez publiki.

Przyjechał sam. Wysiadł z samochodu, trzymając w jednej ręce latarkę, a w drugiej browninga z tłumikiem. Światła w domu były pogaszone, ale znał na pamięć rozkład pomieszczeń na parterze, który przesłano mu e-mailem. Kolbą pistoletu stłukł szybę w drzwiach kuchennych, sięgnął do środka - był w rękawiczkach - i otworzył zasuwkę. Wszedł i przez chwilę nasłuchiwał; z piętra dobiegały odgłosy krzątania, ale interesowały go tylko z jednego względu: robota zapowiadała się ciekawiej. Żeby lepiej widzieć, podwinął

kominiarkę i rozejrzał się przy świetle latarki. Przeszedł przez kuchnię, mijając sterty brudnych naczyń i resztki jedzenia z niedawnego przyjęcia. Wszedł na główne schody.

Na piętrze dziekan właśnie wyszedł z łazienki; był zaspany i speszony. Kierowca dodge'a odczekał, aż spojrzy mu w oczy. Dziekan podniósł wzrok i, przerażony, oparł się ciężko o drzwi.

Kierowca uśmiechnął się i strzelił mu w sam środek czoła. Rozległo się ciche „puk”, trysnęła fontanna krwi. Dziekan zatoczył się do tyłu, młócąc na oślep rękami, uderzył o masywne biurko i osunął się na podłogę. Krew popłynęła obfitym strumieniem.

Zabójca jeszcze przez chwilę mu się przyglądał, a potem wszedł do sypialni pani domu, która poruszała się niespokojnie pod kołdrą. Miał nadzieję, że odgłos wystrzału przebił się przez jej sen. Stanął nad nią, spojrzał jej z bliska w twarz i czekał. Chirurgia plastyczna, pomyślał: kobieta dobiegała sześćdziesiątki, ale po zabiegu wyglądała na czterdzieści pięć lat. Zrobiła się na bóstwo - tylko po to, żeby tak skończyć.

Nagle, jakby wyczuwając obecność intruza, otworzyła szeroko oczy. Zabójca z satysfakcją dostrzegł lęk na jej twarzy. Strzelił jej prosto w otwarte do krzyku usta.

Sprawdził pozostałe pokoje, ale tak jak się spodziewał, nikogo więcej w domu nie było. Zszedł do salonu, odszukał sejf, przestrzelił zamek i zabrał całą biżuterię i gotówkę. Potem jeszcze upewnił się, że obie ofiary nie żyją, bez pośpiechu wrócił do wozu i odjechał.

W samolocie, nad biegunem północnym

Liz obserwowała śpiącego Maca. Jego słowa nadal nie dawały jej spokoju. Musiał powiedzieć coś, co przeczyło jej dotychczasowej wiedzy. Cofnęła się pamięcią do poprzednich rozmów, a kiedy znalazła odpowiedź, gniew rozgorzał w niej na nowo. Zaczęło się od rozmowy z Shayem Babcockiem, producentem serialu. Mówił o przełożeniu emisji: „Bruce Fontana, szef rozrywki w Compassie, poinformował mnie, że wczoraj wieczorem klamka zapadła”.

Wczoraj wieczorem. Shay nagrał się jej na sekretarkę, kiedy poszła biegać i została napadnięta. Mniej więcej wtedy też wprowadzono Sarah.

Tymczasem według Maca Langley nalegało na zdjęcie serialu z anteny, ale dopiero po porwaniu Sarah. „Użyliśmy swoich wpływów - powiedział. - Teraz, kiedy emisja została przełożona, ryzyko ataku na ciebie powinno być mniejsze. Nie chcemy, żeby coś nam przeszkodziło w poszukiwaniach Sarah”.

Ktoś tu kłamał, i to raczej nie Shay. Nic by na kłamstwie nie zyskał. Z drugiej strony, po co Mac miałby ją oszukiwać? A może ci z Langley nie powiedzieli mu całej prawdy? Myśl, że Langley mogło z góry wiedzieć o porwaniu, wcale jej się nie podobała.

Przyglądała się towarzyszowi podróży. Miał zamknięte oczy, oddychał miarowo, był rozluźniony. Spał. Odczekała pół godziny, żeby mieć pewność, że nie udaje. Dopiero wtedy wstała, na palcach przeszła do centrum komunikacyjnego i zalogowała się do Internetu, używając podanego przez Shaya kodu zabezpieczającego. Dzięki niemu mogła zatrzeć swój ślad w sieci.

Tylko widmowa poświata monitora rozjaśniała pomieszczenie, kiedy Liz szukała informacji o Nicolasię Inglethorpie, medialnym potentacie, który był władny zdjąć jej program z anteny. Urodził się w Houston w Teksasie i zaczynał praktycznie od zera: najpierw miał tylko jedną marną rozgłośnię radiową. Poczawszy od niej stworzył całą sieć stacji, aż wreszcie stał się posiadaczem międzynarodowego imperium wydawniczego, sieci sklepów muzycznych, studia filmowego i, rzecz jasna, Compass Broadcasting.

Liz uśmiechnęła się pod nosem, czytając o jego karierze, bojach, jakie toczył z konkurencją, i próbach wysondowania, czy nadawałby się na gubernatora Kalifornii. Ten człowiek nie tylko był żądny władzy, ale też umiał się nią posługiwać.

W „Business Week” znalazła się wzmianka o jego działalności dobroczynnej. Zszokowana Liz przeczytała: Inglethorpe był aktualnym prezesem Fundacji Ayleswortha. To drań! Znalazła w sieci listę poprzednich prezesów i odszukała datę: luty 1998 roku - właśnie wtedy spotkała się z Greyem Mellencampem. Zakłęła w duchu. W lutym prezesem był Mellencamp. Kiedy zmarł, jego miejsce zajął Inglethorpe, a wszystko to działo się tuż przed tym, jak fundacja zaproponowała jej udział w konkursie na stanowisko wykładowcy. Walcząc ze strachem i złością, szukała dalej. Mellencamp i Inglethorpe należeli do zarządów wielu firm i organizacji, i to często w tym samym okresie.

W końcu odsunęła się od komputera, żeby spokojnie przetrwać informacje. W radzie nadzorczej Fundacji Ayleswortha Inglethorpe zastąpił Mellencampa. Można było spokojnie założyć, że współpracuje z CIA; magnaci przemysłowi i prasowi, którzy chcieli liczyć na przychylność rządu, często godzili się na taki układ. Poszedł Agencji na rękę jako prezes fundacji, a teraz posłuchał zalecenia Langley i odwołał emisję serialu. Może on też podlegał tajemniczemu Temidzie.

Ale znając te fakty, wcale nie wyzbyła się podejrzliwości wobec Langley. Nadal nie widziała powodu, dla którego Mac miałby ją okłamywać. Starła się nie tracić zimnej krwi.

Co oni tam kombinują? Czy naprawdę zależy im na życiu Sarah? Czy raczej realizują własny plan, o którym ona nie ma pojęcia?

11.

Zurych

Wysadzana drzewami, cicha i spokojna Bahnhofstrasse to nie tylko legendarny bulwar handlowy, jeden z najdroższych w Europie, ale także centrum bardzo lukratywnego szwajcarskiego biznesu: międzynarodowej bankowości. Mimo to mało kto z klientów i turystów, którzy włóczyli się po sklepach, oglądając zegarki po pięć tysięcy dolarów i skarpetki po pięćset za parę, zdawał sobie sprawę, że idzie dosłownie aleją ze złota.

Dla Szwajcarów dyskrecja w banku jest tylko jednym z przejawów delikatności, z jaką należy prowadzić wszelkie interesy. Dlatego nie mówiło się głośno o tym, że pod powierzchnią ulicy ciągną się pomieszczenia, sięgające na pięć pięter w głąb ziemi i wypełnione bogactwem ze wszystkich krajów świata. Przy Bahnhofstrasse znajduje się w istocie największy na świecie rynek handlu złotem. Ulokowane przy niej i przy jej przecznicach banki są tak potężne, że mają wpływ nie tylko na decyzje zapadające w szwajcarskiej stolicy, ale i na te, które podejmuje się w innych światowych metropoliach.

Terrill Learning należał do rady nadzorczej Darmond Bank AG, którego okazała siedziba mieściła się nieopodal Paradeplatz. Ani jedno okno nie wychodziło na ulicę. Przy lśniących, czarnych drzwiach widniała tylko mosiężna tabliczka z adresem, bez nazwy banku. Strażnik w meloniku i ciemnym garniturze (dyskretnie wybrzuszonym pod pachą) stał na marmurowych schodkach. Akwizytorzy nie byli mile widziani w Banku Darmonda.

Simon podał swoje nazwisko strażnikowi, który ze śmiertelnie poważną miną zaanonsował go przez krótkofalówkę. Simonowi też nie było do śmiechu, kiedy razem czekali na odpowiedź. Próbował nie myśleć o makabrycznej śmierci Viery, ale kiedy czekanie się przedłużało, koszmarny obraz coraz wyraźniej stawał mu przed oczami.

Po spotkaniu z anonimowym informatorem w katedrze Świętego Marcina wrócił do domu, wziął prysznic, przebrał się i napisał raport dla MI-6. Wcisnął go do zgniecionej puszki po coli, którą zostawił pod klonem nieopodal starego mostu. Przy okazji roztargnionym gestem podniósł z ziemi zmiętą torebkę po hamburgerach z McDonald'sa, zadrukowaną,

naturalnie ze słowackimi reklamami. Najczęściej punkty kontaktowe mieściły się w publicznych toaletach, ale Simon zawsze wolał te na dworze - w razie potrzeby łatwiej było uciec. Oddaliwszy się od mostu, wyjął ciasno zwiniętą kartkę i wyrzucił torebkę do kosza.

Zaszedł do kawiarenki przy bramie Świętego Michała, orzeźwił się mocną kawą i zjadł świeżutką bułkę. Dopiero wtedy rozwinął papier. W środku znalazł jeszcze jeden karteluszek. Pierwszy zawierał zaszyfrowaną wiadomość od Ady. Kazała mu się zaszyć we Florencji, podała adres kryjówki i dopisała jeszcze: *Viera Jozef zostawiła list z przesłaniem dla świata. Kopia w załączeniu. Pod żadnym pozorem nie wyjeżdżaj z Florencji. Czekaj na kontakt.*

Ze ściśniętym gardłem dopił kawę i otworzył list. Powoli przeczytał ostatnie słowa Vieri. Prosiła bogatych, aby dawali tyle, ile biorą, i okazywali ludzkie uczucia, zamiast wyznawać religię pieniądza. Trochę to załatwiała biblijnym kazaniem, chociaż Viera była ateistką. Prosiła też brata i przyjaciół o wyrozumiałość i przebaczenie i zachęcała ich do kontynuowania walki. O Simonie nie wspomniała ani słowem. Zdziwił się, że jest tym zaskoczony - a jeszcze bardziej, że go to zabolalo. Czego właściwie się spodziewał?

Na wspomnienie jej samobójstwa łzy napłynęły mu do oczu. Zamrugnął, podarł list na drobne kawałeczki i rzucił je na stół. Potem zgarnął je w zgrabny stosik, niczym popiół z miniaturowego ogniska i powtórnie przeczytał rozkazy. Miło, że Ada wybrała dla niego Florencję: piękne miasto, oferujące masę rozrywek, na uboczu wydarzeń. Nie miał najmniejszego zamiaru tam jechać. Tę kartkę też podarł.

Teraz, o trzeciej po południu, stał na schodach przed wejściem do eleganckiego Banku Darmonda. Torbę zostawił w schowku w centrum miasta, pistolet wsunął z tyłu za pasek i ukrył pod brązową sportową marynarką. Tylko dzięki odznace MI-6 Szwajcarzy pozwolili mu wwieźć go do kraju.

Zdawał sobie sprawę, że powinien jak najszybciej zapomnieć o Vierze i błędzie, jakim była ich zażyłość, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Z zamyślenia wyrwał go brzęczyk krótkofalówki.

Ochroniarz podniósł nadajnik do ucha.

- *Ja?*

Jego twarz pozostała ponura i kiedy słuchał, i kiedy odwrócił się do drzwi. Coś w nich szcęknięło: elektrycznie sterowany zamek został otwarty od wewnątrz.

Strażnik pociągnął drzwi do siebie. Simon wszedł do środka i z trudem się powstrzymał, żeby nie gwizdnąć z podziwem. Hol miał trzy piętra wysokości, a jego sufit wspierał się na rzymskich kolumnach. Zmieściłyby się w nim dwa boiska krykietowe, a

wystroju wnętrza nie powstydzilaby się sama królowa angielska. Recepcjonistka siedziała przy ozdobnym biurku ponad pięć metrów od drzwi. Na piętrach pracownicy banku przemykali jak duchy po galeriach ozdobionych balustradami z czarnego żelaza, kutego w misterne niczym koronka wzory. Indyjski radża, który wpadłby do Darmonda zdeponować rodowe skarby, na pewno czułby się tu jak w domu.

- Simon?

Z prawej strony otworzyły się ażurowe drzwi windy i wysiadł z niej Terrill Learning. Posiwiął i przygarbił się trochę, ale był jak zwykle elegancki, gładko uczesany i przypominał dobrze odżywioną wydrę. Zatrokaną wydrę.

Podali sobie ręce.

- Witaj, Terrill.

- Ledwie cię poznałem. Kiedy myśmy się ostatnio widzieli?

- Pięć lat temu, na pogrzebie taty.

- No tak, rzeczywiście. - Terrill słuchał Simona jednym uchem; było widać, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Nawet nie zaprosił gościa do biura, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać.

Simon zniżył głos.

- Chciałem z tobą porozmawiać o śmierci taty.

Learning rozejrzał się zaniepokojony i podenerwowany, jakby spodziewał się ataku wilczej watahy.

- To mogło nie być zwyczajne samobójstwo - ciągnął Simon. - Słyszałem o morderstwie na zlecenie i późniejszym szantażu. Podobno możesz wiedzieć coś więcej.

Nogi ugięły się pod Learningiem i Simon musiał go podtrzymać, żeby nie upadł. Bankier odchrząknął.

- Hm... Dziś jestem bardzo zajęty. Co innego jutro... Tak! Przyjdź jutro!

Simon pochylił się i szepnął mu do ucha:

- Czegoś się boisz, a wzmianka o samobójstwie taty jeszcze bardziej cię przeraziła. Pogadajmy, Terrill. Obojętne gdzie. Bo inaczej zrobię ci tu taką scenę, że pożałujesz.

Recepcjonistka podejrzliwym wzrokiem obserwowała mężczyznę, który spoufalął się z jednym z prezesów. Z pewnością poza obowiązkowymi niemieckim i francuskim znała angielski i parę innych języków na dokładkę.

Simon uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Przejdziemy się, Terrill? To doskonały pomysł. Odetchniesz świeżym powietrzem. Lepsze to niż nasiadówka w dusznym biurze. Co ty na to?

Bankier wreszcie spojrział mu w oczy. Simon zobaczył w nich strach, którego się spodziewał, ale i coś więcej, jakby przyzwolenie, zgodę i cień nadziei. Terrill z zapalem pokiwał głową.

- Tak, tak, za długo już tu siedzę. Przy Paradeplatz jest taka milutka herbaciarnia. Na pewno ci się spodoba.

Dwie minuty później szli już szybko ulicą. Mijały ich wypucowane do połysku citroeny, bmw i rolls-royce'y z przyciemnianymi szybami. Przechodnie spacerowali aleją, zamierzając zrobić zakupy, Terrill zaś cały czas rozglądał się nerwowo jak spłoszony jeleń, na którego faktycznie w każdej chwili mogą rzucić się wilki.

- Ktoś cię śledzi? Obserwuje? O to chodzi?

Terrill pokiwał smętnie głową, jakby strach odebrał mu mowę.

Simon obejrzał odbicie ulicy w sklepowej witrynie.

- Nie widzę nic podejrzanego.

- Są tutaj - wychrypiął złowróbnym tonem Terrill. - Podobno pracujesz dla MI-6. To prawda?

Simon spojrział na niego z ukosa. Jedną z żelaznych reguł pracy w wywiadzie stanowiła, że związków z Firmą nie wyjawia się nikomu, absolutnie nikomu - poza ewentualnym małżonkiem, a i to nie zawsze. Simon jednak uważał, że czasem trzeba łamać reguły.

- Tak. I to ci musi wystarczyć, jasne?

- Oczywiście. - Terrill niespokojnie pokiwał głową.

- W czym problem?

Zbliżali się do Paradeplatz. Po jego obwodzie jeździły niebiesko-białe zuryskie tramwaje, a na placu nianie spacerowały z wózkami, turyści robili zdjęcia, młodzi zakochani wymachiwali torbami z markowych butików i całowali się po udanych zakupach. Znajdująca się na obrzeżu placu herbaciarnia była prawdziwą oazą spokoju. Usiedli przy stoliku na zewnątrz i zamówili herbatę: Terrill delikatną formosę oolong, Simon mocną, cierpką lapsang souchong. Oczekali, aż kelner odejdzie.

- Niedawno... niedawno przenieśliem wszystkie oszczędności do funduszu powierniczego - zaczął Terrill. Miał podkrążone, zaczerwienione z niewyspania oczy. - Podejrzewam, że mój własny bank w coś mnie wrabia. Grozi mi aresztowanie. Albo coś jeszcze gorszego. Dziś po południu chciałem iść na policję, ale ty zjawiłeś się wcześniej.

- Coś gorszego? - powtórzył Simon współczującym tonem, starając się ukryć zniecierpliwienie. - No to się nie dziwię, że się martwisz. Ale mam dla ciebie propozycję... Opowiedz mi o śmierci taty, a ja pomogę ci się skontaktować z policją.

Terrill siedział ze wzrokiem utkwionym w obrus. Pokiwał głową.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Co chcesz wiedzieć?

- Czy dlatego popełnił samobójstwo, że ktoś go szantażował? Ktoś, kto wiedział, że w przeszłości wynajął zawodowego zabójcę?

- Obawiam się, że właśnie tak. - Terrill podniósł oczy. - Nie był dumny z tego, co zrobił, ale po prostu uważał, że tak należało. Mówił, że godzi się na wszelkie ewentualne konsekwencje, doczesne i pozagrobowe. I kiedy... kiedy go zaszantażowano, zrobił to, co zrobił. Twój ojciec był prawdziwym mężczyzną.

Tak należało? Guzik prawda! Likwidacja sadysty nie rozwiązywała narastających od lat problemów z nepotyzmem, nieuczciwością i nieodpowiedzialnością bogatych, którzy przywykli do tuszowania najokrutniejszych zbrodni.

- Co śmierć taty ma wspólnego z twoimi problemami?

Przerwali rozmowę, gdy kelner przyniósł herbatę. Kiedy odszedł od stolika, Terrill poruszył się niespokojnie na krześle, upił łyk z filiżanki, i rozejrzał się po placu i zapytał:

- Co wiesz o Banku Darmonda?

- Stare pieniądze, stabilna pozycja, wpływowy, dyskretny. Elitarny do przesady. Czytałem gdzieś o waszym potencjalnym kliencie: chciał założyć u was konto, ale ponieważ miał mniej niż milion franków szwajcarskich, Darmond odmówił. Wasz szofer zawiózł go służbowym rollsem do innego banku, na drugim końcu miasta.

- To prawda. - Terrill się rozpogodził, prawie uśmiechnął. - Darmond Bank prowadzi interesy na wysokim pułapie. Przez trzydzieści lat ściśle współpracowałem z prezesem, baronem de Darmond. Obsługiwaliśmy same europejskie znakomitości... W ostatnich czasach ledwie nie wplątano nas w największe skandale finansowe, włącznie z aferami w BCCI i Banca de Tebaldi.

- Byłeś w te sprawy osobiście zaangażowany?

- Oby tylko. Nasi najlepsi włoscy klienci chcieli uniknąć kontroli skarbowej, więc z baronem zakładaliśmy dla nich fikcyjne firmy, w których lokowaliśmy aktywa. A potem okłamywaliśmy włoskie sądy. Nie ma się czym chwalić, wtedy jednak uważałem, że robimy to dla dobra firmy.

- Zawsze można tak myśleć - odparł Simon z ledwie skrywaną pogardą. Napił się herbaty. - Tym się teraz martwisz?

- Znów: oby tylko. Czy nazwisko Giovanni de Tebaldi coś ci mówi?

- W 1982 jakiegoś de Tebaldiego, bankowca, powieszono pod mostem Blackfriars w Londynie. To ten?

Terrill otarł twarz jedwabną chusteczką. Na kciuku nosił sygnet z co najmniej dwukaratowym brylantem.

- Ten sam. Bandyta. Wolny strzelec, który wyłamał się z europejskiej finansjery. Kiedy baron stwierdził, że czas się go pozbyć, osobiście dostarczyłem wynajętemu zabójcy walizkę z pół milionem dolarów. Ostatnio włoska policja podatkowa wznowiła śledztwo, a obecny prokurator łatwo nie odpuści. Baron boi się, że rozgrzebie sprawę Tebaldiego. Myślę, że de Darmond chce zrobić ze mnie kozła ofiarnego. - Przejęty Terrill spojrzał Simonowi w oczy. - Poza tym szantażują mnie w związku z zabójstwem Tebaldiego. Tak jak pięć lat temu szantażowali twojego ojca.

A więc dlatego Terrill o mało nie zemdlął w banku. Szantaż.

- Wynajęliście tego samego zabójcę - domyślił się Simon.

- Właśnie. Wy tłumaczyłem twojemu ojcu, w jakiej sytuacji się znalazłem, a wtedy on skontaktował mnie z tym człowiekiem. Z Drapieżnikiem. Do dziś nie mogę uwierzyć, że załatwiłem tę sprawę do końca.

Z Drapieżnikiem. Simon słuchał z kamienną twarzą, nie dając po sobie poznać, jakie wrażenie zrobił na nim ten pseudonim. Jego ojciec wynajął własnego szwagra. Ciekawe, czy zdawał sobie z tego sprawę.

- Ale ja się nie poddam! - dodał Terrill ze złowrogim błyskiem w oku. - Złożę zeznania i wszystkich pograżę, razem z baronem i całym bankiem! - Nie zastanawiał się nad etyką i moralnością, kierowały nim wyłącznie strach i żądza zemsty.

- Słyszałem o Drapieżniku - zaczął ostrożnie Simon. Wyglądało na to, że Terrill nie ma pojęcia o rodzinnych powiązaniach zabójcy. - Był prawdziwą legendą w swoim fachu, ale już nie żyje. Nie może cię szantażować.

- To prawda. Twój ojciec przypuszczał, że Drapieżnik dokumentował swoje kontrakty i że szantażysta dotarł do jego kartoteki. Skąd by inaczej wiedział o tym, co zrobił sir Robert?

- I o tym, co ty zrobiłeś. - Chryste Panie! Kartoteka Drapieżnika! Daty, miejsca, nazwiska z najwyższej półki; może nie tylko dane zleceniodawców, ale także osób z otoczenia ofiar, zarówno niewinnych, jak i takich, które próbowały ukryć przed światem swoje drobne grzeszki. Albo przestępstwa. Albo morderstwa. - No dobrze, szantażysta ma dostęp do kartoteki - stwierdził pozornie beznamiętnym tonem. - Czy mój ojciec podejrzewał kogoś konkretnego?

- Nie - Terrill pokręcił głową, ale domyślał się, jak szantażysta wszedł w posiadanie dokumentacji.

- Jak?

- Przez żonę Drapieżnika. Wydaje mi się, że ją znał. Zginęła w nieszczęśliwym wypadku pół roku przed tym, jak zaczął go szantażować.

Ciotka Melanie.

- Ojciec przypuszczał, że dała komuś kartotekę?

- Nie, raczej że ktoś z rodziny ją przejął. Podejrzał jednego z jej braci, ale nie chciał mi powiedzieć którego, bo nie miał dowodów. Powiedział, że to i tak nic by nie zmieniło, a ucierpieliby niewinni ludzie. Tak, był prawdziwym mężczyzną.

- Jak szantażysta się z tobą skontaktował?

- Najpierw zadzwonił na komórkę i rozmawiał ze mną szeptem, żebym nie mógł poznać go po głosie. A dziś znów się odezwał: dostałem e-mail na domowy adres. Łajdak przysłał mi chyba autentyczne fragmenty kartoteki. Drapieżnik opisał w nich wszystko, od momentu, kiedy go wynająłem, do powieszenia Tebaldiego pod mostem.

- Zapisalesz ten e-mail?

- Czyś ty oszalał?! Oczywiście, że nie!

- Czego chciał?

- Kazał mi jechać do Włoch i wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za bankowe machlojki. - Terrill westchnął ciężko. - Dostałbym znacznie mniejszy wyrok niż w wyniku oskarżenia o zlecenie zabójstwa. W zamian mógłbym zatrzymać zarobione pieniądze. Poza tym mój udział w zamordowaniu Tebaldiego nie wyszedłby na jaw.

- Jeżeli twoje podejrzenia są słuszne, szantażystą może być baron.

- Zgadza się - przytaknął ponuro Terrill. - A nawet jeśli nie, to pewnie z nim współpracuje. Mówiłem: Zrobią ze mnie kozła ofiarnego. Spróbują mnie obciążyć winą za jedno i drugie. - Zerknął na zegarek. - Zabierzesz mnie teraz na komisariat?

Simon miał ochotę odejść i zostawić egoistycznego drania własnemu losowi, ale odparł tylko:

- Jasne.

Miał nadzieję, że zeznanie Terrilla pokrzyżuje szyki baronowi de Darmond i szantażyście.

Zostawili pieniądze na stoliku i wtopili się w tłum turystów i kupujących. Terrill wciąż się odgrażał i obwinał barona, szantażystę i Tebaldiego - wszystkich, poza sobą.

- Na policji powiem wszystko! - pienił się. - Baron pożałuje, że...

Przeciskali się właśnie przez tłum ludzi, który wysypał się z biało-niebieskiego tramwaju, gdy twarz Terrilla stężała. Stał jak wryty, zadrzał, wspiął się na palce, próbował chwycić oddech... i zakaszłał cicho.

- Co się stało? - Simon zatrzymał się przy nim. - Dobrze się czujesz?

Terrill nie odpowiedział. Wytrzeszczył oczy i uderzył się pięścią w pierś.

Simon złapał go wpół i podtrzymał. Bankier leciał mu przez rękę. Simon przycisnął dwa palce do jego szyi, namacał tętnicę, ale nie wyczuł pulsu.

Terrill był martwy. Zmarł w kilka sekund, nagle; czuł się dobrze, na nic się nie skarżył, a potem zakaszłał, uderzył się w pierś i umarł. Simon rozejrzał się po tłumie: mijali go dorośli i dzieci, turyści i miejscowi, ci w pracy i ci na zakupach - aż wypatrzył oddalającego się mężczyznę w ciemnym garniturze. Szedł spokojnie, równym krokiem, nie odwracał się.

Uwagę Simona przyciągnęła jednak przede wszystkim czarna laska ze srebrną gałką, którą trzymał w prawej ręce wysoko nad ziemią. Dopiero po chwili puścił ją między palcami, aż dotknęła ziemi, a on zaczął się wtedy na niej normalnie opierać. Metalowa końcówka rytmicznie postukiwała w chodnik.

Simon puścił trupa i zaczął biec. Za plecami usłyszał stłumiony krzyk i pytania po niemiecku:

- Co się stało?

- Co to za człowiek?

- Co mu jest?

Zawtórowały im inne głosy w innych językach. Cały plac podchwycił okrzyk:

- Łapać go!

Panowało jednak zbyt wielkie zamieszanie, za dużo było ludzi i tramwajów, a nieliczni przechodnie, którzy próbowali złapać Simona, za bardzo się bali go zatrzymać.

Mężczyzna z laską, który nie zareagował na pierwszy okrzyk, popełnił teraz błąd. Obejrzał się przez ramię, a kiedy zorientował się, że jest ścigany, też zaczął biec.

Z przodu na tle błękitnego alpejskiego nieba rysowała się sylwetka wieży katedry. Simon biegł chodnikiem przy ruchliwej ulicy w stronę mostu Münster nad rzeką Limmat, tymczasem zabójca nagle skręcił na jezdnię. Roztrąbiły się klaksony, on jednak uskakiwał przed samochodami i odbijał się rękami od karoserii ze zwinnością światowej klasy futbolisty.

Simon próbował go gonić, ale przeszkodziła mu dwójka rowerzystów i morderca spokojnie dotarł na drugą stronę ulicy. Dopiero wtedy Simon znów popędził za nim, również

klucząc wśród pędzących pojazdów. Na przeciwległym chodniku roztrącił pieszych i omal nie potknął się o niski murek, skręcając w wąziutką średniowieczną uliczkę. Biegł na północ. Zaczynał się pocić.

Zabójca był w niezłej formie: biegł lekko, bez wysiłku, długim krokiem - ale dystans między nimi systematycznie się zmniejszał, bo Simon w niczym mu nie ustępował; jego płuca pracowały jak miechy. Zagłębili się w labirynt zaułków, przy których stały wiekowe kamienice. Na skrzyżowaniu morderca skręcił, a kiedy Simon dopadł do rogu, nigdzie nie było go widać.

W tym miejscu zbiegały się cztery uliczki. Simon rzutem oka ogarnął okolicę. Kot wylegiwał się na progu jednego z domów i lizał sobie łapę. Obok siedział staruszek z fajką zrobioną z kukurydzianej kolby. Simon podbiegł do niego, wyciągnął portfel i zamachał zwitkiem banknotów. Staruszek jednak się nie uśmiechnął: wyciągniętą ręką pokazał jeden z zaułków, który zaraz za skrzyżowaniem skręcał i ginął z oczu.

Simon rzucił mu pieniądze i pobiegł we wskazanym kierunku. Za zakrętem rzeczywiście dostrzegł mordercę, który zwiększył dystans i biegł teraz malowniczą ulicą wśród domów z wykuszowymi oknami. Prowadziła stromo pod górę, musiał więc zwolnić. Simon zorientował się już, dokąd zmierza: Lindenhof. Niedobrze.

Na szczycie wzgórza zabójca spojrzał za siebie. Zdziwił się, zmarszczył brwi, a potem, jakby nagle przybyło mu sił, popędził dalej i po kilku krokach zniknął za grzbietem wzgórza.

Przynajmniej przez chwilę Simon widział jego twarz: pociągła, ogolona, zwięzająca się ku brodzie, duże, wojskowe okulary przeciwsłoneczne, niezbyt długie brązowe włosy.

Wbiegł na górę. Kosztowało go to sporo wysiłku i pod szczytem też musiał zwolnić. Rozejrzał się. Przed nim rozpościerał się zielony, zadrzewiony park, nigdzie jednak nie dostrzegł mordercy. Z Lindenhof, obrzeżonego z jednej strony starymi domami, rozpościerała się wspaniała panorama miasta, nic więc dziwnego, że tę okolicę upodobali sobie spacerowicze i zakochane pary. To była najstarsza część Zurychu, dawniej stacjonował tu rzymski garnizon.

W dzień powszedni Lindenhof przyciągał niewielu ludzi. Przy fontannie dwie starsze kobiety grały w szachy na wyrysowanej na ziemi olbrzymiej planszy. Podparte pod biodra wpatrywały się w skupieniu w szachownicę, zapominając o bożym świecie. Figury sięgały im powyżej kolan.

Simon już miał je zaczepić, kiedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Po drugiej stronie placu rozciągał się mroczny lipowy zagajnik. Między drzewami przemykała ciemna sylwetka,

bardziej przypominająca jeden z zalegających pod nimi cieni niż żywego człowieka. Wtopiła się w półmrok. Kiedy rozległ się jazgot policyjnych syren, Simon znów rzucił się w pościg.

Zanim jednak dopadł linii drzew, cień zniknął. Coraz głośniejszy dźwięk syren dobiegał ze wszystkich stron. Setki ludzi na Paradeplatz widziały Simona. W normalnej sytuacji poszedłby na policję, przedstawił się, pokazał dokumenty i czekał spokojnie, aż Szwajcarzy wyjaśnią sprawę z Whitehallem. Ale nie tym razem.

Przecież nie miał nawet pewności, czy Terrill został zamordowany. Jeśli nawet tak było, zabójca nie zostawił żadnych ewidentnych śladów. Prawdopodobnie użył trucizny, którą wstrzyknął za pomocą iniektora umieszczonego w główce laski. Stara sztuczka.

A poza tym on, Simon, powinien być we Florencji - albo przynajmniej w drodze do Włoch.

Zdyszany i przybity zaklął głośno i potrząsnął głową. Przeszedł się po parku, śledząc plątaninę śladów, które na grzbiecie wzgórza tworzyły chaotyczną pajęczynę. Było ich zbyt wiele, a w pobliżu nie widział żadnych potencjalnych świadków. Wytężył słuch, żeby ocenić, gdzie podjadą policyjne wozy, i zbiegł w dół zbocza.

12.

Paryż

Z pudełkiem w rękach i torebką przerzuconą przez ramię Liz szła pospiesznie szpitalnym korytarzem, szukając właściwego pokoju. Była środa, gorące lipcowe popołudnie, i w Szpitalu Amerykańskim panowała senna atmosfera. Pacjenci drzemali, a pielęgniarki uzupełniały dokumentację i przygotowywały leki. Liz bywała tu już wcześniej. Szpital służył z wysokiego standardu usług i anglojęzycznego personelu, więc leczyli się w nim dosłownie wszyscy, od księcia Windsoru i macochy Osamy bin Ladena po zagubionych turystów i pozbawione środków do życia dzieciaki z college'ow - zwłaszcza tych utrzymujących bliskie kontakty ze Stanami Zjednoczonymi.

Jeden człowiek zdecydowanie tu nie pasował. Siedział na korytarzu przy otwartych od frontu drzwiach i czytał „Paris Match”. Wyróżniał się dyskretnym wyglądem i pozornie niedbałym sposobem bycia, tak jakby miał napisane na czole: „CIA”.

Na widok Liz wstał i podał jej rękę.

- Dzień dobry, pani Walker - powiedział, podnosząc głos, żeby słyszeli go wszyscy na korytarzu. - Chuck Draper. Asher cały czas o pani mówi. Cieszę się, że lepiej się pani czuje.

Był mężczyzną po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, miał brązowe włosy i niebieskie oczy - zapewne nieprzypadkowo w tym kolorze była jego sportowa marynarka. Sprawiał wrażenie człowieka, który lubi, kiedy wszystko działa jak w zegarku, i jest z tego powodu wiecznie rozczarowany otaczającym go światem. Wiedział jednak, co jest grane, i spodziewał się „Sarah Walker”.

- Dziękuję za opiekę nad moim mężem.

Wymienili znaczące spojrzenia, wchodząc w swoje role. Od czasu szkolenia na Farmie, gdzie większość rekrutów Langley przechodziła pierwsze treningi, Liz grała już różne postacie, ale głównie fikcyjne, służące zaspokojeniu bieżących politycznych potrzeb. Bardzo rzadko podszywała się pod rzeczywiste osoby, tak jak Mac pod Harry’ego Craine’a. Teraz jednak miała udawać Sarah, której dużo zawdzięczała i na której bardzo jej zależało.

Opanowała gonitwę myśli i jako Sarah Walker weszła do jednoosobowego pokoju.

*

Asher Flores powoli odzyskiwał przytomność. Jak przez mgłę dotarło do niego, że Sarah została porwana. Rany boskie. Próbował usiąść, ale oszołomiony osunął się na poduszkę.

- Dodgersi wygrali - usłyszał czyjś głos.

Głos Liz. Otworzył oczy i utkwiał w niej wzrok. Jej widok go zaskoczył. Tak bardzo przypominała Sarah. Nawet jej głos brzmiał podobnie. To chyba on go obudził. Przez sekundę łudził się nawet, że to Sarah, ale Liz miała minimalnie dłuższą twarz i ciut szersze czoło. Nie ma na świecie dwóch identycznych osób; nawet jednojajowe bliźnięta różnią się między sobą. A już na pewno nie może być mowy o identyczności, kiedy próbuje się ją osiągnąć za pomocą chirurgii plastycznej. Musiał jednak przyznać, że jest jednym z niewielu ludzi, którzy potrafią bezbłędnie odróżnić Liz od Sarah.

- Znowu im się udało? - mruknął. - Życie nie jest takie złe.

Totalne bzdura. Życie jest fatalne i nic się nie zmienia, dopóki Sarah nie będzie bezpieczna.

Liz z uśmiechem odstawiła pudełko. Miała takie same jak Sarah ciemne oczy, pełne usta, wystające kości policzkowe, a teraz nawet taką samą fryzurę. Chryste Panie, dlaczego to nie mogła być prawdziwa Sarah?

- Przyniosłam ci radio i „Herald Tribune” - powiedziała.

Kiwnął głową, ale nie chciało mu się sięgnąć po gazetę. Liz położyła ją na stoliku przy łóżku. Obok ustawiła wyjęte z pudełka radyjko Philipsa i włączyła je do kontaktu.

- Dobry prezent? Pomyślałam, że możesz mieć już dość telewizji.

Zmrużyła znacząco oczy, a Asher zmarszczył brwi i lekko skinął głową. Zrozumiał: mimo środków ostrożności CIA w pokoju mógł być podsłuch. Tak czy inaczej szpital był francuski, a Francuzi montowali mikrofony i kamery nawet w klasie biznesowej Air France, licząc na podsłuchanie strzępków informacji politycznych, militarnych albo ekonomicznych, które okażą się przydatne w wiecznej grze o wpływy.

Udał, że go to interesuje.

- Włącz je, proszę. I złap jakąś dobrą stację.

Wkrótce z radia rozbrzmiał jakiś rockowy bełkot, którego jedyną funkcją było zagłuszenie rozmowy.

- Jak się czujesz? - powiedziała łagodnie, znów jak Sarah.

- Nie najgorzej. Morfina to fajna rzecz: wciąż wszystko człowieka boli, ale go to nie obchodzi. Macie coś?

- Niestety nie, ale chłopcy robią, co mogą. Mam opiekuna, nazywa się Angus MacIntosh. Znasz go? - Kiedy Asher pokręcił głową, Liz mówiła dalej: - Informuje mnie na bieżąco o postępach dochodzenia. Czy to poważna rana?

- Kula przeszła na wylot. Otarła się o żebro, ale niczego mi tam w środku nie podziurawiła.

- Ładnie kłamiesz. Słyszałam, że przy okazji drasnęła wątrobę i jelito. Miałaś operację, głuptasie, musieli cię pozszywać. Mam dla ciebie dobrą radę: szanuj swoje organy wewnętrzne.

Przysunęła sobie krzesło, usiadła, postawiła torebkę na podłodze i oparła się łokciami na łóżku - niespełna pół metra od Ashera. W ten sposób jeszcze trudniej było ich podsłuchać.

- Chuck nie znalazł żadnej pluskwy - zaciągnął się jej zapachem. Sarah.

- Powiedzmy, że mam paranoję. Czy porywacze dzwoniли do ciebie?

- Powiedzieli, że odezwą się czwartego dnia. To element wojny psychologicznej, dzięki temu wciąż zastanawiamy się, co zamierzają. Koncentrujemy się na losie Sarah. Niewiedza zwiększa presję.

Rzeczywiście, było to klasyczne zagranie, ze względu na skuteczność chętnie stosowane przez porywaczy.

Liz pokiwała głową.

- Nieźle wyglądasz.

- Bo nieźle się czuję. Co się właściwie dzieje? Masz taką minę jak Sarah, kiedy chce powiedzieć: „To banda gnojków”.

Zmierzyli się wzrokiem. Asher lubił Liz i wiedział, że ona też go lubi. Zawsze byli bliskimi, zaufanymi przyjaciółmi; nie musieli się z tym afiszować.

- Pewnie jesteś zdruzgotany.

- Nawet nie wiesz, jakie te trudne... patrzeć na ciebie. Ale cieszę się, że przyleciałaś.

- Przykro mi. Tego właśnie się obawiałam.

- Nic na to nie poradzisz. Ale przejdźmy do rzeczy. Ty pierwsza.

Liz opowiedziała o zamachu na nią w Santa Barbara, o kradzieży materiałów do programu, o tym, jak Langley za pośrednictwem Fundacji Ayleswortha sterowało jej życiem. Dodała, że atak na nią i porwanie Sarah zostały poprzedzone ujawnieniem szczegółów serialu.

Asher słuchał w milczeniu. Chwilami nienawidził Langley. Miał tylko nadzieję, że kartoteka naprawdę istnieje i Liz nie przeżyła całego tego piekła na próżno.

- Gdzie nosisz pistolet? Z tyłu, za paskiem? Czy w kaburze na nodze?

Nie spuściła wzroku.

- Dobrze wiesz, że nie noszę broni.

- A powinnaś. Inaczej zjedzą cię na śniadanie.

Uśmiechnęła się. Asher miał ostre, trochę kanciaste rysy twarzy, krzaczaste brwi, gęste czarne włosy, które kontrastowały z białą pościelą, i opaloną skórę o naturalnym złotawym odcieniu. Liz powiodła wzrokiem po rurkach i przewodach, do których był podłączony, po urządzeniach popiskujących i mrugających zza wezglowia łóżka, po kolorowych diodach, które przekazywały światu przeróżne poufne informacje.

- A ty powinieneś się ogolić.

Asher podrapał się po brodzie.

- Komentarz na temat mojego zarostu jest całkiem zgrabną próbą zmiany tematu, ale nie zmienia faktu, że będziesz bezradna wobec ludzi, którzy nie zawahają się użyć broni, żeby cię powstrzymać.

- Czy Gandhi i Martin Luther King też byli bezradni?

- Nie, ale prowadzili szeroko zakrojone kampanie biernego oporu i wobec rządu, i wobec większości rasowej. W ich przypadku pistolet niewiele by zmienił. Kierowali masowymi ruchami, a ty masz w pojedynkę stawić czoło uzbrojonym, bezwzględny wrogom.

- Kiedyś trzeba powiedzieć „dość” i zaryzykować.

- W dłuższej perspektywie przyznam ci rację. Ale teraz mamy mało czasu, a ty bez bronii nie będziesz mogła wywiązać się ze swojego zadania. To nie jest walka o wielką sprawę. Nie próbujemy udowodnić żadnej uniwersalnej prawdy, tylko ocalić Sarah. Martwa ani jej nie pomożesz, ani nie przydasz się Langley. Ryzykujesz nie tylko swoje życie, ale także jej. Wścieknę się, jeśli coś ci się stanie.

- Przemyślę to. Ale nie mówmy już o mnie. Jesteś obolała, pewnie chętnie byś się przespała, a ja muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Chodzi o Maca. Albo on mnie okłamał, albo ci z Langley okłamali jego. Dlatego musimy zachować dyskrecję. Przy każdej rozmowie będziemy mieli włączone radio, dobrze?

Liz zwierzyła się Asherowi z wątpliwości, jakie budziło w niej zdjęcie serialu z anteny i przedstawiona przez Maca rola Langley w całej sprawie.

- Jeżeli Langley coś kręci, wkrótce się o tym dowiemy. Nie lubią bez sensu tracić ludzi, więc chyba po prostu Mac się przesłyszał. Pracuję dla nich wystarczająco długo, żeby zdawać sobie sprawę, że zazwyczaj odwalają kawał dobrej roboty. Inaczej nie mieliby tylu chętnych do pracy. Co właściwie zginęło ci z gabinetu na uniwersytecie? Czy w tych materiałach były jakieś informacje o kartotece twojego ojca?

Liz pokręciła przecząco głową. Hałaśliwy rock zaczynał działać jej na nerwy.

- Oczywiście, że nie. Ale od tamtej pory sporo myślałam... Pamiętasz, jak Grey Mellencamp zmarł na zawał? Dosłownie kilka godzin po tym, jak mnie przesłuchiwał. Wtedy pomyślałam, że to raczej dziwny zbieg okoliczności, więc pogrzebałam w jego aktach. Okazało się, że od dawna chorował na serce, tymczasem sekcja nie wykazała nic podejrzanego. Kto jeszcze mógł wiedzieć o kartotece?

- Twoja matka.

- No tak. Sprawę jej śmierci też zbadalam.

- Kiedy dokładnie zginęła?

- Mniej więcej pół roku przed moim spotkaniem z Mellencampem. Wuj Mark zginął razem z nią. Miał pecha, że akurat wtedy przyjechał w odwiedziny.

- Jeśli dobrze pamiętam, doszło do wybuchu. Dlaczego?

- Przewód gazowy był nieszczelny. Mama mówiła mi, że wezwała fachowców z gazowni, żeby go naprawili. Kiedy zaczęłam tropić, sprawdziłam rachunki z gazowni, raport straży pożarnej i wyniki sekcji zwłok mamy i wuja. Nie znalazłam nic, co sugerowałoby, że to nie był wypadek. Ciała zostały zidentyfikowane.

Spuściła wzrok. Nagle zatęskniła za matką. Po chwili Asher przerwał krępujące milczenie:

- Langley ma większe możliwości znalezienia Sarah niż ty, ale w sprawach dotyczących twojej rodziny to ty jesteś górą.

- Uważasz więc, że powinnam poszukać tej kartoteki. Mac mówi, że Langley też by chciało, żebyś się tym zajęła. Masz stąd wyjście na miasto?

Na stoliku obok radia stał zwyczajny, czarny aparat telefoniczny. Kiedy Asher przytaknął, Liz powiedziała mu o komórce, którą dostała od Maca. Wymienili się numerami.

- Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz - poprosiła. - Ja też będę dzwonić. Dopóki się nie dowiemy, co się właściwie dzieje, nie możemy nikomu ufać.

Asher uśmiechnął się słabo i spojrzał tęsknie na drzwi do łazienki.

- Jak tylko będę mógł iść się wysikać o własnych siłach, spadam stąd.

- Super. Spieprzysz wszystko, bo ciebie też trzeba będzie ratować. Zrób coś dla mnie: leż tu.

Asher się skrzywił.

- Bardzo cię boli?

- Nie, po prostu jestem zmęczony. I wnerwiony. Chyba przeliczyłem swoje siły.

- Nie tylko ty.

- Ale powinienem był się domyślić. Jak tylko furgonetka zahamowała...

- Odezwij się, gdybyś nagle został jasnowidzem. - Liz poklepała go po ręce. - Zaproszę cię do mojego programu.

- Zmykaj już, Liz. Znajdź kartotekę. Znajdź Sarah. Przyrowadź ją do mnie - Asher mówił chrapliwym, łamiącym się głosem. - Proszę.

Pocałowała go w mokre od potu czoło.

- Uważaj na siebie, a ja się zajmę Sarah.

To była poważna obietnica, trudna do spełnienia, ale musiała ją złożyć. Asher potrzebował takiego zapewnienia, a ona rozpaczliwie chciała mu się odwdziżyć za wszystko, co przed laty zrobili z Sarah, by umożliwić jej i jej matce powrót do normalnego życia.

Wyszła z pokoju, pożegnała się z pilnującym Ashera agentem CIA, który odpowiedział jej uprzejmym skinieniem głowy. Zajrzała do dyżurki i zostawiła oddziałowej swój numer telefonu. Po francusku poprosiła, by na bieżąco informować ją o stanie zdrowia męża.

Mówiła po francusku znacznie lepiej niż Sarah i w razie potrzeby potrafiła naśladować brytyjski akcent - przychodziło jej to tym łatwiej, że wychowała się w Anglii. Znała również hiszpański, włoski i niemiecki, miała talent aktorski, analityczny umysł i zamiłowanie do

przygód. Wszystko to przydało się jej najpierw w pracy dla Firmy, a potem w karierze naukowej. Teraz zaś miała nadzieję, że te same umiejętności pomogą jej ocalić Sarah.

*

Wyszła ze szpitala z głową pełną planów. Było gorące popołudnie. Szpital Amerykański znajdował się w zielonym Neuilly, jednym z najmodniejszych paryskich przedmieść, przy boulevard Victor-Hugo, zaledwie dwanaście minut jazdy od Łuku Triumfalnego. Zwolniła na widok Maca, siedzącego na ławce pod platanem. Niemal niedostrzegalnie skinął jej głową, jakby chciał dać znać, że w razie potrzeby będzie w pobliżu.

Rozejrzała się swobodnie. Jedni ludzie wchodzili do szpitala, inni z niego wychodzili: starsze pary, młodzi rodzice z dziećmi, mężczyźni w mniej lub bardziej oficjalnych strojach, kobiety z zakupami i dziećmi na rękach. Nie zauważyła niczego niezwykłego.

Podeszła do krawężnika. Już miała kiwnąć na taksówkę, gdy za plecami usłyszała głośne stęknienie. Odwróciła się błyskawicznie. Niski, chudy mężczyzna przeturlał się po chodniku i podciął Maca. Mac zaklął i przewrócił się. Liz rzuciła się na napastnika.

Intruz zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. Liz machnęła torebką. Napastnik zahaczył o nią nogą, zatoczył się i upadł z impetem na lewe kolano. Rozległ się głuchy trzask. W jego oczach pojawiły się ból i strach.

Zanim Mac podniósł się z pomocą Liz, napastnik zacisnął zęby, poderwał się i, kulejąc, zaczął się oddalać, roztrącając zaskoczonych przechodniów. Mac natychmiast za nim ruszył, Liz nie pozostała daleko w tyle. Spanikowany uciekinier obejrzał się przez ramię. Był ranny i Mac z łatwością go doganiał. Widział, że nie uda mu się umknąć. Zamachał rozpaczliwie rękami i skręcił między pędzące samochody. Rozległ się pisk hamulców i jazgot klaksonów, ale jakoś przemknął między dwoma pojazdami.

Mac zatrzymał się na skraju jezdni i z ponurą miną śledził samobójcze wyczyny napastnika, który wpadł właśnie na przeciwny pas. Czarny citroen nie miał szans w porę wyhamować: wizg opon i głuchy, tępy odgłos zderzenia poniosły się daleko w letnim powietrzu. Samochodami rzucało, skręcały gwałtownie, kiedy kierowcy próbowali wyminąć leżącego na jezdni człowieka, ale zanim wszystkie stanęły, jeszcze dwa wozy przetoczyły się po jego ciele.

Mac i Liz stali na krawężniku, daleko od siebie, jak niemi świadkowie zamieszania. Ludzie wysiadali z samochodów i zbiegali z chodników na pomoc rannemu. Po chwili od grupy odłączył się jakiś mężczyzna, spojrzał ponad dachami samochodów na Maca i pokręcił

głową na znak, że napastnik nie żyje. Rozległ się dźwięk policyjnych syren, zabrzmiał sygnał karetki. Mężczyzna rozplynął się w tłumie.

Mac podbiegł do Liz.

- Zmywajmy się stąd. Osobno.

- Co się stało? Kto to był?

Mac otworzył zaciśniętą pięść. Trzymał w ręce zapalniczkę. Kiedy otworzył wieczko, zamiast palnika odsłonił miniaturową strzykawkę.

- Miał to w ręce. Chciał ci coś wstrzyknąć, pewnie truciznę. Oddam to do analizy.

- Mój Boże... Jak się zorientowałeś?

- Obserwował cię, chociaż udawał, że tego nie robi. Kiedy zaczęłaś się rozglądać za taksówką, podszedł bliżej. Uznałem, że czas działać. Mogłem się mylić, ale po tym, co się stało w Santa Barbara, wołałem nie ryzykować.

Zmartwiła Liz poczuła, jak zimny pot spływa jej po kręgosłupie.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. Ładnie go załatwiłaś tą torebką. Gdyby nie stłukł sobie kolana, mógłby uciec i spróbować jeszcze raz, później.

- Szkoda, że nie można go przesłuchać.

- Ja też żałuję. - Mac spojrział w kierunku nadjeżdżającej karetki, która z trudem przebijała się przez gęstniejący tłum. Policja też musiała już być blisko. - Rozdzielmy się i chodu.

Zaczął się oddalać. Liz zauważyła kobietę, która już wcześniej zwróciła jej uwagę: stała przy wyjściu ze szpitala z torbą na zakupy z Galeries Lafayette, jakby na kogoś czekała. Nadal była sama, ale najwyraźniej znudziło się jej czekanie. Miała arystokratyczny, odrobinę garbaty nos, lekko przypudrowaną twarz i matowoczerwoną, wpadającą w brąz szminkę na ustach. W zwyczajnej bluzce, tanich spodniach, z przeciętną fryzurą wyglądała na typową przedstawicielkę klasy średniej. Mimo prażącego słońca miała też na sobie lekką, luźną kurtkę, chociaż wszyscy byli tylko w koszulkach z krótkimi rękawami lub letnich sukienkach.

Wyglądała jak jeszcze jeden obserwator, współpracujący z Makiem. Odprowadziła go wzrokiem i zaczęła się oddalać, klucząc między samochodami. Mimo pokaźnej tuszy poruszała się lekko i zwinnie. Kwestia wykszolenia. Liz patrzyła, jak znika w tłumie gapiów wstrząśniętych tragicznym wypadkiem. Pod tą ciepłą kurtką na pewno było coś więcej niż lekkie ubranie.

Liz złapała taksówkę, usiadła z tyłu i kazała kierowcy ruszać.

- Dokąd jedziemy, madame? - zapytał po francusku.

- Dokądkolwiek - odparła spokojnie. - Proszę po prostu jechać.

Wiedziała, że powinna jechać do hotelu Valhalla obejrzeć pokój Ashera i Sarah, ale nie miała teraz do tego głowy. Wydała w myślach wojnę człowiekowi, który zagarnął kartotekę. Najpierw nasłał w Santa Barbara na nią mordercę, a teraz w Paryżu powtórzył atak.

Tylko w Langley wiedzieli o jej podróży do Paryża, znali czas przylotu i wiedzieli, że prosto z lotniska pojedzie do Szpitala Amerykańskiego spotkać się z Asherem. Przebiegł ją dreszcz. Ktoś ją znalazł - może nawet posiadacz kartoteki - jedynie dzięki wtyczce w Langley.

13.

Telefon do Brukseli

- O czym Flores rozmawiał z Sansborough?

- Przyniosła mu radio. Nastawili muzykę tak głośno, że nic nie słyszałem. Nie wiem, czy dziewczyna zdaje sobie z tego sprawę, ale szybko wraca do formy.

- Chyba nie ma znaczenia, o czym rozmawiali. Gdyby Flores coś wiedział, powiedziałby nam dawno temu. Ona zresztą też.

- Zgadzam się z tobą, Kronosie. Zresztą nie po to dzwonię. Pojawiły się nowe okoliczności. Sansborough znów została zaatakowana...

- Co takiego?!

- Po wyjściu ze szpitala. Mac czekał na nią ze swoimi ludźmi. Jeden z nich zauważył napastnika i dał znać. Wywiązała się bójka, Mac powalił gościa i zabrał mu zapalniczkę z wbudowaną strzykawką. Później odesłał ją do laboratorium. Nie wiem, jakie testy będzie trzeba przeprowadzić, ale najpóźniej jutro powinniśmy wiedzieć, co w niej było.

- Co z napastnikiem?

- Nie żyje. Sansborough podcięła go torebką. Przewrócił się i rozbił sobie kolano. Kiedy próbował uciekać przez jezdnię, przejechał go samochód. Ktoś od Maca obszukał trupa, ale facet miał przy sobie tylko pieniądze.

- Cholera jasna! Szkoda, że nie mogłeś z draniem pogadać. Komu mówiłeś?

- Nikomu. Słucham tylko twoich rozkazów.

- Wiesz, dlaczego pytam?

- Oczywiście. Najpierw Santa Barbara, teraz Paryż. Wiedział, gdzie ją znajdzie. A właściwie: wiedzieli. Czyli w najlepszym razie mamy przeciek.

- A w najgorszym... Szantażysta jest wśród nas. Niech to wszystko szlag trafi! Mogłem się domyślić. Trzeba odizolować zespół Maca. We dwóch zbadamy sprawę, ale przez ten czas informacja o zamachu nie może się rozejść. Nikomu ani słowa. To da szantażyście do myślenia. Może się łajdak ujawni.

Paryż

Żółta taksówka stała w zacienionej uliczce w Les Halles z włączonym silnikiem. Zgaszona tablica na dachu sygnalizowała, że nie bierze pasażerów. Samochód miał zamknięte okna i zablokowane drzwi, a kierowca wyciągnął się wygodnie w fotelu, wystawiwszy twarz na podmuch powietrza z klimatyzatora. Naciągnął czapkę nisko na czoło, aż oparła się o przeciwsłoneczne okulary - zupełnie jakby spał. Nie było w tym nic dziwnego: w taki upał każdy ciężko pracujący człowiek może się zmęczyć.

Ale ten pracujący człowiek nie był ani śpiący, ani zmęczony. Wyłączył i schował telefon komórkowy, lecz nie stracił czujności. Ustawił samochód i lusterka w taki sposób, że przyjąwszy odpowiednią pozycję w fotelu kierowcy, widział wszystko dookoła. Miał sześćdziesiąt parę lat, muskularną sylwetkę i spokojną twarz. Niczym się nie wyróżniał, może poza tym, że pod czapką był łysy jak kolano.

Nazywał się César Duchesne. Mówiono o nim powszechnie Le Boiteux, Kaleka, ale nikt nie odważyłby się tak do niego zwrócić. W rozmowie zawsze był po prostu Duchesne.

Kiedy druga żółta taksówka wjechała w uliczkę i zaparkowała kawałek dalej, Duchesne wyjął starego, wiernego walthera. Wysiadł, skrzyżował ramiona na piersi, ukrywając w nich pistolet, i podszedł do drugiego samochodu. Wyraźnie kulał: prawą stopę miał nienaturalnie wykrzywioną do wewnątrz.

- Chodź, Guignot - odezwał się po francusku. - Nie traćmy czasu.

Paryski upał lepił mu się do ciała jak namolna kochanka.

Mężczyzna nazwany Guignot wysiadł ze swojego wozu, rozejrzał się niepewnie i podbiegł do Duchesne'a.

- *Bonjour, monsieur.*

- Słucham.

- Zgubiłem ją na lotnisku - zaczął Guignot, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej profesjonalny ton. - Bardzo szybko przeszła przez odprawę. Nie mogłem wcisnąć

się bez kolejki na postój, za dużo było policji. - Umilkł, widząc broń w rękach Duchesne'a. Cofnął się o krok. - To dla mnie, monsieur Duchesne? - Strach niemal odebrał mu mowę. Nerwowo skubnął zapięcie dżinsowej koszuli. - *Non, non.* Trevale mówił, że jest pan człowiekiem ostrym, ale honorowym - zerknął na swój samochód.

Duchesne widział, że Guignot myśli o ucieczce:

- Honor kosztuje. - Spojrzał na niego zza okularów. Nauczył się przez lata, że wszystkim nowym należy przypominać o powadze zawodu, który wybrali. - Nie wiem, czy mnie na ciebie stać. - Wycelował pistolet prosto w serce Guignota. - A twoją rodzinę?

Guignot cofnął się jeszcze bardziej. Był przerażony.

- *Oui. Absolument.* Na grób mojej matki!

- Gdzie jest teraz ta kobieta?

Guignot drżącymi palcami otarł pot z górnej wargi.

- W hotelu. To dobra wiadomość. Przy Szpitalu Amerykańskim był straszny wypadek, po prostu tragedia! Ale kontrolowałem przebieg sytuacji i zdążyłem podjechać, kiedy zamachała. W hotelu przedstawiła się jako Sarah Walker. To Valhalla, przy rue de Buci. Przewidział pan, że tam się zatrzyma.

Duchesne spojrzał krytycznie na swojego nowego podwładnego, który spuścił wzrok i przestępował niepewnie z nogi na nogę.

- *Bon* - powiedział w końcu. - Powiem Trevale'owi, że się sprawdziłeś. Będiesz mi jeszcze potrzebny, tak jak i reszta. - Z kieszeni na piersi wyjął gruby zwitek euro. - Masz wobec niego dług. To ci pomoże go spłacić.

Guignot się rozpromienił, odsłaniając w uśmiechu zbrązowiałe zęby. Wprawnym ruchem rozłożył zwitek w wachlarzyk i policzył banknoty.

Duchesne wyznaczył miejsce następnego spotkania.

- Wiesz, co masz robić?

- *Oui.* - Guignot wracał już do taksówki. - Kiedy się spotkamy, złożę panu pełny raport.

*

Mieszcząca się w Dzielnicy Łacińskiej Valhalla była hotelikiem bezpretensjonalnym i komfortowym. Z wykuszowych okien na piętrach rozciągał się widok na pobliskie skrzyżowanie dwóch brukowanych uliczek, na których od setek lat mieścił się targ; powietrze było przesycone aromatem świeżego pieczywa i wiejskich serów. Ludzie siedzieli w ogródkach kafejek, popijali *vin ordinaire* i obserwowali przechadzające się kobiety w obszernych spódnicach i mężczyźni w koszulkach polo.

Liz nie bardzo miała ochotę realizować dalej nakreślony przez Langley plan. Za każdym razem, gdy przypominała sobie napastnika sprzed szpitala, dochodziła do wniosku, że w Langley jest kret. Czy to ta kobieta w kurtce? A może sam Mac? Ktoś mógł zapłacić pilotowi za informację o przylocie, a potem śledzić Liz od momentu wyjazdu z lotniska - być może nawet jakaś szycha z CIA, chociaż wystarczyłby ktoś z ludzi Maca, człowiek, którego Mac nie podejrzewał.

Ale wniosek był jeden: nie mogła ufać Macowi. Nawet jeśli to nie on zdradził, zrobił to ktoś z jego otoczenia.

Postanowiła jednak grać dalej swoją rolę i zatrzymać się w hotelu. W pokoju mogła znaleźć jakąś wskazówkę. Poza tym lepiej, żeby kret nie wiedział o jej podejrzeniach.

W recepcji nie było wiadomości dla Sarah i Ashera, wzięła więc klucz i windą wjechała na trzecie piętro. Weszła ostrożnie do pokoju, który sprawiał wrażenie, jakby nic się w nim nie zmieniło, odkąd Sarah i Asher wyszli na kolację. Na dwuosobowym łóżku leżała już jej walizka - Mac tego dopilnował. Mały pokój, wielkie łóżko... Jakie to francuskie.

Rozglądając się wokół, czuła się jak intruz, który wtrąca się w czyjś romans. Przypomniał jej się Kirk, ich związek, jego zdrada i intymne szczegóły, o których z pewnością meldował Temidzie. Jakaż była głupia!

Odsunęła od siebie te myśli. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

Tak jak prosił Mac, dokładnie przeszukała pokój, od laptopa na stole po szafę z ubraniami, ale nie znalazła nic, co mogłoby mieć związek z porwaniem Sarah i zranieniem Ashera. Dopiero wtedy otworzyła walizkę. Na wierzchu leżał sig sauer, którego Mac próbował jej wcisnąć w samolocie. Uśmiechnęła się; pistolet wskazywał - chociaż jeszcze nie dowodził - że to nie Mac jest kretem; w przeciwnym razie nie starałby się za wszelką cenę jej uzbroić. Ale mimo rad Maca i Ashera nie zamierzała nosić broni.

Ponownie rozejrzała się po pokoju. Jej wzrok padł na wbudowany w ścianę grzejnik: schowała pistolet za osłaniającą go kratką. W Paryżu panował upał jak w łaźni. Przy takiej pogodzie nikt nie włączy grzejnika.

Z torebki Sarah wyjęła jej paszport i prawo jazdy. Wydłużyła pasek, żeby swobodnie przewiesić ją na ramieniu. Swojej, przeciętej nożem, wołała nie nosić. Przejrzała resztę zawartości: długopis, ołówek, puderniczka, grzebień, portfel. Zajrzała do portfela, wrzuciła wszystko z powrotem i włożyła jeszcze swoją szminkę i swój portfel.

Wzięła otrzymany od Maca telefon, podeszła do okna i, przylgnąwszy do ściany, żeby nie było jej z dołu widać, wyjrzała na zewnątrz. Okno wychodziło na ruchliwe skrzyżowanie. Maca nigdzie nie zauważyła, była jednak przekonana, że jest gdzieś w pobliżu i obserwuje

hotel. Dziwnie się czuła, wiedząc, że ktoś nad nią czuwa. Tak dawno się to nie zdarzyło... Ale nie mogła mu całkowicie ufać.

Przyjrzała się przechodniom, gościom przy stolikach, dwóm kobietom na przystanku autobusowym, pieszym czekającym na zmianę świateł... I wróciła wzrokiem do dwójki kobiet. Jedną z nich była kobieta spod szpitala; torbę z Galeries Lafayette postawiła na ziemi. Była dość krępa, wyglądała całkiem przeciętnie i zwyczajnie. Mac miał chyba dobrą agentkę.

Liz wybrała numer na komórce. Najwyższy czas porozmawiać szczerze z Kirkiem, wyciągnąć od niego, co wie o Temidzie, i dowiedzieć się, dlaczego kazano mu ją obserwować. Miała przeczucie, że Mac nie powiedział jej wszystkiego. Poza tym istniała szansa, że informacje uzyskane od Kirka wskażą jej kreta. W Paryżu było już po szóstej; w Kalifornii minęła dziewiąta rano. W środy o tej porze Kirk nie miał zajęć.

Kiedy w domu zgłosiła się automatyczna sekretarka, Liz rozłączyła się i zadzwoniła na wydział. Znowu odezwał się automat, więc ponownie przerwała połączenie i po chwili namysłu postanowiła zadzwonić do dziekana. Wybrała jego numer.

Sekretarka Quentina była bliska płaczu.

- On... on... nie żyje, pani profesor! Coś strasznego! Został zamordowany! Włamywacz zabił jego i jego żonę. Miała piękną biżuterię, drań wszystko zabrał, ale po co ich zabijał?!

Serce Liz na moment przestało bić.

- Zamordowany? Na Boga, Chelsea, powiedz mi, jak...

- Nie... Nie słyszała pani pewnie o Kirku? - zapytała ostrożnie sekretarka.

- O Kirku? - wykrztusiła Liz.

- Byliście ze sobą dość blisko, więc może...

Liz zebrała się na odwagę.

- Mów.

- Miał wypadek samochodowy. Wie pani, że jeździł takim ślicznym mustangiem? Spadł z urwiska niedaleko Summerland. Tak kochał ten samochód... I w nim zginął. Czy to nie okropne? Ludzie, którzy byli u dziekana na przyjęciu, mówią, że Kirk pod koniec ostro pił. Często mu się to zdarzało. Chyba nikt nie był zdziwiony, że w końcu się rozbił. Ale żeby mu się to przydarzyło w tę samą noc, kiedy zamordowano państwa Quentinów? Wszystkim jest tu ciężko, nie możemy się pozbierać. Kiedy pani wraca? Siostra Kirka ma przylecieć z Hawajów. To takie straszne...

Liz zamknęła oczy. Od dłuższej chwili jednym uchem słuchała lamentów Chelsea. Kirk i dziekan nie żyją. Dolores Quentin też - niewinna kobieta, która znalazła się w

niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. Ale tamci dwaj pracowali dla Langley. Nie miała wątpliwości, że zostali zlikwidowani. Ludzie, którzy próbowali ją zabić, nasłali kolejnych morderców.

- Pani profesor? Halo? Dobrze się pani czuje?

Liz odchrząknęła.

- Nie zemdlalam ani nie dostałam zawału, ale jestem wstrząśnięta. Wierzyć mi się nie chce. Czy policja jest pewna, że to był wypadek? I przypadkowe zabójstwo podczas włamania?

- Czemu pani pyta? - zainteresowała się nagle Chelsea. - Chyba nie myśli pani...

- Nie wiem, co myśleć. Trzy osoby jednej nocy?

Udawali jej kolegów, przyjaciół, a przez cały ten czas szpiegowali ją i donosili o wszystkim, co działo się w jej życiu. Ale z drugiej strony - żyli, oddychali, śmiali się i cierpieli. Byli tak jak ona częścią eksperymentu o nazwie ludzkość.

- To... nie do wiary. Może...

Liz zwietrzyła niebezpieczeństwo. Chelsea była delikatną dziewczyną, która pewnie nigdy w życiu nie przeżyła podobnego szoku. Źle by się jednak stało, gdyby zaalarmowała policję i zasugerowała dokładniejsze śledztwo. Na to było jeszcze za wcześnie.

- Widać los tak chciał - stwierdziła łagodnym tonem. - Nic na to nie poradzimy. Jak się z tym czujesz? Bo ja jestem jakaś otepiała. W głowie mi się to nie mieści.

- Ja też - przyznała z powagą Chelsea. - Dokładnie tak samo się czuję.

- Spróbuję wrócić na pogrzeby. Daj mi znać, jak będzie wiadomo, kiedy się odbędą, dobrze? Podam ci numer telefonu. Jeśli nie odbiorę, nagraj mi się. - Liz przedyktowała Chelsea numer swojej nowej komórki. - Przekaż siostrze Kirka i rodzinie dziekana moje kondolencje.

- Dobrze, pani profesor. Dziękuję.

Liz rozłączyła się, oparła o ścianę i zamknęła oczy. Bała się. Zrobiło się jej gorąco ze strachu. Ktoś nie chciał, żeby porozmawiała z Kirkiem i dziekanem. Zginęli, bo wiedzieli coś, co chciano przed nią ukryć. Ale ich śmierć jej nie powstrzyma.

Nie czas myśleć teraz o wydarzeniach w Santa Barbara; skupiła się na bieżących problemach. Od czego zacząć? Matka mogła coś wiedzieć o kartotece ojca, ale skoro nie zdradziła się z tym przed nią, tym bardziej nie powiedziała by nikomu innemu... No, może poza swoim bratem. Tak. Mark Childs, który zginął razem z nią, mógł coś wiedzieć. Nie wyobrażała sobie, żeby matka ujawniła dokumenty za życia, ale po jej śmierci...

Tak, po śmierci Melanie mogły trafić w niepowołane ręce. Mark mieszkał w Londynie, gdzie chyba do tej pory mieszkała jego była żona. Liz zadzwoniła do londyńskiego biura numerów i poprosiła o numer Patricii (Tish) Warren Childs. W bazie danych nie było osoby o takim nazwisku. Zaskoczona Liz ponowiła swoją prośbę, ale bez rezultatu.

Włączyła laptop i pogrzebała w Internecie. Nie udało jej się ustalić numeru telefonu Tish, ale znalazła jej adres na East Endzie. To była kiepska dzielnica. Czyżby aż tak się jej nie wiodło?

Niedługo się o tym przekona, ale na razie potrzebne jej było przebranie, w którym mogłaby niepostrzeżenie wymknąć się z hotelu. Wyjęła z walizki toporny brązowy kostium, który Mac dla niej spakował. Nie powinna była go kupować, nigdy dobrze na niej nie leżał, ale teraz był idealny. Wyglądała w nim na tęższą i niższą. Do tego włożyła sznurowane półbuty Sarah i duże, okrągłe okulary z powłoką przeciwodblaskową, których Sarah używała do pracy przy komputerze. Zmyła makijaż i wcisnęła na głowę wygrzebany z szafy beret Ashera.

Spojrzała w lustro, przygarbiła się, poprawiła spodnie na biodrach. W okularach, berecie i niezgrabnym kostiumie wyglądała jak szara myszka, niegroźna i niepozorna. Ale czy to wystarczy?

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Wzięła torbę Sarah, wrzuciła do niej telefon i wyszła, przygotowując się psychicznie do kolejnej szopki. Z holu przeszła do hotelowej restauracji, o tej porze pustej i cichej: na obiad było już za późno, na kolację za wcześnie. Serce waliło jej jak młotem, a krew pulsowała w uszach, kiedy skręciła do kuchni i przez okrągłe okienko w drzwiach zewnętrznych wyjrzała w zaułek na tyłach hotelu.

To, co zobaczyła, wcale się jej nie spodobało: barczysty mężczyzna bez szczególnego entuzjazmu przestawiał pojemniki ze śmieciami. Przyglądała mu się przez chwilę: albo był z natury leniwy, albo obserwował tylne wyjście na zlecenie Surete, CIA, porywaczy... A może morderców?

Nie chciała wychodzić głównym wyjściem; kobieta na ławce na pewno by ją zauważyła. W podziemiach hotelu był garaż, przez który mogłaby się wymknąć - ale skoro wystawili czujkę przy kuchennych drzwiach, tam też na pewno ktoś czekał. Tylko odwlekłaby to, co nieuniknione.

Musiąca sprawdzić, czy przebranie jest wystarczająco dobre.

Zebrała się na odwagę, przygryzła wargę, żeby trochę zamaskować wydatną szczękę, przygarbiła się i uchyliła drzwi. Wyśliznęła się jak mysz. Kątem oka widziała, że „śmieciarz” podniósł wzrok znad pojemników.

Włoski na karku stanęły jej dęba; czekała, kiedy krzyknie, strzeli, zacznie ją gonić... Aż w pewnym momencie usłyszała za plecami metaliczny zgrzyt. Zerknęła za siebie. Mężczyzna wrócił do pracy i właśnie przetaczał po bruku kolejny pojemnik. Udało się. Pogratulowała sobie w duchu i od razu poczuła się pewniej - dobry początek.

Wyszła z zaułka i zaczęła oddalać się od skrzyżowania. Na murze wisały poprzyklejane afisze. Jeden wpadł jej w oko, ale nie zatrzymała się, żeby go dokładnie obejrzeć. Zapowiadał występy Cirque des Astres, francuskiego cyrku objazdowego, który przed laty służył jej i jej rodzicom jako przykrywka. Odepchnęła wzbierającą gwałtownie falę wspomnień i podbiegła do taksówki.

- *Je voudrais de Gaulle, s'il vous plait* - poprosiła.

Usadowiła się wygodnie i obejrzała przez ramię: nie zobaczyła ani Maca, ani jego agentki, ale i tak czuła się nieswojo. Usiadła bokiem i obserwowała, czy nikt ich nie śledzi. Taksówka włączyła się do ruchu.

14.

Telefon do Brukseli

- Tu Hyperion.

- O tej porze? Co się stało? Gdzie jesteś?

- W drodze do mojego château. Mam propozycję, o której chciałbym porozmawiać.

Mogłaby być korzystna dla nas obu, Kronosie.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- Pewnie. Chyba wiem, kim jest szantażysta.

- No proszę! Zamieniam się w słuch. Kto to?

- Jeszcze nie teraz. Jeśli jednak sprawy potoczą się po mojej myśli, wkrótce podam ci nazwisko. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Musisz zachować dyskrecję. Nikt nie może się dowiedzieć, że to ja byłem źródłem tej informacji. Zgoda?

- A to ciekawe. Ktoś cię szantażuje?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Czy obaj znamy tę osobę?

- Nie będę z tobą o tym rozmawiał. Zgadzasz się na mój warunek? Kronos... Jesteś tam jeszcze?

- Tak, zgadzam się. Będę niecierpliwie czekał na twój telefon. Bądź ostrożny, Hyperionie. Człowiek, który wszedł w posiadanie kartoteki, to morderca. Ale chyba nie muszę ci o tym przypominać, prawda?

London

Londonyjski East End nigdy nie był najzamożniejszą dzielnicą, ale globalizacja zupełnie go dobiła. Zmiany gospodarcze, które wszędzie przyczyniały się do zubożenia klasy średniej, przyniosły ruinę domom i sklepom; Liz minęła po kolei pięć sklepów, które miały okna zabite deskami. Mężczyźni i kobiety wystawali pod pubami, popijali piwo, wypalali papierosy do samego filtra. Samochody leniwie krążyły po ulicach, ludzie o zmęczonych twarzach powoli wracali do domów.

Przez cały czas miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, mimo że nie zauważyła nikogo podejrzanego. W łazience na Heathrow przebrała się, żeby nie przypominać kobiety, która w Paryżu wyszła kuchennymi drzwiami z Valhalli. Zostawiła sobie spodnie, ale beret, marynarkę i okulary schowała do torby. Zmieniła fryzurę, nałożyła tusz do rzęs i ciemnoczerwoną szminkę. Przestała się garbić i w bluzce bez rękawów upodobniła się do dawnej Liz, którą Tish powinna bez problemu rozpoznać. A w razie potrzeby mogła błyskawicznie znów się przebrać.

Dyskretnie rozejrzała się po ulicy; zapadł już zmierzch. Dom, w którym mieszkała Tish Childs, stał przy następnej przecznicy. Do mieszkań na piętrze wchodziło się od tyłu. Liz wśliznęła się przez furtkę, weszła po schodach i zastukała do drzwi. Ze spożywczego na parterze cuchnęło zgniłymi owocami i warzywami.

Tish uchyliła drzwi i rozpromieniła się na jej widok. Dobiegała sześćdziesiątki, miała zmęczone oczy, starannie nałożony makijaż i czerwony szalik wokół szyi.

- Wejdz, Liz, proszę. Nie stój tak w progu. Napijesz się herbaty? Wstawiłam wodę, zaraz się zaparzy. Jak mnie znalazłaś?

Była ubrana w wyświechtany szlafrok i kapcie. Odwróciła się i weszła do pokoju, ostrożnie, ale dostojnie, z tą samą godnością, którą Liz tak dobrze zapamiętała. Pod ścianą stało łóżko, naprzeciw był kącik do siedzenia, a między nimi kuchenka. Tish nie miała telefonu. Pewnie nie mogła sobie na niego pozwolić.

Liz weszła do środka i zamknęła drzwi.

- Znalazłam twój adres w Internecie. Co słysząc, ciociu Tish?

- O rety, w Internecie? To dla mnie obcy świat. Ale przestań mi tu „ciociować”.
Postarzasz mnie, a poza tym i tak już nie jestem twoją ciotką.

- Ależ jesteś. Jak się już czyjąś ciotką zostanie, to się nią jest do końca życia.

- To miłe, kochanie. Usiądziesz sobie tam? Przynajmniej jest czysto...

Sofa, którą Tish wskazała Liz, była spłowiała i wysiedziana, ale wyglądała porządnie. Liz usiadła, Tish zaś podkręciła gaz pod czajnikiem. Przez jedyne okno wpadały ukośne promienie zachodzącego słońca. W pokoju panował chłód; jedyne ciepło dawała kuchenka. Na zapalonym palniku stała duża puszka po kawie, bez denek i z podziurawionymi ściankami - grzejnik może nie najwydajniejszy, ale przynajmniej tani. Prąd w Wielkiej Brytanii znów osiągał zawrotne ceny.

Czekając na herbatę, Liz zagadywała ciotkę o drobiazgi.

- Mam tylko orange pekoe - uprzedziła ją Tish. - Ale ją lubię.

Najwyklesza, najtańsza herbata. Pewnie jedyna, na jaką może sobie pozwolić, pomyślała Liz.

- Ja też ją uwielbiam - zapewniła. - Pomóc cioci?

- Nie gadaj głupstw, dziewczyno. Dam sobie radę.

Tish okryła imbryczek robioną na szydełku osłonką, postawiła go na tacy razem z dzbanuszką mleka i dwoma filiżankami i podeszła do drewnianego stolika z popękana okleiną. Poruszała się sztywno, mierząc każdy krok. Nienaturalnie wyprostowana opadła na sfatygowany wysoki fotel, pochyliła się i postawiła tacę. Z oparcia fotela zwieszała się poduszka elektryczna.

- Wybacz, ciociu, moje wścibstwo... - Nie wytrzymała Liz. - Ale czy po rozwodzie z Markiem dostałaś jakieś odszkodowanie?

Tish prychnęła pogardliwie. Oparła się o poduszkę, parsknęła śmiechem i otarła łzy z oczu.

- Odszkodowanie, dobre sobie! Mark miał wyliczonego każdego pensa, moja droga. Jak myślisz, dlaczego nie mieliśmy dzieci? Bo ja już jedno dziecko wychowywałam: Marka. - Włączyła poduszkę. - Rozgrzewam sobie obolałe plecy. Nalejesz herbaty, skarbie?

- Z przyjemnością.

Osłonka imbryka dawniej była elegancka, ładnie marszczona, ale z czasem się zeszmaciła. Liz naląła do filiżanek po odrobinie mleka, a potem, przez sitko, dołąła do pełna

herbaty. Napar był jasny, słaby, oszczędny, za to filiżanki - z najprawdziwszej białej porcelany w delikatne, herbaciane róże. Liz od lat nie widziała tego klasycznego motywu.

Wzięła do ręki swoją filiżankę.

- Mama nigdy nie mówiła tak o wuju Marku. Był taki uroczy, przystojny, nie wiedziałam...

Tish przestała się śmiać - teraz tylko uśmiechała się znacząco. Ujęła filiżankę oburącz, jakby chciała ogrzać dłonie.

- Oj był, był... Kawał hultaja. A jak się do tego przykładał. Jedyne, nad czym tak rzetelnie pracował, to ten urok osobisty. Młoda jeszcze byłam, to mnie wzięło. Przyznaję, zwykle mieliśmy pod dostatkiem pieniędzy, szastałam nimi nie mniej od niego. Jak się teraz nad tym zastanowię, to Bóg jeden wie, skąd się ich tyle brało. I na co szły. Mark nigdy nic na ten temat nie mówił, a ja po paru latach przestałam pytać. Później wróciłam do pracy, żeby mieć co do garnka włożyć i gdzie się podziąć. - Wzruszyła zrezygnowana ramionami; ten gest przejęła od Marka. I dodała ciszej: - Ale teraz nie mogę już pracować. Artretyzm. Jak pech, to pech.

- Przykro mi. Nie wiedziałam, że chorujesz. Rodzina powinna sobie pomagać. - Liz spojrzała na Tish. Los nie obszedł się z nią łaskawie. Postanowiła zadzwonić do kuzyna, sir Michaela - Micka - ostatniego dziedzica rodu Childsów, i upomnieć się o pomoc dla Tish. - Nikt nie wiedział, jaki Mark naprawdę jest? Przecież wujek Robert na pewno by coś poradził. Albo moja mama.

- Robbie faktycznie się starał, tym bardziej że Mark był przecież jego młodszym bratem. Próbował mu załatwić pracę, ale Markowi nie o to chodziło. Interesowały go tylko i wyłącznie pieniądze. Gotówka. No i Robbie całymi latami go sponsorował, aż w końcu mu się znudziło. Nawet nie mam do niego o to pretensji. Powiedział Markowi, że czas wydorosnąć. I tak się skończyły, jak ja to nazywałam, alimenty Robbiego. Chyba nikt nie zdawał sobie sprawy z tego układu, nawet Melanie. Robbie był przecież wytrawnym politykiem i umiał trzymać język za zębami, a Mark nie miał się czym chwalić - dodała z goryczą Tish.

- Dlaczego „alimenty”?

Tish napiła się herbaty. Chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Posłuchaj, Liz, kochałam Marka, ale widziałam, jak z czasem gorzknieje coraz bardziej, ponieważ cały tytuł i majątek dostały się Robbiemu. Tak musiało być; Melanie i Blake to rozumieli. Dostosowali się i radzili sobie z tym tak samo, jak córki i młodsi synowie wielkich rodów radzili sobie przez całe wieki. Ale przez wieki nie brakowało i takich, którzy

nie chcieli sobie radzić. Mark właśnie taki był. Nie mógł się pogodzić z myślą, że miałby nie być arystokratą i normalnie pracować, harować jak zwykły robot, ciągle to powtarzał. Zaczął pić, brał paskudne narkotyki, uprawiał hazard i zgrywał czarusia, jakby cały czas miał osiemnaście lat i prawo własności do całego świata. - Tish zacisnęła na chwilę wargi. - Wydaje mi się, że Robbiemu było głupio, że dostał wszystko, kiedy reszta rodziny musiała się obejść smakiem. Dlategołożył na Marka, co wcale Markowi nie pomagało. W końcu miałam go dość.

- To smutna historia.

- Tak, smutna dla Marka i dla mnie. - Tish zamyśliła się, jakby wspominając dawne, lepsze czasy. - No, ale wystarczy tego ponuractwa. Życie toczy się dalej, prawda? Jeszcze herbaty, skarbie?

- Z przyjemnością. Czasem zapominam, jaka pyszna jest angielska herbata. - Liz napełniła filiżanki, założyła osłonkę i sięgnęła po mleko. - Wiem, że rozwiedliście się przed śmiercią wuja Roberta. Potem Mark pojechał do Stanów i zobaczył się z moją matką. Pytałaś go może, po co tam wyjechał?

Tish zdziwiła się i zmarszczyła brwi. Zamieszała herbatę.

- Dziwne... Dziwne, że pytasz - odparła.

- Tak? Dlaczego?

- Ktoś mnie już o to pytał. Zapamiętałam go, bo był taki elegancki i skrupowany, że się dopytuje. Wyobrażasz sobie? Obcy człowiek grzebie w naszych rodzinnych sprawach? No bo sama rozumiesz, mogliśmy być z Markiem po rozwodzie, ale to jeszcze nie powód, żebym z obcymi roztrząsała osobiste problemy Childsów. Też coś!

- Nie był z policji?

- Nie, nic z tych rzeczy. Może wtedy inaczej bym z nim rozmawiała, chociaż i tak musiałby mieć cholernie dobry pretekst, wylegitymować się i tak dalej.

- Czyli nic mu nie powiedziałaś?

- Oczywiście, że nie! - Tish uśmiechnęła się przebiegle. - No, może troszkę. Stwierdziłam stanowczo, że rozmawiałam o tym z Markiem. Miał tylko jedną siostrę i widocznie uznał, że powinien ją odwiedzić, chociaż mieszkała za granicą, a bilet lotniczy kosztował fortunę. Ten facet nie ustąpił łatwo, jeszcze trochę mnie wypytywał, ale ja obstawałam przy tej wersji.

- Kiedy ten człowiek do ciebie przyszedł, Tish? Kiedy dokładnie? To ważne.

- Chyba z pięć lat temu - odparła po namyśle. - Tak... Pięć albo sześć miesięcy po śmierci twojej matki i Marka, niedługo po tym, jak zmarł biedny Robbie. To był straszny czas dla całej rodziny.

Prawie dokładnie w tym samym okresie Langley wezwało Liz na drugie przesłuchanie dotyczące kartoteki ojca.

- Czyli wuj Mark rozmawiał z tobą o tym wyjeździe?

- A owszem, owszem... Dzwonił do mnie, ilekroć sobie popił i wpadł w melancholijny nastrój, ale wtedy przyjechał osobiście. Zmienacka. Trzeźwiuteńki, czyściutki, ogolony, elegancki jak lukrowany pan młody na weselnym torcie. Mówił coś o drugiej szansie, o tym, że sporządnieje, spłaci długi i znów będziemy mogli być razem. - Oczy Tish zaszyły łzami.

- Błagał mnie, żebym wróciła. Mówił, że twoja matka mu pomoże i wszystko będzie w najlepszym porządku.

Liz odstawiła filiżankę.

- Mama miała mu pomóc? W jaki sposób?

- Też go o to zapytałam. Do dziś pamiętam, jak mu się oczy zaświeciły, taki był podekscytowany. Oświadczył, że na razie nie może mi powiedzieć, ale zawarli z Melanie układ, dzięki któremu będzie bogaty. Mówił coś o „Wielkiej Wodzie”. I twierdził, że to pewny interes.

- Nic więcej? Jaka miała być rola mamy?

Tish zapatrzyła się w dno filiżanki.

- Nie wiem. W każdym razie zostawił mi to, co miał. Kiedy on i Melanie zginęli, przeszukałam jego papiery i wygrzebałam taką teczkę. Niewiele w niej było, jakieś odręczne notatki i to w dodatku pozbawione sensu. Zawsze podejrzewałam, że ta Wielka Woda to jakiś ośrodek wypoczynkowy, który miał mu przynieść fortunę. Ale przecież nawet gdyby Melanie dała mu pieniądze, nie mogło ich być aż tyle, żeby sobie taki ośrodek kupił.

Teczka! Liz z trudem opanowała podniecenie.

- Co zrobiłaś z tą teczką?

- Trzymam ją razem z resztą jego rzeczy. Nie mogłam ich przecież tak po prostu wyrzucić. Papiery są w skrytce w Fulham, w Lawrence Storage, to taki magazyn. Chciałabyś je przejrzeć? To miło z twojej strony. Może znajdziesz coś dla siebie, jakieś skarby... No wiesz. Nie podoba mi się, że wszyscy o Marku zapomnieli. Dam ci adres i klucz.

*

Dwie godziny później East End był już pogrążony w ciemnościach. Latarnie rzucały plamy światła na brudne chodniki, na ulice wyjechały wypolerowane jaguary i bentleye

narkotykowych bossów. Chłopcy, dziewczęta i kobiety w chroniących przed chłodem ubraniach stali na skrzyżowaniach i czekali na okazję zaspokojenia głodu. Nikt nie zwrócił uwagi na postać w czarnym skafandrze, która otworzyła furtkę prowadzącą na tyły domu, którego parter zajmował sklep spożywczy.

Mężczyzna zsunął kominiarkę na twarz i bezszelestnie, nie spiesząc się, wszedł po schodach. Zapukał do mieszkania Tish Childs. Ledwie szczęknęła zasuwka, uderzył drzwiami barkiem i otworzył je.

- Gdzie ona jest?

Wepchnął Tish do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Ciemny makijaż wokół oczu upodabniał ją do złapanego w pułapkę szopa pracza.

- Nie wiem, o kim pan mówi.

Głos Tish był niski i spokojny, co trochę zbiło intruza z tropu. Doszedł do wniosku, że już przesłuchiwali ją zawodowcy i chciała się przekonać, jaki jest twardy. Wycelował do niej z kradzionego walthera. Jej oczy pociemniały, ale nie zmiękła.

- Liz Sansborough - wyjaśnił. - Dokąd pojechała?

- Nie było jej tutaj - odparła buntowniczo.

Parsknął śmiechem. Spodziewał się, że będzie się stawiać; świadczyły o tym ten przekorny błysk w oku i triumfalny ton. Podobało mu się to.

Bił ją tak długo, aż zalana krwią wyjęczała to, co chciał usłyszeć. Nie trwało to długo. Z kobietami nigdy nie trwa to długo, podobnie jak z przeciętnymi mężczyznami. A większość mężczyzn zalicza się do tych przeciętnych.

Potem nakręcił tłumik na lufę walthera i zabił Tish Childs dwoma strzałami - w brzuch i w serce. Wywrócił pokój do góry nogami, rozsypał przy zwłokach trochę kokainy, wybiegł z mieszkania, a pistolet wyrzucił do kosza na śmieci.

Jego ludzie przysłali mu walthera aż z Santa Barbara. Wyjęli go ze schowka na rękawiczki w samochodzie Sansborough. Teraz wystarczy, żeby zadzwonił na policję, a walther zostanie znaleziony przy zwłokach jej ciotki.

*

W Lawrence Lockup & Storage w Fulham, na południe od Brompton Road, wolno stojącą skrytkę można było wynająć na miesiąc, kilka miesięcy albo na cały rok. Na okolicznych arteriach komunikacyjnych panował spory ruch - londyńczycy wracali na przedmieścia z wieczornych spotkań i spektakli - ale ulica, przy której mieściły się głównie magazyny i małe fabryczki, była pusta, ciemna i cicha. Między rzadko rozstawionymi latarniami zalegały nieprzeniknione cienie. Simon Childs powoli przejechał wypożyczonym

samochodem wzdłuż budynku biura. W środku nie paliły się światła. Główny gmach stał przy ulicy, za nim zaś ciągnęły się równoległe rzędy mniejszych budynków-skrytek.

Zaparkował wóz i wysiadł. W oddali widział reflektory stadionu, słyszał pokrzykiwania trenujących zawodników. Noc pachniała kurzem i stygnącym asfaltem.

Po przyjeździe do Londynu spotkał się z adwokatem Childsów, który zajmował się kwestią spadku po wuju Marku. Niewiele tego było, dosłownie kilka funtów i trochę drobiazgow w wynajmowanym pokoiku. Adwokat poinformował Simona, że Tish kazała wszystko przenieść do skrytki, do której - najwyraźniej - regularnie zaglądała. Prawnik był zdegustowany: nie przelewa się jej, więc po co wydaje pieniądze na rzeczy, które mają jedynie sentymentalną wartość? Simon od razu ją za to polubił.

Brama była zamknięta; w Lawrence Lockup & Storage dzień pracy się skończył, co - biorąc pod uwagę późną porę - specjalnie nie dziwiło. Teren był ogrodzony siatką wysokości dwóch i pół metra. Na niektórych podtrzymujących słupkach zainstalowano kamery, znak, że gdzieś w środku znajdują się monitory i czuwa ktoś, kto - przy odrobinie szczęścia - od tak dawna przesiaduje na nocnych dyżurach, że nieruchome obrazy już mu się znudziły i przestał na nie zwracać uwagę.

Simon szybko i zwinnie wdrapał się na ogrodzenie, zeskoczył po drugiej stronie, podbiegł do głównego budynku i przyłgął do ściany, gdzie nie sięgały kamery. Wybetonowany dziedziniec wciąż był cichy, nie zapaliły się żadne światła. Simon odczekał dziesięć minut i obszedł budynek od tyłu, mijając półciężarówkę z wymalowaną na drzwiach nazwą firmy.

Tish Childs wynajęła skrytkę G-3. G oznaczało siódmy rząd skrytek, licząc od A, a 3 - trzecią skrytkę w rzędzie. Drzwi rzeczywiście były oznakowane G-3, ale wyłamana kłódka zwisała luźno ze skobla. W pomieszczeniu nie paliło się światło.

Simon wyjął pistolet, otworzył drzwi i wskoczył do środka.

Zanim zdążył dobrze złapać równowagę i przekonać się, czy nie przesadził z nadmiarem ostrożności, miał gotową odpowiedź: coś uderzyło go w głowę, czaszka eksplodowała mu bólem, a broń wypadła z ręki.

Simon wpadł między kartonowe pudła. Dwa zwały się na niego. Głowa bolała go od kopniaka, ramię i pierś miał obolałe od uderzeń kartonów. Zepchnął je z siebie i znieruchomiał, oślepiiony światłem latarki.

- Kim pan jest? Co pan tu robi? - Kobięcy głos był dziwnie znajomy.

- Jestem bratankiem Marka Childsa - odparł urażony. - Nazywam się Simon Childs. A z kim mam, do cholery, przyjemność?

Simon? A ten co tu robi? Liz wytrzeszczyła oczy. Nie poznała go, bo kiedy ostatnio się widzieli, był jeszcze nastolatkiem. W świetle latarki zauważyła, że cherlawy dzieciak wyrósł wprawdzie na mężczyznę, ale nadal był chudy i miał takie same włosy. Jego twarz nabrała wyrazu, stała się kwadratowa, z wydatną szczęką i wyrazistym podbródkiem. Najciekawiej prezentował się nos, zdeformowany, złamany chyba w jakiejś bójce; gdyby nie to, pewnie zmiana nie byłaby tak widoczna. Simon miał na sobie jasnobrązową sportową marynarkę, koszulę bez krawata i niebieskie spodnie z paskiem.

Zgasiła latarkę i włączyła zawieszoną pod sufitem jarzeniówkę.

- Wstawaj, Simon - rzuciła krótko.

- Liz?!

Nie mógł oderwać od niej oczu, kiedy stała nad nim z rękami na biodrach - w jednej trzymała opuszczoną beretkę, w drugiej latarkę. Kiedyś się w niej podkochał. Teraz podziwiał jej wyraźne kości policzkowe, szerokie ramiona, duże piersi, długie nogi. Była brzydsza, niż ją zapamiętał, ale wcale nie mniej pociągająca. A może to po prostu dawne fantazje dawały znać o sobie? Romantyczne wizje napalonego nastolatka?

- Jezu, tyle lat...

Słabo się znali, ale Liz wiedziała, że Simon jest z MI-6. A Mac twierdził, że współpracują tylko z francuską Surete, nie z Brytyjczykami. Co wobec tego Simon robił w takim miejscu? Z pewnością pamięta, że Liz pracowała kiedyś dla CIA. Musiała zachować ostrożność, dopóki nie dowie się, czemu brytyjski wywiad interesuje się Markiem.

- Ciepło, ciepło, ale nagrody nie będzie. Nie jestem twoją kuzynką - skłamała. - Nazywam się Sarah Walker.

- Serio?

- Myślałeś, że gdybyś spotkał Liz, skończyłoby się na takim jednym kopniaku?

- Słyszałem, że jesteście do siebie podobne. - Simon przyjrzał się jej uważnie, a potem otrzepał z kurzu spodnie i marynarkę. Głowa w dalszym ciągu tętniła mu bólem. - Ale chyba masz rację. Po szkoleniu w Langley przycisnęłaby mi pewnie pistolet do gardła i zaczęła

zadawać pytania. - Ale skąd się tu wzięła Sarah? - Dalej jesteś żoną... jak on się nazywał? Ashera Floresa? Tego z CIA? - zapytał niby od niechcienia.

- Nie kombinuj, Simon, nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co tu robisz?

Kiedy był chłopcem, szybko biegał, szybko gadał i szybko pakował się w kłopoty. Teraz po prostu uniósł brwi. Ta kobieta nie tylko wyglądała jak Liz, ale też podobnie się zachowywała.

- Sam chciałbym cię o to zapytać. - Powiódł wzrokiem po skrytce zawalonej starymi zdjęciami, kartonami i stertami pamiętek. Ruchem głowy wskazał stojącą na podłodze pancerną skrzynkę z kartonowymi teczkami. - Szukasz czegoś konkretnego?

- Nie - odparła z przekąsem. - Jestem zębową wróżką, chodzi mi o mleczaki. Może zagramy w otwarte karty, Simon? To oczywiste, że znaleźliśmy się tu z powodu Marka Childsa. Pierwsza cię zapytałam, więc daj dobry przykład i wyjaśnij mi, co tu robisz, a ja potem zrobię to samo.

Simon nie spuszczał jej z oka. Po bałaganie w CIA w 1996 przeprowadził dyskretną sondę w Agencji, ponieważ przypuszczał, że Liz mogła być zamieszana w sprawę. Od słowa do słowa, przysługa za przysługę, tu kontakt, tam kontakt, tu otwarta kartoteka, tam udostępniony kod do komputera... I tak po kawałku poskładał pełny obraz faktów, które zdarzyły się, kiedy Liz i Sarah próbowały usidlić Drapieźnika. Ojca Liz. Wujka Hala, jak się okazało. To dopiero był szok.

Ale najważniejsze, że Sarah była przy Drapieźniku do samego końca. Mogła coś wiedzieć o jego kartotece.

- Jak mógłbym odmówić? Może sobie nawzajem pomożemy. Zacznijmy od mojego pistoletu.

Wyciągnął rękę. Liz się zawahała. Spojrzała mu w oczy: dobrze pamiętała ich niebieski odcień, ale z wiekiem stały się głębsze, bardziej zadumane. Simon w ogóle spoważniał.

Złapała pistolet za lufę i oddała mu go.

- Dzięki. - Schował broń do kabury. - Powiem krótko: szukam związku między Markiem i naszym wujem, Drapieźnikiem.

- A dlaczegoż to MI-6 nagle interesuje się Drapieźnikiem? - Liz próbowała nie okazać zdziwienia. - Przecież on od lat nie żyje.

- MI-6 nie ma tu nic do rzeczy.

- Odszedłeś ze służby? Czy raczej zdezerterowałeś?

- Mniejsza z tym. To sprawa prywatna i chciałbym, żebyś ty też ją tak potraktowała.

Cały Simon: po szyję w kłopotach. Ale wyglądało na to, że tak jak jej zależy mu na dyskrecji. Zamknęła skrzynkę z papierami i usiadła na wieku.

- W porządku. Słucham.

- Wczoraj byłem służbowo w Bratysławie... Nie, nie powiem ci, o co chodziło. - Simon przysiadł na jednym z kartonów. - Wieczorem ktoś podrzucił mi liścik. Kierując się zawartymi w nim wskazówkami, spotkałem się w katedrze z informatorem. Nie widziałem jego twarzy. Twierdził, że mój ojciec popełnił samobójstwo, ponieważ był szantażowany.

- A był?

Simon przypomniał sobie słowa Terrilla.

- Z tego, co wiem... Tak.

- Biedny sir Robert...

Zawsze go lubiła. Należał do tych starych, dobrych Anglików, dla których honor był wszystkim. Miał przy tym trochę zawadiacką naturę, jakby wcielał się w rolę korsarza, któremu Korona zleciła rabowanie fortun w dublonach z obcych okrętów. Plotki o jego romansach nigdy się nie potwierdziły i Liz doszła do wniosku, że jednak nie miały podstaw.

Simon opowiedział, jak jego ojciec wynajął Drapieźnika, by ten zlikwidował mordercę z Miller Street.

- Dwadzieścia lat później ktoś próbował tatę tym szantażować.

Opisał swój wypad do Zurychu i spotkanie z Terrillem Leamingiem, który, jak się okazało, też korzystał z usług Drapieźnika - i również był szantażowany.

Liz słuchała w milczeniu. Rozumiała już, dlaczego posiadacz kartoteki trzyma ten fakt w tajemnicy: była mu potrzebna do szantażu. Wiedziała, że Terrill Learning przyjaźnił się z wujem Robertem na uczelni; znała również nazwisko de Darmond. Claude de Darmond. W zarządzie Fundacji Ayleswortha zasiadał inny de Darmond - Alexandre, brat Claude'a. De Darmondowie tworzyli liczną bankierską rodzinę, prawdziwą dynastię, prawie jak Rothschildowie.

- Ponoć tato powiedział Terrillovi, że szantażysta korzysta z kartoteki Drapieźnika. Zresztą sam Terrill też tak uważał, zwłaszcza po otrzymaniu e-maila z opisem zlecenia, które Drapieźnik wykonał dla banku.

- Czego chciał szantażysta?

- Tata miał zagłosować za ustawą o wolnym handlu, a Terrill wziąć na siebie grzeszki barona de Darmond.

- To ciekawe, że nie domagał się pieniędzy. Raz chciał załatwić sprawę polityczną, a raz zatuszować przestępstwo.

- Na to wygląda. Facet ma chyba sporo gotówki, z pewnością wystarczająco dużo, żeby wynajmować morderców. Ja w każdym razie mam jasny cel: chcę dorwać drania, który doprowadził tatę do samobójstwa. Kartoteka ułatwiłaby mi dostęp do niego.

- Nie wydaje ci się, że tracisz tu czas? Jedź porozmawiać z baronem de Darmond.

- Baron jest w tej chwili w drodze z Zurychu do posiadłości na północ od Paryża. Musiałbym siedzieć beczynnym i czekać, aż wyląduje, więc zamiast tego poszedłem drugim tropem, który podsunął mi Terrill. - Simon opowiedział o podejrzeniach sir Roberta, który uważał, że jeden z braci Melanie mógł wykraść kartotekę. - Wuj Blake zginął w wypadku helikoptera w Bośni, więc został tylko wuj Mark.

- Chciałeś więc sprawdzić, czy Mark miał kartotekę, a jeśli tak, dowiedzieć się, co się z nią stało po jego śmierci.

- Zgadza się. - Simon nie mógł na nią spokojnie patrzeć. Te ciemne oczy, ta niezwykła twarz... Nawet głos miała taki sam, melodyjny jak głos Liz. - Teraz ty.

Czy mogła mu zaufać? Mac podkreślał, że nikt nie powinien się dowiedzieć ani o kartotece, ani o porwaniu żony agenta CIA. Jednocześnie kartoteka mogła okazać się niezbędna, jeśli mieli uratować Sarah. Liz bała się o nią, ale musiała zapomnieć o strachu. Simon i tak wiedział już o istnieniu archiwum, wystarczyło więc milczeć na temat porwania.

- Przyjechałam tu z tego samego powodu: chodzi o kartotekę Drapieźnika. Nie zapytałam, co robiłeś w Bratysławie, więc ty nie pytaj, dlaczego jej szukam.

- No dobrze - zgodził się Simon po chwili wahania.

Liz opowiedziała o rozmowie z Tish Childs.

- Powiedziała mi, że ostatni „interes” Marka miał być jakoś związany z Melanie i ośrodkiem wypoczynkowym, który nazywał Wielką Wodą. Podobno miał na jego temat jakieś notatki, więc właśnie ich szukam. Te już przejrzałam. - Postukała w skrzynkę, na której siedziała. Wskazała pięć innych pudeł. - Może poszukamy razem?

- Czekalem, kiedy to zaproponujesz.

W skrytce znajdowało się jeszcze co najmniej dwadzieścia kartonów. Simon wstał i otworzył ten, na którym siedział. Był pełen zakurzonych teczek. Przejrzał wszystkie etykiety, szukając wzmianek o ośrodkach wypoczynkowych i Wielkiej Wodzie. Liz otworzyła pudło obok, przejrzała te czki, kilka z nich wyjęła i zajrzała do środka. Skończyli niemal równocześnie i zabrali się do następnych kartonów.

- Mark prowadził takie niepokładane życie, a w teczkach panuje idealny porządek - zauważyła Liz. - Najdziwniejsze jest to, że niektóre mają daty z lat siedemdziesiątych i są zupełnie puste. Wyglądają jak nowe. Tak jakby ponaklejał etykiety, bo liczył, że zapelni

teczki, a kiedy nic nie wyszło z jego planów, nie umiał się ich pozbyć. To pasuje do słów Tish, która uważała go za marzyciela.

- W moim pudle było tak samo. Ale nie tracę nadziei, że znajdziemy coś, co się nam przyda. Skoro już mówimy o kartotece... Zauważyłaś, że FBI nazwało swój program podsłuchu przestępców Drapieżnikiem?

- Czytałam o tym. To pewnie zbieg okoliczności.

- Moim zdaniem to ukłon w stronę wuja Hala.

- Wszystko jest możliwe. - Liz się uśmiechnęła. - Może zadzwoń do kumpli z FBI i po prostu zapytaj?

- Dobry pomysł. Tak właśnie zrobię.

- Pewnie.

Uśmiechnęli się do siebie i wrócili do poszukiwań. Po godzinie w skrytce zrobiło się duszno, a zgarbioną Liz rozboleły plecy. Po blisko dwóch godzinach poszukiwań rozległ się triumfalny okrzyk Simona:

- Mam! - Wyciągnął teczkę z pudła. - Wielka Woda!

Liz przykucnęła obok niego, zapominając o zmęczeniu. Teczka wypełniała liniowane kartki wyrwane z notesów, arkusze papieru maszynowego, była nawet jedna serwetka. Na każdym skrawku zapisano godzinę, datę, a czasem także i miejsce domniemanego spotkania.

Simon i Liz zaczęli je przeglądać, ale nie znaleźli żadnych szczegółów planów Marka.

- Dobrze przynajmniej, że są ułożone chronologicznie - zauważyła zniechęcona Liz.

Simon wziął do ręki ostatnią kartkę.

Spotkanie Wielka Woda przyszły czwartek z towarem.

Pieniądze 1 milion funtów.

Liz wzięła od niego karteluszek. Nie był podpisany ani opatrzony datą.

- Z jakim „towarem”? - spytała. - Myślisz, że chodziło o kartotekę? Dla właściwej osoby z pewnością mogła być warta milion funtów. Co najmniej.

Simon odwrócił wzrok i zapatrzył się w przestrzeń.

- Spotkanie Wielka Woda... - powtórzył i pokręcił głową. - Może przy Wielkiej Wodzie?

- I znów wracamy do punktu wyjścia: gdzie jest ta Wielka Woda, do cholery? Gdzie?! W życiu nie słyszałam o takim miejscu, a ty?

- Ja też nie.

- A może... - Liz zmarszczyła brwi. - Może chciał się spotkać z Wielką Wodą. Może to człowiek, zwierzę, postać ze sztuki, pseudonim...

- Właśnie! - Simon zerwał się na równe nogi i wyjął telefon.

- Do kogo dzwonisz?

Uciszył ją gestem.

- Barry? Czołem, staruszk...

Simon nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo przerwało mu warknięcie w słuchawce.

- Co się z tobą dzieje, Simon? Szefowa najchętniej ukręciłaby ci jaja i rzuciła rybom na pożarcie.

- Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi? - zdziwił się Simon.

- Miałeś być chyba we Florencji, prawda? A już na pewno nie powinieneś dzwonić do centrali! Gdzie jesteś?!

Florencja. Kryjówka przygotowana przez Adę. Psiakrew! Zapomniał na śmierć.

- Zaszło małe nieporozumienie. Prowadzę śledztwo i potrzebuję informacji.

- O nie. Lepiej zadzwoń do Ady i jakoś się wytłumacz, choćby najbardziej nieporadnie.

- Przepraszam, Barry, nie chciałem mącić. Jeszcze dziś polecę do Florencji - skłamał gładko Simon. - Ale muszę jeszcze załatwić pewien drobiazdek. Macie w bazie danych bandziora o ksywie Wielka Woda? A jak nie wy, to może Scotland Yard?

Barry Blackstein kazał mu chwilę zaczekać.

Liz wstała i spojrzała pytająco na Simona.

- Czekam - wyjaśnił. Co ona takiego w sobie miała, że znów czuł się przy niej jak dzieciak? - O co ci chodzi?

- Masz kłopoty. - Liz nawet nie zapytała, tylko stwierdziła.

- Widzę, że jesteś teraz dziennikarką. Poznają po wścibstwie.

- I po celności domysłów. Powinieneś być we Florencji; naprawdę chcesz tam dziś lecieć? Nic a nic się nie zmieniłeś.

- Florencja to miał być taki przymusowy urlop. A dla mnie sprawa samobójstwa ojca jest o wiele ważniejsza.

Strzał w dziesiątkę. Liz niechętnie skinęła głową.

- Masz rację, przepraszam.

Uciszył ją gestem i szepnął:

- Przeprosiny przyjęte.

Barry znów się odezwał:

- Wielka Woda to pseudonim londyńskiego gangstera Gregory'ego Watersona. Informacja prościutko z bazy Scotland Yardu. Waterson został zamordowany w czerwcu 1997 roku.

Simon zerknął z ukosa na Liz.

- Gangster, powiadasz... Właściwie można się było domyślić. Zamordowany, tak? Czerwiec 1997?

Liz zatkało. W czerwcu 1997 zginęli jej matka i wuj Mark.

- Miał nielegalne kasyno - ciągnął Barry. - Zarabiał na stręczycielstwie, zakładach, haraczach, nie gardził żadną robotą. Płotka, ale z ambicjami. Donny Mester przejął jego teren; podobno zabił go, żeby powiększyć swoje wpływy. Ale dlaczego tajny agent tak się interesuje tym drobnym bandziorkiem?

- No właśnie, tu dochodzimy do sedna sprawy - przyznał Simon. - Na razie sam nie wiem, czemu się nim interesuję.

- Co cię obchodzą nasze wojny gangów... Nie, Simon, tylko nie to. Nie mów, że jesteś w Londynie? Ada dostanie szału. Miałeś się schować i nie wychylać. Będę musiał złożyć raport...

- Daj spokój, Barry - westchnął Simon. - Wiem, że czasem zachowuję się dziwnie, ale nie jestem idiotą. I nie jestem w Anglii. Wielka Brytania może spać spokojnie. Wkrótce będziecie się martwić tym, co zrobię we Włoszech. Ale na razie mój informator chce się dowiedzieć, co zaszło między Donnym Mesterem i Wielką Wodą. Jeżeli mu to załatwię, powie mi coś, co pomoże mi wykonać moje zadanie. Czy Mester ma jakiegoś rywala, do którego mógłbym go odesłać?

Barry westchnął z rezygnacją.

- W porządku. Niech twój informator pogada z Jimmym Unakiem. Kumplowali się z Wielką Wodą, ale kiedy Donny pojawił się na scenie, Unak roztropnie przeszedł na jego stronę. Na ulicy mówi się, że Mester obawia się Jimmy'ego, który podobno planuje mały zamach stanu. W związku z tym Mester zamierza stuknąć go pierwszy. Normalka. - Podał Simonowi adres klubu Mestera, dorzucił jeszcze garść szczegółów i dodał na zakończenie: - Zbieraj dupę w troki i jazda do Florencji!

Ledwie Simon się rozłączył, odezwała się Liz:

- Wybuch gazu i pożar, w którym zginęli Melanie i Mark, były w czerwcu 1997!

- Tak myślałem. Paskudna sprawa. - Simon streścił jej słowa Barry'ego.

- Chyba powinniśmy odwiedzić Jimmy'ego Unaka.

- Chyba tak. Chodźmy. - Liz podeszła do drzwi. - Zgaś światło.

Zaczęła nasłuchiwać. Simon wyłączył światło i stanął obok niej. Jej włosy ładnie pachniały. Kiedy pchnęła drzwi i wyszła na dwór, ruszył za nią. Pobiegnęła w stronę biurowca. Podążał za nią i podziwiał jej ruchy, zanim skręciła i zaczęła okrążyć budynek z lewej strony.

Simon poszukał wzrokiem strażników i zrównał się z nią.

- Jak się dostałaś do środka?

- Od frontu, przez płot. A ty?

- Tak samo.

Podbiegli do bramy. Simon z niepokojem rozglądał się po otwartej przestrzeni, na której kamery mogły ich łatwo wyłapać. Przy bramie od razu wcisnęła niedostępny z zewnątrz przycisk zwalniający elektryczny zamek.

Brama zgrzytnęła i jej skrzydła powoli zaczęły otwierać się do środka. Liz odwróciła się: za roletą w oknie biurowca poruszył się cień.

- Szybciej!

Simon szarpnął bramę, ale mechanizm stawiał opór. Na krawędzi dachu biurowca zapaliły się reflektory. Powódź światła zalała betonowy plac przed budynkiem. Simon zaklął głośno.

Liz przecisnęła się przez szparę - i natychmiast się cofnęła.

- Mamy gościa - powiedziała słumionym głosem. - Cały ubrany na czarno. Przyjechał czarną terenówką, ale światła miał pogaszone. Widziałam, jak wysiadał. Chyba ma pistolet z tłumikiem.

- Widział cię?

- Oczywiście, że nie. Zapamiętałam numer rejestracyjny. Mnie nikt nie śledził. W Paryżu deptała mi po piętach jedna babka, ale ją zgubiłam. Musiał przyjechać za tobą.

- Niemożliwe. Chodź, musimy go zgubić.

Cofnęli się od bramy, ale w tej samej chwili ze stróżówki wybiegł ochroniarz.

- Zmiatać stąd, ale już! - zawołał. - Wezwałem policję!

Miał na sobie buroszarą koszulę i spodnie tego samego koloru. Na plecach i na otoku czapki widniała nadrukowana nazwa Lawrence Storage. Był bez broni; ze swoim wydatnym brzuszkiem i twarzą prostaczka nawet dziecka by nie przestraszył.

- Osłaniaj mnie - syknął Simon. - Zabiorę mu mundur.

Wyjął broń i podbiegł do strażnika, który stęknął ze strachu i odwrócił się - ale nie zdążył dobiec do stróżówki, bo Simon dopadł go wcześniej i wepchnął przez drzwi na korytarz, grożąc mu bronią.

Liz była już w biurowcu, przebiegła korytarzem, mijając ciemne biura, i wparowała do jedyne go pomieszczenia, w którym paliło się światło - do stróżówki. Całą jedną ścianę zajmowały monitory. Usiadła przy konsoli, znalazła przełączniki kamer przy głównym wejściu i wcisnęła te opatrzone napisem SKASUJ.

Zanim wyszła na korytarz, Simon zdążył już rozebrać strażnika, zasłonić mu oczy i przywiązać go do obrotowego fotela. Sam wcisnęła na głowę jego czapkę i właśnie zapinał koszulę, którą włożył, nie zdejmując własnej. W jedną rękę wziął klucze, w drugą złapał swoją marynarkę i podbiegł do bocznego wyjścia.

- Tędy.

Nie oglądając się za siebie, otworzył drzwi. Jeśli go pamięć nie myliła... Tak: pod drzwiami stała firmowa półciężarówka.

Liz wybiegła za nim. Musieli działać szybko, zanim intruz przejdzie przez płot.

- Otworzę bramę. - I pobiegła przez plac.

Simon usiadł za kierownicą, włączył silnik, wdusił pedał gazu i zawrócił, kierując się w stronę wyjazdu. Liz dopadła bramy, wcisnęła guzik zamka i odsunęła się w lewo, żeby znaleźć się po stronie pasażera, kiedy samochód podjedzie bliżej. Zza ogrodzenia nie dobiegał żaden odgłos: jazgot silnika półciężarówki wszystko zagłuszał. Simon zwolnił, mijając ją, a wtedy wskoczyła do środka i przywarła do podłogi.

- Pięknie - przyznał z uznaniem Simon, nie spuszczając wzroku. - Brama otwarta... Jedziemy! - Wyjechał spokojnie, pewnie, jak na umundurowanego strażnika przystało. - Gdzie stoi ta terenówka?

- Po prawej - odpowiedziała z podłogi.

Simon skręcił w lewo.

- Widzisz go? - zapytała Liz.

Simon zerknął w lusterko i uśmiechnął się od ucha do ucha. Wyglądał teraz wyjątkowo młodo i beztrąsko, jak za dawnych dobrych czasów. Parsknął śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Facet właśnie wśliznął się przez bramę, cicho i dyskretnie. Jest w kominiarce. Pewnie w duchu pogratulował sobie sprytu, bo przecież nie musiał przełazić przez płot. Możemy wrócić po mój wóz. Gość będzie wystarczająco zajęty, żeby nie sprawiać nam kłopotu.

Liz wgramoliła się na siedzenie.

- Przynajmniej na razie.

16.

Mimo że było dobrze po północy, na ulicach londyńskiego Soho bawiono się głośno jak w karnawale. Papierosowy dym i dźwięki muzyki sączyły się z otwartych pubów i klubów, młodzi ludzie pili, tańczyli, wachali i palili. Siedzące w kawiarnianych ogródkach dziewczyny plotkowały i oglądały się za chłopakami. Ostry blask ulicznych latarni rozjaśniał nocny mrok. Na chodnikach jak zwykle był tłum.

Radio w samochodzie buczało monotennie; serwis informacyjny donosił właśnie o planowanym na przyszły tydzień spotkaniu przywódców grupy G8 w Glasgow. Simon szukał miejsca do zaparkowania, kiedy nagle spiker zaczął czytać następną wiadomość. Liz wychwyciła nazwisko Tish Childs i podkręciła głośność.

- ...znaleziono martwą w jej mieszkaniu na East Endzie. Została zastrzelona. Przy zwłokach była niewielka ilość kokainy. Przed śmiercią ofiara została dotkliwie pobita...

- Rany boskie! Tish! - Liz wyteżyła słuch.

- ...w koszu na śmieci, wystawionym w pobliskiej uliczce, znaleziono pistolet marki Walther z dokręconym tłumikiem. Broń trafiła do policyjnego laboratorium, gdzie zostanie poddana badaniom w celu ustalenia, czy była narzędziem zbrodni. Jeden ze świadków twierdzi, że dziś wieczorem jakaś wysoka kobieta o krótkich, kasztanowych włosach odwiedziła panią Childs. Inny świadek widział podejrzanego mężczyznę w czarnym kombinezonie z naciągniętym na twarz kapturem...

- Niech to szlag! - wycedził Simon przez zęby. - Nie dość, że tyle się z Markiem nacierpią, to jeszcze teraz...

- Coś strasznego - przyznała z bijącym sercem Liz.

Człowiek, który miał kartotekę, wydał wyrok na Tish. Tak jak na nią: próbował ją zabić dwukrotnie w Santa Barbara, potem przed szpitalem w Paryżu i dziś, przy skrytce. Wyrzała na ruchliwą ulicę. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że w każdym oknie czai się morderca. Biedna Tish. Zasłużyła sobie na lepsze życie.

- Myślisz, że to też z powodu kartoteki Drapieznika?

- A jak inaczej? - Liz wpatrywała się w mijające ich samochody i w tłum, jakby spodziewała się tam znaleźć odpowiedź. - Pierwszy świadek mówił o mnie, ale drugi opisał bandziora, który przyjechał do skrytki. A to znaczy, że nie śledził ani mnie, ani ciebie, tylko zmasakrował Tish i zmusił ją, żeby mu powiedziała, dokąd pojechałam. Co za potwór!

- Szukał cię u niej. Tylko skąd wiedział, że tam będziesz?

- Też chciałabym wiedzieć.

Zaschło jej w gardle. Czuła wtedy, że ktoś ją śledzi, ale nikogo nie widziała. Chyba jednak nie była aż tak dobra, jak się jej wydawało.

- Opowiedz mi o wszystkim - zaproponował Simon. - Może ja coś z tego zrozumie.

Spojrzała na niego ostro.

- A powiesz mi, co robiłeś w Bratysławie?

- Nie mogę.

- Ja też nie mogę.

Zmierzyli się wzrokiem.

- Teraz szuka cię także policja - zauważył Simon. - Musimy założyć, że mają bardziej szczegółowy rysopis niż ten podany w radiu.

Liz nie odpowiedziała. Myślała o Sarah: próbowała sobie wyobrazić, gdzie teraz jest, nie martwić się tym, co się z nią dzieje, co jej zrobili ani jak bardzo się boi. Musiała przede wszystkim zapomnieć o tych, którzy już nie żyli. Rozpamiętując ich śmierć, nikomu nie pomoże. Wszyscy byli ofiarami, ona również, ale ona przynajmniej mogła się jeszcze odgryźć.

Simon znalazł wolne miejsce w wąskiej uliczce. Zaparkował, zgasił silnik, sięgnął po torbę leżącą na tylnej kanapie i przejrzał wyjęte z niej dokumenty.

- Prawdziwe? - spytała.

- Mam nadzieję, że nie.

- Prywatne czy z MI-6?

- Takie i takie. - Simon wyjął telefon i zadzwonił. - Chciałbym rozmawiać z Michele Warneck. Tak, zgadza się. Mówi Simon Childs. - Zabębnił palcami w kierownicę. - Michele? Tak, jak zwykle. Dzięki. - Rozłączył się.

- Co to było?

- Zabezpieczenie. Nie mogę ujawniać wszystkich tajemnic Whitehallu. Sprawdźmy, czy Jimmy Unak powie nam coś ciekawego.

*

Jimmy Unak rezydował w nocnym klubie Velvet Menagerie. Jak na Soho, neonowy szyld był niewielki i w dobrym guście. Portier wyglądał jak zapaśnik wagi ciężkiej. Był ubrany w drogą marynarkę z czarnego jedwabiu, miał dwa złote kolczyki w nosie i gruby warkocz, który opadał mu na plecy. Obserwując jego ruchy, Liz doszła do wniosku, że nosi pistolet w kaburze pod pachą.

Simon mignął mu przed oczami fałszywą legitymacją. Wykidajło chrząknął złowrogo, co najwyraźniej oznaczało, że mogą wejść. Staromodne lampy dyskotekowe zalewały parkiet powodzią barw, od których kręciło się w głowie; pary podrygiwały w rozdzierającym uszy rytmie Split Lip. Zwieszający się z sufitu transparent głosił, że Split Lip jest obecnie największą gwiazdą londyńskiej sceny klubowej. Mimo późnej pory w powietrzu wyczuwało się nie tylko odór potu i alkoholu, ale i szczery entuzjazm tańczących.

- Teraz moja kolej - oświadczyła Liz.

Zanim Simon zdążył zaprotestować, przepchnęła się do baru i skinęła na barmana. Doskoczył do niej z błyskiem w oku, tylko przelotnie zerkając na Simona, który akurat przepchnął się do kontuaru. Kiedy zapytała, czy wie, gdzie znajdują pana Unaka, wskazał ozdobnie rzeźbione drzwi, dyskretnie pilnowane przez mężczyznę w smokingu.

Odwrócił się do kolejnego klienta, a Liz zauważyła, że z tyłu coś wypycha mu fartuch. Spojrzała znacząco na Simona, który tylko zacisnął wargi. Też zauważył broń. Obeszli parkiet, kierując się w stronę ochroniarza przy drzwiach biura Unaka. On też na pewno był uzbrojony.

- Przeszukają cię, jeśli będziesz chciał wejść do biura - szepnęła Liz. Simon nie rozstawał się z beretką.

- Nie sądzę.

- Ranny, a tym bardziej martwy nie na wiele mi się przydasz.

- Zaufaj mi i nic się nie martw.

- Martwię się o ciebie, Simon. To nie przelewki.

- Moja szefowa też tak mówi - westchnął. - Ale powtarzam: zaufaj mi. Wiem, co robię.

- Mogłabym to załatwić sama.

- Nie, Sarah, nie mogłabyś. Przy odrobinie szczęścia nie zrobiliby ci krzywdy, ale też niczego byś się nie dowiedziała. Więc siedź cicho i słuchaj mnie. Jestem na swoim terenie. Liz na pewno by to zrozumiała.

Liz zmarszczyła brwi. Dobrze, da mu wolną rękę, ale będzie go miała na oku.

Przy drzwiach Simon pokazał legitymację facetowi w smokingu.

- Inspektor Scott Anderson. Chcę się widzieć z Jimmym Unakiem.

Ochroniarz złapał go za przegub dłoni i dokładnie obejrzał dokument.

- Z Manchesteru? Daleko stąd do domciu, inspektorze.

- Rany, umiesz czytać! Ale nie mam czasu na pogaduszki.

Simon wyszarpnął rękę z uścisku i spiorunował strażnika wzrokiem. Ten odpowiedział mu spojrzeniem wygłodniałego rekina i powiedział coś do wpiętego w klapę mikrofonu. W uchu miał słuchawkę. Nagle oczy mu błysnęły. Otworzył drzwi, musnął czoło palcami, jakby salutował i powiedział drwiąco:

- Drugie drzwi na lewo, szefuniu.

Serce Liz zabiło mocniej, kiedy usłyszała ten kpiący ton; musiała przyznać, że Simon jest świetny w swojej roli. Drzwi zamknęły się za nimi z głuchym szczękiem, niczym wrota bankowego skarbcza, i dobiegający z klubu hałas ucichł jak nożem uciął. Ściany były doskonale wyciszone - Liz domyślała się, że są również kulo odporne. Za drzwiami czekał następny strażnik, wysoki i muskularny. Poprowadził ich w głąb korytarza, zapukał do drzwi Unaka i otworzył je.

Jimmy Unak stał za długim biurkiem, którego nie powstydziliby się prezes żadnego z giełdowych gigantów. Małe, gustownie oprawione obrazy impresjonistów - być może nawet oryginały - wisały na wyłożonych orzechową boazerią ścianach. Unak był mężczyzną potężnej tuszy, ale doskonale skrojony smoking świetnie skrywał braki jego sylwetki. Pilotem wyłączył telewizor, w którym na BBC toczyła się jakaś debata polityczna, usiadł w olbrzymim fotelu i wskazał gościom inne fotele, mniejsze, ze skórzaną tapicerką. Strażnik stanął przy drzwiach. Za plecami Unaka, pod ścianą, siedział jeszcze jeden mężczyzna. Bujał się na krześle.

- Z Manchesteru, tak? - Unak zmarszczył brwi. - A co manchesterska dochodzeniówka może ode mnie chcieć, inspektorze... Jak pana godność?

Napięcie na jego twarzy nie uszło uwagi Liz. Mogło wynikać z faktu, o którym wspomniał im człowiek z MI-6: Unak wiedział, że Donny Mester chce go zlikwidować.

- Anderson - odparł Simon uprzejmie, choć z lekkim naciskiem, jakby mówił do dziecka. - Scott Anderson.

Unak skinął lekko głową i strażnik przy drzwiach wyszedł. Zamierzał zadzwonić do londyńskiego Scotland Yardu, gdzie inspektor z Manchesteru powinien się zameldować. Liz domyśliła się, że to po to Simon dzwonił do Michele Warneck: miała mu zapewnić alibi w Yardzie.

- Nie mam pamięci do nazwisk. - Unak parsknął śmiechem, nerwowo, trochę histerycznie. - Co pana sprowadza, inspektorze? Od lat nie byłem na północy.

- Chciałbym poruszyć pewne sprawy, które niedawno wypłynęły w naszej pracy. - Simon założył nogę na nogę i rozsiadł się wygodnie w fotelu, ale nie spuszczał oczu z Unaka.

- Nie wiem, czy nie lepiej by było, gdybyśmy mogli porozmawiać na osobności. Wątpię, żeby chciał pan kogoś wprowadzać w tę kwestię.

Nawet nie spojrzął w stronę ochroniarza za plecami Unaka. Sam Unak zresztą też nie, uśmiechnął się natomiast do Liz.

- A kim jest ta przemiła dama, inspektorze?

- Detektyw Phyllis Roan - odparła obojętnie i zimno Liz.

Unak obrzucił ją pożądanym spojrzeniem.

- Chyba częściej powinienem odwiedzać Lancashire, kochanie.

Liz skrzywiła się pogardliwie, wcielając się w rolę oschłej policjantki z twardej północy. Unak wziął z biurka nożyk do papieru i zaczął czyścić nim sobie paznokcie.

- Packy to mój stary dobry kumpel, inspektorze - wyjaśnił i skinął na strażnika. - Nie mam przed nim tajemnic. Cóż to za „sprawy”, o których chciał pan ze mną porozmawiać?

- Chodzi o pana byłego przyjaciela, świętej pamięci Gregory’ego Watersona, oraz pańskiego konkurenta Donny’ego Mestera.

Unak znów spochmurniał.

- Nie przepadam za roztrząsaniem przeszłości. Co się stało, to się nie odstanie, prawda? Nie ma sensu do tego wracać.

- Niestety, Jimmy, my chcemy do tego wrócić i wrócimy.

Unak z błyskiem w oku poderwał się z fotela, niczym „Titanic” wspinający się na sztormową falę.

- Jeśli nie macie nakazu aresztowania, Anderson, guzik mnie obchodzi, czego chcecie. Jasne?

- Dla ciebie jestem „inspektor Anderson” - warknął wyniośle Simon i nawet się nie poruszył. - A poza tym powinno cię obchodzić, czego chcę. Bo widzisz, znamy rysopis gościa, który ma cię sprzątnąć.

Wyraz twarzy gangstera nie zmienił się ani na jotę, ale w jego oczach na ułamek sekundy pojawił się lęk.

- Co to za gość?

- Najpierw porozmawiamy o tym, co nas interesuje. Pohandlujemy.

- Pohandlujemy? O czym ty, cholera, mówisz?

- W Ameryce mówią na to „układ”, Jimmy. Coś za coś. Na pewno wiesz, co to znaczy. Taki ważny człowiek jak ty...

Liz zamarła. Do tej pory Simon świetnie sobie radził, ale teraz zaczynała się martwić. Najsilniejszym czynnikiem wyzwalamym przemoc jest poczucie wstydu, upokorzenia,

odrzućenia. Każda z tych emocji może sprowokować wybuch. Simon celowo prowokował Unaka. Bardzo cienka granica oddzielała człowieka, który wolał nie zadzierać ze Scotland Yardem, od wściekłego bandyty z kompleksem niższości, który mógł zachować się irracjonalnie, nawet jeśli miałby sobie w ten sposób zaszkodzić. Napięcie stało się wyraźnie wyczuwalne.

Unak poczerwieniał na twarzy.

- Wiem, co to znaczy, głupi glino! I nadal gównu mnie obchodzi ten twój układ!

Packy głośno postawił krzesło na czterech nogach i sięgnął pod marynarkę. Liz przesunęła się w fotelu, żeby w razie potrzeby szybciej zareagować - lub zrobić unik. Tylko Simon siedział nieporuszony, jak na inspektora Scotland Yardu przystało.

- Zaproponowałem układ - powtórzył - bo myślałem, że będziesz ciekaw, kto ma cię sprzątnąć.

Unak skinął ręką na Packy'ego. Napięcie zelzało.

- Jak się ten skurczybyk nazywa? Osobiście skurwiela zabiję!

Skoncentrował się na rzeczy najważniejszej: własnym życiu.

Simon powoli pokręcił głową, jak niezadowolony z dziecka rodzic. Liz siedziała z kamienną twarzą i usiłowała normalnie oddychać, zamiast ciągle wstrzymywać oddech. W porównaniu ze Stanami Anglia to był inny świat. Równowaga między policją a przestępcami była wyraźnie na korzyść stróżów prawa. Simon grał jednocześnie dobrego i złego glinę: najpierw prowokował bandytę, a potem proponował mu układ, który nie tylko gangsterowi nie zagrażał, ale naprawdę mógł okazać się dla niego korzystny.

- Zaproponowałem handel, pamiętasz? Chcę cię popytać o Marka Childsa.

Na dźwięk tego nazwiska Unak prawie się uśmiechnął. Pstryknął palcami.

- Zostaw nas, Packy.

Ochroniarz bez słowa wyszedł. Drzwi bezszelestnie zamknęły się za nim. Unak z wyraźną ulgą rozsiadł się w fotelu.

- Co chcecie wiedzieć o Childsie?

- Podobno Donny Mester zabił Gregory'ego Watersona. Wszyscy myślą, że chodziło mu o przejęcie strefy wpływów Watersona, ale my podejrzewamy, że było w tym coś więcej. I że Mark Childs miał z tym coś wspólnego.

Jimmy Unak kiwnął głową.

- To możliwe. Niech mi pan poda nazwisko tego drania, który ma mnie sprzątnąć. Wtedy opowiem wam o Childsie.

- Nie znam nazwiska, ale mogę ci podać rysopis, powiedzieć, gdzie go ostatnio widziano, jakim jeździ wozem i na jakich numerach. To samochód terenowy, na pewno kradziony.

Liz zorientowała się, do czego zmierza Simon, na ułamek sekundy przed tym, jak opisał Unakowi mordercę Tish, którego widziała przy skrytkach w Fulham. Jimmy Unak starannie zanotował te informacje, a potem poprawił się w fotelu i obrzucił Liz i Simona prawie ojcowskim spojrzeniem.

- No dobrze - powiedział. - To było tak: Greg postanowił pozbyć się Childsa, bo ten miał dyskietkę, ZIP-a, za którą można było ponoć zgarnąć milion funtów. Albo i więcej. Cały biznes Grega nie był tyle wart.

Serce Liz żywiej zabiło. Kartoteka Drapieżnika znajdowała się na dyskietce! Notka Marka, którą znaleźli w skrytce, potwierdzała słowa Unaka: *Pieniądze 1 milion funtów*.

- To było w Stanach? - upewnił się Simon.

- No tak. Przecież mówiłem.

- A czy Waterson zabił też siostrę Childsa, Melanie Sansborough? - wtrąciła Liz.

Unak spojrział na nią i wzruszył ramionami.

- Nie miał wyjścia. Widziała go.

Liz przygryzła wargę. Zabił jej matkę. Ten łajdak zamordował jej matkę! Ale Simon już mówił dalej:

- Jak to załatwił? - Jego głos sugerował wyraźnie, że zna odpowiedź i dobrze by było, by Unak powiedział prawdę.

- Uszkodził przewód gazowy, sprowokował wybuch i upozorował wypadek.

- I wziął dyskietkę?

- Tak mówił. Ale zaraz potem ten kutas Mester go kropnął, opchnął dysk i zgarnął cały szmal.

Liz z trudem panowała nad emocjami. Jej matka miała dyskietkę z kartoteką. Mark jakimś cudem się o tym dowiedział. Przypomniały jej się słowa Tish: „Mówił, że twoja matka mu pomoże i wszystko będzie w najlepszym porządku”. Kolejne z pobożnych życzeń Marka. I kolejne kłamstwo. Oczyma wyobraźni widziała gwałtowną sprzeczkę matki z bratem: Melanie nie chciała oddać dyskietki, a Mark był gotów na wszystko, żeby ją zdobyć. Przyprowadził nawet swojego nowego kumpla, Wielką Wodę, który miał ją „przekonać”.

A Wielka Woda ją zabił. Melanie, kobieta o delikatnych rysach i anielskim uśmiechu, która próbowała uwolnić się od mrocznej przeszłości, zginęła nie jako groźny zabójca na

kontrakcie, lecz w swoim nowym domu w Wirginii, podczas odwiedzin kochanego młodszego brata.

- Wiesz, co było na dyskietce? - dopytywał się Simon. - Albo kto ją kupił?

- Nie wiem, kto ją kupił, ale Greg twierdził, że była na niej tylko masa dat i nazwisk. Musiał zapłacić hakerowi, żeby złamał kod. Dla Grega to były bezużyteczne śmiecie. - Unak pochylił się nad interkomem i ryknął: - Packy? Wracaj migiem. - Podniósł wzrok na gości. - Proponuję, żebyście już spadali. Muszę znaleźć czarną terenówkę i kierowcę-mordercę. Lepiej, żebyście nic więcej o tym nie wiedzieli.

- Miło było. - Simon wstał. - Ale nie radzę składać nam rewizyty. Na północy klimat jest o wiele surowszy.

Po tym ostatnim ostrzeżeniu Simon i Liz minęli się w drzwiach z Packym. Zamyślony Simon nawet go nie zauważył. Kiedy weszli do roztańczonego klubu, Liz czuła na sobie ciekawskie spojrzenia.

Wyszli na dwór. Simon szedł szybko, z rękami w kieszeniach spodni. Zerknął w niebo.

- No to już wiemy - stwierdził ponurym tonem.

Liz pokiwała głową.

- Kartoteka istnieje. - Głos jej się łamał. - Matka Liz została zamordowana z tego powodu.

Dalej szli już w milczeniu, nie zwracając uwagi na zgiełk kosmopolitycznego miasta. Liz nie przestawała się rozglądać.

17.

Telefon z Brukseli

- Czy Sansborough znalazła kartotekę?

- Jeszcze nie, Kronosie.

- Czy znów została napadnięta?

- W pewnym sensie...

- Mów.

- Pojechała spotkać się z niejaką Tish Childs.

- Tak, pamiętam ją. To eks-żona Marka Childsa. Pięć lat temu, kiedy zaczął się ten cały bałagan z kartoteką, próbowaliśmy się czegoś od niej dowiedzieć, ale bez skutku. Sansborough coś od niej wyciągnęła?

- Owszem. Dostała namiary na skrytkę w Fulham. Tam spotkała Simona Childsa. Jak zapewne wiesz, są kuzynami.

- Childs jest z MI-6! A MI-6 za cholere nie może przejąć kartoteki!

- On twierdzi, że to sprawa prywatna, osobista. Szantażysta zmusił jego ojca do samobójstwa. Ze skrytki pojechali do klubu nocnego w Soho. Tam się dowiedzieli, że miejscowy gangster zabił Melanie Childs i jej brata Marka i zabrał im kartotekę, którą sprzedał potem za okrągły milion funtów niezidentyfikowanemu klientowi. Biorąc jednak pod uwagę wysokość sumy, którą kupujący bez problemu wyłożył, możemy chyba przyjąć, że mamy do czynienia z kimś zamożnym, kto chciał użyć dokumentacji do własnych celów.

- Niedługo potem zaczęły się pierwsze szantaże. Dlaczego od razu się tego nie dowiedzieliśmy? Wysłałem twojego poprzednika do Tish Childs, żeby z nią porozmawiał.

- Mówiła, że ktoś u niej był i wypytywał ją o Marka, ale dodała też, że pod żadnym pozorem nie wyjawia rodzinnych sekretów obcym. Była twarda.

- Była?

- Została zamordowana nie dalej niż dwie godziny po tym, jak zwołałeś telekonferencję, na której poinformowałeś nas o poczynaniach Sansborough.

- Szantażysta posłał mordercę do East Endu, żeby znalazł tam Sansborough? Znał adres Childs?

- Tak, Kronosie. To był ten sam adres, który Sansborough podała taksówkarzowi. Morderca skatował Tish Childs i zanim ją zastrzelił, dowiedział się od niej, dokąd pojechała Sansborough.

- A więc pułapka zadziałała. Niech to piekło pochłonie! To naprawdę jeden z moich ludzi!

Londyn

Do świtu pozostało jeszcze parę godzin, kiedy Simon i Liz odjechali spod Velvet Menagerie. Wypatrując policji, skręcili na południowy wschód, w stronę dworca Waterloo. Oboje zamierzali wrócić do Paryża; Simon chciał zapoznać się bliżej z baronem Claude'em de Darmond.

- A ty? - zapytał Liz. - Po co tam jedziesz?

- Wrócę do hotelu i pomyślę. - Nie była to do końca prawda. Komórka nie zadzwoniła ani razu, Mac nie przekazał jej żadnej wiadomości, a to oznaczało, że w sprawie Sarah i Ashera nic się nie zmieniło. Najwyraźniej Mac nie dostał również wyników testu substancji w strzykawce. - Daj znać, jak się czegoś dowiesz od barona.

- Dobrze, jeśli będzie to dotyczyło kartoteki Drapieżnika. No i jeżeli będę mógł liczyć na podobną szczerość z twojej strony.

- Załatwione.

Wymienili się numerami telefonów, po czym Liz zadzwoniła na dworzec i zarezerwowała bilety na Eurostar: pierwsze wolne miejsca były w pociągu odjeżdżającym z Londynu o 7.40 - przyjeżdżał na Gare du Nord o 11.47.

Schowała telefon.

- Myślisz, że ludzie Unaka znajdą mordercę Tish?

- Na swoim terenie? Bankowo.

Liz przypomniała sobie „układ”, jaki Simon zawarł z gangsterem. Wcale jej się nie podobał. Owszem, morderca pobił i zastrzelił Tish Childs, a potem przyjechał pod skrytkę, gdzie zamierzał zabić także ją. Teraz zaś był chodzącym trupem i przestał jej zagrażać. Simon pozbył się go w sprytny sposób, ale nie zmieniało to faktu, że dopuścił się samosądu.

Spojrzała na niego z ukosa. Prowadząc samochód, cały czas się rozglądał. Z zaciśniętymi ustami i wysuniętą do przodu zuchwą wyglądał groźnie, w niczym już nie przypominał młodego żółtodzioba. W klubie spisał się na medal, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest zbyt porywczy - a przez to niebezpieczny i dla niej, i dla Sarah. Może po prostu była uprzedzona, bo nie mogła zapomnieć o jego młodzieńczej lekkomyślności.

- No, jesteśmy na miejscu - stwierdził z ulgą.

Pusty dworzec rysował się na tle nieba jak stacja-widmo. Wjechali do podziemnego garażu pod terminalem międzynarodowym, który do złudzenia przypominał sarkofag: ponura żelbetowa konstrukcja wznosiła się nad biegnącymi dołem torami metra i była fundamentem wybudowanego na górze dworca. Simon zaparkował w ciemnym kącie i zgasił silnik. Sprawdzili zegarki. Do odjazdu pociągu zostały niecałe cztery godziny.

- Nikt nie wie, że masz ten samochód, prawda? - upewniła się Liz.

- Nie. - Simon miał podkrążone oczy. - Na razie jesteśmy bezpieczni. Weźmiesz pierwszą wartę czy wolisz się zdrzemnąć?

Liz powiodła wzrokiem po cichych samochodach.

- Ty się prześpij. Ja jestem jeszcze za bardzo nakręcona.

Simon skinął głową, rozłożył fotel, rozciągnął się wygodnie i chwilę później już chrapał. Liz spojrzała w głąb parkingu, skąd właśnie wyjeżdżał jakiś wóz. Zastanawiała się, co spotka ich na górze; czy będzie na nich czekać policja, czy następny morderca.

*

W środowisku znano go jako Zakonnika. Pracował sam. Cieszył się świetną opinią w kręgach, na których mu zależało. Teraz siedział w kradzionym samochodzie terenowym, zaparkowanym przy skrytkach, i rozmawiał przez telefon z człowiekiem, który go wynajął. Starał się zachować zimną krew, chociaż był wściekły. Zawalił robotę, ale stało się tak z winy szefa.

- Walther nie doleciał na czas na Heathrow. Nie zastałem jej już w mieszkaniu, a ta cała Childs zaczęła się stawiać. Straciłem przez nią sporo czasu.

- Realizujesz plan awaryjny? - Głos w słuchawce brzmiał jak chrapliwy szept. Z pewnością został sztucznie zniekształcony, ale elektronika nie była w stanie ukryć charakterystycznego wyniosłego tonu.

- Oczywiście. Zabiłem Tish Childs, podrzuciłem kokainę i broń.

- Policja będzie szukać tej dziewczyny. Dowiem się, gdzie jest, i jeżeli będzie jeszcze w Londynie, dam ci znać, żebyś dokończył robotę. Pieniądze odbierzesz na poczcie.

Połączenie zostało przerwane.

Obejdzie się bez twoich przysług, pomyślał zde gustowany Zakonnik. Uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył. Marzył o kuflu piwa i kanapce z szynką. Zanim jednak dojechał do pierwszego skrzyżowania, dostrzegł stojącą w poprzek jezdni ciężarówkę. Zwolnił. W cieniu wozu, niezauważalni dla ewentualnych przechodniów, ale wyraźnie widoczni dla niego, czaili się dwaj mężczyźni. Z prawej strony odchodziła boczna uliczka. To musiała być zasadzka.

Dreszcz podniecenia przebiegł mu po plecach. Uwielbiał takie sytuacje. Zahamował, wrzucił wsteczny bieg, wcisnął gaz i ostro skręcił kierownicą w lewo. Z poślizgiem wjechał na chodnik, wyjął mausera i sięgnął do drzwi.

Kula wystrzelona z pistoletu z tłumikiem strzaskała okno po stronie pasażera. Zakonnik usłyszał jeszcze brzęk szkła, ostry jak uderzenie bicia. Potem zapadła cisza. Pocisk przebił mu mózg, wyszedł uchem i rozbił szybę w oknie kierowcy. Zakonnik wypadł przez otwarte drzwi. Już nie żył, kiedy runął na beton.

Wykidajło obszedł samochód dookoła. Miał czarny warkocz i dwa złote kolczyki w nosie. Był zbudowany jak zapaśnik i w jedwabnej marynarce zwracałby na siebie powszechną uwagę, nawet gdyby nie zabił przed chwilą człowieka. Ale nie było przypadkowych

świadków, widzieli go tylko jego towarzysze. Obiekt nie żył. Zapaśnik schował pistolet. Za parę minut wróci na posterunek przed Velvet Menagerie.

*

Liz źle spała. Po przebudzeniu ręce i nogi ciążyły jej jak ołów, w głowie jej się kręciło. Nie otwierając oczu, wsłuchiwała się w ciszę podziemnego parkingu, poczuła słaby zapach benzyny i sprężystość fotela, na którym leżała.

W końcu uchyliła powieki. Simon patrzył na nią. Miał ciemnoniebieskie oczy. Nie poruszyła się, udając, że jeszcze śpi. Siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. W jednej dłoni trzymał berettę. Odwrócił się na chwilę i obrzucił parking czujnym spojrzeniem.

Podobał się jej. Był przystojny i poruszał się z naturalnym wdziękiem. Miał w sobie jakiś zaraźliwy entuzjazm, apetyt na życie, które traktował jak jedną wielką przygodę. Kobiety się za nim oglądały i nie chodziło im tylko o jego urodę, lecz także - a może przede wszystkim - o aurę, jaką roztaczał: emanował pewnością siebie jak drapieżny kot, patrolujący swoje terytorium. Należał do tych mężczyzn, którym kobiety szybko ulegają.

Z początku była zdziwiona i rozbawiona, że tak się jej przygląda, ale kiedy teraz znów się do niej odwrócił, natarczywość spojrzenia zaczęła jej przeszkadzać.

Otworzyła oczy i zamruwała, jakby dopiero się przebudziła.

- Działo się coś?

Simon spojrzał gdzieś przed siebie.

- Nie. Dwa razy przejechał patrol z ochrony, ale nie zaglądali do tego kąta. Jak się czujesz?

- Lepiej. Chyba pora odebrać bilety.

Cały czas zastanawiała się, co spotka ich na górze.

- Jeszcze chwilę. Ktoś wyjdzie po ciebie w Paryżu? - zapytał z troską.

Jesteś Sarah, upomniała się w duchu Liz. Musisz myśleć jak Sarah. Nie pierwszy raz zszokował ją niezbędny w jej zawodzie fałsz, łatwość, z jaką przychodziło jej ukrywać prawdę i żyć kłamstwem.

- Asher miał po mnie wyjść - odparła z rozmarzonym uśmiechem, jakby z czułością pomyślała o mężu. - Ale ma robotę. Zresztą to żaden problem. Lubię Paryż, poradzę sobie.

- Spodziewasz się dalszych kłopotów?

- W rodzaju wynajętych morderców? Raczej nie.

Chyba jej nie uwierzył.

- Masz broń?

- Nie i nie chcę mieć.

Simon wyciągnął przed siebie lewą rękę. Trzymał w niej mały pistolecik z krótką lufą, o niezwykłym kalibrze .22.

- A powinnaś. Ktoś, kto wynajął tamtego gościa, wynajmie następnych. Weź, to mój zapasowy.

- To bardzo miłe z twojej strony, Simon, naprawdę, ale dziękuję. Nie chcę broni. Parę lat temu na dobre się z nią rozstałam. Koniec dyskusji.

- Nawet jeśli mogłabyś w ten sposób ocalić czyjeś życie? Niekoniecznie swoje?

- Są inne sposoby rozwiązywania problemów niż przemoc. Znam się na tym. - Liz postanowiła zmienić temat. - Najpierw odwiedzisz barona w jego posiadłości, tak? A co potem?

Simon się zamyślił. Po chwili podciągnął nogawkę i schował pistolecik do kabury na łydce.

- Zależy, czego się dowiem.

- O ile w ogóle czegoś się dowiesz. - Wiedziała, że praca szpiega to sztuka zmieszana pół na pół ze żmudną harówką, ale odpowiedź Simona zabrzmiała nieszczerze. - Dlaczego chcą cię odesłać do Florencji?

Zacisnął usta i spojrzał na nią z rezerwą.

- To ma być mój urlop - odparł i uśmiechnął się szelmowsko. - Trochę wymuszony.

Liz odpowiedziała uśmiechem, nie dając po sobie poznać, że go przejrzała. Grał jak zwykle, udawał wiecznego chłopca, porywczego, trochę aroganckiego. Ludzie myśleli, że mają do czynienia z przeciętniakiem. A on potrafił być twardy, ostry i konkretny - tylko nie lubił się z tym ujawniać.

- W takim razie radzę ci zapomnieć o Paryżu i jechać prosto do Włoch - zasugerowała. - Jeżeli MI-6 nie wie o istnieniu kartoteki Drapieżnika, ściągniesz ich nam na kark, a wtedy oboje będziemy mieli kłopoty. Przez ciebie możemy stracić i szantażystę, i dokumenty.

- Poradzę sobie z moją szefową - zapewnił ją pogodnie. Bardziej niepokoił się o nią: czy sobie poradzi?

- To mnie właśnie martwi, ta twoja beztroska i pewność siebie. Aż trudno uwierzyć, że naprawdę wiesz, co robisz. Jak ja mam ci zaufać, skoro zanosisz się na to, że wpakujesz się w jakąś kabałę tylko po to, żeby zaspokoić swoje ego i naprawić krzywdę, której doznałeś w dzieciństwie?

- Zaraz. - Twarz Simona przez chwilę wyrażała gniew. - Z nas dwojga to ty jesteś amatorką. Jeśli nie chcesz ze mną współpracować, nie ma sprawy. I tak wątpię, żebyś mogła

mi się jeszcze do czegoś przydać. Ale nie chcę tracić z tobą kontaktu na wypadek, gdybym jednak się mylił.

I gdybym znów musiał ci pomóc, dodał w myślach.

Liz musiała przyznać, że doskonale obmyślił ucieczkę spod skrytki i świetnie manipulował Jimmym Unakiem. Sprytnie wyeliminował zamaskowanego mordercę. Właściwie nie miała powodów, żeby mu nie ufać. A gdyby w przyszłości zmieniła zdanie, mogła zataić to, czego się dowie.

- W porządku. Przyda nam się skrzynka kontaktowa. Przy rue de Bassano, w pobliżu Pól Elizejskich, jest restauracja Chez Paul. Niedaleko Łuku Triumfalnego. Naprzeciw niej jest parking i budka telefoniczna.

- Kojarzę tę okolicę, ale nie przypominam sobie budki...

- Znajdziesz ją. To świetne miejsce. Kiedyś młoda poetka zostawiała tam liściki adresowane do starszego mężczyzny, który codziennie rano jadał śniadanie w Chez Paul. Biedna, była zbyt nieśmiała, żeby podejść i mu się przedstawić, więc utykała anonimowe notki między ścianę i aparat telefoniczny. Nie sądziła, że on je kiedyś przeczyta. On zaś zwrócił na nią uwagę i któregoś dnia postanowił zaczekać przy budce, aż będzie z niej wychodziła. Zobaczył, jak zostawia w środku karteczkę. Zaniepokoił się i zamiast z nią porozmawiać, poszedł sobie. Dopiero później wrócił i znalazł liścik, a właściwie cały plik liścików.

- Był szpiegiem?

- Nie, redaktorem w wydawnictwie. Poskładał karteluszeki w całość i odkrył, że tworzą jeden długi poemat, będący wyrazem hołdu dla nieosiągalnego kochanka. Nosił tytuł *Nieszczęśliwa miłość* i...

- „Jesteśmy sami, zatopieni w szklanej bańce, w kropli, w łzie” - zacytował Simon. - Znam tę historię. Pokochali się, ona dokończyła wiersz, a on go opublikował.

- No właśnie. W każdym razie od tamtej pory paryżanie zostawiają sobie wiadomości w tej budce. To ponoć przynosi szczęście. Francuzi mają hyzja na punkcie nieodwzajemnionej miłości.

- Dobry pomysł. W tłumie nie będziemy rzucać się w oczy. - Simon położył pistolet na kolanach, przeciągnął się i ziewnął. - Przez jakiś czas spałaś oparta na moim ramieniu.

- Jak ci się podobała rola poduszki?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Całkiem, całkiem...

Cały czas myślał o tym, jak bardzo Sarah jest podobna do Liz. Dziwnie się czuł ze świadomością, że to, co podpowiadają mu pamięć i emocje, nijak nie przystaje do rzeczywistości. Mimo zmęczenia czuł młodzieńcze ożywienie wywołane burzą hormonów, które dawniej kierowały jego życiem i do dziś odgrywały w nim znaczącą rolę. Liz zawsze była dla niego nietykalnym symbolem, starszą, doświadczoną kobietą, pożądaną i nieosiągalną.

I wyszła za mąż za takiego frajera. Nazywał się Garrett jakiś tam i był z CIA. W rodzinie mówiło się, że zatrudniła się w Firmie, żeby spędzać z nim więcej czasu. Ale niedługo potem Garrett został wysłany na Bliski Wschód, gdzie zginął z rąk terrorystów. Potem Simon dowiedział się, że Liz mieszka w Kalifornii i wykłada na uniwersytecie.

Odchrząknął.

- Muszę ci coś powiedzieć.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry moment na szczere wyznania - odparła z rezerwą Liz. Miała niemiłe przeczucie, że wie, co za chwilę usłyszy.

Simon zaklął w duchu. Co on sobie wyobrażał? Dręczyły go wyrzuty sumienia. To nie była Liz, tylko Sarah Walker; jego wiedza o niej ograniczała się do tego, co przeczytał w jej dossier.

- Może i nie - przytaknął cicho - ale powinnaś wiedzieć, że jeśli moje zachowanie wydało ci się dziwne, to pewnie dlatego że tak bardzo przypominasz mi Liz. Przepraszam.

- Niepotrzebnie.

- Nie, naprawdę przepraszam. Bo widzisz... prawdę mówiąc... No dobra, chyba powinienem powiedzieć otwarcie. Kiedy byłem młodszy, podkochiwałem się w Liz. Uśmiechasz się. Pewnie myślisz, że to była z mojej strony błazenada, przy tej różnicy wieku i w ogóle... Ale ja ją ubóstwiałem. Serio. Chodziłem za nią, śledziłem ją, kiedy przyjeżdżała z Cambridge na wakacje. Masz pojęcie, za jakiego palanta wyszła? Nazywał się chyba Garrett jakiś tam...

- Garrick. Garrick Richmond. Naprawdę taki był z niego palant?

- Ty tak nie uważasz?

- Nie znałam go. Ale chyba można powiedzieć, że Liz w końcu się zorientowała, że on nie nadaje się na męża.

- Subtelna jesteś. Tak jak ona.

- Według ciebie Liz jest subtelna? Rany, ale dałeś się jej zwieść. - Dziwnie się czuła, mówiąc o sobie w trzeciej osobie. - Przecież sam niedawno mówiłeś, że przycisnęłaby ci pistolet do gardła. Co to ma wspólnego z subtelnością? Ale mniejsza z tym: wypowiedziałeś

się, szkoda tylko, że przede mną, a nie przed Liz. - Rozejrzała się po parkingu i zerknęła na zegarek. - Już czas.

Wyjęła z torby okulary Sarah, beret Ashera i brązowy zakiet. Simon obserwował, jak je wkłada.

- To ma być przebranie?

- No.

Wątpił w to, ale równie dobrze mógłby próbować powstrzymać huragan.

- Niedługo się przekonamy.

- Pójdę pierwsza. Powinniśmy osobno odebrać bilety.

- Zgoda. W pociągu też lepiej nie siedźmy razem.

- Jasne.

Liz wysiadła z samochodu. Wysoko umieszczone lampy rozjaśniały półmrok betonowych podziemi. Poprawiła paskudny zakiet i podeszła do windy, z każdym krokiem coraz bardziej się garbiąc. Cały czas myślała o tym, że jej matka została zamordowana. Udało jej się zerwać z dawnym życiem, ale i tak zginęła z jego powodu. Może dla takich jak ona nie ma ucieczki?

Idący za nią Simon był coraz bardziej zdumiony. Sarah kurczyła się w oczach, zapadała w sobie, kuliła się jak zbity pies. Miał ochotę jej pogratulować, powiedzieć, że ją podziwia, ale przemykała szybko pod ścianami jak płochliwa myszka. Kiedy znaleźli się na międzynarodowym terminalu, w niczym nie przypominała dawnej Sarah Walker. Bardzo się z tego cieszył, i to nie tylko ze względu na ewentualną obecność policji. Domyślał się, że ten, kto nasłał na nią jednego mordercę, naśle i drugiego.

*

W rozległej głównej hali dworca słychać było komunikaty, rozmowy podróżnych, szuranie stóp i turkot walizek na kółkach. Kiedy Liz podchodziła do kasy biletowej, w pobliżu pojawiło się dwóch policjantów w hełmach. Serce zabiło jej żywiej. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i uciec, ale w ten sposób na pewno zwróciłyby na siebie uwagę.

Starła się zachować zimną krew, kiedy policjanci zaczęli rozglądać się po hali i obaj jednocześnie spojrzeli w jej stronę. Skuliła się jeszcze bardziej i zmrużyła oczy, jakby ledwie widziała drogę przed sobą. Kątem oka obserwowała policjantów.

Widziała też, jak Simon pokazuje w okienku z lewej strony legitymację MI-6 i wchodzi do środka, żeby dostać przepustkę, dzięki której wsiądzie z bronią do Eurostara. Na pozwolenie mógł czekać albo parę sekund - albo bardzo, bardzo długo, gdyby trafił na służbistę.

Podeszła do kasy. Policjanci rozdzielili się i ruszyli dalej.

- Gare du Nord - powiedziała, podając nazwisko, na które rezerwowała bilet: Sarah Walker.

- Poproszę paszport.

Szpakowaty bileter w odprasowanym mundurze spojrzał na nią z powagą znad szkieł okularów. Czoło i policzki miał poznaczone zmarszczkami.

- Już daję - odparła półgłosem, udając onieśmienie. Podała mu paszport Sarah.

Kiedy się nad nim pochylił, do długiego pomieszczenia zajmowanego przez kasjerów wszedł funkcjonariusz służby ochrony kolei. Przeszedł za plecami bileterów, kładąc im na biurkach pojedyncze skserowane kartki. Sarah zerknęła podejrzliwie na tę, którą położył obok obsługującego ją mężczyzny - i serce jej zamarło. Ulotka leżała do góry nogami, ale Liz od razu zauważyła, że wydrukowano ją w Scotland Yardzie.

Na widok słów „Patricia Warren Childs”, „morderstwo” i „East End” kompletnie zaschło jej w gardle. Kobieta z portretu pamięciowego trochę ją przypominała, ale rysunek nie był najlepszy, a od kiedy Liz włożyła okulary i beret i zaczęła się garbić, stała się jeszcze mniej podobna do domniemanej morderczyni. Gdyby jednak bileter zerknął na ulotkę i porównał ją ze zdjęciem w paszporcie, musiałby dostrzec podobieństwo. Wezwałby policjantów, ci przeszukaliby jej torebkę i znaleźli dwa paszporty wystawione na dwa różne nazwiska, ale najwyraźniej należące do jednej osoby. Już to by wystarczyło, żeby ją aresztować, a siedząc w więzieniu ani nie znalazłaby kartoteki, ani nie pomogła Sarah. Powinna była lepiej schować swój paszport.

Bileter przestał kartkować dokument i zatrzymał się na zdjęciu.

Wiedziała, że musi coś wymyślić, odwrócić jego uwagę, zanim spojrzy na ulotkę. Sądząc po siwiźnie i zmarszczkach, kasjer musiał być po sześćdziesiątce, co podsunęło jej pewien pomysł... Im człowiek starszy, tym bardziej dba o zdrowie.

Kiedy podniósł wzrok znad paszportu i spojrzał na nią, sięgnęła do torebki.

- To moje prawo jazdy, z Kalifornii - dodała przepraszającym tonem. Otworzyła portfel Sarah i pokazała mu drugi dokument, jakby dla potwierdzenia, że jest osobą, za którą się podaje. - Kiedy robiłam te zdjęcia, nie miałam jeszcze takiego zaawansowanego stadium zwyrodnienia plamki ślepej siatkówki. - Pochyliła się, poprawiła okulary i ciągnęła szeptem: - Widzę, że pan też nosi okulary. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

Bileter odruchowo poprawił szkła.

- Wygląda pani inaczej niż na zdjęciach.

- Niestety... - Rozejrzała się, mrużąc oczy. - Może mi pan powiedzieć, gdzie jest wyjście na perony? Nie jestem jeszcze całkiem ślepa, więc poruszam się bez białej laski, ale źle widzę na odległość. Dlatego gdyby mógł mi pan pomóc...

Zerknąwszy na biletera, zauważyła, że nieco złagodniał. Teraz należało go przycisnąć mimo ryzyka, że stanie okoniem i wezwie policję.

- Po powrocie do domu będę musiała zwrócić prawo jazdy - wyznała. - Z moim wzrokiem nie powinnam już prowadzić. Mój terapeuta mówi, że utrata wzroku nadszarpnęła moją wiarę w siebie. Kiedyś byłam śliczną dziewczyną, uwierzy pan? - Uśmiechnęła się szeroko.

Kasjer odpowiedział jej uśmiechem.

- O tak, proszę pani.

Bogu niech będą dzięki, że są jeszcze na świecie mili ludzie.

- Którędy na peron?

Pokazał jej, gdzie ma iść, i wszystko wyjaśnił. Zabrała paszport, prawo jazdy i bilet i podziękowała mu serdecznie. Simon siedział na pobliskiej ławce, udając, że czyta „Timesa”. Skinął dyskretnie głową, rozglądając się ostrożnie. Kiedy Liz pospiesznie ruszyła na peron, wstał, wetknął złożoną gazetę pod pachę i poszedł za nią.

18.

Paryż

W pociągu do Paryża usiedli w taki sposób, żeby się widzieć, dzięki czemu mogli na zmianę spać i czuwać. Na dworcu Simon wypożyczył samochód, a Liz złapała taksówkę.

Usiadła na tylnej kanapie i zadzwoniła z komórki do Maca, ale nie odebrał telefonu. Zostawiła mu wiadomość, żeby się odezwał, a potem wróciła myślami do Ashera. Miała nadzieję, że czuje się lepiej i dowiedział się czegoś o Sarah. Chciała mu opowiedzieć o wypadzie do Londynu, morderstwie Tish Childs, o Simonie i o MI-6, który wiedział już, że Melanie i Mark zostali zabici, a kartoteka sprzedana. Macowi nie mogła o tym pisać ani słówka - ryzykowałyby, że taka wiadomość natychmiast przecieknie do morderców, którzy depczą jej po piętach.

Do szpitala dotarła wczesnym popołudniem. Pielęgniarki przygotowywały przedobiednie porcje leków, pielęgniarze przewozili pacjentów na fizykoterapię, korytarze zalatywały zmęczeniem i lizolem. Liz szybko poszła do pokoju Ashera; zmarszczyła brwi. Krzesło zniknęło, strażnik - z CIA czy skądinąd - również. Drzwi były otwarte. Zajrzała do środka.

W łóżku drzemał łysiejący, dobiegający siedemdziesiątki mężczyzna z podwójnym podbródkiem. W niczym nie przypominał Ashera.

Pobiegła do dyżurki.

- Dokąd przeniesiono Ashera Floresa?!

- O, pani Flores. - Rozpoznała ją pielęgniarka. - Nikt pani nie zawiadomił?

- O czym? Gdzie jest Asher?

Pielęgniarka wytrzeszczyła oczy.

- Został wypisany. Nic pani nie wie?

- Nie było mnie w Paryżu.

Po co Langley miałyby zabierać Ashera z bezpiecznego szpitala, gdzie miał zapewnioną należytą opiekę? Może to dobra wiadomość? Może udało się znaleźć Sarah, która teraz z mężem wraca do domu?

Ale gdyby tak było, Mac na pewno dałby jej znać.

- Dokąd go zabrano?

- Nie wiem, madame. W zasadzie to nie nasza sprawa. Kiedy monsieur opuścił szpital, opiekę nad nim przejął amerykański lekarz.

- Jaki lekarz? Skąd się wziął?

- Strażnik go przyprowadził, właściwie powinnam była od razu pani powiedzieć. Proszę się nie martwić, monsieur na pewno dobrze się czuje.

Liz zamyśliła się i bez słowa wyszła. Gdyby Sarah była bezpieczna, ona nadal musiałaby szukać szantażysty i kartoteki, ale działałaby pod znacznie mniejszą presją. Telefon do Maca powinien wyjaśnić sprawę. Przycisnęła aparat do ucha, wsłuchując się w sygnał w słuchawce. Mieli być w kontakcie. Gdzie on się podziewa?

Zatrzymała taksówkę.

- Hotel Valhalla. Najkrótszą drogą, *s'il vous plait*. - Zerknęła w lusterko wsteczne. Twarz kierowcy wydała się jej znajoma. - Czy to nie z panem jechałam dziś z Gare du Nord?

Taksówkarz miał czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne. Na jego szczupłej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- *Oui, mademoiselle.* Mam szczęście, że mogę panią odwiedzić. Przyda mi się następny kurs.

Kiedy jechali do szpitala, prowadził z fantazją i widać było, że zna Paryż jak własną kieszeń.

- Dobrze. Proszę się pospieszyć.

- O tej porze jest duży ruch, sama pani wie.

- Dwadzieścia euro ekstra, jeżeli zdążymy w pół godziny.

- To się nazywa motywacja!

Dodał gazu i zajechał drogę jednemu z niezliczonych paryskich renault twingo, niemal zdzierając mu lakier z przedniego błotnika. Liz opadła na oparcie, a kierowca kluczył, wchodził w zakręty jak wariat i trąbił dla dodania sobie animuszu. Na ulicach i bulwarach pełno było taksówek, ich prostokątne tablice świetlne, podobne do bagietek, śmigały nad dachami innych samochodów.

Znów wybrała numer Maca, ale nadal nie odbierał. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał, kiedy nieobecny wzrokiem patrzyła przez okno, do chwili, gdy taksówka z piskiem opon zahamowała przed hotelem. Liz wręczyła kierowcy obiecany napiwek i weszła do recepcji. Nikt nie zostawił dla niej wiadomości.

Wjechała na górę, przeklinając w duchu ślamazarną windę. Podbiegła do numeru Sarah, otworzyła zamek i ostrożnie uchyliła drzwi. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Pokój i łazienka były puste.

Zamknęła drzwi na zasuwkę, przylgnęła do ściany przy wychodzącym na ulicę wykuszowym oknie i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Kobieta, która przed szpitalem wymieniła z Makiem porozumiewawcze spojrzenia - tęgawa, z krótko przyciętymi włosami i ustami wymalowanymi czerwono-brązową szminką - siedziała na ławce. Miała okulary przeciwsłoneczne i wpatrywała się prosto w okna pokoju Sarah. Wyglądała jakoś inaczej niż poprzednio, bardziej niepokojąco. Coś musiało się stać. Tylko co?

Żadnego znaku od Maca. Liz z westchnieniem odwróciła się od okna i zobaczyła rozsypane wokół notebooka kawałki plastiku. Zaintrygowana podniosła pokrywę - i zamarła: ekran był strzaskany, klawiatura zmiażdżona. Kto...

Powiodła wzrokiem po pokoju, ale nie zauważyła nic niezwykłego. Walizki stały tam, gdzie je zostawiła, łóżko było zasłane, nikt w nim nie spał... A jednak ktoś włamał się do pokoju i zniszczył komputer. Akt wandalizmu? Nie. Ostrzeżenie. Nie mogła się tu czuć bezpiecznie.

Chciała powiedzieć o wszystkim Macowi, ale w dalszym ciągu nie odbierał telefonu. Pokręciła głową.

Tak czy inaczej musi znaleźć nowe przebranie. Sprawdziła zasuwkę na drzwiach, rozebrała się i weszła pod prysznic. Rozkoszując się ciepłą wodą, rozpamiętywała ostatnie dwa dni. Czy naprawdę kartoteka ojca była przyczyną tych wszystkich wydarzeń? Urowadzenie Sarah i wypadki w Londynie wyraźnie na to wskazywały. Zaczynała się bać o Sarah.

Wytarła się, rozmyślając o Macu. Gdzie on się podział? Nie miała najmniejszej ochoty na bezpośredni kontakt z CIA, nawet w osobie kobiety czekającej na ławce, ale jeżeli chciała znaleźć Maca, mogła nie mieć wyboru. Włożyła czarne spodnie Sarah i jej burobrązowy top z dzianiny - znalazła je w szufladzie. Ciemne kolory mniej rzucają się w oczy. Mamy z Sarah podobny gust, pomyślała.

Otworzyła szafę i zaczęła szukać butów. Moment wątpliwości: nie wierzyła własnym oczom, jej umysł stawiał opór... ale w końcu dotarło do niej.

Krzyknęła rozziewając i natychmiast zasłoniła dłonią usta. Żołądek podszedł jej do gardła. Widywała już zabitych ludzi, ale teraz było inaczej. Ten widok ją zaskoczył. Wstrząsnął nią. Spojrzała jeszcze raz.

Mac siedział na dnie szafy, oparty o ściankę, zupełnie jakby odpoczywał. Ubranie miał wygładzone, włosy przyczesane - i tylko z boku szyi sterczała strzykawka z wbitym w ciało igłą, z której wydać było tylko nasadkę. Szeroko otwarte oczy patrzyły tępo przed siebie.

Jeszcze nie do końca okiełznała przeszłość, nie zdążyła się uodpornić na brutalność tego zawodu; śmierć nie była dla niej obojętna, bezosobowa, przypadkowa. Żadne doświadczenie ani szkolenie nie zmniejsza szoku - w Firmie uczyli, że każdy doznaje wstrząsu - ale przynajmniej pomaga zapanować nad własną reakcją. Dlatego tylko krzyknęła.

Klęknęła przy Macu, zamknęła mu powieki i przytknęła ucho do jego piersi. Cisza. Nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę stało. Nie Mac! Przysiadła na piętach i siłą woli narzuciła sobie spokój. Serce zwolniło opętany rytm. Patrząc na kredowobiałą twarz, próbowała przypomnieć sobie, jak wyglądał za życia. Był zawodowcem, umiał się o siebie zatroszczyć. Musiał być dobry, skoro wyznaczono go do opieki nad nią.

Nie, to nie tak. W Firmie wpajano jej również, że nawet najlepszym nieustannie zagraża niebezpieczeństwo. W każdej minucie. W każdej sekundzie.

Oczy ją zapiekły. Wstała i usiadła na łóżku. Mogła być podejrzliwa i nieufna, ale zdążyła polubić Maca i nagle ogarnął ją przeraźliwy smutek. Zerwała się i podbiegła do okna; powinna porozmawiać z kobietą na ławce, ostrzec ją...

Ledwie jednak stanęła przy oknie, zadzwonił telefon. Może to Simon? Cofnęła się po torebkę, wyjęła komórkę i znów podeszła do okna.

- Chodź do mnie - usłyszała kobiecy głos, mówiący po angielsku z francuskim akcentem.

- Słucham?

- Zejdź tutaj, to wypuścimy Sarah Walker. Zjedź windą i wyjdź głównym wyjściem. Spotkamy się na dole. Podjedzie furgonetka, czarna, ta sama, która zabrała Sarah. Chcesz ją chyba uwolnić, prawda?

Coś ścisnęło Liz w gardle.

- Nie chrań - odparła ostro. - Nie mam powodów ci wierzyć. Nie wiem, ani czy naprawdę ją macie, ani czy będziecie chcieli ją wypuścić.

Wpatrywała się w kobietę, która wstała z ławki i patrzyła prosto w jej okno. Przy uchu trzymała telefon komórkowy. Kiedy poruszyła ustami, Liz usłyszała w słuchawce:

- Tish Childs. Angus MacIntosh. Sarah Walker może być następną. Porozmawiajmy. Zejdź na dół. Przecież chcesz ją zobaczyć?

Liz próbowała zebrać się w sobie. Spojrzenie, które kobieta posłała Macowi pod szpitalem, wcale nie miało go uspokoić. To Liz spodziewała się większej grupy i mylnie je zinterpretowała.

- To ty go zabiłaś!

- Nie troszczył się o dobro twoje ani twojej kuzynki.

Co za bzdury!

- To, że Mac zginął, nie znaczy jeszcze, że Sarah żyje. Ani że jest w waszych rękach. Kim jesteście? I czego chcecie?

- Chcemy ocalić twoją kuzynkę - głos uspokajał. - Przemyśl to. Daję ci godzinę, ale nie więcej. Wiem, że ją kochasz...

Liz rozłączyła się i wyjrzała zza firanki. Kobieta z wściekłą miną schowała komórkę do kieszeni. Nic nie wskazywało na to, żeby to jej ludzie porwali Sarah. Porywacze chcieli dostać kartotekę w zamian za Sarah. Ta kobieta musiała pracować dla szantażysty.

Liz odskoczyła od okna, włożyła buty i wyjęła z grzejnika sig sauera. Upewniła się, że jest naładowany, podeszła do drzwi... i zatrzymała się.

Co jej strzeliło do głowy? Spojrzała ponuro na broń i nagle wszystko stało się jasne. Tego właśnie chciała kobieta z ławki. Próbowwała ją sprowokować. Wiedziała, że Liz nie odda się grzecznie w jej ręce, ale gwałtowny, bezmyślny atak był równie dobrym rozwiązaniem.

Została jej godzina.

Najważniejsze było uwolnić Sarah i odzyskać kartotekę Drapieżnika. Liz należała do zespołu CIA, który miał odbić Sarah, znaleźć dokumenty i powstrzymać szantażystę. Mac był jej łącznikiem, ale po jego śmierci musiała odnowić łączność z Firmą. Jak zrobić to najprościej? - Pominąć miejscowego rezydenta i kontaktować się bezpośrednio z centralą.

Odłożyła pistolet na biurko, sięgnęła po komórkę z szyfratorem - dostała ją od Maca - i wybrała numer, którego nauczyła się na pamięć dawno temu, ale nigdy nie spodziewała się, że z niego skorzysta. To była linia bezpośrednia dla takich jak ona.

- Tu Czerwony Jaspis - powiedziała, kiedy ktoś zgłosił się po drugiej stronie. Podała swój numer i czekała.

Podeszła do szafy, ostatni raz zerknęła na zwłoki Maca i zamknęła drzwi. Usiadła przy biurku. Jej wzrok padł na krzywo zrośnięty palec. Jak przez mgłę pamiętała ból towarzyszący złamaniu i późniejszy tępy ból rekonwalescencji. Nie wiedzieć czemu, pomyślała nagle o Simonie i uśmiechnęła się pod nosem. Jaki to był kiedyś uroczy chłopczyk. Cóż, jego dzieciństwo skończyło się wieki temu. A jej jeszcze dawniej.

W słuchawce rozległ się trzask.

- Czerwony Jaspis? - zapytała jej dawna furtka, człowiek, z którym nie rozmawiała od lat.

- Tak, to ja.

- Nazwisko?

- Liz Sansborough, Frank. Na litość boską, nie utrudniaj.

Franka Edmunda przydzielono jej po zwolnieniu ze służby. „Furtkami” nazywano opiekunów agentów, którzy odeszli ze służby, przeszli na częściową emeryturę lub z innych powodów nie współpracowali stale z Agencją.

- Rany, Sansborough, minęło tyle czasu... Czego się spodziewałaś?

- Nie wracam, Frank. Mam dla was złą wiadomość. Mac, to znaczy Angus MacIntosh, nie żyje. Został zamordowany.

- Angus jak?

Liz powtórzyła nazwisko.

- To nasz człowiek?

- Oczywiście, do cholery! Po co bym inaczej dzwoniła?!

- Dobrze, już dobrze. Nie pracowałem z nim. Poczekaj chwilę, sprawdzę.

Cisza w słuchawce była ogłuszająca. Liz miała ochotę krzyknąć - na Franka, na Langley, na cały świat.

- Jesteś pewna tego nazwiska? - spytał z rezerwą Frank. - Angus MacIntosh?

- Na sto procent. A co? Czemu pytasz?

- Bo człowiek o takim nazwisku ostatni raz pracował dla nas w 1963 roku. Dziś musiałby mieć dziewięćdziesiąt lat. Pasuje ci?

- Sprawdzasz mnie, prawda? - spytała oszołomiona Liz. - Powiedz, tak szczerze, czy operacja prowadzona przez Maca jest ściśle tajna? Bo jeśli tak, to wiedz, że jestem w niej umoczona po szyję i mam prawo wiedzieć.

- Nie ma żadnej operacji. Od czterdziestu lat nie pracował dla nas żaden Angus MacIntosh. Z bazy danych wynika, że żaden nasz agent nie używa takiego pseudonimu. Co ty kombinujesz, Sansborough?

Co jest grane? Siedzi w paryskim hotelu, w szafie ma trupa, przy wyjściu czeka na nią morderczyni, a ona rozmawia przez komórkę-prezent z facetem, z którym nie rozmawiała od lat i którego nigdy nie widziała na oczy.

- Jesteś tam, Sansborough? Pracujesz na własną rękę?

- Nie, Frank. Nie pracuję na własną rękę.

Na chwilę zapadła cisza.

- W takim razie potrzebujesz pomocy. Dręczą cię wspomnienia, masz omamy. To się zdarza. Powinnaś się do nas zgłosić i...

- Sprawdź dla mnie dwie rzeczy - przerwała. - Byłam w sumie przesłuchiwana dwa razy. Drugi raz w lutym 1998 w kryjówce w Wirginii, przez Greya Mellencampa. Uda ci się znaleźć zapis z przesłuchania? Chciałabym dostać kopię albo przynajmniej porozmawiać z kimś, kto ma do niej dostęp. Druga rzecz: kto z Langley załatwił mi stanowisko sponsorowane przez Fundację Ayleswortha?

- Co mogę ci od razu powiedzieć? Nadzorowałem twoje pierwsze przesłuchanie i odprawę i przyznam, że dopóki nie wygrałaś konkursu, w życiu nie słyszałem o tej fundacji. Od kiedy cię puściliśmy, byłaś zdana tylko na siebie. Odcieśliśmy pępowinę.

Liz przebiegł zimny dreszcz, jakby ktoś wylał na nią kubeł lodowatej wody.

- Uznaliście, że jestem już dla was bezużyteczna jako agentka, tak?

- Raczej postanowiliśmy umożliwić ci powrót do normalnego życia. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie miałaś szczęście; mało kogo możemy tak puścić. Od czasu do czasu sprawdzałem, co u ciebie słychać, więc słyszałem, że wygrałaś konkurs i pracujesz na uczelni.

Gdyby ktoś w Firmie maczał w tym palce, wiedziałbym o tym. Ale ty świetnie sobie radziłaś. Cieszyliśmy się razem z tobą, Sansborough.

Jeżeli ktoś „świetnie sobie radził”, to nie sprawiał CIA kłopotów. Ale Liz wiedziała swoje: fundacja musiała współpracować z Langley, tylko Frank najwyraźniej nie miał o tym pojęcia. Ci z fundacji doskonale zacierali za sobą ślady.

- Dzięki, Frank. Możesz jeszcze sprawdzić dla mnie tego Mellencampa?

Kazał jej zaczekać, ale kiedy znów się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć już nie rezerwę, lecz podejrzliwość:

- Nie ma u nas śladu po drugim przesłuchaniu, w dodatku prowadzonym przez Greya Mellencampa. Kurczę, przecież on był wtedy sekretarzem stanu. Wątpię, żeby zawracał sobie głowę przesłuchaniami. Zresztą nikt by mu na to nie pozwolił.

- Nie ma śladu?! - Co on gada? - Zostałam przewieziona do kryjówki w Wirginii. To była duża posiadłość, w lesie...

- Nic takiego się nie wydarzyło - wszedł jej w słowo Frank. - Ta część twojego dossier została zamknięta po przesłuchaniu, zaraz po tym, jak się do nas zgłosiłaś. Gdybyśmy próbowali spiknąć się z tobą drugi raz, zostałyby jakaś notatka, nawet jeśli nie rejestrowano treści rozmowy.

Liz zadrzała odruchowo.

- Kim jest Temida? - spytała.

- Temida? A to co za pytanie? Pierwsze słyszę... - Frank był coraz bardziej nieufny. - Ty naprawdę masz omamy. Przyślę ci kogoś na pomoc. Gdzie jesteś?

- A gdzie jest Asher Flores? Gdzie Sarah Walker?

- Zaczekaj minutkę... Proszę bardzo: Flores przebywa z żoną na urlopie w Paryżu. Na urlopie, na miłość boską! Posłuchaj mnie, Liz: zostań tam, gdzie jesteś. Znajdziemy cię, tylko...

Frank nie miał pojęcia o porwaniu Sarah i postrzeleniu Ashera!

Nie wiedział, że ona, Liz, jest w Paryżu...

Nie wiedział o Mellencampie...

Nie słyszał o Macu ani Temidzie...

Tak jak nie słyszał o rannym Asherze, o agencji CIA, który pilnował go w szpitalu, ani o przewiezieniu go Bóg wie gdzie...

W takim razie Langley też o niczym nie miało pojęcia.

Roztrzęsiona przerwała połączenie. Od spotkania z Mellencampem minęły całe lata - i od tamtej pory CIA nie miała z nią nic wspólnego.

Agencja wcale nie próbowała nią manipulować. Ani CIA, ani Surete nie szukały Sarah. Asher wcale nie był pod opieką Firmy.

Jego zresztą też oszukano. Zaczynała się zastanawiać, czy porwanie Sarah nie było przypadkiem sfingowane. Ale chyba nie: Asher naprawdę został postrzelony. Zagrożenie było jak najbardziej rzeczywiste.

Nie wiedziała już, komu może zaufać. Spływała zimnym potem. W dalszym ciągu żyła w sterowanym świecie, ale wiedziała już, że sterujący nim człowiek - lub grupa ludzi - dysponuje niewiarygodną władzą.

Część II

Pieniądz nie śmierdzi.

Rzymskie przysłowie

19.

Telekonferencja, Paryż

- Jak to nic nie wiesz, Kronosie? Co to ma znaczyć?!
- Cierpliwości, Temido. Chodziło mi o to, że nie mam żadnych pilnych wiadomości.

Wszyscy obecni?

- Tu Atlas. Ja też czekam na raport.
- Dlaczego to tyle trwa? To ja, Prometeusz.
- Okeanos. Mamy już kartotekę?
- Panowie, proszę... Czy Hyperion jest z nami?
- Jestem, a jakże.

- Doskonale. Sansborough wróciła do Paryża. Zdenerwowała się zniknięciem Floresa. Kiedy ostatnio rozmawiałem z Duchesne'em, jechała taksówką do hotelu. Jak tylko będę miał świeższe wiadomości, natychmiast was poinformuję. Najważniejsze, że Sansborough i szantażysta działają pod coraz większą presją. Pamiętajcie też, że wszystkie nasze dotychczasowe akcje zakończyły się sukcesem. Biorąc pod uwagę, że wszystkim nam zależy na kartotece oraz że jesteśmy gotowi podjąć ku temu wszelkie niezbędne kroki, nie martwię się o losy tego przedsięwzięcia. To tylko kwestia czasu.

*

Sfrustrowana i wściekła Sarah Walker rzuciła się na prycę i wyciągnęła na wznak, krzyżując nogi w kostkach. Podniosła ręce, rozprostowała odrętwiałe palce. Bolały, kiedy krążenie powoli wracało. Westchnęła i wyciągnęła ręce wzdłuż ciała.

Pomieszczenie było suche, zakurzone i obrosnięte pajęczynami, jakby od lat nikt z niego nie korzystał. Sarah leżała na plecach, gapiąc się w sufit, przecięty krętą jak Sekwana rysą. Przy ścianie pęknięcie tworzyło deltę mniejszych rysek, z których co chwila wychylały się karaluchy. Przyglądała się im z zaciekawieniem, podziwiała błyszczące pancerze - i zastanawiała się, jakie choroby przenoszą. To była dziwna reakcja. I jeszcze jeden powód, żeby jak najszybciej wydostać się z tego więzienia.

Zerwała się z prycy i na palcach przemknęła po linoleum. Potrząsnęła rękami. Musiała odzyskać w nich czucie, żeby wrócić do pracy. Od dwóch dni tkwiła w zamknięciu;

zdawała sobie sprawę z upływu czasu, bo pozwolono jej zatrzymać zegarek. Nie miała jednak pojęcia, gdzie jest. Okna były zabite sklejką, porywacze nie odzywali się ani słowem i zawsze nosili pończochy na twarzach. Odkąd strzelili do Ashera, wrzucili ją do furgonetki i włożyli jej kaptur, stali się milczącym wrogiem: niewidzialnym, obcym, dezorientującym. Wiedziała, że wwieźli ją na górę windą, ale nie widząc, nie mogła nawet policzyć pięter.

Doszła do ściany i zawróciła - wciąż tak, nerwowo, wędrowała. Bała się o Ashera. Mógł zginąć! Miała ochotę krzyczeć. Przypomniała sobie, jak wyglądał, kiedy ostatni raz go widziała: leżał w deszczu jak zapomniana szmaciana lalka. Cały we krwi. W morzu krwi!

Tęskniła za nim, chciała go przytulić, upewnić się, że żyje. I to był najważniejszy powód, dla którego nie mogła tu dłużej zostać. Musiała uciec i go odnaleźć.

Otrząsnęła się z tych myśli. Powinna się skoncentrować. Na Farmie nauczyła się podstawowych zasad przetrwania w wypadku uwięzienia:

Od chwili, gdy cię złapią, szukaj drogi ucieczki.

Zbieraj i chowaj wszystko, co ci wpadnie w ręce. Nawet najzwyczajniejsze przedmioty mogą umożliwić lub ułatwić ucieczkę.

Nie okazuj słabości.

Nie trać nadziei.

Znajdź sobie zajęcie, żeby strach, odosobnienie i rozpacz nie odebrały ci woli działania.

Najpierw postanowiła poszukać ukrytych kamer i mikrofonów. Nic nie znalazła. Potem obejrzała dokładnie jedyny mebel w pomieszczeniu, pryczę, którą - sądząc po śladach, jakie nogi wyrysowały w kurzu na podłodze - niedawno tu przywleczono. Prycza do niczego nie mogła się jej przydać, podobnie jak umywalka i sedes.

Wyłamując palce, minęła stertę opon rowerowych, pustą puszkę po oleju, szafkę z używanymi ubraniami, puste skrzynki z napisem PORCELANA, tekturowe pudełka po zapalkach i papierosach, które ktoś zebrał w zgrabne paczuszki, i całą górę doniczek i płytkich skrzynek z zielonego plastiku. Mogłaby je opisać ze szczegółami, bo obejrzała je dokładnie, sztuka po sztuce. Sądząc po bałaganie i śladach na podłodze, jej prześladowcy przepatrzyli tę graciarnię, zanim postanowili zamknąć w niej więźnia. Ale przegapili prawdziwy skarb.

Wróciła do pryczy, narzuciła męską koszulę roboczą i wsunęła dłonie w rękawy - jakaś to już ochrona. Ostrożnie podniosła z podłogi swój skarb: ogrodnicze nożyce, małe, o

wąskich ostrzach. Znalazła je razem z opakowaniem odżywki do roślin, wciśnięte między dwie złączone skrzynki.

Spojrzała na okno. Przybity do ramy arkusz sklejkę odcinał dopływ światła i oddzielał ją od świata. Już wcześniej obłupała nożycami sklejkę wokół trzech gwoździ z prawej strony, zaczynając od najwyższego, który najmniej rzucał się w oczy. Musiała w tym celu stanąć na pryczy. Teraz pracowała nad gwoździem w dolnym rogu okna, na wysokości ramion.

Musiała czujnie nadstawiać ucha. Gdy tylko z korytarza dochodził hałas, biegła do drzwi na spotkanie porywaczy. Wchodzili, nie zdejmując masek, rozglądali się pobieżnie po pokoju i zostawiali tacę z jedzeniem - lub zabierali pustą. Na razie żaden nie wszedł dalej do środka, skąd mógłby dostrzec poharataną sklejkę. Trudno im się było dziwić: była przecież zwykłą dziennikarką, a nie groźnym bandytą.

Na korytarzu panowała cisza, chwyciła więc mocno nożyce w prawą rękę, lewą złapała za przegub prawej i wbiła czubek ostrza w drewno. Jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Krzywiąc się z bólu, miażdżyła sklejkę; ostrze wchodziło w drewno coraz głębiej, drzazgi i wióry leciały na wszystkie strony. Co kilka minut robiła przerwę i odgarniała odłamki pod ścianę.

Chantilly, Francja

Posiadłość Château de Darmond rozciągała się wśród zielonych wzgórz niedaleko malowniczej wsi Chantilly, czterdzieści kilometrów na północ od Paryża. Simon spokojnie jechał tam wynajętym peugeotem. Wieżyczki i łuki wspaniałego zamku wznosiły się nad wysokim kamiennym murem, po którego szczycie przeciągnięto cieniutki, niemal niewidoczny przewód, zapewne podłączony do prądu lub zaopatrzonego w czujniki ruchu.

Kiedy podjechał od przodu, otworzyła się ozdobna drewniana brama i zobaczył rolls-royce'a, przepięknego starego silver clouda z szoferem za kierownicą. Na tylnej kanapie siedziała baronowa. Wyglądała tak samo, jak na zdjęciu, które znalazł w Internecie: surowe rysy twarzy, szpakowate włosy. Strażnik zdjął czapkę, baronowa skinęła mu głową. Noblesse oblige.

Simon objechał posiadłość dookoła. Miął budkę przy drugiej bramie, przeznaczonej - sądząc po tabliczce - dla służby i dostawców. Wypatrzył strażników patrolujących teren. Trudno byłoby mu za dnia zakraść się do tak strzeżonego zamku. Musiał znaleźć inny sposób.

Przyspieszył, wrócił na główną drogę i wjechał do Chantilly. Rolls baronowej stał zaparkowany przed rzędem urokliwych sklepików. Simon zawiesił aparat na szyi i

przespacerował się uliczką, oglądając wystawy i fotografując wystawione na chodnik donice z kwiatami. Kiedy wreszcie wypatrzył baronową w cukierni, wszedł do środka i zaczął podziwiać wystawione w gablotce pastelowe bezy.

- Proszę je zawieźć do château - powiedziała baronowa po francusku.

- Dobrze, madame - odparła rumiana kobieta zza lady. - Z przyjemnością.

To była jego szansa. Wyszedł z cukierni i sprawdził telefon: żadnych wiadomości. Wyłączył go i wyjął parę rzeczy z torby, rozglądając się wkoło. Wrzucił torbę do bagażnika i z bijącym sercem, niby to beztróskim krokiem zszedł na pusty podjazd cukierni. Nie widząc nikogo, przebiegł na drugą stronę i schował się za pojemnikiem na śmieci. W tej samej chwili tylnymi drzwiami wyszła z cukierni dziewczyna, niosąc kartonowe pudełka ze słodyczami. Była drobna, ładna i wyglądała na jakieś osiemnaście lat. Ustawiała pudełka na półkach z tyłu firmowej furgonetki i umocowała je elastycznymi taśmami.

Kiedy zamknęła drzwi i wróciła do kuchni, Simon wyskoczył ze swojej kryjówki, dopadł furgonetki i wśliznął się do środka. Delikatnie przymknął drzwi i przykucnął na podłodze między półkami. Mięśnie miał napięte jak postronki. Przy odrobinie szczęścia furgonetka mogła go zawieźć na teren posiadłości; na razie postanowił nie martwić się o to, jak wysiądzie. Najważniejsze w wywiadzie to umieć improwizować - i dzięki temu przetrwać.

Usłyszał kroki. Dziewczyna zamknęła tylne drzwi auta, więc Simon spodziewał się, że teraz przejdzie do przodu i usiądzie za kierownicą, ona jednak zawróciła do części ładunkowej. Gdyby teraz otworzyła drzwi, znaleźliby się na wyciągnięcie ręki od siebie. Kroki były słabo słyszalne, ale wyraźnie się zbliżały. Zatrzymały się przy tylnych drzwiach auta.

Simon zaklął w duchu i precyzyjnie się na przednie siedzenie. Zdążył jeszcze stłuc sobie bark o deskę rozdzielczą, kiedy drzwi się otworzyły. Rozległo się szuranie tektury i trzask taśm, a potem drzwi zamknęły się z łoskotem. Simon odetchnął z ulgą i wrócił na tył samochodu.

Nie zdążył się jeszcze dobrze usadowić - cały czas rozcierał obolałe ramię - gdy dziewczyna wskoczyła na fotel kierowcy, włączyła silnik i ostro ruszyła. Paliła gauloise'y i przyspieszała przed zakrętami, dlatego samochód niebezpiecznie się przechylał. Spowity kłębam gryzącego dymu Simon usłyszał, jak dodaje gazu - i furgonetka wpadła na tak nierówny odcinek drogi, że przez chwilę zamiast się dusić, martwił się o całość swojego uzębienia. Obiema rękami trzymał się klamki, a nogami zapierał o ścianę. Nie dziwił się już, że dziewczyna przywiązała pudełka do półek.

Zahamowała ostro w Château de Darmond, przy bramie dla dostawców. Zamieniła dwa zdania ze strażnikiem i spokojnie, grzecznie wjechała na teren posiadłości. Żwir zazgrzytał pod kołami. Kiedy wysiadła, Simon natychmiast przeskoczył na przednie siedzenie.

- Monique! - W męskim głosie brzmiał nieklamany zachwyt. - Cieszę się, że cię widzę!

Monique coś odpowiedziała, a Simon ostrożnie wyjrzał przez okno. Mężczyzna, który ją zagadnął, miał na głowie czepek kuchcika. Zanosilo się na to, że zaraz zabiorą ciastka, Simon musiał więc zniknąć. Prześliznął się do drugich drzwi, otworzył je po cichu, zeskoczył na ziemię i przymknął je za sobą. Kiedy zorientował się, że kucharz i Monique poszli do kuchni, przebiegł wzdłuż budynku, kryjąc się za szpalerem krzewów.

Jeden rzut oka - i już zorientował się w sytuacji. Biała furgonetka stała przy kuchennych drzwiach. Przez otwarte okno rozchodził się aromat pieczonego mięsa, a w środku, przy stole, uwijała się kobieta w kucharskim czepku. Plac przy kuchni przechodził w żwirowy parking, niewidoczny od frontu i z tyłu zamku, osłonięty niskim murem i skrzydłem gmachu z kuchnią. Sądząc po tym, że na placu stały przeważnie stare samochody, musiał to być parking dla służby.

Simon znów schował się za rzędem krzewów i zaczął się przeciskać ku frontowi zamku. Kiedy na zadrzewionej ścieżce zniemacka pojawiło się trzech ogrodników z sekatorami, uskoczył za jedną z wieżyczek. Przez moment wydawało mu się, że wśród drzew mignęła mu jeszcze jedna postać. Zapewne wartownik.

Ogrodnicy minęli go, podbiegł więc przy ścianie do rogu budynku. Tym razem trafił w dziesiątkę. Nieważne, że oddychał z trudem i miał posiniaczony bark - pięć metrów od niego, na dyskretnym patio, siedzieli dwóch mężczyzn w garniturach. Jedli obiad przy nakrytym płóciennym obrusem stołu, niczym arabscy szejkwowie, pod parasolem w paski, który rzucał cień, jakby biesiadników, srebrną zastawę i kryształę należało chronić przed morderczym słońcem pustyni.

Baron Claude de Darmond siedział przodem do Simona, który natychmiast rozpoznał jego pociągłą, pokrytą zmarszczkami twarz. Doskonale. Skoro baron jest zajęty, trzeba korzystać z okazji. Gdzieś w zamku musi znajdować się jego prywatny gabinet, trzeba by go przeszukać. Simon odczekał jeszcze chwilę, licząc na to, że rozpozna drugiego mężczyznę, siedzącego tyłem, ale ten, pogrążony w rozmowie, się nie odwrócił.

Wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł. Otworzył boczne drzwi i znalazł się w korytarzu, wśród wiszących na ścianach zabytkowych gobelinów, portretów i miniatur.

Panowała tu cisza. Pocił się i czuł wzbierającą w żyłach falę adrenaliny, kiedy pospiesznie przemykał w stronę kuchni. Po drodze minął łazienkę i spiżarnię. Szybko znalazł też męską służbówkę, a w niej to, czego najbardziej w tej chwili potrzebował: liberię lokaja.

Nie była idealnie dopasowana, ale uznał, że wygląda w niej całkiem, całkiem. Wziął srebrną tacę ze stosu przy drzwiach, położył ją sobie na rozczapierzonych palcach, drugą ręką wytarł czoło z potu i ruszył na rekonesans.

W eleganckich, oficjalnie urządzonych salonach najczęściej było antyków lśniących połyskiem, jaki mogły im nadać tylko stulecia polerowania. Jadalnię zdobiły lwie skóry, jelenie poroża i obrazy gloryfikujące polowania i myśliwych. Szedł korytarzem, zaglądając za każde drzwi i w każde sklepione przejście, gdy za plecami usłyszał ciche kroki. Ukrył się w schowku cuchnącym wybielaczem i woskiem cytrynowym. Odczekał, aż kroki miną jego kryjówkę, i wszedł na piętro.

A tam znalazł gabinet barona, olbrzymi jak salon na „Queen Mary”, z oknami wychodzącymi na przedzamcze. Biurko i kredens z epoki Ludwika XIV stały naprzeciw wejścia, w pobliżu przeszklonych drzwi balkonowych. Po lewej znajdował się wysoki kominek, a wokół niego, w półkolu, dekoracyjnie rozmieszczone fotele. Ale to zdjęcia nadawały pokojowi charakter. Cała jedna ściana była zawieszona fotografiami de Darmonda w towarzystwie sław, które poznawał przez wiele lat: od Henry’ego Kissingera po Marię Callas, od Arnolda Schwarzeneggera po byłego premiera Wielkiej Brytanii Johna Majora, od obu George’ów Bushów po tajemniczych potentatów świata ponadnarodowych korporacji.

W wywiadzie obowiązywała zwykle prosta zasada: im mniejsze, tym lepsze. Simon miał ze sobą aparat cyfrowy do złudzenia przypominający jednoszylingową monetę. Uwiecznił pamiątkowe fotografie i podszedł do biurka, na którym stos szarych teczek powinien przyciągnąć uwagę barona.

Nie miał czasu wszystkiego czytać. Otworzył więc pierwszą z brzegu i zaczął fotografować, strona po stronie, wszystkie materiały. Utrwalał właśnie zawartość ostatniej teczki, kiedy z korytarza dobiegła go rozmowa. Sfotografował trzy ostatnie strony, jedną ręką schował „szylinga” do kieszeni, drugą poprawił stos teczek i wycofał się w stronę drzwi balkonowych.

Kiedy ktoś przekręcił gałkę w drzwiach, Simon prześliznął się na taras, przymknął drzwi i przylgnął do ściany. Nadśluchiwał.

- To trwa zbyt długo! - stwierdził po francusku baron-bankier. Był wściekły.

- Przesadzasz, Hyperionie.

Ten głos był spokojny, niemal obojętny. Simon go nie znał. Mężczyzna mówił po francusku całkiem dobrze, ale nie był rodowitym Francuzem.

O co chodziło z tym Hyperionem? Co to za pseudonim? Baron był za młody na uczestnika francuskiego ruchu oporu. Może kiedyś pracował w Deuxieme Bureau*? Albo w SDECE**?

- Naginanie prawa w celu zarabiania pieniędzy to jedno - odparł baron, podnosząc głos. - Ale zabijanie ludzi to już co innego. Najpierw ta kobieta w Londynie, teraz ten mężczyzna... I to w Paryżu, stanowczo za blisko! Co innego ten drań Terrill Learning. W każdym razie widzę teraz, że byłem głupcem, dając się w to wciągnąć. Ilu ludzi ma jeszcze zginąć? To się musi skończyć. Zapłacę ci, ale tylko za kartotekę Drapieźnika. Taki jest mój warunek: albo dostanę pełne archiwum, albo nie masz co liczyć na pieniądze z mojego banku. Ani na poparcie w Drefłbury. A jeśli mnie do tego zmusisz, powiem Spirali, że to ty.

W Simonie narastała lodowata złość. To tego drugiego mężczyzny szukał, to on był szantażystą, łajdakiem, który doprowadził sir Roberta do samobójstwa.

- *Mon Dieu!* - W głosie barona zabrzmiało przerażenie. - Co...

Zdenerwowany Simon przysunął się do okna. Musiał zobaczyć twarz tego łotra. Kto to był?

Rozległ się strzał z pistoletu z tłumikiem. Puk!

W przypiływie adrenaliny Simon wyciągnął berettę, barkiem wybił szybę i wpadł do pokoju. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak zamykają się drzwi na korytarz, kiedy zza pleców dobiegł go głuchy łoskot. To baron osunął się na podłogę, bezwładny jak zagryziony szczur. Fotel przy biurku był obryzany krwią i mózgiem. Simon rzucił się w pościg za mordercą.

20.

Paryż

Sarah się zacięła. Wydłubała z drewna dalsze trzy gwoździe i arkusz sklejki sprężynował teraz przy każdym uderzeniu. Kto by pomyślał, że dawało jej to tyle satysfakcji?

* Deuxieme Bureau dosł. „Drugie Biuro”, francuski kontrwywiad wojskowy (przyp. tłum)

** SDECE - francuski kontrwywiad cywilny (przyp. tłum.)]

Uśmiechnęła się pod nosem, gdy nagle z korytarza dobiegł hałas. Wzięła zamach do następnego uderzenia, ale zawahała się i zastygła w bezruchu.

Dźwięk brzmiał jak stukot toczących się po podłodze kólek. To było coś nowego. Sarah wrzuciła nożyce do skrzynki, w której je znalazła, na wierzchu postawiła kilka pojemników, schowała koszulę do szafki i przeciągnęła pryczę pod okno, zasłaniając drzazgi na podłodze.

Obolałymi dłońmi przyglądała ubranie i włosy i podeszła do drzwi. Otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna w masce; wymierzył do niej z uzi. Dwóch innych pchało szpitalne nosze na kółkach i stojak, z którego zwieszała się butelka do kroplówki. Serce żywiej jej zabiło. Jeszcze nie miała pewności, ale coraz większą nadzieję...

Z trudem skrywając podniecenie, patrzyła, jak jeden z porywaczy zdejmuje kaptur z głowy leżącego na noszach człowieka. Uradowana, skoczyła naprzód. Asher! Oczy miał zamknięte, twarz wychudzoną, ale to był on! I to żywy! Czarne brwi i ciemne, kręcone włosy wyraźnie kontrastowały z białą szpitalną poduszką. Nieliczne pasemka siwizny na skroniach sprawiły, że wydał się jej niezwykle delikatny.

- Co mu zrobiliście?! Dlaczego nie jest w szpitalu? Dlaczego...

Ale porywacze już wychodzili. Jeden z nich rzucił jeszcze na nosze papierową torbę, a potem drzwi się za nimi zamknęły. Szczęknął zamek.

- Asher, kochanie - pocałowała go w czoło. - Asher?

Nie zareagował. Łza spłynęła jej po policzku, ale starła ją gniewnym gestem. Asher żył - i to było najważniejsze.

Kiedy przyjrzała się kroplówce, trochę jej ulżyło: butelka zawierała roztwór soli fizjologicznej i miała po prostu zapobiec odwodnieniu organizmu. Temperatura ciała była w normie. W papierowej torbie znalazła dwie opisane po francusku fiołki: w jednej znajdował się antybiotyk, w drugiej środek przeciwbólowy. Poza tym były w niej środki opatrunkowe w dużych, szpitalnych pakietach, nie do kupienia w zwykłej aptece. Odgarnęła koc, rozpięła szpitalną piżamę Ashera i obejrzała opatrunek na piersi. Bandaż był czysty, nic się przez niego nie przesączało, nie było też widać śladów infekcji.

Przetoczyła nosze bliżej pryczy i usiadła. Kiedy pogłaskała Ashera po policzku, poruszył się.

- Asher, skarbie, słyszysz mnie? - Odgarnęła mu włosy z czoła. Zamrugał. Pocałowała go w ucho i dodała szeptem: - To ja, Sarah. Jesteśmy razem. Przykro mi, że ciebie też złapali, ale strasznie się cieszę, że żyjesz.

- Cześć, malutka - odparł cicho, jak przez sen.

- Asher! - Sarah aż podskoczyła. - Udawałeś? Przez cały czas?

- Nie, ocknąłem się dopiero przed chwilą. - Asher spojrzał jej w oczy.

- Musiałem chwilę odczekać, żeby mieć pewność, że nie wrócą. Nafaszerowali mnie w szpitalu jakimiś prochami, bo inaczej nie daliby rady mnie wywieźć.

Poczuła ucisk w gardle.

- Asher...

- Nachylił się - wychrypiął. - Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty. Tęskniłem, wiesz? Kiedy cię zgarnęli, bałem się jak wszyscy diabli.

Pochyliła się, chcąc cmoknąć go w policzek, ale przekręcił głowę i ich usta się spotkały. Delikatny pocałunek, który miał pocieszyć Ashera, stał się namiętny i gorący, na przekór wszystkiemu wyrażał jego żądzę życia. Nie potrafiła mu się oprzeć, zrobiło się jej gorąco, kiedy Asher przyciągnął ją i przytulił jedną ręką. Stopiła się z nim. Kiedy ją w końcu puścił, zakręciło się jej w głowie. Jego śniada twarz promieniała miłością.

- Zawsze mnie zaskakujesz - uśmiechnęła się Sarah. Ból, który od dwóch dni ścisnął ją za serce, rozpląnął się bez śladu. - Jak twoja rana? Postrzał w pierś to nie żarty.

- Kula przeszła na wylot. Drasnęła żebro i parę narządów, ale lekarze doprowadzili wszystko do porządku i jakoś mnie pozszywali. Widziałem szwy: dobra robota. - Asher się rozejrzał. - Mówili, że za parę dni będą mnie mogli wypisać, ale chyba nie mieli na myśli takiej przeprowadzki. Mniejsza z tym. Co u ciebie? - Zmarszczył brwi. - Nic ci nie jest?

- Trochę wariuję, ale poza tym wszystko gra. Nie patrz tak na mnie, Asher, mówię prawdę. Naprawdę dobrze się czuję, zwłaszcza odkąd wiem, że ty dochodzisz do siebie.

- Wszystko w porządeczku. Jesteśmy razem.

- Nie mają z nami szans. Kimkolwiek są.

- Nie wiesz, kim są?

- Wiem tylko, że bardzo się starają, żeby nie mogła ich w przyszłości rozpoznać. Dlatego myślę, że chcą mnie wypuścić żywą. Co nie znaczy, że tak do końca wierzę w ich dobrą wolę. Widziałeś ich?

- Rozpoznam trzech gości, którzy na zmianę pilnowali mnie w szpitalu, ale poza tym... Masz rację, nikogo więcej. A co do złych wiadomości... - Opisał podstęp, któremu dali się zwieść oboje z Liz. - CIA, akurat! Byliśmy jak marionetki w ich rękach. Ci w szpitalu znali się na swojej robocie, metodach Agencji, nawet mówili naszym językiem; uwierzyłem, że są z Langley. No i oczywiście nie przyszło mi do głowy ich sprawdzić.

- Co z kartoteką? Czy wujek Hal naprawdę prowadził taką dokumentację?

- Sądząc po całym tym bajzlu, chyba tak. Liz mówiła mi, że w Santa Barbara dwa razy ktoś próbował ją zabić. Mordercę nasłali pewnie ci, co mają kartotekę. Ale rozmawiałem z nią tylko raz, na początku, więc nie wiem, czego się od tamtej pory dowiedziała. Najgorsze, że może być nadal przekonana, że współpracuje z Langley.

- Mój Boże...

Spojrzeni na siebie. Ich przyszłość była równie niepewna jak przyszłość Liz.

- Musimy się stąd wydostać.

- Już się tym zajęłam.

- Tak? Opowiedz.

Chantilly

Simon wybiegł na korytarz przed gabinetem i przystanął. Gdzieś za rogiem zamknęły się drzwi, trzask poniósł się echem w panującej w zamku ciszy. Gdzie się ten skurczybyk podział? Ruszył korytarzem, otwierając kolejne drzwi. Zdążyć zajrzeć do czterech pokoiów, kiedy od strony schodów dobiegły go dźwięki rozmowy: jakiś mężczyzna i kobieta szli na górę - zapewne służący wypełniający swoje obowiązki. Wytlumionego strzału nikt w zamku nie słyszał. W tym skrzydle zostało do sprawdzenia jeszcze troje drzwi.

Przyspieszył kroku. Zajrzał do dwu najbliższych pokoiów, ale były puste. W trzecim, w którym znajdował się chyba sekretariat barona, również nikogo nie było, lecz przez drzwi balkonowe dostrzegł wybiegającego spomiędzy drzew mężczyznę - tam, gdzie wcześniej zauważył jakiś ruch.

Podbiegł do drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Od razu rozpoznał napastnika: ten człowiek zabił Terrilla Leaminga. Tak jak poprzednio, był ubrany w elegancki garnitur, teraz jednak nie miał przy sobie ozdobnej laski. Coś błysnęło metalicznie w jego dłoni. Nóż?

Simon chętnie by go poobserwował, przekonał się, dlaczego biegnie w tę stronę zamku, ale głosy na schodach rozbrzmiewały coraz bliżej. Wypadł z pokoju i skręcił w boczny korytarz, prowadzący do drugich schodów. Musiał niepostrzeżenie wydostać się z terenu posiadłości.

Na parterze od razu usłyszał kroki. Z bijącym sercem przyglądał liberię, przyczesał włosy, spuścił oczy i zszedł ze schodów. Najpierw zauważył buty: tanie, męskie, wypolerowane na wysoki połysk; musiały należeć do doświadczonego służącego. Simon podniósł wzrok, z ulgą skinął głową obcemu lokajowi i ruszył dalej. Z piętra dobiegały pierwsze okrzyki niepokoju.

- Pomocy! - Panika narastała. - Ktoś strzelał do barona!

Wąski korytarz w tylnej części zamku szybko wypełnił się podekscytowaną służbą, która, pytając, co się stało, tłoczyła się ku drugim schodom. Simon próbował przecisnąć się pod prąd, ale przez chwilę był całkowicie bezradny: wszyscy napierali w przeciwnym kierunku. Dał się zepchnąć w stronę schodów, aż w końcu przestał walczyć i usunął się pod ścianę. Przyłgnął do boazerii, czekając, aż tłum się przeredzi. Widział, że służący się boją; nie wiedzieli, co się stało i co to dla nich oznacza.

Kiedy się wokół niego rozluźniło, Simon ze spuszczoną głową zaczął się oddalać, szukając wyjścia na parking dla służby. Przystanął pod męską służbówką i chwilę nasłuchiwał. Spodziewał się, że każdy, kto miał obie nogi sprawne, był w takiej chwili na górze i czekał na wieści o zdrowiu barona, pokój powinien więc być pusty.

Kiedy otworzył drzwi, stwierdził, że miał rację. Przeszukał szafki i kieszenie pozostawionych w nich spodni, aż w jednych znalazł kluczyki samochodowe z pilotem.

Z innej szafki wyjął swoje ubranie, zwinął je ciasno, wziął pod pachę i biegiem wrócił do korytarza, od którego zaczął zwiedzać chateau. Wyjrzał na dwór: w pobliżu nie było strażników. Jeśli miał szczęście, wszyscy pobiegli do rezydencji. Śmierć barona działała na jego korzyść.

Jeszcze raz poprawił uniform i zdecydowanym krokiem, jak lokaj wysłany z ważnym zadaniem, wszedł na ścieżkę prowadzącą na parking przy kuchni. To mogła być jego jedyna szansa. Nacisnął przycisk na pilocie.

Beżowy renault błysnął światłami. Simon odetchnął z ulgą. Podbiegł do samochodu, wszedł i uruchomił silnik. Ruszył w stronę wyjazdu, przygotowując się w duchu do odegrania następnej sceny. W takich sytuacjach liczyło się przede wszystkim wycucie roli: teraz był lokajem, który ma pilną sprawę do załatwienia. Skoncentrował się, jego twarz wyrażała niepokój i pośpiech; lekko zadarł głowę, wytrzeszczył oczy, poluzował kołnierzyk. Podjeżdżając do bramy, opuścił okno.

Strażnik wyszedł z budki i spojrzał na niego podejrzliwie.

- Co pan robi w samochodzie monsieur Pietro? - spytał po francusku.

Simon spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Tragedia! - zawołał, naturalnie po francusku. - Straszna tragedia! Ktoś zastrzelił barona! A moja żona właśnie rodzi! Co mam robić? Mój Boże, jestem wstrząśnięty. I wtedy monsieur Pietro szlachetnie rzuca mi kluczyki i mówi: „Jedź”. Nie słyszał pan o baronie?

- *Merde alors, non!* - wykrzyknął poszarzały na twarzy strażnik i rzucił się do telefonu, który właśnie zadzwonił w budce. - Zamordowany? Nie żyje? Naprawdę nie żyje?! - Złapał się za głowę.

Simon wychylił się przez okno, wcisnął klakson i niespokojnym gestem wskazał bramę. Strażnik właśnie dowiedział się, że część jego bajeczki jest prawdziwa, więc przy odrobinie szczęścia powinien uwierzyć także w to, co było w niej kłamstwem.

Spojrzał na Simona takim wzrokiem, jakby zdążył o nim zapomnieć. Skinął głową, wcisnął przycisk na pulpicie i wrócił do przerwanej rozmowy.

Skrzydła bramy otworzyły się bezszelestnie. Simon natychmiast dodał gazu i wyjechał na drogę. Z pewnością ktoś zdążył już zawiadomić policję. Musiał jak najbardziej oddalić się od zamku, zanim tajemniczy monsieur Pietro zacznie szukać samochodu - albo strażnik zastanawiać się nad tożsamością nieznajomego, który lada chwila ma zostać ojcem. Nie przekraczał jednak dozwolonej prędkości; nie chciał niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Przypomniał sobie scenę w gabinecie barona. Tak niewiele brakowało, żeby dowiedział się, kim jest łajdak, który odpowiada za samobójstwo sir Roberta. Ze złością zacisnął ręce na kierownicy. Ten skurczybyk, szantażysta, właściwie zamordował mu ojca!

Za oknami drzewa rozmyły się w jednolitą smugę, droga jak szary wąż wiła się przed samochodem. Simon walczył ze sobą, próbując odzyskać zimną krew. Skoro już raz udało mu się zbliżyć do szantażysty, uda mu się ponownie.

W końcu uspokoił się i zaczął myśleć bardziej racjonalnie. Dużo się dowiedział. Na razie nie rozumiał jeszcze znaczenia swoich odkryć, ale jeżeli będzie miał dość czasu i zdobędzie dodatkowe informacje, uzupełni układankę i pozna tożsamość mordercy.

Wziął głęboki wdech, wsłuchał się w bicie swojego serca - i zdecydował, jaki będzie jego następny ruch: musi jak najszybciej wywołać film i obejrzeć odbitki. Szantażysta próbował dobić targu z baronem, a leżące na biurku teczki mogły wyjaśnić, czym de Darmond aktualnie się zajmował. Simon znał w Paryżu pewną kobietę fotografa - ona nie będzie zadawała pytań, kiedy przyniesie jej mikrofilm do wywołania.

Napięty jak zwinięta sprężyna ledwie zauważył czarnego citroena, który go wyprzedził. Otrząsnął się i spojrzał na drogę. W tej samej chwili minął go policyjny radiowóz, pędzący na sygnale w przeciwnym kierunku, w stronę chateau.

Gdy tylko zniknął mu z oczu w lusterku, dodał gazu. Zwolnił dopiero na obrzeżach Chantilly. Wioska wyglądała zupełnie zwyczajnie, turyści i mieszkańcy robili zakupy, samochody powoli sunęły ulicami.

Zaparkował renault za swoim wypożyczonym peugeotem. Wysiadł i dyskretnie obejrzał peugeota, szczególnie zamki i opony, rozglądając się przy tym dookoła. Nie zauważywszy niczego i nikogo podejrzanego, sprawdził, czy ma w kieszeni miniaturowy aparat, rzucił kluczyki do renault na podłogę wozu i wrócił do wynajętego auta.

Otworzył drzwi, ale zanim zdążył wsiąść, tuż obok przemknął rowerzysta. Rączką kierownicy zahaczył o drzwi samochodu - a potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Rower wpadł w poślizg, a jego właściciel, spadając, stęknął i zaklął, uderzywszy barkiem w przedni błotnik peugeota. Przez chwilę leżał na ziemi, próbując wysunąć zaklinowane pod autem ramię, jakby chciał się zasłonić przed ciosem.

Simon zamknął drzwi i doskoczył do niego.

- *Est-ce-que je vous ai fait mal? Nic się panu nie stało?*

Chłopak pozbierał się i usiadł. Pokręcił głową.

- *Imbecile!* - Spod kasku rowerowego sterczały pozlepiane potem blond włosy. Spojrzał na Simona spode łba. - To twoja wina! Trzeba się rozglądać! Nie jesteś sam na ulicy! Miał rozdartą koszulkę, krople krwi pojawiły się na otartej skórze.

- Przepraszam - Simon chciał mu pomóc wstać. - Ale jechał pan po chodniku.

Chłopak odepchnął go, podniósł się z trudem i sięgnął po rower. Widać było, że z każdą chwilą dochodzi do siebie - i coraz bardziej się wścieka. Postawił rower na kołach.

- No popatrz! Widzisz ten lakier?!

Simon przyjrzał się z bliska ramie: zadrapania były minimalne. Rower był zwykłym, pięciobiegowym schwinem, więc albo chłopak kochał go do szaleństwa, albo próbował oskubać Simona z pieniędzy. Przybywało gapiów, a Simon wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Musiał jak najszybciej oddalić się od kradzionego wozu, zanim ktoś - zwłaszcza policja - zacznie go szukać. Poza tym spieszył się do Paryża, żeby wywołać film. Wyjął portfel.

- Niech pan posłucha, wiem, że pieniądze tego nie załatwią - zaczął pojednawczym tonem. - Ma pan świetny rowerek. Ale zapłacę panu, niech go pan chociaż naprawi i polakieruje.

- Zaraz, zaraz, nie tak szybko... - Młody człowiek uspokajał się z każdym odliczonym przez Simona banknotem.

Sto pięćdziesiąt euro. - Simon spojrzał na chłopaka, który chciwie wpatrywał się w pieniądze.

Cofnął rękę.

- Nie, to nie wypada, żebym proponował panu pieniądze - stwierdził gładko. - Na pewno czuje się pan urażony...

- *Non, non...* Może to była po części i moja wina, nie powinienem jeździć chodnikiem.
- Rowerzysta złapał plik banknotów.

- Miło, że pan tak mówi - uśmiechnął się Simon.

Rowerzysta schował pieniądze do kieszeni i odszedł, prowadząc rower. Tłumek zaczął się rozpraszać, ludzie pomrukiwali pod nosem i kręcili głowami. Simon wsiadł do peugeota i odjechał. Wkrótce znalazł się na autostradzie prowadzącej do Paryża, gdzie powinien poznać odpowiedzi na dręczące go pytania.

*

Rowerzysta - miał na imię Étienne - wsiadł na rower, skręcił w przecnicę głównej ulicy, a z niej w zaułek, w którym elegancki mężczyzna czekał przy czarnym citroenie. Silnik samochodu cały czas pracował i w wąskiej uliczce śmierdziało spalinami.

Etienne zeskoczył na ziemię.

- Widział pan? - zapytał zawadiacko. Uważał się za świetnego aktora. Grywał już w dwóch teatrzykach pod Paryżem i pewnego dnia zamierzał przewyższyć sławą Jean-Paula Belmondo, Gérarda Depardieu, a może nawet samego Toma Cruise'a. Za dzisiejszy występ miał otrzymać najwyższą, jak dotąd w swojej karierze, gażę. Poza aktorstwem oddawał się także rozbojowi i drobnym kradzieżom, ale wkrótce zamierzał zamknąć ten rozdział swojego życia.

- Widziałem - przytaknął Gino Malko. Zastanawiał się, kim jest kierowca peugeota.

Pierwszy raz wpadli na siebie - niemal dosłownie - w Zurychu, kiedy został zabity Terrill Learning. Niespełna godzinę temu zobaczył go tym razem na tarasie zamku barona. Potem widział też, jak wsiada do renault i odjeżdża z parkingu dla służby. Dla Malko za dużo było tych zbiegów okoliczności, nie miał jednak okazji od razu pozbyć się faceta. Musiał najpierw zlikwidować młodszego lokaja, a potem szybko wywieźć szefa z terenu posiadłości, co wymagało olbrzymiej łapówki. Kiedy wyjechali z zamku w ślad za skradzionym renault, Gino Malko zadzwonił pod odpowiedni numer, dzięki czemu udało się wynająć Étienne'a. Później wyprzedził renault, żeby znaleźć się w wiosce przed nim i wskazać rowerzyscie cel.

Teraz wyrzwał z zaułka na ruchliwą ulicę. Na chodnikach było niewielu przechodniów.

- Dlaczego kazał mi pan podczepić magnes do podwozia tego peugeota? - zapytał Etienne. - To chyba nie była bomba, co?

Malko nie odpowiedział. Upewniwszy się, że nikt nie śledzi chłopaka, podszedł do niego i z całej siły uderzył nasadą dłoni w podbródek. Głowa Étienne'a odskoczyła do tyłu,

kręgosłup zatrzeszczał. Chłopak zatoczył się na rower, ale zanim runęli na bruk, Malko zdążył wydobyć sztylet. Tą samą bronią przed godziną zabił lokaja, który był jedynym służącym - i świadkiem - przy wspólnym obiedzie barona i jego szefa.

Teraz przesunął czubkiem ostrza po cienkiej koszulce rowerzysty, aż natrafił na miejsce, w którym kończyły się żebra. Płynnym, wyćwiczonym ruchem pchnął prosto w serce. Z początku nie było dużo krwi - trysnęła strumieniem, dopiero kiedy wyszarpnął sztylet, ale wtedy zdążył już cofnąć rękę. Nie pobrudził się.

Wytarł ostrze o koszulkę Étienne'a, schował sztylet do pochwy na przedramieniu i przeciągnął najpierw trupa, a potem rower w pobliże krawężnika. Zabrał pieniądze, które nieznajomy dał chłopakowi. Ludzie z pewnością zapamiętali transakcję, więc pomyślą, że napad miał charakter rabunkowy.

Jeszcze raz rozejrzał się po uliczce i zadowolony wsiadł do samochodu. Wyjechał drugim wylotem zaułka. Przyciemnione szyby ukrywały wnętrze citroena. Nikt nie widział Malka ani jego szefa.

21.

Paryż

Liz stała na środku pokoju, kurczowo ściskając komórkę od Maca. Wszystko się w niej gotowało, ale jej umysł pracował sprawnie i jasno. Spojrzała na zegarek: nie miała czasu do stracenia. Z godziny, jaką dała jej morderczyni, zostało już tylko czterdzieści minut. Zaczęła układać sobie w głowie fakty.

Całe jej życie od dnia „drugiego przesłuchania” wyglądało tak wiarygodnie, że była przekonana, iż CIA maczała palce w jego planowaniu. Kiedy jej wzrok padł na zamknięte drzwi szafy, skarciła się w duchu, że tak łatwo dała się nabrać Macowi. Tylko ta drobna pomyłka - decyzja o zdjęciu serialu z anteny - zwróciła jej uwagę. A przecież producent nie miał powodu jej okłamywać. Decyzję musiano podjąć poprzedniej nocy, tak jak mówił Shay. Ale Mac dla uwiarygodnienia swojej bajeczki skłamał i przypisał Langley dodatkowe zasługi. „Nie chcemy, żeby coś nam przeszkodziło w poszukiwaniach Sarah”.

Jego przełożeni bali się, żeby po odzyskaniu kartoteki nie oddała jej osobom trzecim, których nie będą kontrolować. Ale kłamstewko Maca osłabiło perfekcyjną iluzję. A jeszcze

bardziej szkodził w ich gronie kret: zdrajca, który na bieżąco informował szantażystę o rozwoju sytuacji.

Iluzja. Spojrzała na komórkę w ręku. Skuteczność złudzenia zależała od tego, w jakim stopniu będą mogli sterować jej światem. Czy wystarczyłby im sam Mac, żeby śledzić jej poczynania? Raczej nie. Odwróciła aparat wyświetlaczem do dołu, zdjęła pokrywkę baterii i... zamurowało ją.

Spodziewała się czegoś podobnego, ale i tak była wstrząśnięta. W środku znajdowały się dwie pluskwy - małe, wielkości guzików od koszuli: mikrofon i nadajnik GPS.

Stała jak wryta, wytrzeszczając bezradnie oczy. To było coś potwornego. Porywacze znali każdy jej ruch i słyszeli każde słowo, wszystkie rozmowy z Makiem, z recepcjonistą w hotelu, z Tish, Simonem, Jimmym Unakiem, bileterem na dworcu Waterloo, z taksówkarzami...

Wiedzieli o wszystkim. Dosłownie o wszystkim. Słyszeli to, co inni jej powiedzieli. Może nawet nagrywali ich słowa, każde kasznięcie, chrząknięcie, zgrzyt odsuwanej krzesła, ciche pochrapywanie Simona, szum spuszczonej wody w toalecie... Naruszyli jej prywatność.

Ale dlaczego właściwie tak się zdziwiła? Przez wiele lat ją obserwowali, wiedzieli więc, że dla ratowania Sarah zacznie szukać kartoteki Drapieźnika. Nie tylko zaaranżowali porwanie, ale na wszelki wypadek zainstalowali też podsłuch i nadajnik w telefonie. Teraz już rozumiała, w jaki sposób znaleźli Tish: człowiek na nasłuchu usłyszał, jak podawała jej adres taksówkarzowi, i przekazał go albo bezpośrednio kretowi, albo grupie, w której kret się znajdował.

A potem, pomyślała, źródło informacji wyszło. W przeciwnym razie morderca po prostu pojechałby za nią do skrytki albo czekał w klubie Jimmy'ego Unaka.

Krażyła po pokoju, próbując rozwiązać tę zagadkę. Dlaczego jej nie śledzili? No tak: zorientowali się, że jest wśród nich zdrajca. I albo się go pozbyli, albo odsunęli na boczny tor, w każdym razie stracili dostęp do informacji.

Przystanąła. Czy wiedza, którą zyskali dzięki podsłuchowi, mogła jeszcze komuś zaszkodzić? Biednej Tish Childs nikt nie mógł już bardziej skrzywdzić. Jimmy Unak się nie liczył. Pozostawał Simon. Z podsłuchu wynikało, że wybiera się do barona de Darmond, który ma jakiś związek z Drapieźnikiem i kartoteką. To była dla niego bardzo zła wiadomość.

Przeszła do łazienki, odkręciła prysznic i położyła komórkę na umywalce. Wróciła do sypialni i zadzwoniła z telefonu stacjonarnego.

- Odbierz, Simon. Odbierz!

Ale Simon milczał. Oczekała, aż rozlegnie się brzęczyk poczty głosowej, i nagrała wiadomość:

- Simon, tu Sarah. Uważaj. Ludzie, którzy wynajęli mordercę w Londynie, mogą znać twoje plany. Wiedzą, że pojechałeś dziś do barona. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że są niebezpieczni. Przykro mi, że nic więcej nie mogę ci powiedzieć, ale nic nie wiem. Będziemy w kontakcie.

Rozłączyła się, wróciła do łazienki i zabrała telefon. Wściekła, miała ochotę cisnąć nim o ścianę, ale zawahała się i uśmiechnęła złowieszczo. Wyjrzała dyskretnie przez okno. Kobieta w okularach nadal siedziała na ławce z torebką na kolanach. Czekala, aż upłynie godzina - albo Liz wyjdzie z hotelu.

Była kluczowym elementem układanki. Pracowała dla szantażysty.

W umyśle Liz zaczął się krystalizować plan. Otworzyła szafę, posłała Macowi pożegnalne spojrzenie i zdjęła z wieszaka czarną kurtkę zapinaną na suwak. Zdawała sobie sprawę, że kiedy zwłoki zostaną odkryte, nie będzie mogła wrócić do hotelu.

Wyjęła z torebki całą gotówkę i wszystkie karty kredytowe, zabrała jeszcze beret Ashera i okulary Sarah. Gdzie się podziała torebka Sarah? Jest - na biurku, obok sig sauera. Pakując się, bez przerwy zerkala na pistolet: błyszczący, w idealnym stanie. Przypomniała sobie, jak leży w ręce. Miała wrażenie, że przyzywa ją jak zapomniany kochanek.

Nie sięgnęła po niego. Zamknęła oczy i przywołała w pamięci wyniki badań częstotliwości strzelania wśród żołnierzy. Podczas II wojny światowej zaledwie piętnaście procent amerykańskich żołnierzy strzeliło do nieprzyjaciela. Pozostali bali się pociągnąć za spust; człowiek ma w mózgu mechanizm zabezpieczający, który nie pozwala mu zabijać przedstawicieli własnego gatunku.

Ale dla wojska niechęć do zabijania to poważny problem. Dlatego zatrudnieni przez armię psychologowie - ludzie tacy jak Liz - opracowali specjalny program szkoleniowy, który sprowadzał się do prostego behawioralnego warunkowania. Miał produkować wojowników, którzy będą strzelać i zabijać bez zastanowienia. W Wietnamie wydajność strzelecka żołnierzy wzrosła niewiarygodnie, bo aż sześciokrotnie, do dziewięćdziesięciu procent.

Przypomniała sobie Wiedeń. Był rok 1991, w dzielnicy małych sklepików i zabytkowych latarń ulicznych zapadał zmierzch. Zegarmistrz, z którym miała się spotkać, był bezcennym agentem CIA, chociaż przeszedł już na emeryturę i chwilami bał się własnego cienia. Nazywał się Andreas Bitterman i słynął z umiejętności naprawiania kiepskich radzieckich zegarków. Oczywiście komunistyczni dygnitarze przebywający w Wiedniu szybko zaopatrywali się w zachodnie zegary i zegarki, ale ponieważ czekał ich przecież w

przyszłości powrót do ojczyzny, gdzie nadmierne przywiązanie do zachodnich dóbr mogło zaszkodzić nie tylko karierze, ale także życiu ambitnego aparaczyka, odsyłali swoje stare czasomierze do Andreego, który je reanimował.

Kryjąc się ze swoją doskonałą znajomością rosyjskiego, podsłuchiwał plotkujące żony, dziewczyny i dzieci dyplomatów i przekazywał swojemu oficerowi prowadzącemu informacje o awansach i degradacjach, wzlotach i upadkach, ambicjach i słabościach radzieckich dostojników. Po analizie w Langley wygrzebywano z nich prawdziwe perełki. Liz dwukrotnie spotkała się z nim osobiście. Urzekł ją jego niemiecki z francuskim akcentem i staromodne bokobrody.

W 1991 roku nie było już muru berlińskiego, Związek Radziecki rozpadał się, a tworzące go republiki wybijały się na niepodległość, ale oficjalnie politbiuro nadal sprawowało władzę. Kurczowo trzymało się ostatnich atrybutów władzy, usiłowało w dalszym ciągu prężyć muskuły i okazywać siłę poprzez „rozwiązywanie problemów”. Andreas był przerażony. Przekazał informację, że jego antykomunistyczna działalność zwróciła uwagę Rosjan.

Zbliżając się do zakładu zegarmistrzowskiego, Liz wsunęła rękę do głębokiej kieszeni płaszcza, w której spoczywał jej wiemy walther - na wszelki wypadek się z nim nie rozstawała. Nie nakręciła tłumika, bo z takim przedłużeniem lufy pistolet nie zmieściłby się w kieszeni. Miała chustkę na głowie i płaskie pantofle; wyglądała jak typowa wiedeńska *Hausfrau*, która załatwia ostatnie sprawunki przed kolacją.

Kiedy jednak stanęła przy szklanych drzwiach i chwyciła za klamkę, zorientowała się, że Andreas nie żyje - i że nie umarł naturalną śmiercią. Stojąc tak przed zakładem ze ściśniętym gardłem, poczuła dziwny dreszcz: jednocześnie strach i podniecenie. Ciało zegarmistrza osunęło się na kontuar, podobne do zwłok pokiereszowanego ptaka. Z tyłu głowy ziała duża rana wylotowa.

Morderca cofał się w stronę drzwi, chowając właśnie pistolet z tłumikiem do kieszeni ciemnego, ponurego prochowca, typowego dla komunistycznych zabójców. Spojrzał w wiszące na przeciwległej ścianie lustro - i zobaczył w nim odbicie Liz. Popatrzyli sobie w oczy. Ona już oczywiście zdążyła wyjąć broń.

Zabójca również wyszarpnął pistolet z kieszeni, odwrócił się błyskawicznie i strzelił. Pierwsza kula strzaskała szybę w drzwiach i ze świstem przeleciała nad lewym ramieniem Liz, która odruchowo się uchyliła. Odłamki szkła pocięły jej płaszcz, ale nie twarz.

Kiedy podniosła wzrok, morderca znów naciskał cyngiel. Tym razem celował pewnie, spokojnie, prosto w nią. Był przekonany, że mu nie zagraża.

Strzeliła pierwsza. Pocisk trafił go w pierś. Huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco w cichej, spokojnej uliczce. Morderca zapłacił za nadmierną pewność siebie. Pociągnął za spust, ale spudłował. Przechodnie z krzykiem rzucili się do ucieczki, a on zatoczył się do tyłu, odbił od lustra i osunął plecami po ścianie. Jego twarz wyrażała zdziwienie.

Schowała pistolet i odeszła pospiesznie. W głowie miała zamęt. Pierwszy raz zabiła człowieka. Mogła uciec, kiedy zobaczyła, że Andreas nie żyje. Morderca by jej nie zauważył, a ona zgłosiłaby zabójstwo przełożonemu i czekała na instrukcje. A jednak została. Dlaczego - czyżby czuła się odpowiedzialna za śmierć dobrego, dzielnego Andreeasa?

A teraz obaj nie żyli. Dla tych, którzy lubią takie rozliczenia, zakończenie było sprawiedliwe, ale ona nie myślała w ten sposób. Problem był w tym, że ta walka jej się spodobała; podobało jej się, że morderca jej nie docenił. Przypomniała sobie ten dreszczyk emocji. Zawsze lubiła wygrywać, ale tu chodziło o coś więcej. Jakaś jej część zaczęła żyć nowym życiem.

Później, naturalnie, też zabijała; taka była natura jej zawodu i tych brutalnych czasów. Dopiero kiedy odkryła sekret rodziców, zaczęła się zastanawiać, czy nie za bardzo ich przypomina.

Długo szukała wyjaśnienia swojego postępowania. Patriotyzm jakoś wszystkiego nie tłumaczył, bo przecież zawsze miała taką samą możliwość jak w wypadku śmierci Andreeasa: mogła przekazywać informację przełożonym i czekać. Zabijanie dla frajdy też nie wchodziło w grę, bo nie czuła z tego powodu przyjemności, powodowało ją tylko ślepe dążenie do celu, chęć załatwienia sprawy.

I zawsze robiło się jej niedobrze. Nie rozumiała się, nie poznawała osoby, którą się stała. Może dlatego że upodobniła się do żołnierzy z Wietnamu: została zaprogramowana w taki sposób, że naciskała spust, nie myśląc o tym, co złe, co dobre, i o człowieczeństwie swoich ofiar.

Może to był spadek, który odziedziczyła po rodzicach, może wpływ społeczeństwa, a może Langley. W każdym razie zawsze miała wielkie wyrzuty sumienia.

Tymczasem przemoc stawała się coraz powszechniejsza. Przystępność wśród nieletnich osiągała niewyobrażalne wcześniej wymiary w Wielkiej Brytanii i w całej Europie - we Francji, Niemczech, Rosji, nawet w spokojnej Szwecji, gdzie przeciętny wiek młodocianych kryminalistów spadł z dwudziestu do piętnastu lat. W Stanach tak zwane szkolne morderstwa były niemal na porządku dziennym. W wojnach podjazdowych na całym świecie ginęli ludzie, terrorystów nazywało się na przemian patriotami lub bandytami, w zależności od wyznawanych poglądów politycznych. Zdarzył się 11 września, Afganistan,

Irak. Jej umysł wykładowcy pękał w szwach od tego rodzaju statystyk, obserwacji, porównań i teorii.

Odetchnęła głęboko i jeszcze raz spojrzała na sig sauera, kusząco błyszczącego na stoliku. Gdyby ludzkość nie przestrzegała podstawowych reguł moralnych, zapanowałby chaos. Nikt nie chciałby żyć w świecie pozbawionym norm etycznych. Pokój jest wytworem umysłu. Bez duchowego rozwoju jednostki niczego się nie osiągnie. Pokój nie znajdzie sobie miejsca we wzburzonym umyśle.

Te przemyślenia były dla niej niemal jak religia. Odłożyła pistolet na miejsce, za kratkę grzejnika, schowała komórkę do torebki i wyszła z pokoju bez broni. Musiała teraz niepostrzeżenie wymknąć się z hotelu, a potem wrócić i obserwować kobietę na ławce. Spojrzała na zegarek: zostało dwadzieścia minut, a ona nadal nie miała przebrania.

Wsiadła do windy i zjechała na podziemny parking. Powietrze miało słonawy zapach morza. Naprzeciwko niej przy windzie towarowej stał samochód-chłodnia; dostawca prznosił właśnie mrożone ryby do obłożonej lodem skrzynki. Zamknął drzwi chłodni i wniósł skrzynkę do windy. Pewnie jechał na górę do hotelowej kuchni.

Przypomniała sobie słowa, które dawno temu usłyszała od ojca: „Bierz, co znajdziesz. Frajerzy rozkładają bezradnie ręce. Geniusze kradną”. Poczekała, aż drzwi windy zamkną się za dostawcą, i obejrzała chłodnię z bliska. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Ciekawe, czy facet zamknął drzwi? Pewnie nie; parking był przecież strzeżony, a on i tak miał zaraz wrócić. Rozejrzała się i, nie widząc nikogo w pobliżu, otworzyła klapę z boku chłodni. Powiało mrozem.

Wewnątrz piętrzyły się skrzynki pełne ryb. Uśmiechając się pod nosem, wepchnęła do jednej z nich komórkę. Poczowała na dłoni lepkie, szorstkie muśnięcie rybiej łuski. Niech ją teraz spróbują namierzyć. Wytarła rękę wiszącą na haku szmatą i zamknęła klapę. Kiedy wrócił kierowca, stała oparta o maskę i trzymała się za kostkę.

- *Oh, pardon!* - powiedziała i odsunęła się od wozu. Musiała teraz przekonać dostawcę do swojej historyjki.

Był niski, puciołowaty, miał ogorzałą twarz i zakrwawiony biały fartuch.

- Co się pani stało, mademoiselle? - spytał po francusku. - Skaleczyła się pani?

- Nie, to nic takiego. Chociaż sama nie wiem... To przez mojego chłopaka. Pokłóciliśmy się, no i... no i... - Wzruszyła bezradnie ramionami i machnęła ręką w stronę wyjścia. - Zostawił mnie tutaj. Pobiegłam za nim, ale skręciłam kostkę. Pewnie zaraz przestanie boleć. Oparłam się na chwilę o pański samochód, żeby noga odpoczęła. Proszę się mną nie przejmować.

- No tak, miłość. - Kierowca pokiwał głową. - Człowiek nigdy nie wie, jak mu się ułoży. Nawet ja, w moim wieku... Ale mniejsza z tym. Szkoda, że nie mogę jakoś pani pomóc. - Wzruszył ramionami. - Miłość!

- Właściwie to mógłby mi pan pomóc, jeśli to nie kłopot... Mój wujek prowadzi tu niedaleko sklep z butami. Podwiózłby mnie pan do niego? Jest pan pewnie bardzo zajęty i w ogóle, ale to tylko chwilka... - Liz podkuśtykała bliżej i uśmiechnęła się promiennie.

- Mówi pani, że to niedaleko? Ależ oczywiście, z przyjemnością panią podrzucę.

- Jaki pan miły. Bardzo miły. Bardzo panu dziękuję.

Kiedy uruchomił silnik, z odtwarzacza popłynął głos Edith Piaf. Wyjeżdżając na ulicę, słuchali mądrej, choć smutnej piosenki o miłości. To był najtrudniejszy moment: nikt nie mógł zobaczyć, że Liz wyjeżdża z hotelu. Jęknęła i schyliła się, masując kostkę.

- Bardzo boli, mademoiselle? - zapytał z troską kierowca.

- Trochę - odparła, nie podnosząc głowy.

Kiedy skręcili w prawo, odliczyła do dziesięciu i wyprostowała się w fotelu. Hotel został daleko w tyle. Poprosiła kierowcę, żeby wysadził ją dwie przecznice dalej, przy sklepie z butami, w którym robiła zakupy podczas poprzedniego pobytu w Paryżu.

Kulejąc, weszła do środka, a kiedy chłodnia zniknęła jej z oczu, wybiegła na dwór i z automatu zadzwoniła na policję. Złożyła anonimowe doniesienie o trupie w pokoju 405. Kupiła jeszcze parę drobiazgów, stanowiących uzupełnienie przebrania, i wróciła pod hotel, myśląc o kobiecie-zabójczyni.

22.

Policjanci wpadli do hotelu, wybiegali z niego i rozstawiali zapórę, by oddzielić się od depczących im po piętach dziennikarzy z kamerami, mikrofonami i notesami. Liz, w ciemnej kurtce i spodniach, w dopasowanym do nich czarnym słomkowym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych, wcisnęła się w bramę obok afisza Cirque des Astres. Doszła do wniosku, że te plakaty najwyraźniej przynoszą jej szczęście. Ze swojej kryjówki mogła obserwować nie tylko okolice hotelu, ale także kobietę na ławce.

Z satysfakcją zauważyła, że morderczyni straciła zimną krew. Była wściekła. Zacisnęła usta - przypominały teraz kreskę wąską jak ostrze noża - i gwałtownie gestykulowała, rozmawiając przez telefon i, najprawdopodobniej, wydając rozkazy, ale ani

przez moment nie spuściła z oczu wyjścia z hotelu. Skończyła rozmowę, skoncentrowała się i wybrała inny numer. Tym razem rozmowa trwała dłużej, a po jej zakończeniu kobieta wyraźnie się uspokoiła, jakby wreszcie podjęła satysfakcjonującą ją decyzję.

A potem stało się to, na co liczyła Liz: kobieta sprzed hotelu wzięła torbę z zakupami i poszła sobie. Jej miejsce zajął jeden z kręcących się przy barierkach mężczyźni. Liz natychmiast ruszyła za morderczynią. Szły wąskimi, krętymi uliczkami, kobieta zawracała, zaglądała do sklepów, wymykała się z nich innymi wyjściami, przyspieszała i zwalniała, próbując zgubić ewentualny „ogon”. Była naprawdę dobra.

Liz to zostawała z tyłu, to przyspieszała, próbując nie wyróżniać się z tłumu. Zdjęła kapelusz i włożyła beret Ashera. Zrzuciła kurtkę i beret. Znow włożyła kapelusz. Poruszała się instynktownie, jak automat, posłuszna nabytym w przeszłości odruchom.

Nikt w tłumie nie zwracał na nią uwagi - poza kierowcą taksówki, która się z nią zrównała. Patrzył na Liz wyczekująco; miał podświetloną tabliczkę Wolny. Przyjrzała mu się podejrzliwie. Nie podobało jej się, że już dwa razy jechała z tym samym kierowcą ale ten był inny. Nie знаła go. Zbyła go machnięciem ręki i odczekała, aż przy następnym skrzyżowaniu zabierze dwoje starszych ludzi. Morderczyni skręciła w boczną uliczkę i Liz popędziła za nią, zapominając o taksówce.

*

César Duchesne, kulejąc, szedł w stronę kryjówki na północ od wieży Eiffla. Na głowie miał taksówkarski kaszkiet, w uszach miniaturowe słuchawki, na pasku przypięty odtwarzacz CD. Długie, wieczorne cienie kładły się wilgotnymi plamami na chodniku. Duchesne cały czas obserwował otoczenie - ruch uliczny, przechodniów, ciemne zaułki i zaparkowane samochody. Nie spodziewał się, że ktoś go zaczepi - ani, tym bardziej, rozpozna - ale nigdy nic nie wiadomo. Człowiek, który prowadzi takie życie jak on, uczy się nie ufać ani ludziom, ani własnemu szczęściu.

Znalazł na kompakcie fragment, który chciał jeszcze raz odsłuchać. Jako szef ochrony Spirali nie tylko nadzorował przebieg całej operacji, ale także - jako jedyny - podsłuchiwał rozmowy przekazywane przez mikrofon wbudowany w telefon Liz Sansborough. Nie potrafił zidentyfikować tej drugiej kobiety; mówiła po angielsku, ale z wyraźnym francuskim akcentem.

- Chodź do mnie.

- Słucham? - To na pewno był głos Liz.

- Zejdź tutaj, to wypuścimy Sarah Walker. Zjedź windą i wyjdź głównym wyjściem. Spotkamy się na dole. Podjedzie furgonetka, czarna, ta sama, która zabrała

Sarah. Chcesz ją chyba uwolnić, prawda?

Duchesne zaklął z niesmakiem. To był obcy głos. Żaden z jego ludzi nie znał tej kobiety.

- **Tish Childs. Angus MacIntosh. Sarah Walker może być następna.**

Porozmawiajmy. Zejdź na dół. Przecież chcesz ją zobaczyć?

- **To ty go zabiłaś!**

Wyłączył odtwarzacz. Nie podobała mu się ta rozmowa. Miał wrażenie, że przeszłość znów się o niego upomina. Poczłł metaliczny zapach krwi zmieszany z wonią drogich perfum. Przypomnił sobie swoją dawną miłość; poczucie straty było bolesne. Szantażysta przez swą chciwość doprowadził do śmierci żony Duchesne'a, który długo nie mógł się po tym pozbić. Później jednak gniew dodał mu sił i motywacji, by odzyskać dawne umiejętności.

Styl życia, jakie prowadził przez czterdzieści lat, wyrobił w nim szósty zmysł, zdolność przewidywania przyszłości. Operacja zaczynała mu się wymykać spod kontroli, ale musiał ją sfinalizować. Jak inaczej miałby zmusić posiadacza kartoteki do odsłonięcia kart? Ryzyko rosło z każdą chwilą i Duchesne przyłapał się na tym, że zaczyna się martwić. Niesamowite. Dopóki nie zginęła jego żona, nie znał tego uczucia.

Wszedł po schodach starej kamienicy, powłóczęc prawą nogą. Przystanął na pierwszym podejściu, nasłuchując dobiegających z góry dziecięcych krzyków. Jeden z malców, sześciolatek Jean-Luc, był zafascynowany jego kalectwem i bardzo chciał się z nim zaprzyjaźnić. Ale Duchesne nie mógł mieć przyjaciół - a już na pewno nie widział w tej roli małych, bezbronnych dzieci. Nie chciał się przypadkiem natknąć na Jean-Luca.

Kiedy hałasy ucichły i z dwóch mieszkań na półpiętrze dobiegało tylko buczenie telewizorów, ruszył dalej. Stanął przed swoimi drzwiami i sprawdził zawieszony nad nimi włos: był na swoim miejscu, niewidoczny, ale łatwo wyczuwalny dotykiem. Nikt go nie zerwał. Duchesne otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i czekał, aż oczy przyzwyczają się do półmroku. Pociągnął nosem, a kiedy nie wyczuł nic podejrzanego, zadowolony zatrzasnął drzwi i zamknął zasuwę.

Wyjął z lodówki puszkę soku pomidorowego. Otworzył ją i zadzwonił do Kronosa. Kiedy ten odebrał telefon, Duchesne opadł ciężko na fotel.

Telefon do Brukseli

- Mam dla ciebie nowe wiadomości, Kronosie. Moi ludzie sprawdzili Atlasa, Okeanosa, Prometeusza i Temidę. Wszyscy byli w Paryżu, kiedy zastrzelono barona de Darmond.

- W Paryżu? Ale baron zginął w Chantilly. Nikt z nich nie...

- To nie takie proste. Nie znaleźliśmy nikogo, kto by potwierdził, że któryś z nich wystawił nos poza centrum Paryża, ale to jeszcze nie znaczy, że żaden tego nie zrobił. Mogli pojechać prywatnym samochodem, autobusem, metrem... Nie zapominaj, co twierdzi policja: nawet służący barona nie wiedzieli o jego spotkaniu z mordercą.

- Czyli każdy ze Spirali mógł go zabić, tak?

- Każdy. Nawet ty. Byłeś przecież w Paryżu. Ja zresztą też.

Paryż

Śledzona przez Liz kobieta wsiadła do metra na stacji Saint-Michel i pojechała na północ. Na Réaumur-Sébastopol wysiadła i w kafejce z ogródkiem zjadła wczesną kolację. Nigdzie się nie spieszyła, zachowywała się z pozoru beztrosko, tylko jej oczy cały czas się poruszały, kiedy obserwowała otoczenie i przyglądała się twarzom mijających ją ludzi.

Liz również coś zjadła, a potem ruszyła w ślad za nią - tym razem pociągiem linii numer trzy, na wschód. Wysiadły na stacji Gambetta w robotniczym XX *arrondissement*. Kiedy Liz wyszła na ulicę, zapadał zmierzch. Od morderczyni oddzielało ją kilkanaście osób - wystarczające zabezpieczenie. Wiatr tarosił wysokie topole, było coraz ciemniej, wokół rozbrzmiewały różne afrykańskie języki, a Liz szła za morderczynią na obrzeża Belleville, nie mogąc zrozumieć, co ją tam ciągnie.

*

Sarah zadała ostatni cios nożycami. Jej przykurczone, obolałe dłonie przypominały pozbawione czucia szpony, miała odrętwiałe ramiona, ale od dwóch dni czuła się lepiej. Przyjrzała się z bliska sklejce. Udało się jej poluzować ją z trzech stron: z obu boków i od dołu. Gdy tylko wróci jej czucie w rękach, odegnie sklejkę i wyrzy na zewnątrz. Miała nadzieję, że za oknem zobaczy schody pożarowe, jakiś nieodległy dach albo chociaż duże, solidne drzewo.

Odwróciła się, słysząc głośny odgłos za plecami.

- Asher! Przestań się...

Asher usiadł na noszach.

- Mówiłem ci przecież, że dobrze się czuję. Zanim te skunksy wywiozły mnie ze szpitala, chodziłem już o własnych siłach po pokoju. Ale muszę się poruszać powoli. Dostojnie. Zawsze mówiłaś, że brakuje mi takiego dostojęstwa.

- Wcale nie. Cały się trzęsiesz.

- Bo cię widzę. Nigdy nie umiałem ci się oprzeć.

- Asher...

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- No dobrze... - westchnęła Sarah. - Chodź, przydasz się.

Rzeczywiście, poruszał się wolno i ostrożnie. Zadyszał się, podchodząc do okna, ale spojrzał na nią z nadzieją w oczach.

- Chciałbym, żeby tam była winda.

- Każdy by chciał. Czuję się, jakbyśmy zaraz mieli chrzcić „Queen Elizabeth”.

- Lepiej „Queen Elizabeth” niż „Titanica”. Choć szampan na pewno był przedniej marki.

Spojrzeli na siebie z uśmiechem i odgięli arkusz sklejki do wewnątrz. Przytrzymywany gwoździami wbitymi w górną krawędź nie dał się za bardzo odchylić.

- Sama dam sobie radę. - Sarah zaparła się, schyliła i chwyciła mocniej sklejkę. - Ty mów, co widać.

Asher zacisnął zęby z bólu. Kiwnął głową, cofnął się i usiadł na prycy.

- Stąd będę miał świetny widok. Jak w kinie w pierwszym rzędzie.

Sarah stanęła w szerszym rozkroku i naparła całym ciałem. Sklejka się wygięła, gwoździe jęknęły, krawędź arkusza wbiła się jej w plecy. Sypnęły się drzazgi, opadł kurz.

- Co widzisz?

- Gwiazdy. Jest noc. Widać gwiazdy.

Sarah nie podobał się ton jego głosu. Dzięki temu, że gwoździe się poluzowały, mogła wśliznąć się pod sklejkę. Spojrzała w dół. Zaparło jej dech w piersi. Znajdowali się na wysokości szóstego piętra nad ruchliwą ulicą. Chodnik wyglądał tak, jakby ułożono go na dnie mrocznej studni. Nie było windy, schodów, sąsiedniego dachu, wysokiego drzewa ani liny. A skok z szóstego piętra oznaczał pewną śmierć.

Simon wrócił do samochodu. Był zły. Tylu ludzi zginęło, pojawiło się tyle niewyjaśnionych faktów, a teraz jeszcze zaczynał się martwić o Sarah. Znał to uczucie napięcia, wynikające z wiecznego, trudnego oczekiwania, które towarzyszy prawdziwym szpiegom. Wiedział, co to znaczy stać na ciemnym moście albo w zapomnianym przez Boga i ludzi zaułku, czekając na informatora; wiedział, jak to jest czekać w pustym pokoju na kuriera, który ma dostarczyć nowe instrukcje, dokumenty, plan ucieczki z obcego miasta.

Wróciwszy do Paryża, pojechał najpierw do zakładu fotograficznego, prowadzonego przez dawną znajomą, Jacqueline Pahnke, była agentką francuskiego wywiadu. Zostawił jej swój miniaturowy aparat. Idąc z powrotem do samochodu, odsłuchiwał wiadomość w telefonie:

- Ludzie, którzy wynajęli mordercę w Londynie, mogą znać twoje plany. Wiedzą, że pojechałeś dziś do barona. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że są niebezpieczni...

Podczas pobytu w zamku nie widział jednak nic, co by wskazywało, że ktoś ma go na oku i że zabójstwo barona jakoś się z tym wiąże.

Potem nastąpiło kolejne niepokojące wydarzenie: kiedy zadzwonił do Sarah, w słuchawce rozległ się męski głos:

- Słucham? - spytał ktoś z amerykańskim akcentem.

- Kto mówi? - zdziwił się Simon.

- Przyjaciel. A z kim mam przyjemność?

- Proszę powiedzieć Sarah, że dzwoni Simon.

- Chwileczkę. - Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. A zaraz potem: - Jest zajęta - poinformował mężczyzna. - Powiedziała, że oddzwoni. Proszę mi podać numer telefonu.

Te słowa wszystko wyjaśniały. Simon natychmiast się rozłączył. Sarah знаła przecież jego numer, a więc jej komórka trafiła w ręce obcego człowieka.

Wskoczył za kierownicę i pojechał do Valhalli, otoczonej już policyjnym kordonem. Dopiero kiedy się wylegitymował jako agent MI-6, powiedzieli mu, że w pokoju amerykańskiego małżeństwa - Ashera Floresa i Sarah Walker - znaleziono trupa turysty.

Ale Sarah mówiła, że Ashera nie ma w Paryżu. Co to miało znaczyć, do ciężkiej cholery?!

Teraz jechał zatłoczoną ulicą na północ, starając się ignorować ryk klaksonów i wrzaski kierowców. Zajrzał do budki telefonicznej na rogu rue de Bassano i Pól Elizejskich, o której mówiła mu Sarah. Zgodnie z jej przewidywaniami w środku znalazł kilkanaście liścików - ale, niestety, żaden nie był od niej.

Może coś ją zatrzymało, może... Pokręcił głową. Co za bagno. Jakiś intruz miał jej komórkę, w jej pokoju znaleziono trupa, a Asher jednak był w Paryżu, przynajmniej do niedawna.

Coś się musiało stać. Coś bardzo złego.

Kupił „International Herald Tribune” i usiadł w ogródku knajpki Chez Paul, skąd mógł obserwować budkę. Zmusił się do zjedzenia kolacji, obserwując przechodniów, a potem rozłożył gazetę. Powiało nudą: najwięcej miejsca zajmowały doniesienia z przygotowań do rozpoczynającego się w poniedziałek szczytu G8. Przewracał bezmyślnie strony, zerkając sponad gazety; czytał wszystko, ale nic nie zostawało mu w pamięci. Dopiero pod koniec natrafił na dwuakapitową notkę o śmierci Viery Jozef.

Ogarnął go bezbrzeżny smutek. Tym razem artykuł, bez zdjęcia, streszczał tylko informacje z poprzedniego dnia, cytował wypowiedzi policjantów (którzy już wskazywali winnych jej śmierci) i przytaczał wzruszające wspomnienia jej brata. Serce ścisnęło mu się z żalu. Życie, nie dość, że kompletnie niezrozumiałe, było jeszcze takie kruche.

Przypomniał sobie scenę z dzieciństwa: matka trzymała go za rękę, a sir Robert stał obok w trzyczęściowym garniturze i osłaniał ich oboje parasolem. Deszcz bębnił o materiał jak grad pocisków. Wtedy Simon czuł się bezpieczny. Ale może takie poczucie bezpieczeństwa było dane tylko dzieciom.

Odwrócił stronę i znieruchomiał, widząc w gazecie zdjęcie Sarah i krótką notkę o zamordowaniu Tish Childs w Londynie. Pod fotografią był jednak podpis „Elizabeth Sansborough”, a autor artykułu, powołując się na swoje źródła w policji, twierdził, że w zaułku nieopodal miejsca zabójstwa znaleziono broń zarejestrowaną na to samo nazwisko w Kalifornii, w Santa Barbara.

Zmarszczył brwi. Zdjęcie przedstawiało Liz. Broń też należała do niej. Mimo wszystko nie mógł uwierzyć, że Liz mogłaby mieć coś wspólnego ze śmiercią Tish. Pozostawała tylko jedna logiczna odpowiedź: człowiek, który zabił Tish, podrzucił pistolet. Jeśli jednak Sarah mówiła prawdę i samodzielnie szukała kartoteki Drapieznika, po co ktoś miałby wrabiać Liz?

Nie był zadowolony z wniosków, które same się nasuwały. Jeśli Sarah wpadnie w ręce policji - francuskiej albo angielskiej, bez znaczenia - nikt nie będzie pytał, jak się nazywa; przynajmniej nie od razu. Kobieta ze zdjęcia była do niej podobna jak dwie krople wody, a Sarah w dzień morderstwa była w Londynie. Biorąc pod uwagę, jak szerokie wpływy miał szantażysta, szybko by ją dopadł, gdyby znalazła się w areszcie.

Zaschło mu w gardle. Ktoś po mistrzowsku starał się wyeliminować Sarah.

Z tym większą ulgą odebrał telefon.

- Sarah?

Dzwoniła Jacqueline Pahnke. Zrobiła odbitki.

- Widzę, że mnie zdradzasz - dodała. - Kim jest ta Sarah? Utopię ją w Sekwanie.

Simon błyskawicznie wszedł w rolę beztroskiego lowelasa.

- Chyba we mnie nie zwątpiłaś, Jackie? Sarah to pseudonim pewnej łysiejącej księgowej w średnim wieku. Dobrze wyszły odbitki?

- *Mais oui*. Ale są okropnie nudne, *cheri*. Po co ci one?

- Nie zawracaj sobie tym swojej ślicznej główki - odparł Simon i czekał na wybuch. Słyszał, że nawet tylko lekko urażona, Jacqueline potrafiła obciąć mężczyźnie ucho.

Ale tym razem tylko parsknęła śmiechem.

- Ależ z ciebie błazen, Simon.

- Przejrzałaś mnie na wylot, *je suis desole* - przyznał, udając skruczę, ale zaraz dodał z entuzjazmem: - Już jadę.

Zamknął telefon i znów spochmurniał. Ostatni raz rzucił okiem na budkę telefoniczną i szybko wrócił do samochodu. Peugeot stał trzy przecznice dalej. Simon zbliżył się ostrożnie, patrząc, czy nikt go nie śledzi. Obejrzał dokładnie zamki i opony, a w końcu usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i ruszył. Wolałby posiedzieć w Chez Paul, ale liczył na to, że zdjęcia pozwolą mu odgadnąć tożsamość mordercy barona, a ten może doprowadzi go do szantażysty. A jeśli Sarah naprawdę znalazła się w tarapatkach, może i jej w ten sposób pomoże. Przy odrobinie szczęście za godzinę będzie znał zabójcę.

Paryż błyszczał, rozświetlony nocnymi światłami. Jadąc przez miasto, Simon kolejny raz łamał sobie głowę nad imieniem Hyperion. Tak właśnie morderca nazwał barona. To imię brzmiało znacząco. Może dzięki niemu uda się znaleźć zabójcę.

*

Gino Malko w czarnym citroenie śledził peugeota, trzymając się dobre czterysta metrów z tyłu. Dzięki temu miał pewność, że kierowca go nie zauważy. Rowerzysta w Chantilly podczepił do peugeota nie zwykły magnes, lecz nadajnik GPS; Malko później na wszelki wypadek ukrył drugi pod tylnym błotnikiem. Teraz od czasu do czasu zerkał na ekran laptopa GoBook MAX, na którym wyświetlało się nie tylko aktualne położenie wozu, lecz także cała trasa, jaką przebył od Chantilly. System, wykorzystujący sygnał krążących nad Ziemią satelitów GPS, miał dokładność rzędu pół metra, podawał adresy odpowiadające kolejnym postojom peugeota, a także czas spędzony przez kierowcę na każdym z nich.

Gino Malko był zachwycony. Lubił nowoczesną technikę, uważał, że w jego zawodzie bywa bardzo przydatna. Jak ona rozwijał się, w swojej pracy zawsze był pierwszy, najlepszy, nadążał za nowinkami. Zupełnie inaczej wyglądało jego dzieciństwo w dusznym Jacksonville na Florydzie, gdzie dziadek, z pochodzenia Rosjanin, od świtu do zmierzchu pracował w stoczni - jeśli w ogóle miał szczęście i dostał pracę. To on skrócił rodowe nazwisko Malkowicz do Malko.

Gino lubił dziadka. Zawsze miał więcej optymizmu niż pieniędzy, co nie przysparzało mu sympatii w rodzinie. Co roku w styczniu zapożyczał się na lichwiarski procent i kupował sobie nowego cadillaca. W marcu wierzyciele nieodmiennie odbierali mu samochód, a kiedy urok i obietnice dziadka przestały na nich działać, zabili go. W taki oto sposób Gino nauczył się, że optymizm bywa groźny.

Jego matka, Włoszka, zdążyła już wtedy rozbić pijanemu mężowi butelkę piwa na głowie i zabrała Gino i jego dwie siostry do Miami, gdzie pracowała jako „hostessa” w jednym z klubów w Małej Hawanie. Od niej Gino nauczył się, że pieniądze z ciężkiej, upokarzającej pracy wcale nie muszą wystarczyć na utrzymanie. Odkąd skończył dwanaście lat, wychowywał się na ulicy, wśród narkomanów, kurew i imigrantów. Nie cierpiał ulicznego brudu i głodu, więc kiedy udawało mu się wymknąć do Miami Beach, gdzie bawili się bogaci, mając na swoich usługach resztę świata, zapominał o kłopotach, a serce zaczynało mu żywiej bić. W Miami Beach zrozumiał, że bogactwo fascynuje.

Ponieważ nie był optymistą, nie był również przesadnie odważny, koniecznie chciał się jednak dostać do kręgu możliwych tego świata. Ba, czuł się zobowiązany ich chronić; wyróżniali się cechami, których on nigdy nie mógł osiąść. Najął się więc do pracy jako szeregowy mięśniak u gangstera, który kupował sobie piękne kobiety, domy, adwokatów i polityków. Kiedy jednak Malko został wysłany na pierwszą „rozmowę”, poniosło go i spoliczkował klienta. Zrobił błąd - ale opłaciło się. Awansował. Został oficjalnym ochroniarzem.

Kiedy gangster trafił do więzienia, Malko przeniósł się do Memphis, stamtąd do Atlanty, aż w końcu znalazł się w Chicago. Przez ten czas nabrał ogłady, zaczął nosić przyzwoite ubrania, liznął trochę francuskiego; hiszpański i rosyjski znał od dawna. W Chicago zaczął działać na własną rękę. Bez trudu wtopił się w przestępczy półświatek, gdzie liczyło się głównie to, jak kto ma gadane. A wyszczekany był Malko jak mało kto. Wykonując kolejne zlecenia, zjeździł Stany wzdłuż i wszerz. Zarobił przy tym fortunę, o jakiej w Jacksonville nawet mu się nie śniło. Przypominał sobie czasem, co lichwiarze zrobili z jego dziadkiem. Było mu go żal, ale teraz już rozumiał, dlaczego staruszek musiał umrzeć.

Zatrzymał się na czerwonym świetle i zerknął na mapę na ekranie. Jazda za peugeotem to była teraz kaszka z mleczkiem - co innego śledzenie kierowcy. Facet zawsze parkował kawałek od celu i szedł dalej piechotą. Zanim Malko dogonił wóz, kierowca zniknął. Musiał być świetnie wyszkolony - ale co do tego nie było wątpliwości, odkąd spotkali się po raz pierwszy, kiedy goił za Malkiem aż na Lindenhof.

Malko chciał się dowiedzieć, z kim ma do czynienia. Zrobił mu cyfrowe zdjęcie pod Valhallą i rozesłał je e-mailem po prywatnych i rządowych bazach danych; z racji wykonywanego zawodu miał do nich nieograniczony dostęp, ale mężczyźni ze zdjęcia w nich nie znalazł. Zdjął odciski palców z klamki peugeota, ale i one na nic się nie zdały. Poprosił o kopię umowy wypożyczenia wozu, lecz kiedy mu ją przesłano, dowiedział się tylko, że klient zapłacił gotówką, a prawo jazdy okazało się fałszywe.

Zwykle lubił wyzwania, tym razem jednak był zły. Nie dość, że nie znał tożsamości kierowcy, to jeszcze nie miał pojęcia, czego ten gość chce.

*

Zakład Jacqueline Pahnke znajdował się w modnej paryskiej dzielnicy Marais, niedaleko eleganckiego Place des Vosges, zielonego skweru otoczonego ceglanyimi i kamiennymi domami. Noc była duszna i wilgotna. Jeden z pracowników salonu fryzjerskiego, ubrany w tradycyjny długi fartuch, wyniósł na dwór miskę wody z mydlinami. Kiwnął przechodniowi głową i zaczął myć okna, szykując zakład na przyjęcie porannych klientów.

Simon odpowiedział mu skinieniem głowy i stanął przed wejściem do laboratorium Jacqueline, dwoje drzwi dalej. Przez okno wystawowe, zastawione typowym dla fotografa sprzętem, czyli aparatami, fleszami i statywami, było widać oświetlone wnętrze. Kiedy otworzył drzwi, zapowiedział go dźwięk dzwoneczka.

Jackie wybiegła z zaplecza, jakby właśnie zjawił się u niej najważniejszy klient na świecie. Zbliżała się do pięćdziesiątki, ale emanowała niespożytą energią. Miała jasne, krótkie włosy i owalną twarz. Odsunęła okulary na czoło.

- Co ja dla ciebie mam! - zawołała po angielsku. Podali sobie ręce.

- *Qu'est-ce que c'est?*

- Mów angielski. Tak dla mnie lepiej. Kiedyś nauczę się dobrze wasz barbarzyński język. A teraz chodź.

Kiwnęła na Simona i razem weszli na zaplecze. Jacqueline świadczyła normalne usługi fotograficzne, miała również w sprzedaży standardowy asortyment artykułów dla fotografów, ale jej pasją była fotografia artystyczna. Dramatyczne czarno-białe krajobrazy i portrety wisiały wszędzie na ścianach jej prywatnej galerii.

Przeszli do pracowni. Stały tam szafki z odczynnikami i stoły, a w kącie, pod sufitem, były rozpięte żyłki, z których zwisały suszące się negatywy i odbitki. W powietrzu unosiła się ostra woń chemikaliów.

- To twoje - oznajmiła Jacqueline, przesuając stosik odbitek na środek stołu. Większość miała format dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, było też kilka powiększeń czterdzieści na pięćdziesiąt. - Siadaj, siadaj. Tyle tych cyferek. Te chyba najciekawsze. - Wskazała duże powiększenia, przedstawiające różne fragmenty ozdobionej zdjęciami ściany w gabinecie barona. De Darmond był na każdym z nich. - Powiększyłam bardzo, żebyś dobrze widział twarze. Co to za człowiek? Nadęty bufon, prawda? Może to ktoś, kogo znam?

- Na pewno widziałas go w gazetach albo w telewizji. To Claude de Darmond.

- No tak - przyznała po chwili zastanowienia. - Tak, teraz go poznaję. Słynny bankier. Gra w polo i bywa na różnych ważnych wyścigach konnych. Jest baronem, *oui*?

Dawniej pracowała we francuskim wywiadzie. Tak też poznali się z Simonem: on wykonywał swoje pierwsze zlecenie, ona - swoje ostatnie.

- Szukasz pana barona? - ciągnęła, przekrzywając z zaciekawieniem głowę. Zmarszczyła brwi. - Zaraz, przecież on nie żyje. Został dziś zamordowany. Widziałam w telewizji!

- Słyszałem o tym. - Simon usiadł przy stole. - Sfotografowanie tej ściany to nie był wielki wyczyn. I tak wątpię, żebym z tego tłumu sław wyłowił coś użytecznego. Stąd zresztą też. - Postukał w drugi plik odbitek. Modlił się w duchu, żeby nie mieć racji.

- Jakoś ci nie wierzę, Simon. Nie wysiłałbyś się tak, gdyby nie było warto. Nie zapytam, kiedy zrobiłeś te zdjęcia.

Simon uśmiechnął się promiennie.

- Jestem nieprzewidywalny, przecież wiesz? Nigdy nie wiadomo co i dlaczego robię. Możesz zapytać moją szefową.

- Coś mi się widzi, że znów byłeś niegrzeczny. Sprawozdania biznesowe, też coś!

- *Merci*, Jackie.

Zadzwiećczał dzwoneczek.

- Cyferki - prychnęła Jacqueline. - Zostawiam cię sam na sam z tą beznadzieją. *Ciao*.

Kiedy wyszła, Simon odłożył na bok zdjęcia galerii fotograficznej barona i przejrzał pozostałe odbitki. Zawierały streszczenia kontraktów, sprawozdania finansowe, polisy ubezpieczeniowe, zestawienia strat i zysków, historie kredytów i inwestycji... Tylko zapalony księgowy mógłby szczerze powiedzieć, że taki widok raduje jego serce.

Ale Simon nie rezygnował. Dobrze pamiętał słowa barona, który zapowiedział, że nie pożyczycy mordercy więcej pieniędzy, dopóki nie dostanie kartoteki Drapieznika. Sięgnął po leżący na stole zeszyt, wyjął długopis i zaczął robić notatki.

24.

Noc coraz ciasniej otulała Paryż. Liz szła za kobietą przez miejską dżungłę, gdzie na każdym metrze kwadratowym tłoczyły się domy, ściśnięte jak bezbronne ofiary oczekujące egzekucji. W tej okolicy widywało się niewielu przechodniów. Plakaty i graffiti w ostrych barwach pokrywały ściany do wysokości czterech metrów nad ziemią; ich autorzy musieli wspinać się na drabiny albo na barki kolegów.

Kobieta zwolniła przy starym budynku z brudnobrązowej cegły. Przeszkłone drzwi wejściowe były zabite deskami, nad nimi wisiał szyld z napisem EISNER-MOULTON. Budynek wyglądał na opuszczony. Liz przypomniała sobie doniesienia prasowe o finansowych kłopotach firmy Eisner-Moulton, która, mimo że należała do największych międzynarodowych koncernów na świecie, ostatnio wyprzedawała majątek i zamykała liczne oddziały.

Kiedy kobieta przystanęła przed drzwiami, podjechała do niej nieoznakowana ciężarówka z blaszaną budą - stareńkie volvo, jakich tysiące, jeśli nie miliony, widuje się na europejskich drogach. Silnik zgasł, otworzyły się tylne drzwi i ze środka wyskoczyło ośmiu mężczyzn. Byli ubrani w dżinsy i koszule i wyglądaliby zupełnie zwyczajnie, gdyby nie długa broń w rękach. Otoczyli kobietę, która zaczęła wydawać im rozkazy.

Jeden z nich trzymał w rękach łyżkę do opon. Oderwał nią deski, którymi zabito wejście, stłukł szybę, sięgnął do środka i otworzył drzwi. Wszyscy - poza szoferem - wbiegli do budynku. Nieliczni przechodnie i kierowcy przejeżdżających samochodów udawali, że nic nie widzą. W tej części Belleville złodziejstwo było po prostu jeszcze jednym sposobem na życie, nie gorszym od innych.

Z głębi budynku dobiegły stłumione odgłosy wystrzałów. Kiedy podniosła się roleta zamykająca garaż, kierowca wprowadził ciężarówkę do środka. Roleta opadła, a Liz przypomniała sobie stare porzekadło: „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. Może z tą przyjaźnią to przesada, ale na pewno warto się zainteresować, kto jeszcze tam jest.

Rozejrzała się czujnie, przerzuciła torebkę przez plecy i przebiegła przez ulicę do otwartych drzwi.

*

- Mam dobrą wiadomość: w oknie piętro niżej jest wybita szyba - relacjonowała Sarah. - Gdybyśmy znaleźli jakąś linę, moglibyśmy po niej zejść. Zaskoczmy strażników i będziemy mieli szansę się wymknąć. - Spojrzała z powątpiewaniem na Ashera. - Dasz radę? Czujesz się na siłach? Bo jeśli nie, to zostajemy i...

- Ból to nic wielkiego, zwłaszcza kiedy weźmiemy pod uwagę, jaką mamy alternatywę. - Asher rozejrzał się po pokoju. - Co z tą liną?

- Nic. Wszędzie szukałam.

- Psiakrew... Trudno. Musimy improwizować. - Rozejrzał się. - Jest tu jakaś pościel? Kawał płótna? Może wąż gumowy? Bo widzę, że sprzętu ogrodniczego nam nie brakuje. Brezentowa płachta? Jakiś łańcuch?

Sarah pokręciła przecząco głową. Asher odwrócił się i utkwiał wzrok w stercie opon rowerowych: były cienkie i elastyczne, jak sztyki do rowerów wyścigowych.

- Zrobimy z nich łańcuch! - Wpadła na pomysł Sarah, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem. - Powiązemy je. - Chciała podejść do stosu, ale zatrzymała się. - Słyszałeś?

Asher zmarszczył brwi.

- Strzały.

- Ktoś idzie. Kładź się. Szybko!

Sarah docisnęła sklejkę zasłaniającą okno i podbiegła do noszy. Ledwie Asher zdążył się położyć, drzwi gwałtownie się otworzyły i wparowało dwóch uzbrojonych mężczyzn w maskach z pończochy. Trzeci stał na korytarzu, trzymając uzi w pogotowiu. Nigdy wcześniej Sarah nie widziała, żeby zachowywali się tak nerwowo. Dotychczas w pełni kontrolowali sytuację.

Jeden z nich złapał ją za rękę i przystawił pistolet do skroni, drugi zaczął popychać nosze w stronę wyjścia. Napięcie sięgało szczytu. Sarah nadepnęła zamaskowanemu mężczyźnie na nogę, wyrwała się i podbiegła do noszy. Chwyła Ashera za rękę. Poczerwieniał ze złości i poruszył ustami, usiłując coś powiedzieć.

- Opanuj się - szepnęła. - Może właśnie ktoś próbuje nas uwolnić.

Spojrzała mu w oczy - skrzywił się, ale posłuchał. To nie był najlepszy czas ani miejsce na walkę; czuł się fatalnie, a w dodatku właściwie byli bezbronni. Ponaglani przez strażników, przemierzali korytarz. Farba oblażyła ze ścian, po obu stronach mijali zamknięte drzwi. Na wprost czekała już winda towarowa. Drzwi to zamykały się, to otwierały, jak

paszcza rekina ludojada. W pięcioro znaleźli się w środku i jeden z porywaczy wcisnął guzik. Zaczęli zjeżdżać w dół.

*

Duchesne spływał potem, dźwigając ośmiokilogramowe hantle. Prawy mięsień piersiowy pracował rytmicznie. César siedział na stolku przy oknie, z którego roztaczał się widok na paryskie dachy, aż po wieżę Eiffla. Lśniła srebrzyście w ciemności, jak surrealistyczna choinka.

Zasłony poruszały się w podmuchach powietrza z klimatyzatora, które chłodziło spocone ciało Duchesne'a. W myślach ważył informacje, które już zdobył, i te, których nadal mu brakowało. Nie zgłosił jeszcze Kronosowi, że Mac nie żyje, a Sansborough uciekła - ale przecież nie o wszystkim mu meldował. Cała operacja bardzo się skomplikowała. Przed następną rozmową z Kronosem powinien zdobyć jakieś dobre wiadomości, żeby zrównoważyć te złe. Nie chciał stracić pracy.

Zadzwoił telefon. Raz, drugi, trzeci. Duchesne jednak dokończył ćwiczenie, odstawił hantle i podkuśtykał do stolika.

- *Oui?*

Dzwonił Trevale.

- Zgubiliśmy Sansborough! - zameldował po francusku swoim charakterystycznym nosowym głosem.

Panować nad nerwami to sztuka - César Duchesne chciał ją osiąść, ale tego nawet on nie mógł spokojnie znieść. Zaklął paskudnie. Kiedy Sansborough wróciła z Londynu, przydzielił jej trzech opiekunów, uwzględniając warunki dużego miasta; mieli czekać przy Gare du Nord: taksówkarz, kierowca samochodu dostawczego i studentka. Oczywiście pomagał im nadajnik GPS w telefonie Sansborough. Kiedy zgłosił wyjazd ciężarówki z hotelowego garażu, podążyli za nią - dopóki nie zorientowali się, że nie ma jej w środku. Natychmiast wrócili pod hotel i namierzyli ją, kiedy zaczęła śledzić kobietę w średnim wieku.

- Gdzie Guignot ją zgubił? - spytał Duchesne.

- W Belleville.

Tylko nie tam!

- Jak to się stało?

- Renee pilnowała jej w metrze, Guignot przejął ją na stacji Gambetta, bo tam wysiadła. - Trevale westchnął. - Ale Guignot złapał gumę.

- Gumę?! No nie?!

- Nie wszystko da się zaplanować. Wjechał na gwóźdź i było po zawodach.

- Ta kobieta, którą śledziła, kto to?

- Wydaje nam się... Chyba była wczoraj pod hotelem. Mogła siedzieć na ławce - odparł speszony Trevale. - Tam jest taki ruch...

- Obserwowała hotel, a wy jej nie zauważyliście?! - Gorzej już być nie mogło. A jeśli to ta kobieta zabiła Maca? - Czy kiedy Guignot ostatni raz widział Sansborough, dalej szła za tą kobietą?

- Tak. Potem złapał gumę.

- Poślij wszystkich do Belleville - rozkazał Duchesne, przejmując inicjatywę. - Ale niech Guignot się nie wychyla. Ona go rozpozna. Musimy sprawdzić, co tam znalazła. - Chwył płaszcz i czapkę, wydając Trevale'owi dalsze polecenia, podał mu jeszcze adres i rozłączył się. Wybiegając z mieszkania, wybrał inny numer.

- Możecie mieć gości! - warknął po francusku. - I to niebezpiecznych.

- Za późno - usłyszał. - Już tu są.

*

Liz wśliznęła się do magazynu, przeszła ostrożnie po stłuczonym szkłe i skręciła w prawo. Cuchnęło tam pleśnią i benzyną. Tylko dwie sprawne jarzeniówki oświetlały rozległe pomieszczenie na parterze, dlatego znaczna jego część ginęła w mroku. Liz przykucnęła przy wyburzonej ścianie dawnego holu, za którą znajdowała się winda i właściwy magazyn.

Nigdzie żywego ducha. Strzelanina ucichła. Z góry dobiegał szmer kroków na betonowej posadzce. Liz powoli ruszyła przed siebie, tuż pod ścianą. Dostrzegła czarną furgonetkę - stała za ciężarówką, blisko windy. Porywacze Sarah jeździli takim wozem. Magazyn świetnie nadawałby się na kryjówkę dla więźnia - ale tu, na parterze, było to niemożliwe. Pozostawały wyższe piętra.

Za plecami miała otwarte drzwi. Podkraśla się do nich i - tak jak się spodziewała - wyszła na klatkę schodową. Z góry padało słabiutkie światło. Zamknęła drzwi za sobą, niemal po omacku pobiegła w stronę schodów - i potknęła się.

O coś ciężkiego i miękkiego w dotyku. Pochyliła się, czekając, aż jej oczy przywykną do ciemności - i cofnęła się z odrazą. Dotknęła nogi, części ludzkich zwłok. Obok trupa, który miał na twarzy nylonową pończochę, leżało porzucone uzi. Biała koszula była dziurawa i zakrwawiona, podobnie jak nogawka spodni. O ile jednak strzał w pierś padł z przodu, o tyle pocisk w nogę trafił gdzieś z boku. Albo więc ranny zrobił gwałtowny zwrot, albo dostał się w krzyżowy ogień.

Liz dotknęła jego szyi, ale nie wyczuła pulsu. Ściągnęła trupowi maskę i ze zdumieniem rozpoznała mężczyznę, który w szpitalu przedstawił się jej jako Chuck Draper.

Zaklęła pod nosem. Skoro on tu był, może znajdzie także Sarah i Ashera. Powinna się pospieszyć. Wbiegła na schody, gdy na górze znów wybuchła kanonada. Pociski odbijały się rykoszetem od ścian klatki schodowej, odłupując kawałki cegieł. Teraz już wiedziała, jak zginął Draper: dosięgły go dwie przypadkowe kule.

Okręciła się na pięcie, zbiegła na dół i wypadła przez drzwi do głównej hali. Kryjąc się w cieniu, patrzyła, jak dwóch mężczyzn pędzi po rampie obok windy - obaj uzbrojeni w M-16. Mężczyzna i kobieta, którzy podążali za nimi, mieli francuskie famasy kaliber 5,56 mm. Otoczyli windę. W tym samym momencie dwie zamaskowane sylwetki przemknęły za ich plecami i zniknęły w cieniu.

*

Strzelanina trwała. Sarah i Asher zjeżdżali windą. Ich strażnicy na każdym piętrze wyglądali przez drzwi z siatki, trzymając broń w pogotowiu. Kule świszczwały w powietrzu, cienie przebiegały po ścianach, napięcie narastało.

- Może to policja? - spytała Sarah z nadzieją w głosie.

Nikt jej nie odpowiedział; winda nagle się zatrzymała, i to tak gwałtownie, że wszyscy poza Asherem runęli na podłogę. Mężczyzna najbliżej tablicy z przyciskami natychmiast się poderwał i wcisnął „Start”, dwaj pozostali pomogli Sarah wstać.

Winda ani drgnęła. Mężczyzna wcisnął guzik ze znakiem ale na próżno. Wdusił go kciukiem i przytrzymał. Znowu nic. Utknęli między pierwszym i drugim piętrzem. Zaczęli rozpaczliwie rozglądać się po wnętrzu windy, wypatrując to wroga, to drogi ucieczki.

- Albo coś się zepsuło - stwierdziła Sarah - albo nas złapali.

- Uciekaj z tej trumny - rozkazał Asher. - Biegnij po pomoc!

- Musimy im powiedzieć - odezwał się strażnik, który próbował uruchomić windę.

- Stul pysk! - krzyknął drugi.

Ale tamten udał, że go nie słyszy. Odwrócił się do Sarah.

- Nie tak miało być. Goście, którzy nas wynajęli, kazali nam trzymać was pod kluczem, ale nie robić wam krzywdy. Nie mamy zielonego pojęcia, kto nas dopadł, ale nie spodziewam się glin. Więc lepiej trzymajcie się blisko nas, bo jesteśmy waszą jedyną nadzieją. Myślę, że im chodzi o was.

Sarah zakręciło się w głowie. „Nie robić krzywdy”? Jaki porywacz...

Winda szarpnęła i ruszyła w dół. Jeśli to nie policja chciała ich odbić, to kto? Po co komu ona i Asher?

- Trzymajcie się nas - powtórzył mężczyzna szeptem. - A pożyjecie dłużej.

*

Przycupnięta w kącie Liz wstrzymała oddech, kiedy klatka windy pojawiła się w zasięgu jej wzroku. Trzej ludzie w maskach z pończochy przykucnęli, wycelowali uzi przez oka siatki i zaczęli strzelać. W tej samej chwili czteroosobowy komitet powitalny otworzył ogień.

Żołądek zacisnął się Liz ze strachu. W głębi windy stały przewrócone szpitalne nosze - w tej chwili metalowa osłona przed kulami. Biała pościel splątana masą zalegała na podłodze, a znad noszy wychyliła się twarz o ostrych rysach, okolona ciemnymi włosami. Asher! Szczęśliwa jak nigdy w życiu, Liz wpatrywała się w te bystre czarne oczy i zmarszczki na czole. Ułamek sekundy później Asher zniknął. A Sarah?! Też musi tam być.

Jeden z ostrzeliwujących się z windy ludzi runął na bok i z okrzykiem bólu złapał się za zranione udo. Ledwie upadł, następna kula roztrzaskała mu głowę. Następny padł jak długi z przestrzelonym gardłem. Ostatni strzelec nie miał szans: był sam przeciwko czterem. Mimo to, rozplaszczony za ciałem kolegi, strzelał dalej.

Zdesperowana Liz podbiegła do ciężarówki. Zamierzała obezwładnić kierowcę, ukraść wóz i staranować napastników.

Za plecami, na klatce schodowej, słyszała tupot. Obejrzała się przez ramię: biegło za nią dwóch mężczyzn. Jeden z nich strzelił. Nie widziała kuli, która przeszła jej rękę. Siła uderzenia zakręciła ją w miejscu. Strzelec minął ją w pełnym biegu.

- Liz! - rozległ się krzyk Sarah. - Liz! Tam jest Liz, Asher!

Liz zrobiło się niedobrze z bólu. Chciała wstać, podbiec do Sarah... Ktoś wypchał nosze z leżącym na nich Asherem do ciężarówki; Asher był przypięty pasami. Krzyczał. Dwóch ludzi wlokło Sarah, która darła się wniebogłosy, klęła jak szewc i próbowała się wyrwać.

Liz podczołgała się do zwłok Chucka Drapera i zaczęła po omacku szukać broni. Ryknął silnik ciężarówki. Uzi zniknęło; zapewne zgarnął je któryś z tych dwóch, którzy ją postrzelili. Oparła się na zakrwawionej ręce, z trudem wstała i, zataczając się, cofnęła na teren magazynu.

Pociski rozbiły lampy, wszędzie zaległa ciemność. Ciężarówka włączyła światła i z piskiem opon wypadła przez otwartą bramę garażu. Liz krzyknęła rozpaczliwie i resztkami sił przyspieszyła kroku, nie chcąc stracić z oczu tylnych świateł wozu. Potknęła się na chodniku. Tablica rejestracyjna samochodu była brudna i nie dało się odczytać numerów.

Przyspieszyła... Musi dogonić ciężarówkę... Wciąż wierzyła, że może uratować Ashera i Sarah. Powodowały ją wielka złość i paralizujący strach, przy którym nie czuła nawet bólu. Gdyby miała broń, mogliby wziąć napastników czekających pod windą w

krzyżowy ogień. Później musiałyby jeszcze jakoś pozbyć się strażników Sarah i Ashera, ale była pewna, że dałaby sobie radę. Ocaliłaby ich oboje.

Nikogo nie kochała tak jak ich, a teraz... co z nimi? Jakie znaczenie ma jej zdanie o sobie? Teorie idą w odstawkę, kiedy chodzi o ludzkie życie. A ona? Zgubił ją nadmiar pychy; nie wierność utopijnym ideałom, lecz własna próżność. Kiedy straciła wszelką nadzieję i zdała sobie sprawę, że nie ma wyboru, zachowała się jak zwierzę, obszukując trupa, by znaleźć broń.

Zacisnęła usta i z płonąym wzrokiem zawróciła w stronę magazynu. Tam zostało więcej ciał. I więcej pistoletów.

25.

W pustym magazynie było chłodno jak w grobie. Wśliznęła się przez otwarte drzwi do środka. Chodniki opustoszały; co tam strzelanina! Wyjęła z torebki latarkę. Snop światła wyłowił z ciemności trzy ciała w windzie i czwarte na rampie. Obszukała je, ale broni nie znalazła.

Podtrzymując zranioną rękę, wróciła do garażu. W furgonetce, która miała przestrzelone opony, znalazła apteczkę. Usiadła w otwartych drzwiach wozu i łyknęła aspirynę. Dostała gwałtownych drgawek - tak organizm z opóźnieniem reagował na postrzał - które jednak wkrótce ustały. Zdjęła kurtkę i bluzkę, żeby obejrzyć ranę.

Kula przeszła na wylot przez mięsień; rana krwawiła obficie, ale nie była groźna. Przemysła ją i opatrzyła. Schowała do kieszeni fiolkę aspiryny i odczekała, aż ustąpią mdłości. Nożyczkami z apteczki odcięła rękawy bluzki i włożyła ją z powrotem. Na przednim siedzeniu samochodu znalazła lekką męską kurtkę. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności: jej kurtka miała dziurę w rękawie, a ona nie chciała niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

Włożyła kurtkę i jeszcze raz rozejrzała się po opustoszałym magazynie. Ciała leżały na podłodze niczym porzucone zabawki. Przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej ojciec: „Przeciwnicy boją się ciebie nie mniej niż ty ich, ale zwykle wydaje im się, że są od ciebie lepsi i sprytniejsi. A to błąd”. Znał ludzką naturę i umiał tę wiedzę wykorzystać. Ale po co prowadził kartotekę? Różne rzeczy można by o nim powiedzieć, ale z pewnością nie był głupi. Czyżby kierowała nim pycha? A może chore pragnienie wspomnienia krwawych zleceń? Nigdy nie dał tego po sobie poznać.

A może zdecydowało zamięłowanie do porządku i wierność procedurom? Ojciec zawsze układał szczegółowe plany, w których uwzględniał wszelkie drobiazgi. Może był gotów poddać się osądowi historii, a dzięki kartotece mógł dowieść, kto dopuszczał się zbrodni, przynajmniej w sensie moralnym? A może to tylko ona, jego córka, wierzyła w takie ideały? Powód był nieistotny, liczyły się konsekwencje: dopóki żył, niósł śmierć - i teraz, chociaż już nie żył, ludzie znów zaczęli się przez niego zabijać.

Wzdrygnęła się na tę myśl. Policja wcześniej czy później usłyszy o nocnej strzelaninie. Kiedy zjawią się w magazynie, nie powinni jej tu znaleźć. Spocona jak mysz przeszukała dokładnie wnętrze pojazdu; miała nadzieję, że znajdzie broń, zapomniany telefon komórkowy albo inną wskazówkę, która pozwoli jej odgadnąć tożsamość szantażysty. Znalazła jednak tylko resztki jedzenia, papierosy i opakowanie cukierków. Nigdzie nie było dowodu rejestracyjnego ani innych dokumentów.

Aspiryna zaczynała działać. Nadal czuła się paskudnie, ale ból już jej tak bardzo nie dokuczał.

Wysiadła i obszukała zwłoki. Zabici mieli przy sobie dokumenty, lecz sądząc po tym, że wszystkie wyglądały, jakby dzień wcześniej wyszły z drukarni, najprawdopodobniej były fałszywe. Żaden nie miał ukrytej broni, pieniędzy ani telefonu. Wbiegła na rampę. Może na górze będzie miała więcej szczęścia.

Kątem oka dostrzegła ruch pod przeciwległą ścianą - tam, gdzie wcześniej przemknęły dwie ciemne sylwetki. Natychmiast zgasła latarkę. Słaba poświata z zewnątrz wystarczająco rozjaśniała parter. Jakiś człowiek wybiegł z budynku bocznym wyjściem, lekko powłócząc prawą nogą. Liz przypomniała sobie, że z tamtej strony jest przy magazynie wąska uliczka; drzwi prawdopodobnie wychodziły właśnie na nią. Kulejący człowiek miał na głowie czapkę i chyba był bez broni. Nie było słychać, żeby zamknął za sobą drzwi.

Liz zrobiło się zimno. Ruszyła więc po schodach na górę. Włączyła latarkę. Sprawdziła po kolei wszystkie piętra. Na najwyższym natknęła się na jeszcze dwa ciała. Przy nich też nie znalazła ani broni, ani telefonów. Ale już wiedziała, że Sarah i Ashera pilnowało sześciu ludzi, a dziewięciu przyjechało ich odbić.

Podniosła głowę i zaczęła nadśluchiwać: z oddali dobiegł jazgot syren. Szybko zbiegła na dół, przytrzymując obolałą rękę; i tak miała szczęście, bo spodziewała się szybszej reakcji policji. Z drugiej strony, znajdowała się w tak podejrzanej okolicy, że albo wieści wolniej się tu rozchodziły, albo policjanci nie spieszyli się z interwencją.

Widząc ruch na parterze, wyłączyła latarkę jeszcze na schodach. Ktoś bezszelestnie wszedł przez otwartą bramę garażową. Policjant? Czy któryś z napastników? Może ten kaleka?

Z bijącym sercem przykucnęła i patrzyła, jak dwudziestoparoletni mężczyzna przywiera do ściany i nieruchomieje. Czekał, aż wzrok przywyknie mu do ciemności. Liz nie miała tego problemu. Widziała, że jest biały, a jego twarz szpeci paskudna blizna od ucha po gardło.

Czekała cierpliwie. Syreny wyły coraz bliżej, a ona wciąż miała mętlik w głowie. Uczucie bezradności oszałamiało ją i śmiertelnie przerażało.

Intruz przekrzywił głowę, nasłuchując. Zagwizdał. W jego ręce błysnął nóż. Trzech następnych przemknęło do środka i rozbiegło się po budynku, sprawnie, jakby robili to już setki razy. Przyszli okraść zwłoki. Nie szukali Liz, ale gdyby ją znaleźli, ze strachu i chciwości rozerwaliby ją na kawałki.

Wykorzystując zamieszanie, zaczęła przemykać do bocznych drzwi. Była w połowie drogi, kiedy potknęła się o jakiś drobny przedmiot, który ze stukotem potoczył się w ciemność. Zamarła. Krew tętniła jej ogłuszająco w uszach.

Złodzieje jak na komendę podnieśli głowy. Włosy na karku stanęły jej dęba. Zaczęła biec do wyjścia.

Rzucili się za nią jak wataha wilków. Liz potknęła się jeszcze kilka razy, zanim dopadła drzwi. Nie mogła wcześniej usłyszeć, jak się zamykają, bo nadal były uchylone.

Wypadła na dwór. Po obu stronach w alejce stały pojemniki i piętrzyły się sterty śmieci. Pięć kroków od drzwi, na drodze do najbliższej przecznicy, na bruku leżała ciemnozielona kurtka. Ktoś ją zgubił. Może w kieszeni znajdzie się jakaś broń. Albo chociaż telefon.

Pędziła, jakby goniły ją wszystkie sfory piekieł; w biegu schyliła się tylko po kurtkę, słysząc za plecami najgorsze francuskie przekleństwa. Przycisnęła kurtkę do piersi i wyczuła pod palcami jakiś mały, kanciasty kształt. Włożyła rękę do kieszeni. Telefon! I coś jeszcze: zwitek papieru. Wepchnęła go z powrotem.

Powietrze było przesycone wilgocią. Spocona Liz przemknęła między stojącą przy krawężniku taksówką a starym audi i biegła dalej, mijając otwarte bary i grupki ludzi na chodniku, którzy pili, palili i gapili się na nią. Tuliła do siebie kurtkę, jakby od tego zależało jej życie, i ścisnęła komórkę jak broń. Otworzyły się drzwi nocnego klubu, ze środka ryknął ogłuszający heavy metal. Liz, nie zwalniając, oddalała się od złodziei i coraz głośniejszych syren. Niebo było czarne, odległe, niedosiężne.

*

Kiedy César Duchesne, kulejąc, wynurzył się z zaułka, Liz Sansborough była już daleko. Na miejscu zjawiała się policja; w każdej chwili mogli go znaleźć. Nie zdążył zdjąć tłumika z lufy walthera, nie miał też czasu szukać Sansborough. Wskoczył do swojej taksówki i ruszył ostro. Teraz już nie miał wyboru. Musiał o wszystkim opowiedzieć Kronosowi.

Bruksela

Kronos wyszedł z Old Hacka, ulubionej knajpy angielskich dziennikarzy, i skręcił w jasno oświetlony boulevard Charlemagne. Mimo późnej pory wracał do biura. Splótł ręce za plecami, szedł z dumnie uniesioną głową i rozważał wiadomość o morderstwie Hyperiona. Zły i zaniepokojony kręcił z niedowierzaniem głową. Tyle się wydarzyło przez ostatnich kilka dni. To było niepojęte. I oburzające.

Nie oglądając się na boki, mijał bary, sklepy i kawiarnie, w których urzędnicy, politycy, dyplomaci i lobbyści z Komisji Europejskiej, Rady Europy, NATO i innych belgijskich i międzynarodowych instytucji w dzielnicy króla Leopolda spotykali się na obiadach i kolacjach. To był jego świat - i Kronos, w jednym ze swoich ulubionych garniturów z Savile Row i klubowym krawacie, idealnie nadawał się na jego obywatela. Wrócił pamięcią do popołudnia, kiedy to usłyszał w radiu o śmierci Hyperiona. W pierwszej chwili był wstrząśnięty, ale szybko zdał sobie sprawę, że to absurdałna reakcja. Absurdałna i naiwna.

Hyperiona zaszantażowano, a następnie zabito. Szantażysta kolejny raz uderzył. I tyle.

Próbował zapomnieć o morderstwie, nie myśleć o nim. Dopóki nie znajdą szantażysty, nic nie mogą zrobić. Od początku było oczywiste, że kartoteka Drapieznika daje komuś ogromną władzę, której ten ktoś nie potrafi sensownie wykorzystać.

Idąc, wsłuchiwał się w mieszaninę języków, która sprawiała, że określenie „kosmopolityczna” było w odniesieniu do Brukseli eufemizmem. Lubił to miasto. Lubił czuć pulsującą w nim energię. Ze względu na położenie w centrum kontynentu i fakt, że wiele organizacji międzynarodowych miało tu swoją siedzibę, Bruksela uważała się za stolicę Unii Europejskiej. Zdaniem Kronosa były to - w najlepszym razie - pobożne życzenia. Daleko jej było do Londynu, Waszyngtonu, nawet do Moskwy, gdzie mieściły się urzędy federalne naprawdę dużych państw. Upłynie wiele lat, zanim belgijska stolica połączy w sobie taką władzę.

I to mu się podobało. Integracja Europy musiała postępować powoli, ostrożnie, krok po kroku, jeśli miała być trwała. Wolne tempo dawało też Wielkiej Brytanii szansę zajęcia najdogodniejszej pozycji przed ostatecznym zjednoczeniem. Kronos niechętnie przyznawał się do swoich brytyjskich sympatii - jako unijny komisarz przysiągł przecież przedkładać interesy UE ponad interesy tworzących ją krajów - ale bywały chwile, w których podejmował stronnice decyzje. Jak to się mówi: bliższa koszula ciału.

Takie rozmyślania trochę go uspokoiły. Skręcił w szeroką rue de la Loi, przy której nowoczesne gmachy urzędów europejskich wznosiły się nad zatłoczoną jezdnią. Wszedł do siedziby komisji.

- Dobry wieczór, sir Anthony. - Siedzący za biurkiem w recepcji Jacobus ukłonił się z szacunkiem. Miał świetną pamięć i drobną, szczurzą twarz.

Kronos - szanowany, można by nawet powiedzieć sławny polityk - naprawdę nazywał się Anthony Brookshire i był najwyższym rangą brytyjskim delegatem w Komisji Europejskiej. W przeszłości zajmował stanowisko ministra finansów. Odziedziczył rodowy tytuł i majątek, ale pozycję i wpływy wypracował sobie sam, przez dziesiątki lat wiernie służąc Koronie.

Odpowiedział skinieniem głowy.

- Ciepły wieczór dziś mamy, nieprawdaż, Jacobusie?

Słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie faktu niż pytanie.

W budynku panował przeraźliwy ziąb - to podkreślona do maksimum klimatyzacja pluła lodowatym powietrzem. Wieczorem pracowało tu niewielu ludzi; jak na prawdziwych biurokratów przystało, urzędnicy komisji nie lubili przesiadywać po godzinach.

Sir Anthony wjechał windą na piętro, na którym mieściło się jego biuro. Wrócił pamięcią do przerwanej rozmowy w Old Hacku, gdzie spotkał się z dziennikarką „Sunday Timesa” i przy kolacji udzielił jej wywiadu. Najbardziej spodobało mu się takie pytanie:

- Czy uważa pan za realistyczne założenie, że przed końcem bieżącej dekady Unia Europejska będzie miała najbardziej konkurencyjną gospodarkę na świecie?

Uśmiechnął się wtedy.

- W latach osiemdziesiątych Japonia była nie do pobicia. W latach dziewięćdziesiątych to Stany Zjednoczone ustanawiały światowe standardy gospodarcze. Teraz przyszedł czas na Europę. - Dobrze się czuł, nie musząc myśleć o Hyperionie.

Pokręcił głową, wszedł do biura i stanął przy oknie wychodzącym na Grand-Place. Rozciągał się z niego widok na najlepiej zachowaną średniowieczną dzielnicę w Europie.

Latarnie i cienie nadawały panoramie wyrazistą fakturę, światłocien przypominał niektóre obrazy Rembrandta. W krajobrazie dominowała królewska wieża Ratusza.

Usiadł w fotelu i włożył okulary do czytania. Miał sześćdziesiąt dwa lata, od prawie czterdziestu był mężem tej samej kobiety, z którą dochowali się dwojga - teraz już dorosłych - dzieci. Był człowiekiem stanowczym i hołdującym wysokim standardom moralnym, o czym ostatnio coraz częściej musiał sam sobie przypominać.

Przejrzał wiadomości. Dopiero po południu wrócił z Paryża, więc zebrał się ich spory stosik. Słyszac dzwonek telefonu, zerknął kątem oka na aparat stojący na biurku - ale to nie ten dzwonił. Wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Kronos, słucham.

- Tu Duchesne - odezwał się męski głos z amerykańskim akcentem. Jak zwykle emanował pewnością siebie. - Mamy problem.

- Co się stało?

- Mac nie żyje - odparł bez zbędnych wstępów Duchesne. - Został zamordowany.

- Jak to? - Sir Anthony wyprostował się w fotelu. - Kiedy?

- Znalaziono go w pokoju hotelowym Sansborough w Paryżu. Miał wbity strzykawkę w szyję.

- No nie! Znowu *rauwolfia serpentina*?

- Pasowałyby.

Rano przyszły wyniki z laboratorium, które zbadało zawartość strzykawki zabranej przez Maca mężczyźnie pod szpitalem. *Rauwolfia serpentina*, której istnienie trzymano w Stanach w ścisłej tajemnicy, była substancją spokrewnioną z pospolitymi środkami uspokajającymi. Działała po wstrzyknięciu, wchłonięciu z wdychanym powietrzem lub przez kontakt ze skórą. Paraliżowała centralny układ nerwowy, zabijała w kilka sekund i była praktycznie niewykrywalna. Sir Anthony podejrzewał, że w podobny sposób zabito Greya Mellencampa.

- Policja dostała anonimowy cynk - ciągnął Duchesne. - Problem polega teraz na tym, że o ile w przypadku Floresa kontrolowaliśmy sytuację, o tyle teraz jesteśmy bezradni. Chyba że zgodzisz się pociągnąć za odpowiednie sznurki.

- Dobrze wiesz, że nikt nie może mnie skojarzyć z tą sprawą!

- Wiedziałem, że tak powiesz. Nikt nie musi znać prawdziwej tożsamości Maca. Przygotowaliśmy mu bezpieczną przykrywkę: paszport, karty kredytowe, prawo jazdy wydane w New Jersey. Właśnie załatwiam mu wdowę, która zgłosi się po ciało i wyjaśni, że mąż był hazardzistą i pozaciągał długi. Kiedy paryska policja dowie się, że to wewnętrzne

porachunki bandziorów, nikt nie będzie się doszukiwał innych przyczyn śmierci. Zresztą i tak nikt by go nie powiązał ze Spirala. Spłacimy prawdziwą rodzinę Maca.

- Kto to zrobił? - Sir Anthony zatrząsł się ze złości.

- Prawdopodobnie ta sama kobieta, która obserwowwała hotel.

- Śledziła Sansborough? Trzeba ją było usunąć!

- Zgadzam się. Udzieliłem zespołowi nagany, ale wolałbym nikogo nie zwalniać. Nie pora na takie ruchy. Potrzebna nam każda para rąk i oczu.

Sir Anthony milczał, chociaż wszystko się w nim gotowało. Jak to możliwe, żeby taka prosta, wydawałoby się, robota poszła tak fatalnie? Nie znał Maca osobiście, chociaż Mac od lat był jego wiernym pracownikiem. Cóż, dziekan Quentin i Kirk Tedesco również byli wiernymi pracownikami, a teraz także nie żyli - ponieważ Sansborough dowiedziała się, że składali raporty na jej temat Temidzie. Gdyby ktoś się postarał, mógł przez nich trafić do Temidy, a to zagroziłoby Spirali.

Likwidacja Quentina i Tedesco - choć konieczna - wstrząsnęła sir Anthonym. Nie po to wziął na siebie rolę Kronosa, żeby zatwierdzać morderstwa. Ale też sytuacja była wyjątkowa. Na przestrzeni dziejów królowie i prezydenci przyjmowali to brzemie na swe barki i wywiązywali się z obowiązku. Nie mógł być od nich gorszy.

- To jeszcze nie koniec - ciągnął Duchesne. - Sansborough wyrzuciła komórkę. Znaleźliśmy ją na bazarze, w wiadrze z rybami. W środku był mikrofon i nadajnik GPS, ale ktoś je już ruszał. Domyślam się, że znalazła je i pozbyła się telefonu, dając nam w ten sposób do zrozumienia, że wie, co robimy. Przynajmniej w kwestii kartoteki Drapieznika.

Sir Anthony'ego nie interesowały motywy Sansborough.

- Mam nadzieję, że jej nie zgubiliście, psiakrew!

- Oczywiście, że nie. Jest w Belleville - odparł Duchesne i, nie czekając na kolejny wybuch szefa, mówił dalej: - Kobieta, którą śledziła, przeprowadziła atak na naszych ludzi w magazynie. Zabrała z niego Sarah Walker i Ashera Floresa. Sansborough została lekko ranna. Znalazłem świadków, więc wiem, co się tam wydarzyło. Z naszego punktu widzenia to jeszcze nie tragedia. Grunt, że Sansborough żyje. Udało się jej uciec.

Spokojnym, monotonnym tonem Duchesne złożył szczegółową relację. Cieszył się, że tym razem jego pomysł wypalił: Sansborough znalazła uchylone drzwi, wymknęła się przez nie i podniosła kurtkę. Nie spodziewał się jednak, że kiedy on sam wynurzy się z kryjówki, rzuci się na niego czterech młodych zbirów. Chcąc nie chcąc, musiał ich sprzątnąć. Coraz częściej zdarzało się, że biedota bardziej bała się życia niż śmierci.

Sir Anthony zdjął okulary i rozmasował nos. Miał wypieki, zaczynała mu dokuczać niestrawność.

- Jesteś tam teraz? - warknął.

- W Belleville? Naturalnie. Policja okrążyła magazyn, a ja jeżdżę po ulicach i szukam Sansborough. Moi ludzie też się za nią rozglądają. - Duchesne nagle pożałował, że w telefonie, który zostawił w kurtce, nie umieścił nadajnika. Był to przecież jego własny telefon. I jego własna kurtka. Ale nie miał czasu, musiał improwizować. - Znajdziemy ją.

- Mam nadzieję! Jeżeli znajdzie kartotekę, kiedy nie będziemy jej mieli na oku, może ją zatrzymać albo ukryć, a my o niczym się nie dowiemy! Co zamierzasz zrobić, żeby do tego nie doszło, Duchesne?

- Odpowiedź brzmi: wykorzystać Simona Childsa - odparł z uśmiechem Duchesne. - Jak pan zapewne pamięta, współpracowali już w Londynie. Wymienili się numerami telefonów, żeby nie tracić kontaktu w Paryżu. Sansborough trafiła do paskudnej dzielnicy, jest ranna, potrzebuje pomocy. A Childs nie dość, że został odpowiednio przeszkolony, to jeszcze jest jej kuzynem. Na pewno do niego zadzwoni. Nie ma wyboru. Childs wypożyczył samochód na Gare du Nord, peugeota. Znajdziemy ją, śledząc ten wóz. Mam zresztą jeszcze inny pomysł.

- Jaki?

- Kiedy znalazła zabitego Maca, zadzwoniła po pomoc do swojej furtki. To też można wykorzystać.

Sir Anthony słuchał kolejnych sugestii szefa ochrony, kiwał głową i łapał się na tym, że już zaczyna wybaczać Duchesne'owi. Ten człowiek potrafił doprowadzić go do białej gorączki, ale był prawdziwym geniuszem. W dodatku miał chyba własne powody, żeby przejmować się tą sprawą. Osobiste powody. Sir Anthony podejrzewał, że Duchesne spotkał się kiedyś z Drapieżnikiem. Może w kartotece znajdowało się również jego nazwisko - albo nazwisko kogoś, na kim mu zależało. Kilka razy go o to wypytywał, ale niczego się nie dowiedział.

- Dobrze, Duchesne. Masz całkowitą rację. Skoro raz zadzwoniła do furtki, zrobi to ponownie. Możemy skorzystać z usług MI-6.

- Znajdziemy ją. Będziemy ją chronić, a ona zaprowadzi nas do kartoteki. Bo kartotekę trzeba koniecznie znaleźć. Nasz plan jest doskonały. Niezawodny.

- Twój plan, Duchesne, i powinniśmy się go dalej trzymać.

26.

Paryż

W zakładzie fotograficznym przy Place des Vosges Simon przeciągnął się na krześle. Plecy go bolały od garbienia się nad zdjęciami dokumentów de Darmonda.

Czytał je, łączył, rozdzielał, próbował znaleźć związek między prośbami o pożyczki i morderstwem barona. Zadarł głowę i pokręcił nią na boki.

Wystarczyło, że na chwilę oderwał się od pracy, a od razu zaczynał myśleć o Sarah. Martwił się o nią ale otrząsał się z tych myśli. Musiał się skoncentrować.

Siedem międzynarodowych koncernów zwróciło się do Darmond Bank AG z prośbą o pożyczkę. To były prawdziwe imperia biznesowe, giganty prowadzące interesy na całym świecie: Temple Eire Group, Eisner-Moulton, KonDra Poland, Gilmartin Enterprises, InterDirections Britain, FabriMaire Systems, Trochus Pharmaceuticals.

Temple Eire zajmował się produkcją i dystrybucją oprogramowania; Eisner-Moulton produkował samochody osobowe i ciężarowe; KonDra Poland był gigantem branży spedycyjnej; Gilmartin specjalizował się w inżynierii i pracował dla wojska; InterDirections był koncernem medialnym; FabriMaire specjalizował się w AGD i masowo sprzedawanych produktach spożywczych; Trochus Pharmaceuticals opracowywał receptury i produkował lekarstwa.

Morderca barona albo reprezentował w negocjacjach któryś z koncernów, albo grał o tak wysoką stawkę, że odważył się pójść prosto do właściciela banku i go zaszantażować. Jedną rękę wyciągał po pieniądze, drugą groził baronowi.

Simon wynotował nazwiska ludzi podpisanych na wnioskach kredytowych, a także wszystkich wysokich urzędników, na których natrafił w papierach. Oprócz oficjalnych dokumentów znalazł także trzy prywatne listy z prośbami o pożyczki. Dopisał te trzy nazwiska do listy.

To był ten aspekt pracy szpiega, o którym przeciętny człowiek nie ma pojęcia: żmudne przesiewanie danych; przewracanie kartek, katalogowanie nazwisk, ważenie faktów...

Zadzwoił telefon. Simon zerknął na niego podejrzliwie. Nie chciał robić sobie nadziei. Czyżby Sarah? Nareszcie?!

Odebrał.

- Słucham?

- Gdzieś ty się chował?

Tak, to była Sarah. Rozpoznał ten melodyjny głos, chociaż dyszała, jakby gdzieś biegła. Poczł ogromną ulgę. Odkąd rozstali się na Gare du Nord, minęło prawie dziesięć godzin. Miał ochotę na nią nawrzeszczeć, ale się powstrzymał.

- Bardzo zabawne - mruknął. - Jasny gwint, Sarah, aleś mnie nastraszyła. Chwała Bogu, że dzwonisz. Nic ci nie jest?

Obolała i wyczerpana Liz mimo wszystko się uśmiechnęła.

- Miło cię znów usłyszeć.

Właściwie to była zdziwiona, że ta rozmowa sprawia jej aż taką przyjemność. Stała przy ścianie kamienicy w bocznej uliczce, pięć przecznic od magazynu Eisner-Moultona. Z głównej ulicy dobiegał regularny pomruk samochodów, gdzieś daleko było słycać dudnienie rockowej muzyki.

- Będziesz mi musiała odpowiedzieć na parę pytań. Co to za trup, którego policja znalazła u ciebie w pokoju? Kto odebrał telefon, kiedy do ciebie zadzwoniłem? O co ci chodziło z tym ostrzeżeniem, które mi nagrałaś? Chyba najwyższy czas, żebyś mi wyjaśniła parę rzeczy.

- Chyba masz rację. Ten zamordowany nazywał się Mac. Pracowaliśmy razem. Kiedy znalazłam zwłoki, zorientowałam się, że wróg jest blisko. Nie mogłam zrozumieć, jak mnie namierzają, dopóki nie rozebrałam komórki. Miała wbudowany podsłuch i nadajnik.

- Jedno i drugie naraz?!

- Tak. Paskudna sprawa, co? Wyrzuciłam telefon, a potem tyle się działo, że nie miałam czasu zadzwonić. Przykro mi, jeżeli się o mnie martwiłeś.

Simon zignorował przeprosiny.

- Ten martwy facet był z CIA?

- I tak, i nie.

- Jak to? - Nie zamierzał słycać kolejnych wykrętów. - Co to niby ma znaczyć?

- Później ci wyjaśnię. To skomplikowane.

- Zauważyłem, ale mam anielską cierpliwość. Poczekam, a ty mów. Myślisz, że to szantażysta zainstalował podsłuch w telefonie?

- Nie. Ktoś inny.

- Kto?

- Mówiłam ci, że to skomplikowane. Musimy się spotkać i pogadać.

- A to dobre... Co to za facet odebrał telefon, kiedy do ciebie dzwoniłem? Jakiś Amerykanin.

- Ktoś z tych, którzy zainstalowali podsłuch. Spodziewałam się, że namierzą komórkę po tym, jak ją wyrzuciłam. Najwyraźniej im się udało.

- Są z CIA i nie są z CIA, tak?

- Właśnie. Mam nadzieję, że dowiedziałeś się czegoś o kartotece albo o szantażyście. Chętnie usłyszałabym jakieś dobre wieści.

- Cóż, wizyta w Chantilly przyniosła mi ciekawe doświadczenia. Bardzo użyteczne. Właśnie nad nimi pracuję. To też dobry temat do rozmowy. Gdzie jesteś?

- Schowałam się w ciemnej uliczce w Belleville. Jest wąziutka, samochód tędy nie przejedzie. Nie zechciałbyś po mnie przyjechać?

- W porządku, przeprosiłaś, więc nie będę się dłużej czepiał. Powiedz mi, gdzie dokładnie jesteś. - Słuchając Sarah, Simon robił notatki. Wyglądało na to, że wylądowała w bardzo nieprzyjemnej okolicy. - Masz broń?

- Mam telefon.

- No to super. Czekaj na mnie. Jestem w Marais. Nie wiem, czy są korki, ale dojazd zajmie mi pewnie z pół godziny. Nigdzie się nie ruszaj.

- Nie zamierzam.

Simon uśmiechnął się - pierwszy raz od kilku godzin - i rozłączył. Zgarnął zdjęcia i kartki. Wziął jedną z leżących na stosie nowiutkich teczek na zdjęcia, wrzucił do niej notatki, złożył duże powiększenia na pół, dołączył do mniejszych odbitek i też upchnął je w teczkę. Pisał właśnie króciutki list z podziękowaniami dla Jackie, gdy zadzwieczał dzwonek przy drzwiach. Odkąd siedział na zapleczu, przez zakład przewinęło się kilkunastu klientów, ale ostatni wyszedł przed ponad godziną.

- Przepraszam, monsieur. - Jackie podniosła głos, żeby Simon dobrze ją słyszał. - Już zamykam.

Wyszedł cicho na korytarz.

- Jeździ peugeotem. - Mężczyzna fatalnie mówił po francusku. - Ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, może ciut więcej. Szatyn, włosy dość długie, lekko pofalowane. Niebieskie oczy i nos jak u boksera, po starym złamaniu.

- Oj, jakie to tajemnicze! Zna pan nazwisko? Może bym coś skojarzyła...

- Nie, nie wiem, jak się nazywa. Przypadkiem stuknąłem jego samochód, a zanim zdążyłem zaparkować, gdzieś zniknął. Nie chciałem zostawiać kartki, bo mam nadzieję, że uda nam się załatwić sprawę dyskretnie, po cichu, pani rozumie...

- Naturalnie - odparła Jacqueline współczująco, tonem osoby, która za chwilę odmówi potrzebującemu pomocy. - Naprawdę chciałabym panu pomóc, ale nie widziałam go. Jest pan pewien, że tędy przechodził?

Simon przekradł się korytarzem i wyjrzał przez uchylone drzwi. Serce na chwilę przestało mu bić. To był morderca Terrilla, ten sam człowiek, którego później widział w parku w posiadłości barona de Darmond, i w tym samym garniturze. Barczysty, pociągła twarz, pozbawione wyrazu szare oczy, włosy średnio długie. Mimo cywilizowanej powierzchowności roztaczał złowrogą aurę, jakby siłę, którą emanował, zdobył kosztem niewinnych ludzi.

Jackie użyła całego swojego uroku osobistego i stało się jasne, że za chwilę pozbędzie się intruza; nie na darmo przepracowała tyle lat w wywiadzie. Simon wrócił na zaplecze, zostawił na stole garść euro na pokrycie kosztów odbitek i odczynników i wymknął się tylnym wyjściem. Nie mógł się już doczekać, kiedy dotrze do Belleville i znajdzie Sarah.

*

Gino Malko był z natury ostrożny i pedantyczny, co przejawiało się nie tylko w starannym doborze elementów ubrania, lecz także w metodycznym podejściu do pracy. Dzięki precyzyjnym nadajnikom zainstalowanym pod nadwoziem peugeota wiedział, że kierowca już drugi raz tego dnia był w Marais. Ten fakt, bardzo interesujący, dało się wykorzystać. Na komputerowej mapie wykreślił dwa czterystumetrowe koła wokół miejsc zaparkowania peugeota. Statystycznie rzecz biorąc, cel kierowcy powinien znajdować się w obszarze nakładania się kręgów.

O tej porze większość sklepów i zakładów była już zamknięta, ale Malko uparcie szedł od drzwi do drzwi i przy każdym powtarzał swoje kłamstwa. Po fotografii zaszedł obok, do zakładu fryzjerskiego, który też właśnie zamykał się na noc. Kiedy fryzjer rozpoznał kierowcę peugeota na zdjęciu, Malko poczuł dreszcz podniecenia. Sukcesu nie zawdzięczał ślepemu trafowi. Nie wierzył w fart - wierzył natomiast w metodyczną pracę i upór, który wielokrotnie pozwolił mu pokonać konkurencją.

- *Certainement.* - Fryzjer przygładził biały fartuch. - Widziałem go, dwie, góra trzy godziny temu. Wszedł do zakładu madame Pahnke. Zna pan madame Pahnke? O, widzą, że tak. Wspaniała kobieta, to przyjemność mieć ją za sąsiadkę. Ale na pewno już wyszedł. Kto by godzinami przesiadywał u fotografa? Chyba tylko właściciel. W małych firmach już tak jest: klienci przychodzą i wychodzą, pojawiają się i znikają.

Malko się zawahał. Ta kobieta, madame Pahnke, kłamała całkiem przekonująco. Chroniła kierowcę peugeota. Dlaczego?

- To doskonała lokalizacja dla takich małych zakładów. Od dawna pan tu pracuje?

- *Oui*. Ojciec otworzył zakład w tym samym lokalu w 1959 roku. Był wtedy młody, a Francją rządził wielki de Gaulle. To były czasy...

Malko pokiwał głową.

- A madame Pahnke? Od dawna ma ten zakład?

- *Non, non*, to nowy nabytek. Jest z nami od pięciu lat.

- I co, pasuje tutaj? To znaczy, na pierwszy rzut oka z całą pewnością tak, ale coś mnie w niej...

Malko przerwał, czekając, aż fryzjer chwyci przynętę. Mało kto umiał się w takiej sytuacji powstrzymać od komentarza.

Fryzjer przysunął się i odparł konspiracyjnym szeptem:

- Dziwni ludzie do niej przychodzą. Czasem przez całą noc. Intrygujące, prawda?

- Jest dyskretna i nie lubi o sobie opowiadać?

- O tak, trafił pan w sedno. Jest bardzo skryta.

Malko podziękował mu i odszedł. Latarnie stożkowatymi snopami światła rozjaśniały chodnik, opony samochodów szemrały cicho na bruku. Fryzjer miał rację: madame Pahnke i jej tajemniczy gość byli intrygujący. Nocne odwiedziny mogły oznaczać handel narkotykami, paserstwo... albo kontakty z wywiadem. Jeśli nie działała w przestępczym półświatku, mogła być szpiegiem. A ten z peugeota pasował do obu tych hipotez.

Witryna zakładu fotograficznego była już ciemna; madame Pahnke zaciągnęła żaluzje. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem Zamknięte. Malko rozejrzał się, osłonił dłońmi oczy i zajrzał do środka przez szparę z boku żaluzji. Nic się tam nie poruszało, nie drgnął żaden cień. Odszedł kilka domów dalej, czekając, aż miną go przechodnie. Wyjął z kieszeni komplet wytrychów.

Wrócił pod zakład i stanął jak najbliżej drzwi, żeby nie było widać, co robi. Francuzi instalują bardziej skomplikowane zamki niż sprzedawcy w innych krajach, ale szybko sobie z nimi poradził. Bezszelestnie wśliznął się do środka, lecz jego najlepszą osłoną był ciemny garnitur: kto by podejrzewał eleganckiego mężczyznę o próbę włamania?

Włączył silną latarkę w breloczku do kluczy i przeszukał szuflady kontuaru. Jedynym ciekawym znaleziskiem okazał się mały pistolecik, kaliber .22, ale też nic dziwnego, że tam był. Właściciele małych sklepików i zakładów obawiali się napadów i często trzymali pod ręką broń. Odłożył pistolet na miejsce. Przyświecając sobie latarką, wszedł w wąski korytarz. Zajrzał do magazynku, łazienki i ciemni. W nich również nie znalazł nic ciekawego.

W pracowni na samym końcu omiół snopem światła pusty stół i lady zastawione odczynnikami, obejrzał wiszące na żyłkach odbitki, a potem zainteresował się pełnym koszem na śmieci. Wysypał jego zawartość na stół: niepotrzebne odbitki, chusteczki higieniczne, metki, ulotki reklamowe przysłane pocztą, pusty długopis. Dopiero kiedy dogrzebał się do dna stosu - czyli do warstwy najświeższych śmieci - znieruchomiał.

Wybrał trzy słabe odbitki - jedna była zbyt ciemna, dwie pozostałe prześwietlone, ale nadal czytelne. Jedno z jasnych zdjęć przedstawiało ścianę obwieszoną oprawionymi w ramki fotografiami. Najciekawsza z nich znajdowała się w prawym górnym rogu: przedstawiała pracodawcę Malka w towarzystwie barona de Darmond. Z tym większą podejrzliwością obejrzał dwie pozostałe. Takich zdjęć jeszcze nie widział: były na nich fragmenty raportów finansowych. Rozpoznał nazwę firmy - na szczęście nie była to firma szefa, lecz jego klienta. Cennego klienta.

Wrócił do pierwszej odbitki i przyjrzał się zdjęciom na ścianie. Zaklął pod nosem. Na każdym z nich był baron de Darmond. To mu dało do myślenia. Czyżby fotografia pochodziła z château barona? A skoro kierowca peugeota był jej autorem, co jeszcze widział? Co zarejestrował?

Spokojnie schował trzy odbitki do kieszeni, wrzucił śmieci z powrotem do kosza i odstawił go na miejsce. Jeszcze raz sprawdził, czy nie zostawił niepotrzebnych śladów, wyszedł z zakładu i wtopił się w noc. Musiał zadzwonić, i to pilnie.

27.

Widziany z góry nocny Paryż rozciągał się od horyzontu po horyzont. Sir Anthony Brookshire podziwiał tę panoramę z okna prywatnego odrzutowca, który, zniżając lot, kierował się właśnie na lotnisko de Gaulle'a. Przypomniały mu się lata pięćdziesiąte, kiedy jako nastolatek towarzyszył matce i ciotce, które udawały się do Paryża po zakupy, aby zachłysnąć się kulturą i, jak mówiły, „poczuć smak prawdziwego życia”. Jechali pociągiem z Victoria Station do Newhaven, tam wsiadali na prom do Dieppe, a w Paryżu zatrzymywali się w Ritzu albo Bristolu.

Na kolację często szli do Crillona, gdzie w eleganckim barze dyplomaci z pobliskiej enklawy dyplomatycznej handlowali krajami Trzeciego Świata. Wieczór kończył się drinkiem w jakimś bistro albo w prywatnym domu, gdzie sprawy państwa zawsze przedkładano nad

sercowe. Pływał w Piscine Deligny, smakował piwo Kronenbourg w piwnicy jazzowej w Saint-Germain, gdzie starsi chłopcy bezczelnie wykorzystywali jego hojne kieszonkowe, a o świcie chodził samotnie po Place de Clichy. Paryż nigdy nie spał: o tej porze zamiatacze sprzątały ulice, a ludzie zaczynali schodzić się do kafejek na poranną kawę.

Wszystko się jednak zmieniło, zanim skończył dwadzieścia lat. Rodzice się rozeszli, ciotka zapłała się na śmierć - wątroba nie wytrzymała - a Anthony miał przed sobą dyplom Cambridge i „świetlaną przyszłość”. Brakowało mu już czasu na wieczorny basen i wsłuchiwanie się w romantyczny zew jazzu z drugiej strony kanału. Nie był człowiekiem przesadnie podatnym na ataki nostalgii, ale tego wieczoru czuł na barkach ciężar wielkiej odpowiedzialności - tak samo jak wtedy. Paryż już dawno nie budził w nim tak sentymentalnych wspomnień.

Samolot wylądował i podkołował do miejsca postoju. Sprawa kartoteki Drapieznika spędzała sir Anthony’emu sen z powiek, ale bez względu na wszystko zamierzał doprowadzić ją do końca.

Bibi wyrósł przy nim jak spod ziemi.

- Podać panu coś do picia?

Bibi naprawdę nazywał się Horace Bedell, ale ponieważ najstarszy syn sir Anthony’ego, Thomas, nie umiał w dzieciństwie wymówić jego nazwiska, został Bibim.

- Brandy, najlepiej cordon bleu. I dwa kieliszki.

- Już podaję. - Bibi zniknął, a po chwili wrócił z kryształową karafką i kieliszkami. - Proszę bardzo.

Sir Anthony ujął kieliszek za stopkę i pociągnął łyk aromatycznego trunku. Brandy przyjemnie rozgrzewała mu żołądek. Bibi postawił drugi kieliszek na stoliku przy miękkim fotelu po drugiej stronie przejścia, po czym wrócił za bar i zajął się polerowaniem i tak już błyszczącego szkła.

Potężne silniki ucichły, drzwi samolotu się otworzyły. Sir Anthony usłyszał zwawe kroki na schodach i wziął się w garść. Sentymentalne wspomnienia nie mogą mu przeszkodzić w podejmowaniu trudnych decyzji.

Wstał, przyglądził garnitur, poprawił krawat. Kiedy Temida wszedł na pokład samolotu, pospieszył mu na spotkanie. Podali sobie ręce.

- Miło cię znów widzieć - powiedział sir Anthony. - Jak tam interesy w Paryżu?

- Można wytrzymać. A jak lot z Brukseli?

Temida - Nicholas Inglethorpe - był wysoki i szczupły, miał wyraźnie zarysowaną szczękę i orli nos, a w jego zaczesanych do góry złocistych włosach pojawiały się pierwsze

siwe pasemka. Nosił garnitur od Armaniego, emanował inteligencją i urokiem osobistym. Sir Anthony poznał go przed dwudziestoma laty, kiedy Inglethorpe jako młody pistolet chodził w dżinsach i swetrze, kupował kolejne południowoamerykańskie stacje radiowe i planował budowę imperium medialnego. Dziś był szefem InterDirections, nosił najdroższe garnitury, a manicure i strzyżenie zamawiał wyłącznie u „artystów”, których specjalnie w tym celu sprowadzano do jego biura przy Wilshire Boulevard w Los Angeles.

Z biegiem lat jego wzrok stał się jeszcze bardziej przenikliwy, a malująca się na twarzy chciwość - jeszcze bardziej wyrazista. Opętany żądzą sukcesu, miał majątek szacowany na miliardy dolarów, ale mimo że przybrał pozory cywilizowanego stylu życia, w duchu pozostał piratem. Nie można mu było ufać. I właśnie dlatego sir Anthony go potrzebował.

- Lot jak lot, nic szczególnego. Za to jazda samochodem na lotnisko... Prawdziwy koszmar.

- Jak zwykle.

- Jak się miewają Mindy i dzieci?

- Na szczęście chwilowo mam ich z głowy. Polecieli na Majorkę, wrócą za parę tygodni.

- Na Majorce o tej porze roku jest całkiem miło. - Sir Anthony cofnął się w głąb kabiny. - Cieszę się, że zgodziłeś się tu do mnie dołączyć. Gdzie twoja asystentka?

- Będzie czekać w Belgravii.

W tej eleganckiej dzielnicy Londynu Inglethorpe miał jedną ze swoich rezydencji. Jego asystentka była również jedną z jego kochanek.

- Doskonale.

Sir Anthony wrócił na swoje miejsce i wskazał gościowi sąsiedni fotel. Inglethorpe usiadł i rozluźnił krawat, co sir Anthony przyjął z dezaprobatą. Amerykanie mają dziesiątki wytłumaczeń dla swojego swobodnego sposobu bycia, wliczając w to między innymi wygodę i chęć zniesienia dystansu w rozmowie, ale w gruncie rzeczy są po prostu leniwi i źle wychowani.

Silniki ryknęły głośniejsze. Inglethorpe zdjął krawat, sięgnął po kieliszek i zadowolony pociągnął nosem.

- Uprzedzasz moje życzenia, jak zwykle. Cordon bleu. - Wzniósł kieliszek jak do toastu. - Doceniam to, Kro...

Kronos ostrzegawczo pokręcił głową. Odwrócił się.

- Dziękuję, Bibi.

Odprowadził służącego wzrokiem. Bibi przeszedł między nimi i wszedł do kabiny pilotów, gdzie miał czekać na wezwanie. Odwracając się w fotelu, Kronos zauważył swoje odbicie w oknie: perfekcyjna fryzura, szpakowate włosy, zaróżowione policzki i surowe, mądre spojrzenie, które stało się jego znakiem firmowym. Kontrast z młodszym o dwadzieścia lat Temidą rzucał się w oczy. To było spotkanie dwóch najprawdziwszych tytanów, z których jeden reprezentował konserwatywną Europę, a drugi - agresywny Nowy Świat.

- Po tylu latach na pewno wie już o Spirali - zauważył Inglethorpe.

- Być może, ale wymagam od niego całkowitej dyskrecji. Nawet w kontaktach ze mną. Nie można odsłaniać kart przed służącym i jednocześnie przekonywać go, że o niczym nie wie. Nawet ci najwierniejsi mogą się z czasem poczuć urażeni.

- Te nasze pseudonimy i tak tylko komplikują nam życie.

- Są niezbędne.

- Na litość boską! Mamy komórki z szyfratorami, nikt nas nie podsłucha. Nastąpiła era elektroniki.

Sir Anthony obruszył się.

- Pseudonimy od pięćdziesięciu lat są ważnym elementem naszego systemu zabezpieczeń. A w dzisiejszych czasach bardziej niż kiedykolwiek powinniśmy strzec sekretu Spirali. Być może pseudonimy rzeczywiście są zbędne, ale dobrze nam służyły. Wy, Amerykanie, macie nawet takie powiedzenie...

- Lepsze wrogiem dobrego.

Sir Anthony się skrzywił.

- No właśnie.

Inglethorpe wzruszył ramionami i podniósł kieliszek.

- Za Spirale.

- Za Spirale. Ale niech ci będzie, Nick: tutaj chyba możemy sobie darować pseudonimy.

- Sam nie wiem, Tony. Właściwie to nawet je lubię. - Inglethorpe parsknął śmiechem.

Sir Anthony się uśmiechnął. Spełnili toast, mierząc się wzrokiem.

Samolot podkołował na pas. Inglethorpe pierwszy odstawił kieliszek.

- Ale nie bez powodu zaprosiłeś mnie do swojego samolotu. Mów, o co chodzi.

- Słyszałeś o Hyperionie?

- Masz na myśli de Darmonda? Oczywiście. Paskudna sprawa. Przyznam ci się, że całkiem niedawno zwróciłem się do jego banku z prośbą o pokaźny kredyt dla

InterDirections. - Inglethorpe niby to strząsnął pyłek ze spodni. - To byłaby dla niego świetna inwestycja.

Mówił z udawaną nonszalancją, ale sir Anthony wyczuł w jego głosie niepokój o pieniądze. Skąd je teraz weźmie? Darował sobie cisnącą mu się na usta ciętą ripostę. Konglomerat InterDirections nosił silne piętno właściciela, który - jakkolwiek by na to patrzeć - więcej w nim poskładał z gotowych elementów, niż zbudował od podstaw. A ta budowa wymagała czasu i cierpliwości: trzeba było stworzyć dobry produkt i przekonać ludzi, by go kupili. Przejęcie i zakup to proste mechanizmy; wystarczy wiedzieć, jak obracać pieniędzmi. Tylko że taki papierowy wzrost wymaga wielkich zasobów finansowych - albo skorumpowanych księgowych. Ale w ostatnich czasach, kiedy cały świat wyczuł się na kreatywną księgowość, lepiej było wynająć solidnego specja i wziąć kredyt. Sir Anthony słyszał, że Inglethorpe szykuje się, by przejąć kolejne firmy, tym razem w Niemczech.

- Nasz człowiek, Duchesne, twierdzi, że francuska policja nie ujawnia wszystkich informacji na temat morderstwa - powiedział sir Anthony. - Są dyskretni.

Inglethorpe wyraźnie się ożywił.

- Bo to nie byle jaka sprawa. Czy Duchesne wie, co próbują ukryć?

- Przed śmiercią baron przyjął ponoć nieoficjalnego gościa. Wpuścił go osobiście bocznym wejściem, zjedli na osobności obiad i przeszli do gabinetu. Służący twierdzą, że baron zawsze się tak zachowywał podczas spotkań z najbardziej wpływowymi klientami.

- Na pewno nie chciał zadrażnień z policją. Ktoś widział tego gościa?

- Tylko zastępca majordomusa. Podawał do obiadu. I on został zabity. Zasztyletowany. Paskudna sprawa.

- Właściwie nie ma się czemu dziwić. - Inglethorpe zajął do kieliszka i podniósł wzrok. - Mógłby rozpoznać zabójcę. Policja coś znalazła?

- Niby tak. Jeden z lokajów mniej więcej w porze morderstwa ukradł samochód. Najciekawsze jest to, że poza tym zabitym nikogo ze służby nie brakuje. Strażnik przy bramie zarzeka się, że wypuścił mężczyznę w liberii, jadącego wozem, który, jak się potem okazało, był kradziony. Później znaleziono go w Chantilly.

- Nie mógł się tam teleportować - mruknął Inglethorpe, sącząc brandy. - Co o tym myślisz? Czy złodziej był mordercą?

Sir Anthony już miał odpowiedzieć, kiedy pilot ogłosił przez interkom, że zaraz wystartują. Pociągnął solidny łyk trunku. Silniki ryknęły donośnie, samolot rozpędził się, ostro wzbił w powietrze i skręcił na północ. Sir Anthony jeszcze raz spojrział w dół na morze światła, ale zamiast romantycznej wizji zobaczył spracowane miasto, które powoli układa się

do snu; miasto, w którym spadkobierca legendarnej dynastii bankierów ginie w swojej posiadłości, a policja nie wie, co o tym sądzić.

- Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć o tym morderstwie? - zapytał Inglethorpe.

To pytanie nie uszło uwagi sir Anthony'ego, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien go zlekceważyć. Śmierć barona mogła oznaczać koniec nadziei na preferencyjne warunki kredytu, na jakie Inglethorpe mógł liczyć, dopóki pożyczał pieniądze od innego członka Spirali.

- Nic więcej nie wiem - odparł. - Poza faktem, że baronowa jest w szoku.

- To zrozumiałe.

- Zapowiada się głośny pogrzeb, z konduktem na całą długość Pól Elizejskich. Taką w każdym razie baronowa ma nadzieję. I trudno się jej dziwić, biorąc pod uwagę pozycję obu rodów.

Inglethorpe pokiwał z namysłem głową.

- Będziemy musieli wybrać następcę - zauważył. Miał w Spirali najkrótszy, bo zaledwie pięcioletni staż i nie uczestniczył jeszcze w wyborach nowego członka. - Proponujesz jakichś kandydatów? Oczywiście myślę o człowieku stąd, żeby zachować równowagę między Stanami i Europą.

- Mam parę pomysłów. Ty pewnie też.

- Brat barona by się nadawał - podsunął natychmiast Inglethorpe. - I tak przejmie bank.

- Zapewne... - A gdyby został nowym Hyperionem, InterDirections nie miałby problemu z uzyskaniem kredytu. Sir Anthony postanowił zadać pytanie, które nie dawało mu spokoju: - Jak ci się wydaje, komu mogło zależeć na usunięciu barona?

Inglethorpe uniósł brwi i odwrócił wzrok.

- Mówiłem ci, że miał kłopoty z policją. Może któryś z klientów zlecił zabójstwo. To byłby rozsądny ruch: zlikwidować go we Francji, z dala od Zurychu. - Znów spojrzał na sir Anthony'ego. - Co jeszcze możesz mi powiedzieć? Jak tam kartoteka Drapieznika? Mamy coś?

- W sprawie kartoteki... żadnych postępów. Ale wiemy, że Mac został zabity, a Sansborough odkryła, że jej telefon jest na podsłuchu. I uciekła. Na szczęście w Londynie spotkała Simona Childsa, swojego kuzyna. Na pewno się do niego odezwie. - Sir Anthony przerwał. Dobrze znał Childsów. - A Childs jest z MI-6.

Inglethorpe przeklął kwieciście.

- Odkąd dowiedział się, że ktoś szantażował jego ojca, próbuje na własną rękę odszukać kartotekę - ciągnął sir Anthony. - Może się nam przydać, o ile nie stracimy go z oczu.

- I o ile nie robi tego na zlecenie MI-6 - burknął Inglethorpe.

- Nic na to nie wskazuje. Ale i tak pozostaje jeszcze CIA. Sansborough skontaktowała się ze swoją dawną furtką. Właściwie nie ma w tym nic dziwnego, skoro myślała, że współpracuje z CIA.

Inglethorpe nie wytrzymał.

- Jak mogliście to tak schrzanić! Sansborough zniknęła, MI-6 i Langley zaraz dobiorą się nam do tyłków, a my w dalszym ciągu nie wiemy, ani gdzie jest kartoteka, ani kto ją ma! Jesteś szefem Spirali, do cholery! To twoja wina!

Sir Anthony kolejny raz ugryzł się w język.

- Nie jestem szefem w takim sensie, jak to sugerujesz, Nick, i dobrze o tym wiesz! Jestem po prostu pierwszym wśród równych. Nie zapominaj, że mam tylko jeden głos. Wszyscy przyjęliśmy ten plan. Kiedy okazało się, że jej serial cieszy się ogromnym zainteresowaniem, a ona chce nakręcić odcinek o zawodowych zabójcach, nie mieliśmy wyboru. Szantażysta nie mógł dopuścić do tego, żeby miliony widzów dowiedziały się o istnieniu kartoteki. Zgodziłeś się z nami, bo inaczej nie zdjąłbyś serialu z anteny. I wygląda na to, że postąpiliśmy słusznie. Sansborough omal nie zginęła w Santa Barbara.

- To była rozpaczliwa decyzja - upierał się Inglethorpe.

- Podjęta w rozpaczliwej sytuacji. Musimy znaleźć kartotekę!

- Czy cała Spirala już wie, co się stało?

- Poinformuję ich. No i dziś wieczorem musimy się znowu spotkać.

Inglethorpe spojrzał Kronosowi w oczy.

- Czegoś ode mnie chcesz. Czego? Powiedz.

Sir Anthony pomyślał, że udzieli porywczemu Amerykaninowi lekcji pokory. Dopił brandy, rozkoszując się jej smakiem i aromatem. Wsłuchał się w miarowe buczenie odrzutowca; pieniądze pozwalają kupić rzeczy, których nic nie może zastąpić. Odstawił kieliszek na stolik i spojrzał na młodego Inglethorpe'a, który, podenerwowany, przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

Świetnie.

- Furtka Sansborough uważa, że dziewczyna ma halucynacje. Boję się, że CIA może wysłać agentów, żeby ją znaleźli. Albo zainteresują się okolicznościami postrzelenia Ashera

Floresa. Nie chcemy, żeby zaczęli tu węszyć. Stawka jest zbyt wysoka. Zgodzisz się ze mną?
- spytał sir Anthony.

- Mogą pokrzyżować nam te nasze nędzne resztki planów - przyznał ostrożnie Inglethorpe.

- No właśnie. Z drugiej strony mamy MI-6. Mogli zainteresować się tym, co robi Childs. Ich również lepiej w to nie mieszać. Na pewno mnie rozumiesz.

- Przyznam, że niezupełnie.

Ale sir Anthony wiedział swoje.

- MI-6 biorę na siebie. To chyba logiczne, żebyś ty zajął się Langley. Posłuchaj, Nick. Od lat wyświadczasz szefowi działu operacyjnego różne przysługi. Chcieli mieć swojego człowieka wśród dziennikarzy, załatwiałeś im to bez dyskusji. Przemycali ich agentów do Iraku, Iranu, Afganistanu, Pakistanu, Bośni... Musimy raz na zawsze powstrzymać to węszenie wokół Sansborough. Społecznością szpiegowską można manipulować, ale trzeba działać szybko, zanim cała machina pójdzie w ruch. A szybko znaczy: natychmiast. CIA ma się wycofać, odmówić wsparcia Sansborough, gdyby znów zadzwoniła. Ona musi działać samodzielnie. Zajmiesz się tym?

Temida pokręcił głową, ale kiedy spojrzał mu w oczy, Kronos dostrzegł w nich wahanie. To było coś niezwykłego. Sir Anthony zmarszczył brwi, a Inglethorpe spuścił wzrok. Kiedy znów na niego popatrzył, było widać, że znalazł rozwiązanie.

Uśmiechnął się.

- To wszystko, Kronosie? Dla chłopaka z Teksasu to będzie bułka z masłem. Znam nawet odpowiedniego człowieka. Oczywiście nie powiem ci, kto to jest, ale możesz uznać, że sprawa została załatwiona.

Lotnisko Gatwick, Anglia

Dwadzieścia minut po lądowaniu na Gatwick, Nick Inglethorpe rozmawiał w męskiej toalecie przez telefon.

- Tylko żeby tego nie spieprzyli.

- Możesz mi zaufać, Nick. Wszystko będzie dobrze.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. I ani słowa Kronosowi, jasne?

- Jak chcesz. Staruszek mówił coś o kartotece Drapieźnika?

- Nie. Zupełnie sobie z tym nie radzi. - Inglethorpe zorientował się, że od ostatniego wątpliwego zakupu, jakiego dokonała jego firma, jego akcje w Spirali, a zwłaszcza w oczach

Kronosa, leć na łeb na szyję. Jeśli zatem Kronos uwierzy, że Nicholas Inglethorpe nadal ma wystarczające wpływy, żeby manipulować CIA, może mu to tylko wyjść na zdrowie. -
Dzięki. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Bez dwóch zdań, Nick.

Rozmowa się skończyła.

28.

Centrala MI-6, Londyn

Centrala MI-6 w Vauxhall Cross w południowym Londynie, nad Tamizą, zdaniem Shelby'ego Pottera bardziej przypominała spłaszczony tort urodzinowy niż siedzibę agencji wywiadowczej. Nie dość, że nie podobała mu się kanciasta, schodkowata bryła budynku, to jeszcze drażnił go miodowy odcień betonu i wściekle zielone szyby.

Najlepsze było w tym wszystkim położenie - z dala od centrum, na południowym krańcu mostu Vauxhall. Doskonale pamiętał niepozorny wieżowiec, który przez dziesięciolecia służył MI-6, w czasach wymagających wielkich poświęceń, ale i wspaniałych sukcesów. Postronni znali go tylko jako siedzibę Ministerstwa Obrony. I trudno się temu dziwić, skoro dopiero przed siedmioma laty rząd przestał zaprzeczać istnieniu MI-6. Kiedy w 2001 roku zmarł szef wywiadu, sir David Spedding, pisały o tym wszystkie szmatławce, zupełnie jakby chodziło o przyglupa z londyńskiej elity towarzyskiej.

Potter zaparkował z ponurą miną, wysiadł i wszedł do środka. Chodziły słuchy, że królowa zamierza niebawem nadać mu godność komandora Orderu Królowej Wiktorii - szlachectwo dla starego szpiega, który przez całe życie płacił frajerom, żeby zdradzili swój kraj, a potem mordował patriotów, którzy usiłowali temu zapobiec. I to teraz, po tylu latach, jakby nagle przestały im przeszkadzać jego niewyparzona gęba, złe maniery i Janice.

Trochę go kusilo, żeby odmówić. Ale wiedział, że Janice będzie z niego dumna. Żony wojskowych miały łatwe życie w porównaniu z małżonkami szpiegów. Jeśli przyjmie order, zjedzą kolację przy Connaught Place, wypiją za trzydzieści szczęśliwych lat i powspominają lepsze czasy, kiedy Foreign Office nie musiało szukać agentów przez ogłoszenia, niczym pomocników piekarzy.

Jedyną dobrą tradycją, która oparła się upływowi czasu, był zwyczaj pracy do późna, kultywowany przez wiernych ojczyźnie analityków. Idąc z założonymi z tyłu rękami, mijał oświetlone biura i skinieniem głowy witał pracowników, którzy przemykali korytarzami z kolorowymi teczkami w rękach; każdy kolor oznaczał inny poziom tajności. To byli porządni młodzi ludzie, nawet jeśli patrzyli na niego jak na pomnik w Hyde Parku, a nie szefa wydziału operacyjnego MI-6, odpowiedzialnego za wszystkie tajne misje.

Wszedł do swojego gabinetu, włączył światła, rozparł się wygodnie w fotelu przy biurku i czekał. Zegar wskazywał 10.44. Minutę później, zgodnie z planem, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Tony?

- Jak się masz, staruszkę? Dziękuję, że znalazłeś dla mnie chwilę.

Głos sir Anthony'ego Brookshire'a miał ten sam wyważony, pompatyczny ton, który Potterowi kojarzył się z długimi nocami spędzonymi na picciu i dyskusjach politycznych na studiach w Cambridge.

- O co chodzi, Tony?

- Jak zwykle cyniczny... - Brookshire parsknął śmiechem. - Podobno należą ci się gratulacje? Tytuł szlachecki... Jak najbardziej zasłużony.

- Pewnie go nie przyjmę.

- Przemyśl to, staruszkę. Przemyśl chociażby ze względu na Janice. Może po tylu latach wreszcie byś się z nią ożenił, co? Lady Potter... Nieźle brzmi, nie uważasz? Podobnie zresztą jak sir Shelby.

Potter zaklął, gdy dotarło do niego, jaką rolę w tej sprawie odegrał Tony.

- Niech cię piekło pochłonie, Tony! To był twój pomysł! Pociągnąłeś za sznurki!

- Dawno ci się należało, Shelby. Wszyscy w branży dobrze o tym wiedzą. Po prostu... jak by to powiedzieć... specyfika twojego fachu nie pozwoliła wcześniej tego załatwić. Od dziesięciu lat powinieneś być komandorem.

- Nie pieprz mi o specyfice mojego fachu - prychnął Potter. - Chodziło o mój styl życia i parszywą osobowość. To dlatego C i Jej Królewska Mość nie chcieli słyszeć o uszlachceniu mnie. - C oznaczało dyrektora generalnego MI-6. Potter nagle pomyślał o Anthonym z niekłamany szacunkiem. - Kurczę, Tony, jestem pod wrażeniem. Jak tego dokonałeś?

- Po prostu przedstawiłem komu trzeba część twoich wybitnych osiągnięć - odparł Brookshire poirytowanym głosem.

Potter uśmiechnął się lekko. Należało tak to rozumieć: Tony dał C do zrozumienia, że Potter zna zbyt wiele sekretów, żeby kolejny raz go pominąć przy rozdzielaniu zaszczytów. No, ale Tony Brookshire był doskonałym politykiem. W przeciwnym wypadku nigdy nie wzniósłby się na wyżyny, jakie osiągnął w królewskiej służbie. W świecie brytyjskiej polityki obowiązywało prawo dzungli, oko za oko i ząb za ząb, chociaż maskowane pozorami dobrych manier, które sprawiały, że reszta świata uważała Brytyjczyków za dżentelmenów.

- No dobrze, Tony - westchnął Potter. - Zmiękczyłeś mnie. Mów, o co chodzi.

- O Simona Childsa. To wasz agent, młodszy syn nieżyjącego parlamentarzysty.

- Bystrzak. Trochę samowolny, ale w pewnych okolicznościach to może być zaleta. Czasem pakuje się w kłopoty i przyprawia przełożoną o palpację serca. Ma potencjał - wyliczył Potter. - Ale to już chyba wiesz? Jesteś przyjacielem rodziny, prawda?

Brookshire zbył tę kwestię milczeniem.

- Childs się zbiesił i działa na własną rękę. Spiknął się z byłą agentką CIA, Liz Sansborough.

- Dlaczego ja nic o tym nie wiem? - Potter nachmurzył się i zanotował w pamięci, żeby porozmawiać z szefową Childsa.

- Chłopak doskonale zaciera za sobą ślady. Natknęliśmy się na niego przez przypadek. W najlepszym razie wykazał się brakiem rozsądku, w najgorszym...

- Sansborough? To córka Drapieżnika. Podobno parę lat temu CIA dała jej spokój.

- Najwyraźniej wróciła do zawodu. I to chyba z własnej woli.

- Przeszła na zawodowstwo jak ojciec?

- Być może - westchnął Brookshire. - Nie wiem, czy pamiętasz, ale Childs jest jej kuzynem. Chcielibyśmy się go wyprzeć. Mamy nadzieję, że da sobie chłopak radę, ale gdyby nie, wolelibyśmy nie mieć z nim nic wspólnego.

Potter milczał, ale ta liczba mnoga w słowach Brookshire'a nie uszła jego uwagi. Chcielibyśmy... mamy nadzieję... wolelibyśmy... Czy chodziło o rząd, czy raczej o Nautilusa, ogólnoswiatowe tajne stowarzyszenie grubych ryb, do którego - o czym Potter wiedział - należał Brookshire? Nautilus stał za wieloma znaczącymi przemianami politycznymi, do których doszło po II wojnie światowej. Potter wiedział o tym, chociaż, naturalnie, nie mógł wejść do tej elity. Nie miał dostatecznej władzy i nie lubił współpracować.

- Skąd mam wiedzieć, że to prawda? - wypalił bez ogródek.

- Nie prosiłbym bez powodu. Znamy się od zbyt dawna i za dużo razem przeszliśmy, żeby się okłamywać. Zwłaszcza teraz, u schyłku naszych karier. Przysłużysz się krajowi, stary druhu. Nigdy nie prosiłem cię o osobiste przysługi i tym razem też tego nie robię. Liz

Sansborough właśnie skoczyła na główkę ze szczytu Big Bena i wygląda na to, że pociągnie chłopaka za sobą. Nie chcemy jego śmierci, ale nie możemy pozwolić, żeby nam zaszkodził. Później możemy ponieść konsekwencje, ale na razie trzeba się go wyprzeć. Nie można mu udzielać pomocy. Jeśli się wtrącimy, w niebezpieczeństwie znajdzie się nie tylko on sam, ale też cała Firma.

- Jesteś pewny? - spytał Potter, wiedząc, że odpowiedź jest bez znaczenia. Gdzieś wysoko, w Whitehallu, ktoś chciał odsunąć Simona Childsa na boczny tor. I tylko to się liczyło.

- Teraz, znając całą sytuację, sam możesz to sprawdzić.

- Sprawdzę, Tony, sprawdzę, ale jestem przekonany, że niczego nowego się nie dowiem. Zajmę się tym.

- Wierzyłem w ciebie, staruszk.

- Eee... Wiesz co, Tony? Teraz mogę sobie marudzić, ale myślę, że przyjmę to szlachectwo. Może nawet ożenię się z Janice, jeśli mnie jeszcze zechce. Zacznę normalne życie.

- Cieszę się, Shelby. Naprawdę się cieszę. Po ceremonii musimy się umówić na kolację, całą czwórką. Zdzwonimy się.

Połączenie zostało przerwane, a Potter omal nie wybuchnął śmiechem: Tony nie tracił czasu. Ale też na pewno dopilnuje, żeby spotkali się na tej kolacji i będzie się szczerze cieszył z odznaczenia przyjaciela. Będzie przekonywał Janice do małżeństwa. Tacy ludzie zawsze chcą, żeby wszyscy grali w jednej drużynie - tej samej, co oni. I tak samo jak oni.

Westchnął ciężko. Bez względu na to, jak wygląda prawda, Simon Childs zostanie pozbawiony wsparcia MI-6. Da sobie radę, może nawet wyjdzie mu to na zdrowie; podszkoli się, zahartuje... Bóg jeden wie, ile razy Potter sam przez coś takiego przechodził.

Sięgnął po telefon i wybrał numer.

Centrala CIA, Langley

Śmiertelnie nudny dla postronnego obserwatora dział kadr był nowym królestwem Waltera Jaffy. Przez pięć lat Jaffa kierował działem administracyjnym, dawnym układem nerwowym całej CIA, do czasu, aż w 1998 roku rozwiązano go, a jego zadania podzielono i rozdano na prawo i lewo jak smakowite czekoladki. Z początku Walter sprzeciwiał się reorganizacji. Zachował jednak rangę i pensję, a poza tym pozwolono mu - jako jednemu z najwyższych pozycją urzędników Agencji - przebierać w stanowiskach: mógł zostać

kierownikiem działu finansów, szefem bezpieczeństwa, dziekanem Uniwersytetu CIA i tak dalej.

Ostatecznie postanowił objąć dział kadr, który nie dość, że był widoczny z każdego poziomu Agencji, to jeszcze pełnił w niej rolę kluczową, nadzorując proces rekrutacji, zatrudnienia i przejścia na emeryturę. Organizował testy na wykrywaczu kłamstw, mające wskazać uspionych agentów, kretów i potencjalnych zdrajców. Nadzorował agentów, którzy codziennie ryzykowali własne życie.

Jaffa poważnie traktował swoje obowiązki. Mijając pozbawione okien, białe biura podlegających mu ekip specjalnych, promieniał dumą. Kochał swoją religię, tak jak kochał żonę i dzieci; uwielbiał swoją pracę i całą Agencję.

Wszedł do swojego gabinetu i usiadł przy zawalonym papierami biurku. Dochodziła szósta, a koło szóstej często miewał takie myśli. W tych wariackich czasach dzień, który kończył się uczuciem duchowego spełnienia, należał do rzadkości. Jaffa wychował się na wietrznych równinach Dakoty Południowej. Ojciec ostro pił, matka harowała za dwoje, a on skończył Uniwersytet Stanu Dakota Południowa. Kelnerował w Vermilion i Sioux City, a w upalne lata pracował na kombajnach zbożowych. Wtedy liczyło się przede wszystkim przetrwanie; kto przetrwał, posuwał się naprzód. Dopiero później nauczył się cenić duchowe aspekty życia. Przyjaźnił się tylko z pobożnymi katolikami, konserwatywnymi i należącymi do Opus Dei, Dzieła Bożego.

Zadzwoił telefon - jeden z kilku na biurku, ale nie ten, który dzwonił najczęściej. Jaffa się zdziwił: to była linia bezpośrednia, używana tylko przez największych ważniaków, od dyrektora Agencji wzwyż. Wyprostował się i podniósł słuchawkę.

- Jaffa, słucham - powiedział stanowczym tonem.

- Lubisz swoją pracę, Walterze?

Nie znał tego głosu: miał metaliczny podźwięk i zdawał się dobiegać z bardzo daleka, jakby ktoś celowo go zniekształcił. Szef działu kadr nie dostawał takich telefonów. Zaczął po omacku szukać zainstalowanego pod blatem guzika, który uruchomiłby namierzenie rozmówcy.

- Berlin, 1989 - mówił dalej nieznajomy. - Wtedy jeszcze Berlin Zachodni. Mieszkała tam pewna dziewczyna...

Jaffa nie nacisnął guzika, cofnął rękę i oparł ją na biurku. Pot wystąpił mu na czoło.

- Elsa Klugmann. Miała szesnaście lat i była z tobą w ciąży. Jej ojciec, szych w BND, był człowiekiem z zasadami, surowym, nikt nie chciał mu się narażać...

Jej ojciec. Walterowi stanęła przed oczami buldogowata, tępa twarz Herr Klugmanna. Zachodnioniemiecka BND, czyli Bundesnachrichtendienst, Federalna Agencja Wywiadowcza, zaczynała się wreszcie podnosić po skandalu, który wybuchł, kiedy w najbliższym otoczeniu kanclerza Willy'ego Brandta odkryto kreta, agenta Stasi. Rząd Brandta upadł, a BND zwarła szeregi i zaczęła działać równie bezlitośnie jak Stasi - choć nigdy nie posunęła się do masowego podsłuchiwania swoich, prania mózgu i szantażu, które dla działającej w NRD Stasi były chlebem powszednim.

Co prawda osobiste doświadczenia Jaffy poniekąd temu przeczyły.

Kochał Elsę, ale dopuścił się grzechu, idąc z nią do łóżka przed ślubem. Kiedy Herr Klugmann dowiedział się o wszystkim, kazał córce zrobić skrobankę, mimo że Jaffa błagał go, by pozwolił im się pobrać. Klugmann był ateistą, jego ojciec zaś - ateistą i członkiem SS. Herr Klugmann nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby jakiś *verdammter Schweinehund* ożenił się z jego Elsą. Chciał się go pozbyć, raz na zawsze. Aresztował szpiega Stasi i podłożył mu dokumenty, z których wynikało, że Jaffa pracuje dla komunistów. Obiecał spanikowanemu agentowi, że go wypuści, jeżeli ten pomoże mu zniszczyć Jaffę.

Elsa poinformowała Waltera o planach ojca i poprosiła, żeby ją ratował. Jaffa był w kropce. CIA nie miała o niczym pojęcia, ale gdyby coś do niej przeciekło, byłby skończony - a dziecka i tak by nie uratował.

Modlił się i umartwiał całymi godzinami, aż w końcu Bóg podsunął mu pomysł. Niedawno odziedziczył blisko sto tysięcy dolarów. Przez legendarnego Rudego Jacka O'Keefe nawiązał kontakt z najlepszym zawodowym zabójcą na świecie - Drapieźnikiem. Zaakceptowany przez Drapieźnika klient mógł być pewien jego solidności i dyskrecji.

Pięć dni później Herr Klugmann i jego współpracownik ze Stasi zginęli w wypadku samochodowym w drodze do sądu. Policjanci kręcili głowami, nie mogąc się nadziwić, jak do niego doszło: na stromym zjeździe zawiodła mechanika. Klugmannowie początkowo byli zdruzgotani, ale wdowa już po trzech miesiącach powtórnie wyszła za mąż. Przez ten czas Walter i Elsa również zdążyli się pobrać i Walter załatwił sobie przeniesienie do Stanów.

- Wątpię, żeby Langley chciało zbagatelizować tę sprawę - ciągnął cichy głos w słuchawce. - Nie mówiąc już o reakcji prokuratora generalnego i niemieckiej policji. Obojętne, czy cię zamkną, czy nie, twoje dni będą policzone. BND ma długą pamięć i jeszcze dłuższe ręce, kiedy chce pomścić kogoś ze swoich.

Ktoś, kto nie umiał zachować zimnej krwi, nie zrobiłby kariery w CIA.

- Kto mówi? - spytał spokojnie Jaffa. - Nie wiem, skąd bierze pan takie pomysły, ale zapewniam, że...

- Nie trać czasu na pogróżki. Proponuję gotowe rozwiązanie. Macie taką nieczynną agentkę, Elizabeth Sansborough. Kojarzysz nazwisko, prawda?

Jaffa poczuł się nagle tak, jakby stanął na skraju bezdennej przepaści. Ten człowiek wiedział, co mówi. Sansborough była córką Drapieźnika. Był skończony. Jego kariera, żona, dzieci - wszystko przepadło. Mimo legendarnej dyskrecji Drapieźnika spodziewał się, że taki dzień nadejdzie. Ktoś musiał kiedyś odkryć, że wynajął mordercę, by zlikwidować dziadka swoich dzieci.

- Czy mam rację, Walterze, twierdząc, że Sansborough zwróciła ostatnio waszą uwagę?

Jaffa przypomniał sobie krótki raport, z którego wynikało, że Sansborough rzeczywiście mogła wrócić do zawodu - ale to było zmartwienie wydziału operacyjnego. Niemniej jednak, ważąc w myślach te słowa, poczuł przypływ nadziei. Łajdak chciał dobić targu.

- Tak - odparł ostrożnie.

- Jej ojciec zostawił po sobie kartotekę. Kompletne archiwum. Twoja sprawa też jest w nim opisana, Walterze. Ze szczegółami.

- Nie!

- Jeśli zrobisz, co każę, twoja teczka zostanie zniszczona.

29.

Paryż

Simon zaparkował samochód dwie przecznice od miejsca, w którym się umówili - było to bliżej, niż uważał za bezpieczne, ale spieszył się i niepokoił o Sarah. Kiedy wysiadał, w ciemności zamajaczyły bezkształtne cienie i dobiegło go błagalne rżenie narkomanów. Gdzieś w pobliżu otworzyły się drzwi baru, ze środka buchnął papierosowy dym i głośny śmiech. Duszne powietrze pachniało kurzem i stygnącym asfaltem.

Nie chciał się pakować w tarapaty, ale w taką noc, iskrzącą się od napięcia, wszystko mogło się zdarzyć. Wyjął z kosza na śmieci bukiet przywiedłych kwiatów, włożył ciemne okulary i ruszył przed siebie z głupawym uśmiechem na twarzy. Kwiaty niósł oburącz przed

sobą, niczym trzymanego za szyję trupa. Miał nadzieję, że wygląda wystarczająco idiotycznie - lub groźnie - żeby miejscowi uznali, że nie warto zwracać sobie nim głowy.

Chodnikiem zbliżała się grupa młodych mężczyzn: ciała pokryte tatuażami, poprzebijane koleczykami; ich ponure twarze wyrażały złość. Szli tak, jakby cały chodnik należał do nich, ale wyminęli przestraszonego Simona jakby w ogóle nie istniał.

Dwie przecznice dalej skręcił w uliczkę wrzynającą się jak wąwóz między dwie wysokie kamienice. Przez całą jej długość na bruku kładła się księżycowa poświata, ale zalegające po bokach cienie były czarne jak smoła. Groźne.

Wyrzucił kwiaty do kosza. Nerwy miał napięte jak postronki. Uśmiechnął się na widok Sarah, która wynurzyła się z mroku z promiennym uśmiechem na twarzy. Odrobina światła w zaułku sprawiała, że jej krótkie włosy lśniły jak aureola wokół głowy. Kiedy przyspieszyła kroku, idąc wzdłuż księżycowej ścieżki, miał wrażenie, że widzi nawet ten seksowny pieprzyk w kąciku ust.

Nagle zaczęła biec.

Zdziwił się, ale otworzył ramiona i też przyspieszył kroku. Chciał ją objąć, przytulić, zachłysnąć się jej zapachem... Ale ona już się nie uśmiechała. Zmrużyła oczy, a opuszczoną prawą ręką dawała mu wyraźne znaki: Podejdź bliżej. Zachowuj się naturalnie.

Wzrok miała utkwiony w coś, co znajdowało się ponad jego ramieniem. Chciał się odwrócić, ale pogroziła mu palcem: nie. Przebiegł go dreszcz, zjeżyły mu się włoski na karku. Zaczął nasłuchiwać.

Postanowił dalej grać swoją rolę. Rozłożył ramiona jeszcze szerzej.

- Kochanie!

Sarah minęła go pędem.

Usłyszał, jak jej torebka uderza o bruk. Odwrócił się błyskawicznie - w samą porę, żeby zobaczyć, jak kopie w rękę mężczyznę stojącego niespełna dwa metry za jego plecami. Coś błyszczącego - sztylet - upadło z metalicznym szczękiem na ziemię, prosto w smugę księżycowego światła.

Simon chciał jej pomóc, ale wtedy właśnie zablokowała cios napastnika i uderzyła go z obu stron kantami dłoni w szyję. Był pełen podziwu dla jej umiejętności i szybkości ciosów. Miała oczywiście przewagę zaskoczenia, ale to wcale nie tłumaczyło profesjonalizmu jej reakcji: w jej płynnych ruchach nie było żadnej przerwy, żadnego wahania. Gdyby zrobiła choć najmniejszy błąd, mogłaby już nie żyć. On zresztą też.

Napastnik runął na plecy. Księżyc oświetlił jego twarz. Chryste Panie! To był bandyta, którego Simon widział ostatnio w zakładzie Jacqueline Pahnke. Podbiegł bliżej.

Zdyszana Sarah spojrzała na niego pytająco.

- Znasz go?

Simon wyjaśnił jej to w dwóch słowach, podniósł sztylet i odłamał ostrze od rękojeści. Kopnął obie części na leżącą w pobliżu stertę odpadków.

- Następny raz widziałem go w zakładzie fotograficznym, tuż przed tym, jak po ciebie przyjechałem - dodał.

Spojrzał na rękaw płaszcza Sarah. Był ciemny i wilgotny: krew? Na jej twarzy odmalowały się nagle zmęczenie i napięcie, wcześniej maskowane uśmiechem. Świetnie zagrała swoją rolę.

- Jesteś ranna - stwierdził, wskazując zakrwawione ramię.

- To tylko draśnięcie. - Liz starała się je zlekceważyć. „Jeśli rana nie zagraża życiu, nie myśl o niej”. Najważniejsze, że Simon wreszcie się zjawił. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem, napawając się widokiem smukłego ciała, przystojnej twarzy, złamanego nosa i bystrych oczu. Naprawdę zaczynała go lubić.

Skinął głową, spojrzał w głąb zaułka i przykucnął przy nieprzytomnym mężczyźnie. Później podyskutują o zranionej ręce Sarah.

Uklęknęła obok niego.

- Śledził cię.

- Na to wygląda. Nie zorientowałem się.

- Musi być dobry.

Simon obszukał napastnika, ale nie znalazł przy nim ani dokumentów, ani innych wskazówek co do tego, kogo on śledził. Z kabury pod pachą wyjął mu glocka i sprawdził magazynek: pełny, naboje do parabellum, 9 mm. Odłożył pistolet i obejrzał buty mężczyzny. Miały gumową podeszwę, mógł się więc poruszać prawie bezszelestnie. Sarah nie odrywała tymczasem wzroku od pistoletu.

To był glock 19, samopowtarzalny automat, mały, solidny i stosunkowo lekki, ponieważ około czterdziestu procent jego części wykonanych było z plastiku. Na całym świecie policja i wojsko chętnie używały właśnie modelu 19 albo 17L - podobnego, lecz z przedłużoną lufą.

Wpatrując się w glocka, Liz toczyła ze sobą wewnętrzną walkę; miała ostatnią szansę, żeby zmienić swoją decyzję. Założenie było proste: wszelka przemoc jest zła. Wiedziała, że w przyszłości, choćby odległej - jeśli ludzkość w ogóle ma przed sobą jakąś przyszłość - przemoc zniknie, ale zdawała sobie także sprawę, że tę świetlaną przyszłość każdy wykuwa

na bieżąco. Znow poczuła wyrzuty sumienia z powodu Sarah, Tish Childs, Maca, ludzi zabitych w magazynie, dziekana, jego żony, Kirka...

- Co się dzieje? - zaniepokoił się Simon.

- Daj pistolet.

- Zmieniłaś zdanie?

- Na to wygląda - odparła obojętnym tonem. Wzięła broń, zważyła ją w ręce, obróciła w palcach, żeby się z nią oswoić. - Może być.

Kiedy wstała, jej wzrok całkiem naturalnie podążył za lufą pistoletu, jakby połączony z nią niewidzialną nicią. Stała na straży; Simon nawet nie musiał jej o to prosić. Nie uszło to jego uwagi, tym bardziej że wciąż miał przed oczami zadawane przez nią ciosy karate. Jak na dziennikarkę - nawet dziennikarkę po przeszkoleniu w supertajnym ośrodku CIA - naprawdę sporo umiała.

Leżący na bruku napastnik jęknął głośno.

- Odzyskuje przytomność - stwierdziła.

- Tak, chyba czas na małą pogawędkę - zgodził się Simon.

Odpowiedział mu jęk, nieco stłumiony.

- Jak się nazywasz? - zapytał półgłosem Simon. - Dla kogo pracujesz?

Twarz leżącego nie wyrażała żadnych uczuć, wyglądała jak nowa, nigdy nieużywana maska. Simon złapał go za ramię, ale zanim zdążył nim potrząsnąć, Sarah uderzyła go otwartą dłonią w plecy. Zaskoczony upadł i wyciągnął się jak długi na napastniku.

Sarah przywarła do ziemi tuż obok.

- Leż! - szepnęła.

Simon podniósł głowę i zerknął na Sarah, która wpatrywała się w wylot uliczki - tamtędy niedawno przyszedł. Glock celował prosto w muskularną kobietę, która, przemykając pod ścianą kamienicy, wyjmowała właśnie uzi z torby na zakupy.

Simon bez słowa sturlał się na ziemię i wymierzył do niej z sig sauera. Za plecami kobiety samochody z cichym pomrukiem mijały wylot zaułka.

- Nie wygląda groźnie - szepnął.

- Ale jest zawodowym zabójcą - odparła Sarah również szeptem. - Wydaje się otyła i ociężała, ale to wszystko mięśnie. Chodzi z reklamówką i udaje zwykłą gospodynię domową. Usypia czujność ofiar. Nikt nie zwraca na nią uwagi.

Morderczyni nawet nie próbowała zmienić swojego wyglądu: miała te same krótkie, brązowe włosy, tę samą ciemną szminkę na ustach, wygodne spodnie, tę samą bluzkę i kurtkę. Szła ostrożnie, jakby szukając czegoś... lub kogoś.

- Co o niej wiesz? - spytał.

- Śledzi mnie i jestem prawie pewna, że to ona zabiła Maca. Pracuje dla tego, kto ma kartotekę. - Ona też dowodziła grupą, która porwała Sarah i Ashera.

Mężczyzna na ziemi zadygotał gwałtownie. Lada chwila mógł odzyskać przytomność.

- Jeśli przypadkiem są razem... - zaczął Simon.

- Wiedzą, że szukasz kartoteki. Nie zapominaj, że mój telefon był na podsłuchu. Właściciel kartoteki postanowił usunąć nie tylko mnie, ale i ciebie.

- To właśnie chciałem usłyszeć.

Bandyta zamrugał powiekami i jedną ręką złapał lufę pistoletu, którą Simon przystawił mu do skroni. Simon odciągnął kurek.

- Słyszałeś to, koleś? - szepnął. - Bo to może być ostatni dźwięk w twoim życiu, zanim ci mózg eksploduje.

Tamten wybałuszył oczy. Dostrzegł Simona. Zerknął z ukosa na sig sauera. Z kamienną twarzą opuścił rękę.

- Musimy porozmawiać.

- Nie rozmawiać, tylko poszeptać. Kto cię przysłał?

Liz dźwignęła się na klęczki, cały czas mierząc z pistoletu do skradającej się kobiety, która szła przy samej ścianie, gdzie cienie były najgłębsze. Było ją widać, tylko dlatego że szła wyprostowana, przez co minimalnie odbijała światło - no i pod warunkiem że człowiek wiedział, gdzie patrzeć. Odgłosy ruchu ulicznego i dźwięki muzyki skutecznie zagłuszały szept, a kobieta najwyraźniej nie dostrzegła jeszcze skulonych w ciemnościach ludzi.

- Ona ma rację - powiedział napastnik, zniżając głos. Simon dźgnął go lufą w skroń. - Wiemy, że pracujecie razem.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jak się nazywasz? Kto ci płaci?

Mężczyzna nawet się nie poruszył. W jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, który mógłby zdradzić jego zamiary. Po prostu nagle otworzył usta i krzyknął:

- Beatrice!

Odturlał się spod lufy pistoletu, kopnął Simona, złapał go za kostki i mocno szarpnął. Był nie tylko muskularny, ale naprawdę silny - a w dodatku tym razem to on ich zaskoczył. Simon próbował zrobić unik, kiedy mężczyzna rzucił się w jego stronę i wyciągnął nóż z pochwy na łydce. Teraz był już uzbrojony.

- Malko! - wrzasnęła kobieta, zaczęła strzelać i rzuciła się biegiem w kierunku, z którego dobiegły ją odgłosy szamotaniny. Kule rykoszetowały na bruku, szukając celu i sypiąc na wszystkie strony odłamkami kamienia.

Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Simon próbował odskoczyć od napastnika i znaleźć sobie pozycję do strzału.

- Sarah! - zawołał.

Liz klęczała jak sparaliżowana - na jednym kolanie, z glockiem gotowym do strzału. Podjęłaś decyzję, zabrzmiał w jej głowie spokojny głos. Nie czas jej żałować.

Pociągnęła za spust.

Odrzut glocka poraził jej rękę jak wstrząs elektryczny. Coś w niej pękło, straciła jakąś cenną część siebie, ale kula trafiła prosto w Beatrice, która zrobiła jeszcze dwa kroki i osunęła się bezwładnie na ziemię, jakby rozsypał się jej kręgosłup.

Malko wyrznął Simona pięścią w brzuch i natychmiast poprawił drugą ręką od dołu w szczękę. Simon upadł. Liz okręciła się na pięcie, podnosząc glocka do strzału, lecz Malko kopniakiem wytrącił jej go z ręki i rzucił się do ucieczki.

Zakłęła, podniosła pistolet i próbowała go gonić, ale zniknął już w najgłębszym cieniu. Nie zdążyła się do niego zbliżyć, gdy noc wchłonęła go jak zjawę. Wróciła do Beatrice i odwróciła ją na plecy. Krew na piersi. Brak tętna. Przez chwilę, patrząc w jej martwe oczy, zastanawiała się, kim ona była; czy miała męża, dzieci, normalne życie.

Zaraz jednak otrząsnęła się z tych myśli. Nie czas jej żałować. Najpierw musi doprowadzić rzecz do końca, powstrzymać szantażystę, ocalić Sarah i Ashera. Przeszukała zwłoki, ale nic nie znalazła. Wzięła uzi, wróciła po sig sauera i pochyliła się nad Simonem.

- Simon?

Miał zamknięte oczy. Prawa stopa, nienaturalnie wykręcona, uwięzła mu pod lewym udem, głowę miał odwróconą na bok. Bruk był lepki od krwi.

30.

Uklęła, przerażona, i przytknęła ucho do jego piersi. Dopiero kiedy usłyszała mocne bicie serca, wyprostowała się i ukradkiem otarła łzy. Chwała Bogu! Rozejrzała się, ale napastnika nie było nigdzie widać.

Simon jęknął. Spojrzała na niego. Włosy miał potargane, twarz umorusaną, marynarkę i spodnie brudne i wymięte. Uśmiechnęła się.

- Spójrz tylko na siebie - mruknęła. - Niegrzeczny chłopiec. - Ułożyła mu wygodniej głowę, wyprostowała wykręconą nogę i potrząsnęła go za ramię. - Simon! Zbudź się, do cholery! Musimy uciekać!

Otworzył oczy - i znów jęknął.

- Rany boskie... Ale dałem plamę.

- Wcale nie. Oboje byliśmy zajęci czym innym, a ten gość to zawodowiec. Uciekł mi, zanim zdążyłam strzelić. Możesz chodzić?

Simon wstał z wysiłkiem, podczas gdy Liz spoglądała to w jedną, to w drugą stronę uliczki. Ciągle zastanawiała się, jakim cudem Malko znalazł Simona w takim miejscu.

- Chyba tak. Ale w tym stanie nie dam rady prowadzić. - Simon schował do pochwy sięg sauera i nóż. Kulejąc, ruszył do wylotu zaułka. - Wyjdźmy z tej strony. Może ich być więcej.

- Umysł ci nie szwankuje - przyznała Liz. - Ale idziesz jak pijany.

- Bo tak się czuję. Zrób coś dla mnie, dobrze? Zestrzel tę latarnię.

- Musimy podejść bliżej. Nie strzelam zbyt celnie. Miałam długą przerwę.

- Jak na mój gust, radzisz sobie doskonale. Położyłaś Beatrice jednym strzałem.

- Miałam fart. Serio.

Górujące nad ich głowami kamienice przylegały ciasno do siebie, bez najmniejszych przerw. Liz schowała uzi do torebki - kolba się nie zmieściła, ale reszta mniej rzucała się w oczy - i szła dalej z glockiem w dłoni. U wylotu zaułka stanęli i wyjrzel na główną ulicę, przy której domy mieszkalne sąsiadowały ze sklepami i restauracjami. Gdy tylko otwierały się drzwi jakiegoś lokalu, ze środka płynęła głośnie muzyka. Przy krawężnikach walały się sterty zardzewiałych puszek sprasowane jak pod uderzeniem goliata. Samochody przejeżdżały obok, przechodnie spacerowali i niejeden się zataczał.

Simon milczał; wciąż próbował zebrać myśli. Kiedy tłumek na chodniku trochę się przeredził, Liz przestrzeliła klosz najbliższej latarni i ruszyli dalej. Zdawała sobie sprawę, że Simon lada chwila zasypie ją pytaniami, ale najpierw ona musi zadać mu jedno.

- Zastanawia mnie ten facet ze sztyletem - odezwała się półgłosem. - Ten... Malko. Jeżeli przywiózł ze sobą ekipę, powinni byli mu pomóc. A pojawiła się tylko Beatrice. Zawołał ją po imieniu, więc chyba się jej spodziewał. - Zerknęła na Simona, który natychmiast spuścił wzrok.

- Coś sugerujesz? - zapytał.

- Owszem. Mogłeś go nie widzieć, bo ci się nie pokazywał. Nie potrzebował większej ekipy, bo spokojnie mógł cię śledzić w pojedynkę. Dlaczego? Dlatego że albo on sam, albo ktoś inny zainstalował w twoim wozie nadajnik. Tak jak porywacze w mojej komórce.

- Wykluczone. - Simon pokręcił głową. - Nikt się wcześniej nie kręcił przy samochodzie... Nikt... - Nagle sobie przypomniał. - Jasny gwint! Ten rowerzysta! - Opisał sfingowany wypadek w Chantilly. - Dałem mu się nabrać. A za wszystkim pewnie stał ten cały Malko. Mógł za mną pojechać z zamku barona do wioski.

- Nie dość, że są naprawdę niezli, to jeszcze działają w grupie - stwierdziła Liz. Wyczuła, że Simon znów się jej badawczo przygląda. Spojrzała na niego i przyłapała go na tym. Miała niejasne wrażenie, że wie, co on sobie myśli. - O co chodzi?

- Świetnie sobie radzisz z bronią - odparł z wahaniem. - Jednym strzałem zdjęłaś Beatrice, chociaż była ruchomym celem. Dobrze znasz karate. Masz zmysł taktyczny. Jesteś niezłą aktorką; kiedy spotkaliśmy się z Jimmym Unakiem, nawet ci powieka nie drgnęła. A teraz domyśliłaś się, że Malko znalazł mnie dzięki nadajnikowi. Nie wspomnę już o tym, że jesteś ranna, ale udajesz, że nic się nie stało.

- Do czego zmierzasz?

- Mówisz, jakbyś nie wiedziała. - Simon uśmiechnął się lekko. - Pomyślmy. Gdybym chciał naprowadzić kogoś na ślad kartoteki Drapieżnika, wybrałbym jego córkę, a nie bratanicę, która ledwie go znała. Liz więcej wie i jest bardziej doświadczona niż Sarah. Poza tym wygląda na to, że jesteś naprawdę niezłą w dziedzinach, w których Liz była szkolona. Zgoda, ty też przeszłaś trening, ale nie taki, który wyjaśniałby twoją sprawność.

Obserwował ją badawczo, czekając na reakcję. Jej oczy były jak ciemne studnie, bez wyrazu.

- No dobrze - mruknęła w końcu. - Powiedz to na głos.

- Jesteś Liz.

- Zawsze byłeś sprytny - westchnęła, a widząc minę Simona, parsknęła śmiechem. - I tak chciałam ci już powiedzieć.

Simon się zaczerwienił.

- Kurczę blade, ty naprawdę jesteś Liz! Mogłaś mi powiedzieć wcześniej. To było z twojej strony świństwo. - Zmarszczył brwi. - Przyznałem ci się nawet, że się w tobie podkochiwałem! Zdradziłem ci moje sztuczki. Powinnaś była mi zaufać!

- Nie mogłam ufać nikomu. Ale teraz przyznaję, że jestem pod wrażeniem.

- Dzięki. Bo chyba powinienem być ci wdzięczny.

Z oddali dobiegło zawodzenie policyjnych syren. Liz i Simon spojrzeli na siebie i przyspieszyli. Ktoś musiał zgłosić, że słyszał strzały w zaułku. Wyszli na szeroki, ruchliwy bulwar.

- Powiedz mi coś, Simon. Czy MI-6 też chce zdobyć tę kartotekę?

- Myślisz, że cię okłamałem?

- Wiem, jak działa wywiad. Agencja i misja są najważniejsze. Bez względu na okoliczności.

Pociągnął ją w cień płatanu i pogroził jej palcem.

- Musimy sobie coś wyjaśnić. Mogę cię rozbawić następną sprytną uwagą, ale możemy też się umówić, tu i teraz, że będziemy ze sobą szczerzy. Ja szanuję ciebie, ty mnie; pracujemy jak równy z równym, nie obchodzi nas mój młody wiek i stosunek do pracy ani fakt, że przez pięć lat byłaś na emeryturze. Koniec kłamstw.

- Proszę bardzo. Ale osiem lat to spora różnica wieku. Nie zapominaj, że zmieniałam ci pieluchy. Myślisz, że taki dzieciak jak ty da sobie radę z taką poważną umową?

Simon wybuchnął śmiechem.

- Nic się nie zmieniałaś. Już dawno nikt mnie tak nie rozbawił i nie zirytował równocześnie.

- Wiem, jak jest. Chodź, opowiem ci o Sarah i Asherze.

Owszem, popełniał błędy - na przykład martwił się o Liz i Beatrice, kiedy powinien był uważać na Malka. Bywał też beztroski, nietaktowny i zanadto skoncentrowany na własnym seksapilu, ale umiał też być odważny, sprytny i rozsądny.

Spokojnie, bez emocji opowiedziała o napadzie w Santa Barbara, porwaniu Sarah i locie z Makiem do Paryża. Pomięła szczegóły wydarzeń w Kalifornii i Londynie, bo większość tych faktów już znał.

- Rany boskie - mruknął oszołomiony. - Więc dlatego tak ci zależy na znalezieniu kartoteki. Chcesz wykupić za nią Sarah. Swoją drogą, niezłe z nich skurczybyki: postrzelili Ashera, żeby uwiarygodnić szopkę.

- To prawda. - W głosie Liz brzmiała gorycz, ale zupełnie się tym nie przejęła. - Rozumiem też, po co go później zabrali ze szpitala: spotęgowali w ten sposób napięcie, żeby mnie zdopingować. Tylko że nic z tego nie wyszło, bo kiedy znalazłam martwego Maca i pluskwy w telefonie, zrozumiałam, co jest naprawdę grane. Wtedy też postanowiłam śledzić Beatrice. - Opisała pokrótce prowadzony przez Beatrice atak na magazyn Eisner-Moultona. - Przez chwilę nawet widziałam Sarah i Ashera. To było straszne. Omal nie zginęli! Bóg jeden wie, czy jeszcze żyją.

Simon pokręcił głową z niedowierzaniem. Dopiero po chwili zrozumiał wyraz twarzy Liz: była wściekła nie tylko na porywaczy, ale i na siebie. Dręczyły ją wyrzuty sumienia.

- Znajdziemy ich - zapewnił, chociaż nie bardzo wiedział, jak to zrobić. - Komu jeszcze o tym mówiłaś?

- Nikomu. Nie mam nikogo takiego. Tobie też jeszcze nie o wszystkim powiedziałam.

- Rozejrzała się po ulicy. - Daleko jeszcze? Musimy się stąd zmyć.

Ręka bolała ją jak diabli, z każdą chwilą traciła siły. Ale mimo wszystko przeżyła, a Sarah i Asher? Co z nimi? Przycisnęła zranioną rękę do piersi.

- Też tak myślę - przytaknął Simon. Podziwiał ją w duchu. - Samochód zostawiłem przy następnym skrzyżowaniu.

Peugeot stał pod latarnią, wciśnięty między inne zaparkowane w tym miejscu samochody. Schowali się w pobliskiej bramie, skąd przez chwilę obserwowali ulicę. Czuli ostrą woń uryny. Wpatrywali na chodnikach podejrzanych przechodniów, którzy nie pasowali do tej okolicy i późnej pory, nadmiernie interesowali się peugeotem albo wystawiali bez celu na rogu, paląc papierosa za papierosem, byle tylko ukryć fakt, że stoją na czatach.

Simon co chwila zerkał na Liz. Odkąd dowiedział się, kim naprawdę jest, uczucia, jakie kiedyś do niej żywił, zdały mu się odległe i nierzeczywiste. Mimo to kiedy tak stali ramię w ramię w ciemności, miał wrażenie, że świetnie się znają, jakby nie pierwszy raz przyszło im współpracować. Podobało mu się to, ale zaraz zaczął się psychicznie bronić.

- Zastanawiam się, po co szantażysta zadał sobie tyle trudu, porywając Sarah i Ashera - odezwała się Liz. - Chyba chciał wyrzucić na mnie presję. Bo przecież nie próbował ich zabić.

- Może nie chodzi ani o nich, ani o ciebie. Może ma własne powody, których nie rozumiemy. - Simon podświetlił tarczę zegarka.

- Długo tu stoimy?

- Kwadrans. Jeśli miałaś rację z tym nadajnikiem, nie muszą obserwować samochodu. Malko jest przekonany, że może mnie w każdej chwili namierzyć.

Przejechał radiowóz. W napięciu odprowadzili go wzrokiem, ale zniknął w głębi ulicy. Simon na wszelki wypadek zapamiętał jego numer rejestracyjny.

- Spróbujemy - stwierdził. - Osłaniaj mnie.

Wymknął się z bramy przebiegł na drugą stronę ulicy i obejrzał peugeota. Nie zauważył nic niezwykłego. Kiwnął Liz głową i usiadł za kierownicą. Włączył silnik. Liz dopadła do wozu i wskoczyła na siedzenie pasażera, a Simon natychmiast włączył się do ruchu. Przejechali siedem skrzyżowań i znaleźli się w zupełnie innej dzielnicy. Podjechali do

krawężnika. Inny wóz policyjny, na innych numerach, minął ich i zaparkował cztery samochody przed nimi.

Przyglądali mu się niepewnie, ale dwaj żandarmi mieli własne problemy. Podciągając spodnie, pobiegli w stronę jasno oświetlonego bistro na rogu i zniknęli w środku. Bar znajdował się na uboczu i świetnie nadawał na wypicie szybkiego piwka. Nie musieli się bać, że ktoś na nich doniesie.

- Chwilę im to zajmie - stwierdziła Liz i z ulgą opuściła szybę.

Simon wysiadł bez słowa, z torby w bagażniku wyjął latarkę, pogrzebał pod przednim błotnikiem - tam, gdzie upadł rowerzysta - i wyjął spod niego miniaturowy nadajnik GPS. Wrócił do samochodu i pokazał go Liz.

- Miałaś rację - mruknął z irytacją.

Liz skinęła głową.

- A teraz wyośmy się stąd.

- Jeszcze chwilę.

- Simon...

Ale on już wysiadł i szedł chodnikiem. Odczekał, aż miną go dwie kobiety, trzymające się za ręce, a potem pochylił się, jakby wiązał sznurówkę. Rozejrzył się, a kiedy upewnił się, że nikt go nie obserwuje, przyczepił nadajnik do podwozia radiowozu. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i truchtem wrócił do peugeota.

Liz parsknęła śmiechem.

- Sama powinnam była na to wpaść!

- Dzięki.

Roześmiał się głośno, zapalił silnik i zawrócił, kierując się w stronę centrum.

Oboje szybko spowaźnieli. Liz skuliła się na siedzeniu, zerkając na Simona. Nadal udawał beztroskiego dzieciaka, ale było widać, że będzie z niego rzetelny, bystry agent.

- Opowiedz mi coś więcej o tym napadzie w Santa Barbara - zaproponował. - I o porwaniu Sarah. Nadal nie wszystko rozumiem. Mam wrażenie, że nastąpiły równocześnie, mimo że dwie ekipy nie miały ze sobą łączności.

- Właśnie. Ale jakoś się jednak porozumiały. Do ataków sprowokowały je recenzje mojego serialu o zabójcach, zwłaszcza odkąd roztrąbiono w mediach, że jeden z odcinków poświęcę Drapieżnikowi. Oczywiście ani szantażysta, ani porywacze nie chcieli, by wyszło na jaw, że Drapieżnik mógł prowadzić jakąś kartotekę. A jeśli ktoś szukał kartoteki, mógł dojść do wniosku, że ja ją mam albo wkrótce zdobędę.

- Stąd pomysł z porwaniem Sarah i żądaniem okupu. - Simon zerknął na Liz z ukosa, po czym znów skupił się na prowadzeniu auta. - Miejsce, czyli magazyn, w którym porywacze przetrzymywali Sarah i Ashera, powinno być ściśle tajne. Jakim cudem szantażysta się o nim dowiedział? Skąd wiedział, dokąd wysłać swoich ludzi?

- No właśnie, i tu dochodzimy do sedna sprawy. Wśród porywaczy, którym tak bardzo zależy na odzyskaniu kartoteki, jest zdrajca.

- Zamieniam się w słuch.

- Inaczej nie umiem wyjaśnić tego, że szantażysta tyle razy o krok mnie wyprzedzał. Jak i tego, że nasłał na mnie morderców, żeby zdławić w zarodku paryski plan porywaczy. A wreszcie tego, że musiał pobić Tish, żeby zdradziła mu, dokąd pojechałam.

- Więc to tak... Kret podsyła szantażyście informacje, ale niekompletne. To dlatego nikt na nas nie czekał na Gare du Nord, a Malko nie przyjechał do château, żeby mnie zabić. Bo inaczej od razu by wykonał robotę. Ale on miał tylko chronić mordercę barona, swojego szefa, szantażystę. Ludzie, którzy szukają kartoteki, blokują przepływ informacji, żeby wykurzyć tego judasza, a nam za bardzo nie popuścić.

Liz spojrzała na niego zamyślona. Przyszedł jej do głowy jeszcze inny pomysł.

- A może wyciągamy zbyt ostrożne wnioski? Może się mylimy i wśród porywaczy nie ma kreta?

- Jak to?

Wyprostowała się w fotelu.

- Może szantażysta sam jest zdrajcą, a przy tym jednym z porywaczy? Może szukają jednego ze swoich?!

Twarz Simona stężała w świetle reflektorów samochodów jadących z przeciwka.

- Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie zagrożenie dla Sarah i Ashera. I gdyby szantażysta nie zmusił mojego ojca do samobójstwa. Pocieszam się tym, że jedni i drudzy chyba chwilowo nas zgubili.

Myśl o władzy, jaką mają dwie prześladowające ich grupy, zarazem przerażała i złościła Liz. W wyobraźni cały czas słyszała głos Sarah, wołającej ją po imieniu w magazynie. Zamknęła oczy, gotowa kolejny raz pogрузić się w ból po stracie Sarah i Ashera, ale natychmiast je otworzyła. Rozpamiętywanie przeszłości i stawianie się w roli ofiary na pewno jej nie pomoże. Powinna skoncentrować się na przyszłości, bo tylko tam znajdzie rozwiązanie.

- A co się z tobą działo? - spytała. - Dowiedziałeś się czegoś u barona?

- Nie słyszałaś? - zdziwił się Simon.

- O czym? Wiesz, byłam trochę zajęta, nie miałam czasu na gazety ani telewizję.

- De Darmond nie żyje. Został zamordowany... dzisiaj, w swoim zamku. Byłem wtedy na tarasie... Nie, później ci o tym opowiem. Są ważniejsze sprawy. Baron groził odmową kredytu, na którym mordercy zależało, jeśli on nie odda mu kartoteki Drapieznika.

Liz zeszywniała.

- To morderca ją ma?!

- Na to wygląda. Mam nadzieję, że w dokumentach, które sfotografowałem, jest gdzieś jego nazwisko. Kłopot w tym, że nie mam pojęcia, jak je znaleźć. Przynajmniej na razie.

Simon opowiedział Liz o ścianie ze zdjęciami i o teczkach znalezionych na biurku barona.

- Zuch kuzynek... Bystry z ciebie chłopak. Pokażesz mi te dokumenty. Może ja coś w nich znajdę.

Simon zerknął na nią, ale zaraz odwrócił wzrok. Zaciśnął wargi.

- Przecież wiesz, że nie jesteśmy prawdziwymi kuzynami. Nie łączą nas więzy krwi.

- To prawda, ale znamy się tak długo, że to bez różnicy. Gdzie masz te zdjęcia?

- W teczce na tylnym siedzeniu.

Kiedy Liz sięgnęła do tyłu, Simon złapał się na tym, że podziwia jej smukłą talię. Otarła się o niego ramieniem, kładąc sobie teczkę na kolanach. Otworzyła ją i zaczęła przeglądać zdjęcia. Wybrała trzy największe, przedstawiające fragmenty obwieszonych fotografiami ściany.

- Mój Boże... - mruknęła z podziwem. - Przegląd śmietanki towarzyskiej: gwiazdy rozrywki, politycy, wojskowi i legendy biznesu. Będzie nam potrzebne dobre światło i jakiś kąt do pracy. Zaciszny kąt.

- Wszystko już pozamykane. Moglibyśmy zameldować się w hotelu, ale musiałabyś pokazać paszport. - A wtedy każdy, kto miał odpowiednie kontakty, bez problemu by ich namierzył. Wszystkie paryskie hotele, motele i domy z pokojami na wynajem miały obowiązek zgłaszać gości na policji.

- Biorąc pod uwagę zapobiegliwość naszych przeciwników i liczbę ludzi, których są w stanie zatrudnić, mają pewnie na oku wszystkich moich paryskich przyjaciół i znajomych - zauważyła Sarah.

- Chyba tak. Poza tym jest jeszcze jeden problem. Pooglądałem sobie te zdjęcia i zrobiłem kilka spisów pojawiających się na nich osób. Próbowałem je ze sobą skorelować, ale nic mi z tego nie wyszło. Dane są bezużyteczne, dopóki człowiek nie wie, jak je

zinterpretować, albo nie wychwyci w nich jakiejś prawidłowości. Przydałby się nam ktoś, kto lepiej ode mnie zna się na międzynarodowych korporacjach. Jesteś w tym mocna?

- Nie. Dlatego muszę ci przyznać rację: potrzebujemy pomocy. I to szybko, bo Sarah i Asherowi zostało mało czasu. Co proponujesz?

- Zadzwoń do MI-6 i złożę raport. Barry urwie mi głowę, ale potem pewnie skieruje nas do jakiejś kryjówki.

Liz przetrawiła jego słowa. Wsparcie MI-6 bardzo by im się przydało - zwłaszcza odkąd przekonali się na własnej skórze, z jak potężną i bezlitosną organizacją mają do czynienia.

- Podoba mi się ten pomysł - przyznała. - I podnosi mnie na duchu.

- Wiem, co czujesz.

Simon skręcił ostro kierownicą, przeciął przeciwległy pas ruchu, zaparkował w wąskiej przecznicy i z telefonu komórkowego zadzwonił do Londynu.

31.

Pora była późna nawet jak na londyńskie MI-6, gdzie dzień pracy dawno się skończył. Simon zdawał sobie sprawę, że jeśli Barry nie siedzi akurat nad jakąś większą sprawą, zdążył już pewnie wrócić do domu. Wiedział jednak, że w takiej sytuacji system przełączy rozmowę na stacjonarny aparat w domu Barry'ego gdzieś na przedmieściach Londynu. Mało kto prowadził równie zwyczajne życie jak pracownicy centrali wywiadu.

Miał rację: Barry wyszedł z pracy. Aparat połączył Simona z jego domowym numerem i w słuchawce odezwał się bełkotliwy głos. Kiedy Simon się przedstawił, Barry nagle otrzeźwiał:

- Nie znam cię! - warknął. - Nie dzwoń więcej.

- O co ci chodzi? Co ty wygadujesz?

- Kurde, Simon, jesteś zawieszony! Rozumiesz? Bezwarunkowo zawieszony! Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co knujesz. Niczego mi nie tłumacz. Trzymaj się z dala ode mnie, od Ady Jackson i całego MI-6. Mam nadzieję, że to naprawdę ty, Simon Childs, bo drugiego ostrzeżenia nie dostaniesz!

W słuchawce zapadła cisza.

Simon siedział przez chwilę jak skamieniały. Opuścił rękę z telefonem i powtórzył Liz słowa Barry'ego.

- Pracuję z nim od lat - dodał zdławionym głosem. - On nie żartował.

- Mówisz, że bełkotał jak pijany. Może coś mu się pomieszało? No wiesz, popił i ma zwidy.

Simon spojrzał na Liz. Oczy miał ciemne i chmurne.

- Można to sprawdzić.

Wybrał numer centrali MI-6. Tym razem odpowiedział automat:

- Agencja nie przyjmuje połączeń z numeru, z którego dzwonisz. Prosimy się rozłączyć i skorzystać z innego telefonu.

Ze ściśniętym sercem wyłączył się. Odtworzył w pamięci rozmowę z Barrym, próbując przyjąć do wiadomości, że ktoś w MI-6 został oszukany, przekupiony lub zwyczajnie wykorzystany. Wywiad, jak każda duża instytucja, cierpiał z powodu zakulisowych rozgrywek w biurze, niekompetencji, wzajemnych uraz i zawiści wśród pracowników - krótko mówiąc, potrafił działać człowiekowi na nerwy. Z drugiej strony był jednak instytucją kluczową dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii, a dla Simona jedynym stabilnym punktem oparcia w burzliwym życiu. Myśl, że nawet MI-6 można zinfiltrować, wcale mu się nie podobała. A jeszcze mniej podobały mu się wnioski, co taka infiltracja oznacza dla bezpieczeństwa jego i Liz.

- Co się stało?!

- Szantażysta musi mieć wtyczkę w MI-6. Innego wytłumaczenia nie widzę. Ale jak to możliwe?! Chryste Panie... - Simon zacisnął ręce na kierownicy z taką siłą, że aż zbieleły mu kostki. - Dali mi porozmawiać z Barrym, żeby mnie ostrzegł, ale drugi raz mi na to nie pozwolą. Musiałbym zmienić komórkę i użyć pseudonimu. Jeżeli mimo wszystko będę próbował się z nimi skontaktować, spiszą mnie na straty.

- To by był wyrok śmierci! Przecież nie zrobiłeś nic złego, nic, co by go usprawiedliwiało!

- Kim jest ten szantażysta? Kto ma aż taką władzę?!

Liz skuliła się w fotelu. Nagle zrobiło jej się zimno. Nadszedł czas, żeby powiedzieć Simonowi coś więcej.

- To ludzie, którzy przez pięć lat manipulowali moim życiem, a teraz porwali Sarah i Ashera - odparła.

- Jak to: manipulowali?

- Kontrolowali je. Sterowali nim. Oszukiwali mnie. Padłam ofiarą doskonale zorganizowanej i po mistrzowsku kierowanej gry. - Ze złością opisała pięcioletnie przedstawienie, w którym mimowolnie grała główną rolę, a które zakończyło się śmiercią Maca, jej rzekomego oficera prowadzącego z CIA, i telefonem do furtki w Langley.

- Rany boskie... - stęknął Simon. - Chcesz powiedzieć, że to nie CIA zorganizowała ten teatrzyk?

- Właśnie. Ci ludzie mają wystarczające wpływy, żeby wywrzeć nacisk na światowej sławy fundację, która godzi się oddać mi stanowisko naukowe, chociaż ma pewnie pod ręką tuzin lepiej wykwalifikowanych specjalistów. Z dnia na dzień potrafią zdjąć z anteny mój program. Poza tym mają wystarczającą wiedzę i środki, żeby skutecznie podszyć się pod CIA. Nabrali nie tylko mnie, ale nawet Ashera.

Na myśl o sile przeciwnika Simon zadrżał. Nie dziwił się już, że Liz nie powiedziała mu wszystkiego od razu. Był z MI-6. Mógł należeć do spisku.

- Sarah, Asher, ty, ja... Próbują nas schwytać jak muchy w pajęczą sieć.

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Ciszę mącił tylko pomruk pracującego na jałowym biegu silnika. Liz usilnie starała się nie myśleć o tym, że jest ścigana, otrząsnąć się z obaw, że za chwilę ktoś wyskoczy z cienia i przeszyje peugeota serią z uzi. Zerknęła na Simona: sztywno wyprostowany, z rękami na kolanach, wpatrywał się tępo w ceglany mur i pojemniki ze śmieciami.

Spojrzeni na siebie i porozumieli się bez słów. Na tych kilka sekund samochód stał się bezpiecznym kokonem, do którego nie docierały miejski zgiełk i groźba pościgu.

- A co z Langley? - spytał Simon.

Liz już od jakiegoś czasu się nad tym zastanawiała. W końcu to nie CIA przesłuchiwała ją po raz drugi i nie CIA zorganizowała ponurą szopkę w Santa Barbara. W najgorszym razie można było zarzucić Agencji celowy brak zainteresowania, w najlepszym - dobroduszne zaniedbanie. A przecież eksperci Langley należą do światowej elity. Udziela im wszelkiej pomocy przy identyfikacji ludzi ze zdjęć i dokumentów.

- Dobrze, dzwoniemy do Langley - zdecydowała. - Mają w Paryżu kilka kryjówek.

- Na pewno chcesz to zrobić? Kiedy poprzednio rozmawiałaś ze swoją furtką, facet potraktował cię jak wariatkę.

- Bo nie wiedział, że CIA powinna się bliżej zainteresować tą sprawą ze względu na Ashera. Zaginął im jeden z agentów. Jedźmy, ja zadzwonię. Nie możemy za długo tkwić w jednym miejscu.

Simon wrzucił wsteczny bieg, wyjechał z uliczki, zmienił przełożenie i, ostro przyspieszając, włączył się do ruchu. Liz wyjęła z torebki telefon, który znalazła w porzuconej kurtce. Przy okazji obszukała samą kurtkę i namacała zmiętą karteczkę w kieszeni. Liścik. Postanowiła, że kiedy indziej powie o nim Simonowi.

Wybrała numer. Zgłosił się Frank Edmunds.

- To znowu ja, Frank - odezwała się zrezygnowanym tonem.

- Naprawdę? A niech mnie... To co, teraz się zgodzisz, żebym ci pomógł?

Centrala CIA, Langley

Frank Edmunds był poruszony. Po zakończeniu rozmowy z Sansborough rozłączył się i siedział bez ruchu w swoim pomalowanym na szaro gabinecie. Jaffa kazał mu przygotować dla niej kryjówkę, na wypadek gdyby zadzwoniła - i proszę, tak się właśnie stało. Jaffa najwyraźniej wiedział więcej niż Edmunds i potrafił przewidzieć poczynania Sansborough. A jej głos brzmiał tym razem tak zwyczajnie, tak normalnie. Tak cholernie przekonująco.

Za oknem zadrzewione wzgórza Wirginii ciągnęły się aż po horyzont. Piętrzące się na biurku stosy teczek i papierów przypominały Edmundsowi, że jego praca nie ma końca. Na komputerze miał otwarte jednocześnie trzy okienka; porządkował właśnie listy pracowników, przygotowując zmiany przydziałów.

Nigdy nie przepadał za Sansborough. Jak można ufać człowiekowi wychowanemu przez morderców, zwłaszcza takich, którzy nie wiadomo po czyjej są stronie? A potem jakby nigdy nic nawracają się, obiecując informacje, których nigdy nie dostarczają. Jednak Frank był przede wszystkim profesjonalistą. Nie dzielił swoich podopiecznych na lepszych i gorszych, wszystkich - nawet Sansborough - traktował z szacunkiem. W szpiegowskim świecie każdy mógł się kiedyś przydać.

Przetrawił w duchu słowa dyrektora, który przewidział, co powie Sansborough. A nie powiedziała o tym najgorszym - że Drapieźnik prowadził jakąś kartotekę. Frank myślał o tym cały czas, odkąd usłyszał o nim od dyrektora. Gdyby to była prawda, mieliby prawdziwą bombę. Ale to niemożliwe; kartoteka Drapieźnika z pewnością była tylko wytworem fantazji Sansborough.

Ale Asher Flores... No, to było zupełnie co innego. Jeżeli Asher faktycznie został porwany...

Edmunds zadzwonił do Waltera Jaffy.

- Cześć, Frank - przywitała go sekretarka. - Tak, czeka na twój telefon.

Przełączyła go i po chwili znów rozmawiał z szefem. Powtórzył mu słowa Sansborough.

- Ci dwaj profesorowie z Santa Barbara, o których mówiła... Sama zleciła ich zabójstwa - odparł Jaffa. - Osobiście zlikwidowała tę kobietę w Londynie. A co do porwania Floresa, to po prostu kolejny jej wymysł. Flores prowadzi tajną operację, nie mogę ci nawet powiedzieć, gdzie teraz jest. Ale ona to wie, kapujesz? Kurczę, zna nasze tajemnice! Trzeba ją powstrzymać, Frank. Za wszelką cenę.

- Eee... - Edmunds odetchnął głęboko. - Jej słowa brzmiały bardzo wiarygodnie.

- Uwierzyłeś jej?! - Jaffa się zdenerwował. Sam widzisz, jaka jest dobra. Pewnie potrzebuje spokojnego kąta, więc zmyśliła bajeczkę, żebyś się nad nią zlitował. Dobrze wie, że możesz na własną rękę załatwić jej kryjówkę. Zakłada, że zanim sprawdzisz jej historyjkę, zdąży zgubić pościg i zniknąć bez śladu.

Frank zaklął w duchu. Właśnie dał się nabrać Sansborough. Czyżby miękł z wiekiem? Tracił czujność?

- Upozorujemy wypadek - stwierdził stanowczo. - Tak jak pan sugerował.

Paryż

Jadący citroenem Gino Malko zwolnił i zaklął pod nosem. Dwóch uśmiechniętych żandarmów wyszło z bistro na rogu i podeszło do radiowozu. Przyspieszył, wyminął ich i obserwował w lusterku wstecznym, jak wsiadają do samochodu, nieświadomi, że mają nadajnik GPS, który nikt inny jak ten sukinsyn Simon Childs musiał podczepić im do podwozia.

Na skrzyżowaniu skręcił i spojrzał na wyświetlacz systemu GPS. Childs myślał pewnie, że jest cwany, ale Malko znał się na tropieniu jak nikt inny - obojętne, czy chodziło o lisy na Florydzie, czy o uciekających ludzi. Dlatego zainstalował pod tylnym błotnikiem peugeota drugi, zapasowy nadajnik, kiedy Childs zostawił wóz na dłuższy czas nieopodal Pól Elizejskich. Owszem, Childs był dobry, ale nie dość dobry; w przeciwnym razie dokładniej obejrzałby samochód.

W przypiływie optymizmu Malko skoncentrował się na mapie. Sygnał z radiowozu nie poruszał się, należało zatem jechać za tym, który przesuwiał się po ekranie. To musiał być peugeot. Simon Childs już długo nie pożyje.

Dziesięć minut po rozmowie z Frankiem Edmundsem Liz zadzwoniła do niego ponownie. Podał jej adres kryjówki CIA w VI *arrondissement*.

- To dobry lokal - zapewnił ją. - Jak dotrzesz na miejsce, przedzwonię i upewnię się, że wszystko w porządku. Gdzie jesteście w tej chwili? Będę mógł powiedzieć, kiedy mniej więcej mają się was spodziewać.

Przejeżdżali właśnie przez skrzyżowanie na Montmartrze. Liz podała Frankowi nazwy ulic.

- Bądź ostrożna - ciągnął zatroskany. - Mam nadzieję, że masz broń?

- Oczywiście.

- To dobrze. Ten gość z MI-6 też?

- Pewnie. Co to za pytanie?

- Czym jedziecie? Podaj mi numer rejestracyjny. Przekażę go naszym ludziom. Sprawdź, czy nikt was nie śledzi.

- Posłuchaj, Frank. - Liz zmarszczyła brwi. - Sami umiemy zgubić ogon. A jedziemy peugeotem. - Zapytała Simona o numer rejestracyjny i powtórzyła go do telefonu. - Po co ci to wszystko?

- Kryjówka ma zamykany dziedziniec. Brama jest solidna, z litego drewna. Chłopcy muszą ją otworzyć, jeśli macie dostać się do środka, więc im szybciej was rozpoznają, tym lepiej. Macie jakieś specjalne życzenia?

- Nie, dzięki.

- Moja żona też tak zawsze mówi - zaśmiał się Frank. - „Nie, dzięki”. A potem, jak leżymy już w łóżku, to sobie przypomina. „Frank, zejdz no na dół i sprawdź, czy drzwi są zamknięte”. „Frank, wpuściłeś psa?” Frank to, Frank tamto. A kiedy próbuję się wyłgać, wypomina mi, kiedy poprzedni raz to zrobiłem, i przypomina o „okropnych konsekwencjach”. Można by pomyśleć, że prowadzi kartotekę, w której odnotowuje wszystkie moje błędy. Kto wie, może chce mnie szantażować? Cóż, po dwudziestu latach małżeństwa to chyba nic niezwykłego...

Liz zamarła z rozdziawionymi ustami. Natychmiast się rozłączyła i wstrząśnięta spojrzała na Simona.

- On wie o kartotece. - Ze strachu zaschło jej w gardle. - To nie do wiary, ale on wie! Zadawał mi głupie pytania, żebym się nie rozłączyła. W Langley jest wtyczka i teraz CIA też nas ściga. A ja tylko ułatwiłam im zadanie.

Czasem zdrada ma sens - kiedy wypływa z normalnych emocji, takich jak zazdrość czy pożądanie; czasem jej powodem bywa ludzka słabość, choćby chciwość albo złość. Ale

zupełnie czym innym jest zdrada instytucjonalna, którą wprost trudno ogarnąć rozumem, zwłaszcza jeśli instytucja reprezentuje sobą coś ważnego; jeżeli w założeniu ma być czymś większym, lepszym, mądrzejszym niż prosta suma jej elementów składowych.

Gniew na Langley wzbierał w Liz od lat, teraz zaś eksplodował niczym wulkan. Cała dygotała. Przypomniała sobie Langley z czasów, gdy pierwszy raz przekroczyła próg centrali. Stała w holu, gapiała się na wysokie ściany, ozdobnie rzeźbione schody, rozświetloną, rozległą przestrzeń, która zdawała się obiecywać, że dla tych, którzy pracują dla dobra ludzkości, nie ma rzeczy niemożliwych. Pamiętała, że przepelniały ją wtedy nabożna cześć i ogromna nadzieja.

Simon zacisnął zęby.

- Jesteś pewna?

- Nie wspomniałam o tym, że Drapieznik prowadził kartotekę. Musiał mu to powiedzieć ktoś inny. To pułapka! Frank, a właściwie ktoś w Langley zastawił na nas pułapkę w kryjówce. A teraz dranie mają nawet mój nowy numer komórki! - Liz potrząsnęła telefonem. - Zaraz nas znajdą.

- Szlag by to... Musimy się pozbyć samochodu. Co ten Frank dokładnie powiedział?

Liz powtórzyła rozmowę.

- Kluczową wskazówką był kiepski żart o tym, jak to żona ma kartotekę jego występów i chce jej użyć przeciw niemu. Podświadomość przypomina bulgoczący kocioł, pełen uczuć i myśli, których nie wypowiadamy na głos. Aż kipi od freudowskich przejęzyczeń. A poza tym Frank mówił od rzeczy. Cała ta gadka miała sens tylko wówczas, jeśli chciał jak najdłużej zatrzymać mnie przy telefonie. Skakał z tematu na temat na zasadzie wolnych skojarzeń, cały czas rozmyślając o kartotece, która pozwala szantażować ludzi. No i wysnęło mu się. Langley już nas namierza.

Simon gwizdnął przez zęby.

- A ty masz jeszcze jeden problem - zauważył. - Paryskich żandarmów. „Herald Tribune” opublikował twoje zdjęcie. Szukają cię w związku z morderstwem Tish.

- Naprawdę?! Inne gazety pewnie zrobiły to samo. Masz jeszcze jakieś złe wiadomości?

- Jak na mój gust, wystarczy już tego.

Aż nadto. Operatorzy telefonii komórkowej rejestrowali wszystkie rozmowy w swoich systemach. Mieli prawo i możliwości, korzystając z sieci nadajników naziemnych i satelitarnych, precyzyjnie namierzyć miejsce, z którego odbyto rozmowę; dzięki temu wiedzieli na przykład, jak i kiedy naliczać opłaty za roaming. Langley mogło uzyskać dostęp

do tych informacji - albo na własną rękę namierzyć użytkownika telefonu, znając jego położenie w stosunku do najbliższego przekaźnika. Telefon komórkowy nawet po wyłączeniu mógł emitować sygnał kontrolny, a tego nie można sprawdzić, nie posiadając odpowiedniego sprzętu.

Krótko mówiąc, Langley najprawdopodobniej wiedziało już, gdzie ich szukać. Liz z bijącym sercem otworzyła okno, wyrzuciła telefon i z wyrazem ponurej satysfakcji na twarzy patrzyła w lusterku, jak miażdżą go koła jadącego za nimi samochodu.

Centrala CIA, Langley

Frank Edmunds zgłupiał. Patrzył tępo na trzymaną w ręce słuchawkę. Ta suka przerwała połączenie! Wybrał numer.

- Namierzyliście Sansborough? - zapytał.

- Tak jest - usłyszał odpowiedź. Technik z nasłuchu powtórzył nazwę i numer ulicy.

Edmunds zadzwonił do Paryża.

- Sansborough nas przejrzała. Ma broń. Jest z nią ten zdrajca z MI-6. Wycofajcie ekipę z kryjówki i szukajcie ich w mieście. - Podyktował numer rejestracyjny samochodu i współrzędne z namiernika. - Nie włączajcie w sprawę policji. Nie spodoba im się, że szarogęsimy się na ich terenie.

Rozłączył się i odetchnął głęboko. Pozostała mu jeszcze jedna rozmowa. Najtrudniejsza.

- Panie Jaffa, mam nie najlepsze wiadomości...

32.

Paryż

Krętymi ulicami Montmartre'u zjechali na Pigalle, do paryskiej dzielnicy czerwonych latarni, niegdyś chętnie odwiedzanej przez Toulouse-Lautreca, Gauguina, Van Gogha i całą wiktoriańską szlachtę. Większość słynnych kabaretów zamknięto, ale nocą stara dzielnica - *quartier* - i tak tętniła życiem; obskurne bary i lokale ze striptizem, trafiki i spelunki działały w najlepsze.

Liz i Simon wypatrywali pogoni i miejsca, w którym mogliby porzucić peugeota, gdzieś na uboczu, z dala od głównych ulic, żeby nie rzucał się w oczy Maikowi i agentom z Langley. Na Pigalle panował ścisk, samochody jechały dosłownie zderzak w zderzak - osobowe, ciężarowe, a przede wszystkim taksówki, które, choć stanowiły nieodłączny element paryskiego systemu komunikacji miejskiej, były zarazem jego przekleństwem.

- Dobrze by było szybko coś znaleźć - mruknęła Liz.

Simon zerknął na nią kątem oka. Twarz miała ściągniętą, ale spokojną, oczy nienaturalnie duże, błyszczące i czujne. Niczego by nie przegapiły.

Gestem wskazała trzy taksówki, jadące jedna za drugą.

- Tak się zastanawiam... Te taksówki: nie zwraca się na nie uwagi, prawda? Przynajmniej w dużym mieście. Po prostu są i już, tak jak listonosze i zamiatacze ulic. - Opowiedziała Simonowi o kierowcy, który wiozł ją dwa razy jednego dnia. - Niewiarygodny zbieg okoliczności, nie uważasz? Przy takiej masie taksówek... Od tej pory jak tylko jakąś widzę, zaczynam myśleć, że każdy kierowca może mnie obserwować. To znaczy: nas.

Simon nagle zaklął i wduślił hamulec. Liz zaparła się o deskę rozdzielczą, zapięty pas werznął się jej w pierś. Mały fiat wpełznął się przed nich, o włos mijając błotnik peugeota.

- Widziałas ich twarze? - spytał Simon, ściskając mocniej kierownicę.

- Nie.

Liz wyciągnęła szyję, próbując dojrzeć coś w jaskrawym blasku neonów i reflektorów. Fiat zwolnił. Simon zdjął nogę z gazu. Z lewej strony wyprzedzały ich samochody. Zbliżali się do skrzyżowania.

- Skręcam - oznajmił spięty Simon.

- Dobrze. Ja popilnuję tego fiata.

Małe sportowe autka w rodzaju fiata, który zajechał im drogę, nie były popularne wśród pracowników wywiadu. Za bardzo rzucały się w oczy. Lepiej było mieć zwyczajnie wyglądający wóz z podrasowanym silnikiem. Ale, rzecz jasna, zdarzały się wyjątki, więc kiedy Simon z piskiem opon skręcił, Liz nie odrywała wzroku od fiata, który zatrzymał się przy krawężniku. Zza kierownicy wyskoczył mężczyzna w smokingu, podbiegł do drzwi od strony pasażera, otworzył je i podał rękę młodej kobiecie w krótkiej spódniczce. Wyśliznęła się zgrabnie z auta i spojrzała na niego wdzięcznie spod długich rzęs.

Liz odwróciła się z uśmiechem.

- Spokojnie. Ci dwoje mają zupełnie inne zmartwienia.

- A właśnie, skoro mowa o zmartwieniach... - Ruchem głowy wskazał jej zranioną rękę.

- To tylko draśnięcie. Kula poszła po skórze.
- Nareszcie się przyznałaś.
- Do tej pory nie wydawało mi się to istotne. Zabandażowałam ranę.
- Rana to rana i...

Liz odwróciła się do niego w fotelu.

- Przed chwilą minęliśmy wielopoziomowy parking. Jeżeli uda nam się przekonać strażnika, żeby nas wpuścił, moglibyśmy tam zostawić auto.

- Chyba warto spróbować.

W Paryżu, gdzie gęsto było od samochodów, miejsca na prywatnych parkingach zwykle wykupywano w abonamencie. Właściciele aut czekali miesiącami, a czasem i latami, aż jakies się zwolni. Przy takim obłożeniu parkingi nie musiały się reklamować, niektóre nie wywieszały nawet szyldu na zewnątrz. Liz zwróciła uwagę na wjazd, kiedy już go prawie minęli.

- Mogę schować uzi do twojej torby? - spytała. - Nie będzie się rzucało w oczy.
- Włóż też teczkę ze zdjęciami, dobrze?

Objechali cały kwartał domów i znów znaleźli się przed wjazdem na parking. Przez ulicę, klucząc wśród samochodów, przebiegła grupa podpitych wyrostków. Roztrąbiły się klaksony, a Simon, korzystając z chwilowego zamieszania, zajechał pod wjazd.

Wyszedł do nich strażnik; kręcił głową, robił groźne miny i wymachiwał rękami.

- *Non, non!* - wołał.

Był trochę niedogolony, ale miał na sobie czysty, odprasowany mundur. Szedł swobodnym, niedbałym krokiem, minę miał jednak stanowczą i oficjalną.

- Chcesz, żebym... - zasugerowała Liz, ale Simon już uchylił okno.
- Ja się tym zajmę - uspokoił ją. - *Bonsoir, monsieur.*

Emanował pewnością siebie, niezbędną do odegrania roli, którą na siebie przyjął. Mówił nienaganną francuszczyzną, ale strażnik był nieugięty.

- To prywatny parking - oznajmił z naciskiem, wykonując oburącz taki gest, jakby chciał wypchnąć peugeota z powrotem na jezdnię.

Simon uśmiechnął się do niego szeroko, swobodnie.

- Korzystam z miejsca wykupionego przez mojego przyjaciela - wyjaśnił. - Wyjechał na kilka dni do Nicei. Na pewno pana o tym uprzedził.

Strażnik nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Nie przypominam sobie, monsieur.

Simon skrzywił się i pokręcił głową.

- A to drań z tego Jean-Michela. Na pewno zapomniał panu powiedzieć. To nie pańska wina. Jean-Michel już taki jest. Czasem przesadza z tą nonszalancją, nie uważasz, kochanie? - spojrzał na Liz.

- Jest po prostu leniwy, *mon cheri* - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Nie można na nim polegać, bo tylko dziewczyny mu w głowie. To prawdziwy satyr. - Zerknęła na zegarek. - Możemy wjechać? Marie będzie niepokieszona...

- To prawda. - Simon spojrzał na strażnika. - I tak już zabraliśmy panu dość czasu, a jest pan pewnie zapracowany. Jean-Michel podał nam numer miejsca, więc damy sobie radę.

Strażnik obejrzał się przez ramię. W oszklonej budce czekał na niego termos z kawą i świeżutki croissant. Wiedział, co w życiu jest naprawdę ważne.

- *Merci beaucoup* - rzucił wesoło Simon i wjechał do środka.

- Co robi? - spytała Liz. - Idzie za nami? Dzwoni, żeby o nas zameldować? - Nie chciała się odwracać, żeby nie budzić podejrzeń strażnika.

Simon spojrzał w lusterko.

- Stoi i myśli. Marszczy czoło.

Pomalutku wprowadził peugeota po rampie na górny poziom. Samochody stały tak ciasno, że w żadnym nie dałoby się otworzyć szerzej drzwi.

- A teraz?

Simon odprężył się.

- Wrócił do budki, do termosu i croissanta.

Jechali dalej, szukając wolnego miejsca, ale dopiero na najwyższym poziomie Liz zdołała jakies wypatrzeć. Wjechali na nie i Simon wyłączył silnik. Nagle w garażu zrobiło się cicho. Nisko sklepiony i zatłoczony parking miał mniej więcej tyle wdzięku, co wnętrze mauzoleum, ale chwilowo był najbezpieczniejszą kryjówką. Simon i Liz odetchnęli z ulgą.

- Powinniśmy wymienić się informacjami - stwierdziła Liz, zerkając przez ramię. - Gdyby któremuś z nas coś się stało...

- Słusznie. Możemy na to poświęcić parę minut. Ty zacznasz.

- Nie, teraz twoja kolej. Opowiedz mi o morderstwie barona. Wspomniałeś, że byłeś wtedy na tarasie?

Simon puścił kierownicę. Wcześniej już wytarł krew z knykcii, ale zadrapania pozostały. Na ciemnym parkingu zdawały się prawie czarne.

Odwrócił się do Liz i oparł plecami o drzwi, ale wcale nie był zrelaksowany. Siedział spięty, jakby w każdej chwili gotowy rzucić się w wir walki.

- Baron był obrażony - zaczął bez zbędnych wstępów. - I wściekły. Wydierał się na tego drugiego. Powiedział coś w tym stylu: „Naginanie prawa, by zarabiać pieniądze to jedno. Ale zabijanie ludzi to już co innego”. Potem oskarżył go o zamordowanie kilku osób: Terrilla Leaminga w Zurychu, jakiejś kobiety w Londynie i mężczyzny w Paryżu. To jest oczywiście lista ofiar szantażysty.

- Tak.

Biedna Tish. Przed oczami Liz stanęła jej miła twarz i poduszka elektryczna na oparciu fotela...

- Stwierdził, że musiał być głupi, żeby dać się w to wciągnąć. Zapytał, ilu jeszcze ludzi musi zginąć, i wspomniał coś o miejscu, które się nazywa Drefbury. Potem powiedział coś takiego: „Zapłacę ci, ale tylko za kartotekę Drapieznika”. Ostrzegł tego faceta, że bez kartoteki jego gość nie ma co liczyć na przychyłność banku. Groził też, że o wszystkim powiadomi Spirale. Nie wiem, czym lub kim jest Spirala, ale chwilę później usłyszałem strzał. Cichy, z broni z tłumikiem, co oznacza, że morderca był przygotowany na taki rozwój wydarzeń. Taki gigant bankowy jak de Darmond nie udziela prywatnych audiencji byle komu; w grę muszą wchodzić albo duże pieniądze, albo szantaż. Co nie zmienia faktu, że jego gość był już wcześniej jego klientem.

- Dopóki baron się nie rozmyślił, bo wtedy ich drogi się rozeszły. W paskudny dla barona sposób.

Simon pokiwał głową.

- Morderca powiedział coś, co może sugerować znajomość bardziej osobistą, nie tylko profesjonalną. Nazwał barona Hyperionem. Baron, rzecz jasna, miał wiele różnych tytułów, jak to zwykle bywa z francuskimi i angielskimi arystokratami, ale wśród nich nie ma Hyperiona. Sprawdziłem.

- Hyperion, tak? - Liz wyprostowała się w fotelu. - W Santa Barbara Kirk i dziekan donosili na mnie człowiekowi, którego nazywali Temidą.

- A co to ma do... - zdziwił się Simon.

- Hyperion i Temida byli tytanami.

- Jakimi tytanami?

- Boże, gdzie się podziało klasyczne brytyjskie wykształcenie? Starożytni Grecy wierzyli, że Ziemia i Niebo to prarodzice, z których związku narodzili się tytani. Bogowie pojawili się później. Byli dziećmi tytanów. - Liz z bijącym sercem wyjęła z torebki zwitek papieru. - Mam tu coś, co chciałam ci pokazać... Kiedy podniosłam tę leżącą na ziemi kurtkę, znalazłam w niej nie tylko telefon, ale też to.

Simon włączył lampkę, Liz wygładziła karteluszek i oboje się nad nim pochylili.

Telefon Kronos 16.00

- Kronos też był tytanem - zauważyła Liz. - To już trzeci. Trochę za dużo jak na zbieg okoliczności.

- Ilu było tytanów?

- Głównych... sześcioro. Kronos był wśród nich najważniejszy. Rządził wszystkim, dopóki nie zdetronizował go Zeus, jego syn.

- Cholera jasna, na sam dźwięk słowa „tytan” czuję się jakoś nieswojo. Kojarzy się z władzą, i to nie byle jaką. Baron de Darmond na pewno miał taką władzę.

- Człowiek, który mną manipulował, Temida, również. Ale co te imiona oznaczają? Przynależność do jakiejś grupy?

- Do klubu towarzyskiego? Do bractwa? Stowarzyszenia miłośników dobrych alkoholi?

- Wszystko jest możliwe. Ale wiemy już, że coś łączy nie tylko barona i Temidę, ale także Kronosa i jednego z ludzi, którzy byli z Sarah i Asherem w magazynie.

- Ciekawe, kto płaci: porywacze czy szantażysta.

Skinęła głową, ale myślami była już gdzie indziej.

- Jak myślisz, o co chodziło z tym Dreftbury? W Szkocji jest słynny ośrodek golfowy o takiej nazwie. Kiedy byłam mała, zatrzymaliśmy się tam w hotelu i odwiedziliśmy przyjaciół mamy, którzy mieszkali w okolicy. Może baron i szantażysta chcieli się spotkać w Dreftbury. Tylko kiedy? Może Tytani to jakiś elitarny klub golfowy. Gdybyśmy to wiedzieli, można by zgadywać, kiedy szantażysta się tam pojawi.

- A niech mnie! - wykrzyknął podekscytowany Simon. - Powinienem był się domyślić! Chodzi o spotkanie Nautilusa.

- Nautilusa?

- W tym roku zaplanowali spotkanie w Dreftbury. Nautilus to cicha, ale bardzo wpływowa organizacja grubych ryb przemysłu i finansjery. Baron ze swoim majątkiem świetnie by tam pasował. Biorąc pod uwagę, ile się w prasie trąbi o spotkaniu grupy G8, powinienem był to skojarzyć. Bo widzisz, Nautilus zawsze zbiera się w weekend przed spotkaniem G8, ponieważ wielu jego członków jedzie potem na ten szczyt. A szczyt zaczyna się w poniedziałek w Glasgow, niedaleko Dreftbury. Z tego wniosek, że Nautilus spotka się jutro po południu.

Zebranie grupy G8 było nieoficjalnym spotkaniem na szczycie przywódców siedmiu najbogatszych państw świata - Francji, Japonii, Kanady, Niemiec, Stanów Zjednoczonych,

Wielkiej Brytanii i Włoch - oraz Rosji. Uczestniczyli w nim także wysocy rangą urzędnicy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, ONZ, Banku Światowego i Światowej Organizacji Handlu.

Liz chwyciła torebkę i sięgnęła do klamki.

- Musimy tam być! I to...

Zamarła, nasłuchując. Simon spojrzał na nią.

- Ja też to słyszałem.

Wyciągnęli broń. Liz dostrzegła snop światła latarki.

- To strażnik.

Jasna smuga prześliznęła się po innych samochodach, aż w końcu zatrzymała się na peugeotcie. Oślepiający blask zalał wnętrze auta.

- *Sacre bleu!* - zaklął strażnik. - Co wy tam robicie?

- Jest lepszy, niż myślałem - mruknął Simon. - Zapamiętał samochód.

Wysiadł, trzymając się sauera za plecami, i skulił się w świetle latarki.

- Czym mogę służyć, monsieur? - zapytał bezbłędym francuskim.

Strażnik spojrzał na niego z gniewem, ale opuścił latarkę, żeby go nie oślepić. Dopiero teraz Simon zauważył, że w drugiej ręce ma pałkę.

- Czekałem, aż państwo wyjdziecie - mruknął. - A tu nic. Wie pan, Pigalle bywa czasem nieprzyjemny. Pomyślałem, że może coś się państwu stało.

- Musieliśmy z żoną porozmawiać. Proszę się o nas nie martwić.

- *Non, non.* A co by było, gdyby któryś z klientów zgłosił kradzież? Nie wyglądacie mi państwo na złodziei, ale kto to dziś może wiedzieć... Proszę wyjść albo wyjechać. - Wskazał schody i parking. - Nie obchodzi mnie, co państwo wybieriecie, ale macie stąd zniknąć. Bo wezwę policję.

Liz wysiadła, trzymając w jednej ręce torebkę, a w drugiej torbę Simona. Spojrzała na niego nad dachem peugeota.

- W porządku, Homerze. - Uśmiechnęła się. - Jestem głodna jak wilk, a poza tym i tak się już spóźniliśmy do Marie. Czas na nas.

Simon mrugnął do niej i odwrócił się do strażnika.

- To ona tu rządzi.

Kiedy odeszli od auta, Liz podała mu torbę. Gdy tylko znaleźli się na klatce schodowej, usłyszeli kroki strażnika, który po rampie wracał do swojej budki. Simon schował pistolet do torby, ale jej nie zapiął. Uśmiechnął się do Liz.

- Nigdy nie myślałem o sobie w ten sposób: Homer.

- Powiedziałaś, że ja tu rządzę - odparła Liz. - Jesteśmy kwita.

Parsknęła śmiechem i pierwsza zaczęła schodzić po schodach. Wesołością starała się maskować niepokój: rozpaczliwie potrzebowali bezpiecznego kąta i fachowca, który pomógłby im się zorientować w sfotografowanych przez Simona dokumentach. Miała wrażenie, że są o krok od odkrycia tajemnicy wszystkich niedawnych morderstw, a także znalezienia kartoteki i uwolnienia Ashera i Sarah - jeśli jeszcze żyli. Przyspieszyła.

Nie doszli nawet do następnego podestu, kiedy się zatrzymała. Uśmiech znikł z jej twarzy. Z dołu dało się słyszeć lekkie kroki na schodach.

- Jest ich kilku - szepnął Simon. - I starają się iść cicho.

- Może to przypadkowi ludzie.

- A może nie.

Mając świeżo w pamięci krwawą jatkę w magazynie, Liz zbiegła na trzecie piętro. Simon deptał jej po piętach. Wybiegli z klatki schodowej i w ukryciu, czekali.

33.

Prometeusz - mężczyzna średniego wzrostu i przeciętnej wagi ciała - który mimo sześćdziesięciu lat cieszył się doskonałym zdrowiem biegł wzdłuż ciemnego brzegu Sekwany. Spływał potem, ale to mu nie przeszkadzało. Od młodości kochał sport: tenis, golfa i bieganie. Twarz miał śniadą i ogorzałą - długie lata spędził przecież na słońcu.

Słynął ze swojego majątku, miękkiego serca i platynowego wizytownika, ale w istocie był samotnikiem i miał paskudny charakter. Ludzie, których zatrudniał, doskonale znali jego wybuchowy temperament. Pięć razy się żenił i pięć razy rozwodził. Teraz mieszkał sam - a to w Nowym Jorku i Paryżu, a to w Londynie i Rzymie. Był jednym z największych spekulantów na amerykańskich rynkach finansowych, pionierem w stosowaniu nowego środka inwestycyjnego, funduszy asekuracyjnych, o których w dawnych czasach, kiedy Prometeusz zaczynał karierę, mało kto słyszał.

W białych szortach, koszulce i butach marki Nike minął słynne nadrzeczne stragany z książkami. Nie wyróżniał się skłonnością do autoanalizy, więc nie zastanawiał się specjalnie, dlaczego akurat w tej chwili ma ochotę pobiegać. To nie miało nic wspólnego z wcześniejszymi wydarzeniami, między innymi z tym, że stan Nowy Jork zamierzał pozwać

go do sądu. Zarzucano mu, że korzystał z usług Darmond Brokerage w zamian za korzystne oferty zakupu akcji.

W niczym nie zmieniało to jednak faktu, że był wściekły i bardzo zaniepokojony. W pozwie podano, że, prowadząc operacje finansowe InQuoksa, swojej oficjalnej firmy inwestycyjnej, za pośrednictwem biura maklerskiego Darmond Banku otrzymywał w zamian nader korzystne warunki zakupu akcji na rynku pierwotnym. W żargonie Wall Street takie pokątne wynagradzanie prezesów i dyrektorów powszechnie nazywano „nakręcaniem”.

Nowojorski prokurator generalny żądał orzeczenia grzywny w wysokości dwudziestu ośmiu milionów dolarów, bo tyle właśnie, jego zdaniem, zarobił Prometeusz na sprzedaży przyznanych w trybie preferencyjnym akcji. Ale nie koniec na tym. Skurczybyk żądał dalszych pięciuset milionów - coś podobnego! - za rzekome profity ze sprzedaży akcji InQuoksa. Adwokat przeczytał Prometeuszowi fragment artykułu, który ukazał się w gazecie (oficjalne zawiadomienie o procesie jeszcze do biur InQuoksa nie dotarło): „Akcje zostały nabyte bezprawnie, dzięki pomocy analityków domu maklerskiego Darmond Bank, który brał udział w oszustwie”.

Kilka razy spotkali się z prokuratorem na przyjęciach w Metropolitan Museum of Art, na które Prometeusz zawsze wpadał, kiedy był w Nowym Jorku. Należał do zarządu muzeum - a z tego powodu on sam i jego wizytownik cieszyli się ogromnym zainteresowaniem. Prokurator był małym, cwany i chorobliwie ambitnym człowieczkiem.

Przy każdym uderzeniu stopy o asfalt mięśnie Prometeusza protestowały bólem, co tylko podsycalo jego złość. Zbyt wiele zważyło mu się na głowę, i to w chwili, gdy powinien skoncentrować się na zawarciu skomplikowanej umowy z jednym z krajów dawnego bloku wschodniego. Ta transakcja mogła mieć kluczowe znaczenie dla przyszłości InQuoksa, zapewnić mu przyczółek do dalszych działań na tamtejszych płynnych i słabo uregulowanych rynkach finansowych.

Zdegustowany i zmęczony zwolnił i kiwnął na Raoula i Rogera, dwóch ochroniarzy, którzy dotrzymywali mu kroku. Obaj byli zdyszani i czerwoni na twarzach. Raoul podał mu butelkę evian.

- Mam wezwać samochód, panie Hornish?

- Nie. Przejdę się.

Prometeusz - Richmond Hornish - napił się wody i odrzucił butelkę Raoulowi, nawet jej nie zakręcając. Woda chlapnęła na koszulę ochroniarza i bluzkę kobiety, która przechodziła obok, prowadząc za rękę małego chłopca. Kobieta krzyknęła odruchowo i odciągnęła dziecko na bok. Wyraz twarzy Raoula pozostała obojętna.

Zadowolony Hornish zawrócił i skierował się do swojego *hotel particulier*. Udał, że nie słyszy adresowanych do kobiety przeprosin Raoula, i wyciągnął rękę. Roger natychmiast podał mu miękki, frotowy ręcznik. Hornish wytarł twarz, szyję i kark, kiedy zadzwonił jego prywatny telefon, przypięty tym razem do paska Rogera. Sięgnął po niego i zniecierpliwiony machnął ręką. Ochroniarze posłusznie oddalili się, by nie słyszeć rozmowy.

Hornish odetchnął głęboko i odebrał telefon.

- Prometeusz, słucham.

*

- Gdzie jesteś?

- Nadal w Paryżu. A co?

- Musimy się spotkać. Wszyscy, cała Spirala. U mnie w Londynie, za dwie godziny.

- Będę. Co z tą cholerną kartoteką?! Myślałem, że kiedy następnym razem zadzwonisz, powiesz mi, że się znalazła.

- Nie masz teraz innych zmartwień? Podobno jakieś kłopoty w Nowym Jorku?

- Kłopoty? Sprawy sądowe to po prostu nieodłączny element biznesu. Długo się nie odzywałeś, Kronosie. Co z kartoteką? Czyżbyś próbował załatwić tę sprawę na własną rękę?

- Obaj wiemy, że zarzuty, które ci postawiono, nie są błahe. Poza tym masz też proces w Kalifornii. Chyba będziesz musiał zaciągnąć kredyt.

- Być może. Ale raczej nie skorzystam z usług Hyperiona, prawda?

*

Dyskretny, ekskluzywny Travellers Club mieścił się w eleganckim dworku w centrum miasta, niedaleko Pól Elizejskich. Atlas jak przez mgłę przypomniał sobie, że w XIX wieku jego właścicielką była słynna podróżniczka i poszukiwaczka przygód, markiza, której nazwiska nie potrafił zapamiętać. Siedział teraz w salonie przy nakrytym lnianym obrusem stole i sączył indyjską herbatę z filiżanki. Okna były daleko, w przeciwległej ścianie, co zmniejszało prawdopodobieństwo podsłuchu elektronicznego z zewnątrz budynku. Stoliki i fotele w eleganckim salonie rozstawiono w sporych odstępach, by zapewnić gościom odrobinę prywatności.

Wysoki, chudy Atlas siedział zgarbiony nad filiżanką herbaty i usiłował nie okazywać zniecierpliwienia. Czekał na komisarza Unii Europejskiej do spraw konkurencji, Carla Santarosę. Od jego decyzji zależało, czy firma Gilmartin Enterprises będzie mogła zawrzeć wartą czterdzieści miliardów dolarów transakcję i odzyskać dominującą pozycję na światowym rynku budowlanym.

Spojrzał na zegarek. Łobuz z UE się spóźnił.

W wyłożonym ciemną boazerią gustownym wnętrzu Atlas - inżynier - prezentował się nie najlepiej: był ubrany w zwyczajny garnitur, masywne półbuty, białą koszulę i firmowy krawat Stanforda. Środkowy palec prawej ręki miał umazany atramentem. Na stole położył kalkulator i telefon komórkowy. Mimo że jego majątek szacowano na blisko miliard dolarów, nie przywiązywał wielkiej wagi do luksusu. Lubił Travellers Club za dyskrecję, nie za elegancję. Odpowiadała mu jego atmosfera, ale przede wszystkim cenił sobie, że lokal wywierał odpowiednie wrażenie na ludziach, z którymi on prowadził interesy.

Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat, ale już cierpiał na nadciśnienie. Bezpretensjonalnością i pozornym spokojem maskował przenikliwość i niezaspokojoną ambicję. Trudno mu się było dziwić: jego pradziadek budował tamę Hoovera, dziadek zaś zasłynął jako Zasłużony Przemysłowiec II wojny światowej - kierował należącymi do koncernu stoczniami, które mimo trudnych wojennych warunków wyprodukowały wiele okrętów. Ojciec Atlasa przebił ich obu: budował rurociąg na Alasce, a w 1991 roku, po wojnie w Zatoce Perskiej, brał udział w gaszeniu płonących szybów naftowych. Kiedy spośród trzech synów wybrał Atlasa na dziedzica rodzinnego imperium, Gilmartin Enterprises był niekwestionowanym liderem na światowych rynkach przemysłowych, ale od tamtej pory stracił część rynku na rzecz nowych firm, bardziej agresywnych i chętnych do fuzji.

Atlas nie był jednak finansistą, lecz inżynierem, potomkiem starego inżynierskiego rodu. Podobnie jak jego przodkowie, rządził Gilmartin Enterprises żelazną ręką - ale w przeciwieństwie do nich nie wpłynął jakoś szczególnie na wizerunek firmy. Przed nikim by się nie przyznał, jak bardzo go to trapi. Ale teraz wszystko miało się zmienić.

Kiedy zadzwonił telefon, komisarz był już tak spóźniony, że to nie mogła być dobra wiadomość.

Dzwonił asystent Santarosy. Z przeprosinami.

- Komisarz bardzo pana przeprasza, senhor Gilmartin.

Atlas - Gregory Gilmartin - odparł bez zająknięcia:

- Proszę mu powiedzieć, że jestem rozczarowany.

Palcem wskazującym wolnej ręki jak skalpelem nakreślił linię na obrusie.

- Senhor Santarosa również - odpowiedział asystent po angielsku, ale z wyraźnym obcym akcentem. Komisarz był Portugalczykiem i miał portugalskiego asystenta. Dwaj mali ludzie z małego, nic nieznaczącego kraiku.

- Spodziewam się, że jutro znajdzie dla mnie czas - stwierdził lodowatym tonem Gilmartin. - Proszę mu to przekazać.

Asystent się zawahał.

- Nie mogę...

Gilmartin poczuł, że włączył się wibrator w drugim telefonie, który miał w kieszeni na piersi.

- Proszę mu to przekazać! - warknął i rozłączył się. Zerknął badawczo na pozostałych gości w salonie, po czym wyjął drugi aparat i odwrócił się do ściany.

*

- Tu Atlas.

- Nadal jesteś w Paryżu?

- Oczywiście. Co nowego?

- Musimy się spotkać. Za dwie godziny u mnie, w Londynie.

- Jest późno. Skąd ten pośpiech, Kronosie?

- Chodzi o kartotekę. Być może będziemy musieli zmienić strategię.

- Nie jestem zaskoczony. Gmach oparty na wątych fundamentach musi runąć.

- Co to niby ma znaczyć?

- Nigdy nie wierzyłem w istnienie kartoteki. Niewykluczone że gonimy za zjawą.

*

Nieopodal barokowego kościoła Świętego Ludwika znajdował się jeden z ulubionych domów Okeanosa, przepiękna kamienica, zbudowana przez francuskiego diuka za panowania Ludwika XIV, a teraz należąca do Eisner-Moultona.

Pólnagi Okeanos siedział na empirowym krześle w wysoko sklepionej sypialni i usilnie starał się o niczym nie myśleć. Cecily podśpiewywała sobie w kąpielni, szykując się na spotkanie z nim. Był żwawym pięćdziesięcioletniakiem, miał gęste, ciemne włosy, pruski nos, którym Bismarck byłby zachwycony, i krzepkie ciało, któremu nie pozwolił obrosnąć tłuszczem. Miał również nieodparty urok osobisty i żelazną wolę, dzięki czemu brylował zarówno na wystawnych obiadach, jak i na zebraniach zarządu.

Przed godziną łyknął niebieską pigułkę. Zwykle tyle czasu wystarczyło aż nadto, ale tego dnia miał wątpliwości. Wieczorny upał zdawał się uderzać o szyby i wprawiać je w wibracje. Wentylator nad łóżkiem kręcił się leniwie i przez chwilę Okeanos miał wrażenie, że znajduje się w egzotycznym kraju, gdzieś na Dalekim Wschodzie... Może w tętniącym życiem Pekinie albo wielobarwnym Szanghaju, gdzie Eisner-Moulton otwierał właśnie nowe fabryki samochodów. Tam mógłby spokojnie skoncentrować się na ekscytujących problemach rozwoju zakładów.

Dwie dekady wcześniej był najsłynniejszym europejskim wunderkindem. Niemal z dnia na dzień przestawił niemieckie Eisner Motorwerks z produkcji niezgrabnych, dymiących

sedanów na wytwarzanie smukłych maszyn z potężnymi silnikami, którymi aż chciało się jeździć. Później jego imperium rozwijało się błyskawicznie. Wychodził obronną ręką z kryzysów w branży i zawsze przodował we wprowadzaniu nowinek, aż przekształcił Eisnera w międzynarodowy koncern produkujący samochody osobowe, ciężarówki i samoloty. W latach dziewięćdziesiątych wykupił Clarke Motor Company, podupadającego amerykańskiego producenta luksusowych limuzyn, a następnie doprowadził do fuzji z francuskim Moultonem. Dzięki temu teraz Eisner-Moulton był obecny na całym świecie i produkował pojazdy wszelkich możliwych klas i typów.

Ostatnio jednak koncern - a wraz z nim także sam Okeanos - znalazł się w tarapatach. Zawinił nadmierny optymizm. Kto mógł przewidzieć tak dramatyczną recesję? W dodatku tak długotrwałą?

W styczniu Okeanos musiał rozłożyć straty działu elektroniki użytkowej - bagatela: miliard sto milionów euro - między inne firmy koncernu. W marcu okazało się, że fabryki Eisner-Moultona w Stanach zaciągnęły dwukrotnie wyższe kredyty, niż przewidywali analitycy. W maju na koncern spadł trzeci cios: Okeanos musiał zamknąć Koekker Air, holenderskiego producenta samolotów, który ledwo wiązał koniec z końcem. Eisner-Moulton był właścicielem pięćdziesięciu jeden procent akcji Koekkerera. Ogłoszenie jego upadłości oznaczało kolejną stratę w budżecie, tym razem w szokującej wysokości ponad czterech miliardów euro. A całkiem niedawno okazało się, że Truckliner America, inna z firm koncernu, ma około miliarda euro długów. Minęło zaledwie pół roku, a straty sięgnęły ponad ośmiu miliardów.

Zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Przypomnił mu się Claude de Darmond. Liczył na cichy kredyt z jego banku, który pozwoliłby Eisner-Moultonowi przetrwać ciężkie czasy i poszukać szansy w innych branżach, zwłaszcza na nowych rynkach wschodnioeuropejskich. Potrzebował pieniędzy. Pomyślał o kłopotach Citibanku z Departamentem Sprawiedliwości, o zarzutach prania pieniędzy, przedstawionych Bank of America, o wewnętrznych rozgrywkach w Deutsche Banku. Gdzie on teraz znajdzie bank dostatecznie duży, wyrozumiały, taktowny i solidny...

- Christian! - zawołała przymilnie Cecily.

Okeanos - Christian Menchen - podniósł głowę. Cecily wyszła z łazienki, ubrana tylko w jakiś przezroczysty ciuszek. Krew zakipiała mu w żyłach, kiedy wykręciła zgrabny piruet. Była niesamowita, fascynująca jak tylko młoda dziewczyna być potrafi, zanim pozna pełnię swoich możliwości i zrozumie, jakie robi wrażenie. Delikatny materiał zawirował w powietrzu. Okeanosowi zaparło dech w piersi. Na lewym pośladku Cecily miała tatuaż:

zwinięty, węzowy ogon. Z miejsca, w którym stał, dobrze czuł jej zapach, zmieszany woń piżma i fiołków. Wyobraził sobie, jak perfumowała najbardziej intymne części ciała.

Uderzyła go fala gorąca, ale nie ruszył się z miejsca. Uwielbiał to uczucie.

Cecily zadarła peniuar i odwróciła się do niego plecami. Szmaragdowy ogon zdawał się wyrastać wprost z jej zaróżowionego tyłeczka, owijał się wokół biodra, sięgał na brzuch i tuż nad jasnymi włosami łonowymi zmieniał się w ryczącego czerwonego smoka.

Okeanos z trudem przełknął ślinę. Zapomniał o wszystkich problemach. Te włoski były takie jasne, prawie białe. Nie pamiętał już, jak ona niewinnie wygląda. Jak dziewczynka.

Zrobił trzy szybkie kroki, złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Zachichotała, udając, że chce się wyrwać.

- *Non, non*, Christian. Przerażasz mnie!

Była jak francuskie ciasteczko, pachnące kobiecą słodyczą i wilgocią.

- *Bon* - mruknął gardłowo. - Bój się.

Cecily parsknęła śmiechem. Ugryzł ją w szyję. Jęknęła, a wtedy odchylił jej głowę do tyłu i przycisnął usta do jej ust.

*

Dwie godziny później popijała szampana i biegła półnaga po sypialni, trajkocząc wesoło i wkładając kolejne części garderoby. Okeanos leżał na łóżku i śledził ją czułym spojrzeniem. Gdyby poprosiła o brylantowy diadem, rozważyłby jej prośbę. Wiedział jednak, że jest zadowolona - ba, nawet wdzięczna - z tysiąca euro, które przed wyjściem wetknął jej dyskretnie do torebki. To też mu się w niej podobało: naprawdę go lubiła.

Było mu dobrze - bo kto by się nie czuł dobrze po dwóch porządnych orgazmach? Zawdzięczał je okrucinowi pragmatycznej magii: niebieskiej pigułce. Do jednego nie byłaby mu potrzebna, ale do dwóch - już tak. I była warta swojej ceny.

Zadzwoił telefon komórkowy. Okeanos sturlał się z łóżka, ale Cecily pierwsza sięgnęła do kieszeni jego kamizelki.

- Zostaw! - ryknął.

Zamarła. W jej ogromnych oczach odmalował się prawdziwy strach.

- Ale Christianie...

Podszedł bliżej i stanął przed nią nagi.

- Nigdy więcej go nie dotykaj. Nigdy! - Wyrwał jej komórkę z ręki i odebrał telefon. - Chwileczkę - powiedział. Wyjął portfel. - Zbierz swoje rzeczy. Zadzwoię, kiedy będziesz mi potrzebna.

Cecily posłusznie pozbierała ubranie, a Christian odprowadził ją do drzwi. Po drodze wcisnął jej w dłoń plik euro. Całując ją ostatni raz, znów poczuł przyływ męskich sił, tak dla niego ważny. Stojąc w progu, przyglądał się, jak wkłada bieliznę, poprawia spódnicę i odrzuca do tyłu złote włosy.

Pomachała mu, radosna, ze schodów na pożegnanie. Wiedział, że tylko udaje, wiedział cały czas, ale teraz, kiedy mógł wrócić do swojego świata, wcale się tym nie przejmował. Zamknął drzwi i podniósł telefon do ucha.

*

- Okeanos, słucham. To ty, Kronosie?

- Tak. Musimy się spotkać. Za dwie godziny u mnie, w Londynie.

- Jak wygląda sprawa kartoteki?

- Niewiele nowego mam do powiedzenia. Porozmawiamy na spotkaniu.

- Z pewnością. Tracimy tylko czas, a powinniśmy za wszelką cenę załatwić tę sprawę.

Zgodzisz się ze mną, Kronosie?

- Chyba tak. Wszystkim nam zależy na znalezieniu kartoteki, prawda?

34.

Poirytowany César Duchesne wrócił do swojej taksówki z kubkiem mocnej kawy. Zatrzeszczała krótkofalówka, kiedy wydawał rozkazy i słuchał raportów swoich ludzi, którzy kręcili się po Pigalle, biorąc i wysadzając pasażerów, zwabionych nocną rozrywką, narkotykami, łatwym seksem i neonowym blichтром. Młodzi uważali Pigalle za ciekawą i modną dzielnicę. Durnie.

- Tu Guignot, jestem przy rue Duperre, róg Fromentin. Czekam na klienta. Peugeot jedzie dalej, do Douai.

- Trevale? - Duchesne wywołał następnego kierowcę. - Jesteś najbliżej.

- Biorę go.

Duchesne rozsyłał kierowców od boulevard de Clichy na południu aż po szczyt Sacré-Coeur, ale za każdym razem trafiali na niewłaściwego peugeot. Miał jedno stuprocentowo pewne zgłoszenie: sportowy peugeot wyjechał z Belleville, Childs prowadził, Sansborough siedziała na fotelu pasażera. Samochód pokluczył trochę, potem zjechał w głąb Pigalle - i zniknął w okolicach boulevard de Clichy. Od tamtej pory ślad po nim zaginął.

Duchesne wsiadł do wozu, zapalił silnik i włączył się do ruchu. Wróciły wspomnienia: inne taksówki, inne miasta, miłosa gorączka, zapach perfum. Berlin. Zurych. Rzym. Londyn. Nowy Jork. Las Vegas. Los Angeles. Tyle ich było... Nazwy same przychodziły mu do głowy. Widział te miasta oczyma wyobraźni, ale na wizję nakładał się obraz twarzy żony - symbol szczęśliwej przeszłości, która skończyła się wraz z jej odejściem. A wszystko z powodu kartoteki Drapieznika.

Langley

Podenerwowany i sfrustrowany Frank Edmunds przeczesał palcami włosy. Jego ludzie zgubili Sansborough. W chaotycznie krzyżujących się ulicach Pigalle i wśród przewalających się nimi tłumów agenci CIA się pogubili. Zanim dotarli na skrzyżowanie, z którego pochodził ostatni potwierdzony przekaz, po samochodzie nie było śladu. Zniknęli również Childs i Sansborough, nie było ich ani na ulicy, ani w sklepach. Dziesięciu ludzi cały czas ich szukało, pieszo i w samochodach, a on mógł tylko czekać i gryźć paznokcie. Wkrótce będzie musiał złożyć kolejny raport panu Jaffie. Wcale mu się do tego nie spieszyło.

Paryż

Odgłos kroków na schodach. Tuż obok, a potem dalej. Simon i Liz wychylili się w ostatniej chwili, aby zobaczyć, że dwóch idących na górę ludzi ma karabiny, a prowadzi ich trzeci z włączonym notebookiem.

- To Malko! - Liz zatrzęsała się ze złości. - Znow namierzył peugeota!

Simon zaklął półgłosem.

- Musiał mi podczepić drugi nadajnik.

Bezszelestnie ruszyli dalej, w dół. Simon wziął do ręki uzi. Z satysfakcją przysłuchiwał się dobiegającym z góry gniewnym okrzykom. Zabójcy znaleźli pusty samochód.

Uchylił drzwi wyjściowe z klatki i wyrzwał na zewnątrz. Zesztywniał i natychmiast je zamknął.

- Malko sprowadził całą ekipę. Czterech gości zostawił na straży. Są uzbrojeni po zęby. Moglibyśmy próbować się przebić, ale marnie widzę nasze szanse.

- Tym razem mają dość broni, żeby nas zatrzymać - przyznała Liz. Wyrzała za róg, gdzie, jak się zdawało, powinien być ślepy kąt garażu. - Tam są jakieś drzwi. Ledwie je stąd widać.

Podeszli do nich i Liz spróbowała przekręcić gałkę.

- Zamknięte. Psiakrew!

Z góry dobiegały odgłosy ożywionej dyskusji. Chwilę później rozległy się kroki na schodach.

W rękach Simona nagle pojawił się zestaw wytrychów.

- Moja kolej.

Liz odsunęła się od drzwi. Wyrzała za róg, wspięła się na palce i kolbą glocka stłukła lampę. Simon, który wypróbowywał jeden wytrych za drugim, musiał włączyć latarkę. Liz cofnęła się, zabrała mu ją i poświeciła na zamek. Simon był skupiony i całkowicie pochłonięty swoim zadaniem. Przy tak delikatnej robocie pośpiech był niewskazany.

Kroki rozległy się nad ich głowami; Malko i jego ludzie przeszukiwali wyższy poziom, co oznaczało, że Liz i Simon mają jeszcze trochę czasu. Mało bo mało, ale zawsze.

Metal cicho szczęknął o metal. Zamek ustąpił.

- Co za wyczucie czasu - szepnęła z podziwem Liz.

Weszli do następnego ciemnego pomieszczenia, ale nie mogli już zamknąć za sobą drzwi: od tej strony zamek był kompletnie przerdzewiały. Simon rzucił torbę pod drzwi, żeby choć na trochę powstrzymać ludzi Malka. Liz omiotła światłem wnętrze - jak się okazało - schowka na miotły, łopaty i części samochodowe. Pomieszczenie śmierdziało kurzem i smarem, drugiego wyjścia nie było. Niedobrze. Obejrzała dokładnie wszystkie ściany. Komórka była znacznie starsza od reszty parkingu: boazeria poczerniała z biegiem lat, a niezliczone stopy skruszyły wierzchnią warstwę ceglanej posadzki. Schowek przypominał piwnicę albo...

Simon zaklął pod nosem i zaczął się cofać do drzwi.

- To ślepy zaułek!

Liz złapała go za rękaw.

- Zabierz swoją torbę i natychmiast tu wracaj!

Za drzwiami dobiegła ich prowadzona przez krótkofalówki rozmowa: rozległy się na przemian głosy i trzaski zakłóceń. Otworzyło się wyjście pożarowe i tupot stóp ucichł. Prześladowcy zniknęli w głębi parkingu.

- Mamy mało czasu - Liz wzięła głęboki oddech.

- Z mojej strony jest to akt bezrozumnego zaufania - stwierdził Simon, niosąc torbę. - Oni zaraz wrócą.

- Jeżeli nas tu nie będzie, nie znajdą nas. - Liz oświetliła ścianę z lewej strony i zniknęła za stertą łysych opon. - Coś tu widziałam...

Podniosła z podłogi zardzewiały przedmiot, do złudzenia przypominający dużą olejarkę.

- Co to jest? - zdziwił się Simon, podchodząc bliżej.

Podąła mu żelastwo.

- Myślałam, że ty mi powiesz.

- Poświeć. - Obrócił przedmiot w rękach. - Rany! Przecież to pistolet maszynowy! Najprawdziwszy sten!

- Taką właśnie miałam nadzieję - mruknęła Liz, grzebiąc dalej w stercie złomu.

W czasie II wojny światowej Brytyjczycy zrzucali francuskiemu ruchowi oporu całe skrzynie tanich, szybkostrzelnych, masowo produkowanych stenów. Simon z podziwem oglądał zabytkową broń.

- Jeden z naszych najlepszych patentów. Ale ten ma niestety wygiętą lufę. Pewnie dlatego tu leży: ktoś go wyrzucił. - Zerknął na Liz. - A ty chyba masz nadzieję, że to była kryjówka.

Liz podniosła z posadzki poźółkły, kruszący się na brzegach kawałek papieru.

- Właśnie. Popatrz, to kolejny dowód: list gończy za jakimś bojownikiem, napisany po francusku i niemiecku.

- Jeżeli się nie mylisz, na pewno jest stąd inne wyjście.

Liz już się za nim rozglądała. Ruch oporu miał w Paryżu dziesiątki podobnych kryjówek, także w katakumbach i kanałach, w których jego członkowie mogli spokojnie spotykać się i planować akcje. Starali się przy tym tak maskować te miejsca, żeby Niemcy, natrafiwszy na rzekomy ślepy zaułek, szybko się zniechęcali i zrzucali poszukiwania.

Simon spojrzał do góry.

- Interesują cię ukryte zawiasy?

- Gdzie?

- Widziałas, jaki elegancki mają tu sufit? To chyba lekka przesada w takiej kanciapie.

Liz poświeciła we wskazane miejsce. Sufit rzeczywiście był ozdobny, podzielony na kwadratowe kasetony o przekątnej około siedemdziesięciu centymetrów i, podobnie jak boazeria i sten, czarny ze starości.

Simon wziął od niej latarkę.

- Patrz wzdłuż linii dzielącej kasetony. Widzisz? Wygina się na długości kilkunastu centymetrów, a potem znów jest prosta. Dwa zawiasy, praktycznie niewidoczne. Przypomina mi się salonik muzyczny w Oaten Place.

- Oaten Place w hrabstwie Kent był rodową rezydencją ich wspólnej babki, pani Childs z domu Oaten.

- Z sekretnym przejściem do sypialni? Pamiętam.

Wedle rodzinnej legendy cztery pokolenia wstecz hrabia Oaten zapalał miłością do nauczycielki muzyki, która pracowała z jego dziećmi. Wysławszy rodzinę na lato do Portofino, kazał zbudować sobie tajemne miłosne gniazdko.

Ułożyli stertę opon pod zawiasami. Liz ją przytrzymała, a Simon wspinał się na górę i zaczął obmacywać drewno przy zawiasach, aż bardziej poczuł, niż usłyszał cichy szcęk. Pchnął kaseton, który zaskrzypiał i otworzył się do góry. Do schowka wpadło czerwono-żółte światło. Simon ostrożnie wystawił głowę.

- Co widzisz?

- Na razie nic. Trzymaj opony. Podciągnę się.

Złapał się krawędzi i bez wysiłku, jak kot, wspinał na górę. Widząc, jak jego stopy znikają w otworze, Liz spytała szeptem:

- Co tam jest?

Odwrócił się do niej i uśmiechnął od ucha do ucha.

- Spodoba ci się.

- Potraktuję to z rezerwą.

Podala Simonowi ich rzeczy, a kiedy przyświecił jej latarką, odturlała opony na miejsce. Na schodach znów rozległy się głosy i kroki, i to coraz głośniejsze.

Liz wróciła pod klapę.

- Już jestem!

Podskoczyła z wyciągniętymi rękami. Simon złapał ją za nadgarstki i stęknął z wysiłku. Ona też chwyciła go za przeguby. Ból eksplodował w rannym ramieniu, ale zignorowała go. Nie teraz. Przez chwilę poczuła mdłości i lęk - jak wtedy, gdy wisiała bezradnie nad przepaścią w Santa Barbara. Simon poczerwieniał, żyły wystąpiły mu na szyi. Zamknął oczy, kiedy ją podciągał. Był to najpiękniejszy widok w jej życiu. Simon wykrzesał z siebie resztki siły i podciągnął ją ostatnich piętnaście centymetrów.

Klapnęła na ziemię jak wymęczona flądra.

- Dzięki. Potrzebowałam...

Zdyszany Simon przytknął palec do ust, zamknął klapę i przykucnął. Wpadające zza okna neonowe światło zatańczyło mu na twarzy.

Liz przyklękła obok niego. Nasłuchiwali.

Tym razem głosy dobiegły z dołu. Liz mocniej ścisnęła glocka i zerknęła na Simona. Poczwała ten sam lodowaty, znajomy strach, który zawsze niosło oczekiwanie na nieznane. Głosy jednak szybko ucichły. Nie było słyhać, żeby drzwi się zamknęły, ale mogły być po prostu za daleko.

Simon odetchnął z ulgą i rękawem otarł pot z czoła, zostawiając ciemną smugę brudu.

- Nieźle.

- Fakt, mogło być gorzej.

Adrenalina pulsowała Liz w żyłach jak rozpalona lawa. Spojrzeli na siebie. Zrozumieli się bez słów.

- Cholera jasna! - mruknęła Liz.

- Niech to szlag! - nie wytrzymał Simon.

- I wszyscy diabli!

- Chryste Panie, co mi do łba strzeliło, żeby w ten sposób zarabiać na życie?!

Uspokoili się i długą chwilę przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu.

- To były dwa bardzo długie dni - stwierdziła w końcu Liz.

- Co ty powiesz... Najgorsze, że dalej nie wiemy, gdzie jest kartoteka.

- I gdzie są Sarah i Asher.

- Niech to szlag!

Liz usiadła po turecku. Wyładowała się i poczuła lepiej.

- Często mówisz: „Niech to szlag”.

Simon osunął się na ziemię obok niej, wyprostował nogi, skrzyżował je w kostkach i podłożył sobie ręce pod głowę.

- Wcale nie, tylko przy specjalnych okazjach. Zresztą ty też często klniesz. Chociaż pewnie nie zauważyłaś.

- To wyjątkowa sytuacja. Chciałabym się najeść, wyspać i nigdy więcej nie myśleć o śmierci, zniszczeniu i chciwości.

Uśmiechnął się przekornie.

- No to jesteś we właściwym miejscu.

Najpierw popatrzyła do góry, dopiero później poruszyła głowę. W zawieszonych pod sufitem lustrach odbijało się olbrzymie podwójne łoże, przykryte narzutą z fioletowego aksamitu. U wezłowia leżały jaśki w kształcie męskich i żeńskich genitaliów, a ono samo

było ozdobione rysunkiem konia na biegunach, wyjątkowo hojnie obdarzonego przez naturę. Na ścianach wisiały obrazy mężczyzn i kobiet w najróżniejszych prowokujących pozach. Za jednymi uchylonymi drzwiami znajdowała się łazienka z sedesem i bidetem, za drugimi - mała kuchnia. Wszystko tonęło w ostrej neonowej poświacie, sączącej się do środka przez jedno duże okno.

Liz parsknęła śmiechem.

- Kto by pomyślał!

- Wyobraź sobie radość takiego partyzanta.

- Mowy nie ma.

Kłapa w podłodze znajdowała się za dużą komodą. Liz wstała. Widząc, co zamierza, Simon chciał jej pomóc.

- Nie trzeba. - Zaparła się biodrem o skrzynię. - Kobiety od tysięcy lat przestawiają meble.

Mimo to Simon pomógł jej i zgodnie pchnęli komodę. Kiedy dwiema nóżkami stanęła na klapie, Simon sprawdził, czy zasuwka na drzwiach wejściowych jest zamknięta, a potem przemknął do okna i przylgnął do ściany. Podbródek miał zarośnięty, włosy pokryte kurzem, ubranie brudne od smaru. Liz nagle przyszło do głowy, żeby zapytać go, jak złamał nos, ale rozmyśliła się, uklękła przy torbie i wyjęła z teczki trzy duże powiększenia fragmentów ściany w gabinecie barona.

- To ja trochę popracuję - oświadczyła. Przeniosła je bliżej okna, gdzie było więcej światła, i usiadła na podłodze.

35.

Simon wyjrzał na pływający się w karnawałowej atmosferze Pigalle. Na ulicy stało czterech mężczyzn, którzy od czasu do czasu przyglądali poły kurtek, jakby chcieli się upewnić, że nikt im nie ukradł pistoletów. Po chwili dołączyło do nich dwóch następnych: wyszli z parkingu, trzymając karabiny blisko ciała, żeby nie rzucały się w oczy. Za nimi wyjechał citroen. Wyglądał podobnie do tego, który wyprzedził Simona w drodze z château barona do Chantilly.

Opowiedział Liz, co widział w zamku; słuchała go, siedząc w pozycji lotosu nad rozłożonymi trzema zdjęciami. Z pochyloną głową wyglądała jak uczennica college'u, skoncentrowana na pracy domowej.

- Masz coś? - zainteresował się Simon.

- Niesamowita jest ta kolekcja osobistości, z którymi przestawał baron: od Marii Callas i Arystotelesa Onassisa, po George'a i Laurę Bushów. Przyjęcia, wakacje na jachcie, oficjalne spotkania, ważne wydarzenia polityczne, koronacje. Zdjęcia dokumentują bez mała pięćdziesiąt lat, a baron jest prawie na wszystkich. Biorąc pod uwagę, w jak doborowym towarzystwie się obracał, zachował pewnie umiar, bo mógł powiesić z dziesięć razy więcej takich fotek. - Liz podniosła głowę. Miała poważną, zatroskaną minę. - Jeżeli Temida i Kronos są postaciami podobnego formatu...

- Właśnie. Mogą być na tych zdjęciach, podobnie jak szantażysta. Ale którzy to?

- Dobre pytanie - Liz znów skupiła się na zdjęciach, mamrocząc coś pod nosem.

- Malko dołączył do ekipy - zameldował tymczasem Simon. - Wydaje polecenia. Szkoda, że nie umiem czytać z ruchu ust. Ale ten citroen wygląda znajomo... Malko wsiadł do niego. Odjeżdża.

Liz błędziła myślami gdzieś daleko.

- Twój ojciec i Grey Mellencamp byli szanowanymi politykami - stwierdziła. - Jeżeli słusznie zakładamy, że twojego ojca szantażowano, żeby zmusić go do głosowania w określony sposób, i jeżeli Mellencamp znalazł się w podobnej sytuacji, co jest bardzo prawdopodobne, bo był wtedy sekretarzem stanu, to właścicielowi kartoteki nie chodzi tylko o pieniądze. Co zresztą znajduje potwierdzenie w przypadku Terrilla Leaminga, który miał się podłożyć za barona.

- Tym razem też nie poszło o pieniądze. Była mowa o jakiejś „transakcji”.

Liz podniosła wzrok. Przez chwilę podziwiała profil Simona, wyrazisty podbródek, zdecydowany zarys ust, a potem wróciła do rzeczywistości.

- Zastanawiałeś się wcześniej, czy poza reklamą, jaką mojemu serialowi zrobiły media, były inne powody wypłynięcia sprawy kartoteki? Może masz rację? Może szantażysta jest wybredny i ucieka się do szantażu, tylko kiedy zależy mu na czymś konkretnym posunięciu, które pomoże mu załatwić jego własny interes?

- Tak jak w przypadku barona? Z baronem mu nie wyszło, podobnie jak z Greyem Mellencampem i moim ojcem. Trzy zgony. Nie wiemy natomiast, ile razy mu się udało.

- No właśnie. Jeżeli mamy rację i on też jest tytanem, łatwo nie zrezygnuje. Będzie parł do zawarcia tej swojej „transakcji” za wszelką cenę.

- Zgoda, ale nie zapędzajmy się za daleko, bo tracimy z oczu ważniejsze sprawy. Jesteś brudna jak świnka, jakby ktoś włókł cię za samochodem po błocie. - Widząc, że Liz cała się zjeżyła, dodał ugodowo: - Ja pewnie wyglądam jak po trzytygodniowym chlaniu non stop. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi, dlatego proponuję: umyjmy się, zjedzmy, jeśli coś tu znajdziemy, i spadamy stąd.

Poszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

- Jak mamy stąd spadać? - zapytała Liz, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Kiedy z łazienki dobiegł szum lejącej się wody, podeszła do okna. Na podjazd wcisnęła się furgonetka firmy kwiaciarskiej, całkowicie go blokując. Bocznymi drzwiami wysiadło z niej ośmiu ludzi. Liz poczuła, że żołądek kurczy jej się w lodowatą kulę: przybyły posiłki. Dwie pary rozeszły się na boki, do najbliższych przecznicy, trzecia wbiegła na parking, a czwarta zajęła pozycję po drugiej stronie ulicy. Liz obserwowała, co się dzieje, zdając sobie sprawę, że są z Simonem celem ataku oddziału uzbrojonych ludzi, którzy sprawiają wrażenie świetnie wyszkolonych, zdyscyplinowanych i zdecydowanych na wszystko.

Życie na ulicy toczyło się swoim zwykłym, hałaśliwym rytmem; milczący zabójcy gładko wtopili się w tłum. Na najbliższym rogu mim z pomalowaną na biało twarzą udawał nakręcanego ołowianego żołnierzyka; obok drugi, z czerwonym, ogromnym jak bania nosem, zręcznie żonglował czterema sporymi wibratorami; każdy z wibratorów miał inny jaskrawy kolor. Otaczał ich tłum rozbawionych gapiów.

Uwagę Liz zwróciły jednak przede wszystkim pobielone twarze obu mimów. Przypomniały się jej czasy, kiedy w Awinionie negocjowała ujawnienie się Drapieżnika. Przebierała się wtedy za wiejską przekupkę i głośnym krzykiem zachwalała swoje towary. Kiedy pewnego dnia ulicą przejeżdżał wędrowny cyrk, dołączyła do gawiedzi, żeby popatrzeć na klaunów, którzy fikali koziołki i z uniesieniem ściskali widzom dłonie. Przepchnęła się z rowerem do pierwszego rzędu i, zachwycona, zaczęła klaskać. Rower przewrócił się prosto na wymalowanego na biało klauna, przebranego za pulchnego marynarza.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, ale niemal od razu smutek wyparł wesołość. Nie miała czasu na wspomnienia.

W szafie znalazła lekkie spodnie, trochę przyduże, wciągana przez głowę bluzkę - również za dużą - i kurtkę, która w miarę na nią pasowała. Wszystko czarne, w sam raz na nocną eskapadę. Przebrała się szybko, zastanawiając się, kim też może być właściciel tego locum. Przeszukała biurko i wkrótce już знаła odpowiedź. Uśmiechnęła się pod nosem, pokręciła głową i wróciła do studiowania odbitek. Wyjęła z torebki żółty mazak i zakreśliła nim trzy zdjęcia przedstawiające barona z Greyem Mellencampem. Jedno z nich zrobiono

pewnie przed dziesięciu laty, drugie dobre dwadzieścia lat wcześniej, ale dopiero to trzecie, najstarsze, przyciągnęło jej uwagę.

- Chciałabym cię o coś zapytać - zagadnęła, kiedy Simon wyszedł z łazienki odświeżony, z marynarką przerzuconą przez ramię.

- Proszę bardzo - zgodził się, wchodząc do kuchni. - Mów, będę słyszał.

- Pamiętasz Childs Hall?

Kiedy jej rodzice wyjeżdżali „w interesach”, Liz przeprowadzała się do Childs Hall w Belgravii, gdzie Simon, jego rodzice, ich dziadkowie i jego przyrodni brat Michael mieszkali w rodzinnej rezydencji. Simon był malutki, kiedy jego matka wyszła za sir Roberta. Po śmierci dziadków i rodziców Simona w Childs Hall został tylko Michael z rodziną.

- Jak mógłbym zapomnieć? Dalej mają tam ten monstrualny stół w jadalni. Właściwie można by go przykleić do podłogi, i tak nikt nie da rady go wynieść.

- A co z eukaliptusowymi balami, które dziadek sprowadzał z północnej Afryki?

- Co roku we wrześniu dostajemy kilka kubików. Pojawiają się jak niezapłacony dług. Mick kultywuje wszelkie tradycje. Pamiętasz bawialnię na piętrze?

- Oczywiście!

- Twoje lalki nadal tam są, barbie i reszta bandy. Siedzą w twojej szafce, zupełnie jakbyś miała tam jutro wpaść, żeby podręczyć mnie i Micka. A potem faceci zaczną złazić się pod dom i podglądać cię przez okno.

- Tego nie było!

- Było, było. - Simon przyniósł z kuchni długą bagietkę z żółtym serem i kieliszek czerwonego wina. Podał je Liz. - Nabijałem się z nich. „No, mały, zmykaj”. A potem serwowałem im mój ulubiony tekst: „Widziałeś ją nago?” - Uśmiechnął się. - Poświęciłem dla ciebie moją młodość.

- To dlatego wiecznie kręciłeś się pod drzwiami mojego pokoju? - Liz ugryzła kawałek bagietki. - Chciałeś zobaczyć, jak się rozbieram?

- Byłem twoim impresario. Miałem obowiązki.

- Byłeś na najlepszej drodze, by zostać alfonsem. Albo szpiegiem - uśmiechnęła się mimo woli. - Świetnie się bawiliśmy. To były czasy.

Spojrzeni sobie w oczy.

- Dlaczego teraz o tym pomyślałaś? - zainteresował się Simon i wrócił do kuchni.

- Już ci mówię. - Liz z namysłem spojrzała na zdjęcie. - Jeżeli szantażysta faktycznie dąży do zawarcia poważnej transakcji i zależy mu na czasie, bank barona to zapewne tylko jeden z elementów układanki. W grę musi wchodzić jeszcze inna firma, instytucja czy

organizacja, może nawet niejedna. Pieniądze to nie wszystko. Trzeba też spełnić różne formalne wymogi i tak dalej.

- Chodzi ci o to, że z tą „transakcją” mogą się wiązać inne, wcześniejsze wydarzenia.

- I inne nieudane próby szantażu. Ofiarą mógł być człowiek, którego głos o czymś przesądza, który może zaaprobować określony plan działania albo podjąć inną decyzję, wpływającą na przebieg transakcji. I ten człowiek zmarł... niespodziewanie wycofał się, popełnił samobójstwo, zagłosował niezgodnie z przekonaniem i zdrowym rozsądkiem.

Liz napiła się wina, doskonałego *vin ordinaire*, i łączywie pochłonęła bagietkę. Simon wynurzył się z kuchni z drugą kanapką i kieliszkiem i stanął przy oknie.

- Do czego zmierzasz?

Liz strzepnęła okruszki, dopiła wino i podeszła do niego, trzymając w rękach jedną z odbitek. Wskazała najstarsze ze zdjęć zakreślonych mazakiem.

- Rozpoznajesz tu kogoś?

Simon spojrzał na fotografię i odgryzł kawałek bagietki.

- Stare. Kiedy je zrobiono?

- Widać, że jesteś młody. Ja obstawiam wczesne lata sześćdziesiąte, mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłam. Przyznam, że i ja nie od razu ich rozpoznałam.

Simon zmarszczył brwi.

- No... To jest baron, a to Grey Mellencamp i... rany! Wuj Henry! - Wepchnął do ust resztę kanapki.

- Tak mi się właśnie wydawało.

Henry, lord Percy, był mentorem sir Roberta. W rzeczywistości z Simonem i Liz nie łączyły go żadne więzy krwi, ale był ich ukochanym przyszywanym wujem, który spędzał Boże Narodzenia u Childsów w Londynie i często zapraszał całą rodzinę do swojej posiadłości w Northumberland - zimą na łyżwy, latem na łódki. Odwiedziny u wuja Henry'ego, który miał własne małe zoo i szmat ziemi dla miłośników konnej jazdy, pieszych wędrówek i pikników, zawsze były szczególną atrakcją dla dzieci.

- Właściwie wcale mnie to nie dziwi. Henry zawsze obracał się w doskonałym towarzystwie.

- Może nawet w lepszym, niż myśleliśmy. Żyje jeszcze?

- Tak, choć pewnie dobiega już setki.

- Jego posiadłość leży najwyżej trzysta kilometrów od Drefbury. To wygodne. Pamiętam, że czytywał po trzy gazety dziennie i nie przepuścił żadnemu tygodnikowi.

- Rzeczywiście. Lubił wiedzieć, co słychać w polityce. No i znał wszystkich ważnych ludzi.

- Mógłby nam pomóc. Może rozszyfrowałby tożsamość szantażysty.

- O ile jest w domu. Zresztą nawet jeśli go tam zastaniemy, nie wiadomo, czy nie ma kłopotów z pamięcią.

- Zadzwoń do niego. Jeżeli odbierze Clive, będzie wiadomo, że Henry jest w domu. Pamiętaj numer?

- Pewnie. Jest wyryty w mojej korze mózgowej. - Simon wyjął telefon. - Nic nie powiem, żeby nie denerwować ich bez potrzeby. Będziemy musieli jakoś się do nich dostać.

Wybrał numer. Liz obserwowała ulicę, obmyślając drogę ucieczki.

Nagle Simon skrzywił się i przerwał połączenie.

- Biedny Clive. Obudziłem go. Był wściekły jak osa.

- Świetnie. To znaczy, że nic się nie zmienił. Miejmy nadzieję, że Henry też nie. Ale na razie musimy się stąd wydostać. Może przejdziemy przez parking?

- Lepiej nie, chyba że chcesz się bić z trzema uzbrojonymi goliatami. Co jakiś czas widać dym z papierosa; stoją przy wjeździe. Na razie jesteśmy w potrzasku. A może zachciało ci się małej strzelaniny?

- Innym razem. Poza tym lepiej byłoby zmyć się po cichu i dyskretnie dotrzeć do Henry'ego, zamiast ściągać mu na głowę nasze kłopoty.

- W tej sytuacji to może być trudne - odparł Simon.

Nagle znieruchomiał, wpatrując się w coś, co działo się na ulicy. Liz podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Dwóch mężczyzn wyszło z parkingu, na wpół niosąc, na wpół wlokąc bezwładne ciało. Ktoś przykrył je kurtką, ale po odprasowanych spodniach rozpoznała strażnika. Kiedy mężczyźni przyspieszyli kroku, kierując się do toyoty, kurtka zsunęła się, odsłaniając twarz i zakrwawiony tors.

- Nie żyje - szepnął łamiącym się głosem Simon.

Jeden z bandytów ponownie okrył ciało kurtką. Wrzucili je do toyoty i zajęli miejsca po bokach. Trzasnęły drzwi.

- To jest to! - Simon chwycił telefon. - Dlatego zawsze trzeba trzymać rękę na pulsie. Sytuacja może się zmienić.

- Co? O co ci chodzi? - Liz rozejrzała się po ulicy. - Jaka sytuacja?

Uciszył ją gestem i po francusku, przerażonym tonem wykrzyknął do słuchawki:

- *Mon Dieu!* TERRORYŚCI! Strzelają do ludzi!

Przy placu Pigalle policji zdarzało się puszczać mimo uszu sygnały o naruszeniu prawa, ale nie zawiadomienia o morderstwie - zwłaszcza jeśli obywatel oskarżał o nie terrorystów. Simon opisał toyotę i furgonetkę z kwaciarni, a Liz tymczasem znalazła dla niego czarne dzinsy, koszulę i kurtkę. Przy odrobinie szczęścia za chwilę mogli być wolni.

Kiedy tylko skończył rozmawiać, rzuciła mu ubranie.

- Świetnie! A teraz się przebierz.

Spakowała teczkę, a obok wsunęła uzi - zniknęło w torbie. Musieli tylko uważać, żeby nie wpaść w policyjną sieć.

Simon, czerwony z emocji, pokręcił sceptycznie głową.

- Nasza gospodyni raczej nie ma ubrań dla mnie.

- Mylisz się. - Z szuflady biurka Liz wyjęła dwie fotografie w połączonych ramkach. - Znalazłam je, szukając ciuchów.

Simon ustawił zdjęcia w taki sposób, żeby padało na nie światło neonów. Jedno przedstawiało mężczyznę w garniturze i pod krawatem, drugie kobietę w wieczorowej sukni. Mężczyzna był przystojny, kobieta niewiarygodnie piękna.

- No, Sherlocku, powiedz mi, co widzisz.

- Mówisz serio?

- Pewnie. Ubrania potwierdzają moją teorię: damskie i męskie. Ten sam rozmiar. Nie czujesz się głupio?

Simon pochylił się nad fotografiami: ten sam wąski, prosty nos, płaskie kości policzkowe, dołeczek w podbródku.

- Mogliby być rodzeństwem.

Liz parsknęła śmiechem.

- On jest kobietą. Albo ona mężczyzną. Wiem, wiem, trudno jest się pozbyć uprzedzeń. Czy mój tata mówił ci kiedyś o „założeniach”?

Simon ściągnął buty.

- Nie, ale mam przecucie, że zaraz ty mi coś powiesz.

- Nie zakładaj zbyt wiele, powtarzał. Bo wtedy robisz durnia i z siebie, i ze mnie.

Zdjął spodnie i koszulę.

- Wuj Hal miał specyficzny sposób bycia i myślenia.

Liz odwróciła się tyłem. Przed oczami cały czas miała jego smukłe nogi i szeroką pierś.

W oddali zawyły syreny. Simon ubrał się pospiesznie. Nie wiedzieli jednak, czy radiowozy jadą do nich, czy gdzieś indziej.

Liz spojrzała na ulicznych mimów. Znów przypomniał się jej Cirque des Astres. Rodzice czasem korzystali z niego jako przykrywki, żeby dyskretnie przenieść się z miejsca na miejsce, tak jak tamtego dnia w Awinionie. Afisze, które widziała pod hotelem, ogłaszały, że wkrótce cyrk zatrzyma się na lotnisku Le Bourget, na obrzeżach Seine-St. Denis. Niedaleko - gdyby tylko udało im się wydostać z Pigalle. Ale teraz przynajmniej mieli szansę.

Kiedy Simon złapał torbę i podbiegł do drzwi, powiedziała mu o cyrku i o Garym Fauście, jego właścicielu, który mógłby przerzucić ich samolotem do Northumberland. Faust bardzo lubił jej matkę.

- To mi się podoba - przyznał Simon, chociaż bez wielkiego entuzjazmu, i wyjrzał na korytarz.

Liz przerzuciła torebkę przez ramię i wzięła od niego telefon.

- Zadzwoń do informacji, podadzą mi numer cyrku. A teraz biegiem na dół!

Zatelefonowała do biura numerów.

36.

Londyn

Pod osłoną nocy trzy czarne limuzyny zajechały w piętnastominutowych odstępach pod rezydencję przy Berkeley Square. Z każdej wysiadł jeden pasażer i ona natychmiast odjechała. Pasażerów witał Bibi, służący Kronosa. Prowadził ich do palarni, której uchylne okna wychodziły na ogród różany. Łagodny wietrzyk poruszał brokatowymi zasłonami.

Pachnący kubańskim cygarami pokój wyłożony był oryginalną mahoniową boazerią z XVIII wieku. Przyprowadziwszy ostatniego gościa, Bibi wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Kronos - sir Anthony Brookshire - stał przy barze i nalewał whisky do szklanek. Cieszył się z powrotu do domu, do starych skórzanych foteli i zgromadzonych przez przodków myśliwskich trofeów. Czuł się tu na tyle komfortowo, na ile mógł sobie pozwolić, mając głowę zaprzątniętą poszukiwaniem kartoteki Drapieźnika i potencjalną tego groźbą dla Spirali.

Wcześniej, kiedy przyjechali z Temidą, zostawił go w palarni, a sam poszedł na górę przebrać się w ulubiony kardigan i skórzane pantofle. Dziś nie obowiązywały stroje

wieczorowe. Spotykali się we własnym gronie, a wtedy nade wszystko liczyły się luźna atmosfera i zaufanie. To też był element tradycji Spirali.

Przebierając się, zerknął na żonę, Agnes, która zasypiała w łóżku nad książką o ogrodnictwie. Na widok zmarszczek, które na jego oczach pogłębiały się przez lata, poczuł przypływ nostalgii i smutku. On też się starzał. Co po sobie zostawi? Czy zostanie zapamiętany jako człowiek, który nie zdołał ochronić Spirali i całego świata przed niszczącym zagrożeniem, jakie niesła kartoteka Drapieznika?

Kiedy zszedł na dół, w palarni zastał już Prometeusza i Okeanosa stojących przy barze, Atlas zaś przysiadł się do Temidy, zajmując swoje tradycyjne miejsce na prawo od kominka. Dyskutowali o ostatnim kryzysie energetycznym.

- Ceny ropy są zawyżone: ponad trzydzieści cztery dolary za baryłkę - burknął Gregory Gilmartin po angielsku. Uzgodnili, że w tym języku będą się toczyć rozmowy na spotkaniach Spirali. - Przez to drożeje energia elektryczna, zamykają się stacje benzynowe, a konsumenci dostają szału. Łobuzy z OPEC znów nabijają sobie kabzę. Odbijają sobie straty spowodowane konfliktem na Bliskim Wschodzie, który sami sprowokowali.

Wysoki i żyłasty Gilmartin siedział skulony nad drinkiem, a jego smętna twarz emanowała złością. Jego ojciec, zręczny polityk i doskonały inżynier, uczynił z Gilmartin Enterprises światową potęgą dzięki pozyskaniu dla swoich ludzi wysokich stanowisk w rządach kilku państw. Jeden wiceprezes Gilmartina został amerykańskim sekretarzem stanu, inny, zamieszkały w Londynie - skarbnikiem angielskich torysów; podobnie rzecz się miała w innych stolicach Europy i świata. Kiedy przed ośmiu laty zmarł i zostawił po sobie imperium, członkowie Spirali w głosowaniu oddali Gregowi miejsce ojca.

Sir Anthony wziął swój kieliszek brandy i usiadł pośrodku półkola, a Prometeusz i Okeanos po jego lewej ręce. Nikt nie wspomniał o szóstym fotelu, także stojącym z lewej strony i pustym, a należącym do Hyperiona. W geście szacunku miejsce zmarłego pozostawało puste na pierwszym po jego śmierci spotkaniu Spirali. Przed następnym zebraniem służba odsunęła fotel pod ścianę, żeby nie przeszkadzał, dopóki nie zostanie wybrany nowy Hyperion. Sir Anthony spodziewał się, że zgodnie z sugestią Temidy będzie nim Alexandre de Darmond. Nikt by nie chciał stracić poparcia tak znamienitego rodu i potężnego imperium bankowego.

Usiadł wygodnie przed kominkiem. Nieduży ogień miał podkreślić panujący w pokoju ciepły, domowy nastrój, co tego wieczoru było jednak wyjątkowo trudne. Widział napięcie na wszystkich twarzach, i to nie tylko z powodu komplikacji z kartoteką. Wyjął ze skrzyneczki z cygarami najprawdziwszą cohibę, obrócił ją w palcach, przyciął i zapalił.

Przez długie dziesięciolecia, jakie upłynęły od powstania Spirali, nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby ktoś został z jej grona usunięty lub próbował sam z niej wystąpić. Jej członkowie szczylic się wyjątkowym wyczuciem i znajomością ludzkiej psychiki. Utrzymanie jej istnienia w tajemnicy było absolutnie najważniejsze i nie tolerowano niczego, co mogłoby tej tajemnicy zagrozić. O tym właśnie rozmyślał sir Anthony - bo jeden z obecnych w pokoju ludzi został wybrany błędnie i należało się go pozbyć.

Wodził wzrokiem po ich twarzach, przysłuchując się rozmowie. Który to?

- Pomyślcie, co się stało w Kalifornii - ciągnął Gilmartin. - Wyłączenia prądu są na porządku dziennym. Szpitale pracują na generatorach. Gospodarka stanu się sypie. - Mówiąc, wymachiwał cygarem jak bronią.

- Najbiedniejsi coraz częściej muszą wybierać: jedzenie albo ogrzewanie. Inaczej mówiąc: albo umrą z głodu, albo zamrzną. A nikogo nie powinno się stawiać przed taką alternatywą. Nie uważasz, Richmond?

Richmond Hornish, Prometeusz, był właścicielem InQuoksa i kilku innych firm inwestycyjnych, które łącznie obracały pół miliardem dolarów dziennie. Był też jednym z najśłynniejszych spekulantów na rynkach finansowych i giełdowych i ostatnio doczekał się wezwania do sądu w Nowym Jorku, gdzie sprawę wytoczył mu stanowy prokurator generalny. Sir Anthony musiał przyznać, że bawi go naiwność prokuratora. Za rok odbędą się przecież wybory. Kto niby sfinansuje jego kampanię wyborczą, jeśli zalezie za skórę komuś z tak paskudnym charakterem i szerokimi wpływami jak Hornish?

Hornish odwrócił się i spojrzał na Gilmartina. Jego muskularne, wysportowane ciało zawsze było napięte jak naciągnięta sprężyna.

- Akcje koncernów naftowych lecą na łeb na szyję - powiedział z ostrym nowojorskim akcentem. - Mam nadzieję, że hurtowe ceny ropy utrzymają się na obecnym poziomie przynajmniej do pierwszego stycznia. - Przerwał i dopiero po chwili stwierdził ponuro: - Nawet jeśli cena ropy się ustali, światowa gospodarka i tak znajdzie się w kryzysie.

Mimo że mówił całkiem zwyczajnym tonem, proroctwo zabrzmiało groźnie. Czterej pozostali spojrzeli po sobie. Przekazą informacje swoim ekspertom finansowym, żeby mogli się w porę wycofać z inwestycji, ograniczyć straty i powiększyć zyski, korzystając z wahań rynku.

W łagodnym świetle lamp siwiejące blond włosy Temidy miały wyraźny złoty odcień.

- Atlas ma rację - przytaknął poirytowany. - Musimy mieć oko na rynek energii i akcje przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Ceny ropy zawsze były płynne. Zasoby paliw kopalnych nie są wieczne. Powinniśmy myśleć długofalowo i znaleźć stabilne, godne

zaufania i niezanieczyszczające środowiska źródło energii... Nie tylko do samochodów i statków. Elektryczność to krew, życie całego przemysłu.

Temida - Nicholas Inglethorpe - był najmłodszym i najbardziej niecierpliwym członkiem grupy.

Okeanos - Christian Menchen - odchrząknął i zaczął obracać w palcach cygaro, które zdawało się bez reszty pochłaniać jego uwagę.

- Doniesienia o wyczerpywaniu się zapasów paliw kopalnych są mocno przesadzone. Podobnie jak twierdzenia o ich niekorzystnym wpływie na środowisko i zdrowie. Dlatego spodziewam się, że nawet moje praprawnuki nie zrezygnują z silnika spalinowego i elektrowni węglowych.

Wyraziste rysy twarzy, burza czarnych włosów, pruski nos i dumna powierzchowność - Menchen wyglądał jak żywy zabytek sprzed stu lat. Wszyscy wiedzieli, że Eisner-Moulton przeżywa kłopoty i ogranicza działalność. Cóż, nawet cudowne dzieci miewają słabsze chwile. Olbrzymie imperium samochodowe Christiana Menchena miało się świetnie, on sam zaś potrafił z zimną krwią kalkulować zyski i straty i wyjść na swoje. Był cennym elementem Spirali.

Gilmartin założył nogę na nogę, wciąż nachmurzony.

- Budujesz sportowe samochody i gimbusy, Christianie, ale o energii wiesz tylko tyle, ile przeczytasz w pierwszych akapitach śmiertelnie nudnych artykułów, które trafiają na ostatnie strony magazynów motoryzacyjnych. I boisz się, że silniki spalinowe mogłyby odejść do lamusa.

- Myślisz tylko o swoich interesach, Greg - odparł sztywno Menchen. - A w Spirali nie o to chodzi. Jeżeli coś nie jest na dłuższą metę dobre dla świata, tobie i twoim rodakom też się nie przyda.

- Dość tego, panowie - wtrącił sir Anthony tak ostrym tonem, że wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

Podstawą utworzenia Spirali była szczytna idea: sześciu wpływowych ludzi miało dzielić nie tylko wielką władzę, ale także bezprecedensową odpowiedzialność. Z wysokości swoich stanowisk, na których dostęp do największych pieniędzy i wpływów nie był żadnym problemem, mogli skierować świat na drogę pokoju i pomyślności. Kapitalizm z ludzką twarzą. Odpowiedzialny przemysł. Perspektywiczna wizja przeszłości i przyszłości zamiast egoizmu. Politycy się zmieniali niczym cienie przebiegające przez twarz cywilizacji, ale tuzy bankowości i biznesu trwały.

Odpowiednio dobrana szóstka mogła wprowadzać trwale zmiany, korzystne dla całej ludzkości, a przy okazji dbać o własne interesy. Właśnie ta filozofia różniła ją od Nautilusa, który próbował wszystko zagarnąć dla siebie. Pierwsi członkowie Spirali spotykali się na zebraniach Nautilusa, aż pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku postanowili założyć własne, tajne stowarzyszenie. Czuli, że mogą i powinni zrobić coś więcej niż Nautilus, który zbyt często koncentrował się na tworzeniu kapitału, zamiast liczyć się z potrzebami ludzi.

Dyskusje w obrębie Spirali były dopuszczalne, nawet pożądane, ale osobiste animozje nie. A Brookshire zwołał to nadzwyczajne spotkanie nie bez przyczyny.

- Chyba pora, panowie, abysmy porozmawiali o morderstwie naszego szacownego kolegi, barona de Darmond, a także o kartotece Drapieźnika - zaczął z powagą. Streścił pokrótce dotychczasowe wydarzenia: morderstwa, zniknięcie Liz Sansborough i Simona Childsa, uprowadzenie Sarah Walker i Ashera Floresa przez nieznaną sprawców i na razie bezowocne poszukiwania kartoteki. - Duchesne omal nie złapał Sansborough w magazynie w Belleville - ciągnął. - Jego ludzie cały czas jej szukają. Wiemy, że jest z nią Simon Childs. Nadal zakładamy, że to właśnie Sansborough zaprowadzi nas do kartoteki jej ojca.

Pokiwali głowami, w atmosferze rozczarowania dało się wyczuć przygnębienie.

- Myślisz, że śmierć barona ma coś wspólnego z kartoteką? - spytał Gilmartin.

- Nie mamy na to dowodów - odparł Brookshire - ale kiedy się o niej dowiedziałem, też zadałem sobie to pytanie. Odpowiedź twierdząca ma sens.

Ponieważ mordercą był jeden z członków Spirali, sir Anthony tylko w rozmowie z Duchesne'em wyznał, że baron dzwonił do niego, zapowiadając, że poda nazwisko szantażysty.

- Od początku mi się to nie podobało - mruknął Christian Menchen. - Odkąd zaopiekowaliśmy się Sansborough w Santa Barbara, nie dawało mi to spokoju. W pewnym sensie okradliśmy ją z życia.

- Albo je ocaliliśmy - zaprzeczył Temida. - Daliśmy jej prestiżową posadę i możliwość zrobienia kariery. A to jej się spodobało. Właściciel kartoteki mógł ją zabić, gdyby nie zaszła się na tym swoim uniwersytecie.

- Ale to nie było jej prawdziwe życie. To nie ona podjęła decyzję.

- Wszyscy mamy ograniczony wybór.

- Pomyślcie o następnych morderstwach. Tak to się kończy, kiedy człowiek zaczyna się bawić w Boga. To równia pochyła... Chociaż, tak jak piekło, wybrukowana dobrymi chęciami.

- Nie mieliśmy innego wyjścia - zauważył Hornish. - Kartoteka to prawdziwa bomba. Widzieliśmy już, jaką ma moc. Dlatego powinna trafić we właściwe ręce. To znaczy: nasze ręce.

- Przecież to czysty makiawelizm - stwierdził Gilmartin. - Może nikt nie powinien jej mieć? Może wystarczyłoby ją zniszczyć?

- W każdym razie najpierw musimy ją znaleźć, zanim ją zniszczymy, postanowimy zatrzymać albo gdzieś ją ukryjemy - powiedział zniecierpliwiony Brookshire. - Kiedy trafi w nasze ręce, podejmiemy decyzję. A wracając do Sansborough... Przeszłości nie zmienimy. Powinniśmy przede wszystkim opanować sytuację.

- Jak chcesz to zrobić? - zapytał Gilmartin. - Przecież nie wiemy, gdzie są Childs i Sansborough. A tak w ogóle, Tony, co jest wart ten twój nowy człowiek? Ten cały César Duchesne?

- Odchodząc z pracy, Peter d'Crispi sam wybrał go na swojego następcę. Lista sukcesów zawodowych Duchesne'a wygląda imponująco. A po tym, jak biedny Peter został ranny podczas spływu kajakowego w Pirenejach, na gwałt potrzebowaliśmy zastępcy.

Gilmartin pokręcił głową.

- Ufaliśmy d'Crispiemu, ale to jeszcze nie znaczy, że Duchesne mu dorównuje.

Dyskusja trwała. Sir Anthony zapalił drugie cygaro. Smuga dymu wzbiła się w powietrze, ale przyjemny, intensywny smak szybko zmienił się w jego ustach w gorycz. Odłożył cygaro i czekał. Gdy jego goście znów zaczęli żalić się na okoliczności, które się przeciw nim sprzysięgły, ale nadal nie rozumieli, kiedy mogli zachować się inaczej, przywołał ich do porządku.

- Czy mam rozumieć, że jesteśmy zgodni w kwestii dalszych poszukiwań? - zapytał.

Obserwował ich uważnie. Kto z nich będzie obojętny? Kto zlekceważy wysiłki Sansborough?

- Przecież już podjęliśmy decyzję, do diabła! - wybuchnął Inglethorpe.

- Po co tracić czas na dyskusje? Zastanówmy się lepiej, co zrobimy, kiedy dostaniemy kartotekę w swoje ręce.

- Ona kryje w sobie zbyt niebezpieczne treści, żeby ją komuś oddać - upierał się Hornish.

- Zgoda - przytaknął sir Anthony. I nagle wypalił: - Ja jednak uważam, panowie, że stoimy w obliczu znacznie poważniejszego zagrożenia niż kartoteka i atak szantażysty. Zagrożenia dla Spirali.

Zapadła cisza, ale sir Anthony zdawał sobie sprawę, że w duchu przyznają mu rację. Odkąd stracili kontakt z Sansborough i Childsem, a Walker i Flores wpadli najprawdopodobniej w ręce szantażysty, w niebezpieczeństwie znalazła się przyszłość samej Spirali, a więc i plany, które układali dla siebie i dla całego świata. Tylko jednemu z nich było to obojętne.

Rola Spirali nie polegała na niszczeniu świata. Wprost przeciwnie. Przecież jeden z jej założycieli, ojciec sir Anthony'ego, zaangażował się osobiście w prowadzoną przez Nikitę Chruszczowa odbudowę centrum Moskwy. Zaskarbił sobie jego zaufanie i w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 roku pomógł mu zredagować list do Kennedy'ego, który pozwolił zawrzeć kompromis z Waszyngtonem, wycofać rakiety z Kuby i uniknąć wojny atomowej.

Rok wcześniej członek Spirali - Amerykanin - powołał do życia Korpus Pokoju. Pod koniec lat siedemdziesiątych jej trzech europejscy przedstawiciele zadali miażdżący cios faszystowskiemu reżimowi w Hiszpanii, kiedy udało im się przekupstwem przekonać madryckich prawodawców do zalegalizowania partii politycznych.

Teraz Spirala rzeczywiście znalazła się w niepewnej sytuacji, ale Brookshire nie widział innego wyjścia. Musiała przetrwać - niewidoczna, utajona, silna jak zawsze. Należało zdobyć kartotekę, ale nie za wszelką cenę. A on, Kronos, wiedział, co zrobić. Przywódca musi umieć dokonać niemożliwego wyboru.

- Bezpieczeństwo Spirali jest ważniejsze od losów kartoteki Drapieznika - oznajmił spokojnym tonem, ciekaw ich reakcji. - Znajdziemy kartotekę i powstrzymamy szantażystę, ale jeszcze nie teraz. I nie z pomocą Sansborough i Childsa. Oboje wiedzą, że ktoś próbuje nimi manipulować. W przeciwnym razie zachowywaliby się inaczej. Dopóki żyją, mogą nam wypowiedzieć wojnę, w której stawką będzie coś więcej niż sama kartoteka. Oboje mają znajomości i mogą napytać nam biedy, a w szczególności doprowadzić do ujawnienia i zniszczenia Spirali. Dlatego nie widzę innego wyjścia: trzeba się ich pozbyć. Walker i Flores przestaną być szantażystami potrzebni.

Zapadła cisza jak makiem zasiał, ale Kronos wiedział, że wszyscy przyjęli jego słowa z ulgą. Wszyscy poza tym jednym.

Richmond Hornish westchnął ciężko.

- Walker i Flores pewnie już nie żyją.

Skąd ta pewność? - pomyślał Kronos.

- Czasem trzeba coś poświęcić - stwierdził z namysłem Inglethorpe. - Zgodzić się na mniejsze zło, aby unicestwić większe.

Czy to pierwszy głos na „tak”? Czy Temidzie tak bardzo zależy na przerwaniu poszukiwań?

- Oboje mogą być dla nas groźni, w taki czy inny sposób - dorzucił Gilmartin.

Menchen milczał. Zerknął z niepokojem na sir Anthony'ego i zaraz spuścił wzrok.

Nie zabiera głosu, bo jest szantażystą?

- W takim razie jesteśmy jednomyślni? - upewnił się Kronos. - Jeśli tak, każę Duchesne'owi zlikwidować Sansborough i Childsa przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Hornish z determinacją skinął głową.

- Musimy ograniczyć straty i patrzeć w przyszłość.

- Prometeusz jest za - stwierdził Kronos i spojrzał na Gilmartina. - Atlas?

- Sprawy się skomplikowały. Jestem za.

- Temida?

- Za, do ciężkiej cholery - mruknął Inglethorpe.

- Okeanos?

Christian Menchen wpatrywał się w swoje dłonie. Obrócił je i przez chwilę oglądał układ żylek na grzbietach, a w końcu złożył je razem.

- Za.

Brookshire powiódł wzrokiem po ich posępnych twarzach i pociągnął solidny łyk brandy.

- W takim razie postanowione.

Część III

Po co okradać bank, jeśli można go kupić?

Amerykańskie przysłowie

37.

Gdzieś we Francji

Odgłos przypominający szum lejącej się wody obudził Sarah z głębokiego snu. Nie chciała zasnąć. Miała czuwać, żeby Asher...

Wyciągnęła rękę. Nosze były puste, ciepłe, koc zwinięty w kłębek.

- Asher? - zawołała zdenerwowana.

- Tu jestem - odpowiedział zza przenośnej toalety.

Odrzuciła koc, sturlała się z ławki i odruchowo schyliła - naczepa była niska. Wodząc jedną ręką po ścianie, ostrożnie ruszyła przed siebie. Olbrzymi pojazd wszedł w kolejny zakręt, opony zapiszczały, a po chwili znów zabrzmiał ich monotony, równy pomruk.

- Przecież sikam - dodał poirytowany Asher. - Jak rany...

- Boże, Asher, co ty sobie wyobrażasz?

- A co, chcesz mi pomóc? - spytał z uśmiechem.

Jej wzrok wyłowił z półmroku stojak na kroplówkę, a obok Ashera, który jedną ręką opierał się o ścianę. Uśmiechnęła się pod nosem.

- Jesteś niepoprawny.

- I tak już skończyłem.

Pomogła mu wrócić na nosze. Szedł dość pewnie, chociaż musiał się przygarbić, żeby nie naciągać szwów.

- Naprawdę jesteś taki silny czy tylko udajesz?

- Udaję. Ale jestem w tym niezły, prawda?

- Jeszcze jak. Nie powinienes wstawać, bo wszystko ci popęka. Masz tyle szwów, że wyglądasz jak szmacianka ze skrawków.

- Gdybym zerwał szew, krew ciekłaby mi po nodze, a nie cieknie. Nic się nie stało. Chcesz sprawdzić?

- Wierzę ci na słowo.

Asher usiadł na noszach. Przez szparę wokół drzwi dzielących komorę ładunkową od szoferki sączyło się dość światła, żeby Sarah dostrzegła, jak się zgarbił. Zrobiło się jej go żal.

- Położysz się? Mogę ci pomóc. Nie, nawet o tym nie myśl. Nie wejdę do ciebie na nosze.

- Za dobrze mnie znasz. - Osunął się do pozycji półleżącej, oparł się na prawym łokciu, stęknął z bólu i przetoczył się na plecy. - Zatrzymywaliśmy się?

- Nie wiem, też zasnąłam.

Przykryła go, siadła na ławce i narzuciła na nogi koc. Śledził ją wzrokiem.

- Naprawdę lepiej się czuję.

- Nic dziwnego, dostałeś proszek przeciwbólowy. Prześpij się jeszcze.

- Sam się odpryskałem.

- Moje gratulacje. Idź spać, kochanie.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła w ciemności jego rękę. Wzięła ją w swoją dłoń, pocałowała i położyła mu na piersi. Nie protestował.

- Ja też spróbuję się zdrzemnąć.

Wyciągnęła się i przymknęła powieki. Przed oczami stanęły jej wydarzenia z ostatnich dni. Przeżona Liz w magazynie... Strach, kiedy zostali uprowadzeni po raz drugi... Zabici ludzie... Wszystko to zupełnie nie mieściło jej się w głowie. Nie miała pojęcia, gdzie są. Wiedziała tylko, że tym razem porywacze nie noszą masek. Najwyraźniej nie obawiali się, że ona i Asher będą mieli okazję ich zidentyfikować.

Wspomnienia wróciły gwałtowną falą, przyprawiając ją o dreszcz. Krew, odór śmierci, łoskot wystrzałów, od którego cały magazyn się trząsał. Mordercy załadowali ich do ciężarówki: nosze Ashera na zablokowanych kółkach wcisnęli w środek, między dwie ławki. Dowodziła nimi kobieta, wiedźma Beatrice. Kazała mężczyznom usiąść na ławkach, Sarah zaś ulokowała w głębi, jak najdalej od tylnych drzwi.

Na szczęście drzwi do kabiny kierowcy były otwarte. Zerkając przez przednią szybę, Sarah widziała czasem drzewa, latarnie, znaki drogowe i drogowaskazy. Zorientowała się, że jadą na północny wschód. Na miejsce egzekucji?

Kiedy ona albo Asher próbowali się odezwać, siedzący z nimi ludzie natychmiast wycelowywali w nich karabiny. Samochód zajechał w końcu na jakiś plac budowy, gdzie czekał olbrzymi TIR z naczepą. Z tyłu naczepy otworzyły się drzwi i wysunęła się rampa. Ciężarówka, którą przyjechali, wjechała do środka. Mężczyźni z karabinami wysiedli. Kiedy jeden z nich wstawił między ławki przenośną toaletę, Sarah i Asher wymienili pełne ulgi spojrzenia. Przynajmniej w najbliższym czasie nikt nie zamierzał ich zabić.

Kierowca zamknął na zamek przejście do szoferki. Kiedy zamknęły się także tylne drzwi, Sarah zerwała się z ławki i sprawdziła jedne i drugie. Przywiązany do noszy Asher

zakłął. Znaleźli się w więzieniu na kołach, ruchoma cela była ciasna i ciemna, tylko wąska strużka światła sączyła się przez szczelinę w przednich drzwiach.

Sarah rozluźniła pasy, którymi Asher był przywiązany do noszy. Podali sobie ręce i zastygli bez ruchu, gdy silnik TIR-a ożył. Zgrzytnęły przekładnie, samochód zatoczył koło i zjechał z placu. Jeżeli poczucie kierunku ich nie zwiodło, wyjechali tą samą drogą i skręcili w prawo, na autostradę i dalej na północny wschód.

Teraz jednak Sarah nie miała już pojęcia, gdzie są. Mogli jechać na zachód, na wybrzeże. Lub na wschód, do Belgii albo Luksemburga. A czy mogli zawrócić na południe, tak żeby tego nie zauważyła? Wysłuchana w szmer opon walczyła z lękiem i bezsilną złością.

- Masz jeszcze tę torbę z lekami? - zapytał Asher.

Naczepa się przechyliła: znowu ostro skręcili. Sarah otworzyła oczy.

- Musisz odpoczywać, bo ci się rany nie zagoją. Pogadamy rano.

- Przede wszystkim musimy wykombinować, jak się stąd wydostać. A lepiej to zrobić teraz, w nocy. Mamy większe szanse.

- Wariat z ciebie.

- No cóż: skłamałem. Wiem, że wierzysz w moją uczciwość, więc przykro mi, że tak grałem, ale prawda jest taka: czuję się znacznie lepiej. Szybko odzyskuję siły.

Sarah nie odpowiedziała. Kątem oka dostrzegła ruch: Asher usiadł na noszach i majstrował przy swoim nadgarstku.

- Co robisz?

- Potrzebna mi jest igła z kroplówki.

Zerwała się z ławki i złapała go za rękę.

- Przestań! Asher, skarbie, nie wyjmuj jej!

- Za późno. Hola, uważaj! Nie chciałbym cię niechcący dziabnąć! Znalazłem ten wihajster, który odłącza przepływ kroplówki. Wszystko w idealnym porządku, to moje motto.

Sarah rozłożyła bezradnie ręce.

- I pomyśleć, że marzyłam o tym, żeby cały czas być blisko ciebie. Z nas dwojga to ja muszę być szurnięta. No dobrze - dodała, już trochę spokojniejsza. - Skoro jesteś na tyle zdrowy, że nie mogę ci rozkazywać, to chyba odrobina wysiłku ci nie zaszkodzi. Powiedz, co ci chodzi po głowie.

Londyn

Mając za towarzystwo puste kryształowe kieliszki i wdychając rzednący dym z cygar, sir Anthony siedział w fotelu i wpatrywał się w dogasające węgle. Spotkanie Spirali nie przyniosło oczekiwanych skutków. Wszyscy uczestnicy - poza jednym - byli pełni dobrych chęci, a przy tym rozumieli potrzebę pragmatyzmu. Taka równowaga była bezcenna; bez niej niewiele dawało się osiągnąć. Przed półgodziną rozjechali się do swoich londyńskich domów. Jutro byli umówieni w Dreftbury. Tymczasem sir Anthony nadal nie wiedział, który z nich ma kartotekę. Zdrada nie dawała mu spokoju, jak kwas wżerała mu się w serce. Wsłuchiwał się w spokój melancholijnej rezydencji.

Kiedy zadzwonił jego prywatny telefon, błyskawicznie po niego sięgnął.

- Tak?

- Odsłuchałem wiadomość, więc dzwonię. - Ton głosu Duchesne'a był jak zwykle beznamiętny. - Tak jak podejrzewałem, Childs i Sansborough są razem, ale zniknęli gdzieś na Pigalle.

- Co z kartoteką?

- Na razie nic.

Sir Anthony stłumił jęk.

- Skąd wiesz, że Childs i Sansborough są na Pigalle? - zapytał podejrzliwie.

- Jeden z moich ludzi przyjechał za nimi z Belleville. Nic się nie martw, ulice są obstawione. Niedługo znów ich namierzemy. Sytuacja jest pod kontrolą.

- Ulice obstawione?! Jakim cudem? Nie dowodzisz policją ani armią francuską!

Czasem sir Anthony żałował, że nie ma już Petera d'Crispiego. Nie był może tak przebiegły jak Duchesne, ale też nie taki skryty.

- Mam swoje sposoby. Wynajęliście mnie ze względu na doświadczenie, prawda? I na razie was nie zawiodłem.

- Współpracujemy od niedawna.

- Jeżeli chcesz, żebym wycofał ludzi, powiedz. Zrobię to. Może macie lepszy pomysł, jak wytropić tę dwójkę.

Tego już było za wiele dla sir Anthony'ego. Duchesne mu groził, a groźba oznaczała niewypowiedziane na głos przekonanie, że są sobie równi. Sir Anthony pochlebiał sobie, że zawsze traktuje pracowników z szacunkiem, i tego samego oczekiwał od nich.

- Jest pan niezadowolony z pracy, Duchesne? - kontrolując się, zapytał obojętnym tonem.

César Duchesne w ułamku sekundy zrozumiał, że posunął się za daleko. Sir Anthony należał do ludzi, którzy od podwładnych wymagają nie tylko posłuszeństwa, ale także

podziwu. Jadąc samochodem i rozglądając się za Liz Sansborough, Duchesne zdał sobie sprawę, że chęć jak najszybszego zdemaskowania szantażysty zamąciła mu w głowie.

- Oczywiście, że nie, Kronosie - odparł pojednawczym tonem. - Lubię tę pracę, otrzymuję za nią hojne wynagrodzenie, ale naprawdę nie wszystko mogę wam powiedzieć. Ludzie, z którymi współpracuję, nalegają na zachowanie tajemnicy. Chroniąc ich, mogę zapewnić wam jakość usług, na jaką za te pieniądze zasługujecie. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan moje pochopne słowa.

Sir Anthony odprężył się i pokiwał głową.

- Jestem pewien, że to się nie powtórzy. A na razie chciałem pana poinformować, że zmodyfikowaliśmy pańskie bieżące zadanie.

Kronos pełnił w Spirali rolę pośrednika, przez którego przechodziły wszystkie informacje. Miał ułatwiać partnerom nawigację w gąszczu podejmowanych decyzji: pomagał wybierać rynek walutowy, który otrzyma zastrzyk pieniędzy, typował koncern naftowy, który zostanie dopuszczony do nowego międzynarodowego ropociągu, wskazywał kraj Trzeciego Świata, który pierwszy doczeka się funduszy na odbudowę, sugerował, który dyktator ma pozostać przy władzy.

Trzeba było ludzi z niezłym wyczuciem w interesach, którzy by gwarantowali, że podejmowane przez nich decyzje przyniosą najlepsze rezultaty. I jeśli Spirala w swoim obecnym składzie była trochę mniej altruistyczna niż jej poprzedniczki, to winę za ten stan rzeczy ponosił świat, który bardzo się zmienił - i to wcale nie na lepsze. W czasie zimnej wojny życie było o wiele prostsze. Wrogiem był komunizm, świat robił się czarno-biały, dobro walczyło ze złem. Teraz zaś wrogów namnożyło się co niemiara, w dodatku wszyscy krytykowali zachodnią cywilizację, podkopywali ją i oskarżali o najgorsze grzechy. Nikt nie miał wątpliwości, że Spirala nie może rozwiązać wszystkich problemów. Zdarzało się również, że dokonywała błędnego wyboru - na przykład udzielając poparcia nowemu prezydentowi Stanów Zjednoczonych. W niczym nie zmieniało to jednak faktu, że przez ostatnich z górą pięćdziesiąt lat dokładała wszelkich starań, żeby świat szedł ku lepszemu.

Sir Anthony rozczulił się - i zaraz skarcił w duchu za tę chwilę słabości. Nikomu nic z niej nie przyjdzie.

- Jak panu wiadomo, spotkałem się dziś z Temidą, Prometeuszem, Okeanosem i Atlasem. Nie udało mi się ustalić, kto ma kartotekę, dlatego będzie mi pan potrzebny w Dreftbury. Jeśli chodzi o morderstwo Hyperiona, to moim zdaniem szantażysta realizuje jakiś większy plan. To jedyne wyjaśnienie. Jeżeli odkryjemy ten plan, poznamy również tożsamość szantażysty.

- Naturalnie. Przyjadę. Za pozwoleniem...

- Tak?

- Moglibyśmy przedsięwziąć pewne kroki...

Słuchając go, sir Anthony zaczął się uśmiechać. Duchesne potrafił być użyteczny. Był sprytnym draniem, a takiego właśnie teraz potrzebowali.

Na koniec zmienił temat:

- Jak już wspomniałem, twoje zadanie trochę się zmieniło. - Z żalem przedstawił Duchesne'owi decyzję Spirali. - Kiedy twoi ludzie znajdą Childsa i Sansborough, mają ich zlikwidować. Nie możesz zawieść. Jeżeli jakimś cudem zdobędą do tego czasu kartotekę, i tak należy ich zlikwidować, a dokumenty, tak jak umawialiśmy się wcześniej, jak najszybciej dostarczyć mnie. I załatw to tak, żeby nikt nie skojarzył nas z ich śmiercią.

W słuchawce zapadła cisza. Sir Anthony wyczuł, że szef ochrony jest zaskoczony zmianą planów. Uśmiechnął się w duchu. Gdyby kiedyś okazało się, że można ze stuprocentową pewnością przewidzieć jego posunięcia, wolałby umrzeć.

- Jakiś problem? - zapytał.

- Nie, skądże - odparł znudzonym tonem Duchesne. - Ale właśnie przypomniałem sobie Sarah Walker i Ashera Floresa. Ich też mamy się pozbyć?

- Oczywiście. Jeśli tylko uda wam się ich znaleźć.

- Jeżeli to wszystko, odmelduję się i wrócę do roboty.

38.

Paryż

Liz zbiegła po schodach, naciągając берет Ashera na uszy. Włożyła okulary Sarah. Simon pędził za nią z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki, którą dla niego znalazła. On też włożył okulary przeciwsłoneczne i szesał włosy na czoło. Na Liz ubranie trochę wisiało, ale na niego pasowało niemal idealnie.

Dotarli na parter i stanęli przed drzwiami. Schowali broń. Spojrzeli po sobie.

- Niezła jesteś - przyznał Simon. - Wierzyć mi się nie chciało, kiedy tak przekonująco zagrałaś szarą myszkę.

- To tylko dowodzi, jak słabo mnie znasz - odparła Liz. Znow wyglądała jak zahukana, drobna kobiecina, którą widział na dworcu Waterloo.

- Z natury jestem cicha i spokojna.

- Nos właśnie ci urósł o pół metra, Pinokia. A co powiesz o mnie?

- Tępak - odparła z podziwem Liz. - Bandzior. Nudził mnie już ten twój grzeczny wizerunek studencika, który chyba uznałeś za swój.

- Dzięki. - Simon się uśmiechnął. Zaraz jednak spoważniał i uchylił drzwi.

- I co?

Bez słowa otworzył je szerzej i wymknął się na schody. Liz nie odstępowała go na krok. Syreny wyły coraz głośniej; oddział antyterrorystyczny najwyraźniej był już blisko. Z ulic zniknęli wszyscy, którzy mieli coś na sumieniu; najemnicy Malka schowali się do furgonetki, która ruszyła z piskiem opon.

- Rany... - mruknęła Liz. - To się może udać.

- Można się przestraszyć, co?

Z satysfakcją patrzyli, jak ostatnich dwóch najemników wskakuje do toyoty. Kierowca dodał gazu i samochód pomknął przed siebie. Przy zmianie pasa ruchu trup siedzący z przodu przewrócił się na deskę rozdzielczą, ale siedzący obok bandyta natychmiast posadził go prosto.

Na chodnikach zostali tylko oszołomieni turyści. Skowyt syren osiągnął ogłuszające crescendo. Stare domy o jaskrawych fasadach, ozdobione jarmarcznymi sztyldami, wyglądały jak wymarłe. Liz i Simon wymienili porozumiewawcze spojrzenia i ruszyli przed siebie szybkim, równym krokiem.

Simon starał się mieć oko na wszystko, Liz zaś wyjęła z torebki telefon. Sytuacja mogła się w każdej chwili zmienić. Słyszając pisk opon, Simon odwrócił się i zobaczył, jak z toyoty wypada ciało zabitego strażnika parkingu. Zwłoki z głuchym łomotem spadły na bruk, a toyota przedarła się przez skrzyżowanie. Radiowozy z włączonymi kogutami popędziły za nią.

Furgonetka z kwaciarni odjechała w przeciwnym kierunku. Nikt jej nie ścigał.

Simon odetchnął z ulgą. Na razie wszystko szło dobrze. Chwilowo byli wolni. Miał dziwne uczucie, słuchając rozmowy Liz przez telefon; po tonie głosu można było poznać, że rozmawia ze starym, dobrym przyjacielem. Nie był pewien, czy jej plan przedostania się do Anglii wypali, ale sam nie miał lepszego pomysłu, a ona była zdecydowana spróbować. Nieoczekiwanie złapał się na tym, że chce jej zaufać.

- Faust się zgodził? - zapytał, kiedy się rozłączyła.

- Tak. Mamy farta. A tu co, jakieś kłopoty?

- Na razie nie.

Zrelacjonował jej ucieczkę toyoty i furgonetki, a przez ten czas miejscowi niczym duchy znów wylegli na ulice. Na tym odcinku boulevard de Clichy, między placami Pigalle a Blanche, znajdowały się dziesiątki peep-show, sex-shopów i lokali ze striptizem.

Przyspieszyli kroku. Błękitne światło, padające na ulicę z otwartych barów, kładło się na białych ubraniach niesamowitą poświatą. Jedne prostytutki w fosforyzujących rękawiczkach jednoznacznie gestami reklamowały swoje usługi, inne popisywały się nożami, zatkniętymi za pasy do pończoch. Klienci ustawiali się w kolejkach do kabin, w których wyświetlano pełne przemocy filmy pornograficzne. W powietrzu unosiła się woń alkoholu, kłopotów i rozpaczliwego seksu.

Liz z ulgą zauważyła, że nie przyciąga wzroku. Zgarbiona, niepozorna, w za dużych okularach była kompletnie nieinteresująca w tak atrakcyjnym otoczeniu. Mimo to nie mogła wyzbyć się obaw. Simon siedł obok niej, jakby do niego należała cała ulica, całe miasto, cały świat. Kobiety się za nim oglądały, mężczyźni odwracali spojrzenia.

Na placu Clichy kupili bilety i wsiedli do nocnego autobusu. Przepisnęli się środkiem, zerkając niby to mimochodem na współpasażerów, i usiedli z tyłu. Simon położył torbę na podłodze, rozparł się wygodnie i westchnął z ulgą, kiedy autobus ruszył z przystanku. Odgarnął włosy z czoła, zdjął i schował okulary. Cieszył się, że nie musi już nikogo udawać.

Przyglądał się Liz, która podziwiała przesuającą się za oknem nocną panoramę Paryża. Jej twarz zdradzała napięcie, zaciśnięte usta tworzyły wąską kreskę, oczy patrzyły nieprzytomnie, jakby myślami błędziła gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Po chwili Simon zniżył głos do szeptu i zapytał:

- Czy to dlatego, że zgubiłaś Sarah i Ashera w magazynie, postanowiłaś jednak wziąć pistolet Malka?

Zerknęła na niego z ukosa i skinęła głową. Wróciła z dalekiej podróży.

- I tak, i nie. Jakaś częśćka mnie domagała się broni od momentu, kiedy napadnięto mnie w Santa Barbara. Instynkt podpowiadał mi, że powinnam zabić człowieka, który chciał zabić mnie. Ale z pragnienia zemsty nie wynika nic dobrego; przybywa tylko rannych i zabitych. Ból nie znika. Zabici i ranni nie zmartwychwstają ani w cudowny sposób nie odzyskują zdrowia. Nic nie zmienia się na lepsze. Człowiek się nie zmienia. Zachowuje się tak samo jak bandyci, którymi gardzi. To nie ma nic wspólnego z honorem, etyką ani moralnością.

- Chyba mało jest ludzi, którzy przyznaliby ci rację.

- Ty najwyraźniej nie.

- Nie wiadomo.

- Przemoc stała się uniwersalnym lekarstwem. Boję się tego, jak nas zmienia, kim się stajemy, dokąd zmierza nasza cywilizacja.

- A mimo to zabrałaś Glocka.

Liz westchnęła ciężko, zmagając się z emocjami. Chciała być uczciwa wobec siebie - i wobec Simona.

- Niewielu ludzi przeszło takie przeszkolenie jak ja. Gdybym poprosiła kogoś innego o ocalenie Sarah i Ashera, tłumacząc się swoją wyższością moralną, byłaby to z mojej strony czysta hipokryzja. - Spojrzała na niego. - Muszę ich odbić, bo potrafię to zrobić - dodała z naciskiem.

- Zawahałaś się, kiedy strzelałaś do Beatrice. Bałaś się, że nie będziesz w stanie pociągnąć za spust?

- Tak.

Jego stanowcza twarz złagodniała.

- Pamiętaj: nie jesteś już sama.

- Wiem.

Przy nim czuła się dobrze, bezpiecznie, ciepło... Prawie zapomniała, jak to jest.

W jego oczach błysnęło rozbawienie i coś jakby przekora.

- Jesteśmy współnikami. Prawdziwymi kumplami, na dobre i na złe.

- Jasne, jak bliźniaki Bobbsey*. Dwaj muszkietierowie. Bonnie i Clyde, ale w wersji praworządnej.

Rozmowa się urwała. Niedługo potem przesiedli się do innego autobusu, jadącego na północny wschód. Ruch się zmniejszył, chociaż taksówek chyba nie ubyło. Czy któraś z nich ich śledziła? A może ktoś znowu ich namierzył? Liz powtarzała sobie, że to niemożliwe, ale przyglądała się wszystkiemu czujnie.

Śmierć towarzyszyła jej coraz częściej. Znow zaczęła się zastanawiać - tak jak robiła to już tysiące razy - jak jej matka mogła po pierwszym zleceniu zabijać dalej. A przecież знаła odpowiedź: strzelanie do ludzi nie sprawiało jej przyjemności; Melanie zabijała dla ojczyzny, z pobudek patriotycznych. Dla niej była to sprawa ważniejsza od prywatnych

* Bert i Nan oraz Freddie i Flossie - dwie pary bliźniąt, bohaterowie popularnych w USA książek dla dzieci z początków XX wieku (przyp. tłum.).

przekonań i słabości. Po tym, jak się dowiedziała, że Drapieżnik od lat ją okłamywał i rzadko pracował dla brytyjskiego czy amerykańskiego wywiadu, nie wzięła więcej broni do ręki.

Liz otrząsnęła się z wyrzutów sumienia. Szła w ślady matki: robiła to, co musiała, w imię wyższego dobra - tym razem chodziło o uratowanie Sarah i Ashera i znalezienie złowrogiej kartoteki Drapieżnika. Upodabniała się do matki - a może od początku była taka jak ona. I pewnie dlatego mogła wykonywać czarną robotę na zlecenie Langley.

Powinna przestać o tym myśleć. Spojrzała na Simona. Bacznie przyglądał się ulicom. Podobał się jej, kiedy tak siedział: swobodnie, nonszalancko, jakby niczym się nie przejmował... Złudzenie było pełne, dopóki nie spojrzała mu w oczy, czujne i przenikliwe.

- Chciałam cię zapytać o Nautilusa - powiedziała szeptem. - Zanim zaczepił nas strażnik na parkingu.

Simon rozejrzał się i również zniżył głos.

- Słusznie. Powinnaś wiedzieć, zwłaszcza teraz. Nautilus to grupa królów, magnatów, prezydentów i generałów, prywatny sojusz łączący Europę z Ameryką ponad wszelkimi podziałami, niezależny od zwyczajnych rządów.

- Jak to: zwyczajnych rządów?

- Widzisz? Zaczynasz rozumieć. Wszyscy prezesi Nautilusa wywodzą się ze światowej elity: były premier brytyjski, były kanclerz Niemiec, emerytowany sekretarz generalny NATO, były wiceprezes Komisji Europejskiej. To są fakty. Ludzie, którzy biorą udział w spotkaniach Nautilusa, to też wierchuszka: bankierzy, przedsiębiorcy, prezydenci, premierzy, mężowie stanu, NATO-wscy dowódcy.

- To już są takie wyżyny polityki, że bez maski tlenowej nie ma czym oddychać. Jeżeli nasz szantażysta należy do Nautilusa, to czeka nas nielicha wspinaczka.

- To prawda, i powinniśmy się do niej solidnie przygotować. Mają doskonałą ochronę i zabezpieczenia lepsze niż niejedno małe państwo.

Autobus zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Ilu ich właściwie jest? - zainteresowała się Liz.

- Stałe kierownictwo, komitet, liczy około trzydziestu osób. Połowa z nich to Amerykanie, połowa Europejczycy. Na doroczne spotkania zaprasza się dodatkowo dziewięćdziesięcioro gości. Ich skład się zmienia, bo zależy od tego, kto gdzie rządzi i co osiągnął przez ostatnich dwanaście miesięcy. Zdarzają się wśród nich wschodzące gwiazdy polityki; sprowadza się je jak najszybciej, żeby się uczyły.

- Uczyły? To mi się nie podoba.

- Nie dziwię się. - Simon przerwał. Nagle zrozumiał, że Ada myliła się w jego ocenie. Ba, sam źle się oceniał. Trzy lata w tajnej misji jednak odcisnęły na nim swoje piętno; nie umiał nie myśleć o tym, co widział i wiedział. - Podobno Tony Blair i Bill Clinton trafili na spotkanie Nautilusa kilka lat przed tym, jak jeden został premierem, a drugi prezydentem. George'a W. Busha nikt nigdzie nie zapraszał.

- Sugerujesz pranie mózgu? - Simon wzruszył ramionami, ale Liz mówiła dalej: - Najważniejsze, że Nautilus skupia polityczną i finansową elitę elit. Wszyscy powinni wiedzieć, o czym radzi.

- Twierdzą, że wystawieni na ostrzał kamer nie mogliby szczerze rozmawiać.

Liz prychnęła z niedowierzaniem.

- Trzeba uważać, kiedy ktoś ci tłumaczy, że nie powinienes wiedzieć, o czym mówi. Zwykle oznacza to, że jest „szczerzy” do bólu. Snują plany, o których takie szaraczki jak ty i ja nie powinny za dużo wiedzieć. - Pomyślała o Sarah. - Nadal nie rozumiem, dlaczego media milczą o ich spotkaniach.

Światło zmieniło się na zielone, autobus ruszył. Simon obrzucił skrzyżowanie czujnym spojrzeniem.

- Kiedy mówiłem o magnatach, miałem też na myśli magnatów medialnych. Mają takie same prawa i obowiązki jak reszta: muszą zobowiązać się, że nie ujawnią tematów rozmów, nazwisk ani nawet faktu, że zaproszono ich na obrady. Obowiązuje szlaban na informacje. Reporterzy, zwłaszcza wolni strzelcy, muszą z czegoś żyć, więc kiedy redaktor mówi im, że nie ma tematu, raczej mu wierzą. Jedyne amerykańskie źródła, które starają się serio traktować spotkania Nautilusa, są publikowane przez skrajną prawicę i lewicę. W prasie europejskiej jest inaczej, bo Nautilusem interesują się na przykład „Irish Times” i „Punch”: zamieszczają zdjęcia i notki biograficzne gości. Na pewno słyszałaś o tej wysublimowanej teorii zarządzania: gówno zawsze spływa w dół. Tu masz jej doskonałą ilustrację. Bagno zaczyna się od góry. Z Nautilusem się nie zadziera.

- Ale są tacy, którzy próbują z nim walczyć, prawda? To budujące.

- Tylko że rzadko coś z tego wynika. Margaret Thatcher próbowała w Brukseli w 1988 roku. Nazwała plan centralizacji Europy koszmarem i przysięgła, że Wielka Brytania nigdy nie wyrzeknie się swojej waluty. Ale stworzenie europejskiego superpaństwa to jeden z głównych celów Nautilusa, o czym Thatcher doskonale wiedziała, bo regularnie uczestniczyła w jego zebraniach. Nautilus pociągnął za sznurki, ataki na Thatcher nasiliły się, jej zwolennicy się od niej odwrócili, jej fortuna stopniała. Dwa lata później zmuszono ją do odejścia z urzędu.

- Taka jest polityka. Nie ma w tym nic niezwykłego.

Simon pokręcił głową.

- Thatcher nie była szeregowym politykiem, tylko premierem rządu. Dysponowała władzą i zasobami stosownymi do zajmowanego stanowiska, a mimo to nie mogła się postawić Nautilusowi. Wiem, zaraz zapytasz dlaczego, więc od razu ci wyjaśnię. Świat się zmienia. Globalizacja postępuje zgodnie z nakreślonym przez Nautilusa kursem. Skutek jest taki, że politycy, w tym także premierzy i prezydenci, mają coraz mniejsze wpływy zarówno w Nautilusie, jak i w swoich krajach. Komitet sterujący składa się obecnie w dwóch trzecich z bankierów, finansistów i biznesmenów, a tylko w jednej trzeciej z polityków i mężów stanu. Można się nie zgadzać z polityką Thatcher, ale to, co zrobił Nautilus, czyli zdecydował o jej politycznej przyszłości, nie licząc się ze zdaniem brytyjskiej opinii publicznej, było obrzydliwe. Globalizacja nie musi oznaczać bogacenia się grupki wybrańców, ale na razie tak to właśnie wygląda.

Autobus zjechał na pętlę.

- To przerażające. Ale taką właśnie reakcję chciałeś u mnie wywołać, prawda? A przecież możesz się mylić w ocenie Nautilusa.

Simon patrzył na nią, znów przypominając sobie oskarżenie Ady, że nie ma własnej opinii na żaden temat. Wtedy nie zależało mu na własnym zdaniu, wolał unikać problemów, chciał tylko mieć święty spokój i jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Ale teraz problemy go dopadły i nie mógł dłużej udawać, że ma to wszystko gdzieś.

- Ludzie przyklejają Nautilusowi różne etykiety: organizacji Bogu ducha winnych biznesmenów, arystokratycznego zespołu doradców, spisku rządzącego zza kulis całym światem. Oboje wiemy, że to, co ukryte, z definicji ma pewną władzę. A jak powiedział wasz J. Edgar Hoover, tajemnica uzależnia. Nautilus bardzo się stara utrzymać władzę i zachować swoje istnienie w sekrecie. Jeżeli opinia publiczna nie wie o dobrych stronach jego działalności, idę o zakład, że nie będzie wiedziała i o tych złych.

Liz wzdrygnęła się.

- Skąd tyle o tym wiesz?

Drzwi się otworzyły, ludzie zaczęli wysiadać. Simon odprowadził ich wzrokiem. Albo jesteśmy współnikami, albo nie, pomyślał. Trzeba coś zdecydować.

- Przez lata rozpracowywałem główną opozycję Nautilusa, ruch antyglobalistów. Świat się zmienia, miejsce państw narodowych zajmują państwa korporacyjne. Nautilus popiera, a niektórzy mówią, że wręcz inspiruje te przemiany. Z tego powodu jest ważnym celem ataków antyglobalistów, zwłaszcza że jego spotkania są supertajne, doskonale

zabezpieczone, dyskretne i zamknięte dla dziennikarzy. - Spojrzał niepewnie na Liz. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie powinienem ci o tym mówić. Ani pary z ust.

- Posłuchaj, Simon, nie wiem, czy wyjdziemy z tego cało, ale jeśli wydaje ci się, że po zakończeniu tej sprawy zachowasz posadę w MI-6, to chyba śniesz.

Zraniła go tymi słowami, chociaż w głębi serca czuł, że może mieć rację. Kiedy szturchnęła go lekko i wstała, zorientował się, że zostali sami w autobusie. Wyszli razem.

39.

Gino Malko jechał swoim citroenem za furgonetką z kwaciarni. Wszystko się w nim gotowało. Walczył z nowym dla siebie uczuciem: upokorzeniem. Włączył komórkę, wcisnął „redial” i jadąc, złożył pełny raport.

- Czterech naszych wpadło w ręce policji. Prawie nic nie wiedzą, nie narobią nam kłopotów. Dzwoniłem już do adwokata: wyjdą za kaucją i natychmiast wyjadą z kraju.

Sansborough i Childs wykiwali ich pokazowo. Nie chodziło tylko o to, że usunęli z gry czterech ludzi. Bał się, że wiadomość o tym rozniesie się jak zaraza. Malko zrobił błąd. Malko dał się przechytrzyć. Takie wieści zawsze jakoś się rozchodzą. Ale Childs i Sansborough mu za to zapłacą. I będą bardzo cierpieć. Przynależ to sobie.

- Czyli sprawę można uznać za załatwioną? Ci czterej nie puszcza pary z ust?

- Taki błąd kosztowałby ich życie - zapewnił Malko swojego szefa. - Pracują w branży dostatecznie długo, żeby o tym wiedzieć.

- Co z Sansborough i Childsem?

- Są zdani tylko na siebie. Zostali zmuszeni do ucieczki. Szukają ich CIA i francuska policja, więc wcześniej czy później ktoś ich wykurzy. A ja już będę na nich czekał.

- To nie będzie konieczne.

Od tego beznamiętnego tonu, jakim szef oznajmiał mu takie nowiny, Malka zawsze przechodziły ciarki. Ale musiał przyznać, że facet ma zimną krew. Podziwiał go za to.

- Zmiana planów?

- I to poważna. - Szef zapoznał go z decyzją Spirali w sprawie Sansborough i Childsa.

- Zajmą się tym César Duchesne i jego ludzie.

- Na pewno chce mnie pan odsunąć od sprawy? - spytał Malko. - Czy ten Duchesne naprawdę jest taki dobry?

Nie miał okazji poznać osobiście nowego szefa ochrony Spirali, podobnie jak nie znał poprzedniego. Dopóki był potencjalnym łącznikiem z kartoteką Drapieznika, nie mógł ryzykować.

- Robi dobre wrażenie. Poza tym będziesz mi potrzebny w Szkocji. Kronos się domyśla. Nie widzę innego wytłumaczenia, dlaczego zablokował przepływ informacji. Dziś też praktycznie nic nam nie powiedział. Dobrze, że wszystkich traktuje jednakowo, bo to znaczy, że jeszcze nie wie, który z nas ma kartotekę. W Dreftbury mogą być kłopoty, kiedy będę próbował sfinalizować transakcję. Jeżeli Duchesne nie znajdzie Sansborough i Childsa, jeżeli pożyją dostatecznie długo... Cóż, mogą się jakimś cudem domyślić, że tam będę. Dlatego chciałbym, żebyś...

Słuchając swojego szefa, Malko się uśmiechnął, a po zakończeniu rozmowy odprężył i uspokoił. Im dłużej rozważał jego pomysły, tym bardziej mu się podobały. Podobnie jak podobał mu się pomruk potężnego silnika. Lubił ten czarny wóz, tę jego dyskretną moc; wyobrażał go sobie jako czarną panterę, która rusza na żer - jak rysie, które w młodości widywał na bagnach Florydy.

Natychmiast odsunął od siebie ten obraz. Jeszcze w Jacksonville nauczył się powściągać wodze wyobraźni. Należało polegać na faktach, nie na domysłach; na tym, co jest, a nie, co może być. Nie tylko jego rodzinę, ale także wielu kolegów zniszczył nadmiar fantazji. Po kilku zabójstwach, przez długi czas zmuszeni wszędzie widzieć niebezpieczeństwo, w końcu osuwali się w alkohol, narkotyki albo jedno i drugie, zaczęli strzelać do duchów i jeżeli nie wykończyła ich policja, padali ofiarą innego zawodowca. Nikt ze znajomych Malka z branży nie dożył emerytury. Jego opiekun miał czterdzieści sześć lat, kiedy zginął w „wypadku na polowaniu” niedaleko Fort Lauderdale. Malko podejrzewał, że popełnił samobójstwo.

Gdzieś we Francji

TIR pędził przez noc.

- Nauczyłaś się na Farmie otwierać zamki? - zapytał Asher.

- A żebyś wiedział. Nie wiem tylko, czy teraz mi się uda.

Sarah po omacku znalazła leżącą pod noszami papierową torbę z lekarstwami.

- A jakże. Dobrze, że ja się jeszcze do czegoś nadaję. Kiedy nas tu pakowali, obejrzałem zamki: bębnekowe. Nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby oddać mi tę torbę, prawda?

- Po co? Czy z ranki po igle cieknie ci krew? - Sarah wyjęła nasączone alkoholem waciki. - Nie chcę, żeby się wdało zakażenie. Dam ci torbę, jeśli obiecasz, że mnie nie ukłujesz.

- To rozsądna propozycja.

- Też tak myślę. - Sarah rzuciła mu torbę na kolana, złapała go za lewą rękę i zaczęła wycierać wacikiem ślad po igle.

- Wystarczy - ponaglił. - Dzięki.

Bez słowa wymacała samoprzylepny opatrunek, nałożyła go i dopiero wtedy puściła dłoń męża, który natychmiast zaczął grzebać w torbie. Zbiorniczek kroplówki niemal całkiem się opróżnił; to był dobry znak - nie mieli wprawdzie wody pitnej, ale Asherowi przez jakiś czas nie groziło odwodnienie. A stojak, tak jak myślała, był skręcany. Namacała część, która mogła im się przydać, i wyjęła mocujący ją bolec.

- Jak ci idzie? - zapytała.

- Użyję igły. Nie jest wprawdzie zakrzywiona na końcu, co bardzo by mi odpowiadało, ale otwierałem już zamki igłą. Brakuje mi tylko drugiego wytrycha. W torbie nic nie znalazłem.

- A to może być? - Sarah podała Asherowi metalowy pręcik wyjęty ze stojaka. Przypominał miniaturowy płaski śrubokręt.

- Zuch dziewczynka. Piątka za zaradność. Dzięki. - Asher zszedł z noszy, trzymając rozchylającą się z tyłu szpitalną koszulę. - Jaka ta podłoga zimna! - Patrzył w dół, jakby oglądał sobie stopy.

Sarah dobrze wiedziała, co mu naprawdę dokuczają: nadal nie mógł się wyprostować z bólu. Miała ochotę powiedzieć mu, żeby sobie darował i wrócił na nosze, ale zdawała sobie sprawę, że jej nie posłucha. Jeszcze nie teraz.

- No pewnie - przyznała współczująco. - I niebezpieczna. Cholera wie, co tu się dzieje. Mogą tu leżeć jakieś śrubki, pociski, potłuczone szkło, metalowe wióry. Doradziłabym ci patrzeć pod nogi, ale jest za ciemno.

- Jakaś ty dowcipna... - mruknął Asher. - Sprawdzę przednie drzwi. Chcę wiedzieć, skąd się bierze to światło.

Niechętnie wzięła do ręki koc i poszła za Asherem. Odkąd ich zamknięto, od strony szoferki nie dochodziły żadne odgłosy. Próbowwała zajrzeć do środka przez szpary między deskami, ale były zbyt wąskie. Złożyła koc na pół i położyła go przed drzwiami. TIR wszedł w następny zakręt i Asher musiał mocno zaprzeć się rękami o drzwi, żeby nie stracić równowagi. Ukłęknął przy zamku.

Na szczęście do otwierania zamków nie potrzeba światła, lecz tylko dobrego słuchu i praktyki, żeby ocenić, kiedy bolce znajdują się na swoich miejscach. Zamki bębnekowe są proste i solidne, dlatego często stosuje się je w samochodach, biurkach i szafkach, a także w wielu modelach klódek.

- Ten ma tylko jedną zapadkę - stwierdził Asher. Wsunął do środka oba wytrychy, obrócił grubszy z nich i zaczął delikatnie sprawdzać zamek igłą.

Sarah przez ten czas rozmontowała stojak do kroplówki. Pozbyła się nóżek, ramienia i reszty dodatków i w jej rękach został środkowy, metalowy słupek. Wróciła do Ashera, zatrzymując się, gdy naczepa podskakiwała na wybojach.

- Jak ci idzie?

- Ćśś...

Czekała cierpliwie, mając nadzieję, że jednak mu się nie uda. Gdyby nie otworzył drzwi, może dałby się namówić, żeby wrócić na nosze. Bo przecież nawet jeśli mu się powiodło, nadal nie mieli broni, a Ashera rozłożyłby pierwszy celny cios pięści.

- No proszę - mruknął z podziwem. - Ma się te rączki.

Wstał i podniósł koc.

- Otwarte?

- Tak jest. - Asher wytrzeszczył oczy. - A to co?

- Nasza jedyna broń. Żalotne, prawda? Może byśmy jeszcze poczekali? Do czasu, aż ukradnę gdzieś pistolet, a ty będziesz mógł przebiec chociaż kawałek o własnych siłach. Poza tym przydałyby ci się jakieś ciuchy i buty.

- Zaraz, zaraz, przecież sam wstałem i się wysikałem. Nie lekceważ tego. - Asher oparł dłoń na klamce i zawahał się, jakby coś rozważał. - Nie bój się - dodał poważniejszym tonem. - Jestem prawie pewien, że w szoferce nikogo nie ma, a chciałbym mieć poczucie, że coś robię. Może coś znajdziemy albo dowiemy się czegoś, co później się nam przyda. Jeżeli mamy się z tego wykaraskać, musisz mi pozwolić pracować. Wiem, że się o mnie martwisz, ale biorąc pod uwagę wszystkie możliwości, uważam, że musimy zaryzykować. Jeżeli nie uciekniemy, stan mojego zdrowia będzie bez znaczenia. Zgodzisz się ze mną?

W takich okolicznościach trudno było temu zaprzeczyć.

- Tak - mruknęła.

Asher błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Wyczuwała, że jest spięty, gotowy do akcji. Przyłgnęła do ściany i skinęła głową. Uchylił drzwi, a ona wzięła głęboki oddech, uniosła pręt i zajrzała do szoferki.

- Pusta - stwierdziła z ulgą i weszła do środka. - O rany...

- Co jest? - Asher wyjrzał jej nad ramieniem.

- Monitory. Nie wyłączyli ich. Stąd to światło. W ogóle jest tu kupa sprzętu.

Nad przednią szybą wisiał rząd małych monitorów. Były włączone, na wszystkich wyświetlał się obraz wnętrza olbrzymiej naczepy. Wszędzie było pełno zegarów, pokręteł, ekranów i migających światełek.

- Świetna aparatura - przyznał Asher.

- Moglibyśmy nadać coś przez radio?

- Zobaczymy.

Ktoś zostawił na fotelu zapinaną na suwak bluzę. Asher włożył ją, zapiął i usiadł przy pulpicie, okrywając się kocem od pasa w dół.

Sarah wyjęła ze schowka latarkę, wygramoliła się z samochodu i rozejrzała po wnętrzu naczepy. Nie było w niej nic poza ciężarówką, żadnej broni ani jedzenia. Rozczarowana obejrzała przednią ścianę: znalazła w niej otwory wentylacyjne, ale nic nie wskazywało na to, żeby dało się przez nią wydostać do kabiny TIR-a. Słyszeć było tylko pomruk silnika i równy szmer opon na asfalcie.

Dwuskrzydłowe drzwi z tyłu naczepy były zamknięte na głucho. Próbowwała pchnąć je ramieniem, ale były od zewnątrz zablokowane łomem. Nawet gdyby Asher zdołał otworzyć zamek, z łomem by sobie nie poradzili.

Wróciła do szoferki i usiadła za kierownicą. Asher włączył górną lampkę. Włosy miał w nieładzie, twarz bladą, skórę na wpół przezroczystą, jakby lada chwila miał zemdleć, ale cały czas pstrykał przełącznikami i próbował zorientować się w działaniu aparatury.

- Znalazłaś coś? - zerknął na nią.

- Nic ciekawego. A ty?

- Też nie. Kamery i mikrofony są ustawione na wnętrze naczepy, ale tam nic nie ma, więc na ekranach niczego nie widać. - Gestem wskazał monitory pod sufitem. - A głośniki milczą. Nie znalazłem żadnej krótkofalówki ani komórki, więc nie mamy jak porozumieć się ze światem zewnętrznym. To była zła wiadomość. Dobra jest taka, że działa GPS.

- To już coś. - Sarah pochyliła się nad mężem i spojrzała na kolorową mapę, na której strzałki pokazywały przebytą trasę. - Jeździmy po całej Francji!

- Zgadza się. Najpierw na północny wschód do Reims, potem na południe w okolice Troyes i Orleanu, a teraz znów na północ.

- Znosi się na to, że przejedziemy od zachodu blisko Paryża. Wożą nas z miejsca na miejsce, żeby nikt nas nie mógł znaleźć, prawda?

- Też mi się tak wydaje. A teraz druga dobra wiadomość: mamy tu interkom.

Asher pstryknął przełącznikiem. W małym głośniczku usłyszeli dwa męskie głosy, mówiące po francusku.

- **Mecca-cola? To szajs! Wolę prawdziwą coca-colę. To jedyna rzecz, która naprawdę się Amerykanom udało.**

- **Więc jednak coś potrafią?**

Pierwszy Francuz parsknął śmiechem. Sarah ściszyła dźwięk.

- To nasi kierowcy?

W oczach Ashera pojawił się błysk, ale nie była to oznaka rozbawienia.

- Tak. Jak ich człowiek słucha, mógłby pomyśleć, że są całkiem nieszkodliwi, ale to nieprawda. Są uzbrojeni i gotowi nas sprzątnąć. Właściwie powiedziałbym nawet, że nie mogą się już tego doczekać.

- Tak, to właśnie chciałam usłyszeć. Na co czekają?

- Na rozkaz. Odebrali jeden telefon, ale nie puścili rozmowy na głośnik, więc słyszałem tylko koniec.

- To był ich szef?

- Na to wygląda. Oczywiście nie padły żadne nazwiska.

Pochylili się nad odbiornikiem, próbując wychwycić z podsłuchiwanej rozmowy coś użytecznego. Pięć minut później wiedzieli tylko tyle, że obaj mężczyźni zostali wynajęci niedawno. Nie znali nazwiska człowieka, który im płacił, ale wielkość sumy ostudziła ich ciekawość.

- Myślisz, że to ich bezpośredni przełożony, czy ktoś wyżej?

- Na razie trudno powiedzieć.

Sarah zerknęła na Ashera, którego skóra przybrała kredowobiały odcień.

- Dość się już napracowałeś. Teraz kolej na mnie. Wezmę pierwszą zmianę.

- Nie masz nic przeciwko?

- Och, Asher, jaki ty potrafisz być czasem beznadziejny. Wracaj na nosze, odpocznij, zadbaj o siebie. Bo na razie mnie przerażasz. A nasza sytuacja i tak jest kiepska.

Asher zaczął wstawać, ale nagle znieruchomiał.

- Zwalniamy.

Opadł z powrotem na fotel. Głośnik bluznął wiązką francuskich przekleństw.

- **A to skurczybyk!** - wściekał się jeden z kierowców.

- **Robi, co mu każą** - zauważył drugi zrezygnowanym tonem. - Jak my.

Zapadła cisza. Sarah i Asher czekali na ciąg dalszy, ale dolatywały ich tylko sporadyczne przekleństwa.

- **Jest** - usłyszeli w końcu. - **Widzisz?**

- **Duży skurwiel...**

Mimo że TIR zwalniał, warkot silnika przybrał na sile i stał się bardziej basowy, dudniący. Asher ścisnął Sarah za rękę.

- Odrzutowiec? - spytała niespokojnie.

Spojrzał w jej oczy - ciemne, czujne, zdradzające z trudem maskowany lęk.

- Na to wygląda.

40.

Paryż

Przesiedli się do innego autobusu. Simon drzemał oparty o ramię Liz. Był środek nocy. Wyjechali poza Peripherique i znaleźli się w ciemnej o tej porze dzielnicy Seine-St. Denis. Tylko w nielicznych lokalach, gdzie trwało nocne sprzątanie, paliły się światła.

Wysiedli z autobusu półtora kilometra przed lotniskiem Le Bourget. Minęła ich jedna taksówka, potem druga; pierwsza miała pasażera, druga była pusta. Zjechała do krawężnika. Liz zasłoniła twarz dłonią i odwróciła się, udając atak kaszlu.

- *Merci, non* - Simon odprawił taksówkarza, a kiedy ten odjechał, spojrzał na Liz. - Rozpoznałaś go?

- Nie.

- Co za sprzyjający zbieg okoliczności: akurat teraz znalazła się pusta taksówka. W dodatku w takim miejscu. - Ze złością pokręcił głową. - Boimy się własnego cienia, jak spłoszone koty.

- Powinieneś się cieszyć. To naturalny mechanizm obronny. Kiedy przestaniemy się bać, będzie z nami źle.

Zerwał się wiatr. Poruszył liśćmi na drzewach, błyskawicznie osuszył skórę z potu. O tej porze chodniki były całkiem puste. Liz i Simon przez jakiś czas skręcali w boczne uliczki i chowali się w bramach, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi, ale w końcu przyspieszyli kroku i ruszyli na lotnisko.. Simon parsknął śmiechem.

- Co kombinujesz? - zaciekawiała się Liz. Lubiała patrzeć, jak chodzi: długim, sprężystym, żwawym krokiem.

- Przypomniał mi się Malko. Po tym, jak go zobaczyłaś w tamtym zaułku, był bez szans.

- Jakoś nie jestem przekonana, czy to komplement.

- Oczywiście. Kobiety często się lekceważy, co może mieć dobre strony, jeśli kobieta potrafi to wykorzystać. A ty potrafisz.

- Są i złe strony. Na przykład ciągle pakuję się w kłopoty.

- Mówisz o Santa Barbara? O dziekanie i tym twoim kochasiu?

Simon poczuł ukłucie zazdrości. Zastanawiał się, jaki był Kirk Tedesco. I dlaczego, na Boga, Liz poszła z nim do łóżka. Nie wiedział wprawdzie, czy poszła, ale pewnie tak. Była dorosła i samotna, a wszyscy przecież czasem popełniamy błędy. Przypomniał sobie Vierę: poczuł dotyk jej palców, zobaczył szczęśliwy błysk w jej oczach. Próbował przestać o niej myśleć, zanim pamięć podsunie mu obraz jej płonącego ciała, ale jego umysł był szybszy... Sekundę później pochłonęły ją płomienie.

- Kobiety mają też inną cechę: są ufne - zauważyła Liz. - Ufałam Kirkowi, ponieważ podobał mi się i lubiłam jego towarzystwo. Nie kwestionowałam jego miernych kwalifikacji, nie podejrzewałam, że razem z dziekanem donoszą na mnie. Byłam głupia - dodała zirytowana.

- Albo, co bardziej prawdopodobne, ci, którzy cię kontrolowali, byli naprawdę świetni.

- Nie. Tak bardzo marzyłam o idylli, że dałam się podpuścić. Nie zapomnę tego dreszczyku emocji, który poczułam, kiedy zdobyłam tę posiadłość. Podarowano mi idealne wytłumaczenie, żeby wypłatać się ze współpracy z Langley. To było jak pieczęć na glejcie, w którym akceptowano mój pomysł na życie.

- Żałujesz, że zrobiłaś doktorat?

- Uwielbiam uczyć - odparła po namyśle. - A serial narodził się z moich zainteresowań i na nim też mi bardzo zależało... nadal zależy.

- Chcesz tam wrócić?

Liz cofnęła się pamięcią do Santa Barbara. Miała dom w odludnym zakątku gór Santa Ynez, z widokiem na miasto - zapierającą dech w piersi panoramą czerwonych dachów i palmowych zagajników, które jak zielony dywan schodziły aż do błękitnej wody. Miasto rozpościerało się w lekko nachylonej niecce, wznoszącej się od oceanu do gór, jakby wtulone w olbrzymią dłoń. W łagodnym klimacie rosły egzotyczne rośliny - hibiskusy, bugenwille, lilie, strelicje.

Nagle poczuła, jak bardzo doskwiera jej samotność. W jej sercu otworzyła się bezdenne otchłań, czarna, pusta... znajoma. Czegoś jej brakowało. Nie potrafiła tego opisać i zwykle udawało się jej ten brak zignorować. Angażowała się w pracę naukową, wykłady, posiedzenia komitetów, serial, treningi karate, nawet w znajomość z Kirkiem. Senna uroda Santa Barbara ułatwiała przyjęcie tych prezentów od losu. Na myśl o dobrodusznym i leniwym Kirku przeszedł ją lodowaty dreszcz. Zaufała mu, a on ją zdradził.

- Ludzie jadą do Santa Barbara albo po to, żeby śnić, albo żeby marzyć - powiedziała, nie patrząc na Simona. - Ja pojechałam zapomnieć. Nie wiem, co zrobię, kiedy to wszystko się skończy. A ty?

- Nie zastanawiam się nad tym. Mam dożywotni kontrakt z MI-6.

- To brzmi jak wyrok.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie o to mi chodziło.

- Jako twój dyżurny psychoanalityk mam dla ciebie radę: zwracaj uwagę na to, jak ludzie żartują, zwłaszcza z siebie samych. W takich żarcikach wredna podświadomość daje znać o sobie. Ironiczne uwagi często prowadzą do głęboko ukrytych prawd, o których czasem sami nie mamy pojęcia.

- Proponuję układ: ty nie będziesz mi grzebać w mózgu, a ja nie zapytam, jak to możliwe, że taka bystra dziewczyna wplątała się w znajomość z takim oszustem jak Kirk.

Liz miała na końcu języka złośliwą ripostę, ale powstrzymała się i roześmiała.

- *Touche*. Pokazałeś mi, gdzie moje miejsce. Natychmiast zabieram mój kwestionariusz osobowości i dyskretnie, pokornie schodzę z katedry.

- Świetny pomysł.

Oboje się uśmiechnęli i ruszyli dalej. Ruch uliczny był coraz mniejszy. Na tle gwiaździstego nieba rysowały się czarne sylwetki drzew.

- Myślałam o tym, co mówiłeś o Nautilusie - odezwała się Liz. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. - W Dreftbury będziemy szukać nie tylko szantażysty, ale też tych wszystkich Temid, Kronosów i reszty towarzystwa z greckimi pseudonimami. Jeśli dowiemy się, kim są, zawężymy krąg podejrzanych.

Simon skinął głową.

- Będziemy musieli radzić sobie sami, bez ekspertów od statystyki. Mimo to uważam, że powinniśmy jak najszybciej obejrzeć zdjęcia, które zrobiłem. We dwoje możemy wiedzieć więcej, niż się nam wydaje.

- Zgoda. Ile mamy czasu do spotkania Nautilusa?

- Dzisiaj około czwartej, piątej po południu goście zaczną się zjeżdżać. Czegoś się napiją, zagrają w golfa. Koło ósmej będzie bankiet powitalny. Jutro, w sobotę, od ósmej rano zaczynają się prezentacje i panele. I tak to trwa do niedzieli wieczór.

- Jakie mają zabezpieczenia?

- Zwykle pół na pół prywatne z państwowymi. Nautilus wynajmuje topową firmę ochroniarską, jakiegoś Krolla czy Wackenhuta, która, w zależności od tego, gdzie odbywa się zjazd, może liczyć na wsparcie miejscowej policji lub wojska. Albo jednych i drugich. O świcie cała okolica będzie zabezpieczona.

- No to pięknie.

- Nautilus zna się na rzeczy. Założę się, że w tej chwili Dreftbury jest zamknięte dla przyjezdnych, a stałych gości odesłano do domu. Zawsze tak robią. Poza tym wybierają ośrodki, które albo należą do kogoś z Nautilusa, albo przynajmniej są pod jego pośrednią kontrolą.

Liz westchnęła ciężko, ale zaraz się ożywiła.

- Oto i nasz cyrk.

Cyrk rozłożył się niedaleko parkingu, na jednym z pasów dojazdowych lotniska. Ogromny namiot wydymał się na wietrze jak wielki żagiel na tle czarnego nieba. Z boku stały zaparkowane samochody i przyczepy artystów i pomocników - zbieranina starych gruchotów, wśród których z rzadka wyróżniał się jakiś nowszy wóz. Cirque des Astres nigdy nie przynosił krociowych zysków. Najwyraźniej niewiele się przez lata zmieniło.

Po drugiej stronie namiotu wznosiły się zabudowania lotniska Le Bourget - wielkie, przysadziste budowle, okolone trawnikami i siecią chodników. Stary port lotniczy, sławny jako miejsce lądowania Charlesa Lindbergha po pierwszym samotnym locie przez Atlantyk, został zdegradowany do roli prowincjonalnego lotniska. Obsługiwał loty towarowe i czartery, gościł odbywające się dwa razy do roku Paryskie Pokazy Lotnicze oraz inne wystawy i wydarzenia kulturalne - także Cirque des Astres.

Ale w tej chwili całe Le Bourget spało. Noc sprzyjała Liz i Simonowi.

Minęło siedem lat, odkąd ostatni raz widziała się z Garym Faustem, byłym dowódcą we francuskim ruchu oporu. Faust przekroczył osiemdziesiątkę. Jego matka Francuzka i ojciec Amerykanin założyli cyrk w latach młodości, aby w czasie wojny służył jako przykrywką dla całej siatki sabotażystów i szpiegów. Za swoją odwagę Faust został odznaczony Legią Honorową, Krzyżem Wojskowym i Medalem Ruchu Oporu. Był bohaterem Francji.

Kiedy obeszli namiot dookoła, zobaczyli samolot. W blasku księżyca wyglądał jak widmo: westland lysander z 1940 roku, jeden z dwóch sprawnych egzemplarzy na świecie.

- To ten? - Simon wytrzeszczył oczy. - To w ogóle lata?

- Jak marzenie, jeśli wierzyć Gary'emu.

Wszędzie tam, gdzie nie zabraniały tego lokalne przepisy, Gary urządzał rodzinom z dziećmi darmowe loty widokowe, które, rzecz jasna, stanowiły świetną reklamę dla cyrku. Ale nade wszystko kochał pilotować wiekową maszynę. Chciał, żeby inni też poznali uczucie grozy i podniecenia, które odeszły w przeszłość wraz z wojną.

Simon pokręcił głową.

- Wygląda, jakby go ktoś skleił w piwnicy z folii aluminiowej i plasteliny - stwierdził sceptycznie. - Jakim cudem ma przelecieć nad kanałem La Manche?

- Licz się ze słowami - usłyszeli angielskie słowa wypowiedziane z silnym francuskim akcentem. - Moja mała łatwo się obraża. Jeżeli chcesz, żeby miło was traktowała, sam bądź dla niej miły.

Mężczyzna, który wynurzył się z cienia samolotu, był barczysty, energiczny i nosił się prosto mimo podeszłego wieku. Miał na sobie ciemnoszary kombinezon i czapkę. Zsunięte z twarzy gogle wisiały mu na szyi.

Ujął Liz za barki, wycalaował w oba policzki i odsunął na odległość wyprostowanych ramion. Przyjrzał się jej w blasku księżyca.

- Dobrze się czujesz?

- Napiłam się wina - odparła z uśmiechem Liz. - Zjadłam też bagietkę i trochę sera.

- Czego chcesz więcej? Kto wie, co jutro nam przyniesie?

- Cieszę się, że cię widzę, Gary.

- Ja też się cieszę. Przykro mi z powodu śmierci twojej matki, ale może dobrze się stało. Tyle się wycierpiała przez tego twojego okropnego ojca! - Gary się przeżegnał. - Źle się wyrażam o zmarłych. - Jeszcze raz się przeżegnał i zachichotał. - Robię to już tyle lat i jakoś nic mi się złego nie stało. Czym tu się martwić? - Odwrócił się. - A ty jesteś Simon? Bratanek Melanie?

Podali sobie ręce. Dłoń starego pilota była sucha i mocna.

- Miło z pana strony, że zgodził się nam pan pomóc. Liz powiedziała mi, że ma pan samolot, który świetnie się nada...

- Proszę nic więcej nie mówić. - Gary przytknął palec do ust. - Dawno temu nauczyłem się, że lepiej nie znać szczegółów misji, jeśli się nią nie kieruje. Jesteś jeszcze młody, Simonie, więc na pewno się denerwujesz. Nie widziałeś jeszcze w locie takiego cuda.

- Poklepał skrzydło lysandera. - Odpręż się i zaufaj mi. Takie maszyny przerzucały waszych chłopców do Francji i odwoziły do domu wielu zestrzelonych pilotów. W Wolnej Francji maleństwo służyło jako samolot zwiadowczy, a przy okazji woziło broń i zaopatrzenie dla ruchu oporu. Jak to możliwe, zapytasz? Umie latać nisko i powoli, a poza tym może startować i lądować w najbardziej niedostępnym terenie. A to nam dziś w nocy się przyda.

- I znajdzie się w środku miejsce dla nas dwojga? - spytał podejrzliwie Simon.

- Czterdzieści lat temu, kiedy kupiłem małą z demobilu, wymontowałem działko rufowe i wstawiłem na jego miejsce dodatkowy fotel. Od tamtej pory bez problemu lata ze mną i dwójką pasażerów.

- A dziś tą dwójką będziemy my - stwierdziła Liz, wdrapując się na skrzydło.

- *Oui*. Pospiesz się, Simonie. Muszę dostarczyć was na miejsce na długo przed świtem, żeby potem niepostrzeżenie tu wrócić. - Gary zadarł głowę i zaciągnął się nocnym powietrzem. - Znam takie jedno pole w Northumberland, na farmie dawnego znajomego. Wspomnienia i starość zbliżają ludzi. - Odczekał, aż Simon usiądzie, i wspiął się za nim do kabiny.

- To jakaś ważna sprawa, prawda?

- Nawet bardzo - zapewniła Liz.

- *Bon*. Lecimy.

Langley

- Jasny gwint! - zaklął Frank Edmunds do telefonu. - Nigdzie ich nie ma?!

- Znaleźliśmy peugeota na prywatnym parkingu wielopoziomym przy Pigalle. Sansborough i Childs musieli zniknąć niewiele wcześniej, jak kazałeś mi ich szukać. Obejrzelśmy wóz i cały parking, ale nie znaleźliśmy żadnej wskazówki. Nie wiemy, dokąd poszli. Ale mam dla ciebie ciekawostkę: wszędzie roilo się od antyterrorystów. Przyskrzynili czterech gości, którzy próbowali prysnąć, a teraz przeszukują okolicę. Zrobili takie zamieszanie, że nawet my zwróciliśmy na nich uwagę, ale kiedy wrócili na parking, musieliśmy się szybko zmywać, żeby nas nie zaczęli legitymować. To się nazywa pech, co?

Edmundsa dręczyło silne przecucie, że pech ani szczęście nie mają tu nic do rzeczy. Ba, nalot antyterrorystów na kilometr zalatywał sztuczką Sansborough i Childsa. Było oczywiste, że nie tylko Agencja ich ściga; najwyraźniej ktoś ich na tym parkingu przyparł do muru. Wezwanie policji do domniemanych terrorystów musiało spłoszyć napastników, a przy okazji dać okrażonej parze szansę ucieczki. Było to jedyne sensowne wytłumaczenie.

Najgorsze, że Sansborough i Childs znów prześliznęli się przez oka sieci CIA. Jak na osobę, która podobno zbzikowała, Sansborough myślała całkiem trzeźwo. Edmunds coraz częściej zastanawiał się, czy Jaffa jednak się nie pomylił. Co będzie, jeśli to ona ma rację?

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

- W porządku. Szukajcie dalej. Sansborough i Childs na pewno są w przebraniu, ale to dla nas betka, prawda? Wiecie już, jak dotarła do Paryża i gdzie potem poszła?

- Nie, Frank. A wiesz dlaczego? Nie ma śladu, że przybyła do Paryża ani w ogóle do Francji. Żadnego śladu.

Edmunds był coraz bardziej zaniepokojony.

- A Asher Flores i Sarah Walker? Co z nimi?

- To też ciekawa historia. Flores faktycznie przyjechał do Paryża, ale pod własnym nazwiskiem, więc dziwne by było, gdyby brał udział w jakiejś tajnej operacji. Ale to jeszcze nie wszystko. Mam kontakty w żandarmerii i dowiedziałem się, że zameldowali się z żoną w Valhalli i zapłacili za tydzień z góry, do niedzieli. A dziś rano w szafie w ich pokoju znaleziono trupa. Gliny mówią, że wcześniej Walker przychodziła i wychodziła, a potem ślad po niej zaginął. Floresa nikt nie widział od wtorku wieczorem. Policja zamierza wydać nakazy aresztowania obojga... jeśli jeszcze tego nie zrobiła. To wszystko, co wiem.

- Draż dalej. - Edmunds czuł zbliżający się atak zgagi, żołądek podchodził mu do gardła. - Nie popuszczaj. I znajdźcie tę Sansborough, do diabła!

- Kiedy znajdziemy Sansborough i Childsa, mamy ich zlikwidować?

Edmunds zawahał się i zaklął pod nosem. Sięgnął po lekarstwo.

- Frank? Jesteś tam?

- Jestem, jestem. - Przełknął pigułkę, popił wodą i westchnął ciężko. - Poczekajcie z tym. Trzeba sprawdzić, co się, do kurwy nędzy, dzieje, zanim posuniemy się za daleko.

Rozłączył się i wybrał pierwszą cyfrę numeru wewnętrznego Waltera Jaffy. Zawahał się. Czyżby niedorzeczna historyjka Sansborough była jednak prawdziwa? Mogła być zła na Firmę z powodu ojca, ale kiedyś przecież dla niej pracowała.

Cisnął słuchawkę na widełki. Dopóki nie dowie się czegoś więcej, nie będzie rozmawiał z Jaffą.

Hrabstwo Northumberland, Anglia

Księżycowa poświata jak srebrny welon kładła się na widzianej z powietrza dolinie North Tyne. Samolot leciał nad gęstymi lasami, rozległymi mokradłami i wrzosowiskami. Gary Faust pokierował maszyną wzdłuż rzeki w stronę rozległej farmy i delikatnie przygotował ją do lądowania. Dopiero kiedy koła zetknęły się z prymitywnym pasem startowym, cały lysander zaczął podskakiwać i klekotać. Ale stary Francuz miał rację: mógłby go posadzić na lotnisku niewiele większym od znaczka pocztowego.

Liz obudziła się, przeciągnęła i ziewnęła szeroko. Podkołowali pod dom i Gary wyłączył silnik.

- Nieźle lądowanie - pochwalił go Simon.

- *Oui*. A tobie na pewno ulżyło, że wróciłeś bezpiecznie na *terra firma*, co? - Francuz nie krył rozbawienia. Simon przez cały lot siedział jak na szpilkach.

- Jestem po prostu zaskoczony. To naprawdę mocny samolocik.

Liz przyjrzała mu się, przypominając sobie, jak zareagował na propozycję lotu do Anglii.

- Przecież ty nie lubisz latać!

Simon wzruszył ramionami i uśmiechnął się zawstydzony. Ruszyli w stronę zabudowań farmy. Rzadko rozrzucone drzewa i krzewy kołysały się na wietrze, po niebie pędziły ciemnoszare chmury. Simon zauważył, że Liz - podobnie jak on - cały czas czujnie się rozgląda. Prawdopodobieństwo, że ktoś ich śledzi, było minimalne, ale nie potrafili się odprężyć.

Faust jeszcze z Francji zadzwonił do właściciela farmy, Paula Hamiltona, zasłużonego pilota RAF-u. Paul poleciał wprawdzie swoim de havilandem na pokazy lotnicze w hrabstwie Kent, ale obiecał im pożyczyć jeepa. Faust znalazł klucz do domu pod czerwoną skrzynką z kwiatami na parapecie, wszedł do środka i przyniósł Liz kluczyki do samochodu.

Podziękowała i ruchem głowy wskazała mrugające niedaleko światła domów.

- To Bellingham?

Gdyby tak było, biegnąca nieopodal droga B6320 zaprowadziłaby ich prosto do posiadłości lorda Henry'ego Percy'ego.

- Owszem. - Faust odwrócił się do Simona. Podali sobie ręce. - Do widzenia, synu. - Ucałował Liz w oba policzki, wsiadł do samolotu i zaczął kołować na start. - I powodzenia!

Wiatr unióś jego słowa.

Liz i Simon otworzyli drzwi garażu. W środku stały motocykl i jeep. Wsiedli do samochodu i wycofali na podwórko. Liz prowadziła. Simon wyjął ze schowka mapę. Wyjechali na asfaltową drogę dojazdową, a gdy dotarli nią do głównej, Liz skręciła na południe, wzdłuż brzegu leniwie płynącej rzeki. Po drugiej stronie ciągnęły się gęste lasy Parku Narodowego Northumberland. Droga była prawie pusta.

Minęło dwadzieścia lat od ostatniej wizyty Liz u Henry'ego; dziesięć, odkąd ostatnio widział go Simon.

- Teraz na pewno nikt nas nie śledził - stwierdziła Liz.

- Tylko duchy średniowiecznych rabusiów.

- Henry zawsze tak cudownie o nich opowiadał.

Simon uśmiechnął się i obejrzał przez ramię, jakby wypatrywał bandytów, którzy przez stulecia terroryzowali szkocko-angielskie pogranicze. Hrabowie Northumberland, przodkowie Henry'ego, rządili wtedy okolicą jak udzielni książęta.

Liz też się uśmiechnęła. Nagle zrobiło się jej lżej na duszy. Zgubili pościg i mogli sobie pozwolić na odrobinę optymizmu. Wierzyła, że Sarah i Asher żyją i czekają, aż ona ich odnajdzie. Archiwum też.

Simon wypatrzył stojący przy drodze głaz, przez miejscowych zwany Śpiącym Pijakiem, a w przewodnikach opisywany jako Odpoczywający Mędrzec. Od tego miejsca zaczynała się posiadłość barona Henry'ego Percy'ego. Liz skręciła w znajomą dróżkę, biegnącą prosto jak strzełił, ale tak zarośniętą, że gałęzie krzewów niczym kościste palce drapały karoserię jeepa.

- Kiedyś to inaczej wyglądało.

- Dziwne, że Clive tak zapuścił tę drogę. Zawsze był taki staranny.

Splecione u góry gałęzie drzew przesłaniały światło księżycy i samochód pędził jak przez ciemny tunel. Liz włączyła reflektory. Minęli łąkę przeciętą strumieniem, nad którym w dzieciństwie urządzali sobie pikniki, a kiedy tunel wreszcie się skończył, znaleźli się pod Moorlands. Dworek przez lata pełnił funkcję letniej willi, do czasu aż Henry przeszedł na emeryturę i przekazał nadzór nad inwestycjami kilkorgu bratankom i siostrzenicom. Od tej pory Moorlands był jego stałą rezydencją, którą opuszczał tylko po to, by wyruszyć do Afryki, na Daleki Wschód lub, z rzadka, na antropologiczną wyprawę do Las Vegas. Henry lord Percy był staromodnym Anglikiem, który po prostu lubił smak przygód.

Liz zaparkowała samochód z boku domu, w oplecionej winoroślą altance.

- Nie ma zoo - zauważył Simon, wysiadając z jeepa.

Podszedł do miejsca, gdzie dawniej w zagrodach i malowniczych szopach mieszkały zebry, lamy, andyjskie kozy i inne egzotyczne zwierzęta. Teraz rozciągało się tu zwyczajne pole. Stajnie znajdowały się, jak dawniej, na północ od dworku, ale w zasięgu wzroku nie było widać ani jednego konia.

- Nie czuć już nawozu - dodała Liz.

- Koni też nie ma.

Trawnik był schludnie przycięty, w donicach przy ścieżce kwitły letnie kwiaty. Sam dworek też był zadbane, a rosnące przed nim dwa olbrzymie dęby wydały się Liz wyższe, grubsze i bardziej dostojne niż dawniej. Mimo to cała posiadłość sprawiała wrażenie znużonej wiekiem i podupadłej.

Weszli na ganek. Liz podniosła z podłogi „Timesa”, najnowsze, piątkowe wydanie.

- To dobry znak. Henry nadal jest uzależniony przynajmniej od jednej gazety.

- Pokaż mi ją.

Simon stanął pod drzwiami, wziął od niej gazetę i zaczął przeglądać pierwszą część w świetle księżyca. Kiedy zdała sobie sprawę, czego szuka, zaklęła cicho i wzięła od niego drugą połowę.

Simon znalazł to pierwszy: cztery zdjęcia i dwie notki. Zerknęła mu przez ramię, podenerwowana i wściekła. Fotografie przedstawiały ją, Sarah, Ashera i Maca, który - jeśli wierzyć podpisowi pod zdjęciem - nazywał się Aldo Malchinni i był biznesmenem z New Jersey. Pierwsza notatka była poświęcona śledztwu wydziału kryminalnego londyńskiej policji w sprawie zabójstwa Patricii Childs, druga opisywała prowadzone w Paryżu poszukiwania Sarah Walker i Ashera Floresa, których żandarmeria chciała przesłuchać w związku z morderstwem Malchinniego. Czytelnikom zwrócono uwagę na fakt, że Sarah i Liz są kuzynkami, w dodatku podobnymi jak dwie krople wody.

- O kurczę - stęknęła Liz.

- Jutro możesz mieć kłopoty. Może nie jedź ze mną do Dreftbury. Nie mamy...

Nad drzwiami zapaliły się reflektory, oświetlając alejkę i podjazd. Liz włożyła rękę do torebki i namacała rękojeść glocka. Simon sięgnął pod kurtkę po berettę. Spojrzeli na siebie.

- Ależ się zrobiliśmy nerwami... - mruknęła Liz.

Simon skinął głową i złożył gazetę na pół.

- Trzeba by się jej pozbyć.

- Kto tam? - zapytał ktoś ze środka. To nie był Clive.

Przedstawili się. Chwilę później drzwi się otworzyły.

Henry Percy przyjął ich w bibliotece na parterze. Siedział w fotelu z szerokim oparciem, nogi miał przykryte pledem w szkocką kratę i wyraźnie czekał na gości, chociaż ani Liz, ani Simon nie zauważyli, kiedy zszedł na dół. Simon dyskretnie wsunął „Timesa” za przedpotopowy stojak na parasole.

Clive - w pizamie, kapciach i niebieskim szlafroku - klęczał przy kominku, dmuchając w mały płomyk. Od czasu do czasu zerkał na barona, jakby chciał się upewnić, że ten dobrze się czuje. Był niewiele młodszy od Henry’ego i skurczył się z wiekiem, ale poruszał się równie żwawo i irtował równie łatwo jak dawniej. Sądząc po tym, jak wyniośle traktował gości i jak krzywo na nich patrzył, nie podobała mu się ta niespodziewana wizyta. Drugi służący - Richard, w tej chwili również w szlafroku - stał po przeciwnej stronie pokoju i czekał na polecenia. To on otworzył drzwi Simonowi i Liz. Był o dobre pięćdziesiąt lat młodszy od barona.

- Lizzie! Simon! - Henry wyciągnął do nich ręce. Skórę miał upstrzoną starczymi plamami. - Miło was widzieć. Wybaczę wam nawet tę makabryczną porę odwiedzin. Nie przyjechalibyście bez ważnego powodu.

Twarz gospodarza była bardziej pociągła i szczuplejsza, niż Liz ją pamiętała, ale mimo podeszłego wieku Henry’ego prawie pozbawiona zmarszczek. Rzadkie siwe włosy miał szczesane gładko do tyłu. Największe wrażenie robiły krzaczaste, siwe, nastroszone brwi. Szare oczy zdawały się niemal bezbarwne, ale zachowały dawną przenikliwość, która politycznych przeciwników barona napawała strachem, a jemu pozwalała dostrzec najskrytsze marzenia dzieci.

- To prawda, mamy ważny powód - zapewniła go Liz. - Ale przy okazji cieszymy się, że mogliśmy cię znów zobaczyć. - Podała mu rękę i pocałowała go w wychudzony policzek.

Simon złapał go za drugą dłoń.

- Świetnie wyglądasz, Henry. Przepraszamy za najście.

- Co też wygadujesz! - Henry się rozpromienił. - Nie ma mowy o żadnym najściu. Clive? Herbaty! Jakiejś gorącej, dobrej... Może oolong?

- A może goście mieliby ochotę na kanapki? - zapytał Clive, spoglądając spode łba na Liz i Simona. - Kucharka na pewno się obudziła przy takim zamieszaniu. Powiem jej, żeby okroiła skórkę z chleba.

- Kanapki? - powtórzył Simon. - Doskonały pomysł. Dziękuję, Clive.

- Mogę cię ucałować? - spytała Liz. - Przez wzgląd na stare dobre czasy...

Clive zmarszczył brwi, ale nastawił policzek. Kiedy Liz pochyliła się nad nim i go pocałowała, uśmiechnął się leciutko i natychmiast wyszedł do kuchni.

Henry lord Percy, bohater wojenny, były parlamentarzysta, dyplomata i biznesmen, był potomkiem w linii prostej czwartego lorda Percy'ego, pierwszego hrabiego Northumberland, zmarłego w 1409 roku. Syn hrabiego, Henry, już w wieku dwunastu lat tak bardzo zasłużył się w bitwie, że zyskał sobie przydomek Hotspur* i dwieście lat później został unieśmiertelniony przez Szekspira w *Henryku IV* i *Ryszardzie II*. Z pewną dziewczuchą z Wark spłodził nieślubnego syna, któremu oficjalnie dał swoje nazwisko. Boczna linia Percych rozkwitła: członkowie rodu z początku byli miejscowymi kupcami i urzędnikami, później zaś przenieśli się do Londynu. Dziadek żyjącego Henry'ego kupił Moorlands, dwór na południe od Wark, i w ten sposób rodzina wróciła do domu.

- Siadajcie. - Henry wskazał obitą skórą sofę. - Siadajcie, proszę.

Liz i Simon usiedli. W palenisku trzaskał ogień, na kominku tykał wiktoriański zegar. Pokój miał co najmniej pięć metrów wysokości. Wszędzie wzdłuż ścian stały regały, ciasno zastawione książkami w skórzanych oprawkach. Pachniało natłuszczoną skórą i ciepłem z kominka.

- Richardzie - Henry zerknął na drugiego służącego. - Bądź tak miły i zostaw nas samych.

- Ale Clive powiedział...

- Na razie jeszcze ja tu rządę.

Głos barona brzmiał słabo i lekko drżał, ale ton nie dopuszczał żadnej dyskusji. Liz i Simon wymienili porozumiewawcze spojrzenia: Henry był w świetnej formie.

Richard zacisnął zęby, skłonił się lekko i wyszedł.

- Henry, mamy problem - zaczęła Liz, ledwie drzwi się za nim zamknęły.

Ale Henry uciszył ją gestem. Patrzył na nią ostro, oskarżycielsko.

- Oglądałem BBC. Zabiłaś Tish Childs?

Liz na moment zamurowało.

- Nie! Oczywiście, że nie! Przecież wiesz, że w życiu nie zrobiłabym czegoś takiego.

- Byłaś w CIA. Umiesz zabijać.

- Cholera jasna, umiejętności nie mają tu nic do rzeczy! Znasz mnie. Tish przed śmiercią była torturowana. Naprawdę myślisz, że mogłabym się do tego posunąć?

Spojrzeni na siebie groźnie. Tykanie zegara zdawało się coraz głośniejsze. Liz nie spuściła wzroku. W końcu Henry chyba dostrzegł w jej oczach coś, co go przekonało. Odprężył się.

* *Hotspur* (ang.) - narwaniec, furiat (przyp. tłum.)]

- Musiałem zapytać. Ludzie się zmieniają. - Posłał jej znużony uśmiech. - Przychodźcie w środku nocy, stawiacie cały dom na nogi... Wiedziałem, że to coś poważnego. Myślałem, że może...

- Źle myślałeś.

- Teraz to widzę. Z wiekiem człowiek coraz boleśniej uświadamia sobie, że jest śmiertelny. Zaczyna się bać. Założę się, że nigdy byście nie pomyśleli, że powiem coś takiego. - Henry oparł się na łokciach i pochylił do przodu. Oczy mu się zaszklily. - Przepraszam, Liz.

Zrobiło się jej go żal. Poklepała go po ręce.

- Podziwiam cię, Henry. Zawsze podziwiałam i nic tego nie zmieni. Nie musisz przeproszać.

- No - odchrząknął Simon. - Cieszę się, że to już mamy z głowy. Usiądź wygodnie, Henry. Bo my naprawdę mamy problem. Rozjuszyliliśmy rój wściekłych szerszeni. Chcesz posłuchać?

Henry rozparł się w fotelu.

- Z przyjemnością. Dawno już nie słyszałem jakiejś zajmującej opowieści.

- Zaczniemy od mojego ojca. I od jego samobójstwa.

Henry spochmurniał i zacisnął usta. Childsowie, Percy, pół parlamentu - wszyscy wiedzieli, że traktował sir Roberta jak rodzzonego syna, którego się nie doczekał.

- Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego to zrobił - przyznał. - Przecież te plotki o nim i prostytutkach to były wierutne bzdury!

- Za bardzo kochał mamę - przytaknął z zapalem Simon.

Henry pokiwał głową.

- Ale po jego śmierci wielu tak zwanych przyjaciół twierdziło w rozmowach z dziennikarzami, że od lat spotykał się z panienkami. - Skrzywił się pogardliwie. - Oto jeden z problemów współczesnej polityki: każdy udaje, że wszystko wie. No, ale posłuchajmy, co macie do powiedzenia o tych szerszeniach. Może będę mógł wam pomóc.

Lotnisko Le Bourget, Paryż

César Duchesne siedział skulony w taksówce, z czapką zsuniętą nisko na czoło. Drzemał lekko, budził go każdy dźwięk; jednocześnie odpoczywał i czuwał. Przydawały się wieloletnie nawyki.

Oczywiście istniała możliwość, że pilot samolotu zostanie z Sansborough i Childsem tam, dokąd ich zabrał, ale Duchesne uznał ją za mało prawdopodobną. Faust musiał zarządzać cyrkiem, więc pewnie wróci, jak będzie mógł najszybciej, żeby nikt nie zauważył jego nieobecności.

Zgodnie z tym, co obiecywał Kronosowi, jeden z jego kierowców wypatrzył w końcu dwójkę uciekinierów - tym razem byli niedaleko Place de Clichy. Od tego miejsca przejął ich trzysobowy zespół taksówkarzy wyposażonych w noktowizory. Pilnowali Sansborough i Childsa, kiedy ci jechali autobusem, przesiadali się, wysiadali i szli pieszo na lotnisko. Basil powiedział Cesarowi przez telefon, że spotkali się z jakimś starszym facetem i we troje odlecieli jego samolotem.

Duchesne zaparkował samochód w cieniu cyrkowej kopuły i czekał. Wiatr marszczył płótno namiotu, liny tłukły się o maszty. Wsłuchując się w te dźwięki, cofnął się pamięcią do dawnych, szczęśliwych czasów, kiedy był młody i gniewny; kiedy myślał, że życie potoczy się inaczej; kiedy jeszcze wierzył w szczęście. Najpierw ogarnął go żal, a potem płynąca z głębi serca złość, ale - jak zwykle - żelazną siłą woli zdławił emocje.

Siedział bez ruchu, czujny i opanowany, aż w końcu z zachodu dobiegło miarowe buczenie silnika małego samolotu. Patrzył, jak maszyna podchodzi do lądowania, siada i kołuje w pobliżu namiotu. Pilot przyleciał sam. Sansborough i Childs nie wrócili.

Nie ruszył się z miejsca. Był cierpliwy. Samolot znieruchomiał i pilot wygramolił się z kabiny. Nie miał broni. Poruszał się powoli i niezdarnie; Basil inaczej go opisywał. Duchesne wysiadł z wozu i, powłócząc nogą, podszedł do pilota.

Kiedy ten go zobaczył, odsunął się odruchowo, wpatrując się w walthera w jego ręce. Duchesne ruchem pistoletu wskazał taksówkę.

- Wsiadaj - powiedział po francusku.

- A jeśli odmówię?

- Żyjesz bardzo długo i może już wystarczy. Ale jeśli wsiądziesz, porozmawiamy.

Powiesz mi, dokąd ich zawiozłeś.

Pilot spojrzał mu w oczy, jakby szukał w nich potwierdzenia groźby. To, co w nich dostrzegł, musiało go przekonać. Zgarbił się, skinął głową i wsiadł do taksówki.

Hrabstwo Northumberland, Anglia

Czas płynął. Liz i Simon opowiadali na zmianę. Clive wrócił z obiecaną herbatą, ale zapomniał o kanapkach. Przyniósł je pięć minut później. Wszyscy zjedli. Henry ze zwykłą dla siebie przenikliwością wypytał ich o szczegóły i zamyślił się. Simon przeszedł przez pokój i oparł się o półkę nad kominkiem. Liz również wstała, podeszła do okna i przez rozchyłone zasłony wyjrzała na dwór.

W końcu Henry otrząsnął się z zadumy i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie miałem pojęcia, że twój ojciec to był Drapieźnik, Liz. Kiedy sobie przypomnę, jak przez lata przyjeżdżaliście tu we troje z matką... Kto by pomyślał! To dla mnie wstrząs, ogromny wstrząs. I mówicie, że zostawił po sobie szczegółowe archiwum, które teraz służy szantażystom? Coś podobnego! Nie dziwię się wam, że chcecie za wszelką cenę wytropić drania, który je ma. Trzeba go powstrzymać. - Henry zawahał się, a kiedy znów się odezwał, głos drżał mu z emocji: - I jeszcze biedny Robbie. To była prawdziwa tragedia, stracić takiego męża stanu. Zrobił tyle dobrego. Kiedy usunął tego łotra, który mordował małych chłopców, nie miałem cienia wątpliwości, że postąpił słusznie.

Liz i Simon wymienili zdumione spojrzenia, ale Henry niczego nie zauważył.

- Co do tej trójki tytanów... Niestety, nie mam pojęcia, kim mogą być. Kronos, Hyperion, Temida... Tak? Faktycznie mogą należeć do jakiegoś klubu, ale czy klub ma związek z Nautilusem? Nie wiem.

- Możesz nam jakoś pomóc ich zidentyfikować? - spytała Liz.

- Wątpię. Takie przesiewanie danych nigdy nie było moją mocną stroną. Ale teraz zmienię temat. Czas na małą lekcję historii. Słyszeliście o Robsonach i kradzieży owiec?

Liz pokręciła głową.

- To było w North Tynedale, prawda? - upewnił się Simon.

- Tak. - Henry zapatrzył się w przestrzeń, jakby przeszłość stanęła mu przed oczami. - Ojciec mi o tym opowiedział. Pewnej ciemnej nocy Robsonowie przekradli się przez granicę do Liddesdale i bardzo się ucieszyli, znalazłszy całe stado owiec należące do Grahamów. Zapędzili je, rzecz jasna, do siebie, do Northumberland. Nie wiedzieli tylko, że owce mają świerzb, który jak zaraza rozniósł się po ich stadach. Wściekli się. Bez namysłu wrócili do Liddesdale, złapali siedmioro Grahamów i powiesili ich. A dla pewności, żeby wszystkie klany dobrze to zrozumiały, zostawili list treści mniej więcej następującej. - I ze śpiewnym akcentem wyrecytował: - Na drugi raz, jak panowie przyjdą po łowcę, majom nie mieć świerzba!

Simon z powagą pokiwał głową.

- Co jest moje, to jest moje, a co jest twoje, też jest moje. Taka jest mniej więcej powszechna opinia o Nautilusie. Zachowują się jak rozbójnicy, którzy nie uznają żadnych granic: moralnych, geograficznych ani politycznych. Jeżeli Nautilus czegoś chce, to będzie do skutku manipulował, nagiął prawo albo po prostu weźmie to jak swoje.

- Odważne słowa, Simonie. Ale słuszne. Też o tym słyszałem. Przez lata. Ale kiedy ludzi ponoszą emocje, ich oskarżenia bywają przesadzone. Nie tak miał Nautilus działać i właściwie wątpię, by faktycznie tak funkcjonował. Powinniście go dobrze zrozumieć. Dla was Nautilus to tajemniczy monolit, opętany żądzą władzy. Jego korzenie sięgają głęboko, do czasów przed II wojną światową. Żył wtedy taki polski emigrant, Józef Retinger. Był szpiegiem, ale nie tylko.

- Retinger? - Liz spojrzała pytająco na Simona, ale ten tylko pokręcił głową.

- Ja też o nim nie słyszałem.

- Nie dziwię się. Był jednym z tych szpiegów dżentelmenów, którzy najchętniej pozostawali w cieniu. Taki podejrzany typ, co to podobno pracował dla wszystkich, od masonów po dostojników watykańskich i od rządów Meksyku po hiszpańskie. Nikt nie znał jego poglądów, dopóki nie wybuchła wojna i nie wystąpił przeciw hitlerowcom. Wtedy został zwerbowany przez Whitehall i zaczął kierować własną siatką szpiegowską w Europie. Był mistrzem w swoim fachu. Miał taką pozycję, Liz, że kiedy chciał się spotkać z waszym prezydentem Trumanem, po prostu do niego dzwonił i się umawiał. Walnie się przyczynił do zwycięstwa aliantów.

- Jestem pod wrażeniem - przyznała Liz. - Ale co to ma wspólnego z Nautilusem?

- Wyobraźcie sobie taką sytuację. Trzy długie lata po wojnie Europa ciągle wygrzebuje się spod gruzów. Na ulicach żyją setki tysięcy włóczęgów, którzy nie mają się gdzie podziać. Nie chodzi tylko o to, że nie mają domu: niejeden nie ma nawet własnego kraju. Nie mają przyszłości. Serce się krajało na ich widok. Głodowały dzieci, głodowali dorośli, nasilały się nastroje antyamerykańskie, partie komunistyczne rosły w siłę. Retinger bał się, że w Europie znów może dojść do wojny, tym razem atomowej. Zaczął więc rozmawiać z biznesmenami, byłymi żołnierzami i politykami, których prasa nazwała szarymi eminencjami powojennej polityki. Przekonał ich, że właśnie ważą się losy całego kontynentu. Pierwsze spotkanie odbyło się w 1952 roku, w paryskim mieszkanku, przy stole pingpongowym.

- Pewnie potajemne - wtrącił Simon. - Żeby komuniści nie zwęszyli, co się święci.

- Tak, głównie z tego powodu.

Liz badawczo obserwowała gospodarza. Siedział z głową odchyloną na oparcie fotela i przyglądał się im znajomym, przesywającym spojrzeniem. Głos i ręce trzęsły mu się ze starości, ale pozostało w nim jeszcze wiele z dawnej pasji, wiedzy i wizjonerstwa. Wiele się nasłuchiwała o dokonaniach Henry'ego Percy'ego, ale zawsze były to ogólniki: był doradcą brytyjskich premierów i głów innych państw, inwestował na całym świecie, znał potrzeby ludzi, rozumiał ich tęsknotę za dobrami materialnymi. Był przy tym niewiarygodnie skromny i świetnie znał zakulisowe mechanizmy władzy, tak jak Averell Harriman albo David Rockefeller, którzy ukształtowali historię polityczną nowoczesnej Ameryki... Europy zresztą również.

Nagle dotarło do niej, dlaczego Henry opowiada o tym wszystkim z takim zapałem.

- Ty tam byłeś, Henry, prawda? Byłeś na tym spotkaniu w Paryżu, przy stole do ping-ponga.

Zdziwiony Simon spojrzał najpierw na nią, potem na Henry'ego, który tylko skinął głową i spochmurniał.

- Mało kto pamięta, jak niewiele brakowało, żeby cała Europa stała się totalitarnym satelitą Związku Radzieckiego. To były ciężkie czasy. Ciężkie, ale pasjonujące. Zdawaliśmy sobie sprawę, że znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym historii i że musimy działać, ponieważ jako nieliczni dostrzegamy niebezpieczeństwo. Przez stulecia cesarze i królowie próbowali zbrojną ręką zjednoczyć Europę. My wiedzieliśmy, że rzeczywiście musimy się zjednoczyć, ale w pokojowy sposób. Wojny są wyniszczające i kosztowne; mało kto na nich korzysta. Poza tym marzyły nam się pokojowo zjednoczona Europa, bliższa współpraca ze Stanami Zjednoczonymi, koniec faszyzmu i komunizmu... Spotkanie się udało, więc dwa lata później zorganizowaliśmy następne, na północnym wybrzeżu Francji, w L'Hotel Nautilus.

- Stąd nazwa - domyślił się Simon.

Liz błędziła myślami zupełnie gdzie indziej.

- CIA musiała maczać w tym palce. I Bill Donovan. Ich głównym zadaniem była współpraca z pojedynczymi osobami i z całymi organizacjami, które mogły powstrzymać rozprzestrzenianie się komunizmu.

Bill „Dziki” Donovan był szefem OSS, a później brał udział w tworzeniu CIA.

- Naturalnie. Donovan i Allen Dulles najbardziej nam pomogli, a CIA została jednym z naszych głównych sponsorów. Teraz, po zakończeniu zimnej wojny, jej rola się zmniejszyła. A co do twoich oskarżeń pod adresem współczesnego Nautilusa, Simonie, chyba za bardzo skupiasz się na jednej stronie równania. Owszem, skoncentrowaliśmy się na

jednoczeniu świata uprzemysłowionego, na globalizacji, jak to nazywacie. Ale historia uczy, że państwa pozostawione samym sobie z czasem coraz bardziej podkreślają swoją odrębność terytorialną, a wtedy wojny są nieuniknione.

- Jestem zdecydowaną przeciwniczką wojen, ale przez ostatnich pięćdziesiąt lat mieliśmy mnóstwo małych wojenek - zauważyła Liz. - Nautilus nie powstrzymał ich wybuchu.

- Może były mu na rękę - zasugerował Simon.

- Co masz na myśli? - Henry spiorunował go wzrokiem.

Simon wrócił na swoje miejsce, usiadł i założył nogę na nogę.

- Może niektóre wojenki są dla Nautilusa koniecznością, można wtedy zdobyć ropę, ziemię albo odnieść inne korzyści. Rozdźwięk między Europą a Stanami po ataku na Irak jest wyjątkiem, ale i w nim bardziej chodzi o podział ropy i władzy w powojennym Iraku niż o etyczny wymiar inwazji.

Liz przystanęła na chwilę.

- Jeżeli Nautilus ma takie ogromne wpływy, dlaczego nic nie robi w sprawie al-Kaidy i państw wspierających terroryzm?

- Nautilus ocenia rzeczywistość w długiej perspektywie czasowej - ciągnął Simon. - Al-Kaida to problem marginalny. Należałoby go wprawdzie jak najszybciej rozwiązać, ale to niemożliwe. Przywódcy terrorystyczni to fanatycy, do których nie trafi się normalnymi metodami; nie można ich przekupić, bo chodzi im wyłącznie o mordowanie „wrogów”, czyli nas. Poza tym na dłuższą metę fanatycy nie obchodzą Nautilusa, ponieważ terroryści i państwa bandyckie odgrywają w światowej gospodarce znikomą rolę. Przy postępującej unifikacji gospodarczej albo zostaną zmiotzone, albo nawrócą się na jedyną słuszną religię: kapitalizm.

- Postępująca unifikacja gospodarcza? - zdziwiła się Liz. - O czym ty mówisz?

Henry odchrząknął.

- Dobrze, Simonie, wysłuchałem cię cierpliwie. Teraz moja kolej. Dwie osoby, patrząc na las, mogą widzieć dwa zupełnie różne obrazy. Jedna dostrzega ponury półmrok i cienie, dla niej las jest niesamowity i groźny; druga zwróci uwagę na sączące się przez liście światło. Tam, gdzie ty widzisz ciemność, ja dostrzegam światło i nadzieję. - Odwrócił się do Liz. - Simonowi chodziło o to, że w latach pięćdziesiątych jednym z pierwszych wynalazków Nautilusa była Europejska Wspólnota Gospodarcza.

- To był pomysł Nautilusa? To maleństwo, które dziś rozrosło się w Unię Europejską?

- Tak. Hołubiliśmy ten pomysł długo, ale w końcu się udało: Europa została zjednoczona bez jednego wystrzału. Mówi się o Stanach Zjednoczonych Europy, Amerykanie mają swoją NAFTA, a w następnej dekadzie może powstać azjatycko-pacyficzna strefa wolnego handlu, z Chinami lub Japonią na czele.

Simon zmarszczył brwi.

- Nie myl tego z altruizmem, Liz - powiedział. - Nautilus dzieli Ziemię na części, bo to korzystne dla biznesu. Jeżeli sprawdzą się prognozy, które słyszałem, w ciągu najbliższych dwudziestu lat będzie chciał przeforsować wprowadzenie wspólnej waluty w Europie i Stanach.

- To wykluczone - odparła natychmiast Liz.

- Dziesięć lat temu ludzie to samo mówili o euro. Nawet pięć. Pomylili się.

- Simon ma rację. Niedawno w „Wall Street Journal” ukazał się artykuł, którego autor stwierdza, że skoro euro zastąpiło franka, markę i lira, nowa ogólnoswiatowa waluta mogłaby z powodzeniem zastąpić dolara, euro i jena. Mielibyśmy jeden pieniądz, światowy bank centralny i stabilny rynek walutowy. Ale to będzie możliwe, dopiero kiedy Stany ze światowej potęgi militarnej przeistoczą się w światową potęgę polityczną.

- Skoro globalizacja w wersji Nautilusa jest taka cudowna, to czemu wszędzie przybywa biednych? - Simon nie ustępował. - Dlaczego ponad połowa światowych potęg ekonomicznych to międzynarodowe koncerny, a nie państwa? Korporacje urosły w siłę i mieszają się do polityki.

Henry rozłożył ręce, jakby prosił o wyrozumiałość.

- Nie słuchaj tego krakania. Nautilus nie jest klanem bandytów. Powstał po to, aby świat był lepszy i bezpieczniejszy. To dlatego z takim mozołem wznieśliśmy się ponad nacjonalizm. Im bardziej zjednoczy się świat, tym mniej będzie w nim miejsca dla wojen, chorób, biedy i analfabetyzmu. I wszyscy będą więcej zarabiać.

- Podobają mi się wasze cele, ale metody macie nieskuteczne. MFW i Bank Światowy doprowadzają na skraj ubóstwa całe...

- Dziś tego nie rozwiążemy - przerwała Simonowi Liz, stając między nimi. - Wyglądasz na zmęczonego, Henry. A my z Simonem mamy jeszcze sporo do zrobienia. Mówiliśmy ci wcześniej, że szantażysta planuje jakąś transakcję, którą ma załatwić w Dreftbody. Wiesz coś na ten temat?

- Przypomniałem coś sobie. - Henry mówił coraz ciszej, ale spojrzenie miał tak samo czujne jak na początku rozmowy. - Mniej więcej w tym czasie, kiedy zmarł Robbie, kanclerz Niemiec został oskarżony o łapówkarstwo i ustąpił ze stanowiska, a paru amerykańskich

senatorów, zarówno lewicowych, jak i prawicowych, zrezygnowało z ubiegania się o reelekcję. Twierdzicie, że Robbiego szantażowano, żeby zmusić do określonego głosowania w jakiejś kwestii handlowej. Nie wiem, o co chodziło, ale może tamci też byli w to jakoś zamieszani.

- A ostatnio? - spytała Liz. - Czy z kimś na świeczniku nie stało się coś nieoczekiwanego?

- Chyba tak... - Henry podrapał się po brodzie. - Miesiąc, może dwa temu komisarz UE do spraw konkurencji, Franco Peri, zmarł w Brukseli na atak serca. Dziwne, bo przecież nigdy nie miał problemów z sercem.

- To prawda - przytaknął Simon. - Był młody, miał czterdzieści kilka lat. Ta śmierć wszystkich zaskoczyła. Co wiesz o jego następcy?

- Od dawna mówiło się, że Carlo Santarosa jest murowanym kandydatem na urząd Periego po zakończeniu kadencji. Ponieważ żadna inna kandydatura się nie narzucała, a Santarosa był chętny, sprawę załatwiono szybko i sprawnie. Przejął wszystkie obowiązki komisarza.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał okrzyk Liz:

- I o to chodzi!

Simon zmarszczył brwi.

- Jak to?

- Co masz na myśli? - zawtórował mu Henry.

- Nie rozumiecie? Szantażysta wiedział, kto zajmie to stanowisko.

- Cholera, masz rację! - mruknął Simon. - Jeśli ma haka na Santarosę, a od decyzji komisji do spraw konkurencji zależą losy jego transakcji... Czy Santarosa ma taką władzę, Henry?

Henry splótł dłonie na kolanach.

- Owszem. Jego podwładni badają sprawy i przedstawiają mu zalecenia, ale to on decyduje. A Komisja Europejska automatycznie zatwierdza jego decyzje.

- Będzie w Dreftbody? - zainteresowała się Liz.

- Jego poprzednicy bywali. On też powinien.

- Przysypiasz, Henry. Nie powinienes być na nogach o tej porze. Wracaj do łóżka, proszę. I tak bardzo nam pomogłeś. Możemy zostać jeszcze kilka godzin?

- Oczywiście. Odpocznijcie. Clive przygotowuje wam chyba apartament rodzinny, będziecie mogli spać w swoich starych pokojach. - Henry wyciągnął przed siebie rękę. - Możesz otworzyć te drzwi, Simonie?

Za drzwiami znajdował się gabinet Henry'ego, teraz przerobiony na sypialnię. Przy łóżku stał wózek inwalidzki. A więc dlatego nie widzieli, żeby Henry schodził do biblioteki. Sypiał na parterze.

- Podjedź nim tutaj - poprosił. - Nazywam go Doddem, od nazwiska innej rozbójniczej rodziny. Doddowie byli barwnymi postaciami, a wózki są takie nudne, że człowiek stara się je jakoś ożywić. - Kiedy Simon poszedł po wózek, Henry zwrócił się do Liz: - Zajrzesz do Clive'a? Sprawdź, czy posłał wam łóżka. Pamięć mu szwankuje, musiałem nająć więcej służby, żeby ze wszystkim dali sobie radę. Zauważyliście pewnie, że posiadłość jest zapuszczona. - Wzruszył ramionami. - Ale Clive nie chce odejść na emeryturę, a ja nie będę go zmuszał. Dlatego nie wszystko jest jak dawniej.

- Proszę - Simon pomógł Henry'emu przesiąść się na wózek. Stary baron był lekki jak suchy liść.

- Teraz się z wami pożegnam. - Uśmiechnął się. - Bardzo się cieszę, że wpadliście. Dom się ożywił jak za dawnych czasów. Ale jeśli przed śniadaniem znikniecie, nie będę miał pretensji. Zrozumiem również ciebie, Simonie, jeśli nie przejrzesz na oczy i nie zgodzisz się ze mną. Mam nadzieję, że wam pomogłem. Uważajcie na siebie. Nautilus może zboczył na manowce, ale ja ufam, że tak się nie stało.

*

Kiedy znalazł się sam w sypialni, otuliła go znajoma cisza kamiennego domostwa. Siedział na wózku, trzymał w ręce telefon komórkowy i wsłuchiwał się w głosy przodków. Ostatnio często myślał o Hotspurze, honorowym wojowniku i nierozumianym polityku, i żałował, że przedwcześnie zmarł. Hotspur nie dożył czterdziestki, on zaś powoli dobiegał setki. Niektórzy umierają zbyt młodo. Inni żyją za długo.

Pokręcił głową, usiłując otrząsnąć się z melancholii. Miał w sobie za dużo ognia i sprytu, żeby myśleć o sobie jako „zbyt starym”. Ci młodzi, którzy spali teraz na piętrze, nie mogli nawet o tym pomarzyć. Sir Henry był może emerytem, ale nie trupem.

- I co wy na to? - zapytał na głos. - Nic nie macie do powiedzenia? Czy można poświęcić jednostkę dla mas? Czy też życie jest tak święte, że bez względu na koszty o żadnym poświęceniu nie może być mowy? Czego się nauczyliście na tamtym świecie?

Długo czekał na odpowiedź na dręczący go od lat moralny dylemat, a kiedy cisza mu się sprzykrzyła, zadzwonił. Po drugiej stronie odezwał się sir Anthony Brookshire, ale Henry lord Percy nie dał mu dojść do słowa.

*

- Tu Kronos. Co ty wyprawiasz, Kronosie? Rozum straciłeś? Jak śmiesz występować przeciwko mnie?

- O czym ty mówisz?

- Simon Childs i Liz Sansborough należą do mojej rodziny, o czym doskonale wiesz. Myślałeś, że się nie dowiem? Albo że wiedząc, nie zareaguję? Jak miałeś czelność tak ją wystawić?! Tylko mi nie mów, że nie masz nic wspólnego z posunięciami MI-6 i Langley. Masz jedną, jedyną szansę, a dam ci ją, tylko dlatego że kiedyś byłeś moim protegowanym. Odwołaj swoich bandziorów. Simon i Liz są pod moją ochroną. Choćby cię mieli do grobu wpędzić, twoi ludzie nie mają prawa ich tknąć. Ta kartoteka należała do jej ojca. Powinna ją odziedziczyć. To znaczy, że jeśli ją znajdzie, powinna pozostać u niej.

- Przez tego szantażystę Robbie popełnił samobójstwo.

- Robbie nie żyje. Nie pomożemy mu. Poza tym obaj wiemy, że nie o to chodzi. Chcesz kartotekę dla siebie!

- Nie, Kronosie. Mylisz się. Nie chodzi o mnie, tylko o Spirale. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

- Guzik prawda! Zakazuję wam zatrzymywać to archiwum, słyszysz?

- Tak, Kronosie. Wyraziłeś się bardzo jasno.

Londyn

Stojący w przedpokoju sir Anthony Brookshire opuścił rękę z telefonem. A to drań! Wycofał się! Skąd wiedział...

I nagle wszystko stało się jasne. Była tylko jedna logiczna odpowiedź. Sir Anthony wybrał numer.

- Wiem, gdzie są Sansborough i Childs!

43.

Hrabstwo Northumberland, Anglia

Kiedy Liz i Simon znaleźli się na piętrze i przeszli do tylnej części domu, Clive'a nie było nigdzie widać. Drzwi do apartamentu rodzinnego były otwarte, grupa młodych ludzi

zdejmowała pokrowce z mebli i doprowadzała salon do porządku. Po paru minutach wyszli i w ogromnym salonie zapanowała cisza i spokój. Dwoje drzwi w bocznych ścianach prowadziło do sypialni, a na wprost wejścia znajdowały się olbrzymie okna. Podeszli do nich i wyjrzeni na staw i sad, srebrne w świetle księżyca. Liz popatrzyła na niebo, na gwiazdy migoczące w odległych galaktykach. Odwróciła się i ogarnęła spojrzeniem znajomy pokój.

- Nic się tu nie zmieniło.

Mimo ciemnej boazerii salon sprawiał pogodne wrażenie. Fotele i sofy miały kolorowe obicia, na podłodze i krzesłach leżały poduszki w jeszcze bardziej jaskrawych barwach, paliły się wszystkie lampy stojące. Chodniki nie były wzorzyste, za to każdy miał inny odcień błękitu. W pokoju stało kilka stolików - można było przy nich wypić kawę albo pograć w karty - a przy oknie staromodne biurko, przy którym w porze wiosennych wakacji Liz czasem odrabiała lekcje. Coś ścisnęło ją w gardle.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele znaczyliśmy dla Henry'ego.

Simon z powagą pokiwał głową.

- Można by pomyśleć, że cofnęliśmy się w czasie. Aż człowiek ma wyrzuty sumienia. Trzeba przyznać, że potrafiliśmy się tu świetnie bawić. Henry zawsze o to dbał. Scrabble, karty i śmiech.

- I zabawa w chowanego. Pamiętasz, jak Mick zatrzasnął się w skrzyni?

Simon parsknął śmiechem.

- A jak się wtedy wkurzył!

- Często się wkurzał - uśmiechnęła się Liz. - Na nas. - Postawiła torbę na podłodze i podeszła do barku. - A to coś nowego: jest otwarty. - Otworzyła drzwiczki, obejrzała butelki. Przez chwilę miała ochotę na swoje ulubione martini, ale tylko przez chwilę. - Mmm, cragganmore. Kto jej nie ceni? - Wyjęła jednosłodową whisky, mało znaną poza granicami kraju, ale wysoko cenioną w Wielkiej Brytanii. Cragganmore pochodziła z małej szkockiej gorzelni nad rzeką Spey.

- Mnie też nalej odrobinę. - Simon usiadł przy biurku i wyjął z torby teczkę ze zdjęciami. - Twój ojciec chyba też pijał cragganmore, prawda?

- Tak. Masz niezłą pamięć.

- I co, od niego się tak nauczyłaś?

- Nie. Ale nie drążmy kwestii mojego podobieństwa do rodziców. Przez ostatnich kilka dni tyle o tym myślałam, że starczyłoby na kilka następnych żywotów.

Wyjęła dwie szklanki, nalała do nich whisky i podała jedną Simonowi.

- Nie będę nalegał.

Podniósł szklankę pod światło. Trunek miał głęboki, złoty odcień. Stuknął denkiem swojej szklanki o krawędź szklanki Liz. Ten tradycyjny gest, tak popularny wśród Childsów i Sansboroughów, był dla niego symbolem łączącej ich historii i celu, który ich teraz jednoczył.

- Za Sarah i Ashera - zaproponował z powagą. - Żebyśmy znaleźli ich całych i zdrowych, oby jak najszybciej.

- I niech Santarosa zaprowadzi nas prosto do tego przekłętego szantażysty!

Spełnili toast. Whisky miała bogaty, słodkawy, pełny smak. Idealny. Pod koniec odzywała się gorzkawą nutą, która sprawiała Liz szczególną przyjemność.

Usiadła i spojrzała na Simona. Właściwie nie był przystojny. Miał nieregularne rysy i zdeformowany nos. Przypomniała sobie, jak rozbierał się w Paryżu, jak mięśnie poruszały mu się pod skórą. Miał długie, smukłe nogi i ręce lekkoatlety, był opalony do linii kąpielówek, a w jego gęstych włosach, niebieskich oczach i niedbałych ruchach było coś uwodzicielskiego. Ludzie zawsze się do niego garnęli, ale z czasem stracił część swojej naturalności. Jakby włożył maskę, za którą się schował.

- Co się z tobą działo od naszego poprzedniego spotkania? - zapytała.

- Słucham?

- Kiedy cię ostatnio widziałam, byłeś szczery, swobodny, nie chowałeś się przed światem. Zmieniłeś się.

- Myślisz, że pamiętam? Tyle czasu... - Uśmiechnął się przeprasząco, ale wymigał od odpowiedzi.

Liz patrzyła na niego badawczo, zastanawiając się, jak jest naprawdę.

Postanowił zmienić temat.

- Jak twoja ręka?

- W porządku. Prawie nie boli.

Albo rzeczywiście tak czuła, albo była zbyt zmęczona, żeby się przejmować raną.

- To dobrze. Spróbujmy znaleźć coś sensownego na tych fotkach. - Simon rozłożył na blacie biurka trzy odbitki przedstawiające ścianę w gabinecie barona. - Powiedz mi coś więcej o tytanach. Może się to na coś przyda.

- Dobrze. Tytanami byli Atlas, Kronos, Hyperion, Okeanos, Prometeusz i Temida. Atlas dźwigał świat na ramionach. Kronos był ich przywódcą. Hyperion był ojcem słońca, księżyca i jutrzeńki. Można by chyba pokusić się o analogię z baronem de Darmond: mógłby pewnie kupić słońce, księżyc, jutrzeńkę i wszystkie gwiazdy w naszej galaktyce. Okeanos to rzeka opływająca Ziemię dookoła. Prometeusz był zbawcą ludzkości, a imię Temidy tłumaczy się zwykle jako „sprawiedliwość”.

- Sprawiedliwość? W tym, co ci zrobili, nie było nic sprawiedliwego.

- Ludzie bywają bardzo pomysłowi, kiedy tłumaczą swoje zachowanie. Ale mniejsza z tym. Wiemy, że baron de Darmond był Hyperionem. Popatrz, tu jest czwarte zdjęcie Mellencampa.

Wyjęła z torebki mazak i zakreśliła fotografię żółtym kółkiem, tak jak trzy poprzednie.

- Tutaj baron i Mellencamp są z waszym prezydentem i premierem Francji. Drugie zdjęcie: baron, Mellencamp, John Sloane, Paige Powell, finansista Richmond Hornish, włoski ambasador Edward Cereghino i Christian Menchen, właściciel koncernu samochodowego.

- Kim są Sloane i Powell?

- To wzięci dziennikarze BBC. Parę lat temu nakręcili miniserial o współzależności finansowej Europy i Stanów. Przeprowadzili wywiady z czterema ludźmi: de Darmondem, Hornishem, Cereghino i Menchenem.

- W porządku. Dziennikarze to nie ta liga, nie nadają się na tytanów, ale ten Menchen... Jest właścicielem Eisner-Moultona, prawda?

Simon od razu zrozumiał, do czego Liz zmierza.

- A Sarah i Asher byli przetrzymywani w ich magazynie.

- Moja matka zawsze powtarzała, że zbiegi okoliczności nie istnieją.

Simon wyjął z szuflady liniowaną kartkę papieru i zaczął pisać:

Tytani

Baron Claude de Darmond (Hyperion, nie żyje)

Grey Mellencamp (prawdopodobnie Temida, nie żyje)

Christian Menchen - Eisner-Moulton (potencjalny członek)

- A tu mamy zdjęcie Mellencampa, barona, Nicholasa Inglethorpe'a i jeszcze jakiegoś gościa. Poznajesz okolicę?

- Pal sześć okolicę - odparła podekscytowana Liz. - Chyba nie miałam okazji ci o tym powiedzieć, ale próbowałam wszystkich sposobów, żeby dowiedzieć się, kto zdjął mój serial. Wspięłam się po szczeblach korporacyjnej drabiny tak wysoko, że dotarłam do właściciela całej sieci telewizyjnej.

Simon rozdziawił usta.

- Do Inglethorpe'a?

- Tak! Jest szefem InterDirections, która ma Compass Broadcasting, ileś tam gazet, stacji radiowych i innych mediów. Compass wydał na mój serial sporo kasy, a potem nagle wycofał się z produkcji. Bez sensu. Zostawiłam Inglethorpe'owi wiadomość, że chcę z nim

porozmawiać, ale, oczywiście, nie oddzwonił. I jeszcze jedno: był w zarządzie Fundacji Ayleswortha i zastąpił Mellencampa na stołku prezesa. A to znaczy, że był prezesem, kiedy fundacja załatwiła mi stanowisko na uniwersytecie.

- Inglethorpe na pewno jest tytanem. - Simon dopisał jego nazwisko do listy. - A kim jest ten czwarty?

- To też Amerykanin, Gregory Gilmartin z Gilmartin Enterprises. Międzynarodowy koncern budowlany, gigant w branży. Poza tym realizują zamówienia wojskowe, produkują czołgi, samoloty.

- Widzisz te drzewa za ich plecami? - Simon postukał palcem w zdjęcie. - To sekwoje. A ta rzeźba przedstawia sowę, symbol grupy Bohemian Grove. Spotkali się w lesie sekwojowym na północ od San Francisco.

- Pamiętam, że coś czytałam o Bohemian Grove. To taki dyskretny, elitarny klub, w którym faceci mogą się trochę zabawić i nawiązać prawdziwe męskie przyjaźnie. Bywają tam same szuchy. Sugerujesz, że skoro baron i Inglethorpe byli razem w Bohemian Grove i obaj są tytanami, Gilmartin też może być tytanem?

- Pasowałby. Wprawdzie mamy tylko poszlaki, ale w tej sytuacji powinniśmy traktować je poważnie.

- Trochę to naciągane. Gilmartin nigdy nie był tak aktywny jak Mellencamp i baron w przeszłości, a Inglethorpe i Menchen obecnie. To cichy facet, spokojny, za to jego ojciec lubił się pokazać.

- Wszystko to prawda, ale Gilmartin ma ogromne wpływy nie tylko w sektorze prywatnym, lecz także w kręgach rządowych. Kiedy MI-6 chce ulokować kogoś na Bliskim Wschodzie, ludzie często jeżdżą jako inżynierowie Gilmartina albo pracownicy jego hoteli. Bo firma zawsze coś gdzieś buduje. A dzięki temu, że jest taka ogromna, zbijają cenę i wygrywa przetargi. Budują hotele dla swojego personelu, a potem wystawiają rządowi rachunek. Taki był początek sieci hoteli Gilmartina. Oczywiście po dobiegu targu odpalają działkę miejscowym urzędnikom i przepraszają za nieoczekiwany wzrost kosztów. Wydawałoby się, że ludzie powinni się w tym połapać.

- No dobrze, dopisz go, ale z dwoma znakami zapytania.

Simon dodał nazwisko Gilmartina do listy. Liz przeciągnęła się i zaproponowała:

- Przejrzyjmy teraz te dokumenty, które masz na zdjęciach.

Pochylili się nad sprawozdaniami i rozliczeniami. Liz podkreślała każde z wypisanych nazwisk, aż w końcu trafili na list rekomendujący inwestycję w lokale gastronomiczne z prefabrykatów.

- Thomas Brookshire? - mruknęła Liz. - Skąd ja znam to nazwisko?

- Tom jest w moim wieku. Z listu wynika, że to jego pierwsza firma. Niemożliwe, żeby też był tytanem.

- List jest od jego ojca - zauważyła Liz, wskazując nagłówek. - Czy sir Anthony i lady Agnes nie spotykali się na kolacjach z twoimi rodzicami? Tak raz, dwa razy w roku...

- Masz rację. Sir Anthony był ministrem finansów, później został komisarzem UE. Przez lata zajmował różne stanowiska w konserwatywnych rządach.

Liz jeszcze raz przeczytała list, szukając ukrytych znaczeń, gdy nagle zaparło jej dech w piersi. Wskazała lewy dolny róg kartki.

- Simon! Spójrz!



Simon zmarszczył brwi.

- Tony Brookshire nagryzmolił zabawkę. Zwiniętego w kłębek węża. Albo wiatraczek. Albo zwój sznurka. Coś z tego wynika?

Liz pogrzebała w torebce.

- Sam zobacz.

Podowała mu zmiętą kartkę z adresem dziekana, którą znalazła w Santa Barbara po tym, jak z Makiem schowali trupa w bagażniku.

- Myślisz, że wypadła z ubrania mordercy?

Liz chciała odruchowo przytaknąć, ale zawahała się.

- Tak powiedział Mac. Brzmiało sensownie. Pomyślałam, że przegapiłam ją, przeszukując zwłoki. Ale może wypadła Macowi z kieszeni, kiedy pochylił się nad bagażnikiem? To by znaczyło, że pracował dla porywaczy. I dla tytanów. A ich symbolem, tajnym znakiem jest właśnie ten gryzmoł, spirala czy co to jest.

- Spirala? - Serce Simona zabiło żywiej. - Czekaj... Kiedy baron usiłował splawić szantażystę, ostrzegł, że nie poprze go w Drefbury. A potem mu pogroził: „Powiem Spirali, że to ty”. Ten znaczek przedstawia spiralę. Założę się, że tytani tak właśnie nazwali ten swój klub. Spirala.

- Może i masz rację. Wnętrze muszli nautilusa* ma kształt spirali...

- Spirala. - Simon wskazał list Brookshire'a. - To klucz do zagadki!

* Nautilus (łódzik) oceaniczny ślimak o spiralnie skręconej muszli. Zamieszkuje ciepłe wody Pacyfiku (przyp. tłum.)

Potem poszło szybko. Znaleźli jeszcze dziesięć zdjęć dokumentów oznaczonych tym samym symbolem: spiralą, narysowaną ołówkiem w lewym dolnym rogu. Łatwą do wymazania. Wszystkie znaczki były nakreślone tą samą ręką, tak jakby baron zaznaczał sobie, na które dokumenty powinien zwrócić szczególną uwagę. Były to wnioski kredytowe, podania o zgodę na inwestycje i prośby o zabezpieczenie dużej oferty akcji lub obligacji. Niektóre łączyły się bezpośrednio z nazwiskami na liście: Brookshire, Gilmartin, Inglethorpe, Menchen. Inne zostały złożone przez spółki, których byli udziałowcami, oraz firmy zależne od spółek-matek. W kilku wnioskach pojawiała się więcej niż jedno nazwisko. Skala tego ponadnarodowego sojuszu była porażająca.

- Do tej pory musieliśmy zgadywać i dedukować. - Ekscytował się Simon. - Spirala potwierdza nasze podejrzenia co do sir Anthony'ego i pozostałych. Brakuje nam już tylko jednego człowieka. Spójrzmy jeszcze raz.

Wrócili do zdjęć, które Liz zakreśliła na żółto. Drugie z nich przedstawiało barona de Darmond, Mellencampa, dwóch dziennikarzy: Sloane'a i Powella, włoskiego ambasadora Edwarda Cereghino, potentata światowej motoryzacji Christiana Menchena i legendarnego finansistę Richmonda Hornisha.

- Nie czytaliśmy przed chwilą o Hornishu? - Liz wygrzebała odbitkę. - No właśnie. To list od niego. Prosi bank o gwarancje kredytowe dla nowej inwestycji na rynku ubezpieczeń. - Spojrzała na Simona. - To spekulant na skalę światową. Omal nie wywrócił do góry nogami gospodarki Malezji, kiedy zaczął grać na zniżkę tamtejszej waluty.

- Malezji i sześciu innych państw. A teraz popisuje się darowiznami na cele charytatywne: kupuje komputery dla dzieci na Łotwie, finansuje nowy uniwersytet w Bułgarii, obiecuje stypendia dzieciakom ze szkół w biednych dzielnicach Chicago... Był na okładce „Time'a”, dostaje nagrody od kościołów i świątyń, ma szansę na pokojowego Nobla. Kupuje sobie szacunek ludzi. Bardziej bym wierzył w jego uczciwość, gdyby grał według zasad. A tak - ma gdzieś, ilu ludzi umrze z głodu przez jego chciwość.

Liz wskazała ledwie widoczną spiralę na liście.

- To ostateczny dowód. Mamy komplet.

- No tak.

Simon wziął czystą kartkę i wypisał nazwiska od początku:

Tytani

1. *Brookshire, sir Anthony - komisarz UE, polityk.*

2. *Gilmartin, Gregory - Gilmartin Enterprises, międzynarodowy koncern budowlany.*

3. *Hornish, Richmond - InQuoks, spekulant i inwestor.*

4. *Inglethorpe, Nicholas - imperium medialne, w którego skład wchodzi InterDirections, właściciel Compass Broadcasting.*

5. *Menchen, Christian - Eisner-Moulton, samochody i transport.*

Kiedy tak wpatrywali się w listę, pokój zdawał się odpływać w dal.

Cisza się pogłębiała.

- Jeden z nich jest szantażystą - potwierdziła Liz podniosłym tonem, bo tak długo czekali na tę chwilę. - Tylko który?

44.

Gdzieś na północy Europy

Ze względu na stan Ashera nie było mowy, żeby sprzeciwili się przenosinom z ciężarówki do samolotu, anonimowego learjeta. Ich sytuacja poprawiła się o tyle, że Asher dostał ubranie: spodnie od dresu, buty, skarpetki i koszulę. Włożył też znaną w ciężarówce kurtkę.

Porywacze zignorowali protesty Sarah, która domagała się, żeby przenieść go do samolotu i wnieść po schodach. Kiedy wreszcie znaleźli się na pokładzie, był błąd jak płótno, ociekał potem i zgrzytał zębami. Opadł ciężko na fotel. Dała mu dodatkową porcję proszków przeciwbólowych.

Ze złości nie mogła zasnąć, nasłuchiwała. Samolot stał na asfalcie jeszcze dwie godziny, zanim w końcu wystartował. Poza nimi dwójkiem leciało nim jeszcze czterech mężczyzn: dwóch uzbrojonych strażników i dwóch pilotów, którzy cały czas siedzieli w swojej kabinie. Podsluchując rzadkie rozmowy, Sarah dowiedziała się, że porywacze mają utrzymać ich przy życiu do czasu, aż zostanie zawarta jakaś ważna umowa.

Przed świtem samolot wylądował. Ulewa uniemożliwiała odczytanie tablic lub wypatrzenie punktów orientacyjnych. Sarah i Asher z zawiązanymi oczami zostali przeprowadzeni do samochodu, tym razem sporej limuzyny, której kierowcą był niejaki Malko. Malko najwyraźniej przewodził całej operacji. Samochód ruszył, przedzierając się przez ścianę deszczu i drżąc od huku grzmotów. Malko kłął, usiłując utrzymać wóz na drodze, z której huragan próbował ich zepchnąć.

W pewnym momencie hałas na zewnątrz gwałtownie ucichł. Umilkł również silnik samochodu. Zanim zgasł, przez chwilę rozbrzmiewał delikatnym echem w jakiejś zamkniętej przestrzeni. Sarah złapała Ashera za rękę. Uścisnął ją. Mimo tragicznej sytuacji, w jakiej się znaleźli, miłość dawała im nadzieję i pociechę.

Porywacze wywlekli Sarah z samochodu. Słyszała, jak z drugiej strony wyciągają Ashera.

- Uważajcie! - warknęła. - On jest ranny!

- No to fatalnie - odparł ktoś obojętnym tonem.

Poszturchiwani, zeszli po schodach i znaleźli się w pomieszczeniu, w którym było jeszcze zimniej niż na lotnisku. Na dworze szalała burza, ale tutaj słyszeli również inny odgłos... Łoskot przyboju?

Kiedy ciężkie drzwi zatrzasnęły się z głuchym hukiem, Sarah zerwała opaskę z oczu.

- Asher?

W pomieszczeniu panowała całkowita ciemność. Pachniało pleśnią i wilgotnym kamieniem.

- Tu jestem. - W głosie Ashera, dobiegającym gdzieś z prawej strony, choć jak zwykle zadziornym, wyraźnie słyszała ból i zmęczenie, a najdziwniejsze było to, że nawet nie próbował tego ukryć. - Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale gdzieś blisko oceanu. Słyszysz fale? Zagłuszają deszcz i grzmoty.

- Wielkie fale, które walą w ogromne skały gdzieś pod nami. Jesteśmy na szczycie jakiegoś urwiska.

W końcu jej wzrok przywykł do ciemności. Znajdowali się w małym, ciemnym pokoju. Przez dwa zakratowane okienka wysoko pod sufitem wpadało do środka zimne, morskie powietrze. Pokój był nieogrzewany. Stały w nim tylko obok siebie dwa łóżka polowe.

Asher usiadł ciężko na podłodze.

- Musisz się rozgrzać - stwierdziła.

- Nie będę się spierał. Jestem przemarznięty, jakbym pół nocy przesiedział na meczu baseballowym w Candlestick*.

Wzięła go za ręce i pomogła mu wstać. Oparł się na niej całym ciałem. Zaprowadziła go do łóżka. Przeliczyła koce.

* Candlestick Park stadion baseballowy w San Francisco (przyp. tłum.)

- Po trzy dla każdego. Najwyraźniej nie chcą, żebyśmy im tu zamrzli. W każdym razie jeszcze nie teraz. Ale na nadmiar wygod też nie możemy narzekać.

- Położę się - oddychał ciężko, z wysiłkiem. - Bo jak nie, to zaraz się przewrócę.

Sarah rozłożyła na łóżku dwa koce. Asher padł na nie ciężko, zgrzytając z bólu zębami. Przykryła go trzecim kocem, z nadzieją, że to wystarczy. Był przecież ubrany.

Ledwie trzymając się na nogach, posłała drugie łóżko i wczołgała się pod koc.

- Jak myślisz, gdzie jesteśmy?

- Jeszcze w Europie - odpowiedział drżącym głosem. - Gdzieś na północy, bo jest zimno. Za krótko lecieliśmy, żeby to była letnia noc w San Francisco.

Sarah pokiwała głową. Asher nigdy się nie poddawał i nie rozpaczał.

- Może to Elslynor - zasugerowała. - Zamek Hamleta w Danii.

Nie odpowiedział. Słyszała, jak szczęka zębami. Bała się, że z zimna i wyczerpania może doznać wstrząsu. Dygotał na całym ciele. Zerwała się z łóżka i oddała mu swoje koce.

- P-p-przepraszam, S-sarah.

- Nie przepraszaj, skarbie. - Wśliznęła się obok niego. - I tak chciałam się przytulić.

Objęła go mocno. Kiedy nic nie powiedział, pomyślała, że musi być z nim naprawdę źle. Ze ściśniętym sercem pocałowała go w ucho i przytuliła.

Dopiero po dłuższym czasie przestał drżeć i zasnął. Jego oddech unosił się skroploną mgiełką nad ich twarzami.

Hrabstwo Northumberland, Anglia

- Dreszcz mnie przechodzi za każdym razem, gdy widzę nazwisko Tony'ego Brookshire'a - przyznał Simon. - To obrzydliwe. Przecież jest starym przyjacielem rodziny. Jak mógł kazać cię śledzić w Santa Barbara, a potem zlecić porwanie Sarah? - Z ponurą miną pociągnął łyk whisky.

- Jeżeli możemy coś wnioskować z dokumentów barona, ci panowie wyświadczają sobie wzajemnie różne przysługi. Sam zobacz, w ilu zarządach razem zasiadają. Współpracują oficjalnie, więc co w tym dziwnego, że dogadują się też prywatnie? Doradzają sobie, przekazują informacje, zawierają obustronnie korzystne umowy.

- Masz rację. Ale Brookshire jest wśród nich jedynym urzędnikiem państwowym. Pozostali zarządzają międzynarodowymi kartelami o budżecie większym niż budżet niejednego państewka. Każdy koncern działa w innej branży. Jeżeli współpracują, ich zakres działania i wpływy są naprawdę niewiarygodne.

Liz wyprostowała się na krześle.

- Coraz bardziej przypominają mi tych starożytnych tytanów. A jak wykorzystują tę swoją władzę! Ustanawiają reguły, rozdzielają kary i nagrody, dzięki czemu świat rozwija się zgodnie z ich planem, wciąż pod ich kontrolą.

- Nie podoba mi się, jak tak mówisz. Ich plan. Ich kontrola. - Simon ponownie nappełnił obie szklanki.

- Demokracja umiera za zamkniętymi drzwiami. - Liz wzdrygnęła się i schowała zdjęcia do teczki.

- Jeżeli zebrania Nautilusa są tajne, to, sądząc po użyciu pseudonimów, spotkania Spirali tym bardziej - zauważył Simon, układając polana w kominku.

- Obawiam się, że tak.

Liz pogasiła lampy i przyglądała się, jak Simon rozpala ogień. Cieszyła się, że jest z nią, ale żałowała, że nie spotkali się w szczęśliwszych okolicznościach. I że nie ma z nimi Sarah i Ashera.

Kiedy ogień rozpalił się na dobre, Simon usiadł obok niej, założył nogę na nogę i położył rękę na oparciu sofy. Drugą dłonią przyciskał do piersi szklankę z whisky. Mroczny pokój był ciepły i przytulny. Pachniał płonącym sosnowym drewnem.

Nowocześni ludzie niczym się nie różnią od jaskiniowców, pomyślała. Tak samo marzą o świetle i ciepłe... Atawistyczna tęsknota objawia się najsilniej w sytuacji zagrożenia.

Simon z odchyłoną głową wpatrywał się w płomienie. Z przyjemnością patrzyła, jak pionowe płaszczyzny jego twarzy zakrzywiają się na linii mocno zarysowanej żuchwy. W blasku ognia jego włosy miały głęboki mahoniowy odcień, a nos wydawał się większy i bardziej spłaszczony. Oczy same mu się zamykały, po twarzy znać było zmęczenie. Był wyczerpany - i nie krył tego.

Zerkała na niego od czasu do czasu, za każdym razem dostrzegając coś nowego, tak jakby wciąż na nowo go odkrywała. Kiedy westchnął, była to oznaka nie tylko zmęczenia, ale i słabości.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Od początku - od chwili, gdy znienacka pojawił się w skrytce pod Londynem - aż do teraz, do lotu z Francji, ani przez moment nie wydawał się taki delikatny. Bywał porywczy, niecierpliwy, często irytujący w swoich poglądach. Nie potrafiła już dostrzec w nim chłopca; nie bardziej, niż w sobie małej dziewczynki. Oboje byli dorośli - i ona, i ten mężczyzna obok niej, przygnieciony ciężarem odpowiedzialności. Coś ją w nim pociągało. Miała wrażenie, że mogłaby tak z nim siedzieć bez końca.

- Zdradzę ci pewien sekret, jeśli i ty mi coś powiesz. - Obrócił głowę i spojrzał na nią pytająco. - Generalskie pozwolenie.

To była jedna z ulubionych gier ich dzieciństwa, nazwana tak na cześć stryjecznego dziadka, generała Williama Augustusa Childsa, który zginął pod Dunkierką. Jego ponury portret wisiał razem z innymi na ścianie nad schodami w Childs Hall. Zasady były proste: żadnych kłamstw, żadnych wykrętów, żadnych prowokacji. W generalskie pozwolenie grało się w schowku, przy zgaszonym świetle. Zdradzone tajemnice zostawały tam bezpiecznie zamknięte, a oni wracali do normalnego świata.

- Nie siedzimy pod kocem w schowku - zauważyła Liz. - I nie ma z nami Micka.

Simon napił się whisky.

- Co z tego?

- Niech ci będzie. Generał pozwala ci mówić.

Simon postawił sobie szklankę na kolanie.

- Pytałaś, co się ze mną działo, odkąd się poprzednio widzieliśmy. Parę lat temu zostałem wysłany do Bośni, żeby wyciągnąć stamtąd naszego człowieka. Został zdemaskowany i musiał uciekać. - Na chwilę umilkł, a potem mówił dalej, trochę ciszej: - Moja przykrywka była skuteczna, ale chlapnąłem coś, czego nie powinienem... Byłem młody i głupi. Próbowałem poderwać dziewczynę poznaną w pociągu.

- Niech zgadnę: była agentką. W takich okolicznościach to chyba nic dziwnego.

- Oczywiście. Była bardzo ładna. Od razu ją przejrzałem. Problem polegał na tym, że postanowiłem się z nią pobawić.

Liz nic nie powiedziała.

- Pojechałem tam jako ekspert ONZ do spraw rolnictwa. Miałem pieniądze, więc postawiłem jej kolację, spałem ją i próbowałem coś z niej wyciągnąć. Ale wyspała mi coś do drinka. Do tej pory nie wiem co ani jak udało się jej to zrobić. Wiozłem oczywiście paszporty dla agenta i jego rodziny, miniaturowy aparat, którym miałem porobić im zdjęcia, i klej, żeby powklejać je do papierów. Kiedy zasnąłem, znalazła to wszystko w mojej walizce, w zamaskowanej przegródce. Ale dalej nie wiedziała, ani jak gość się nazywa, ani gdzie mamy się spotkać. Kłopot w tym, że kiedy próbowałem czegoś się od niej dowiedzieć, wspomniałem o zbombardowanej warzelni soli niedaleko Tuzli. Obudziłem się, kiedy pociąg zahamował, bo partyzanci rozebrali tory. Poleciałem na fotel naprzeciwko i rozwaliłem sobie nos. - Ze złością pokręcił głowę. - Dziewczyna zniknęła. Zanim dotarłem do warzelni, nasz człowiek już nie żył. Jego rodzina również. To była egzekucja: strzały w głowę, z bliska. Leżeli na podłodze, tak po prostu. Wszyscy, nawet niemowlę.

Liz syknęła przez zęby.

- I doszedłeś do wniosku, że to twoja wina.

- Pewnie, że tak, do ciężkiej cholery. Próżność. Moja pieprzona pycha. Dlaczego się jej nie pozbyłem w Tuzli? Przecież mogłem. Ale nie, najpierw chciałem coś od niej dostać. Zgrywałem bohatera. A dziewczyna przepadła bogatsza o sześć brytyjskich paszportów i wyciągnięte ode mnie informacje, dzięki którym zlikwidowali całą rodzinę.

Pobrużdżona zmarszczkami twarz Simona nagle wydała się o dziesięć lat starsza. Ręka z drinkiem mu się trzęsła. Dopił whisky i wstał.

- Napijesz się jeszcze?

- Nie, dzięki.

Podszedł do barku i wziął dolewkę. Stanął przy oknie, odciągnął zasłonę i zagapił się w ciemność.

- Jeszcze sobie nie wybaczyłeś.

- Bo to niewybaczalne.

- Więc postanowiłeś mieć wszystko w nosie?

- Wcale nie. Po prostu się nie angażuję.

- Teraz się zaangażowałeś. A poza tym mógłbyś przestać się tak zadrećcać. Czasu nie cofniesz. Nie wskrzesisz ich. A kiedy przestaniesz popełniać błędy...

- Wiem, będę martwy. Ale ja wiedziałem, co się może stać.

- Tuzla zmieniła twoje życie. Może i dobrze. Czegoś się nauczyłeś. Założę się, że to był twój ostatni taki błąd. - Przyjrzała mu się badawczo. - Twoja szefowa jest na ciebie wściekła. Chce cię wysłać do Florencji. W Bratysławie też coś się wydarzyło, prawda? - Przypomniała sobie nagłówki w gazetach: demonstracja, ofiary... - Ta dziewczyna, która się spaliła... Byłeś tam, prawda? Jako tajniak. Jak się nazywała?

- Viera. Viera Jozef - Simon z westchnieniem odwrócił się od okna. Na jego twarzy malował się ból.

- Znałeś ją.

- I to bardzo dobrze. - Streścił jej całą historię. - Nie wiem, dlaczego to zrobiła.

- Ani dlaczego tego nie przewidziałeś i jej nie powstrzymałeś. Tylko że tym razem nie zawiniłeś, Simon. W Tuzli zrobiłeś tragiczny w skutkach błąd, którego wspomnienie będzie cię prześladować do końca życia. Nakłada się na wszystkie inne błędy, które popełniasz każdego dnia, tylko dlatego że żyjesz! Wszyscy je popełniamy. A teraz Viera odbiera sobie życie, a ty nie możesz pogodzić się z jej śmiercią.

- Nie potrzebuję psychologa.

- Nie, ale przydałby ci się przyjaciel.

Uśmiechnął się lekko.

- Może i masz rację. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, bo jej nie kochałem. Gdybym ją kochał, może domyśliłbym się, co planuje.

- No tak, stary problem kryształowej kuli. Jak mogłeś to przewidzieć? Czy to z powodu tych zabitych w Tuzli nie zoperowałeś sobie nosa?

- Mam pamiątkę. - Simon potarł nos. - Przypomina mi ich za każdym razem, kiedy spojrzę w lustro. - Odwrócił się od Liz.

- Bolesne, ale zrozumiałe - powiedziała. - Nie wiem, czy to dla ciebie wiele znaczy, ale ja ci wybaczam.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się nieśmiało i odparł:

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale pomogło.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Wybaczam ci także to, że mi dokuczałeś, kiedy byliśmy mali.

Simon wrócił na sofę, opadł na nią ciężko i pociągnął solidny łyk ze szklanki.

- Nigdy nikomu nie opowiadałem o Tuzli. Poza MI-6, oni wiedzą. Odsunęli mnie od akcji i posadzili za biurkiem, dopóki nie przekonałem ich, żeby pozwolili mi zinfiltrować ruch antyglobalistyczny. Potrzebowali kogoś, a ja się znałem na rzeczy. To miała być moja pokuta za Tuzlę.

- Trzy lata to kawał czasu. Odrzuciłeś wszystkich i wszystko, ze swoją tożsamością włącznie. Na mój gust spisałeś się doskonale.

Podobało jej się to, że Simon umie okazać współczucie. Podziwiała go za to i było jej wstyd, że brała go za takiego lekkoducha. Przypomniały jej się słowa ojca: „Nie zakładaj zbyt wiele”.

W pokoju pachniało ogniem, było ciepło, przytulnie i zacisznie. Simon znów wydał się jej bliski i godny zaufania.

- Moja kolej - stwierdziła.

- Generał pozwala ci mówić.

- Nie opowiem takiej dramatycznej historii jak ty. Wiesz, jak zginął mój ojciec?

- Nigdy się do tego nie dokopałem. Ściśle tajne, cicho-sza; nic konkretnego nie wiem.

Przesunął się na sofie i odwrócił, żeby swobodniej na nią patrzeć. Nie umalowała się; zmyła makijaż w kryjówe, którą znaleźli w Paryżu. Miała niesamowitą twarz: ogromne oczy, pełne usta, łukowato wygięte brwi - no i ten pieprzyk nad górną wargą. Kiedy teraz na nią patrzył, jej rysy wydawały mu się raczej delikatne niż wyraziste. Rzęsy jej się poruszały,

kiedy spuszczała wzrok; jedwabisty kosmyk włosów opadał z boku aż do linii żuchwy; rumieńce zmęczenia wystąpiły na policzkach. Okazała mu tyle serca. Słuchała go. Od lat chciał z kimś otwarcie porozmawiać o sobie. Od lat szukał kogoś, kto by go wysłuchał.

- Kiedy plan Bremnera wziął w łeb - powiedziała - byliśmy przekonani, że Drapieźnik nie żyje. Ale Sarah wytropiła go na Sycylii. Mieszkał niedaleko mieściny, z której pochodziła jego babka. Zaszył się w domu z mnóstwem książek i prowadził spokojne życie. Mama mówiła mi później, że często wracał na Sycylię. Czuł się związany z tym krajem i z żyjącymi tam ludźmi. Sarah uważała, że powinien wrócić do Stanów i poddać się przesłuchaniu, skoro obiecał, że to zrobi. Nie wierzyła, że naprawdę wycofał się z zawodu. Nie powiedziała mi, że go znalazła. Tylko Asher o tym wiedział. CIA w porozumieniu z nimi dała paru żołnierzy i przerzuciła ich wszystkich śmigłowcem na teren posiadłości Drapieźnika. Nie wiedzieli, że wszędzie zainstalował ładunki wybuchowe. Kiedy ich zobaczył, uruchomił detonator i miny pod ziemią eksplodowały.

- Wtedy zginął?

Liz pokiwała wolno głową.

- Sarah mówiła, że to było coś strasznego, jak długie trzęsienie ziemi. W każdym razie nie zostały nawet zwłoki, które można by pogrzebać. Straciłam szansę, żeby go zobaczyć po raz ostatni. Kiedy Sarah mi o tym opowiedziała, przestałam się do niej odzywać. Byłam wściekła. Myślałam... czasami nadal tak myślę... że gdybym to ja tam była, nie zrobiłby tego. A potem mama umarła i zostałam sama. Tragedia. Sarah miała oczywiście rację, próbując go sprowadzić do Stanów, ale powinna mi była dać znać. Chyba się bała, że się nie zgodzę.

- Nie poddał się razem z twoją matką w Paryżu, chociaż ty wszystko załatwiłaś.

- Wiem. Pamiętam. Po śmierci mamy dotarło do mnie, że muszę sama pchać dalej ten wózek i jakoś żyć. Przeprosiłam Sarah. Byliśmy jej dłużnikami po tym, przez co przeszła z winy Bremnera, a ja się jeszcze na nią wściekłam.

- Coś cię gryzie, prawda? Cały czas...

- Chodzi o mojego męża. Był... Bywał porywczy. - Liz się zawahała. - Miewał lepsze i gorsze momenty. W tych gorszych czasami mnie bił. Dopiero później zorientowałam się, że nie ma znaczenia, co powiem lub zrobię. Zawsze znajdował jakiś powód.

Simon mocniej ścisnął szklanekę.

- Pozwalałaś mu się bić? - zapytał i nagle zrozumiał, że do tego właśnie zmierzała historia o ojcu.

- To bardzo skomplikowane, wiem... kto by uwierzył, że dawałam się tak poniewierać? Liz-twardzielka. Liz-karateka. Liz z CIA. Ale nigdy nie poskarżyłam się policji

i nigdy mu nie oddałam. Zastanawiam się, czy to nie wspomnienia atmosfery, w której wzrastałam, pozwalały mi później znosić tę przemoc. Dzieci wiele rzeczy wyczuwają, chociaż nie znają słów, żeby je nazwać. Najdziwniejsza była świadomość, że nikomu innemu nie dałabym sobą tak pomiatać. A potem zginął. Straciłam swoją szansę, żeby zebrać się na odwagę i odejść.

- Mówiłaś komuś o tym?

- W Langley mogli się czegoś domyślać - spojrzała na niego. - Robiąc doktorat, poddałam się terapii. Pomogło. Mogłabym ci o niej opowiedzieć, tak fachowo, zacytować analizy... Tylko po co? W końcu... tak, zgodziłam się na rolę ofiary. I nie wydaje mi się, żebym „za bardzo go kochała”. Gdzieś po drodze moja miłość się wypaliła, a ja byłam za głupia i zbyt samotna, żeby coś z tym zrobić.

- I nadal cię to dręczy.

- Najwyraźniej, skoro ci o tym mówię. - Liz uśmiechnęła się słabo.

- Czujesz teraz, że jesteś śmiertelna?

- Jeszcze jak. Jeden Bóg wie, co ten dzień nam przyniesie.

- Nie ma to jak usiłować naprawić wszystkie życiowe błędy za jednym zamachem. Dobrana z nas para. Lubilem cię jako dzieciak, ale myślę, że teraz lubię cię jeszcze bardziej.

- Dzięki. I nawzajem.

- A jesteś tak samo zmęczona jak ja? - spytał ciepło Simon, zniżając głos.

- Może... Pewnie tak. Mam zegarek z budzikiem. Nastawię go i prześpiemy się ze dwie godzinki. A potem musimy jechać do Dreftbury.

Simon wyjrzał na korytarz i zamknął drzwi na klucz. Liz dorzuciła do ognia. Pokój dawał miłe poczucie bezpieczeństwa, jak cały dom Henry'ego.

Spotkali się na sofie. Kiedy usiadła, on usiadł obok niej, tym razem bliżej. Z wahaniem wziął ją za rękę. Ujęła jego dłoń w swoje. Miał suchą i ciepłą skórę, pod którą wyczuwała mocne mięśnie i ścięgna. Ogień trzaskał i strzelał iskrami, kiedy trzymając się za rękę, zapadli w niespokojny sen.

*

Henry Percy był wściekły na służbę, że przez całą noc pali w kominku w jego nowej sypialni. Musiał jednak przyznać, że lipiec bywa zimny, a w jego wieku chłód mógł okazać się zabójczy. Na razie nie zamierzał umierać. Po prostu nie lubił tych chwil, kiedy rozleniwiony ciepłem zasypiał na wózkach z książką w rękach.

Przeciągnął się i jęknął, rozprostowując obolałe ramię. Co go obudziło? Śnił mu się ukochany motocykl, stara, wojskowa maszyna, którą prawie przed sześćdziesięcioma laty przywiózł do domu z wojny. A może to nie był sen?

Nachmurzył się i wytężył słuch, ale nic nie usłyszał. A może... może jakiś motor zatrzymał się gdzieś niedaleko? Rozległ się cichy szcęk i Henry poczuł powiew zimnego powietrza. Obrócił się razem z wózkiem i spojrzął na osłonięte kotarami drzwi na taras. Czyżby zasłony się poruszyły?

Serce zabiło mu mocniej, przeszył go lęk. W szufladzie nocnej szafki trzymał broń. Próbował wstać z wózka, kiedy ktoś wyszedł zza kotary.

- Dobry wieczór, baronie - mężczyzna mierzył do niego z pistoletu.

Henry Percy wytrzeszczył oczy. Powoli przeniósł wzrok z broni na jego twarz.

- To ty?!

45.

Silnik motocykla zgasł. Liz obudziła się, ale siedziała z zamkniętymi oczami, nie bardzo wiedząc, co właściwie słyszała. Wsluchiwała się w pomruki starych dźwigarów i krokwi. Simon siedział obok niej. Trzymała głowę na jego ramieniu, on opierał się o nią policzkiem; miała ochotę zostać tu na zawsze. Tak ładnie, miło pachniał - orzechami, rodzynekami, odrobiną dobrej whisky. Pochrapywał lekko. To był cudowny dźwięk. Podniosła głowę, żeby szturchnąć go nosem w bark... I nagle sobie przypomniała.

Natychmiast otworzyła oczy. Czy naprawdę słyszała warkot motoru, który zgasł gdzieś blisko domu? Wyprostowała się i zamyśliła. Może to ktoś ze służby wrócił ze schadzki. Albo któryś z ogrodników wcześniej niż zwykle przyjechał do pracy. Czekala - może usłyszy szept, śmiech, rozmowę, trzask zamykanych drzwi. Nic, cisza - ale przecież byli z Simonem na piętrze. Gdyby coś się stało w pokojach od frontu, nawet w kuchni, mogła niczego nie usłyszeć.

Sądząc po płonącym ogniu i ciemnościach za oknem, nie spała długo. Zaczynała wątpić, czy w ogóle słyszała jakiś silnik. Balansowała na granicy snu i jawy, miała chaos w głowie - i to był prawdziwy problem. Usiłowała się odprężyć, ale cały czas wracała pamięcią do długiej rozmowy z Henrym o Nautilusie. Cofnęła się też do chwili, gdy dzięki dedukcji ustalili z Simonem pięcioosobowy skład Spirali.

Pomyślała o szacunku, jaki te nazwiska budzą na całym świecie. O bajecznych majątkach i wpływach. O tych, którzy mozolnie próbowali im dorównać, z trudem pnąc się po szczeblach kariery.

I ci właśnie ludzie potraktowali ją jak laboratoryjnego szczura, zamordowali Kirka, dziekana i jego żonę. Jak mogli? Odpowiedź prosta: byli chciwi i chcieli za wszelką cenę zdobyć kartotekę jej ojca. Ale to wyjaśnienie jakoś jej nie wystarczało, było zbyt powierzchowne. W *Królu Edypie* Sofokles pisał: „Niech Bóg was broni przed wiedzą o was samych!” Starożytny grecki dramaturg znał sekret ludzkiej duszy: człowiek zawsze jest swoim ostatecznym sędzią. Dlatego aby utrzymać wysokie mniemanie o sobie, racjonalizujemy nasze niechlubne uczynki. Im częściej to robimy, tym lepiej nam idzie i tym większe świństwa umiemy usprawiedliwić.

Przeszedł ją dreszcz. Simon musiał wyczuć, że się niepokoi, bo przyciągnął ją do siebie.

Pojedynczy strzał rozdarł ciszę. Liz poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż w serce.

- Simon!

Potrząsnęła go za ramię. Natychmiast się obudził.

- Szlag by to... Co się stało?

- Ktoś strzelał!

Podbiegła do okna. Simon doskoczył do niej.

- Słyszałaś coś jeszcze?

Staw i las wyglądały tak samo jak przedtem. Księżyc powoli zachodził i wszędzie kładły się długie cienie. Wszystko było na swoim miejscu.

Simon otworzył okno.

- Wydawało mi się, że wcześniej słyszałam motocykl.

- Motocykl i strzał... To mógł być kłusownik - nastawił ucha, ale usłyszał tylko poranne bzyczenie budzących się owadów.

- Być może.

Liz przeszła przez pokój i chwyciła torebkę, a Simon wziął swoją torbę sportową.

- Ale ty myślisz, że to ktoś, kto nas szuka, prawda?

- Jeśli się myślę, zawsze możemy tu wrócić i dospać.

- Pewnie się nam nie uda.

Simon otrząsnął się z resztek snu i sprawdził broń. Podbiegli do drzwi. Liz wyjrzała na korytarz.

- Nikogo nie ma - szepnęła.

Simon otworzył drzwi szerzej i wyjrzał w drugą stronę, przez szparę przy zawiasach.

- Tu też nie.

Liz przerzuciła pasek torebki przez pierś, chwyciła glocka oburącz i wyśliznęła się na korytarz. Simon szedł za nią z beretką w ręce; rękojeść uzi wystawała z jego torby.

Cisza. Liz ruchem głowy wskazała bliższy koniec korytarza. Simon skinął głową i razem przebiegli po dywanie, mijając portrety surowych przodków Henry'ego. Dawniej pokoje w tym skrzydle zapełniały się w weekendy tłumem przyjaciół i krewnych. Tym bardziej niezwykła była panująca w nim pustka.

Korytarz kończył się przy ozdobnych schodach na tyłach domu. Zatrzymali się na podeście, spojrzeli w górę i w dół. Nic się nie poruszało. Panowała cisza, dziwna, nienaturalna, jak tuż przed nadejściem burzy. Zaczęli schodzić po schodach, gdy nagle usłyszeli kroki czterech lub pięciu osób na drewnianej podłodze.

- To nie kłusownik - wyszeptała Liz. - Są w domu.

Simon nie zdążył się odezwać, kiedy na dworze wybuchła kanonada. Kule świszczały w powietrzu, tłukły okna, z głuchym łoskotem siekły ściany. Słysząc było odgłos pękającego drewna i głośne rykoszety na metalowej powierzchni.

Znajdujący się w domu ludzie odpowiedzieli ogniem.

- To my ich tu ściągnęliśmy! - stwierdziła Liz.

- Jasny gwint!

Simon jednym skokiem znalazł się na parterze. Liz biegła tuż za nim. Przemknęli przez korytarz do głównego holu, rozejrzeli się i ruszyli dalej.

Tym razem salwa strzaskała okna w ścianie frontowej i podziurawiła drzwi wejściowe jak sito. Hałas był ogłuszający. Drzazgi latały w powietrzu jak strzały z łuku. Liz i Simon padli na ziemię, osłaniając głowy rękami.

Kiedy strzelanina ucichła, przeczołgali się do salonu, gdzie trzech służących w pizamach kulilo się pod oknami. W drżących rękach ściskali zabytkowe strzelby i karabiny. Księżyc zalewał pokój szarą poświatą, w której meble rzucały niesamowite cienie.

Na zewnątrz znów rozległy się strzały. Jeden z obrazów spadł na podłogę, kula strzaskała drewnianą lampę. Służący przeczekali kanonadę, a potem podnieśli się na kolana i oddali kilka strzałów na oślep.

Liz i Simon na czworakach podeszli do Richarda, który zgięty we dwoje przypominał mnicha pogrążonego w modlitwie.

- Kto to?! - spytała Liz. - Ilu ich jest?

- Nie wiem. - Do połowy ukryta w cieniu twarz Richarda nagle wydała im się znacznie starsza, niż kiedy otwierał im drzwi dworku. Odwrócił się na dźwięk następnej salwy. - Z tuzin. Może więcej. Są dobrze uzbrojeni.

- Gdzie Henry? - zaniepokoił się Simon.

- U siebie w sypialni, proszę pana. Z Clive'em.

Padł kolejny strzał. Richard przyłgął do ściany. Rozbite szkło trysnęło jak pękający lód. Oczekał chwilę, podniósł się błyskawicznie, strzelił raz w odpowiedzi i znów przywarł do podłogi. Trząśnięcie ze strachu.

Kilka pojedynczych strzałów nastąpiło szybko po sobie. Pociski podziurawiły ściany. Kiedy służba odpowiedziała ogniem, Liz i Simon wycofali się do holu i dawnego gabinetu Henry'ego, później przerobionego na sypialnię. Drzwi były otwarte.

Liz zamarła ze ściśniętym gardłem. Oczy ją zapiekły.

- Nie!

- Henry! - wyszeptał głucho Simon

Lord Percy leżał na wznak w kałuży krwi. Nie ruszał się. Twarz miał białą jak płótno, szare oczy nieruchomo wpatrzone w sufit. Obok niego siedział po turecku Clive, wyłamując palce i mamrocząc coś pod nosem. Przez odsłonięte drzwi na taras do środka wpadało blade światło księżyca.

Podbiegli bliżej. Clive podniósł głowę; po zarośniętych policzkach spływały mu łzy. Kiedy Liz i Simon uklękli przy nim, delikatnie zamknął Henry'emu oczy. Coś zakłuło Liz w sercu.

Rozległy się kolejne strzały. Tłuczone szkło leciało w powietrzu. Clive próbował wstać, ale Simon ściągnął go na podłogę i przytrzymał.

- Nie ruszaj się!

Następne pociski trafiły w oparcie fotela i podziurawiły tapicerkę. Także we wschodnim skrzydle domu padły strzały, a po chwili dobiegł stamtąd odgłos wyważania drzwi.

- Wchodzą do środka! - wykrzyknął przerażony Clive. Znów usiłował wstać i znów Simon musiał go powstrzymać. - To po was przyszli. Uciekajcie! Szybko!

- Nie możemy was tak zostawić - oburzyła się Liz. - Jesteśmy...

- On nie żyje. - Clive z trudem powstrzymywał łzy. - Nie pomożecie panu Henry'emu. A kiedy odejdziecie, może tamci dadzą nam spokój.

Ze wschodniego skrzydła dobiegł odgłos kroków. Ktoś szedł szybko korytarzem. Clive mógł się uskarżać na kłopoty z pamięcią, ale miał rację: niewyszkoleni służący z

zabytkową bronią nie mieli szans. Napastników było zbyt wielu - i równie wielu służących, którzy mogliby przeżyć. Liz i Simon nie przeważyliby szali zwycięstwa na ich stronę.

Clive przetoczył się pod ścianę i usiadł.

- Proszę was, uciekajcie. Wtedy będziemy mogli się poddać.

Liz i Simon spojrzeli na siebie, a potem wypadli z pokoju i wbiegli w korytarz. Strzelanina nagle ucichła, najwyraźniej wszyscy napastnicy byli już w środku. Chwilowy spokój sprzyjał uciekinierom. Minęli schody i skręcili w poprzeczny korytarz na tyłach domu. W holu ktoś zaczął strzelać, a za chwilę ruszył za nimi pędem.

Wyskoczyli tylnym wyjściem, obiegli obrośniętą dzikim winem altankę i dopadli do jeepa. Liz usiadła za kierownicą, Simon na fotelu pasażera. Silnik krztusił się przez chwilę, ale zaskoczył.

Kiedy z domu wybiegli dwaj napastnicy, Liz dodała gazu i zawróciła prawie w miejscu, z poślizgiem. Jeep wjechał na bruk. Ruszyła ostro, mijając ocieniony drzewami frontowy trawnik. Simon wyciągnął z torby uzi i wychylił się przez okno. Twarz miał nieruchomą. Pot perlił mu się na czole.

- Są! - ostrzegł, podnosząc głos. Uzbrojeni napastnicy, podobni w tym świetle do duchów, biegli za samochodem. - Kilkunastu.

- Pieszko?

- Na razie tak.

- No to im uciekniemy. - W gwałtownym przyplywie adrenaliny Liz wcisnęła pedał gazu do oporu.

Nie mogli jednak prześcignąć kul. Pociski uderzyły w klapę bagażnika, ze świstem przeleciały przez okna. Makabryczny dźwięk przeszywał ją do szpiku kości. Simon strzelił krótką serią i schował głowę. Ułamek sekundy później kula strzaskała lusterko po jego stronie. Kawalki szkła bryznęły w powietrze i odbiły się od drzwi.

- No, mało brakowało - mruknął ponuro.

- Bardzo mało!

Liz próbowała zdławić lęk. Simon znów wychylił się, strzelił i schował. Ostrzał z tyłu zelżał.

- Co jest? Jesteśmy poza zasięgiem? - spytała z nadzieją.

Simon opadł na fotel.

- Tak. - Obejrzał się przez ramię i patrzył do tyłu przez rozbitą tylną szybę. - Nie mogą nas trafić.

Liz skinęła lekko głową i zwolniła. Zerknęła w lusterko. Przed grupą strzelców stała postać w czarnym ubraniu. Jej gesty wyrażały wściekłość i rozczarowanie. Liz zadrżała, kiedy wydało jej się, że człowiek w czarnym płaszczu kuleje. Odwróciła wzrok i skupiła się na prowadzeniu. Na razie jechali wąskim podjazdem, prowadzącym do szerszej bitej drogi.

- Widziałeś, żeby któryś z nich kulał? - zapytała. - Na prawą nogę.

- Czy ten gość, którego widziałeś w magazynie, nie utykał? Właśnie na prawą nogę?

- To chyba on zgubił tę kurtkę z wiadomością od Kronosa. Nie bardzo mogłam mu się wtedy przyjrzeć, a teraz nie zamierzam wracać. Gonią nas?

- Tak! Widzę samochód.

Furgonetka zatrzymała się przy napastnikach. Wskoczyli do środka.

Liz z bijącym sercem zgasiła reflektory. Jeep wjechał w tunel z krzewów i zwieszających się nad drogą konarów drzew. Jedynym źródłem światła była teraz deska rozdzielcza w samochodzie. Gałęzie szorowały o karoserię. Simon złapał się uchwyty nad drzwiami i ścisnął go kurczowo. Gąszcz zarośli przelatywał za oknem jak smuga czarnej farby. Za nimi światła furgonetki przeszły mrok. Szukali ich.

Simon milczał, ale napięcie było od niego jak ciepło z piekarnika. Liz z napięciem wpatrywała się w drogę przed jeepem: biegła prosto jak strzełił - przynajmniej tak zawsze twierdził Henry. Chwyciła mocniej kierownicę, pochylając się nad nią podświadomie, wypatrując... wyczekując... Jest! Przerwa w zaroślach! Odblask światła na wodzie w strumieniu. Łączka.

Ale przy tej szybkości... Nie, to bez znaczenia.

- Trzymaj się!

Wdusiła hamulec i ostro skręciła kierownicę. Opony załomotały na kamieniach, samochód przetoczył się przez pobocze i zaczął się osuwać w dół. Pasy bezpieczeństwa werżnęły im się w piersi. Liz ścisnęła kurczowo kierownicę, a jeep sam wyszukiwał sobie drogę: miażdżył małe drzewka, przetaczał się po kamieniach. Kierowała nim na tyle, żeby się nie przewrócił i jechał z grubsza w obranym przez nią kierunku. Nagle znów zobaczyli reflektory: świeciły wśród drzew jak ślepia potwora, który szuka ofiary.

- Tam! - Simon pokazał gesty kasztanowiec.

- Z drogi nie widać strumienia. - Liz skręciła we wskazanym kierunku. - Musieliby zgasić światła.

- Chyba że wiedzą, czego szukać.

- Wypluj to.

Serce podeszło jej do gardła. Zahamowała, skręciła i podjechała bliżej pnia kasztanowca. Gałęzie opadły na tylną klapę i zasłoniły samochód, który stał na nachylnym zboczu przodem do strumienia. Zgasiła silnik.

Zapadła cisza. Byli całkowicie niewidoczni. Simon wyciągnął rękę. Złapała ją, a wtedy on nakrył jej dłoń swoją drugą ręką i oboje zaczęli nasłuchiwać. Pomruk silnika zbliżał się, zrobiło się jaśniej. Liz złapała się na tym, że wstrzymuje oddech.

Oddychaj, wariatko!

Furgonetka przemknęła drogą nad nimi. Ryk jej potężnego, gładko pracującego motoru był wyraźnie słyszalny, ale kiedy ich minęła, ścichł w oddali. Niebezpieczeństwo minęło. Czerwone tylne światła oddalały się szybko.

Liz odetchnęła z ulgą.

- Rozpoznałeś markę?

- Nie miałem szans, za szybko jechał. Ale to duży wóz, na pewno spokojnie zmieścili się w nim wszyscy, którzy nas gonili. - Simon odprowadził furgonetkę wzrokiem. - Świetnie jeździsz.

- Dzięki. Lubię prowadzić. Zazwyczaj.

Siedzieli jak skamieniali. Strumień szumiał głośno.

- Oni wrócą - odezwał się w końcu Simon. - Musimy coś wymyślić. Nie możemy jechać tak, jak planowaliśmy. Mogą na nas gdzieś czekać.

- Mamy jedną przewagę: jeepa. - Liz włączyła stacyjkę. - I napęd na cztery koła.

Simon natychmiast domyślił się, do czego zmierza.

- Chcesz pojechać łożyskiem strumienia?

- A czemu nie? Jeśli nic się nie zmieniło; schodzi łagodnie w dół.

- Właściwie... Nie przypominam sobie, żeby były w nim jakieś głązy. Daj znać, gdybyś chciała, żebym cię zmienił.

Liz lekko wcisnęła gaz i samochód wtoczył się do wody. Podskoczył raz i drugi i wpadł lewym przednim kołem w dziurę. Ciemna woda chlapnęła nad błotnik. Nisko zwieszające się gałęzie zachrobotwały o dach.

Simon zauważył, że Liz mu się przygląda. Jej oczy błyszczały jak ślepiea dzikiego zwierzęcia. Coś ją gryzło.

- Co się stało?

- Jeżeli mamy rację i ten kulawy pracuje dla Spirali, to wszystko się zmienia. - Umilkła na chwilę, wpatrując się w zdradzieckie podłoże. - Do tej pory Spirala chroniła nas przed szantażystą, bo chciała, żebyśmy znaleźli dla niej kartotekę. Ten atak dowodzi, że ktoś

tam zmienił zdanie. Teraz nie tylko szantażysta na nas poluje, ale oni również. A jeśli przesłuchali Henry'ego, zanim go zabili, wiedzą, że jedziemy do Dreftbury. Będą na nas czekać.

46.

Zjazd doliną strumienia zajął im blisko trzy godziny, chociaż pokonali przez ten czas niecałe dwa kilometry. Cztery razy musieli wysiadać i odsuwać z drogi większe kamienie. Kiedy nad drzewami weszło różowozłote słońce, Liz wypatrzyła skrót. Wjechała na stromy brzeg, przecięła łąkę, płosząc przy okazji stadko saren, i zjechała z powrotem w koryto strumienia. Niedługo potem Simon zmienił ją za kierownicą i dotarli nad mały, kilkustopniowy wodospad. Liz wysiadła i poprowadziła Simona, idąc brzegiem, przez siedem kolejnych progów. A później złapali gumę.

Kiedy wreszcie wjechali na główną drogę, samochód był cały mokry, obdrapany i obity, a oni czuli się nie mniej poobijani od niego. Przemokli przy tym do suchej nitki. Ale przynajmniej nikt ich nie śledził i nikt nie czekał w zasadzce.

Wytarli się znalezionym w bagażniku kocem i rozłożyli buty i skarpetki na tylnej kanapie, żeby wyschły. Liz nareszcie mogła przyspieszyć. Jeep ostro ruszył na południe. Po przeprawie korytem strumienia droga wydawała im się gładka jak szkło. Na tle nieba rysowały się kępy wysokich drzew, na polach pasły się owce, w rzadko zamieszkaney okolicy ruch był niewielki.

Mimo to Liz nie mogła się odprężyć.

- Widzisz coś? - zapytała.

Simon siedział bokiem, oparty o drzwi, z berettą w ręce. Miał zaciętą, zmęczoną twarz. Spojrzał do tyłu.

- Na razie nie.

- Na razie.

- Nie możemy zakładać, że ich na zawsze zgubiliśmy.

Zakładać. Znów to słowo. Zaciśnęła zęby i skinęła głową.

- Myślisz, że Spirala namierzyła nas przez Gary'ego?

- To by było logiczne.

- W Paryżu cały czas miałam wrażenie, że ktoś nas śledzi, nawet w drodze na lotnisko... Pewnie miałam rację. Dotarli do niego i zmusili, żeby im powiedział, dokąd nas zabrał. Mam nadzieję, że go nie zabili. - Jej głos był pozbawiony wszelkich emocji. Zamrugła, żeby odegnać cisnące się do oczu łzy - przypomniała sobie zwłoki Henry'ego. Wyrzuciła ten obraz z pamięci, stłumiła też niepokój o Gary'ego Fausta. - Potrzebujemy informacji o Dreftbody.

- Też o tym myślałam. Przydałoby się znaleźć kafejkę internetową.

- Dobrze. Zajrzemy na stronę Unii Europejskiej. Może dowiemy się, kto ze Spirali czeka na jakąś decyzję Santarosy.

- Hm... - Simon uśmiechnął się chłodno i mocniej ścisnął pistolet. - To mi się podoba.

- Jak chcesz się dostać do Dreftbody? - Spojrzała na niego.

- Użyję papierów, które mam z MI-6. - Nautilus na pewno przyciągnie całą gromadę zagranicznych szpiegów, a wraz z nimi agentów MI-5, brytyjskiego kontrwywiadu. MI-5 i MI-6 nie przepadały za sobą; dziwne by było, gdyby kontrwywiad został poinformowany o odsunięciu Simona od służby. MI-6 miało agentów MI-5 za trutniów; w MI-5 ludzi z MI-6 uważano za snobów. Simon właściwie przyznał rację obu stronom. - Będę ekspertem od antyglobalistów i podsłuchu. Tym z MI-5 się to nie spodoba, ale w duchu się ucieszą.

- Może ci się udać. Mnie też przydadzą się te twoje fałszywe dokumenty.

Liz prowadziła, Simon ją pilotował, rozglądając się na wszystkie strony. W małym Hexham wjechali na autostradę A69 i skręcili na zachód. Mijali domy z czerwonego piaskowca i zamki, które dawniej strzegły przebiegającej tu granicy. Znajdowali się w Cumbrii, której historia wojen i waśni rodowych, sięgająca czasów przed podbojem rzymskim, była równie długa i burzliwa, jak historia Northumberlandu.

W Carlisle zjechali z autostrady. Mała osada, mieszcząca dawniej tylko placówkę wojskową przy murze Hadriana, rozrosła się w miasto liczące ponad sto tysięcy mieszkańców.

- Ty poszukaj kafejki - powiedziała Liz - a ja zatankuję.

- Dla ciebie wszystko - uśmiechnął się Simon.

Odpowiedziała mu uśmiechem i zajechała na stację. Kiedy napełniała bak, Simon poszedł zatelefonować z budki. Gdy płaciła za benzynę, dorzucił mapę okolicy i razem wrócili do jeepa. Zjechali na południe, do miasta. Kafejka internetowa znajdowała się przy malowniczej uliczce, w otoczeniu małych sklepików. Włożyli suche już skarpetki i buty i wysiedli z pokiereszowanego samochodu. Liz włożyła też beret i okulary.

Z tradycyjnej knajpki zapachniało śniadaniem: kielbaskami, smażonym jajkiem i pomidorami. Był późny ranek, ale sporo ludzi siedziało przy stolikach i plotkowało.

Obok znajdowała się kafejka internetowa ByteMe. Liz otworzyła drzwi, a Simon jeszcze raz rozejrzał się po ulicy, zanim wszedł za nią. W środku było głośno i pachniało mocnym espresso. Wystrój był ostry, w stylu techno, z mnóstwem chromu i białej farby. Przy mniej więcej dwudziestu monitorach siedzieli biznesmeni, studenci i maniacy komputerowi wszelkiej maści, ze wzrokiem utkwionym w ekran i kubkami albo kuflami pod ręką. Przy każdym komputerze znajdowała się mała drukarka.

W kącie stał ekspres do kawy, a nad nim wisiał panoramiczny telewizor. Właśnie leciały wiadomości BBC. Poprzedniego dnia wspomnieli o Liz, było więc całkiem prawdopodobne, że teraz powtórzą tę informację.

Zakłęła pod nosem, naciągnęła берет na uszy i przemknęła do jedyne go wolnego terminalu. Usiadła tak, żeby mieć na oku telewizor, wpisała podany przez Shaya Babcocka kod i wzięła się do pracy. Musiała się spieszyć. Ktoś mógł ją rozpoznać, zwłaszcza że stanowiska znajdowały się dosłownie półtora, dwa metry od siebie. Za blisko.

Simon jednym niezadowolonym spojrzeniem ocenił sytuację. Zamówił dwie kawy z mlekiem i dwie bułki z serem topionym i położył na kontuarze dwudziestofuntowy banknot. Może się opłaci.

- Nie mam drobnych - burknął zirytowany, zaspany sprzedawca.

- Żaden problem. Ale mam prośbę: mógłby pan przełączyć na CNN? Chyba się uzależniłem.

O tej porze w CNN był serwis sportowy i wiadomości ze świata. Prawdopodobieństwo, że nadadzą materiał o poszukiwanej Liz Sansborough, było znikome.

Sprzedawca wpatrywał się w banknot.

- Ach, oczywiście! - dodał Simon, jakby nagle sobie o nim przypomniał. - Reszta dla pana.

To załatwiło sprawę. Sprzedawca zmrużył oczy, pieniądze zniknęły, na ekranie telewizora pojawiło się CNN. Simon odwrócił się i popatrzył po klientach, a potem odebrał zamówienie i przysiadł się do Liz. Siedziała jak na szpilkach.

- Dzięki - szepnęła i upiła łyk kawy. - Widziałeś coś?

- Pięć egzemplarzy „Timesa”, ale chyba nikt do nich nie zaglądał. Może nam się uda.

Liz rozejrzała się niespokojnie.

- Chcesz wrócić do wozu? - spytał Simon. - Dam sobie radę.

- Nie ma sensu. Kamuflaż na razie działa.

- No to bierzmy się do roboty. Co znalazłaś?

- Jestem na stronie UE, właśnie szukam Komisji do spraw Konkurencji. Jest i Santarosa. Pomyślałam, że będziesz chciał go zobaczyć.

Carlo Santarosa był południowcem, miał szeroką, oliwkową twarz, szpakowate włosy, małe ciemne oczy i usta, które równie łatwo mogły wyrażać okrucieństwo i rozbawienie. Nosił okulary w drucianej oprawce.

- Nie wygląda na gościa, który łatwo da sobą manipulować.

- Dlatego nasz szantażysta może mieć twardy orzech do zgryzienia. - Liz przeszła na następną stronę. - Mamy szczęście: komisja na bieżąco informuje o prowadzonych sprawach. To jest dział karteli i trustów, no wiesz, kiedy firmy łączą się zamiast rywalizować... Komisja sprawdza, czy zawierane przez nie porozumienia nie godzą w zasadę swobodnej konkurencji. Od razu natknęłam się na Eisner-Moultona. Paskudna sytuacja: oskarżono ich o nielegalne sterowanie cenami samochodów w całej Europie. Wymieniają Christiana Menchena z nazwiska.

- Kiepsko.

- Nawet bardzo. Koncern jest zadłużony po uszy, zamyka fabryki i wyprzedaje spółki zależne. Jedyne pozytywne to wyniki sprzedaży w Europie. Jeżeli decyzja komisji będzie dla niego niekorzystna, zyski spadną na łeb na szyję i Eisner-Moulton dostanie w dupę. Nie będzie mógł nawet wziąć nowych kredytów, żeby spłacić stare. To duża firma, więc jakoś da sobie radę, ale jak tak dalej pójdzie, Menchen zostanie bez pracy, a w Niemczech nie ma takich milionowych odpraw jak w Stanach.

- To on jest szantażystą?

- Pasowałby. - Liz ukradkiem spojrzała na Simona. - Wiele zależy od tego, jaki jest, czego się boi, czego chce. Jeżeli ma kartotekę, mogłaby to dla niego być wielka szansa. Wystarczy zaszantażować Santarosę i zmusić go do wydania werdyktu korzystnego dla Eisner-Moultona. Wtedy większość problemów Menchena, zawodowych i osobistych, zniknie bez śladu.

- Rzeczywiście, pasowałby. Ale rozsądek mi podpowiada, że musimy sprawdzić wszystkich i mieć pewność.

Zwolnił się sąsiedni komputer. Simon przesiadł się do niego i wszedł do sieci, używając jednego ze swoich pseudonimów. Jakiś czas pracowali w milczeniu, sącząc kawę.

- A oto twój niedawny główny wróg: Nicholas Inglethorpe - odezwał się w końcu Simon. - Dział fuzji. Komisja Europejska nadzoruje przejęcia i fuzje firm w całej Unii. Komisja zastanawia się, czy nie powinien sprzedać wartych sześć miliardów dolarów

udziałów w SkyCall, operatorze płatnej telewizji, zanim kupi polskiego Grossblatta. Grossblatt jest właścicielem jednego z największych konkurentów Inglethorpe'a na tamtejszym rynku, Polska-Storrs Media. Byłaby to największa w historii wymuszona sprzedaż akcji.

- Sam koncern też ma zresztą problemy. Światowa recesja dotknęła wszystkich. Pamiętam, że czytałam o jego planach ekspansji w Europie Środkowej. Jeżeli liczył w tym względzie na SkyCall, a Santarosa każe mu się go pozbyć, będzie cienko śpiewał.

- I w ten sposób znaleźliśmy drugiego kandydata na szantażystę.

Spojrzeni na siebie i znów pochyłili się nad komputerami. Liz nie odrywała wzroku od ekranu. Godzinę później Simon kupił im po jeszcze jednej kawie. Wrócił do swojego stanowiska i pomalutku ją popijał.

- I znów wypływają dawne kraje komunistyczne - powiedział półgłosem. - Tym razem chodzi o Richmonda Hornisha i jego dobroczynny szlagier: komputery, które sprzedaje poniżej kosztów do wszystkich bułgarskich szkół. Komisja bada, czy nie otrzymał zwolnienia od podatku, które narusza zasady konkurencji.

- Sugerują, że dostaje działkę z kontraktu?

- Właściwie tak. Jeśli mu to udowodnią, a Santarosa zatwierdzi raport komisji, Hornish będzie mógł zapomnieć o pokojowym Noblu. Poświęcił całe pięć lat, żeby odzyskać reputację i zatrzeć wrażenie, że jest rozbójnikiem na rynku finansowym.

- Ma dużo do stracenia. Też mógłby szantażować Santarosę.

I dalej prowadzili swoje śledztwo. Kończyli już przeglądanie witryny UE, gdy uwagę Liz zwróciło nazwisko Gregory'ego Gilmartina.

- Zapomniałam o fuzji Gilmartin Enterprises z Tierney Aviation. Ale w Stanach SEC* już się na nią zgodziła. Nie wiedziałam, że Unia też musi ją zaakceptować. Przecież to są dwie amerykańskie firmy. Co tu ma do rzeczy Europa?

- Obie prowadzą w Europie poważne interesy, więc aprobatą SEC nie wystarczy. Nasza komisja różni się od SEC. Nie może nakazać podzielenia firmy, która nadużywa swojej pozycji i władzy na rynku. Po zatwierdzeniu fuzji nie ma właściwie żadnego wpływu na ewentualnego monopolistę. Co innego przed fuzją. I dlatego prowadzi własne śledztwo, nie oglądając się na SEC. Dopiero potem Santarosa podejmie decyzję.

- To gigantyczna fuzja, warta czterdzieści miliardów dolarów. Gilmartin-Tierney będzie jednym z największych koncernów na świecie. Gilmartin przerośnie ojca i dziadka.

* SEC - amerykańska Komisja ds. Giełdy i Papierów Wartościowych (przyp. tłum.)

Czytałam gdzieś o nich, to prawdziwe legendy biznesu, a on na razie jest przy nich karzełkiem.

Simon się przeciągnął.

- Nie brzmi to najlepiej. Czterech członków Spirali ma powody, żeby szantażować Santarosę. Dalej nic nie wiemy! Cholera!

- To trochę dziwne, że aż czterech czeka na jego decyzje. Z drugiej strony, nie da się chyba dzisiaj prowadzić interesów na skalę światową i nie znaleźć się na celowniku jakiejś instytucji kontrolnej.

- Nie, nie da się. Globalizacja opiera się na zasadzie swobodnego przepływu kapitału. Firmy mogą przenosić pieniądze, fabryki i inwestycje, dokądkolwiek zechcą w poszukiwaniu najtańszych surowców, taniej siły roboczej, chłonnych rynków i najlepszych warunków podatkowych. Za każdym razem, kiedy przekraczają jakąś granicę, natykają się na nowe przepisy i uregulowania. Jednym ze skutków ubocznych funkcjonowania wolnego rynku jest fakt, że rządy tracą władzę we własnych krajach. Na skutek działania międzynarodowych umów handlowych zostają podporządkowane rynkom finansowym. Liczą akcje, obligacje, inwestycje... Zapominają o potrzebach ludzi.

- Masz na myśli jedzenie i dach nad głową?

- Tak, i wodę pitną, i edukację... Unia stara się kontrolować korporacje, ale dopóki głównym celem w kapitalizmie pozostaje zysk, koncerny będą o niego walczyć wszelkimi dostępnymi sposobami, mając w nosie Komisję do spraw Konkurencji. I dopóki coś się nie zmieni, będą wygrywać.

- A zwykli ludzie będą na tym tracić. Przygnębiająca perspektywa.

- Zrobiliśmy mały krok naprzód: wyeliminowaliśmy Brookshire'a, ponieważ jest politykiem. On jeden nie czeka na żadną decyzję Santarosy. - Simon spojrzał na Liz. - Siedzisz tu dwie godziny bez przerwy. Może zrób sobie przerwę, a ja zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć o Dreftbury.

- Chętnie. Dzięki.

Liz podeszła do lady i zamówiła dwie czarne kawy. Reporter CNN stał na jakimś wygwizdowie i wyliczał spodziewanych uczestników poniedziałkowego szczytu grupy G8. Kiedy wróciła z kawą do komputera, Simon czytał coś na monitorze. Obok niego leżały cztery zadrukowane kartki papieru.

- Dzięki. - Wziął od niej kawę. - Co wiesz o Dreftbury?

- Piękne miejsce: łagodne pagórki, drzewa, pola golfowe. Hotel stoi na wyższym wzgórzu, na miejscu dawnego zamku. Prowadzi do niego długi podjazd, z którego są fantastyczne widoki. Hotel i część pól golfowych widać zresztą już z głównej drogi.

- Całkiem niezłe. - Simon podał jej wydruki. Nagłówek na pierwszej stronie głosił:

HOTEL DREFTBURY

Luksusowy ośrodek wypoczynkowy z polem golfowym, na którym regularnie rozgrywane są turnieje open championship

Ułożył cztery kartki w prostokąt.

- To jest plan. Ośrodek jest ogromny, ma prawie trzysta dwadzieścia hektarów.

Hotel miał szeroki front i dwa boczne skrzydła, zakrzywione na końcu, co upodabniało go do odwróconej do góry nogami litery *n*. W pobliżu znajdowało się kilka budynków pomocniczych. Poza tym na planie zaznaczono sieć dróg i ścieżek oraz tereny wydzielone dla miłośników innych niż golf dyscyplin sportowych.

Liz powiodła palcem po wychodzącym w morze półwyspie.

- Jeden z dołków znajduje się tutaj. Urwiska są wysokie i strome, w niektórych miejscach nie ma ani skrawka plaży. Pamiętam, jak próbowałyśmy z mamą się tam kąpać w morzu. Bez szans.

Ośrodek był otoczony lasem, a na jego terenie znajdowały się mniejsze i większe zagajniki. Z jednej strony przylegał do morza, z drugiej ograniczała go autostrada łącząca Ballantrae i Loch Ryan na południu z Troon i Symington na północy.

- Nie wiem, kto zamieszka w którym pokoju - powiedział Simon. - To jest główna brama, a to wejście dla służby. Tak jak mówiłem, obstawa będzie potężna: policja miejscowa, posiłki z Glasgow i Scotland Yardu, no i oczywiście prywatna firma ochroniarska. W ten weekend każdy terrorysta chętnie wysadziłby Dreftbury w powietrze, a to oznacza, że nie zabraknie tam MI-5. Możemy się spodziewać patroli na całym terenie, tak że nawet nam trudno będzie się przemyścić do środka.

Liz zadrżała i skinęła głową.

- Rozumiem. Musimy być sprytni jak diabli.

- A teraz się zbierajmy. Musimy przygotować najlepszą szopkę naszego życia.

Gdzieś na północy Europy

Sarah nagle się obudziła. Rytmiczny łoskot przyboju był wyraźnie cichszy; prawdopodobnie nadeszła pora odpływu. Przez zakratowane okienka sączyło się poranne światło. Odbijając się od ścian, podłogi i sufitu - zbudowanych z wiekowych bloków czerwonego piaskowca - przybierało różowawy odcień.

Wstała ostrożnie. Asher, odkąd się rozgrzał, spał jak zabity. Obeszła celę w kółko, szukając drogi ucieczki, ale kamienne bloki były duże i solidnie spojone.

Oglądała właśnie drzwi - ciężkie, drewniane, okute żelazem - kiedy usłyszała metaliczny zgrzyt bolca w zamku. Cofnęła się szybko. Drzwi się otworzyły i w progu stanął jeden z mężczyzn, którzy byli z nimi poprzedniej nocy. W jednej ręce trzymał kałasznikowa, drugą podał jej papierową torbę. Za jego plecami ciągnął się wąski, niski korytarz o kamiennych ścianach, przywodzący na myśl lochy średniowiecznego zamku.

- Kanapki - powiedział, nie rozglądając się po pokoju.

Sarah przyjrzała mu się spokojnie. Miał gęste brwi, lekko asymetryczną twarz i znużoną minę. W skórzanym pokrowcu na pasku nosił telefon komórkowy. Broń trzymał opuszczoną, nie celując w Sarah.

- Dzięki - odparła. - Ładny dzień dzisiaj?

Wytrzeszczył oczy, jakby miał do czynienia z wariatką, i cofnął się o krok.

- Zaraz! To ma być wszystko? Jesteśmy głodni.

- Możecie zjeść albo nie.

Drzwi się zamknęły. Szczęknął zamek.

- Jedzenie? - zainteresował się Asher, siadając na łóżku.

Głos miał znacznie mocniejszy, a w jego oczach pojawił się zdrowy błysk. Włosy miał wprawdzie potargane, ale jego skóra odzyskała normalny kolor. Usiadł prosto, opierając stopy o posadzkę. Wyglądał całkiem nieźle, tylko zaciśnięta szczęka zdradzała napięcie. Plamy światła z wysoko umieszczonych okien pełgały mu po twarzy.

Przysiadła się do niego. Zjedli kanapki z jajkiem i szynką, popili wodą z butelki. Od chwili pojawienia się strażnika Sarah układała w myślach plan ucieczki.

- Mam pewien pomysł, jak się stąd wydostać. Ale musiałbyś mi pomóc. Dasz radę? Trzeba się będzie bić.

Oczy Ashera stwardniały jak dwa agaty.

- Mów.

- Potrzebny będzie duży, ostry kamień. Musi wyglądać groźnie. Kiedy strażnik znów przyjdzie, weźmiesz zamach tym kamulcem, jakbyś chciał nim w niego rzucić. Ponieważ chcą nas mieć żywych, przynajmniej na razie, powinien spróbować cię ogłuszyć, najprawdopodobniej kolbą karabinu. Ustawisz się na tyle daleko, żeby musiał do ciebie podbiec, a wtedy ja wkroczę do akcji. Będę stała pod ścianą, przy drzwiach. Wytrączę mu broń z ręki, a ty mu ją zabierzesz, kiedy odwróci się do mnie.

- Rany, Sarah - Asher wyraźnie się zniechęcił. - Wygląda to bardzo prosto. Dlaczego sądzisz, że zadziała?

- Bo widziałam tego strażnika. Nudzi się jak mops. Robi, co mu każą, ale się nami nie interesuje. Nie uważa nas za zagrożenie.

Asher się zamyślił.

- Plan ma dwa słabe punkty. Po pierwsze: zanim przyjdzie, mogą mu wydać inne rozkazy. Po drugie: możesz kopnąć za słabo, żeby wytrącić mu broń. Wiem, że znasz karate, ale dawno nie ćwiczyłaś. Dasz radę?

- Nie myśl, że kiedy ty sobie jeździsz po świecie, ja ograniczam się tylko do badań i pisania - odparła chłodno.

Wolał dalej nie dyskutować. Jego częsta nieobecność w domu nieraz bywała przyczyną sporów. Zrobiło mu się trochę głupio, bo powinien był wiedzieć, że Sarah ćwiczy. Zerknął na nią. Twarz miała brudną, ale podobał mu się jej rozeźlony wyraz; zapowiadał, że nie będzie litości dla pokonanych. Zawsze mu się to w niej podobało. Chciał jej nawet o tym powiedzieć, kiedy dodała:

- Nie wiem tylko, czy ty czujesz się na siłach. Bo nawet jeśli mój plan się powiedzie, będziemy się jeszcze musieli stąd wydostać. Nie mam pojęcia, co to za miejsce. Może trzeba będzie biegać.

- Boli, ale wytrzymam.

- Do czasu, aż zemdlejesz.

- Nie zemdleję.

Oboje wiedzieli, że nie jest to takie pewne, ale nie mieli wyboru. Zaczęli szukać wśród ścian luźnego kawałka kamienia, którym mogliby postraszyć strażnika.

*

Zrobiło się popołudnie. Słońce rozgrzało kamienną celę, powietrze wypełnił słony zapach morza. Sarah znalazła dwa ukruszone kawałki kamienia, ale nie dali rady wyciągnąć ich ze ściany. Nie mieli żadnego narzędzia, a strażnik mógł przyjść w każdej chwili.

- Trochę nad tym myślałem - odezwał się Asher - i wydaje mi się, że to nie jest Elsynor. Podejrzewam, że jesteście gdzieś w Szkocji.

- Wielkie nieba - Sarah przysiadła na piętach. - Ale dlaczego?

Asher często się tak zachowywał: zaskakiwał ją swoimi pomysłami, nie tłumacząc wcześniej, skąd się wzięły.

- Z kilku powodów. Po pierwsze: ludzie grają tu w golfa. Słyszałem strzępki rozmów. A golf to w Szkocji sport narodowy. Po drugie: krótko lecieliśmy, nie możemy być zbyt daleko. Po trzecie... - Skrzywił się, nie wiedząc, jak to wyjaśnić. - Pasuje mi, żeby to była Szkocja. Deszcz, wilgoć w powietrzu, zapach wrzosów, przybój, urwiska, zimne noce w lipcu. No i ten zamek: w Szkocji jest takich mnóstwo. Co nie znaczy, że nie mogę się mylić.

Sarah wątpiła, żeby się mylił. Najlepsi agenci mają zwykle to coś, co nienaukowo nazywa się szóstym zmysłem. Połączenie wiedzy, doświadczenia i wrodzonych zdolności pozwala im intuicyjnie domyślać się odpowiedzi, które później okazują się stuprocentowo trafne.

- Możesz mieć rację - zgodziła się z nim. - Ale nie wiem, jak to ma nam pomóc.

- Tego się obawiałem.

Za oknem rozległ się męski głos. Mężczyzna stał na tyle blisko, że prawie mogli rozróżnić słowa.

Sarah podniosła głowę.

- Słyszałeś?

- To chyba ten gość, który przywiózł nas z lotniska.

- Malko. Rozumiesz, co mówi?

- Nie, tylko...

Sarah podbiegła do łóżka, na którym w nocy nie spali. Miało spawaną ramę, na której rozpięte było poplamione płótno. Przeciągnęła łóżko pod ścianę i oparła pod kątem trzydziestu stopni.

- Chodź, przytrzymaj.

- Już.

Asher natychmiast do niej doskoczył i przycisnął łóżko całym swoim ciężarem. Sarah cofnęła się pod przeciwległą ścianę, wzięła rozbieg i wdrapała się po łóżku i ścianie aż do okna. Chwyliła się mocno krat, zapierając się stopami o ramę.

- Co mówi?

- Ćśśś...

Nareszcie dowiedziała się, jak Malko wygląda: muskularny, mocno zbudowany, w eleganckim, drogim garniturze. Miał pociągłą, niczym niewyróżniającą się twarz, jedną z tych, które szybko się zapomina. Tacy ludzie łatwo giną w tłumie. Dla zabójcy to idealna cecha. Miał okulary przeciwsłoneczne i szedł po krawędzi urwiska. Rozmawiał przez telefon komórkowy. Cały czas rozglądał się dookoła, jakby na wypielegnowanych trawnikach mogły ukrywać się tłumy jego wrogów. Nie był przy tym zdenerwowany, po prostu zachowywał czujność jak na profesjonalistę przystało. Za nim rozciągało się morze, szare i spienione po nocnym sztormie.

- ...w Alloway - powiedział. - Oczywiście, wszystko będzie gotowe na czas. Proszę się o nic nie martwić. Zdążymy. Przekażę wiadomość jego asystentce, może pan na mnie liczyć. - Przerwał na chwilę, a kiedy znów się odezwał, mówił prawie szeptem. Sarah musiała mocno wyężyć słuch. - Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

Rozłączył się, schował telefon i odwrócił się w stronę morza. Sprawiał wrażenie posłusznego psa, morderczej bestii, którą pan właśnie raczył pogłaskać po głowie.

Określił się na pięcie, ruszył zdecydowanym krokiem i zniknął za budynkiem. Sarah ześliznęła się na podłogę i opowiedziała Asherowi, co widziała.

- Alloway jest w Szkocji, prawda? - zapytała. - Robert Burns się tam urodził. Miałeś rację.

Asher pokiwał głową.

- Widziałaś jakieś wyspy na morzu?

- A owszem. Wyglądało to jak wielki kawał skały, taki wyrośnięty bochen chleba, ale to raczej była wyspa.

- Na pewno. Ailsa Craig. No, to coś już wiemy. Jesteśmy nad brzegiem Firth of Clyde, w południowo-zachodniej Szkocji. Zatrzymałem się tu kiedyś przejazdem, po drodze do Glasgow. Zwiewajmy stąd. Jeśli mają tu pole golfowe, znajdą się jakieś samochody. Ja jestem gotowy, a ty?

Dreftbury, Szkocja

Droga A77 biegła brzegiem Firth of Clyde, a potem wiała się wśród łagodnych, zielonych wzgórz, na których w cieniu potężnych sosen pasły się rudo-białe krowy. Simon prowadził nowiutkiego land-rovera, często zerkając w lusterko wsteczne, a Liz wypatrywała drogowskazów do Dreftbury.

Za każdym razem, kiedy na niego spoglądała, odnosiła dziwne wrażenie. W pewnym momencie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przestał być dla niej wspomnieniem z dzieciństwa. Teraz siedział obok niej w przebraniu: ciemnoblonde włosy, ciemne okulary, tania sportowa marynarka i krawat z poliestru. Z taką szeroką twarzą i ogromnym nosem wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy - albo agent służb specjalnych. Podejrzewała, że nikt by go teraz nie rozpoznał, nawet najbliżsi przyjaciele.

- Przyglądasz mi się.

- Jakoś się nie rumienisz.

- A powinienem?

- Podziwiam nowego Simona.

- Ach tak... - Uśmiechnął się szeroko.

Posługując się fałszywymi dokumentami, wypożyczył nieopodal Dumfries land-rovera; tam też porzucili jeepa. Zajechali do miasta, gdzie kupili dwa telefony komórkowe na kartę, a także ubrania i farby do włosów. Znaleźli pub, w którym zapłacili za wynajęcie pokoju na noc, ale zatrzymali się na krótko: w sam raz, żeby się umyć, przebrać i ufarbować włosy. Podzielili się euro, które Liz znalazła w portfelu Sarah. Zrobili sobie zdjęcia polaroidem Simona i przygotowali dwie fałszywe legitymacje MI-6: jedną na nazwisko Veronika Young, drugą - na Douglas Kennedy.

Wrócili do samochodu, cofnęli się do drogi A75 i pojechali nią na zachód, do Stranraer na brzegu Loch Ryan. Tam skręcili na północ, w A77.

- Twoje przebranie też robi wrażenie - przyznał Simon. - Nie ma to jak siwiejąca seksbomba.

- Słucham?

- No co? Włosy masz jak babcia po siedemdziesiątce, a twarz dziewczyny z liceum. Ten czarny kostium wygląda oszałamiająco. Idealne połączenie dla tych, co mają specyficzne fantazje seksualne.

- Prowokujesz mnie.

- Troszeczkę.

- Zapomniałeś o zmarszczkach, nad którymi tyle się namęczyłam.

- Łatwo mi o nich zapomnieć.

Wyjechali z łagodnego zakrętu. Ruch na drodze nasilił się, samochody jechały coraz wolniej. Liz wyjrzała przez okno. Po lewej stronie, na wzgórzu nad morzem, stał dostojny biały gmach z kolumnami, łukowatymi oknami i czerwonym dachem.

- To tutaj: hotel Dreftbury - kiwnęła głową, zastanawiając się, co ich tam czeka.

Po obu stronach drogi ciągnęły się słynne pola golfowe - perfekcyjnie utrzymany kobierzec w kolorze intensywnej zieleni, poznaczony bunkrami i obwiedziony nierówną linią tarmoszonych wiatrem morskich traw. Paru graczy ćwiczyło uderzenia. Słońce wyzierało chwilami zza burzowych chmur, których ciemne cienie płynęły po ziemi.

Wróciły wspomnienia: wspaniały salon, bar z gustownym, kamiennym patio, z którego rozciągał się widok na zatokę i dolinę rzeki, windy, długie, rozgałęzione korytarze, bezszelestna służba.

Simon musiał zwolnić. Na tym odcinku drogi samochody poruszały się z prędkością niecałych pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Co się stało? - zdziwiła się Liz.

- Oto odpowiedź. - Simon usilnie starał się zapomnieć o Vierze i burzliwej nocy w Bratysławie. - Antyglobaliści stawili się tłumnie.

Z miejsca, w którym się znajdowali, rozciągał się widok nie tylko na sam hotel, lecz także daleko w dół, do podnóża pagórka, gdzie na dwupasmowej wiejskiej drodze panował niemiłosierny ścisk. Do drogi przylegał wysoki kamienny mur. Kontrolowane przez służby bezpieczeństwa limuzyny o przyciemnionych szybach stały się w kolejce przed bramą. Ciężarówki i furgonetki z zaopatrzeniem czekały przed bocznym wjazdem.

Po drugiej stronie drogi nie było tak spokojnie: tysiące demonstrantów, stłoczonych za barierkami i kordonem umundurowanych policjantów, wykrzykiwały swoje hasła. Ubrani na sportowo, z plecakami, wymachiwali tablicami i transparentami. Swój punkt dowodzenia ulokowali wyżej, na grzbiecie wzgórza. Stamtąd grupa mężczyzn i kobiet z lornetkami i krótkofalówkami kierowała protestem.

- Włącz radio - rzucił ostro Simon. - Są dziennikarze i kamery.

Kiedy Liz sięgnęła do przełącznika, Simon opowiedział jej w paru zdaniach o frustracji antyglobalistów, którzy zarzucali mediom, że zbyt rzadko poważnie traktują ich zarzuty i postulaty. Czuli się niepotrzebni, niesłuchani, zepchnięci na margines.

- Nie dziwię im się, że tu przyjechali - ciągnął. - Ostrzegałem szefową, że coś się szykuje. Chcą w jakiś spektakularny sposób zwrócić na siebie uwagę, więc Nautilus jest idealnym celem. Nie wiem, czy zmobilizują się tylko w Wielkiej Brytanii, czy może ściągną z całej Europy...

- Jest zjazd do Dreftbody.

Liz znalazła stację nadającą serwis informacyjny i podkręciła głośność. Zjechali z autostrady na boczną drogę. W radiu spikerka podniesionym głosem relacjonowała przebieg demonstracji:

- ...w luksusowym ośrodku Dreftbury.

Słychać było warkot silników, okrzyki, hasła. Hałas był nie do zniesienia.

- Stoimy twarzą w twarz z blisko trzema tysiącami demonstrantów - mówiła dalej.

- Nad ich głowami unosi się różowy balon w kształcie olbrzymiej świni. Muszą mieć spore poczucie humoru, bo napis na balonie brzmi: „Kapitalistyczna Świnia to gorące powietrze”. Protestujących z każdą minutą przybywa. Przeciskają się pod barierkami, dopadają do głównej bramy Dreftbury, ale tam zatrzymuje ich policja. Nie udaje im się przedrzeć do środka. Złapanych pakuje się do radiowozów i od razu odsyła do aresztu. Inspektor Hepburn z miejscowego posterunku twierdzi, że nikt nie został ranny, ale prosi gapiów, by nie zbliżali się do terenu ośrodka. I trudno mu się dziwić. Nikt chyba nie spodziewał się takich tłumów i takiego zamieszania na tak małej przestrzeni. Przy bocznym wejściu wypędzono z autobusu całą orkiestrę smyczkową z Glasgow i kazano jej oddać instrumenty do kontroli. Muzycy byli niepokieszeni, ale ochrona dla nikogo nie robi wyjątków. Podchodzimy do czekających w kolejce limuzyn, żeby porozmawiać z gośćmi. To elita naszej planety. Demonstranci twierdzą, że przedstawiciele tej elity będą dziś spiskować, jak pokierować światem przez następny rok. - Głos spikerki przycichł, a potem znów zabrzmiał głośniejsze: - Odsuń się, młody człowieku, jesteśmy z Radia Edynburg. A ty nie jesteś z policji... Jak śmiesz! I tak nas nie zatrzymasz. Proszę pana... Proszę pana! - Rozległo się pukanie w szybę. - Proszę otworzyć okno! Chcemy porozmawiać!

Liz ściszyła radio. Simon zahamował. Wjechali w korek przed samym Dreftbury.

- No, przynajmniej jesteśmy przy murze - zauważyła Liz.

- Popatrz na tę kępę drzew.

Land-rover wolniutko toczył się naprzód, prawie szturchając zderzak jadącego przed nim auta. Liz spojrzała we wskazanym kierunku. Spomiędzy drzew na skraju posiadłości wychylił się owczarek niemiecki, a zaraz za nim wyszedł jego opiekun. Miał czarny mundur polowy i karabin automatyczny. Patrołował obrzeża Dreftbury. Obserwując zagajnik, Liz dostrzegła jeszcze kilku strażników z psami.

- Przerazające - powiedziała zdławionym głosem. - Prywatna firma ochroniarska?

Simon skinął głową.

- Pomyślałem, że chciałabyś o nich wiedzieć.

*

Asher rzadko się czymś przejmował. Zamartwianie się nie leżało w jego naturze; gdy czymś się niepokoił, po prostu było mu ciężko i miewał chwile wahania. Ale kiedy Sarah

została uprowadzona, wnętrzności zwinęły mu się w jeden wielki supeł - teraz już wiedział, co to znaczy: martwić się. Po spotkaniu w Paryżu trochę się odprężył, bo Sarah żyła, ale potem było już tylko coraz gorzej. Ona nadal znajdowała się w niebezpieczeństwie, a on w dalszym ciągu był w fatalnym stanie.

Plan, który wymyśliła, mógł okazać się skuteczny, ale na razie nie znaleźli odpowiedniego kamienia. Obejrzeliby dokładnie trzy ściany celi, a teraz oglądali czwartą. Szukali pęknięć, występów, nieregularnych powierzchni.

Oślupiał, kiedy lekko pociągnięty kawał czerwonego kamienia, szeroki na piętnaście centymetrów i długi na trzydzieści, wysunął się z muru. Pociągnął mocniej i kamień został mu w rękach.

Sarah wytrzeszczyła oczy.

- Udało ci się! Jest idealny!

Asher nic nie powiedział. Wpatrywał się w dziurę po kamieniu.

Oboje podskoczyli, słysząc metaliczny szcęk zamka.

- Chodź z nim tutaj - poleciała Sarah. - Szybko! Udawaj, że chcesz się rzucić na strażnika!

- Nie! Zaczekaj. Zmiana planów. Podejść do drzwi i bądź grzeczna. Nie kop go ani nie bij.

Wsunął kamień w ścianę, otrzepał ręce z piasku i rzucił się na łóżko. Drzwi się otworzyły.

Sarah już przy nich czekała.

- Dzięki - powiedziała.

Jedzenie przyniósł ten sam strażnik, chyba jeszcze bardziej znudzony niż poprzednim razem. Wciąż w jednej ręce trzymał karabin, a u pasa miał przypiętą komórkę. Odchrząknął, podał Sarah dwie butelki wody i papierową torbę, zamknął drzwi i poszedł.

- Wspaniale - Asher się uśmiechnął. Lubił te rzadkie chwile, kiedy Sarah robiła to, o co ją prosił.

Odwróciła się do niego.

- Mam nadzieję, że to twoje odkrycie to prawdziwy cud.

Sir Anthony Brookshire udał się prosto do swojego apartamentu. Był zniesmaczony obecnością rozwrzeszczanych agitatorów, którzy najwyraźniej zamierzali zepsuć robocze weekendowe spotkanie, poświęcone wymianie myśli i wykuwaniu kompromisów. Stał teraz przy oknie, ubrany w swoją ulubioną sztruksową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, i z rękoma splecionymi za plecami patrzył na dolinę i tłoczący się w niej tłum rozwrzeszczanych idiotów.

Czuł się dziwnie odrętwiały, jakby czas upływał zbyt szybko. Coś się stało. Czyżby przestał nadążać za przyszłością?

- Całe życie poświęciłem zrozumieniu mechanizmów rządzących światem - rozmyślał na głos. - Próbowałem pojąć istotę cywilizacji, znaczenie naszych triumfów i klęsk, sens naszej zdolności do odczuwania szczęścia i smutku. Stanowimy jeden gatunek, jesteśmy częścią jednego świata, więc powinniśmy mieć to na uwadze. Ci, którzy są przeciw globalizacji, chcieliby cofnąć czas. To tak, jakby twierdzili, że Ziemia jest płaska, wierzyli w elfy i wiedźmy i modlili się do pogańskich bóstw.

Westchnął ciężko, a nie doczekawszy się odpowiedzi, odwrócił się od okna. Nie podobał mu się ten tok rozumowania, ale nie umiał myśleć inaczej. Należało dbać o zachowanie pewnych standardów i trzymać się wytyczonego kursu. Może to wytrwałość jest największą z cnót?

- Czego oni chcą? - zapytał.

César Duchesne stał przy drzwiach w jasnobrązowej koszuli, tweedowej marynarce i brązowych spodniach. Do kieszeni na piersi miał przypięty żółty identyfikator asystenta, co nie przeszkadzało mu kierować ochroną Spirali.

- Zmiany formuły działania Banku Światowego i MFW - odparł. - Anulowania długów krajów Trzeciego Świata. Jednoprocentowego podatku od wszystkich spekulacyjnych transakcji na rynkach finansowych, który poszedłby na utworzenie wartego bilion dolarów funduszu dla najbiedniejszych państw. Procesu à la Norymberga dla tych, których obciążają odpowiedzialnością za światowy bałagan gospodarczy i pogłębiającą się przepaść między bogatymi i biednymi.

- To wszystko? - spytał z goryczą Brookshire. Miał dość ludzi, którym brakowało i rozsądku, i doświadczenia, żeby zrozumieć zawilóści światowej ekonomii. Martwili się tylko o własne przetrwanie. Świat nic ich nie obchodził. Małostkowi, bezproduktywni egoiści. - Na niczym się nie znają, ale trzymają się kurczowo tej swojej niewiedzy, jakby to był talizman albo jakaś relikwia. To fanatycy! Jeżeli chcą zmian, muszą najpierw zrozumieć, jak działa

nowoczesny świat. - Odetchnął głęboko. - Mają jakiś konkretny powód, żeby akurat teraz się nam naprzykrzać?

- Chcą zdemaskować Nautilusa. Zmusić was, żebyście podnieśli kurtynę i pokazali twarze. Chcą niezależnego śledztwa.

- Ach tak? Nie osiągną swoich celów, zachowując się jak rozkapryszone dzieci. Krzyczą, podskakują... Spójrz na nich: wariują, jakby mieli po dwa latka. - Brookshire usiadł i spojrzał posepnie na Duchesne'a. Opanował się i wrócił do bieżących spraw. - Henry Percy nie żyje?

Duchesne z szacunkiem skinął głową.

- Zgodnie z rozkazem.

- Co z Sansborough i Childsem?

- Uciekli.

- Co takiego?! Duchesne, ja cię...

- To nie wszystko - wtrącił pospiesznie Duchesne. - Domyślili się nie tylko tego, że szantażysta odpowiada za śmierć Franka Periego przed paroma miesiącami, ale także tego, że chodziło o wybór Carla Santarosy na stanowisko szefa komisji. I chyba mają rację. Podejrzewają, że szantażyście zależy na korzystnej decyzji Santarosy w jakiejś sprawie. Henry Percy powiedział im, że Santarosa najprawdopodobniej przyjedzie do Dreftbury.

Sir Anthony oparł łokcie na podłokietnikach, zetknął dłonie czubkami palców i podparł nimi brodę. Patrzył na swojego szefa ochrony, który cały czas stał przy drzwiach w pozornie niedbalej pozie. Sir Anthony pierwszy raz dostrzegł na jego twarzy oznaki niepokoju. Duchesne czymś się martwił. To dobrze. Musi być czujny, zmotywowany, bystrzejszy niż zwykle. Wtedy będzie bardziej użyteczny.

- Sądzisz zatem, że przyjadą tu, żeby za pośrednictwem Santarosy dotrzeć do szantażysty. Pewnie masz rację. Kto mógł przewidzieć, kiedy Sansborough zaczęła uciekać, że dotrze tak daleko? Na pewno się tu zjawi. Mam nadzieję, że zastawisz pułapkę na nich oboje. I na szantażystę również.

Duchesne przedstawił sir Anthony'emu przedsięwzięte środki bezpieczeństwa oraz poinformował go, jaką zaplanował pułapkę.

Sir Anthony wprowadził kilka poprawek.

Kiedy Duchesne wyszedł, wstał z fotela. Przez całe życie był myśliwym; kochał broń palną i znał się na niej. Pierwszy sztucer dostał, kiedy miał osiem lat, pierwszą strzelbę pięć lat później, a pierwszy rewolwer w wieku szesnastu lat. Teraz wyjął z szuflady biurka swojego ulubionego browninga. Wyczyścił go i naoliwił przed wyjazdem z Londynu. Nie

przypuszczał, żeby musiał go użyć, ale mądry człowiek powinien być przygotowany na różne ewentualności. Zważył broń w ręce i spojrział w lustro: gęste siwe włosy, gładko zaczesane do tyłu; duża głowa; świeżo ogolone, zaróżowione policzki; wydatna szczeka; eleganckie, stylowe ubranie; atletyczna budowa ciała; i to mądre spojrzenie, nad którym pracował całymi latami. Owszem, był dzieckiem Starego Świata, ale łączył w idealnych proporcjach idealizm z pragmatyzmem. Dobrze pamiętał, co Platon powtarzał za czasów demokracji ateńskiej: kto nie chce uczestniczyć w życiu politycznym, skazuje się na rządy miernoty.

*

Ciemne chmury przetaczały się po niebie. Simon sięgnął po swoją torbę sportową, Liz wzięła do ręki torebkę. Wysiedli z zaparkowanego przy drodze land-rovera i weszli na pas ziemi niczyjej, oddzielający rozkrzyczanych i wymachujących transparentami demonstrantów od funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa, którzy ponuro obserwowali tłum. Powietrze pachniało potem i ozonem. Było już dobrze po piątej i kolejki samochodów oczekujących na wjazd do Dreftbury znacznie się skróciły - ale i tak szybciej było po prostu dostać się do środka na piechotę.

Przy bocznym wejściu policyjne psy obwąchiwały samochody, a ochroniarze rewidowali kierowców i sprawdzali ładunki; jeden przedziurawił karton z mlekiem, inny rozciął torebkę mrożonego groszku. Wyglądało na to, że szukają broni i semteksu. Czterech podstarzałych demonstrantów przecisnęło się tymczasem pod barierkami i podbiegło do bramy; słońce zaśniło na ich siwych włosach, wyłowiło zmarszczki na twarzach. Ochroniarze z bronią w rękach podbiegli do nich.

- Przypomina mi się Bratysława i tamta noc, kiedy Viera się spaliła - mruknął niespokojny Simon. - Od tego zaczęły się zamieszki.

Spoglądając zza okularów, próbował ocenić nastroje tłumu. Było w nim trochę znajomych twarzy - ci sami co zwykle nauczyciele, robotnicy, gospodynie domowe i studenci z Niemiec, Polski, Słowacji, Czech, Anglii...

- Nie dziwię ci się. - Liz też rozglądała się czujnie. - Ale ci, którzy wszczynają zamieszki, stawiają się na straconej pozycji.

- Oni by ci nie uwierzyli. Popatrz na tych dziadków. Nie rezygnują.

Policjanci skuli czwórkę aktywistów i prowadzili ich do ciężarówki. Wiekowi demonstranci uśmiechali się półgębkiem, tak jakby wybierali się na prywatkę.

- Ale oni nie myślą o zamieszkach - zauważyła Liz. - Oni chcą naprawić świat, mimo że ich pomysł na naprawę nie jest najszcześniejszy. Chcieliby, żeby wybuchła taka pozytywna rewolucja, a zamieszki nie mają z nią wiele wspólnego. I zawsze kończą się klęską. Jedyne

zysk z nich to krótkotrwałe emocjonalne katharsis. Potem przychodzi świadomość daremności własnych wysiłków; nawet jeśli na początku czuli siłę, teraz się wyczerpała. Następnym etapem jest bezsilna złość.

- Czy to kolejny wykład pani profesor Sansborough?

- Raczej parafraza Martina Luthera Kinga. Ale sam spójrz na twarze agitatorów i policjantów. Wczuj się w ich język ciała. Są jak lustrzane odbicie. Jedni wściekli na drugich i przekonani o swojej moralnej wyższości.

- Skoro to takie bez sensu, dlaczego ludzie się buntują?

Przeszukując wzrokiem tłum, Simon wypatrzył Johanna Jozefa, brata Viery, który trzymał wypisany po angielsku transparent:

NIECH ŚWIATOWA GOSPODARKA

PRZYNOŚI ZYSKI TYM,

KTÓRZY NAPRAWDĘ PRACUJĄ!

Gniewny grymas wykrzywił jego twarz, na której świeży żal wyłobił nowe bruzdy wokół ust. Na piersi miał zawieszony laminowany zdjęcie uśmiechniętej Viery. Simon zmartwił.

- Dużo w tym psychologii tłumu - ciągnęła Liz. - Tłum ma siłę. A ci ludzie żyją w dodatku z poczuciem misji. Niektórzy umyślowo chorzy mogliby w ich sytuacji bić głową w mur albo gryźć się po rękach, tak rozpaczliwie chcą coś poczuć. Cokolwiek. Takie uczucie oczyszcza. To naturalne, że ludzie, którzy bezskutecznie próbują naprawić zło albo polepszyć czyjąś sytuację, są sfrustrowani. Być może nigdy nie dostaną tego, czego się domagają; być może nie powinni tego dostać. Sytuacja robi się niebezpieczna, kiedy zbiorą się dużą grupą, tak jak tutaj. Frustracja wynikająca z obojętności świata narasta, napięcie też... Wystarczy jedna iskra i mamy zamieszki. A oni dostają swoje katharsis, chociaż nie w tej wymarzonej postaci. Potem przez jakiś czas jest spokojnie, a później napięcie znów zaczyna narastać.

- To cholernie przygnębiające.

Liz poprawiła okulary na nosie. Spojrzała na Simona.

- Co się stało? Kogo zobaczyłeś?

- Brata Viery.

Opisał jej Johanna i odwrócił się do niego plecami. Wątpił, żeby Johann go rozpoznał, ale wolał nie ryzykować.

- Jest wściekły - stwierdziła Liz.

- Viera zginęła jak męczennica, a media już o niej zapomniały. Może zaczyna do niego docierać, że jeśli chcesz coś zmienić, musisz przede wszystkim żyć.

*

Kiedy stanęli przed stylową bramą Dreftbury, jeden ochroniarz przeglądał właśnie rzeczy w bagażniku limuzyny, a drugi stał pochylony przy otwartym oknie po stronie kierowcy i szukał nazwisk z paszportów na liście gości. Prowadzony na smyczy doberman obwąchiwał opony i podwozie.

Dobiegające z drugiej strony jezdni okrzyki i śpiewy demonstrantów przybrały na sile. Coraz więcej ludzi przedzierało się przez policyjny kordon. Simon z niepokojem obserwował coraz większe zamieszanie. Chmury skłębiły się nad Dreftbury, jakby reagując na panujące na ziemi napięcie; zapach deszczu stłumił nawet smród dieslowskich spalin. Przypomnił sobie szkockie powiedzenie: w Szkocji albo właśnie pada, albo jest tuż po deszczu, albo zaraz zacznie padać.

- Jest nasz człowiek - stwierdziła z kamienną twarzą Liz. - Pamiętasz numer mojej komórki?

- Pamiętam. A ty mojej?

Przytaknęła. Glocka spakowała na wierzchu torebki, żeby w razie potrzeby był pod ręką. Simon miał berettę w kaburze pod pachą, a uzi w torbie. Dzięki telefonom mieli być w stałym kontakcie.

Skinął głową. Zgodnie z ich przewidywaniami agent MI-5 czekał tuż za bramą, nieco z boku, dyskretny i rozpoznawalny tylko dla tych, którzy wiedzieli, czego się spodziewać. Stał z pozoru swobodnie, oparty o budkę strażników, i ze znudzoną miną obserwował ludzi w mijających go samochodach. Marynarkę miał skrojoną lekko niesymetrycznie, żeby lepiej maskowała pistolet pod pachą. Ale przede wszystkim wyróżniało go to, że stał zupełnie sam. Ochroniarze omijali go szerokim łukiem. I to był błąd. Powinien był ich upomnieć, żeby zachowywali się naturalnie i zagadywali go od czasu do czasu, jakby był jednym z nich.

Barczysty strażnik, z karabinem ułożonym w zgięciu łokcia, odwrócił się w ich stronę. Właśnie skończył kontrolę jednej z limuzyn, która teraz ruszyła w stronę hotelu. Spięta Liz wymieniła z Simonem porozumiewawcze spojrzenie: szopka się zaczęła.

Przygotowali dokumenty.

- Czym mogę służyć?

W uprzejmym pytaniu strażnika dało się wyczuć zmęczenie. To był długi dzień. Mimo to spojrzenie miał czujne i podejrzliwe.

- Mamy prośbę - odparła spokojnie Liz. Angielski akcent wrócił jak na zawołanie.

Dyskretnie pokazali strażnikowi legitymacje MI-6, tak żeby nikt inny ich nie widział.

- Muszę porozmawiać z tamtym człowiekiem. - Simon ruchem głowy wskazał agenta MI-5.

Strażnik wyraźnie się zawahał. Liz zareagowała natychmiast.

- Przykro mi, ale nic więcej nie możemy panu powiedzieć - dodała. - Pan rozumie.

Demonstracyjnie uchyliła torebkę i pokazała mu glocka, chowając przy okazji legitymację. Simon odchylił połą marynarki, schował dokumenty do kieszeni, a przy tym odsłonił berettę w kaburze.

To załatwiło sprawę. Strażnik popatrzył na nich i machnął ręką, żeby weszli. Poczul się dopuszczony do ważnego spisku.

Liz odetchnęła z ulgą.

Simon z uśmiechem podszedł do człowieka z MI-5 i powiedział z najlepszym oksfordzkim akcentem:

- Chcielibyśmy zamienić dwa słowa z twoim szefem.

MI-5 nie odrywał wzroku od bramy.

- Oboje?

- Pewnie, że oboje - burknęła Liz. - Wy w tym MI-5 chyba już zupełnie tracie kontakt z rzeczywistością.

Agent zastygł bez ruchu. Wyraźnie spuścił z tonu. W razie konieczności MI-5 musiał zniżyć się do współpracy nie tylko z MI-6, ale nawet z kobietami.

- Nazwiska. Numery zaproszeń.

- Kennedy, MI-6. A to pani Young, też MI-6. Nie bądź upierdliwy.

Ciężkie westchnienie.

- Pokażcie.

Zerknął przelotnie na legitymacje i znów skupił wzrok na bramie. Pochylił głowę i powiedział coś szeptem do mikrofonu w kieszeni na piersi. W uchu miał miniaturową słuchawkę.

- W hotelu ktoś po was wyjdzie - oznajmił.

Liz z ledwie skrywaną ulgą skinęła głową, jakby dziękowała hotelowemu portierowi. Ruszyli podjazdem w stronę zabudowań, mijając pola golfowe i wypiełgnowane, ozdobnie przyszyżone krzewy. Wszędzie kręcili się uzbrojeni strażnicy.

- Chyba nieźle wyszło - stwierdziła, ocierając pot z czoła.

- Jeszcze jedna przeszkoda.

Przy hotelu czekała na nich kobieta w granatowym żakiecie. W uchu miała miniaturową słuchawkę. Oparła ręce na biodrach i spojrzała na nich nieprzychylnie.

- Co wy tu robicie, do diabła ciężkiego? - warknęła przez zęby.

- Jesteśmy z wydziału do spraw antyglobalizacji - odparł grzecznie Simon. -
Specjalizacja: podsłuch elektroniczny.

- Mieliśmy obserwować ten tłum na drodze, ale tam już naszych jest za dużo - dodała Liz. - Szef operacji uznał, że możemy się przydać tutaj.

- No proszę... - Wiadomość o złej organizacji w MI-6 sprawiła kobiecie wyraźną przyjemność. - To mój szczęśliwy dzień. Zajmiecie się naszą elektroniką i monitoringiem, a ja przeniosę swoich ludzi do zabezpieczenia imprezy. MI-6 podaje nam pomocną dłoń...

Wyjaśniła im, jak trafić do centrali monitoringu, i wręczyła zielone identyfikatory pracowników ochrony. Dodatkowi agenci zawsze są w cenie, a nikt nie lubi cały dzień siedzieć w jakiejś klitce przed baterią monitorów. Na to właśnie liczyli. Liz miała poszukać Santarosy, a Simon zameldować się w centrali i sprawdzić numery pokoi zajmowanych przez komisarza i członków Spirali.

49.

- Tunel? - zdziwiła się Sarah, zaglądając w ciemny otwór po wyjętym kawałku kamienia.

- Na to wygląda.

Za ścianą znajdowało się przejście wysokości około metra, rozjaśnione w głębi słabą poświatą. Sarah wyciągnęła ukruszony blok do końca, a potem jeszcze trzy następne. Na złość strażnikom rzuciła je pod drzwiami.

- Pójdę pierwsza. Nie wiadomo, co tam będzie.

- Masz klaustrofobię.

- Tym ciekawiej się ten spacer zapowiada. Wiem, że czujesz się lepiej, ale jeśli chcesz, możemy zrezygnować. To żaden wstyd. Ten pierwszy odłamek jest wystarczająco ostry, żeby nadał się do naszego pierwotnego planu.

- Podziwiam cię, Sarah. Jesteś miłością mojego życia. Ale ponieważ nie wierzę w istnienie nieba, musimy żywi wydostać się z tego bajzlu. Ten tunel to nasza szansa.

Kiwnęła głową i wsunęła się w otwór w ścianie. Od razu poczuła ostrą woń wilgoci i pleśni. Coś ścisnęło ją w piersi. Dasz radę. Wczołgała się głębiej, koncentrując się na

majającym z przodu światełku. Ściany tunelu zdawały się zaciskać wokół niej. Oddech. Do przodu. Oddech. Do przodu.

Nie minęły dwie minuty, gdy usłyszała czołgającego się za nią Ashera.

- W porządku? - zapytała.

- Jak nigdy - odparł, ale głos mu drżał.

W końcu zrobiło się jaśniej, tunel skręcił i Sarah dostrzegła światło słońca. Zapachniało oceanem. Odetchnęła z ulgą.

Asher też musiał poczuć tę woń.

- Może jednak niebo istnieje.

Sarah przyspieszyła. Tunel się zwęził, ale światło zachęcało do dalszego wysiłku. Wylot był zatkany kamieniem. Promienie słońca przeciskały się do środka wokół jego krawędzi, zasłaniające go od zewnątrz korzenie roślin filtrowały światło. Sarah wyteżyła słuch, ale usłyszała tylko śpiew ptaków i bzyczenie owadów.

- Już jestem - wysapał za jej plecami Asher.

- Bardzo boli?

- Da się wytrzymać.

- Aha! Dobra, nie ruszaj się.

Odlamała część korzeni i odgarnęła ziemię. Wyjrzała przez szeroki na piętnaście centymetrów otwór przy ścianie tunelu. Jego wylot znajdował się na trawiastym, porośniętym krzewami stoku, wystarczająco stromym, żeby nie chciała na oślep wypychać kamienia i zwracać na siebie uwagi. Zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że kiedy wyjdą na zewnątrz, będą musieli uciekać przed pościgiem. Historia zatoczyła koło: znów znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie, tak jak na początku całej tej afery.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się Asher.

- W najlepszym.

Sarah usiadła, zaparła się nogami i powiększyła otwór do szerokości mniej więcej pół metra. Wyczołgała się na zewnątrz, odetchnęła świeżym powietrzem i kucnęła obok wylotu tunelu. Wiatr pędził po niebie ciemne chmury, przez które złowrogo przesączało się światło słońca.

Znalazła się na wysokim brzegu morza, poniżej ściany celi z dwoma zakratowanymi okienkami, trochę w bok od nich. Wyglądało na to, że cela znajdowała się częściowo pod ziemią - być może dawniej w zamkowych lochach. Mury gładko wrastały w ziemię. Powyżej, na wzgórzu, stał nowoczesny, najwyżej stuletni budynek: ogromny, biały, z czerwonym

dachem i bocznym skrzydłem wychodzącym w morze na północ, wzdłuż linii urwiska. A oni wyczołgali się na rzadko uczęszczaną część posesji.

Sarah przyjrzała się bliższej budowli. Na parterze ciągnął się długi szereg odblaskowych okien. Kryty basen? Na trzech piętrach okna wyglądały zwyczajnie, chociaż w tej chwili przypominały raczej puste oczy. Na szczęście przykucnęła na tyle blisko ściany, że trudno było ją z nich zobaczyć.

- Sarah? - szept Ashera zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

- Możesz wyjść.

Odsunęła się na bok i opisała mu, co widzi.

Asher zaczął się przeciskać przez otwór, ale był od niej szerszy w ramionach. Potrącił kamień, który natychmiast potoczył się w dół zbocza. Sarah z bijącym sercem rzuciła się, żeby go zatrzymać, ale on, lecąc, przeturlał się po niej. Poczowała ostry ból w piersi, a kamień popędził dalej, przyspieszając i podskakując coraz wyżej.

Asher natychmiast znalazł się przy niej, patrząc na kamień, który właśnie zniknął w krzakach.

- Szlag by to... przepraszam. Nic ci się nie stało?

- Nie. Zła jestem tylko, że nie udało mi się go złapać - przysiadła na piętach.

Czekali, aż kamień przestanie koziółkować. Ptaki już nie śpiewały, zrobiło się całkiem cicho, aż w końcu głąz znieruchomiał w gąszczu kolcolistów. Cisza aż dzwoniła w uszach. Spojrzeli na siebie wyczekująco, ale najwidoczniej nikt nie zwrócił uwagi na hałas.

Sarah pierwsza zerwała się na nogi.

- Z lewej strony słyszałam warkot samochodów. Mam ochotę uciec gdzie pieprz rośnie. Jak się czujesz? Dasz radę uruchomić auto, spać stacyjkę na krótko?

Podowała Asherowi rękę, on chwycił ją mocno i wstał. Spojrzał jej w oczy.

- Na pewno. Jeszcze nas nie dorwali.

- I nie dorwą.

Sarah podbiegła do rogu budynku i znalazła się na kamiennej dróżce, okrążającej południowe skrzydło gmachu. Za następnym rogiem stanęła jak wryta i uskoczyła za duży, elegancko przycięty krzew, uformowany w kształt słonia. Wyrzała ostrożnie zza niego. Przy wejściu portierzy w hotelowych liberjach i białych rękawiczkach witali wysiadających z limuzyn gości. Na tarasie powyżej stali eleganccy mężczyźni i kobiety z kieliszkami w rękach, opierając się o balustradę. Podążyła wzrokiem za ich spojrzeniami i zobaczyła drogę, na której trwała jakaś manifestacja. Wzmocnione megafonami okrzyki docierały aż tu, na szczyt wzgórza.

Asher doskoczył do niej. Dyszał ciężko, a w ręce trzymał nieduży kamień. Miał minę człowieka zdecydowanego na wszystko, ale teraz wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Gdzie my, do cholery...

- Cicho. Słuchaj.

Dwóch ludzi na tarasie pochyliło się nad barierką, najwyraźniej po to, by lepiej przyjrzeć się demonstrantom.

- Czy oni w ogóle wiedzą, czego chcą? - zapytał jeden. - Mają choć po pół mózgu? - Był zirytowany i mówił z wyraźnym chicagowskim akcentem. Zdjął marynarkę i przewiesił ją sobie przez ramię. Pił martini.

- Dają sobą manipulować - odparł drugi. - Niestety. Dla nich jesteśmy niszczycielami krajów. - Miał francuski akcent, koszulę do golfa i nieskazitelnie zaprasowane płócienne spodnie. W ręce trzymał szklaneczkę do whisky.

- Serio? - prychnął pierwszy. - Co za Durnie! Pięćdziesiąt lat temu na całym świecie było siedemdziesiąt państw, dziś jest ponad dwieście. Mnie to nie wygląda na niszczenie krajów.

- Wiesz, co się mówi o przywódcach. Jeśli wysuniesz się na czoło stada, masz lepszy widok. Kłopot w tym, że odsłaniasz plecy.

Obaj się roześmiali.

- Miło cię znów widzieć, Walterze. Czy naprawdę nie moglibyśmy się spotykać częściej, przy innych okazjach niż Nautilus?

Odsunęli się od barierki i odeszli w głąb tarasu.

- Nautilus! - Asher spojrzał na Sarah. - Słyszałaś o Nautilusie?

- Nie. A powinnam?

- Nieźle, nieźle... To poważna sprawa. Bardzo poważna. Skąd myśmy się tu wzięli? Ktoś z Nautilusa ma kartotekę!

- Co to jest ten Nautilus, na litość boską?!

Ale Asher mówił dalej szybko:

- To ma sens. Skoro nas tu przywieziono, człowiek, który ma kartotekę, musi być niezłą szychą. Nautilus zawsze spotyka się w ośrodkach, które są własnością któregoś z członków albo sprzyjającego im rządu. Dzięki temu mają stuprocentowy wpływ na bezpieczeństwo. - Rozejrzył się po posiadłości, zapamiętując szczegóły. - Sądząc po liberiach hotelowych, jesteśmy w Dreftbury. To modny ośrodek, ale nie rządowy. W takim razie należy do kogoś z Nautilusa albo do podporządkowanej mu firmy.

- No dobrze, więcej nie zapytam. Później mi opowiesz o Nautilusie. Ale skoro nas tu przywieziono, a w grę wchodzi kartoteka Drapieznika, to chyba szykuje się jakaś większa afera.

- Nie tutaj, pamiętasz? W Alloway. Malko mówił o Alloway. Alloway leży w głębi lądu, blisko Ayr. Musimy się tam dostać.

- Pewnie masz rację, ale jak chcesz to zrobić? Ochroniarzy jest tu aż do przesady, nie ukradniemy samochodu. Poza tym nie mamy dokumentów i bardziej przypominamy terrorystów niż ludzi godnych zaufania. Nikt nam nie uwierzy.

Koszula, żakiet i spodnie Sarah były całe w błocie, a Asher był nieogolony; broda odrastała mu tak błyskawicznie, że podbródek miał już czarny. Sarah się otrzepała, a on spojrzał na swoje brudne spodnie od dresu.

- Gdybyśmy mieli komórkę, zadzwoniłbyś do Langley. Pójdę tam i ukradnę komuś. A ty się schowaj. Z takim wyglądem od razu pójdziesz siedzieć.

- Chyba tak - przyznał smętnie Asher. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Uważaj na siebie. Nie chciałbym cię drugi raz stracić.

*

Ogromny, elegancki hol emanował dyskretnym luksusem. Kiedy Simon skręcił w północny korytarz, Liz poczuła się nieswojo. Przybrała obojętny, beznamiętny wyraz twarzy, zdjęła okulary, włożyła te należące do Sarah i wyprostowała się, stając pod ścianą. Miała nadzieję, że szantażysta nie zamknął się jeszcze w jakimś saloniku sam na sam z Santarosą - i że nie znajdą jej ani zabójcy nasłani przez niego, ani ci pracujący dla Spirali.

Kiedy jednak wzrok gości padał na jej identyfikator, przestawali ją zauważać. Bardzo dobrze. Przynajmniej dla nich była praktycznie niewidzialna.

Kryształowe weneckie żyrandole odbijały się w wypolerowanym do połysku francuskim parkiecie. Obsługa recepcji nosiła wykrochmalone mundurki w narodowych szkockich barwach, niebiesko-białych, najstarszych w Europie. Goście z granatowymi identyfikatorami siedzieli na sofach przy suto zastawionych stolikach, na których drinki w ręcznie szlifowanych kieliszkach i szklankach chwytały promienie słońca, wpadające do środka przez oszklone drzwi. Trunki na przemian rozbłyskiwały światłem i gasły, kiedy pędzące chmury odsłaniały i zasłaniały słońce. Z przeciwległych końców holu dwa korytarze prowadziły do bocznych skrzydeł - północnego i południowego. Dalej, jak pamiętała, znajdowały się windy, sale konferencyjne, pokoje dla gości, sale bankietowe, basen, siłownia i inne cuda rekreacji.

Zorientowawszy się w sytuacji, zaczęła przyglądać się gościom. Większość od razu rozpoznawała; byli wśród nich biznesmeni, mężowie stanu, prezydenci, generałowie... Tak jak przewidział Simon. Nigdzie jednak nie widziała Carla Santarosy. Podekscytowana zauważyła Richmonda Hornisha, słynnego finansistę, i Gregory'ego Gilmartina, giganta branży budowlanej; stali przy oknie i cicho rozmawiali. Odczekała minutę, a gdy żaden z nich się nie ruszył, przeszła do Balmoral Café przyjrzeć się ludziom, którzy wpadli na kawę i przekąski.

- Proszę sobie wyobrazić, że to jest taki bezpieczny port - tłumaczył nowemu prezydentowi Szwecji Leslie Cheward, Kanadyjczyk, właściciel największych stocznii na świecie. - Nautilus daje nam rzadką możliwość wymiany poglądów i informacji bez cenzury. Jeżeli komuś te spotkania wydają się elitarne, trudno. Lepsze to chyba niż stanąć naprzeciw siebie z karabinami w rękach i żądzą mordy w sercu, nie uważa pan?

Tu również nie znalazła Santarosy. Podeszła pospiesznie do tablicy z odręcznie wypisanym planem weekendu. Bankiet powitalny zapowiedziano na ósmą wieczór, po nim przewidziane było wystąpienie Boba Lorda, króla rynku oprogramowania komputerowego, który miał mówić o korzyściach z inwestowania w elektronikę. W sobotę i niedzielę seminaria zaczynały się wpół do ósmej rano i trwały do wpół do jedenastej wieczorem, z godzinnymi przerwami na śniadanie, obiad i kolację. Tematy brzmiały poważnie: rola Turcji na Bliskim Wschodzie, kryzys gospodarczy w Azji, skutki ekspansji NATO, terroryzm sponsorowany przez państwo kontra terroryzm niezależny. Cokolwiek by zarzucać członkom Nautilusa, przyjechali do Dreftbury pracować.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy weszła do baru Culzean. Mijali ją zaaferowani pracownicy hotelu, opatrzeni pomarańczowymi identyfikatorami. Siedzący nad drinkami goście narzekali na demonstrację przed ośrodkiem. Santarosy wśród nich nie było. Nie znalazła go również na tarasie ani w sklepie z pamiątkami, gdzie szkockie kilty wisiały w witrynie i na wieszakach.

Już miała wyjść, żałując, że przegapili najważniejszy moment. Otworzyła nawet drzwi, ale znieruchomiała w progu. Strach ją sparaliżował. Malko przemykał pod ścianami holu, dyskretnie, niemal niezauważalnie, ale zdecydowanym, szybkim krokiem. Szary garnitur, trzydzieści kilka lat, zielony identyfikator pracownika ochrony.

Mógł ją zaprowadzić prosto do szantażysty. Sięgnęła do torebki i namacała glocka. Kiedy Malko skręcił w południowy korytarz, poszła za nim.

*

Na ścianie nad biurkiem w recepcji wisiały dwa owalne lustra w ozdobnych, złożonych ramach. Oba były jednostronnie przezroczyste. César Duchesne siedział w pokoju po drugiej stronie, przyjmował raporty swoich ludzi, śledził miniaturowe nadajniki i obserwował hotelowy hol. Liz Sansborough miała świetne przebranie; z zaczesanymi do tyłu siwymi włosami wyglądała jak strażniczka z więzienia o zaostrzonym rygorze. Podziwiał ją za godną kameleona zdolność kamuflażu - szukał jej dobre pięć minut, zanim udało mu się ją rozpoznać. Odbezpieczył walthera, schował go do kabury pod pachą i z ponurym uśmiechem wymknął się z pokoju.

50.

Simon rozejrzał się po korytarzu i wszedł do maleńkiego pomieszczenia, w którym agent MI-5 ze słuchawkami na uszach siedział zgarbiony nad komputerem. MI-5 podniósł głowę, odruchowo kładąc rękę na rękojeści broni, ale Simon już podsuwał mu pod nos legitymację. Szybki rzut oka - i agent wrócił do swoich zajęć.

Wychodzący z komputera kabel był wpięty w wielokolorową wiązkę przewodów, przechodzącą przez metalową skrzynkę na ścianie. Na dużym zielonym ekranie wyświetlała się siatka złożona z dwustu białych kwadratów. Każdy z nich był opisany numerem pokoju i nazwiskiem mieszkającego w nim gościa. Agent przysłuchiwał się wybranym rozmowom telefonicznym, a program komputerowy, BlackWash, automatycznie wyszukiwał w nich słowa kluczowe, takie jak broń, pistolet, zabić - w ponad stu językach. Gdyby BlackWash coś wychwycił, maleńka drukarka natychmiast wypłubiłaby najważniejsze informacje: numery telefoniczne, miejsca pobytu rozmówców, zapis rozmowy. Komputer rejestrował te dane - razem z rozmową - na dysku.

Trzy kwadraty świeciły się na czerwono. MI-5 dotknął jednego z nich, posłuchał przez chwilę i kwadracik zmienił kolor na żółty. Dotknął drugiego, potem trzeciego. Za każdym razem efekt był ten sam. Agent szukał w sieci telefonicznej rozmów prowadzonych podejrzenie groźnym tonem oraz takich, które - pozornie pozbawione sensu - mogły służyć do przekazywania zaszyfrowanych informacji.

MI-5 podniósł wzrok.

- Czekałem na ciebie.

- Mała przerwa?

Ludzie z MI-5 mogli nie lubić tych z MI-6, ale nie w takiej sytuacji.

- Poradzisz sobie ze sprzętem?

- Spokojnie.

MI-5, nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoiku. Simon zajął jego miejsce i wydrukował plan hotelu. Po drodze do centrali monitoringu zatrzymał się w recepcji i upewnił, że członkowie Spirali są już w komplecie w Dreftbury, chociaż z powodu zamieszania na drodze wszyscy trochę się spóźnili. Santarosa przyjechał zaledwie przed półgodziną.

Założył słuchawki i dotknął następnego czerwonego kwadracika.

- ...stolik numer siedem, dziś wieczorem - mówił jakiś mężczyzna po niemiecku. - Kroner też będzie. Zamówimy drinka...

Rozłączył się i znalazł na ekranie pokoje komisarza Santarosy i członków Spirali: Brookshire'a, Hornisha, Inglethorpe'a, Menchena i Gilmartina. Żaden się nie świecił. Zawiedziony zadzwonił do komisarza.

- Santarosa, słucham - usłyszał poirytowany głos.

- Przepraszam, staruszk - powiedział Simon niewinnie. - Musiałem się pomylić.

Komisarz rzucił słuchawkę. Był zły, czymś zdenerwowany. Może zbliżającym się spotkaniem z szantażystą? Albo - ponieważ szantażysta nie ujawni pewnie swojej tożsamości, dopóki nie spotkają się w cztery oczy - z człowiekiem, którego nie chciał widzieć, bo zamierzał mu odmówić?

Simon zadzwonił do Brookshire'a. Tym razem przerwał połączenie, gdy tylko ktoś podniósł słuchawkę. Następnie wybrał numer Hornisha.

*

Sarah szła południowym korytarzem. Była zdenerwowana i spięta. Wymijała ludzi, którzy wychodzili z biur, sal konferencyjnych i odległego holu. Rozpoznała troje z nich: szefa sztabu NATO, nową prezes Bundesbanku i niewiarygodnie bogatego premiera Włoch, który był akurat przewodniczącym Unii. Szli pogrążeni w rozmowach ze swoimi asystentami. Odprowadziła ich wzrokiem. Czym jest ten cały Nautilus?

Nie, to będzie musiało poczekać. Znalazła łazienkę, doprowadziła się do porządku i przetrzała wilgotnym ręcznikiem ubranie. A potem ruszyła dalej w obchód. Podśluchiwała pod drzwiami, uchylała je, kiedy ze środka nie dobiegał żaden odgłos, w poszukiwaniu telefonu oglądała biurka, stoły i krzesła. Była coraz bardziej zniechęcona, ale przecież ktoś na pewno gdzieś zostawił jakąś zapomnianą komórkę.

W szatni dla personelu zajrzała do wszystkich szafek. Nie znalazła telefonu. Jedna szafka była zamknięta. A co tam... Nożem wyłamała zamek. Znalazła książki, cukierki, przybory toaletowe, prezerwatywy i papierosy, ale telefonu nie było. Na wieszaku wisiały męska koszula i sportowa marynarka. Przeszukała kieszenie. Puste. Za to kiedy poruszyła marynarkę, zauważyła wiszący na tym samym haczyku pas. Wytrzeszczyła oczy. Do pasa była przypięta kabura, a w niej... ogromny colt!, czterdziestkapiątka. Nie do wiary! Co za niespodzianka!

Nie był naładowany.

Obejrzała go: ktoś go niedawno oczyścił i naoliwił. Rozgrzebała rzeczy leżące na dole szafki, znalazła pudełko z amunicją, załadowała armatę i cofnęła się do jednej z szafek, które już przeszukała. Wyjęła z niej lnianą torbę pełną włóczki, szydełek i drutów, wytrząsnęła połowę zawartości i wcisnęła tam colta.

Nareszcie jakiś miły akcent. Ale nadal potrzebowała telefonu.

Przystawiła ucho do drzwi. Gdzieś niedaleko trzasnęły inne drzwi. Wyjrzała na korytarz i serce żywiej zabiło jej w piersi: to był strażnik z kałasznikowem, ten sam, który przynosił im jedzenie. I cały czas miał przy pasie komórkę! Wyjęła pistolet, poczekała, aż minie jej kryjówkę, i wymknęła się za nim. Szedł na tyły gmachu. Korytarz biegł przez pewien czas równoległe do bocznego skrzydła, a potem skręcał do głównego holu.

Już tam była. Znała drogę. Kiedy skręcił za róg, bezszelestnie pobiegła za nim.

*

Tymczasem Liz skręciła w południowy korytarz, z którego, jak się okazało, wchodziło się do dziesiątków biur i sal konferencyjnych. Tłum trochę ją zniechęcił. Malko wtopił się weń idealnie. Minał rząd drewnianych budek telefonicznych i skręcił w boczny korytarz. Serce na moment przestało jej bić. Nie mogła go teraz stracić z oczu! Wyjęła glocka i pobiegła za nim. Na rogu zatrzymała się, podniosła broń i rozejrzała się.

Zniknął. Gdzie mógł pójść? Gdzieś z przodu usłyszała odgłos kroków, trzasnęły drzwi. Podbiegła do następnego rogu, z bijącym sercem podniosła pistolet i trzymając go w obu rękach wyskoczyła na korytarz.

Zamarła. Poczula obezwładniający strach. Patrzyła prosto w lufę olbrzymiego colta .45.

A potem zorientowała się, kto go trzyma.

- Sarah! - wyszeptała.

Rozpętała się w niej prawdziwa burza emocji - czuła ulgę, podniecenie, zdumienie, niedowierzanie.

Są takie chwile, kiedy czas powinien stanąć w miejscu; kiedy - gdyby świat był choć w przybliżeniu uczciwy - powinno się móc przedłużać w nieskończoność niesamowite uczucie cudowności połączone z ogromną wdzięcznością. Sarah żyła i jakimś cudem znajdowała się w Dreftbury. Liz nie mogła oderwać od niej oczu.

- Boże, Sarah! Mogłam cię zastrzelić!

- Liz? To ty?

Siwe włosy, poorana zmarszczkami twarz... Ale głos ten sam. Oczy i kształt twarzy też. Wspomnienia z ostatnich trzech dni wróciły ze zdwojoną siłą: doprowadzająca do szału frustracja; bezgraniczny strach; widok Liz w magazynie; ból na jej twarzy; lęk, że zostanie zgładzona przez tych samych ludzi, którzy manipulowali nią i Asherem.

Sarah uśmiechnęła się szeroko.

- Masz moje okulary komputerowe! - stwierdziła ni stąd, ni zowąd.

Rozradowane spojrzały sobie w oczy. Tych kilka sekund wystarczyło, żeby potwierdzić łączące je zaufanie, miłość i głęboką, prawdziwą przyjaźń, której nie sposób wyrazić słowami.

A potem przypomniały sobie, gdzie się znajdują i co robią. Rozejrzały się po korytarzu.

- Schowajmy się gdzieś, żeby porozmawiać - zaproponowała podekscytowana Sarah.

Liz nasłuchiwała właśnie odgłosów dobiegających zza następnych drzwi. Kiwnęła głową i uchyliła je lekko. Ledwie zajrzała do środka, podniosła gotowego do strzału glocka.

Sarah wyjrzała nad jej ramieniem i rozpoznała znudzonego strażnika z gęstymi brwiami i niesymetryczną twarzą. Znalazł sobie pustą salkę konferencyjną i zamierzał chwilę odpocząć. Na stole obok kałasznikowa leżał egzemplarz „Hustlera”. Strażnik właśnie przysuwał sobie krzesło.

Podniósł wzrok.

- Co ty tu...

Rozpoznał Sarah. Natychmiast chwycił broń; odgłos wystrzału na pewno sprowadziłby do pokoju ochronę. Liz odrzuciła torebkę, podbiegła do niego i oburącz wyprowadziła błyskawiczny cios *morote-zuki* w pierś. Strażnik zatoczył się do tyłu, ale nie puścił kałasznikowa. Zdążył zawiesić go sobie na szyi.

Zdesperowana Sarah wskoczyła na biurko. Kiedy odwrócił się w jej stronę, wykonała kopnięcie *mae-geri*, prosto w jego podbródek. Głowa mu odskoczyła i poleciał bezwładnie do tyłu, na mały stolik. Liz podbiegła do niego, zanim upadł, i spokojnie ułożyła go na dywanie. Był nieprzytomny.

- Niewiele brakowało - mruknęła Sarah.

- Fakt. - Liz podniosła kałasznikowa. - Znasz go?

Sarah zeskoczyła z biurka.

- To przez niego celowałam do ciebie z colta.

Opowiedziała Liz o celi w podziemiach hotelu i strażniku, który przynosił im jedzenie.

- To Asher też tu jest?! Chwała Bogu!

Sarah wyjęła telefon komórkowy z pokrowca przy pasie strażnika.

- Czeka na mnie na dworze, w krzakach. Potrzebny nam był telefon. Asher zadzwonił do Langley po pomoc.

Obróciła telefon w dłoni - i zaklęła cicho. Klawiatura była zmiażdżona. Dwa oddzielne kawałki zostały jej w dłoni.

- Musiał go rozbić, kiedy upadł.

- Cholera jasna! A ty masz telefon? Mogłabyś mi pożyczyć?

- Dobrze, ale zajmijmy się tym gościem, zanim się ocknie. Potem dam ci komórkę.

- W porządku. I powiesz mi, co tu się właściwie dzieje. Wiem tylko tyle, że ma to jakiś związek z kartoteką, którą prowadził twój ojciec.

Liz pospiesznie opowiedziała jej o Santa Barbara, Simonie Childsie, Nautilusie, Spirali i szantażu. Przez ten czas wyciągnęły sznurki ze ściągaczy w zasłonach na oknie i związały nimi strażnika. Zakneblowały go apaszką. Potem Sarah zrelacjonowała wydarzenia ostatnich dni.

- Ze względu na związki CIA z Nautilusem Langley na pewno kogoś tu ma - stwierdziła Liz. - Dobrze się składa, bo ten ktoś posłucha Ashera, a nam przyda się pomoc. Mówiłaś, że Malko was tu przywiózł. Właśnie go szukałam, kiedy na siebie wpadłyśmy. Miałam nadzieję, że zaprowadzi mnie do szantażysty.

- Teraz rozumiem, dlaczego chciał nas mieć żywych. Mogliśmy mu być potrzebni jako broń przeciwko tobie i Simonowi. Podслуchałam kawałek jego rozmowy z szefem. Może ty coś z niej zrozumiesz.

I zacytowała podsłuchany fragment.

- Alloway? - zdziwiła się Liz. - Jesteś pewna, że tak powiedział?

- Tak. Przygotowywał się do czegoś ważnego, co miało nastąpić w Alloway. Jeśli masz rację co do Santarosy, może właśnie tam szantażysta ma się z nim spotkać.

- Ale to bez sensu: daleko, niewygodnie... Po co zadawać sobie tyle trudu, skoro wszyscy są tutaj, na miejscu? - Liz zamknęła oczy. Gdzieś już widziała tę nazwę...

przypomniała sobie wywieszony w holu plan seminariów. Sale konferencyjne w hotelu nosiły nazwy szkockich miasteczek, wsi, pubów... - Sala Alloway! No jasne!

Wyjęła telefon i wybrała numer Simona.

*

- Gdzieś ty się podziewała, Liz?! Dzwonię do ciebie od...

- Wyłączyłam komórkę, bo próbowałam śledzić Malka.

- On tu jest? No to mamy nową perspektywę. Udało ci się?

- Zgubiłam go, ale mam lepszą nowinę. Sarah i Asher nie tylko żyją, ale są tutaj, w Dreftbury. Sarah stoi w tej chwili obok mnie. Asher chce zadzwonić do Langley, więc przy odrobinie szczęścia będziemy mieli wsparcie. Sarah podsłuchiwała rozmowę Malka z szefem. Wygląda na to, że Malko szykuje jakieś spotkanie w Alloway, ale nie sądzę, żeby naprawdę chodziło mu o miasto. Nie wiem, co ci się udało ustalić, ale ja obstawiam, że szantażysta chce się spotkać z Santarosą w sali Alloway.

- Imponujesz mi. Podziękuj Sarah. Santarosa na razie jest u siebie, a przynajmniej był dziesięć minut temu. Przyjechał do hotelu przed niecałą godziną, więc wątpię, żeby już zdążył się z kimś spotkać.

- Gdzie są członkowie Spirali?

- Tylko Brookshire jest w swoim pokoju. Zaczekaj... mam tu plan hotelu i rozpiszę seminariów. Sala obok Alloway nazywa się Tam O'Shanter. Dziś wieczorem obie powinny być puste. Założę stanowisko podsłuchowe w Tam O'Shanter, żebyśmy mieli pewność, że przyskrzynimy szantażystę, a nie jakiegoś biedaka, któremu się pokoje pomyliły.

- Pokieruj mnie tam. Musimy się spieszyć.

*

Wrzuciły nieprzytomnego strażnika do schowka na pościel, który Sarah znalazła, szukając telefonu. Liz pobiegła na spotkanie z Simonem, a Sarah wzięła jej telefon i ruszyła w przeciwnym kierunku, do bocznego wyjścia z hotelu. Ledwie jednak skręciła za róg, z jednego z pokoi wyszedł Malko. Z bijącym sercem skoczyła w pierwsze z brzegu otwarte drzwi.

Kiedy wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, Malko skręcał w ślepy korytarz. Czyżby się jednak pomyliły i szantażysta był tutaj, nie w drugim skrzydle, w sali Alloway?

Odczekała, aż zniknie jej z oczu, i pobiegła za nim. To skrzydło kończyło się rozwidleniem w kształcie litery T, z którego wchodziło się na oszklony basen i do siłowni. Zatrzymała się na rozwidleniu. Malko zniknął. W powietrzu unosiły się aromaty drogich olejków do masażu i opalania. Podeszła do szyby. Basen był pełnowymiarowy, olimpijski, na

jego drugim końcu znajdowały się nawet trampoliny. Nikogo tam nie było. Delikatne zmarszczki mąciły błękitną powierzchnię wody.

Colt ciążył jej w rękach. Podniosła go na wysokość oczu. Pamiętała, żeby iść na ugiętych nogach, lekko, swobodnie. Ruszyła wzdłuż szklanej ściany, zerkając na wodę, która wygładziła się i upodobniła do lustrzanej tafli. Coś musiało spowodować tamte zmarszczki, na przykład podmuch powietrza z gwałtownie otwieranych albo zamykanych drzwi.

Niepokoila się coraz bardziej. Od lat nie strzelała, odkąd Bremner...

Odepchnęła tę myśl i otworzyła drzwi. Owionęło ją śmierdzące chlorem powietrze. Weszła na basen i zamknęła drzwi za sobą. Woda znów zafalowała, choć tym razem słabiej. Po prawej stronie, w głębi, widziała parującą wannę. Po lewej, za trampolinami i następną szklaną ścianą, była siłownia: rowery stacjonarne, bieżnie i steppery stały w równych rzędach niczym ogromne żołnierzyki-zabawki. Tam też nikogo nie było widać. W nieprzeszkłonej części ściany znajdowało się troje drzwi: jedne prowadziły do siłowni, drugie do sauny, na trzecich wisiała tabliczka Biuro.

Jeżeli Malko wszedł na basen, musiał tu gdzieś być. Biuro wydawało się najbardziej prawdopodobne. Sarah modliła się, żeby był tam razem z szefem; mogłaby go rozpoznać albo przynajmniej usłyszeć coś, co pozwoli go zidentyfikować. Na palcach podeszła bliżej. Zajrzała przez szybę do siłowni. Pusto. Podeszła do drzwi sauny i zerknęła do środka przez owalną szybę. Żadnej pary, powietrze przejrzyste, drewniane ławki puste.

Zostało biuro. Chwyciła gałkę i spróbowała ją przekręcić. Drzwi były zamknięte na zamek. Gdzie się...

- Jak to miło, że znów się spotykamy - usłyszała za plecami głos Malka.

Zamarła. Drzwi sauny zamknęły się cicho. Przeklinając się w duchu, zdała sobie sprawę, że musiał zacząć się przy samych drzwiach, tuż pod owalną szybą. Nie otwierając ich, nie miała szans go zobaczyć.

Pomyślała o tym, gdy usłyszała jego głos. Zareagowała natychmiast.

- Rzuć bro... - zaczął.

Okręciła się na pięcie, zrobiła krok w przód, po czym wyrzuciła stopę w górę, próbując trafić go *mae-geri* w szczękę. Zrobił unik, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i wymierzył jej obrotowe kopnięcie w bark. Padając na posadzkę, wiedziała już, że trafiła na lepszego od siebie.

Doskoczył do niej i podniósł colta. Poderwała się z podłogi, ale zbyt wolno. Kopnął ją znowu, tym razem w podbródek. Błyskawica rozświetliła basen, w powietrzu rozległ się ogłuszający huk grzmotu.

Coś trzasnęło jej w karku i czarna fala bólu rozeszła się po całym ciele. Zatoczyła się w bok i runęła w zimną, miękką wodę. Otuliła ją dławiąca ciemność. Następny błysk i grzmot rozdarły niebo.

*

Asher nadal stał pod gęstym krzewem, kiedy letnia ulewa rozszalała się na dobre. Przemoczony zerknął na zegarek. Zaczynał się martwić o Sarah. Co ją zatrzymało?

Trzy razy musiał chować się głębiej w gąszczu, kiedy ochroniarze przechodzili niebezpiecznie blisko jego kryjówki. Odkąd pioruny zaczęły przeszywać skłębione, czarne chmury, hałas, jaki robili demonstranci, stawał się coraz bardziej nieprzyjemny. Asher wyjrzał spod swojego liściastego słonia na drogę. Olbrzymi różowy balon miotany porywistym wiatrem bardziej niż świnię przypominał wystraszone prosiątko. Demonstranci okryli się wprawdzie foliowymi płachtami, ale i tak przemokli do suchej nitki. Ich twarze wyrażały coraz większą złość.

Sądząc ze strzępków rozmów, jakie udało mu się usłyszeć, mieli za sobą naprawdę fatalny dzień. Przybyli całymi tysiącami, ale nikomu nie udało się przedrzeć przez policyjny kordon; nie zatrzymali też ani jednego uczestnika spotkania. Mimo triumfalnego początku protest kończył się klęską. Deszcz przestał w końcu padać, ale frustracja i gniew protestujących były niemal namacalne.

I wtedy doszło do prowokacji. Pojawili się kontrademonstranci.

Wzdłuż szeregu przemoczonych, wściekłych aktywistów wolno, bezczelnie przejechał samochód. Kierowca i pasażerowie wykonywali obsceniczne gesty. Drugi wóz w tym samym tempie podążał za nim. Jadący nim ludzie też gestykulowali i wykrzykiwali własne hasła - tak głośno, że słycać je było aż w hotelu.

- Do domu, dupki!

- Frajerzy! Frajerzy! Frajerzy!

Za nimi jechał trzeci samochód.

Tego było demonstrantom za wiele. Dreszcz oburzenia przeszedł przez tłum i ludzie z rykiem runęli naprzód. Dopadli do samochodów, przewrócili je na bok jak zabawki i wzburzoną falą spadli na policjantów i ochroniarzy.

Funkcjonariusze, przekonani, że niebezpieczeństwo minęło, dali się zaskoczyć. Zdążyli tylko sięgnąć po pałki, gdy kordon pękł i rozpadł się na odizolowane grupki, a triumfujący demonstranci przelali się przez bramę i mur niczym ruszająca do szturmowania armia, oblegająca zamek wroga.

Strażnicy, ochroniarze i policjanci masowo porzucali swoje posterunki i zbiegali w dół zbocza. Protestujący mieli olbrzymią przewagę liczebną i bez trudu spychali pod górę pierwszy szereg przegrupowanych stróżów porządku.

Asher schował się głębiej, czekając, aż ochroniarze go miną. Kiedy wyszedł spod krzewu, w pobliżu nie było nikogo. Na myśl o Sarah poczuł kolejne ukłucie strachu, ale w tej samej chwili jego wzrok padł na stojące na parkingu szeregi limuzyn i samochodów dostawczych. Rachunek prawdopodobieństwa sugerował, że gdzieś tam musi się znajdować przynajmniej jeden telefon komórkowy - a najprawdopodobniej więcej. Przyspieszył kroku, ale wtedy jego rana się odezwała. Złapał się za obolały bok. Postanowił dać sobie kilka minut na rekonesans po parkingu. Jeśli do tego czasu Sarah nie wróci, pójdzie jej poszukać.

51.

Znalazłszy się w holu, Liz ze zdumieniem patrzyła, jak goście biorą do rąk drinki i podchodzą do przeszklonych drzwi, skąd było widać drogę. Rozlegające się w holu głosy w najróżniejszych językach zdradzały podenerwowanie. Zewsząd wyroili się ochroniarze, w mundurach i ubrani po cywilnemu; podchodząc do drzwi, zgodnie sięgali po broń. Taka ludzka fala, sunąca w jednym kierunku, sugerowała, że dzieje się coś ważnego, ale w tym ścisku Liz nie miała nawet co marzyć o tym, żeby przepchnąć się do okna i wyrzeć na zewnątrz.

Skręciła i przejściem między barem a sklepem z pamiątkami wybiegła na taras. Ostatnie krople deszczu z głośnym plaskiem wpadały w kałuże, mocząc jej nogawki spodni. Przepchnęła się między dwoma kobietami - jedna z przerażoną miną przyciskała dłoń do ust, druga spokojnie popijała whisky - i stanęła przy balustradzie.

- To wariaci - stwierdziła pierwsza z kobiet po włosku. - Pomyleńcy!

- Jest ich tylu, że nawet jeśli nie wiedzą, co robią, trzeba na nich uważać - odparł również po włosku stojący obok niej mężczyzna.

- No właśnie, ilu? Jak pan myśli?

- Co najmniej pięć tysięcy - wtrąciła po włosku zaniepokojona Liz. - Może nawet więcej. - Kiedy tamci dwoje odwrócili się w jej stronę, pokazała na swój identyfikator i wycofała się, zanim zaczęli zadawać pytania. - Muszę już iść.

Fala demonstrantów przewaliła się przez mur i zaczęła wdzierać na wzgórze. Nieliczni ochroniarze z psami i bronią palną bezskutecznie próbowali ich zatrzymać. Liz poczuła, że jeża jej się włoski na karku. Potrzeba by cudu, pomyślała, żeby jedni i drudzy dobrze na tym wyszli.

Co to oznacza dla szantażysty? Mógłby przecież odwołać spotkanie z Santarosą i pozostać w cieniu. Nadal byłby anonimowy. Nadal groźny. Ale nie, nie będzie miał wyboru. Musi załatwić tę sprawę do końca. Transakcja jest dla niego tak ważna, że zaryzykował dla niej swoją pozycję w Spirali. Zaczął nawet zabijać. Liz nie wiedziała, jakich korzyści spodziewał się po spotkaniu z komisarzem, ale na pewno nie dopuści, żeby przeszkodziła mu ta demonstracja.

Wróciła do hotelu, przebiegła przez hol, w którym nawet recepcjoniści wyszli z za kontuaru i wyciągali szyje, żeby coś zobaczyć za oknem, i skręciła do północnego skrzydła. Biura były pootwierane i puste, jakby przez hotel przetoczyła się wichura - albo wieść o ataku demonstrantów.

Jednak im dalej zapuszczała się w głąb skrzydła, tym mniej widziała oznak paniki. Drzwi były pozamykane, siedzący za nimi ludzie odbierali telefony, jakiś mężczyzna dzwoniący z automatu wdzięczył się do swojej dziewczyny. Z windy wysiadł ktoś z personelu hotelowego, z pomarańczowym identyfikatorem na piersi.

Salę Alloway i Tam O'Shanter znajdowały się w płataninie korytarzy na samym końcu budynku. Wpadła w ten labirynt, odczytując w biegu nazwy i numery pokojów. Przypomniała sobie wskazówki Simona. Na ścianach wisiały zdjęcia szkockich krajobrazów, na wąskich stolikach stały wazony z wrzosem. Skręciła dwa razy i stanęła przed salą Tam O'Shanter. Drżącą ręką sięgnęła do klamki.

Z przeciwnej strony w korytarzu pojawił się komisarz Carlo Santarosa. Szedł prosto do sali Alloway. Jego śniada twarz wyrażała wielką irytację.

Nie zwrócił uwagi na Liz. Zapukał raz, otworzył drzwi i oznajmił:

- Mogę panu poświęcić najwyżej dziesięć minut. Przed hotelem wybuchły zamieszki. Poza tym muszę wracać do swoich zajęć. Jakie to niepodważalne dowody chciał mi pan przedstawić?

Drzwi się za nim zamknęły. Liz uśmiechnęła się lekko. Zaraz dowie się od Simona, kim jest szantażysta.

Otworzyła drzwi do Tam O'Shanter, wpadła do środka... I zamarła. Serce stanęło jej w piersi, strach ściał lodem krew w żyłach.

- Simon!

Leżał na podłodze, mrugając powiekami. Z trudem odzyskiwał przytomność. Na policzku miał olbrzymi fioletowy siniak. Wściekła Liz podniosła wzrok i spojrzała w głąb pokoju.

Malko celował jej z uzi prosto w serce.

- Moje gratulacje, Sansborough. Znalazłaś mnie.

Komisarzowi Unii Europejskiej do spraw Konkurencji Carlowi Santarosie zrobiło się słabo. Osunął się na fotel przed komputerem.

- Więc jak, komisarzu? Dość już pan zobaczył?

- Skąd ma pan te informacje? - wykrztusił Santarosa głosem drżącym ze strachu.

- Kiedyś zatrudnił pan niejakiego Drapieżnika. Otóż Drapieżnik prowadził archiwum biznesowe, które udało mi się zdobyć. Muszę przyznać, że kartoteka jest bardzo szczegółowa: są w niej wszystkie daty, nazwiska zainteresowanych, sumy, formy płatności. Zdziwiłby się pan, jakich miał klientów. Ludzie, którzy go wynajmowali, często kierowali się słusznymi pobudkami. Ale zawsze to morderstwo na zlecenie, prawda? Taka wiadomość z pewnością zaszkodziłaby pańskiej karierze i reputacji. Każdemu by zaszkodziła.

Santarosa drżącą ręką przetarł czoło. Całą twarz miał mokrą od potu.

- To, że ja się zgodzę na fuzję, nie znaczy jeszcze, że komisja ją zaaprobuje.

- Oczywiście, że zaaprobuje. Wszystko zależy od pana. Trzyma pan w rękach nie tylko moją, ale także swoją przyszłość.

Santarosa skulił się, jakby nagle rozbolał go brzuch.

- Nie pozostawia mi pan wyboru. Nie mogę zhańbić żony, rodziny, nazwiska...

*

W sąsiedniej sali Gino Malko wstał z krzesła. Postawił torbę Simona na stole. Za jego plecami przeszklone drzwi wychodziły na wyłożoną kamieniami dróżkę, a na horyzoncie zielonobrunatną linią rysowało się wzburzone morze. Czarne chmury przewalały się po niebie. Słychać było głośny szmer, jakby wielokrotniony odległy krzyk.

- Twój kuzyn najwyraźniej ma amnezję. Twierdził, że jesteś w Paryżu. A teraz oddaj mi glocka. Stęskniłem się za nim.

- Ty draniu... - Liz ani drgnęła. - Jak nas znalazłeś?

- Najpierw glock - powtórzył Malko z kamienną twarzą. - Znalezienie was było dziecinnie proste. Mam dostęp do obrazów ze wszystkich kamer w hotelu, ponieważ mój pracodawca jest jego właścicielem. Zdziwiona? Nie widzieliście kamer? To prawdziwy cud techniki. Są wielkości łebka od szpilki, a umieszczono je w spojonych ścian i sufitu. Chociaż

muszę przyznać, że macie całkiem niezłe przebrania. Ale jak was raz rozpoznałem, nie dam się nabrać ponownie.

Liz zakłęła w duchu. Desperacko próbowała wymyślić jakiś podstęp, sztuczkę, zaskakujące posunięcie, coś, co zmieniloby sytuację. Jakaś część jej umysłu analizowała jednocześnie słowa Malka. Powiedział coś takiego...

- Rzuć mi pistolet - rozkazał Malko - bo go zabiję. Wiesz już chyba, że nie żartuję. Glocki same z siebie nie strzelają. Lepiej żebyś go nie miała.

Rzuciła broń na podłogę, między Malkiem a Simonem. Miała nadzieję, że Simon już na tyle się otrząsnął, żeby przeturlać się po ziemi i go przechwycić, ale Malko odkopnął go dalej. Mierząc z uzi to w Liz, to w Simona, ukucnął, podniósł pistolet i wyprostował się. Znał się na swoim fachu; wiedział, że nie wolno mu za blisko podejść. Schował glocka do torby i złapał ją do ręki. Kiwnął uzi na Liz.

- Pomóż mu wstać. Już doszedł do siebie.

- Dokąd idziemy?

Zrobiła trzy szybkie kroki i uklękła obok Simona. Chciała zyskać na czasie, poobserwować Malka. Coś wymyśli. Musi coś wymyślić.

- Pomóż mu wstać, to wystarczy.

- Simon? Słyszysz mnie?

- Podnieś go!

Pociągnęła Simona za rękę. Zaklął. Wstała i szarpnęła mocniej. Pokręcił głową, zaklął znowu, ale otworzył oczy.

- Muszę z tym skończyć - mruknął. - Chryste Panie...

Malko zaszedł ich z drugiej strony i zastukał do drzwi łączących pokój z salą Alloway.

- Proszę! - odezwał się głos z drugiej strony.

Malko otworzył drzwi.

- Skończył pan? Mam ich tutaj. Są bez broni.

- Santarosa wyszedł. Dawaj ich.

Liz zarzuciła sobie na szyję rękę Simona i pomogła mu wstać. Kiedy powlekli się do drzwi, z każdym krokiem stąpał coraz pewniej. Liz myślami była daleko, próbowała sobie przypomnieć, co takiego powiedział Malko, że zwrócił jej uwagę. Coś na temat pracodawcy i hotelu. Coś ważnego.

Nagle zrozumiała. Oczywiście! Zacisnęła zęby i nieświadomie szarpnęła Simonem. Mówił, że...

Ależ tak! Jeśli miała rację, szantażysta był właścicielem nie tylko Dreftbury, ale całej sieci hoteli i ośrodków wypoczynkowych, które początkowo przeznaczał dla swoich pracowników. Wiedziała już, kim jest. Transakcja, którą miał zaaprobować Santarosa, była warta więcej niż roczny budżet większości państw - mniej więcej tyle, ile produkt narodowy brutto Węgier.

*

Sir Anthony Brookshire i César Duchesne razem biegli korytarzem. Każdy krok Brookshire'a wyrażał złość. Byli w podobnym wieku i podobnego wzrostu - obaj mierzyli nieco poniżej metra osiemdziesięciu.

Sir Anthony był jednak w miarę szczupły i miał grzywę siwych włosów, a jego ochroniarz golił głowę na łyso i był potężnie zbudowany. Sir Anthony miał na sobie klasyczną, szytą na miarę marynarkę, Duchesne włożył zaś tweedową, luźną, która pasowałaby na jakiegoś otyłego hydraulika. Na tym właśnie polega różnica klasy, pomyślał sir Anthony. Ciekawiło go, przy jakiej okazji Duchesne nabawił się szpecącej kontuzji: idąc, powłóczył lekko nogą.

- Jesteś pewien, że Santarosa będzie w Alloway? - zapytał. Na myśl o szantażystyście poczerwieniał. Jego arogancja zagrażała Spirali. Nie można było pozwolić, żeby podobna sytuacja powtórzyła się w przyszłości.

- Tak jak ustaliliśmy, wrzuciłem mu do kieszeni nadajnik. Podobnie oznakowałem także Prometeusza i Okeanosa, ale Temida i Atlas przysłali do recepcji tylko swoich asystentów; ich samych nie widziałem na oczy. Santarosa zameldował się w hotelu, pokręcił się po holu, zajrzał do baru, a potem poszedł do siebie. Niedawno wyszedł i skierował się prosto do sali Alloway. Prometeusza ani Okeanosa tam nie ma, więc szantażystą musi być Temida lub Atlas. Kiedy to ustaliłem, zadzwoniłem po pana.

- Zapędziliśmy drania w kozi róg. Będzie miał dyskietkę przy sobie; może mu być potrzebna do „przekonania” Santarosy. Masz mu ją natychmiast zabrać i oddać mnie.

- A jeżeli nie zechce mi jej oddać?

- Będzie musiał. Sam rozumiesz.

Duchesne kiwnął głową.

- Co pan z nią zrobi?

- A to już nie twój zasmarkany interes.

Skreśli w następny korytarz.

- Oto sala Alloway - oznajmił Duchesne.

*

Simon, idąc, opierał się na Liz, a ona rozglądała się w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby im w ucieczce. Niestety, Malko zabrał im broń, a teraz trzymał się poza zasięgiem ciosu. No i Simon, mimo że pomału dochodził do siebie, nie był jeszcze w pełni sił.

Z drugiego pokoju dobiegł ją szcęk kostek lodu w szklance.

- Gregory Gilmartin! - zawołała. - To pan ma kartotekę mojego ojca.

- Owszem.

Chudy inżynier w tanim garniturze stanął w drzwiach. Jednym przenikliwym spojrzeniem ocenił sytuację i odwrócił się do nich plecami. Cofnął się w głąb pokoju. Pociągnął łyk ze szklanki. Liz z Simonem dobrnęli do drzwi.

- Ale załatwimy to tak, żeby wyglądało na to, że wy nie tylko mieliście kartotekę, ale także byliście gotowi dla niej zabić lub zginąć. - Gilmartin gestem zaprosił ich do środka. - Nie liczcie na to, że Santarosa mi przeszkodzi. Ma zbyt wiele do stracenia.

Wyjął z kieszeni zieloną dyskietkę ZIP, rzucił ją na stół i usiadł przy najnowszym modelu ThinkPada. Monitor komputera był podzielony na cztery części. W każdej z nich wyświetlał się filmowany z innej kamery obraz korytarza przed salą Alloway. Pod drzwiami stały dwie osoby.

Gilmartin zamknął wyświetlacz komputera i napił się whisky. Liz pożądliwie spojrzała na dyskietkę.

- To jest kartoteka?

- Musisz być głupia, jeśli myślisz, że mógłbym choć na chwilę się z nią rozstać. - Gilmartin uśmiechnął się zimno. - Zwłaszcza w takim miejscu.

- Wyjął z napędu w komputerze dyskietkę z identyczną zieloną etykietką i schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Już są, Malko. Wpuść ich. Tylko bądź ostrożny. Masz dla mnie broń?

Malko podał mu berettę Simona i podszedł szybko do drzwi. Gilmartin wycelował broń w Liz i Simona.

52.

Zwolnili kroku. Sir Anthony uważnie czytał tabliczki na drzwiach, aż wreszcie znaleźli się przed salą Alloway. Litery były wryte na błyszczącej, mosiężnej płytce.

Przyglądził marynarką, żeby zamaskować wetkniętego pod pachą browninga, i przekrzywił głowę, nasłuchując. Dobiegający zza okien zgiełk narastał. Gdzieś trzasnęła wybita szyba.

- Ja tu zaczekam - oświadczył. - Wejdz pierwszy i zabij ich wszystkich. Jeśli będziemy mieli szczęście, pójdzie to na konto demonstrantów.

Na spokojnej, nieprzeniknionej twarzy Duchesne'a nagle pojawiło się jakieś uczucie: złość, niepohamowana i nieskrywana złość.

- Nie ma mowy.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Sir Anthony'ego zamurowało. Chciał zawołać go z powrotem, przypomnieć, że ma wykonywać rozkazy, ale nie zdążył. Drzwi niespodziewanie się otworzyły i w progu stanął barczysty mężczyzna w popielatym garniturze. Miał szare, bezlitosne oczy.

- Wejdz, Kronosie - zawołał ktoś z głębi pokoju. - Jak nas znalazłeś?

Sir Anthony zawahał się. Nie tak to miało wyglądać.

Człowiek w popielatym garniturze wycelował w niego uzi.

- Prosimy.

Ze ściśniętym z wściekłości gardłem Kronos przekroczył próg sali. Znał ten drugi głos.

- Do stu diabłów, Atlasie, przestań się wygłupiać! Co ty sobie wyobrażasz, na Boga?! Wiedziałem, że to któryś z nas. Nie rozumiesz, na co naraziłeś Spirale? Czy lojalność nic już dla ciebie nie znaczy?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jestem inżynierem, więc mnie to interesuje. Oczywiście spodziewałem się, że wcześniej czy później mnie namierzysz, ale i tak jestem ciekaw. Jak nas znalazłeś?

Gilmartin, nie wstając z fotela, skinął berettą na Liz i Simona. Spod mankietu taniej koszuli wystawał mu zwykły timex.

Malko zamknął drzwi i odwrócił się do nich plecami. Lufą uzi omiótł troje więźniów. Sir Anthony patrzył nieruchomo na Atlasa.

- Duchesne podrzucił Santarosie nadajnik.

- Pięknie. - Gilmartin z uznaniem pokiwał głową. - Ale widzę, że koniec końców jednak zostawił cię samego. Zawsze twierdziłem, że jest przereklamowany. A jeśli chodzi o mnie i o to, skąd ja dowiedziałem się, że tu jesteście, to wyjaśnieniem są, naturalnie, kamery. Nasze spotkanie doskonale ilustruje potęgę techniki. Jest jednak coś, czego żadna technika nie zastąpi: inteligencja. Ty zachowałeś się nieinteligentnie, Tony. Nie można wygrać wszystkich bitew. Za bardzo się zawzięłeś na tę kartotekę. Przez pięć lat prawie z niej nie korzystałem,

poza tymi rzadkimi przypadkami, kiedy moje zwyczajne kontakty okazywały się niewystarczające. Ale chyba zgodzisz się ze mną, że fuzja z Tierney Aviation jest warta zachodu. W grę wchodzi ponad czterdzieści miliardów dolarów.

Napięcie narastało. Liz patrzyła to na dwóch mierzących się wzrokiem tytanów, to na szklane drzwi, od których dzieliło ją około dziesięciu metrów. Właśnie przemknęła za nimi grupka demonstrantów: dopadli do rabatek kwiatowych i pakowali do plecaków okalające je kamienie. Spojrzała na Simona. Przestał się chwiać na nogach, ale pomogła mu usiąść na krześle. Obok na podłodze stała sportowa torba; Malko rzucił ją tam, idąc otworzyć drzwi. Widziała sterczącą z niej kolbę pistoletu - zapewne zapasowej broni Malka, której używał zamiast glocka.

- Będziesz miał praktycznie monopol na produkcję awioniki - zauważył sir Anthony.

- Mam taką nadzieję. Bo przecież do tego właśnie prowadzi konkurencja, prawda? Wojna ekonomiczna trwa do czasu, aż na placu boju zostaje tylko jedna firma. Albo jeden człowiek. Codziennie dochodzi do konsolidacji, przejęć i fuzji. Jak myślisz, co mają na celu? Na pewno nie rozwój konkurencji. Poza tym, jak wiesz, SEC zgodziła się na fuzję z Tierney. Santarosa i te jego mydłki z UE zachowują się jak przerażone dziewice, które na wszelki wypadek krzyżują nogi.

Sir Anthony splótł ręce za plecami, wyprostował się i wysunął podbródek do przodu. Widać było, że nie zgadza się ze słowami Gilmartina. Spojrzał tęsknym wzrokiem na dyskietkę.

- Nie, Tony. - Gilmartin pokręcił głową. - Ona nie należy do ciebie. Nie udawaj zdziwionego. Wczoraj wieczorem już się zorientowałem, że twoim zdaniem szantażystą jest jeden z nas. Nie wiedziałeś tylko który. - Skrzywił się z niesmakiem. - Zejdźże z tego swojego olimpijskiego tronu, sir Anthony, kawalerze Orderu Łąźni czy jak cię tam zwą. Myślisz, że ja to robię dla pieniędzy? Że po to przystąpiłem do Spirali? Mój Boże, cóż za naiwność. - Machnął pistoletem. - Jesteście obrzydliwi. Wszyscy. Ale ja jestem inny. Mam dostatecznie dużo pieniędzy. Nigdy nie posłużyłem się kartoteką po to, żeby zarobić. Ja chcę zmienić świat, tak jak mój ojciec, dziadek i pradziadek go zmieniali. - Przerwał i uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. Słuchano go uważnie, a on mylił uwagę z szacunkiem. - Będę właścicielem nie tylko największego koncernu budowlanego na świecie, ale także największej firmy aeronautycznej. Poniosę cywilizację nie tylko w głąb dżungli i na najwyższe szczyty, ale również w kosmos. I po to właśnie potrzebna mi kartoteka.

- Chciałeś się zapisać w historii, tak jak oni - powiedział łagodnie i miękko sir Anthony. - Biedny Greg.

Simon wyraźnie się ożywił. Usiadł wygodniej na krześle i wodził dookoła czujnym spojrzeniem. Liz oparła mu dłoń na ramieniu i nakreśliła na nim strzałkę wskazującą przeszklone drzwi. Popatrzył w tę stronę, zobaczył demonstrantów zbierających kamienie i przeniósł wzrok na Liz. Zerknęła wyraźnie na torbę. On też. Miała nadzieję, że Simon pamięta, że ona nie najlepiej strzela.

- To mój wkład w rozwój świata - warknął Gilmartin.

- Serio? - wtrącił Simon. Najwyraźniej otrząsnął się na tyle, żeby nadażyć za rozmową. - Czy nalegałbyś na tę fuzję, gdyby nie miała ci przynieść zysku?

- Nie o to chodzi! - Gilmartin był wściekły. - To chyba oczywiste, że na niej zarobię. Wszystko, co ma jakąś wartość, przynosi zysk.

Sir Anthony od dłuższej chwili obserwował demonstrantów: biegali w tę i z powrotem, zbierali kamienie. Zrobił krok naprzód. Na twarz wypłynęły mu rumieńce, ledwie udawało mu się powściągnąć gniew. Ciężar odpowiedzialności nagle go przytłoczył. Miażdżąca porażka przy próbie odnalezienia kartoteki podawała w wątpliwość jego przywództwo. Przypominał sobie browninga w kaburze pod pachą. Atlas zdołał ukryć przed nimi swój brak wszelkich zasad. Nie kierował się wewnętrznym kompasem moralnym; mógł zniszczyć całą Spirale. Sir Anthony nie miał wątpliwości: Atlas zdemaskuje Spirale, doprowadzi do jej upadku, do upadku autorytetów, uniemożliwi jej czynić dobro. Tylko on, Kronos, zasługuje na to, żeby mieć tę kartotekę. Tylko jemu można powierzyć jej straszliwe tajemnice. Myślał tak już wcześniej, ale sam przed sobą nie chciał tego przyznać. Teraz jednak nie miał wyboru.

- Nie taki jest cel istnienia Spirali, Atlasie - stwierdził oskarżycielskim tonem. - Wyrządziłeś nam ogromną krzywdę. Zmusiłeś nas do takich rzeczy... takich zachowań...

- Masz na myśli wrobiecie w sprawę Sansborough? - Gilmartin zerwał się z fotela. - A może morderstwo? Ty stary hipokryto! Nikt cię do niczego nie zmuszał! Jesteś taki sam jak zawsze, nic się nie zmieniłeś. Tak jak cała Spirala. I cały Nautilus. Czy gdybyś był takim altruistą, na jakiego pozujesz, zrobiłbyś to? Nie! Bo to ja jestem tu jedynym uczciwym człowiekiem. Wiem, jak działa ten świat, i nie uciekam w złudzenia. A ty jesteś stary i tracisz kontakt z rzeczywistością. Jesteś...

Liz ścisnęła Simona za ramię. Zdażył jeszcze dostrzec wykrzywione złością twarze za oknem, wymachujące pięści, lecące kamienie. Eksplozja hałasu - i w całym skrzydle jednocześnie posypało się tłuczone szkło. Ogłuszający trzask poniósł się echem po wnętrzach starego hotelu.

Kamienie i odłamki szyb wpadły także do sali Alloway. Posypały się na mównicę, spadły na koniec stołu konferencyjnego. Powiało zimnym powietrzem, zapachniało deszczem. Chwilę później na dworze rozległy się strzały.

Gilmartin odwrócił się do okna. Sir Anthony uśmiechnął się pod nosem; Atlas i jego ochroniarz nie traktowali go chyba zbyt poważnie, skoro nawet go nie obszukali. Cały Greg. Arogancja i chciwość przesłaniały mu obraz sytuacji. Jego ojciec był zupełnie inny. Grega należało raz na zawsze unieszkodliwić.

Takie myśli przemknęły mu przez głowę w ułamku sekundy. Wyszarpnął spod pachy browninga. W tej samej chwili Simon sięgnął do torby, a Liz rzuciła się na Malka. Wtedy Gilmartin odwrócił się z powrotem i, widząc, co się dzieje, wycelował beretkę.

*

Sarah balansowała na skraju nieświadomości. Miała zawroty głowy. Czula tylko ból i mdłości, jakby te dwa uczucia wypełniły jej ciało, płynęły w żyłach zamiast krwi. Bolały ją broda i kark. Z trudem przypominała sobie, jak Malko kopnął ją w podbródek. Potem wpadła do wody.

Jęknęła z bólu i otworzyła oczy. Nie wiedziała, gdzie jest.

Niski stolik, lampa, sofa. Trochę dalej drzwi. Była w pokoju hotelowym. Malko przywiązał ją do krzesła. Ale wszystko wyglądało jakoś inaczej. Lampa, drugie krzesło i stolik leżały przewrócone pod oknem, obsypane potłuczonym szkłem. Wszędzie widziała kamienie. Słyszała strzały i krzyki. Inne meble stały na swoich miejscach. Spojrzała na drzwi, umieszczone poziomo w futrynie...

No tak. To ona leżała na boku, nadal przywiązana do krzesła. Tuż obok leżał głaz. Wróciły inne wspomnienia: głośne wycie, wrzaski, megafony, grad kamieni, eksplozja szkła, kiedy głaz wpadł przez drzwi prowadzące na taras. Uderzenie o podłogę, kiedy ją przewrócił. A potem pustka.

Pogratulowała sobie z goryczą. Była bardzo sprytna - taka sprytna, że dała się nabrać na starą jak świat sztuczkę Malka. Ale przynajmniej jeszcze przez jakiś czas była mu potrzebna żywa. Starając się stłumić strach, przekręciła głowę, żeby spojrzeć w drugą stronę. Płasnęła policzkiem o podłogę. Znow zakręciło się jej z bólu w głowie. Poziome drzwi otworzyły się i do pokoju weszły idące po ścianie stopy. Sportowe buty, męskie spodnie.

Strach ścisnął ją za serce, ale głos jej nie zadrzał:

- Jednak postanowiłeś mnie zabić, Malko?

Nic nie powiedział. Obszedł ją bokiem. Kulał na jedną nogę. Próbowwała wykręcić szyję i spojrzeć mu w oczy, ale stał za blisko, za jej plecami. Znow poczuła ból.

- Malko?

*

Gino Malko stał za sir Anthonyem, trochę z boku. On jeden z prawdziwym szacunkiem słuchał swojego pracodawcy. Nigdy wcześniej nie spotkał człowieka, który byłby równie bogaty i wpływowy. Każda pochwała z ust pana Gilmartina była dla Malka jak sztabka złota złożona na jego osobistym koncie oszczędnościowym; zabezpieczała go przed lodowatymi wiatrami biedy i nieszczęścia. W ruchach starego sir Anthony'ego nie widział niczego niezwykłego, a z Sansborough rozprawi się w stosownym czasie. Skupił się na jedynym prawdziwym zagrożeniu: na Simonie Childsie, który właśnie sięgał do torby po broń.

Simon widział, że sir Anthony celuje prosto w Gregory'ego Gilmartina. Pewnie trzymał broń, ręka mu się nie trzęsła. Przy odrobinie szczęścia powinni pozabijać się nawzajem.

Malko zaklął i podniósł uzi do strzału. Za późno.

Strzały zabrzmiały niemal równocześnie. Huk był ogłuszający, niemal jak wybuch wulkanu.

Pocisk wystrzelony przez Simona trafił Malka w serce. W powietrze trysnęła różowa fontanna krwi. Malko wcisnął spust uzi; kule strzaskały stojący blisko wazon, który eksplodował, jakby ktoś wrzucił do środka granat.

Pierwszy strzał sir Anthony'ego trafił Gilmartina w pierś, drugi w szyję. Gilmartin runął do przodu z wytrzeszczonymi oczami. Drgający palec zacisnął się jeszcze na spuście beretty. Wystrzelona na oślep kula ugrzęzła w dywanie. Krew bryzgnęła z ran.

W sali wszystko zamarło, jakby ziemia nagle przestała się obracać. Ci, którzy ocaleli - sir Anthony, Liz i Simon - stali jak skamieniali, tak jakby bezruch miał im pomóc ogarnąć tę makabrę. Powietrze pachniało gorącą krwią. Drobinki kurzu szybowały powoli nad ciałami zabitych.

*

Liz poruszyła się pierwsza: wyjęła uzi ze zmartwiałych palców Malka i wycelowała je w przywódcę Spirali.

- Proszę odłożyć broń, sir Anthony. A może woli pan, żeby pana nazywać Kronosem?

Sir Anthony zamrugał ze zdumienia. Nie wiedzieć czemu przypomniały mu się słowa George Eliot, cytata z *Adama Bede*. Czytał tę książkę kiedyś w Paryżu. Było leniwe, ciepłe lato. „Nasze czyny determinują nas w tym samym stopniu, w jakim my je determinujemy”. Wierzył w przyszłość. Przez całe życie z zapalem do niej dążył i choć wcale mu się to nie podobało, rozumiał, że wszystko, co do tej pory zrobił, nieuchronnie prowadziło do takiej

chwili jak ta. Czuł, że w którymś momencie popełnił kardynalny błąd. Nie mógł się z tym pogodzić.

Odwrócił się błyskawicznie i pociągnął za cyngiel.

Ale Liz przewidziała jego ruch i posłała krótką serię. Kule przeszły rękę trzymającą pistolet i na skos przecięły pierś sir Anthony'ego. Zadrzał gwałtownie i wystrzelił w sufit. Posypał się tynk, okrywając wszystko białym całunem. Sir Anthony obrócił się w miejscu i upadł. Jego oczy jeszcze przez chwilę wyrażały ogromną ulgę.

Cisza aż dźwięczała w uszach. Liz, patrząc na niego, poczuła najpierw gorzki smak porażki, a potem uniesienie, zachwyt, że jednak przeżyła. Że Simon przeżył. Spojrzała na niego. Obserwował ją ze zmarszczonym czołem. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

Rozpromienił się, objął ją ramieniem i pocałował w policzek. Ona również go objęła i przytuliła z całej siły, jakby w tej jednej chwili zawierało się całe ich życie.

Otworzyły się drzwi. Odsunęli się od siebie i równocześnie wycelowali broń.

- Sarah! - Liz odetchnęła z ulgą i opuściła uzi.

- Chwała Bogu... - Simon też opuścił broń.

Sarah weszła do środka niepewnym krokiem, jakby była osłabiona albo ranna. Za nią stał starszy mężczyzna w czapce. Liz miała wrażenie, że widziała go już w hotelu; mógł być jednym z wielu ludzi noszących zielone identyfikatory ochrony. Ale kiedy stanął obok Sarah, zauważyła, że utyka na prawą nogę. Simon również zwrócił na to uwagę. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Boże, Liz... - Sarah ogarnęła wzrokiem pobojowisko. - Co tu się stało?

- Za chwilę. - Liz spojrzała mężczyźnie w oczy. - Kim pan jest? Pomógł nam pan, prawda?

- César Duchesne - odparł cichym, gardłowym głosem. - To było moje zadanie. Przynajmniej dopóki Brookshire nie kazał mi was pozabijać. - Zauważył leżącą na stole dyskietkę. - To ta?

Liz intuicyjnie wyczuła, że może mu zaufać.

- Nie. Oryginał Gilmartin ma w kieszeni. Ale kartoteka należy teraz do mnie.

- Tak, oczywiście.

- Pan Duchesne mnie znalazł - wyjaśniła z uśmiechem Sarah. - Malko ściągnął mnie w okolice basenu, dał mi po głowie i związał.

- Liz! Simon!

Odwrócili się na dźwięki znajomego głosu. Liz wytrzeszczyła oczy.

- Henry!

- We własnej osobie. Wracam jak bumerang.

Lord Henry Percy wszedł do sali, opierając się na balkoniku. Na widok wszechobecnej krwi zacisnął mocniej zęby. Szedł wyprostowany, wysoki, taki, jakim Liz go pamiętała z czasów, kiedy nie jeździł jeszcze na wózku.

- No, widzę, że nic wam się nie stało. - Spojrzał na Liz, na Simona, w końcu przeniósł wzrok na Duchesne'a, jakby chciał się upewnić, kogo widzi. - Duchesne od razu tak mówił. Przepraszam za to zamieszanie w domu. Bałem się, że będziecie chcieli zbadać mi puls, ale Clive zgrabnie sobie z wami poradził. Duchesne twierdził, że musicie uwierzyć w ten atak. Że tylko wtedy będziecie dalej szukać.

- Henry, ty draniu! - mruknął oburzony Simon. - Myśleliśmy, że nie żyjesz! Co tu robisz?

Znowu to znaczące spojrzenie na Duchesne'a.

- Przywiózł mnie, żebym w swoim czasie mógł wszystko wytłumaczyć policji. - Henry zerknął na zwłoki sir Anthony'ego. Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Nie wierzę własnym oczom. Że też Tony okazał się takim durniem.

Sarah patrzyła to na Liz, to na Simona, jakby chciała coś powiedzieć.

- Asher dotarł już do agenta CIA w Drefbury - oznajmiła. - Zaraz tu będą. Chodź, Henry, powinniśmy wyjść im na spotkanie. Musisz z nimi porozmawiać, przygotować ich na to, co tu zobaczą.

Henry zmarszczył brwi, ale pokiwał głową i wyszedł z Sarah za drzwi. Duchesne pokuśtykał do Gilmartina, uklęknął i wyjął mu dyskietkę z kieszeni.

- To ta - odezwał się Simon.

Duchesne nawet na niego nie spojrział. Podeszedł do Liz i nie patrząc jej w oczy, podał jej dyskietkę.

- Dziękuję. - Przeszedł ją dreszcz.

- Powinniśmy ją spalić - powiedział Simon. - Żeby nikt nigdy nie miał już takiej władzy.

Patrzył wyczekująco na Liz, ale ona milczała. Odprowadziła kulejącego Duchesne'a wzrokiem. Patrzyła podejrzliwie, jak się porusza. Nie doszedł jeszcze do progu sali, kiedy dostała odpowiedź: przestał kuleć i ruszył przed siebie normalnym, sprężystym krokiem. Odwrócił się jeszcze, spojrział jej w oczy i uśmiechnął się lekko. A potem drzwi się za nim zamknęły.

Liz ogarnęła fala gwałtownych emocji.

Simon zmarszczył brwi, widząc jej zaciśnięte w napięciu usta.

- Co się stało? O co chodzi? O dyskietkę? Nie chcesz jej zniszczyć?

Otrząsnęła się, jakby wybudził ją z transu. Spojrzała na niego. Jej twarz wyrażała strach i gniew.

- Nie mam jej.

- Jak to nie masz? Przecież...

Potrząsnęła głową.

- Nie mam. Duchesne podmienił dyskietki. Dał mi tę drugą, a sam zabrał oryginał.

- To dlaczego nie próbowałaś go zatrzymać?!

- Bo go rozpoznałam. Zrobił sobie następną operację plastyczną, znów zaczął brać sterydy, ale to był on. Widziałam już kiedyś, jak robi taką sztuczkę: w jednej chwili kuleje, a potem nagle przestaje. Nie mam pojęcia, jak długo pracował dla sir Anthony'ego, ale mnie miał na oku od dawna. Pewnie zanim jeszcze przeprowadziłam się do Santa Barbara.

Niebieskie oczy Simona pociemniały.

- Powiedz mi, że się mylę - wydusił. - Że nie wiem, o kim mówisz.

Coś ścisnęło ją w gardle. Unikała wzroku Simona.

- Dyskietka należy do niego. Nie patrz tak na mnie, nie mogłam go zdemaskować. - Odwróciła się. - To mój ojciec. Duchesne to Drapieźnik.

Epilog

Góry Madonie, Sycylia

Miasteczko Gangi uczepiło się kurczowo ostrego zbocza poniżej wypalonego słońcem szczytu Monte Marone. Z grani, którą Liz szła w dół, nie było widać krętych uliczek i wykutych z piaskowca schodów, łączących różne poziomy Gangi. Ona widziała tylko morze czerwonych dachów, które z upływem wieków wyblakły i upodobniły się kolorem do opalanej ludzkiej skóry. Wcześniej tego dnia była w Gangi i rozpytywała wśród ludzi o ojca, podając zarówno prawdziwe nazwisko, jak i trzy z jego pseudonimów: Alex Bosa, Alessandro Firenze, César Duchesne. Pokazywała portret pamięciowy z Drefthbury.

Burmistrz, który przyjął ją ubrany w elegancki czarny garnitur, oświadczył, że zna osobiście wszystkich mieszkańców w okolicy. Nie rozpoznał jednak ani twarzy, ani żadnego z nazwisk. Tak jak nie rozpoznał ich mafijny *capo* ani karabinierzy. Sklepikarze i kobiety nic nie widzieli i nic nie wiedzieli.

Nie miała więcej czasu. Był wrzesień, a ona siedziała na Sycylii już blisko miesiąc. Najpierw pojechała do pięknego Cefalu na północnym wybrzeżu, ponieważ stamtąd pochodziły rodziny Firenze i Bosa, przodkowie jej ojca, jej samej i Sarah. Tam też ojciec zbudował potajemnie dom, w którym spędzał czas na emeryturze. I w którym rzekomo zginął.

Kiedy poszukiwania w Cefalu nic nie dały, wjechała w głąb wyspy drogą SS286, zaglądając do wiosek i samotnych gospodarstw, rozproszonych po zajmujących środek Sycylii górach. Niektóre wioski były tak małe, że nie zaznaczano ich na mapach. Jeśli wierzyć plotkom, Bernardo Provenzano, słynny *capo di tutti capi* - „szef szefów” - Cosy Nostry, ukrywał się właśnie w tych górach. Od czterdziestu lat policja nie mogła go schwytać. Na Sycylii jedynym niezwykłym aspektem jego nieobecności było właśnie to, że tak długo trwała. Poprzedni *capo*, przyjaciel Provenzano, Salvatore Riina, zwany Bestią, ukrywał się przez zaledwie dwadzieścia trzy lata, zanim w 1993 namierzyła go policja.

Liz obrzuciła Gangi ostatnim podejrzliwym spojrzeniem i skręciła w *cortile* prowadzącą do sfatygowanego, podupadłego budynku z szarego kamienia. Na niebrukowanym dziedzińcu stało kilkanaście stolików, nakrytych wykrochmalonymi obrusami w niebieską kratę i gotowych na przyjęcie tłumu wieczornych gości. Po dniu

spędzonym na polach i w sadach oliwkowych ludzie ściągali tu z odległości wielu kilometrów, żeby zjeść, coś wypić i poplotkować. *Ristorante* raz nazywano *Il Santuario*, Sanktuarium, innym razem *Il Purgatorio*, Czyśćcem. Jej właściciel miał encyklopedyczną pamięć i - podobno - niewąskie koneksje.

Drzwi były otwarte. Dolatywał z nich zapach czosnku, ostrego sosu pomidorowego i wina. Liz uśmiechnęła się i weszła do chłodnego, ciemnego wnętrza, starając się nie okazywać zbytniego zainteresowania. Budynek był bardzo stary, małe okna przepuszczały niewiele światła, ale sala jadalna była spora. I był w niej tylko jeden człowiek.

- Signore Aldo Cappuccio? - zapytała.

Stał za drewnianym kontuarem, wypolerowanym do połysku przez tysiące łokci i kufla. Rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko, jak na gościnnego gospodarza przystało.

- *Buon giorno. Che cosa desidera?*

Był niski, żylasty i śniady. Miał około pięćdziesięciu lat, czarne wąsy i zielone oczy Sycylijszyka. Nie wiedziała, czy ma broń, bo jej nie widziała. W półmroku przypominał dobrodusznego chochlika, a nie człowieka cieszącego się szacunkiem zarówno stróżów prawa, jak i tych, którzy byli z prawem na bakier. Jednak coś w jego twarzy ją zaniepokoiło. Wyglądała jak maska.

- *Buon giorno* - odparła z szerokim uśmiechem. - *Il vino della casa, per favore.*

Przekrzywił głowę, jakby chciał ją lepiej słyszeć.

- *Basta cosi?*

- *Si, grazie.*

- *Buono.* Przyswaja sobie pani sycylijski akcent - stwierdził nadal po włosku, sięgając po wino. - Angielka, prawda? Witam w moim domu.

Nalał wina do zwykłej szklanki na szerokość dłoni, zerkając spod oka na Liz. Nie spuściła wzroku.

- Angielka i Amerykanka - wyjaśniła. - Mieszkam teraz w Kalifornii.

Sięgnęła po wino, oparła się o bar i, z trudem skrywając podniecenie, obejrzała salę. Od wydarzeń w Dreftbury przy każdych drzwiach, na każdej ulicy, kiedy tylko kogoś poznała, miała ochotę nim potrząsnąć i zapytać: Znasz mojego ojca? Widziałeś go?

- To kawał drogi stąd.

O ile z zewnątrz restauracja Cappuccio przypominała ruinę, o tyle w środku prezentowała się niczego sobie. Sala miała wdzięk. Zdobiły ją gustownie dobrane antyki, drogie tapicerowane krzesła, błyszczące stoły i stare zdjęcia w grubych ramach. Sądząc po strojach przedstawionych na nich ludzi, zrobiono je bardzo dawno. Na ścianie znajdował się

też sielankowy fresk, przedstawiający anioły z piszczałkami i harfami - znacznie starszy od zdjęć.

Liz wzięła szklankę i podeszła bliżej.

- Gaspare Vazzano?

- *Si.* - Właściciel wyszedł z baru. - Słyszała pani o nim?

- Wiem, że namalował dużo fresków w tej okolicy, ale myślałam, że w kościołach. Ten dom musi mieć ponad czterysta lat.

Vazzano urodził się w połowie XVI wieku w Gangi. Tam też pierwszy raz widziała jego dzieła.

- Nikt nie wie, ile dokładnie, ale ma pani rację. Tu nikt nie liczy lat. - Cappuccio pstryknął palcami. - Proszę bardzo, to było moje życie. - Kolejne pstryknięcie. - A to pani. Mamy takie powiedzenie: Życie nie jest darem, lecz niespodzianką. Śmierć nigdy nie jest niespodzianką, ale bywa darem. To surowy kraj, który rządzi się surowymi prawami i jeszcze surowszymi obyczajami. Zna pani moje nazwisko, signorina. A pani? Wypadałoby się chyba przedstawić? *Come si chiama?*

- Elizabeth Sansborough. - Napiała się wina. Było trochę cierpkie, jakby zrobiono je z dobrych winogron, ale nie dano mu się należycie zestarzeć. - Szukam mojego ojca. - Wyjęła z plecaka rysunek i podała go właścicielowi, ciekawa jego reakcji. - Może używać nazwiska Bosa albo Firenze. Albo Duchesne.

- Tak?

Cappuccio długą chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy patrzył na rysunek, na kwadratową twarz, łysą głowę, regularne rysy. Kiedy spojrzał na Liz, widać było, że rozpoznał człowieka z rysunku, i wcale się z tym nie krył.

Liz zaparło dech w piersi.

- Zna go pan, prawda? Gdzie on jest?!

Restaurator wzruszył ramionami. Maską na ułamek sekundy opadła. Widać było, że przywykł do szacowania ryzyka - i doszedł do wniosku, że tym razem ma niewiele do stracenia.

- Nazywał się Bosa. Don Alessandro Bosa. Tak go nazywali. Trochę się zmienił. - Postukał w kartkę. Zapatrzył się w dal. - Czytał *Lamparta*. No tak. „Nagie wzgórza, płonące żółto w słońcu”. Cytował mi go. Przyjechał z Cefalu, żeby podziwiać nasze lato.

- Gdzie teraz jest?

Liz starała się nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie, ale serce waliło jej jak młotem.

- Nie słyszała pani? - Cappuccio zmarszczył brwi. - Nie żyje. Ktoś wysadził jego dom w powietrze. Kilka lat temu, może z osiem. To była głośna sprawa.

- Słyszałam, że przeżył.

Restaurator pokręcił głową.

- Nikt by tego nie przeżył. - Oddał jej rysunek. - Proszę wypić wino i się nie smuć.

Długo pani szuka?

- Słyszałam, że niedawno tu wrócił.

- Widzę tylko to, co oczy zobaczą; słyszę, co uszy usłyszą. Nie znam się na czarach.

Powiedziałem pani wszystko, co wiem.

Stracił zainteresowanie gościem i wrócił za kontuar. Liz odprowadziła go wzrokiem. Trzymał się prosto, miał chude, żylaste ręce. W kraju, gdzie zadawnione waśnie i tłumione namiętności wybuchały tak łatwo, udawało mu się zachować neutralność.

- Czyli nie widział go pan ostatnio?

- Słyszała pani, co powiedziałem. - Zbył ją machnięciem ręki. - Nie żyje. Jest martwy... nawet dla pani. Proszę wracać do domu. Tu go pani nie znajdzie. Dlaczego upiera się pani, żeby szukać czegoś, co przestało istnieć? Jeżeli nawet żyje, najwyraźniej nie chce, żeby go znaleziono. A jeśli zginął, należałoby mu dać spokój. Proszę wracać do Kalifornii. Do swojego życia. I zostawić wspomnienie o nim tutaj, gdzie jego miejsce. Niech mu pani okaże dość szacunku, żeby go stąd nie wywozić.

Spuściła wzrok. Jej uwagę przykuła pomarszczona, sugestywna twarz Sycylijki na jednym ze zdjęć. Patrząc na nią, poczuła dziwną ulgę. Zrobiło się jej lżej na sercu.

Jeszcze raz spojrzała na niego.

- A więc nie widział go pan?

- Nie! - Rozłożył bezradnie ręce. Zniżył głos: - Proszę posłuchać, niedługo zaczną się schodzić klienci. Niech pani usiądzie i wypije wino. Mam dużo pracy.

Wyciągnął spod blatu butelki z czerwonym winem i zaczął je ustawiać pod ścianą za barem.

Odstawiła szklankę na kontuar.

- *Quanto costa questo?*

Podał jej cenę w euro. Położyła odliczoną sumę obok szklanki i wyszła.

Zbliżał się wieczór. Długie cienie kładły się na trawie. Wiatr nareszcie trochę zelżał. Przechodząc przez podwórko, zdjęła słomkowy kapelusz i przetarła czoło, które natychmiast znów zrobiło się wilgotne od potu. Pora deszczów jeszcze nie nadeszła i gorący sirocco z nadafrykańskiej pustyni całymi dniami smagał wypalone wzgórza i doliny, wysysając z nich

resztki wilgoci. O dziwo, ludzie wcale nie byli z tego powodu humorzaści. Sycylijscy, których od trzech tysięcy lat ciągle podbijano i odbijano, spokojnie przyjmowali wyroki Boga i natury.

Trzech mężczyzn w średnim wieku zboczyło z drogi i siadło przy jednym z pierwszych stolików. Rozmawiali, śmiali się, w kącikach ust mieli tłące się papierosy. Signore Cappuccio wyszedł do nich i, nawet nie zerknąwszy na Liz, zapytał, czego się napiją.

Odeszła powoli. Minęła siwowłosego pasterza z psem i stadem kóz o skudłonej sierści. Pod wieczór wiatr zmieniał kierunek i zaczynał wiać z północy. Był chłodny i przynosił ulgę. Gdzieś ze wschodu, spośród wzgórz, niósł się warkot silnika samochodu. Spojrzała na zegarek: punktualny jak zawsze.

Wspięła się na następny pagórek i zatrzymała, czekając na samochód. Zachodzące słońce malowało zachodni horyzont pomarańczem i cytrynową żółcią, przywodząc na myśl owoce, z których kiedyś sływały te strony. Potem połowa sycylijskich robotników rozjechała się po Europie w poszukiwaniu pracy. Wszyscy jej powtarzali, że góry opustoszały; zostali tylko starzy, lenie i pijaki. Globalizacja dosięgła Sycylii, skradła młodych i zostawiła stęsknionych starych. Była nieunikniona jak zmiany pór roku. Pozostaje tylko pytanie, czy ci, którzy ją wprowadzają, mają na względzie ograniczenie strat wśród tych, którzy nie mają głosu, czy raczej maksymalizowanie własnych zysków.

Kiedy tak wodziła wzrokiem po coraz ciemniejszych wzgórzach i dolinach, znów pomyślała o ojcu. Widziała go wyraźnie, jak wychodzi z pokoju hotelowego w Dreftbury. Mogła go zawołać, zdemaskować, strzelić mu nad głowę - ale nie zrobiła tego, bo miał prawo odejść. Czekala ponad miesiąc, cierpiąc tępy ból w sercu. Dopiero potem zaczęła go szukać; tęskniła i rozpaczliwie chciała odzyskać jego miłość.

Półciężarówka zatrzymała się na poboczu za jej plecami. Liz odwróciła się i podbiegła do drzwi.

- Chodź, obejrzymy razem zachód słońca. Dowiedziałeś się czegoś?

Simon uśmiechnął się do niej. Miał pobrużdżoną twarz, włosy błyszczały mu w blasku słońca. Wysiadł.

- Paru rzeczy. A ty?

- Poznałam ciekawego człowieka - odparła, kiedy wracali na wybrany przez nią punkt widokowy. - Gdyby ktokolwiek wiedział, że tata gdzieś tu mieszka, to on na pewno. Ale twierdzi, że tata nie żyje. Więc myślę, że go tu nie ma.

Simon pokiwał głową.

- Moi ludzie nie wiedzą nic o Jacku O'Keefe ani jego kumplach, w tym Elaine i George'u Russellach. Musiałby mieć teraz dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Mógł umrzeć.

- Albo może żyć. Z tatą.

Przez Jacka O'Keefe Sarah przesłała wiadomość, która doprowadziła do najazdu na Drapieznika w jego willi w Cefalu.

Simon wzruszył ramionami.

- Może. Ale gdyby O'Keefe się ujawnił, chyba byśmy wiedzieli.

Liz pomyliła się, twierdząc, że MI-6 nie zechce przyjąć go z powrotem. Sarah i Asher wrócili do Paryża, żeby spokojnie spędzić resztę wakacji. Gary Faust, cały i zdrowy, latał swoim westlandem lysanderem wszędzie tam, gdzie cyrk rozbijał namioty. Ona z Simonem odkupili jeepa należącego do Paula Hamiltona i wysłali pieniądze na adres paryskiego mieszkania, z którego zabrali ubrania i jedzenie. Demonstranci aresztowani w Dreftbury zostali wkrótce zwolnieni. Reprezentowali ich adwokaci wynajęci przez organizację antyglobalistyczną, która próbowała zjednoczyć rozproszone odłamy ruchu i stworzyć z nich skuteczną całość.

Życie toczyło się więc dalej, jak zwykle częściej kręcąc się wokół codziennych spraw, a nie gwałtownych namiętności. Przez kilka krótkich dni Nautilus był na ustach całej Europy. O jego naturze - dobroczynnej bądź złowroziej - dyskutowano w barach, salach konferencyjnych, a nawet w paru sypialniach. A potem gdzieś wybuchła następna mała wojna, w Iraku ostrzelano Amerykanów i Brytyjczyków i wartość tajnej organizacji w serwisach informacyjnych spadła na łeb na szyję.

César Duchesne okazał się jedynym człowiekiem spoza Spirali, który był świadkiem krwawej rozgrywki w gronie jej członków. Informacje Henry'ego Percy'ego interesowały policję, ale miały drugorzędne znaczenie. Jeśli zaś chodzi o zniszczenia w rezydencji podczas rzekomego ataku, Percy wyśmiał je, twierdząc, że była to dla niego świetna rozrywka. Poza tym, zapytał, po co są pieniądze, jeśli nie po to, żeby od czasu do czasu się zabawić? Młodszy brat Gregory'ego Gilmartina przejął po nim stery rodzinnego imperium budowlanego i próbował wywierać nacisk na komisarza Santarosę, aby ten wydał korzystną decyzję w sprawie fuzji z Tierney Aviation.

Nikt nie był zaskoczony, że Richmond Hornish, Nicholas Inglethorpe i Christian Menchen nie skoczyli sobie do gardeł, za to wezwali swoich prawników. Spirala miała przetrwać, osłabiona, ale nie zniszczona. Żyli zgodnie ze swoją złotą regułą: kto ma złoto, ten ustala reguły.

Stanąwszy na grzbiecie wzgórza, Liz szerokim gestem ogarnęła rozległą panoramę. Szczyty wzgórz płonęły ogniem zachodzącego słońca, doliny tonęły w cieniu. Była to jedna z tych chwil, które najchętniej przeciągnęłyby w nieskończoność: stali z Simonem obok siebie i patrzyli na świat, który wydawał się nieskalany.

Wziął jej rękę, podniósł do ust i pocałował w palce. Oparła się o niego i razem chłonęli dzikie piękno roztaczającego się przed nimi widoku.

- Zdecydowałaś się?

- Tak. Jadę z tobą do Santa Barbara.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich zmęczenie, które narastało od lipca. Pocałowali się.

- Mam dość - wyjaśnił, odsuwając się. - W którymś momencie służby w MI-6 pogubiłem się. Wiem, że to banał, ale prawdziwy. Chcę znaleźć w życiu coś więcej.

- Cieszę się, że pojedziemy razem. Bardzo się cieszę. I świetnie cię rozumiem. Dlatego uczę. Studenci dają mi nadzieję.

- Wiem. - Pociągnął ją za rękę, przytulił i znów zapatrzyli się na zachodzące słońce. - A najważniejsze, że będziemy razem.

Słońce schowało się za wzgórzami. Niebo było czerwone.

- Widziałeś?

- Co?

- Na tamtym wzgórzu. Błysk światła. Już go nie widać.

- Pewnie jakiś rowerzysta. Albo pasterz z plecakiem z metalową sprzączką. Chodź, musimy jechać. Do Cefalu jest stąd kawał drogi.

Liz kiwnęła głową i objęła go w pasie. Simon przytulił ją i razem wrócili do samochodu.

- A wiesz, że w Gangi obchodzą pogańskie święto? Choć chrześcijanie nie są zachwyceni. Nazywa się Sagra della Spiga. Urządzają procesję pogańskich bogów: Pana, Bachusa, Demeter i bóstw płodności. Pewien człowiek w pałacu Bongiorno mówił mi, że na Monte Alburghia prawdopodobnie stała kiedyś grecka świątynia, poświęcona bóstwom płodności.

- Grecka? Już zapomniałem, że zapuścili się tak daleko na terytorium Rzymu.

- Ciekawe, prawda? Gdziekolwiek ludzie pójdą, tam poniosą swoich bogów. W takiej czy innej postaci.

Podczas kiedy Simon i Liz byli pogrążeni w rozmowie, na przeciwległym wzgórzu - w miejscu, gdzie Liz dostrzegła błysk światła - podniósł się z trawy mężczyzna. Do tej pory

leżał na brzuchu pod drzewkiem oliwkowym z mocną lornetką i mikrofonem kierunkowym. Przez chwilę bał się nawet, że go odkryją, ale ta chwila szybko minęła. Liz była bardziej zainteresowana Simonem i swoją przyszłością. I dobrze. Tego właśnie chciał.

Przesunął dłonią po króciutkich, odrastających włosach. Wkrótce będą takie jak zwykle, gęste i siwe. Starając się odepchnąć falę tęsknoty za córką, spakował swój ekwipunek i odszedł w noc.

Od autorki

Mniej więcej osiem lat temu, przygotowując się do pisania książki, natrafiłam w prasie na jeden z tych wycinków, które dla każdego prawdziwego pisarza są bezcenne. Dotyczył dorocznego spotkania światowych przywódców, którzy nazwali się Grupą Bilderberg. Bardzo mnie zaintrygował. W przeciwieństwie do Światowego Forum Gospodarczego - zjazdu VIP-ów - które najczęściej odbywa się w szwajcarskim Davos, oraz Allen & Co., którzy słyną z elitarnych, dyskretnych spotkań w Sun Valley w stanie Idaho, Grupa Bilderberg była dla mnie jedną wielką tajemnicą.

Nie bez powodu. Okazało się, że ta elitarna organizacja nie tylko unika rozgłosu, ale wręcz zabrania swoim członkom kontaktów z mediami. Wydawany w Toronto „National Post” pisał o nich 24 maja 2001 roku następująco: *Ścisłe tajne konferencje są doskonale zabezpieczone. Dziennikarze nie mają na nie wstępu.*

Ale wtedy, w 1995 roku, nie miałam jeszcze pojęcia, na co trafiłam. Zaczęłam więc drążyć temat. Prawie zamieszkałam w bibliotece, przekopałam się przez tysiące amerykańskich gazet, tygodników i książek. Znam się na takiej robocie, umiem wyszukiwać najbardziej niezwykle informacje, ale tym razem byłam bezradna - dopóki nie natknęłam się na „Spotlight”, prawicowy, populistyczny tygodnik informacyjny, wydawany w Waszyngtonie. „Spotlight” chwalił się, że od ponad dwudziestu lat regularnie zamieszcza sprawozdania ze spotkań Bilderbergu. Pomijając oczywiste polityczne i emocjonalne skrzywienie „Spotlighta”, znalazłam w nim zdjęcia, listy uczestników i spis ośrodków, w których od 1954 roku odbywały się konferencje grupy. Wtedy też uwierzyłam, że Bilderberg nie tylko istnieje, ale też jest świetnym materiałem na książkę.

Chwila przełomowa przyszła rok później, kiedy „Spotlight” zapowiedział, że następne tajne zebranie odbędzie się w luksusowym ośrodku w pobliżu Toronto. Zamówiłam w bibliotece „Toronto Star” - i zaniemówiłam z wrażenia. Pod datą 6 czerwca 1996 roku znalazłam pierwsze w wielkonakładowym, oficjalnym dzienniku potwierdzenie istnienia Bilderbergu: *Zgodnie z planem, rozpoczęła się utajniona konferencja Grupy Bilderberg, czyli stu dwudziestu przywódców politycznych i biznesowych z całego świata.* Odbyła się na dawnym King City Ranch, w ośrodku Canadian Imperial Bank of Commerce.

Tę wiadomość uczciłam kieliszkiem doskonałego pinot noir.

W następnych latach pisałam inne książki, ale nie zarzuciłam badań nad Grupą Bilderberg, które stały się moim hobby, a może wręcz obsesją. Dlatego w *Spirali* idea Nautilusa jest luźno oparta na tym, czego się o Bilderbergu dowiedziałam. Obie organizacje mają centrale w Hadze, obie zaczerpnęły swoje nazwy od hoteli, w których odbyły się ich pierwsze spotkania, obie stosują zaostrzone środki bezpieczeństwa, używają kolorowych identyfikatorów i korzystają z pomocy psów szkolonych do szukania materiałów wybuchowych. Im dalej jednak się zapuszczamy, tym większe są między nimi różnice. Nic mi na przykład nie wiadomo o istnieniu w obrębie Bilderbergu tak diabolicznej struktury, jaką jest Spirala.

Miło mi poinformować, że dzięki uporowi dziennikarzy i demonstrantów, a także powszechności Internetu przybywa danych na temat Grupy Bilderberg. Londyński „Sunday Times” żartuje nawet, że jej spotkania są „największym wydarzeniem internetowym na świecie”, a portugalskie „The News” nazywają jej członków „niewybranymi przywódcami ludzkości”.

„The Guardian” w ironicznym artykule stwierdza: Według jednych jest to potężny i złowrogi gabinet cieni, którego celem jest przejęcie władzy nad światową gospodarką. Dlaczego zatem (...) naszą kolumnę ozdabia podobizna lorda Carringtona? Ponieważ to on przewodzi [Grupie Bilderberg] do spółki z Henrym Kissingerem i Davidem Rockefellerem, właścicielem nowojorskiego banku Chase Manhattan (...). O czym będą rozmawiać? Tego nie wiem. Nie wydają oświadczeń, nie ma żadnych nagrań, żadnych zdjęć...

„The Atlanta Constitution” najwyraźniej uważa się za lepiej zorientowaną: (...) członkowie grupy twierdzą, że obowiązujący wszystkich zaproszonych wymóg dyskrecji pomaga stworzyć kameralne, nieformalne środowisko, w którym ludzie, którzy decydują o losach poszczególnych państw i całego świata, mogą się lepiej poznać i swobodnie przedyskutować najbardziej palące problemy.

Dopóki jednak w spotkaniach uczestniczą liderzy rynku medialnego w rodzaju Donalda Grahama z „The Washington Post”, bankierzy-miliarderzy (Edmond de Rothschild), giganci motoryzacji (Jurgen Schrempp z DaimlerChrysler) i światowej sławy politycy (James D. Wolfensohn z Banku Światowego i Donald Rumsfeld z Departamentu Obrony USA), Grupa Bilderberg będzie przyciągać moją uwagę.

Może faktycznie są to zwykłe spotkania robocze, ale otaczająca je mgiełka tajemnicy prowokuje różne reakcje. Jak to kiedyś zauważył „The Financial Times”: *Nawet jeśli ludzie z Bilderbergu nie są grupą spiskowców, to z pewnością zachowują się w taki sposób, jakby nimi byli.*

Według „Sunday Timesa” obecny sekretarz generalny Bilderbergu, Martin Taylor z WH Smith, twierdzi, że robi, co może, aby grupa przestała być taka tajemnicza. Biorąc jednak pod uwagę, że notatki z konferencji są od pół wieku systematycznie utajniane, do osiągnięcia tego celu sporo mu jeszcze brakuje. Kiedy w numerze z 20 lipca 1998 roku „The Time” opisywał sześć największych „obozów władzy w biznesie”, przyznawał im między innymi oceny za elitarność, w skali od jednego do dziesięciu. Tylko Bilderberg dostał dziesiątkę.

Czytelników zainteresowanych dalszą lekturą zachęcam, by sięgnęli po dwie książki, które zostały opublikowane w Wielkiej Brytanii:

MI-6: Inside the Covert World of her Majesty's Secret Intelligence Service Stephena Dorrila (Free Press 2000) oraz *Them: Adventures with Extremists* Jona Ronsona (Simon & Schuster 2002).

Gayle Lynds
Santa Barbara, Kalifornia
18 sierpnia 2003

Podziękowania

Kilka lat temu Liz Sansborough na dobre zagościła w moich myślach. Odegrała kluczową rolę w mojej debiutanckiej powieści Maskarada, ale to jej nie wystarczyło. Chciała mieć własną książkę, własną historię. Ciągle była w pobliżu, rozmyślała o przyszłości, a ja coraz bardziej się niepokoila. Czekałam. Co się z nią mogło stać? Jej życie było przesycone przemocą. Oboje rodzice - obecnie już nieżyjący - byli zawodowymi zabójcami. Jej mąż, agent CIA, zmarł na torturach. Ona sama też była w CIA i uwielbiała tę pracę. Przynajmniej tak się jej wydawało. Ale wszyscy się zmieniamy; czasem nawet czegoś się uczymy. Liz chce się wyrwać z tego świata, chce pokoju - dla siebie i dla świata - co w nowym tysiącleciu przemocy może okazać się niemożliwe. Musi jednak spróbować.

Wraca na uczelnię i robi doktorat z psychologii przemocy...

Ponieważ w Spirali cały czas przewija się wątek przemocy, w jej najbardziej i najmniej subtelnych przejawach, zwróciłam się z prośbą o pomoc do mojej przyjaciółki doktor Lucy Jo Palladino, która przy wcześniejszych książkach odkrywała przede mną tajniki zespołu Aspergera, pamięci komórkowej i zaburzenia konwersyjnego. Jej pomoc jak zwykle była nieoceniona; dzięki niej spojrzałam okiem fachowca na gwałtownych ludzi, zachowania i kultury.

Za wykłady o zawodowych zabójcach, MI-6, CIA i światowym półświatku przestępczo-szpiegowskim dziękuję kilku informatorom, którzy muszą pozostać anonimowi, oraz Robertowi Kresage'owi, pisarzowi, jednemu z założycieli Centrum Antyterrorystycznego CIA.

Dużą rolę w Spirali gra Paryż. Za rady, zdjęcia i tłumaczenia winna jestem wdzięczność Christine McNaught i powieściopisarzowi Lenowi Lamensdorfowi, którzy służyli mi bezinteresowną pomocą.

Praca redakcyjna jest tą tajemniczą, nieocenioną formą sztuki, która potrafi czasem wznieść dzieło na wyższy, niedostrzegalny dla autora poziom. Większość z nas zaczyna z marzeniem w głowie i czystą kartką papieru na biurku. Później strony zaczynają się wypełniać, a marzenie zostaje zepchnięte na dalszy plan przez słowa, sceny, rozdziały, części. Oszczędził mi tego Keith Kahla, wspaniały redaktor, który lepiej ode mnie wiedział, gdzie szukać w Spirali prawdziwej powieści. Dziękuję mu za przenikliwość i mądrość, za noce i weekendy i za udostępnienie mi zasobów swojego twórczego umysłu.

Mój mąż, również pisarz, Dennis Lynds, jest moim redaktorem i współpracownikiem, stałym źródłem zachęty, pomysłów i zmian. Jestem mu za to dozgonnie wdzięczna. Dziękuję także mojemu agentowi literackiemu, Henry'emu Morrisonowi, oraz agentowi zagranicznemu, Danny'emu Barorowi, a także obu moim administratorom sieci: byłemu, Brandonowi Eriksonowi, i obecnemu, Gregowi Stephensowi.

W St. Martin s Press szczęśliwy los zetknął mnie z niezwykle rodziną pisarską, którą tworzą: Sally Richardson, Matthew Shear, George Witte, Matthew Baldacci, John Murphy, James Di Miero, Joan Higgins, John Cunningham, Jennifer Enderlin, John Karle, Dori Weintraub, Steve Eichinger, Harriet Seltzer, Christina Harcar i Jerry Todd. Jestem im ogromnie wdzięczna za pomoc i wsparcie.

Nikt nie tworzy w samotności. Dziękuję Barbarze Toohey, Paulowi Stone'owi, Julii Stone, MaryEllen Strange, Jamesowi Stevensowi, Theil Shelton, Philipowi Sheltonowi, Kathleen Sharp, Elaine Russell, Monice McCoy, Kate Lynds, Deirdre Lynds, Fredowi Kleinowi, Randi Kennedy, Stevenowi Humphreyowi, Melodie Johnson Howe, Bonesowi Howe'owi, Nancy Hertz, Gayatri Chopra Heesen, Julii Cunningam, Rayowi Briare'owi, Katrinie Baum, Vicki Allen i Joemu Allenowi.